

Mumia czyli Ramzes Przeklęty

Anne Rice



calibre 0.9.27

MUMIA

CZYLI RAMZES PRZEKLEŹY

The Mummy

or Ramses the Damned

Tłumaczył Jacek Spólny

Powieść tę dedykuję z miłością

Stanowi Rice'owi

i

Christopherowi Rice'owi

Wielkim źródłem natchnienia byli Gita Mehta

i

sir Arthur Conan Doyle

twórca wybitnych opowieści o mumiach

Lot No. 249 i *The Ring on Thoth*

i

H. Rider Haggard

twórca nieśmiertelnej *She*

i

wszyscy, dzięki którym „mumia” ożywała

w opowiadaniach, powieściach i filmach

i wreszcie

mój ojciec

Howard O'Brien,

który wielokrotnie przychodził zabrać mnie z przedstawienia w dzielnicowym teatrze, gdy

„mumia” tak bardzo mnie nastraszyła, że nie mogłam wytrzymać nawet na korytarzu, gdzie przez drzwi z sali sączyła się złowieszcza muzyka.

Szczególne podziękowania

należą się Frankowi Konigsbergowi

i

Larry’emu Sanitsky’emu za ich pełne entuzjazmu słowa zachęty podczas pracy nad *Mumią*

oraz za pomoc w tworzeniu tej opowieści

CZEŚĆ 1

Flesze aparatów na moment go oślepiły. Gdyby tylko można było pozbyć się tych fotografów...

Ale nie odstępowali go od miesięcy - od momentu, gdy natrafił na pierwsze znaleziska w tych jałowych wzgórzach na południe od Kairu. Jakby sami też coś przeczuwali. Jakieś wydarzenie. Po długich latach Lawrence Stratford zaczął pracę nad czymś naprawdę ważnym.

Tak więc byli przy nim, z aparatami, błyskami i dymem z fleszy. Mało go nie przewrócili, gdy parł wąskim, wyciosanym w skale przejściem w stronę napisu, widocznego na częściowo odsłoniętych, marmurowych drzwiach.

Mrok jakby zniecka zgęstniał. Miał przed sobą litery, lecz nie był w stanie ich odczytać.

- Samir - zawołał. - Potrzebuję światła.

- Tak jest, Lawrence. - Z tyłu natychmiast zapłonęła pochodnia i w jej słotym blasku ujrzał kamienną bryłę z jej cudownymi szczegółami. Tak, hieroglify, głęboko wyryte, z pięknymi złoceniami, wszystko we włoskim marmurze. Nigdy w Syciu czegoś takiego nie widział.

Poczuł jedwabisty dotyk gorącej dłoni Samira na swojej ręce. Zaczął czytać:

- „Złodzieje Zmarłych, odstepcie od tego grobu, jeżeli nie chcecie zbudzić jego mieszkańca, którego furii nikt nie powstrzyma. A imię moje jest Ramzes Przeklęty”.

Spojrzał na Samira. Co to ma znaczyć?

- Dalej, Lawrence, tłumacz, robisz to szybciej ode mnie - - przynaglił tamten.

- „A imię moje jest Ramzes Przeklęty. Niegdyś Ramzes Wielki Górnego i Dolnego Egiptu; Zabójca Hetytów, Budowniczy Świątyń; Ukochany przez Lud; nieśmiertelny stróż

spokoju egipskich królów i królowych przez tysiąclecia. W roku śmierci wielkiej Królowej Kleopatry, gdy Egipt staje się prowincją Rzymu, zanurzam się w wiecznym mroku; strzeście się wszyscy, którzy wpuścicie za te drzwi promienie słońca”.

- Przecież to nie ma sensu - wyszeptał Samir. - Ramzes Wielki panował tysiąc lat przed Kleopatą.

- Ale bez wątplenia mamy przed sobą hieroglify z epoki dziewiętnastej dynastii - odpalił

Lawrence, niecierpliwie usuwając ułamki marmuru. - Patrz, napis powtarza się... w łacinie i grece. - Urwał i szybko odczytał kilka ostatnich linijek po łacinie.

- „Strzeście się: śpię tak, jak ziemia śpi pod nocnym niebem lub zimowym śniegiem; zbudzony, nie słuchę Sądnu z ludzi”.

Lawrence'owi odebrało na chwilę mowę, wpatrywał się tylko w słowa, które właśnie odczytał. Z trudem pojmował, co mówi Samir.

- Nie podoba mi się to. To na pewno jakaś klątwa.

Lawrence odwrócił się niechętnie i zobaczył, że podejrzenia zmieniają się w oczach Samira w strach.

- Ciało Ramzesa Wielkiego znajduje się w Muzeum w Kairze - wyrzucił Samir.

- Nie - odparł Lawrence. Czuł pełną mu po karku chłód.

- W Muzeum jest jakieś ciało, ale to nie Ramzes Wielki! Wystarczy spojrzeć na te kartusze, na pieczęcie! Za czasów Kleopatry nie było nikogo, kto umiałby posługiwać się starożytnymi hieroglifami choćby w piśmie. A te tutaj są nienaganne - tak jak napis grecki i łaciński, sporządzone z niezmierną starannością.

Och, gdyby była tu Julie, pomyślał z goryczą Lawrence. Jego córka nie bała się niczego.

Pojęłaby sens tej chwili lepiej niż ktokolwiek inny.

Wychodzącomal się nie przewrócił, zamachał rękami, żeby fotografowie zeszli mu z drogi. I znowu rozbłysły flesze. Dziennikarze runęli ku marmurowym drzwiom.

- Niech kopacze wracają do roboty - nakazał. - Niech uprzątną przejście do samego progu.

Wieczorem wchodzi do wnętrza grobowca.

- Nie ma się co spieszyć - przestrzegł Samir. - Warto się nad tym dobrze zastanowić.

- Zdziwiasz mnie, Samirze - odparł Lawrence. - Przetrzęsamy te wzgórza już od dziesięciu lat, a robimy to dla takiego właśnie odkrycia. Pomyśl, nikt nie tykał tych drzwi od dwóch tysięcy lat.

Niemal ze złością zaczął przepychać się przez ciembę dziennikarzy, którzy zdążyli go dogonić i blokowali przejście. Potrzebował spokoju, który mógłby znaleźć tylko w namiocie, czekając na odkopanie drzwi; potrzebował dziennika, który stał się jedynym powiernikiem podniecenia, jakie odczuwał mężczyzna. Nagle zakręciło mu się w głowie od spiekoty, w której chodził przez cały, długi dzień.

- śadnych pytań, panie i panowie - oznajmił uprzejmie Samir. Jak zwykle chronił

Lawrence'a przed rzeczywistością.

Lawrence szedł nierówną ścieżką, trochę skręcił sobie nogę w kostce, ale nie ustawał, mruczając oczy i patrząc na mroczne piękno oświetlonych pochodniami namiotów, pogrążających się w granatowym zmierzchu.

Tylko jedna rzecz odwróciła jego uwagę, zanim doszedł do swojego krzesła i biurka. Był

to stojący nieopodal obraz bratanka Henry'ego, który bezmyślnie patrzył przed siebie. Henry, będący tu zupełnie nie na miejscu, tak nieswojo czujący się w Egipcie; wyglądający Śałośnie w wykwinnym garniturze z białego płótna. Henry, z nieodłączną szklaneczką scotcha w ręce i nie przyciętym cygarem w ustach.

Na pewno mieszkała z nim ta kobieta, Malenka z Kairu, która oddawała angielskiemu dŚentelmenowi wszystkie pieniądze, zarobione dzięki tańcowi brzucha.

Lawrence nigdy nie mógł do końca opędzić się od myśli o Henrym, ale jego widok w takiej chwili był po prostu nie do zniesienia.

W raczej udanym Śyciu Lawrence'a Henry był jedynym prawdziwym rozczarowaniem -

bratankiem, któremu nie zaleŚało na nikim i na niczym oprócz stołów do gry i butelki. Jedyny męski dziedzic fortuny Stratfordów, któremu nie moŚna było spokojnie powierzyć jednofuntowego banknotu.

I znowu ukłucie tęsknoty za Julie - ukochaną córką, która na pewno byłaby teraz przy nim, gdyby młody narzeczony nie nakłonił jej do pozostania w domu.

Henry przyjechał do Egiptu po pieniądze. Przywiózł Lawrence'owi do podpisania firmowe dokumenty. A wysłał go tutaj ojciec, Randolph, który jak zwykle czynił rozpaczliwe wysiłki, by spłacić synowskie długi.

Nieźla z nich para, myślał ponuro Lawrence - ten ladaco i prezes zarządu Stratford Shipping, niezręcznie przelewający zyski firmy do kieszeni syna, która przypominała studnię bez dna.

Ale Lawrence miał powody, dla których mógł bratu, Randolphowi, wybaczyć wszystko.

Mało powiedziane, Śe przekazał mu rodzinną firmę - on ją na niego zrzucił, z całym багаŚem kłopotów i odpowiedzialności, byle tylko sam mógł spędzić resztę swych dni, kopiąc pośród egipskich ruin, które tak ukochał.

I trzeba przyznać, Śe Randolph, jako dyrektor Stratford Shipping spisywał się całkiem przyzwoicie. To znaczy do czasu, gdy syn zmienił go w defraudanta i złodzieja. Gdyby jeszcze teraz przyprzeć Randolpha do muru, przyznałby się do wszystkiego. Ale Lawrence'owi na taką konfrontację nie pozwalał czysty egoizm. Za nic w świecie nie chciałby porzucić Egiptu dla dusznych londyńskich biur Stratford Shipping. Do powrotu do domu nie namówiłaby go nawet Julie.

Tak więc Henry stał i czekał na dogodną chwilę. A Lawrence ją odwlekał, zaaferowany wszedł do namiotu i przysunął krzesło do biurka. Potem wyjął oprawny w skórę dziennik, który do tej pory zachował nietknięty, być moŚe na taką okazję. Pospiesznie spisał z pamięci słowa na drzwiach i pytania, które się w związku z nimi rodziły.

- Ramzes Przekłęty. - Oparł się wygodniej, popatrzył na ten tytuł i po raz pierwszy poczuł

przedsmak trwogi, która wstrząsnęła Samirem.

Co to do licha mogło znaczyć?

* * *

Wpół do pierwszej w nocy. Czy to sen? Marmurowe odrzwia grobowca zostały ostrośnie zdjęte, sfotografowane i ułożone na kozłowych stojakach w jego namiocie. Teraz byli gotowi do wywołania eksplozji, która umożliwi wdarcie się do środka. Do grobowca! Nareszcie będzie należał do Lawrence'a.

Skinął głową, dając znak Samirowi. Poczł, jak przez grupkę zgromadzonych ludzi przebiega dreszcz podniecenia. Jeszcze podnosząc ręce do uszu, zobaczył błyski, jednak wybuch i tak wszystkich zaskoczył. Męszczyzna echo detonacji poczuł w splotie słonecznym.

Nie było czasu na zastanawianie się nad sobą. Trzymał w ręku latarkę i miał zamiar wejść do środka, mimo że Samir znowu próbował go powstrzymać.

- Lawrence, tam mogą być zastawione miny, albo...

- Zejdź mi z drogi.

Od pyłu łzawiły mu oczy, drapało w gardle.

Wyciągnął rękę z latarką w stronę rozbitego wybuchem otworu. Ściany ozdobione hieroglifami - i znowu nie ulegało wątpliwości, że to wspaniały styl dziewiętnastej dynastii.

Bez wahania postąpił do środka. Panował tu niezwykle chłód; i ten zapach, co to takiego?

Jakieś dziwne perfumy, których aromat działa po tylu wiekach!

Serce biło zbyt szybko. Krew napłynęła do twarzy, znowu musiał odkaszląć, bo nogi cisnących się za jego plecami dziennikarzy wzbijały kurz.

- Nie podchodzić! - krzyknął ze złością. Znowu ze wszystkich stron rozbłyskiwały flesze.

Z trudem dostrzegał malowany sufit z niewielkimi gwiazdami.

W głębi stał długi stół, zastawiony alabastrowymi słojami i szkatułkami. Stosy papirusowych zwojów. Dobry Boże, miał przed sobą potwierdzenie niezmiernie ważnego odkrycia.

- Ale to nie jest Saden grobowiec! - wyszeptał.

Stół do pisania pokrywała niewielka warstwa kurzu, jakby pracujący tu uczoney przed chwilą wyszedł. Na stole leżał rozwinięty papirus, zaostrzone pióra, buteleczka atramentu. I kielich.

Za to popiersie, marmurowe popiersie - z całą pewnością wyglądało na grecko - rzymskie.

Kobieta o falujących włosach, spiętych z tyłu metalową przepaską, sennych oczach, do połowy zakrytych powiekami, jakby ślepa i wycięte u dołu popiersia imię: KLEOPATRA

- To niemożliwe - dobiegły Lawrence'a słowa Samira. - Ale popatrz, jest i mumia.

Lawrence zdał się już dostrzec trumnę. Przyglądał się bez słowa zwłokom leżącym w spokoju na środku tego intrygującego pomieszczenia, gabinetu czy biblioteki, ze zwojami papirusu i zakurzonego biurkiem.

Samir raz jeszcze nakazał fotografom, żeby się cofnęli. Dym i flesze doprowadzały Lawrence'a do furii.

- Wynoście się wszyscy, wynocha! - krzyknął. Tamci z ociąganiem odeszli od drzwi, pozostawiając dwóch mężczyzn w pełnej osłupienia ciszy.

Przerwał ją Samir.

- Meble są rzymskie. To Kleopatra. Popatrz, Lawrence, na monety na stole. Z jej wizerunkiem, wyglądają jak nowe. Same one są warte...

- Wiem. A tam leży starożytny faraon, mój drogi. Spójrz na wszystkie detale trumny - dorównuje najpiękniejszym znaleziskom z Doliny Królów.

- Ale nie ma sarkofagu - zauważył Samir. - Dlaczego?

- Bo to nie jest grobowiec - odpalił Lawrence.

- I akurat dlatego król wybrał sobie to pomieszczenie na miejsce pochówku! - Samir podszedł do skrzyni, wysoko unosząc latarkę nad pięknie wymalowaną twarzą z podkreślonymi czarną farbą oczami i wykwintnie ukształtowanymi ustami.

- Przysięgam, że pochodzi z okresu rzymskiego - stwierdził.

- Ale ten styl...

- Lawrence, ten wizerunek jest aż nadto autentyczny. Jakiś rzymski artysta musiał sporządzić doskonałą imitację sztuki okresu dziewiętnastej dynastii.

- Ale jak to możliwe, mój drogi?

- Klątwy - wyszeptał Samir, który jakby nie dosłyszał pytania. Wbił wzrok w rzędy hieroglifów, które otaczały malowaną postać. Poniżej znajdowały się napisy po grecku, najniżej łacińskie.

- „Nie dotykaj szczątków Ramzesa Wielkiego” - odczytywał Samir. - To samo we wszystkich trzech językach. Każdy rozsądny człowiek porządnie by się zastanowił.

- Ale ten rozsądny człowiek będzie tu wyjątkiem - zripostował Lawrence. - Zawołaj robotników, niech natychmiast podniosą wieko.

* * *

Pył zdał się już trochę opaść. Pochodnie, wetknięte w stare lichtarze na ścianach, zbyt mocno dymiły na sufit. Ale tym zajmie się później.

Teraz należało rozciąć to, co okrywało ludzką postać, wspartą o ścianę obok cienkiej, drewnianej pokrywy skrzyni.

Przestał zwracać uwagę na ludzi, którzy stali w progu i w milczeniu wpatrywali się w niego i jego znalezisko.

Powoli uniósł nogę i przeciął kruchą osłonę z wyschłego płótna, która natychmiast opadła, ukazując szczelnie owiniętą ludzką postać.

Rozległo się jedno wielkie westchnienie dziennikarzy. Znowu rozbrzły flesze. Lawrence czuł za sobą milczącą obecność Samira. Obydwaj patrzyli na szczupłą twarz, spowitą w pośólki, płócienny bandaś, i pomarszczone ramiona, tak spokojnie skrzyśowane na piersiach.

Jeden z dziennikarzy błagał chyba, żeby wpuścili go do środka. Samir z gniewem zaśadał, żeby tamten się uciszył. Tak czy owak, Lawrence nie zwracał na to zamieszanie większej uwagi.

Spoglądał na wynędzniałą postać, owiniętą w materiał barwy pociemniałego, pustynnego piasku. Miał wrażenie, że dostrzega na jej twarzy jakiś wyraz, że wąskie usta emanują niezmaconą pogodą ducha.

Każda mumia była tajemnicą. Każda wyschła, lecz zachowana postać stanowi upiorny obraz życia po śmierci. Widok tych starożytnych, egipskich zmarłych zawsze przeszywał go chłodem. Lecz tym razem czuł taką niezmierną tęsknotę - patrząc na tego, który zwał siebie Ramzesem Przeklętym, Ramzesem Wielkim.

W duchu poczuł jakiś przypływ ciepła. Przysunął się i zabrał do przecinania zewnętrznej warstwy tkaniny. Z tyłu Samir nakazał fotografom wyjść z korytarza. Istniała groźba zakazania.

- Wyjdźcie już wszyscy, proszę was.

Znienacka Lawrence wyciągnął rękę i dotknął mumii; z szacunkiem, samymi koniuszkami palców. Zdziwiająco elastyczne! Na pewno z czasem gruba warstwa bandasy zmiękła.

I jeszcze raz popatrzył na szczupłą twarz, zaokrąglone wargi, zasępione usta.

- Julie - wyszeptał - kochanie, gdybyś to widziała...

* * *

Bal w ambasadzie. Te same, znajome twarze; ta sama orkiestra, słodki, z lekka monotony walc. Światła raziły Elliotta Savarella, po szampanie w ustach zostawał cierpki posmak. Mimo wszystko raczej niezgrabnie wychylił cały kieliszek, chwytając spojrzenie przechodzącego kelnera. I jeszcze jeden. I następny. Szkoda, że to nie whisky albo dobra brandy.

Ale przecież potrzebowali go tu. Bez earla Rutherforda wszystko wyglądałoby inaczej.

Earl Rutherford był niezbędnym dodatkiem, podobnie jak niezliczone dekoracje z kwiatów i tysiące świec; kawior i srebra; a także starzy muzycy, rzucający ze znużeniem na skrzypcach, przy dźwiękach których tańczyło młodsze pokolenie.

Wszyscy mieli w zanadru pozdrowienia dla Sarla Rutherforda. Wszyscy chcieli go zaprosić na ślub córki, *five o'clock* albo kolejny bal podobny do tego. Nie miało znaczenia, że Elliott i jego siostra rzadko przyjmowali kogokolwiek w swoim miejskim domu w Londynie i posiadłości w Yorkshire, jak również to, że Edith spędzała dużo czasu w Paryżu z owdowiałą siostrą. Siedemnasty earl Rutherford był autentyczny; jakkolwiek na to patrzeć, tytuły sięgały w jego rodzinie czasów Henryka VIII.

Jakim cudem do tej pory wszystkiego nie zepsuł? - Elliott dziwił się sam sobie. Jak udawało mu się czarować tylu ludzi, którzy interesowali go co najwyżej przelotnie?

Ale nie, to nie była do końca prawda. Chcąc nie chcąc, do niektórych z tych ludzi był

bardzo przywiązany. Bardzo lubił swojego starego przyjaciela, Randolpha Stratforda, podobnie jak lubił jego brata Lawrence'a. A już z całą pewnością darzył sympatią Julie Stratford, przyjemność sprawiało mu przyglądanie się, jak tańczy z jego synem. Elliott znalazł się tutaj właśnie ze względu na syna. Naturalnie Julie nie wyjdzie za Alexa, przynajmniej na razie. Ale w tej chwili, była to jedyna wyraźna szansa, że Alex zdobędzie pieniądze potrzebne do utrzymania ziemskich posiadłości, które odziedziczy, fortunę, która w powszechnym mniemaniu winna towarzyszyć starym tytułom arystokratycznym, choć niestety bywało tak coraz rzadziej.

Najsmutniejsze, że Alex kochał Julie. Śądne z nich nie przywiązywało tak naprawdę wagi do pieniędzy. Planami i spiskami zajmowali się jak zwykle starsi.

Elliott wsparł się o złoconą balustradę i objął wzrokiem morze młodych par, które falowało w dole. Przez chwilę próbował odizolować się od zgiełku głosów i słuchać tylko słodkiej melodii walca.

Tymczasem znowu usłyszał głos Randolpha Stratforda. Zapewniał on Elliotta, że Julie potrzebuje tylko trochę zachęty. Gdyby Lawrence wypowiedział sakramentalne tak, córka natychmiast by go posłuchała.

- Dajmy Henry'emu szansę - powiedział Elliott. - Siedzi w Egipcie dopiero od tygodnia.

Jeżeli Lawrence zechce przejąć inicjatywę...

- Ale czemu miałyby to robić?

Milczenie.

Elliott znał Lawrence'a lepiej niż Randolph. Elliott i Lawrence. Całą prawdę znali tylko oni dwaj. Przed laty w Oksfordzie, żyjąc w swobodnym świecie, zostali kochankami, a rok po studiach całą zimę spędzili pływając jachtem po Nilu na południe od Kairu. Z czasem życie nieuchronnie ich rozdzieliło. Elliott ożenił się z Edith Christian, bogatą Amerykanką. Lawrence zbudował imperium Stratford Shipping.

Lecz przyjaźń nie umarła. Często spędzali wspólne wakacje w Egipcie. Potrafili całymi nocami spierać się na temat historii, ruin, odkryć archeologicznych, poezji, wszystkiego, co tylko przyszło im do głowy. Elliott był jedynym człowiekiem, który rozumiał Lawrence'a, gdy ten wycofał się z firmy i pojechał do Egiptu. Zazdrościł mu. I właśnie na tym tle powstały pierwsze niesnaski. Późno w nocy, pod wpływem litrów wypitego wina, Lawrence nazwał Elliotta tchórzem za to, że chce spędzić resztę życia w Londynie, w świecie, którego nie ceni, który nie daje mu radości. Elliott zaś w odwecie określił Lawrence'a krótkowzrocznym głupcem. Przecież

bogactwo Lawrence'a przekraczało najśmielsze wyobrażenia Elliotta; Lawrence był poza tym wdowcem z inteligentną i pod każdym względem niezależną córką. Elliott miał siostrę i syna, który na co dzień potrzebował pomocy ojca przy pielęgnowaniu powodzenia, jakie dane im było w stu procentowo konwencjonalnym i powszechnie szanowanym życiu.

- Chodzi mi tylko o to - nie ustawał Randolph - że gdyby Lawrence wyraził swoją wolę w sprawie tego małżeństwa...

- I tej drobnej kwestii dwudziestu tysięcy funtów? - zapytał nagle Elliott. Mówił

spokojnie, delikatnie, lecz pytanie było absolutnie niegrzeczne. Mimo to ciągnął dalej.

- Edith wraca za miesiąc z Francji i z pewnością zauważy brak naszyjnika. Takie rzeczy nigdy nie umykają jej uwadze.

Randolph nie odpowiadał.

Elliott zaśmiał się cicho, ale nie z Randolpha, nawet nie z siebie samego. A już z pewnością nie śmiał się z Edith, która miała pieniędzy niewiele więcej niż on, a i te przeważnie w zastawach i biżuterii.

Być może Elliott roześmiał się, bo od muzyki kręciło mu się w głowie; może też widok Julie Stratford, tańczącej tam na dole z Alexem, poruszył w nim jakąś strunę. A może dlatego, że ostatnimi czasy utracił zdolność wyrażania się eufemizmami i półprawdami. Stracił ją razem z kondycją fizyczną i poczuciem zadowolenia, które towarzyszyło mu przez całą młodość.

Teraz z każdą mijającą zimą coraz bardziej bolały go stawy. Nie mógł już zrobić sobie półmilowego spaceru na wsi, żeby nie czuć ostrego klucia w piersiach. Siwe włosy mu nie przeszkadzały, prawdopodobnie dlatego, że wiedział, że mu w nich do twarzy. Za to przymus używania na każdym kroku laski sprawiał mu sekretny i dogłębny ból. A przecież była to zaledwie blada zapowiedź

wszystkiego, co go jeszcze czekało.

Starość, słabość, brak samodzielności. Oby Bóg dał, żeby Alex wciął się w te miliony Stratfordów, i to jak najszybciej!

Ogarnęło go nagle niezadowolenie. Drażniła cicha, omdlewająca muzyka; od Straussa robiło mu się już niedobrze. Jednak niepokój miał poważniejsze źródła.

Przyszła gwałtowna chęć wytłumaczenia Lawrence'owi, że on, Elliott, popełnił dawno temu poważny, życiowy błąd. Związany z tymi długimi nocami, spędzonymi wspólnie na łodzi lub na wędrówkach przez czarne ulice Kairu albo kłótniach po pijanemu w Malenkim salonie na pokładzie jachtu. Lawrence'owi jakimś sposobem udało się przeżyć życie po bohatersku, z uniesionym czołem dokonał rzeczy, na które po prostu innych nie było stać. Elliott poddawał się prądowi. Lawrence wymknął się do Egiptu, na pustynię, do świątyń i tych pogodnych, rozgwieżdżonych nocy.

Boże, jak on tęsknił za Lawrence'em. Przez parę ostatnich lat wymienili zaledwie kilka listów, lecz dawna nić porozumienia nie została zerwana.

- Henry zabrał ze sobą trochę papierów - mówił Randolph - w pewnej drobnej sprawie dotyczącej rodzinnych udziałów. - Rozglądał się przezornie, nadto przezornie.

Elliottowi znowu zbierało się na śmiech.

- Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli - ciągnął Randolph - oddam ci wszystkie długi, a ślub odbędzie się w ciągu sześciu miesięcy. Masz na to moje słowo.

Elliott uśmiechnął się.

- Randolphie, ślub będzie albo go nie będzie, może rozwiąże nasze problemy, a może nie rozwiąże...

- Nie wolno ci tak mówić, przyjacielu.

- Ale ja muszę mieć te dwadzieścia tysięcy funtów przed powrotem Edith.

- Właśnie, Elliott, właśnie.

- Wiesz co, mógłbyś od czasu do czasu odmówić czegoś synowi.

Randolph głęboko westchnął. Elliott nie drażył tego tematu. Było tajemnicą poliszynela, że degrengolada Henry'ego już dawno przestała być zabawna. Nie miała bowiem nic wspólnego z szaleństwami młodości czy przechodzeniem przez kolejny ciężki okres. Henry'emu Stratfordowi od samego początku brakowało moralnego kręgosłupa. Randolph miał go w wystarczającym stopniu. Tak rodziła się tragedia. I Elliott, który sam przesadzał z miłością do Alexa, mógł tylko współczuć Randolphowi.

Kolejne zapewnienia; lawina obietnic. Dostaniesz swoje dwadzieścia tysięcy. Ale Elliott przestał

już słuchać. Wrócił do obserwowania tancerzy - swojego dobrego i miłego syna, Alexa, który szeptał coś namiętnie Julie. Na twarzy dziewczyny malował się wyraz determinacji, którą w sobie z dumą pielęgnowała, czego z kolei nigdy nie mógł pojąć Elliott.

Niektóre kobiety są piękne, dopiero gdy się uśmiechają. Inne stają się piękne, płacząc. Ale Julie lśniła prawdziwym blaskiem tylko wtedy, gdy była poważna - być może dlatego, że w innych sytuacjach jej oczy były zbyt łagodnie brązowe, usta zbyt niewinne, a porcelanowe policzki zbyt delikatne.

Płonąc determinacją, nabierała wizyjnego piękna. Alex zaś, mimo całego dobrego wychowania i wyznawanej namiętności, sprawiał na jej tle wrażenie zaledwie partnera: jednego z tysiąca eleganckich młodzieńców, którzy mogliby prowadzić ją w tańcu po marmurowej posadzce.

* * *

Grali *Walc porannych gazet*, który zawsze podobał się Julie. Wróciło blade wspomnienie tańca z ojcem do melodii *Walca*. Czy było to wtedy, kiedy pierwszy raz zainstalowali w domu gramofon i przetańczyli przez cały pokój egipski, do biblioteki i salonu - ona i ojciec - a przez saluzje wpadły promienie światła i mężczyzna powiedział:

- Ach, już dosyć, kochanie, wystarczy.

Teraz muzyka wywoływała senność i niejaki smutek. Alex ciągle mówił, na różne sposoby powtarzając, że ją kocha, a ona czuła popłoch, przestach przed wypowiedzeniem zimnych albo szorstkich słów.

- A jeśli zechcesz jechać do Egiptu - szeptał Alex - jechać i wykopywać z ojcem mumie, nie mam nic przeciwko temu, pojedziemy. Zaraz po ślubie. Jeśli zechcesz wziąć udział w marszu, by domagać się prawa głosu, będę szedł u twojego boku.

- Tak, tak - odparła Julie - teraz tak mówisz, i nawet wiem, że masz szczerze zamiary, ale ja po prostu nie jestem jeszcze gotowa. Nie mogę.

Nie mogła znieść tej śmiertelnej powagi na jego twarzy. Nie chciała go zranić. Gdyby była w nim choć kropla niczemności; odrobina zepsucia, jak we wszystkich innych. Urodzie Alexa przydałaby się szczypta podłości. Wysoki, szczupły, o brązowych włosach, zanadto przypominał jej anioła. Sywe spojrzenie ciemnych oczu z miejsca otwierało okno na całą jego duszę. Miał dwadzieścia pięć lat, był pełnym zapału i niewinnym chłopcem.

- Na co ci słońca sufrażystka? - pytała. - Albo badaczka? Wiesz dobrze, że gotowa jestem zostać uczoną. Nawet w tej chwili wolałabym być w Egipcie z ojcem.

- Pojedziemy, najukochańsza. Tylko najpierw za mnie wyjdź.

Pochylił się, jakby chciał ją pocałować. Ona odstepiła o krok, walc uniósł ich niepowstrzymaną falą tak, że przez chwilę poczuła zawrót głowy i przyływ czegoś w rodzaju miłości.

- Jak mam cię zdobyć, Julie? - szeptał. - Przyniosę ci z Egiptu Wielkie Piramidy.

- Alex, już dawno podbiłeś moje serce - odparła z uśmiechem. Ale chyba kłamała. Chwila kryła w sobie autentyczną grozę - uroczy, porywający rytm muzyki, ten wyraz rozpaczy na twarzy Alexa.

- Chodzi po prostu o to... Nie chcę wychodzić za mąż. Na razie. - A może nigdy.

Nie odpowiedział. Była zbyt szczerą, konkretną. Znała u niego ten nagły dreszcz. Nie był

niemięski, pasował do sentymentalistom. Zraniła go, i gdy uśmiechnął się ponownie, w tym jego uśmiechu były słodycz i odwaga, które jeszcze bardziej wzruszały i zasmucały.

- Ojciec wraca za kilka miesięcy, Alex. Wtedy porozmawiamy. O małżeństwie, przyszłości, prawach kobiet, zamężnych i niezamężnych, i możliwości, że zasługujesz na kogoś znacznie lepszego niż nowoczesna kobieta mojego pokroju, z którą w pierwszym roku związku osiwiejesz, po czym padniesz w ramiona staromodnej kochanki.

- Jak ty lubisz szokować - zauważył. - A ja lubię takie wstrząsy.

- Czy jesteś tego pewien, kochany?

Ni stąd, ni zowąd naprawdę ją pocałował. Stanęli na środku parkietu, podczas gdy inne pary wirowały dookoła, unoszone muzyką. Pocałował ją, a ona zupełnie mu uległa, jakby nieznanym zrzędzeniem losu musiała go pokochać; jakby musiała wyjść mu naprzeciw.

Nie miało znaczenia, że inni mogli na nich patrzeć. Nieważne, że drżały mu ręce, którymi ją obejmował.

Ważne było natomiast to, że chociaż strasznie go kochała, takie uczucie nie wystarczało.

* * *

Ochłodziło się. Dobiegały ich różne odgłosy: nadjeżdżających samochodów, ryku osła i wysoki, piskliwy śmiech kobiety, Amerykanki, która zjechała tu z Kairu natychmiast po usłyszeniu wieści.

Lawrence i Samir siedzieli na krzesłach przy starożytnym stole, na którym leżały rozłożone papirusy.

Starając się nie opierać całym ciężarem ciała na kruchym sprzęcie, Lawrence pośpieszenie spisywał tłumaczenia tekstów w swoim oprawnym w skórę dzienniku.

Od czasu do czasu zerkał przez ramię na mumię, wielkiego Króla, który do złudzenia przypominał kogoś zwyczajnie śpiącego. Ramzes Nieśmiertelny! Sama myśl o tym rozpaliała wyobraźnię. Lawrence wiedział, że przyjdzie mu pozostać w tej dziwnej komnacie do rana.

- Ale to musi być jakieś oszustwo - odezwał się Samir. - Ramzes Wielki, strzegący przez tysiąc lat królewskich rodów Egiptu. Kochanek Kleopatry?

- Tak, to ma jakiś większy sens! - odparł Lawrence. Odłożył na chwilę pióro i zapatrzył

się na papirusy. Ale bolały go oczy. - Tylko kobieta formatu Kleopatry mogłaby zmusić nieśmiertelnego do zamknięcia się w grobie.

Spojrzał na stojące przed nimi marmurowe popiersie. Z uczuciem pogładził biały, gładki policzek Kleopatry. Tak, Lawrence'owi mieściło się to w głowie. Kleopatra, ukochana Juliusza Cezara i Marka Antoniusza; Kleopatra, która odwlekała rzymski podbój Egiptu znacznie dłużej, niż wydawało się to możliwe; Kleopatra, ostatnia władczyni Egiptu w starożytności. Ale ta opowieść - trzeba brać się z powrotem za tłumaczenie...

Samir wstał i przeciągnął się niepewnie. Lawrence patrzył, jak tamten przysuwa się do mumii. Co robił? Przyglądał się bandażom spowijającym palce, pierścieniowi ze skarabeuszem, z daleka widocznemu na prawej ręce? Tak, to skarb z epoki dziewiętnastej dynastii, nie dało się temu zaprzeczyć, myślał Lawrence. Zamknął oczy i delikatnie pomasażował powieki, po czym otworzył je i spojrzał na leżący przed nim papirus.

- Mówię ci, Samir, ten jegomość mnie przekonuje. Taka znajomość języków jest olśniewająca. A filozoficzny światopogląd ma całkiem podobny do mojego. - Sięgnął po starszy dokument, który badał przedtem. - I chciałbym, żebyś się temu przyjrzał, Samirze. To ni mniej, ni więcej, jak tylko list od Kleopatry do Ramzesa.

- To fałszerstwo, Lawrence. Dowcip jakiegoś Rzymianina.

- Nie, przyjacielu, nic podobnego. Napisała ten list z Rzymu po zamachu na Cezara!

Pisała Ramzesowi, że wraca do niego i do Egiptu.

Odłożył pismo. W wolnych chwilach Samir będzie mógł na własne oczy przekonać się, co zawierają te dokumenty. Cały świat się przekona. Lawrence powrócił do papirusu.

- Tylko posłuchaj, Samirze - ostatnie myśli Ramzesa: „Nie sposób potępiać Rzymian za podbój Egiptu, ponieważ i tak w ostatecznym rozrachunku pokonał nas czas. Wszystkie cuda tego nowego, wspaniałego stulecia powinny pozwolić mi zapomnieć o bólu, lecz nie potrafię ukoić swego serca; tak więc dusza cierpi, zamyka się niczym kwiat pozbawiony słońca”.

Samir nie mógł oderwać spojrzenia od mumii i pierścienia.

- Kolejna wzmianka o słońcu. Ciągłe to słońce. - Zwrócił się do Lawrence'a. - Ale ty chyba w to nie wierzysz...!

- Samir, skoro możesz wierzyć w klątwę, czemu nie dasz wiary istnieniu nieśmiertelnego człowieka?

- Drażnisz się ze mną, Lawrence. Widziałem w Syrii wiele klątw i ich skutków. Ale nieśmiertelny, który mieszkał w Atenach za Peryklesa, w Rzymie za Cezara i Kartaginie za rządów Hannibala? Który uczył Kleopatry dziejów Egiptu? Nigdy o kimś takim nie słyszałem.

- Posłuchaj dalej: „Jej piękność na zawsze pozostanie w mych myślach; razem z odwagą i swawolnością; jej namiętnością Śycia, która zdawała mi się nadludzka, będąc przeciwieństwem tak bardzo ludzką”.

Samir nie reagował. Wbił wzrok w mumię, jak gdyby nie mógł się powstrzymać.

Lawrence doskonale to rozumiał, dlatego też usiadł tyłem do mumii, chcąc skupić się na sprawie najistotniejszej, czyli lekturze papirusu.

- Lawrence, nasza mumia jest tak samo martwa jak wszystkie inne znane mi z kairskiego muzeum. Ten człowiek namiętnie lubił opowiadać. Ale pierścienie na jego palcach...

- Tak, przyjacielu. Już mu się uważnie przyjrzałem; to nic innego jak kartusz Ramzesa Wielkiego. Tak więc mamy do czynienia nie tylko z gawędziarzem, ale na dodatek ze zbieraczem starożytności. Czy o tym chciałeś mnie przekonać?

A jakiego zdania był Lawrence? Usadowił się na płóciennym, obozowym krześle i ogarnął spojrzeniem zawartość dziwnego pomieszczenia. Po chwili wrócił do tłumaczenia zwoju.

- „Tak też zamykam się w tej komnacie i moja biblioteka staje się moim grobowcem.

Służba namaści me ciało i owinie je delikatną tkaniną pogrzebową, jak nakazywał obyczaj w mych dawno zapomnianych czasach. Lecz niechaj nie tknie mnie niczyj nóż. Śaden balsamista nie wyjmie z mojego nieśmiertelnego ciała serca i mózgu”.

Lawrence znalazł się nagle w stanie jakiejś euforii; a może lepszym określeniem byłby tu sen na jawie? Ten głos zdawał mu się tak rzeczywisty; czuł kryjącą się w nim osobowość, co nigdy nie zdarzało mu się przy zetknięciu ze starożytnymi Egipcjanami. Ale w końcu miał do czynienia z nieśmiertelnym...

* * *

Elliott był coraz bardziej pijany, ale nikt nie zdawał sobie z tego sprawy. Z wyjątkiem niego samego, opierającego się o złoconą balustradę półpiętra w swobodnej pozie, której prawie nigdy nie przyjmował. Nawet drobne gesty wykonywał zawsze ze smakiem, który teraz lekkomyślnie gwałcił, boleśnie świadomy, że nikt nie zwróci uwagi; nikogo to nie obrazi.

Co za świat, złoony niemal wyłącznie z niuansów. Okropność. A musi myśleć o tym małżeństwie, musi o nim mówić, musi jakoś zareagować na smętną minę syna, najwyraźniej odprawionego z kwitkiem, który widząc, jak Julie tańczy z innym, wszedł na marmurowe schody.

- Proszę cię o zaufanie - powiedział Randolph. - Gwarantuję ci to małżeństwo. Potrzeba tylko trochę czasu.

- Nie sądzisz chyba, że naleganie sprawia mi przyjemność - odparł Elliott. Płatał mu się język. Był pijany w sztok.

- O wiele lepiej żyje mi się w świecie marzeń, gdzie pieniądze po prostu nie istnieją.

Szkopuł jednak w tym, że Saden z nas nie może pozwolić sobie na taki luksus. To małżeństwo jest w naszym położeniu niezbędne.

- W takim razie sam pojedę do Lawrence'a.

Elliott odwrócił się i zobaczył stojącego nieopodal niczym uczeń syna, czekającego na znak, że dorośli go dostrzegli.

- Ojczy, jestem niepokieszony - zaczął Alex.

- A powinieneś być przede wszystkim odważny, młody człowieku - zareplikował ze złością Randolph. - Chcesz przez to powiedzieć, że znowu spotkała cię odmowa?

Alex wziął od przechodzącego kelnera kieliszek szampana.

- Kocha. Nie kocha. Ale nie da się zaprzeczyć, że po prostu nie mogę bez niej żyć. Ona doprowadza mnie do szaleństwa.

- To oczywiste - roześmiał się Elliott. - Popatrz tylko. Tamten niezgrabiasz na parkiecie depta jej po palcach. Z pewnością byłaby ci wielce zobowiązana, gdybyś natychmiast pospieszył z odsieczą.

Alex pokiwał głową, nie zwracając większej uwagi na ojca, który wziął od niego wypełniony do połowy kieliszek i wypił szampana. Młodzieniec wyprostował się i skierował na parkiet. Chodzący ideal.

- Najdziwniejsze jest to - wyszeptał Randolph - że ona go kocha. Od samego początku.

- To prawda, ale jest podobna do ojca. Ceni swoją wolność. I, między nami mówiąc, nie mam jej tego za złe. Ona w pewnym sensie przerasta Alexa, ale on by ją uszczęśliwił. Jestem o tym przekonany.

- To oczywiste.

- Ona też uczyniłaby go najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Co być może nie uda się nikomu innemu.

- Nonsens - odparł Randolph. - Każda młoda kobieta w Londynie oddałaby wszystko, by tylko móc dać Alexowi szczęście. To w końcu osiemnasty earl Rutherford?

- Czy to naprawdę ma aż takie znaczenie? Tytuły, pieniądze, utrzymywanie w nieskończoność naszego ozdobnego i nużącego świata? - Elliott omiótł wzrokiem salę balową.

Pod wpływem alkoholu osiągnął ten groźny stan jasności, w którym wszystko zaczynało drżeć, kiedy faktura marmuru nabierała znaczenia, kiedy stać było człowieka na wygłaszanie największych błędów.

- Czasami zastanawiam się, czy nie powinienem siedzieć z Lawrence'em w Egipcie. I czy Alex powinien kupić swymi ukochanymi tytułami.

Widział ten popłoch w oczach Randolpha. Dobry Boże, jaką wagę mają tytuły dla tych księży handlu, którzy osiągnęli wszystko prócz nich? Nie chodziło mu przecież o sytuację, że Alex zdobędzie kiedyś władzę nad Julie, a tym samym nad milionami Stratfordów. Wiadomo, że samym Alexem będzie znacznie łatwiej sterować niż Julie. Chodziło o perspektywę prawdziwego szlachectwa, kuzynów i kuzynek przechadzających się po starej posiadłości Rutherfordów w Yorkshire, perspektywę, że ten śłośny Henry Stratford będzie na wszystkie znane sobie sposoby pysznił się tym pokrewieństwem.

- Jeszcze nie przegraliśmy, Elliott - odezwał się Randolph - A mnie jakoś dziwnie podoba się ten twój ozdobny jenuścy świętek. Bo co tak naprawdę jeszcze liczy się w tym śyciu?

Elliott uśmiechnął się. Jeszcze łyk szampana i będzie musiał oznajmić Randolphowi, co takiego jeszcze się liczy. Może nawet...

* * *

- Kocham was, eleganckich Anglików - oznajmiła mu Malenka. Pocałowała go, pomogła założyć krawat; od miękkiego dotyku jej palców na brodzie podnosiły mu się włoski na karku.

Jakimi uroczymi idiotkami są kobiety, pomyślał Henry Stratford. Ale ta Egipcjanka sprawiała mu większą przyjemność niż inne. Była ciemnoskórą tancerką - cichą i bujną pięknoscia, z którą mógł robić, co mu tylko przyszło do głowy. Na taką swobodę nie można było sobie pozwolić z ładną angielską kurwą.

Wyobrażał sobie, że któregoś dnia zamieszka gdzieś na Wschodzie z tego typu kobietą -

wolny od wszystkich brytyjskich konwenansów. A wszystko po zrobieniu majątku przy stołach do gry - po jednym wielkim zwycięstwie, kiedy świat nie będzie go już w stanie osiągnąć.

Na razie czekała go praca. Tłum wokół grobowca od wczorajszego wieczora powiększył

się dwukrotnie. Cała sztuka polegała teraz na tym, by dotrzeć do wuja Lawrence'a, zanim porwą go ludzie z muzeum i władze, dopaść go w chwili, gdy zechce zgodzić się na wszystko, byle tylko zostawić go w spokoju.

- Idź, najdroższa. - Znowu pocałował Malenkę i patrzył, jak otula się ciemną peleryną i biegnie do czekającego samochodu. Jaka ona była wdzięczna za te drobne luksusy z Zachodu.

Tak, właśnie taka kobieta. A nie Daisy, jego londyńska kochanka, istota zepsuta i wymagająca, która mimo wszystko go podniecała, być może właśnie dlatego, że tak trudno ją było zadowolić.

Wypił ostatni łyk scotcha, wziął skórzaną teczkę i wyszedł z namiotu.

Ścisk był nieznośny. Całą noc budził go warkot i pisk automobili, rozgorączkowane głosy. Teraz na

dodatek wzmagał się upał i już czuł w butach piasek.

Jak on nie cierpiał Egiptu! Nienawidził obozów na pustyni, śmierdzących Arabów na wielbłądach i leniwej, brudnej służby.

Był jeszcze ten Samir, bezczelny, irytujący asystent, który uzurpował sobie pozycję społeczną równą Lawrence'owi. Teraz uciszał nieznośnych dziennikarzy. Czy to naprawdę grobowiec Ramzesa II? Czy Lawrence zgodziłby się udzielić wywiadu?

Henry miał to gdzieś. Przepchał się przez grupkę męszczyzn, którzy pilnowali wejścia do grobu.

- Przepraszam, panie Stratford - zawołał za nim Samir, któremu po piętach deptała jakaś dziennikarka. - Proszę nie niepokoić teraz wuja - dodał, zbliżając się do Henry'ego. - Niech nacieszy się znaleziskiem.

- Mam gdzieś jego znalezisko.

Wbił wzrok w stojącego mu na drodze strażnika. Ten odsunął się. Samir odwrócił się, żeby powstrzymać dziennikarzy. Pytali, kto wchodzi do środka.

- To sprawa rodzinna - zbył chłodno dziennikarkę, która usiłowała wślizgnąć się za nim.

Strażnik zastąpił jej drogę.

* * *

Zostało tak mało czasu. Lawrence przestał pisać, wytarł czoło, ostrośnie złośliwie

chusteczkę i zrobił kolejną notkę.

Genialny pomysł ukrycia eliksiru w gąszczu trucizn. Gdzieś jest bezpieczniejsze miejsce dla napoju, który daje nieśmiertelność, niż wśród płynów przynoszących śmierć? I pomyśleć, że to trucizny Kleopatry - które wypróbowała, nim uśmierciła się jadem Śmi.

Urwał i znów otarł czoło. Już tak gorąco. A za parę krótkich godzin dopadną go i zaśladają, by udostępnić grobowiec urzędnikom muzealnym. Ach, gdyby tylko dokonał tego odkrycia bez udziału muzeum. Sam Bóg wie, że nie byli mu potrzebni. A teraz odbiorą mu całą inicjatywę.

Smuśki słońca przedostawały się przez szczeliny między drzwiami a surowo wyciosaną futryną. Padły na stojący przed męszczyzną, alabastrowy słój i Lawrence odniósł wrażenie, że coś słyszy, jak gdyby nikły szept.

Odwrócił się i popatrzył na mumię, na jej wyraźne rysy, dokładnie owinięte tkaniną.

Męszczyzna podający się za Ramzesa był wysoki, być może nawet mocno zbudowany.

I wcale nie był starcem, jak ten leżący w kairskim muzeum. Ale przecież ten Ramzes utrzymywał, że

nigdy się nie zestarzał. Tylko spał, okutany w te bandaŃe. Nic nie było w staniego zabić, nawet znajdujące się w tej komnacie trucizny, których obficie próbował, na krawędzi szaleństwa po śmierci Kleopatry. Słudzy, zgodnie z jego poleceniami, owinęli nieprzytomne ciało, złoŃyli Ńywego w trumnie, którą sam dla siebie zamówił, dopilnowując kaŃdego szczegółu.

Później zamknęli grobowiec odrzwiami, na których własnoręcznie sporządził napis.

Ale co sprawiło, Ńe stracił przytomność? Tu zaczynał się obszar tajemnicy. Co za frapująca opowieść. A jeśli...?

Zapatrzył się na zasepioną postać w poŃólkłych tkaninach. Czy naprawdę wierzył, Ńe w Ńrodku tli się jakieŃ Ńycie? CoŃ, co potrafi mówić i poruszać się?

UŃmiechnął się na tę myśl.

Zwrócił się w stronę słoŃów na stole. Od słońca w niewielkim pomieszczeniu robiło się gorąco jak w piekle. Wziął chusteczkę i ostroŃnie uniósł wieczko pierwszego słoŃa. Zapach gorzkich migdałów. CoŃ równie groźnego jak cyjanek.

A nieŃmiertelny Ramzes twierdził, Ńe zaŃył połowę zawartoŃci słoika, chcąc połoŃyc kres swemu przeklętemu Ńyciu.

A gdyby pod tym całunem Ńyła jakaŃ nieŃmiertelna istota?

Znowu rozległ się ten odgłos. Co to takiego? Nie szelest... Nie, to nie było takie wyraźne.

Raczej odgłos wdechu.

Znów rzucił okiem na mumię. Padały na nią długie, piękne promienie słońca, w których widać było unoszący się kurz - takiego samego słońca, jakie Ńwieci przez koŃcielne witraŃe lub wśród konarów starych dębów na cienistych leŃnych polanach.

Wydawało mu się, Ńe znad staroŃytnej postaci unosi się pył: bladozłota mgiełka ruchliwych drobin. Ach, jaki był zmęczony!

Co więcej, mumia nie wyglądała juŃ na bardzo pomarszczoną, zaczynała wręcz nabierać konturów człowieka.

- Jaki ty naprawdę byleŃ, staroŃytny przyjacielu? - zapytał cicho Lawrence. - Szalony?

Oszukany? A moŃe jesteŃ tym, za kogo się podajesz - Ramzesem Wielkim?

Na te słowa przebiegł go dreszcz, coŃ, co Francuzi nazywają *frisson*. Wstał i podszedł do mumii.

Ta była dosłownie skąpana w blasku słońca. Lawrence po raz pierwszy zauwaŃył pod bandaŃami zarys brwi; na twarzy malował się jakby wyraz twardej determinacji.

Lawrence uśmiechnął się. Przemówił po łacinie, starannie składając zdania.

- Wiesz, jak długo leżałeś pograżony we śnie, faraonie? Ty, który twierdziłeś, że przeżyłeś tysiąc lat?

Czy kaleczył starożytny język? Tyle już lat poświęcił na tłumaczenie hieroglifów, że nie używana mowa Cezara pokryła się kurzem.

- Od momentu, gdy zamknąłeś się w tej komnacie, Ramzesie, upłynęło dwakroć tyle czasu; odkąd Kleopatra położyła na swym łonie jadowitą śmieję.

Milcząc, wpatrywał się w starożytną postać. Czy ktokolwiek nie odczuwał przy zetknięciu z mumią głębokiego, zimnego lęku przed śmiercią? Można było nawet uwierzyć, że gdzieś tam tli się jeszcze iskra życia, że w całunach tkwi uwięziona dusza, którą można by uwolnić tylko po zniszczeniu materialnej formy.

Odruchowo przeszedł na angielski.

- Ach, gdybyś był naprawdę nieśmiertelny. Gdyby twój wzrok mógł spocząć na dzisiejszym świecie. I gdybym ja nie musiał czekać na pozwolenie, żeby zdjąć te nieszczęsne bandaży i popatrzeć na... twoją twarz!

Ta twarz. Czy zaszła w niej jakaś zmiana? Nie, wszystko przez blask słoneczny, bo jakże by inaczej? Chociaż twarz jakby się zaokrągliła. Lawrence z ociąganiem wysunął ku niej rękę, która zawisła jednak w bezruchu. Znowu przemówił po łacinie.

- Jest rok 1914, wielki królu. A imię Ramzesa Wielkiego nadal zna cały świat, tak samo jak imię twojej ostatniej królowej.

Znienacka zza pleców dobiegł go głos Henry'ego.

- Rozmawiasz z Ramzesem Wielkim po łacinie, wuju? Być może klątwa zaczęła już działać na twój mózg.

- On z pewnością zna łacinę - odparł Lawrence, nie odrywając spojrzenia od mumii. -

Prawda, Ramzesie? I grekę. Perski, etruski i wszystkie zapomniane języki. Kto wie? Można było, że znałeś języki barbarzyńców z północy, którzy przed wiekami stali się naszymi przodkami. -

Znowu przeszedł na łacinę. - Ileż na świecie dzisiaj cudów, faraonie. Mogłbym ci tyle pokazać...

- Wątpię, żeby cię słyszał, wuju - odezwał się chłodno Henry. Rozległ się cichy brzęk szkła trącanego o szkło.

- Przynajmniej mam taką nadzieję.

Lawrence gwałtownie się obrócił. Henry, stojąc z teczką pod lewą pachą, trzymał w prawej ręce wieczko słoika.

- Nie dotykaj! - warknął Lawrence. - To trucizna, kretynie. Wszystkie są wypełnione trucizną. Starczyłaby szczypta, żebyśmy mieli dwa trupy. Przy założeniu, że on jest trupem. -

Gniew ogarniał go na sam widok bratanka. I to w takiej chwili...

Odwrócił się z powrotem ku mumii. Teraz już i ręce wydawały się jakby pełniejsze. A jeden z pierścieni omal nie rozdarł tkaniny. Pomyśleć, że jeszcze kilka godzin temu...

- Trucizny? - powtórzył Henry.

- To prawdziwe laboratorium trucizn - podjął Lawrence. - Tych samych, które Kleopatra wypróbowała przed śmiercią na swoich nieszczęsnych niewolnikach! - Ale po co strzępić język dla Henry'ego?

- Niewiarygodne - zareplikował bratanek. Cynicznie, sarkastycznie. - A mnie się wydawało, że ukąsiła ją śmija.

- Jesteś durniem, Henry. Na historii znasz się gorzej niż arabski poganiacz wielbłądów.

Kleopatra wypróbowała setkę trucizn, zanim zdecydowała się na węsa.

Patrzył krytycznym wzrokiem, jak bratanek dotyka marmurowego popiersia Kleopatry, niezgrabnie pocierając jej policzki, oczy.

- Tak czy owak wyobrażam sobie, że to jest warte niezłą fortunę. I te monety. Nie masz chyba zamiaru oddać ich British Museum?

Lawrence usiadł na krześle. Umoczył pióro w atramencie. W którym miejscu skończył

tłumaczenie? W takich warunkach trudno się skupić.

- Myślisz tylko o pieniądzach? - spytał chłodno. - A czy usłysześ ich kiedykolwiek do czegoś poza marnowaniem ich na hazard? - Uniósł oczy. Kiedy w tej przystojnej twarzy zgasł

młodzińczy ogień? Kiedy stwardniała i postarzała się od bezczelności, tak że stała się tak śmiertelnie tępa?

- Im więcej ci daję, tym więcej przegrywasz. Wracaj, na miłość boską, do domu. Wracaj do Londynu, kochanki i kolegów z kabaretu. Tylko niech cię nie oglądam.

Z zewnątrz dobiegł ich hałas - strzał gaźnika kolejnego auta, które gramoliło się po piaszczystej drodze. Nagle w środku znalazł się ciemnoskóry sługa w brudnym ubraniu, niosący na tacy śniadanie. Za nim szedł Samir.

- Nie będę ich już w stanie długo powstrzymać, Lawrence - oznajmił. Dyskretnym, pełnym wdzięku gestem nakazał słuŝącemu, Ŝeby postawił tacę na krawędzi przenośnego stolika.

- Są tu teŜ ludzie z brytyjskiej ambasady. I wszyscy dziennikarze z redakcji gazet od Aleksandrii do Kairu. Obawiam się, Ŝe zrobił się z tego niezły cyrk.

Lawrence wpatrywał się w srebrne talerze, porcelanowe filiŝanki. Teraz pragnął tylko zostać sam na sam ze swoimi skarbami.

- Po prostu nie wpuszczaj ich tak długo, jak to tylko moŝliwe, Samirze. Daj mi jeszcze kilka godzin. Działy się tutaj takie smutne, takie wzruszające rzeczy.

- Zrobię, co będę mógł. Ale przede wszystkim zjedz śniadanie, Lawrence. Jesteś wyczerpany. Potrzebne ci poŝywienie i wypoczynek.

- Samir, ja nigdy nie czułem się lepiej. Trzymaj ich z dala od tego miejsca do południa.

Aha, i zabierz ze sobą Henry'ego. Henry, idź z Samirem. On już dopilnuje, Ŝebyś dostał śniadanie.

- Tak jest, proszę ze mną, proszę pana - powiedział pospiesznie Samir.

- Muszę porozmawiać w cztery oczy z wujem.

Lawrence spojrzał na swój notatnik. Obok leŝał rozwinięty zwój. Tak, król opowiadał o swym Ŝalu już po wszystkim, po tym, jak zamknął się w tej tajemnej komnacie daleko od mauzoleum Kleopatry w Aleksandrii, od Doliny Królów.

- Wuju - zaczął lodowatym tonem Henry - z radością wrócę do Londynu, gdybyś tylko zechciał poświęcić chwilę na podpisanie...

Lawrence nie miał zamiaru odrywać wzroku od papiirusu. Moŝe znajdzie jakieś wskazówki na temat połoŝenia staroŝytnego mauzoleum Kleopatry.

- Ile razy mam ci powtarzać? - zamruczał obojętnie. - Nie będę podpisywał Ŝadnych dokumentów. Weź tę swoją teczkę i niech nie widzą cię moje oczy.

- Wuju, earl prosi o odpowiedź w sprawie Julie i Alexa. Nie będzie czekał wiecznie. Co do podpisów, chodzi zaledwie o kilka akcji...

Earl... Alex i Julie... Co za potwór.

- O Boŝe, w takiej chwili!

- Wuju, Ziemia nie przestała się kręcić ze względu na twoje odkrycie. - Co za jad w tym tonie. - A akcje trzeba upłynnić.

Lawrence odłóŜył pióro.

- Nieprawda - odpalił, mierząc Henry'ego chłodnym wzrokiem. - A sprawa ślubu moŜe czekać w nieskończoność.

Albo do chwili, gdy Julie sama się zdecyduje. Wracaj do domu i przekaŜ to mojemu przyjacielowi, earlowi Rutherford! A ojcu powiedz, Ŝe nie mam zamiaru sprzedawać rodzinnych akcji. Teraz daj mi spokój.

Henry stał w miejscu. Niespokojnie poprawił teczkę i z coraz większym napięciem wpatrywał się w wuja.

- Wuju, ty nie zdajesz sobie sprawy...

- Pozwól, Ŝe powiem, z czego zdaję sobie sprawę. Przegrałeś fortunę, a ojciec gotów jest na wszystko, byle tylko spłacić twoje długi. Nawet Kleopatra i jej pijany kochanek, Marek Antoniusz, nie byliby w stanie przepuścić majątku, który przeszedł przez twoje ręce. A tak w ogóle na co Julie potrzebny tytuł Rutherfordów? Cała rzecz sprowadza się do tego, Ŝe Alexowi potrzebne są miliony Stratfordów. Alex to Ŝebrak z tytułem tym samym co Elliott. Niech Bóg wybaczy mi te słowa. Oto i cała prawda.

- Wuju, za pomocą swojego tytułu Alex byłby w stanie kupić kaŜdą dziedziczkę w Londynie.

- To na co jeszcze czeka?

- Jedno słowo z twoich ust i Julie podejmie decyzję...

- A Elliott okaŜe ci wdzięczność za organizowanie wszystkiego, tak? Mając do dyspozycji pieniądze mojej córki, będzie mógł sobie pozwolić na hojność.

Twarz Henry'ego zbieleła ze złości.

- Dlaczego tak zaleŜy ci na tym związku? - zapytał z goryczą Lawrence. - Upokarzasz się, bo potrzeba ci pieniędzy...

Zdawało mu się, Ŝe wargi bratanka układają się w przekleństwo.

Odwrócił się w stronę mumii, usiłując o tym wszystkim zapomnieć - macki londyńskiego Ŝycia, które usiłowały dosięgnąć go tutaj, dokąd przed nimi uciekł.

Teraz juŜ cała postać jakby urosła! Widać było wyraźnie cały pierścień, jakby obrastający ciałem palec całkowicie rozdarł bandaŜe. Lawrence wyobraził sobie, Ŝe dostrzega kolor zdrowego ciała.

- Odchodzisz od zmysłów - wyszeptał. I znowu dobiegł go ten odgłos. Usiłował wyteŜyc słuch, ale skupiając się, wyraźniej słyszał cały zgiełk na zewnątrz. PrzybliŜył się do ciała w trumnie. Dobry BoŜe, czy na głowie pod całunem widział włosy?

- Bardzo mi ciebie Źal, Henry - szepnął nagle - Źe nie potrafisz zasmakować takiego odkrycia. Ten staroŹytny król, tajemnica. - Kto powiedział, Źe nie wolno dotykać szczątków?

Tylko odsunie trochę przegniłe płótno.

Wziął scyzoryk i niepewnie go uniósł. MoŹliwe, Źe dwadzieścia lat temu przeciąłby wszystko bez wahania. Nie kręciliby się wtedy przy nim Źadni funkcjonariusze władz. Mógłby przekonać się naocznie, czy pod tym kurzem...

- Na twoim miejscu bym tego nie robił, wuju - wtrącił się Henry. - Ludzie z londyńskiego muzeum rozpętają piekło.

- Kazałem ci się stąd zabierać.

Usłyszał, Źe Henry nalewa filiŹankę kawy, jak gdyby nigdzie mu się nie spieszyło.

Aromat wypełnił duszne, niewielkie pomieszczenie.

Lawrence opadł na obozowe krzesło i znowu przyłoŹył do czoła chusteczkę. Dwadzieścia cztery godziny bez zmrŹenia oka. Chyba potrzebny mu odpoczynek.

- Napij się kawy, wuju - zachęcił go Henry. - Nalałem jej dla ciebie. - Rzeczywiście, stała przed nim pełna filiŹanka. - Czekają na ciebie na zewnątrz. A ty jesteś wykończony.

- Ty idioto - wyszeptał Lawrence. - Po co tu jeszcze tkwisz?

Henry postawił filiŹankę tuŹ obok notatnika.

- UwaŹaj, ten papirus jest bezcenny.

Perspektywa wypicia kawy brzmiała zachęcająco, nawet mimo tego, Źe przygotował ją Henry. Uniósł filiŹankę, wypił duŹy łyk i zamknął oczy.

Co zobaczył, odstawiając filiŹankę? Mumia poruszyła się w słońcu? NiemoŹliwe.

Niespodziewane pieczenie w krtani przyćmiło wszystkie inne wraŹenia. Czuł się tak, jakby zwierąo mu się gardło! Nie był w stanie zaczerpnąć tchu ani wydusić z siebie słowa.

Próbował wstać; wpił wzrok w Henry'ego; i nagle doleciał go zapach ze stojącej przed nim filiŹanki. Gorzkie migdały. Trucizna. FiliŹanka spadała; usłyszał niewyraźny odgłos tękającej się na kamiennej podłodze filiŹanki.

- Na miłość boską! Ty gadzie! - Padał; z rękami wyciągniętymi do bratanka, który stał z ponuro Źciągniętą, bladą twarzą i przypatrywał się chłodno, jakby nie działa się Źadna katastrofa, jakby w ogóle nie umierał.

Ciałem Lawrence'a wstrząsnęły konwulsje. Odwrócił się gwałtownie. Ostatnim obrazem, jaki dotarł

do niego, był widok mumii w oślepiającym blasku słońca, potem poczuł już tylko szorstką podłogę pod rozpaloną skórą twarzy.

* * *

Henry Stratford stał przez dłuższą chwilę w bezruchu. Wpatrywał się w zwłoki wuja, jakby nie do końca wierzył własnym oczom. To było dzieło kogoś innego. To ktoś inny przedarł

się przez gruby kokon jego bezsilnej złości i wprowadził ten okropny zamiar w czyn. Ktoś inny włożył srebrną łyżeczkę do słoja ze starożytną trucizną i zanurzył tę samą łyżeczkę w filiżance kawy dla Lawrence'a.

W zalanej słonecznym światłem, pełnej kurzu komnacie panował zupełny bezruch.

Najmniejsze cząsteczki powietrza sprawiały wrażenie zawieszonych w słonecznym blasku.

Rozlegał się tylko nieznaczny dźwięk, coś jak niepewne bicie serca.

Złudzenia. Należało doprowadzić dzieło do końca. Powstrzymać drżenie dłoni i nie dopuścić, żeby wzbierający w gardle krzyk wydostał się na zewnątrz. Bo z całą pewnością czuł

go - ten wrzask, który po uwolnieniu nie dałby zamknąć się z powrotem we wnętrzu.

Zabiłem go. Otrułem.

Ta wielka, obrzydliwa i niewzruszona przeszkoda została usunięta z mojej drogi.

Nachyl się, wyciecz puls. Tak, on nie żyje. Zupełnie nie żyje.

Henry wyprostował się, opanowując nagłą falę mdłości i pospiesznie wyjął z teczki kilka dokumentów. Zanurzył pióro wuja w atramencie, sprawnie i elegancko wypisał słowa:

„Lawrence Stratford”, jak zdarzało mu się już robić na kilku mniej istotnych papierach.

Ręka strasznie mu się trzęsła, ale to w sumie może mu wyjść tylko na dobre. Bo wuj cierpiał na dokładnie taką samą drżączkę. Dzięki temu charakter pisma wypadł jeszcze lepiej.

Odłożył pióro, zamknął oczy i próbował się uspokoić, skupiając się na jednej tylko myśli: gotowe.

Opanowały go nagle najdziwaczniejsze myśli: może to odwrócić. może cofnąć wskazówki zegara i wuj ożyje. To przecie całkiem niemożliwe! Trucizna... kawa... trup Lawrence'a.

I wtedy wróciło wspomnienie, ciche, czyste i bardzo w tej chwili pośladane, wspomnienie pewnej chwili sprzed dwudziestu jeden lat, gdy urodziła się kuzynka Julie. Siedział w salonie razem z wujkiem. Z wujem Lawrence'em, którego kochał bardziej niż własnego ojca.

- Ale zapamiętaj sobie, że zawsze będziesz dla mnie bratankiem, ukochanym bratankiem...

BoŜe, czy odchodzi od zmysłów? Przez chwilę zapomniał nawet, gdzie jest. Mógłby przysiąc, Őe w tej komnacie jest ktoŝ jeszcze. Ale kto?

Ta mumia. Tylko na nią nie patrz. Jest jak ŝwiadek. Zajmij się konkretami.

Dokumenty podpisane, moŜna sprzedać akcje, więc Julie ma jeszcze więcej powodów, by wyjść za tego półgłówka, Alexa Savarella. A jego ojciec powinien przejąć całkowitą kontrolę nad Stratford Shipping.

Racja, racja. Ale co teraz? Znowu rzucił okiem na stół. Wszystko w nienaruszonym stanie. I te sześć lśniących monet Kleopatry. Tak, weź sobie jedną. Szybko wsunął ją do kieszeni.

Na twarzy pojawił się lekki rumieniec. Na pewno warta jest majątek. MoŜna ukryć ją w papieroŝnicy. Nie będzie kłopotów z przemyceniem. Dobrze.

Teraz trzeba wynieść się stąd jak najszybciej. Nie, to szczyt bezmyŝności. Nie moŜna opanować bicia serca. Trzeba krzycheć, zawołać Samira; to odpowiedni krok w takich okolicznościach. Lawrence'owi przytrafiło się coŝ okropnego, zawał, atak serca, ktoŝ to moŜe wiedzieć! A w tej klitce jest gorąco jak w piecu. Trzeba wezwać lekarza.

- Samir! - zawołał, wytrzeszczając oczy jak aktor, którego ogląda się na porannym seansie w kinie, chcący okazać, Őe jest wstrząŝnięty. Znowu spojrział prosto na tego ponurego, obrzydliwego trupa w płóciennej tkaninie. Czy odwzajemnia mu spojrzenie? Czy skryte pod bandaŜami oczy są otwarte? Absurd! A jednak to złudzenie wywołało w nim uczucie gwałtownego popłochu, który dodał następnemu krzykowi odpowiedniego dramatyzmu.

Urządник skrycie czytał ostatnie wydanie „London Herald”, złoŝonego i starannie ukrytego pod ciemno politurowanym biurkiem. W biurze panowała cisza, bo trwało posiedzenie rady, z sąsiedniego pomieszczenia dobiegało tylko niegłoŝne postukiwanie maszyny do pisania.

Klątwa mumii zabija magnata Stratford Shipping.

Ramzes Przekłęty niszczy wszystkich,

którzy śmia zakłócić jego spokój.

Tragedia błyskawicznie opanowała wyobraźnię publiczności. Gdzie się obejrzeć, wszędzie nagłówki na pierwszych stronach. A jak koloryzowały popularne gazety, pozwalając sobie na drukowanie pospiesznie naszkicowanych rysunków piramid i wielbłądów, mumii w drewnianej trumnie i nieszczęsnego pana Stratforda, leŝącego u jej stóp!

Biedny pan Stratford, u którego tak dobrze się pracowało; teraz wszyscy będą pamiętać go ze względu na tę okropną śmierć.

Gdy wrzawa nieco juŝ przycichła, oŝywienie wniósł dalszy rozwój wypadków.

Dziedziczka nie boi się klątwy mumii.

Czy Ramzes Przekłęty nawiedzi Londyn?

Urządnik dyskretnie przewrócił stronę, znów składając ją do rozmiarów kolumny. Aŝ

trudno uwierzyć, ŝe panna Stratford sprowadza wszystkie te skarby i będzie pokazywać je publicznie we własnym domu w Mayfair. Chociaŝ postępowała dokładnie tak, jak ojciec.

Urządnik łudził się, ŝe zostanie zaproszony na przyjęcie, chociaŝ nie miał na to najmniejszych szans, nawet jako pracownik Stratford Shipping od trzydziestu lat.

Pomyśleć tylko, popiersie Kleopatry, jedyny wizerunek, którego autentyczność została potwierdzona. I ŝwieŝo wybite monety z jej profilem i imieniem. Bardzo chciał ujrzeć to wszystko w bibliotece pana Stratforda. Cóż, będzie musiał poczekać do czasu przejęcia kolekcji przez British Museum, które udostępnia zbiory i lordom, i pospólstwu.

A mógłby pannie Stratford to i owo powiedzieć, gdyby nadarzyła się sposobność, powiedzieć o rzeczach, które być moŝe chciałby przekazać jej pan Lawrence.

Na przykład, ŝe Henry’ego Stratforda juŝ od ponad roku nie widywano za biurkiem, a przecieŝ mimo to nadal pobierał pensję i wszystkie dodatki; i ŝe pan Randolph Stratford wystawiał synowi czeki ze ŝrodków firmy, po czym fałszował księgi.

Z drugiej strony może ta młoda kobieta sama się o wszystkim dowie. W testamencie ojciec pozostawił jej pełną kontrolę nad firmą. I właśnie dlatego znalazła się na sali narad w towarzystwie swojego przystojnego narzeczonego, Alexa Savarella, wicehrabiego Summerfield.

* * *

Randolph nie mógł znieść widoku takiego płaczu. Czuł się podle, wciskając jej do podpisu jakieś dokumenty. W śmiechu sprawiała wrażenie tak kruchej; twarz miała ściągniętą i drżącą niczym w gorączce; w jej oczach widział to samo światło, które ujrzał po raz pierwszy, gdy mówiła mu o śmierci ojca.

Pozostali członkowie rady siedzieli zaszepceni i milczący, ze spuszczonego wzrokiem. Alex delikatnie trzymał ją pod rękę. Sprawiał wrażenie lekko zdezorientowanego, jak gdyby naprawdę nie pojmował śmierci. Tak bardzo pragnął oszczędzić jej cierpienia. Prosta dusza. Zupełnie nie pasował do tych kupców i ludzi interesu; porcelanowy arystokrata w towarzystwie dziedziczki majątku.

Czemu musimy przez to przechodzić? Dlaczego nie możemy zostać sami ze swym bólem?

Ale Randolph robił to, bo musiał, mimo że całe posiedzenie jeszcze nigdy nie wydawało się takie bezsensowne. Jego miłość do syna jeszcze nigdy nie została poddana tak bolesnej próbie.

- Po prostu nie jestem jeszcze w stanie podejmować śmięlnych decyzji, wuju - oznajmiła uprzejmie.

- To naturalne, kochanie - odparł. - I nikt tego nie oczekuje. Zechciej tylko podpisać ten projekt uchwały o funduszach rezerwowych, a resztę możemy zostawić nam.

- Chcę się wszystkim zająć, poznać sytuację - oświadczyła. - Jestem pewna, że takie były intencje ojca. Nie pojmuję, jak można było dopuścić do takiej sytuacji w indyjskich składach magazynowych.

- Urwała, nie chcąc się angażować, może jeszcze do tego niezdolna, i znowu popłynęły łzy.

- Ja się tym zajmę, Julie - odparł znużony. - Kryzysy w Indiach to dla mnie nie pierwszozna.

Podsunał jej dokumenty. Podpisz, błagam cię, podpisz. Nie śmiędnaj wyjaśnień. Nie dodawaj bólu do upokorzenia.

Bo intensywność śmięlna po bracie zaskoczyła go samego. Nie znamy własnych uczuć w stosunku do ukochanych, dopóki nie zabierze ich śmierć. Całą noc nie zmręśnił oka, wspominając... czasy oksfordzkie, pierwsze wycieczki do Egiptu - Randolph, Lawrence i Elliott Savarell. Te kairskie noce. Wstał wcześniej, przeglądał stare zdjęcia i listy. Cudownie jasne wspomnienia.

A teraz bezwolnie i bezdusznie usiłował oszukać córkę Lawrence'a. Próbował ukryć dziesięć lat kłamstw i oszustw. Lawrence zbudował potęgę Stratford Shipping, bo w gruncie rzeczy nie zależało mu na pieniądzu. Na jakie potrafił narazić się ryzyko! A czym zajmował się Randolph od momentu przejęcia firmy? Kontrolą i kradzieżą.

Ku jego niewysłowionemu zdumieniu Julie wzięła pióro i podpisała te dokumenty, nawet ich nie przeglądając. Tak, na pewien czas odsunął jej nieuniknione pytania.

- Przepraszam, Lawrence - jakby modlił się w duchu.

- MoŜe gdybyś wiedział o wszystkim...

- Wuj, za kilka dni będę chciała spotkać się z tobą i omówić sytuację firmy. Sądzę, Ŝe takie byłoby Ŝyczenie ojca. Ale teraz jestem zbyt zmęczona. Muszę juŜ wracać do domu.

- Tak, pozwól, Ŝe cię odprowadzę - włączył się od razu Alex. Pomógł jej wstać.

Niezastąpiony Alex. Czemu mój syn nie nosi w sobie chociaŜ cząstki jego dobroci?

Miałby cały Ŝwiat u stóp.

Randolph energicznie podszedł do podwójnych drzwi i je otworzył. Zdumiał go widok czekających za nimi ludzi z British Museum. Przykra niespodzianka. Gdyby wiedział o ich obecności, jakoś by ją przemycił. Nie podobał mu się ten wazelinowaty pan Hancock, który zachowywał się tak, jakby wszystkie odkrycia Lawrence'a naleŜały do muzeum i w ogóle do całego Ŝwiata.

- Panno Stratford - zaczął, zbliŜając się do Julie. - Uzyskaliśmy wszystkie zezwolenia.

Odślonięcie mumii odbędzie się w pani domu, zgodnie z Ŝyczeniami pani ojca. Naturalnie wszystko skatalogujemy i zabierzemy do muzeum, gdy tylko wyrazi pani taką wolę. Chciałem osobiście panią zapewnić...

- Tak, tak, bardzo dziękuję - odparła wyczerpana Julie. Ta sprawa interesowała ją tak samo jak posiedzenie rady. - Jestem panu wdzięczna, panie Hancock. Wie pan, jakie znaczenie miało to odkrycie dla ojca. - Znów urwała, jakby zbierało jej się na płacz. Co nie było w końcu niczym dziwnym.

- Ŝałuję tylko jednego, Ŝe nie było mnie przy nim w Egipcie.

- Kochanie, zginął w najszczeŜliwszych dla siebie okolicznościach - pocieszał ją niezręcznie Randolph. - Otoczony rzeczami, które kochał.

Zgrabne słowa. Lawrence został oszukany. Był w posiadaniu swego epokowego odkrycia przez kilka krótkich godzin. Rozumiał to nawet Randolph.

Hancock ujął Julie pod ramię. Razem ruszyli w stronę drzwi.

- Rzecz jasna do czasu przeprowadzenia skrupulatnych badañ nie sposób potwierdzić autentyczności szczątków. Monety, popiersie, to odkrycie bez precedensu...

- Nie będziemy snuć Ŝadnych wielkich teorii, panie Hancock. Zamierzam jedynie urządzić małe przyjęcie dla najbliŜszych znajomych ojca.

Podawała mu rękę, tym samym go odprawiając. Potrafiła robić to z taką stanowczością, jak ojciec. Zupełnie jak earl Rutherford, gdy się nad tym dobrze zastanowił. Zawsze nosiła się jak arystokratka.

Gdyby tylko doprowadzić do małżeństwa...

- Do widzenia, wujku Randolphie. Pochylił się, by ucałować ją w policzek.

- Kocham cię - wyszeptał. Te słowa samego go zaskoczyły. Tak samo jak uśmiech, który rozkwitł na jej twarzy. Czy ogarniała sens tego, co chciał jej powiedzieć? Przepraszam, przepraszam za wszystko, kochana.

* * *

Wreszcie samotna, na marmurowych schodach. Odeszli wszyscy prócz Alexa, którego w głębi duszy tak się wolałaby się pozbyć. Teraz pragnęła nade wszystko znaleźć się w cichym wnętrzu limuzyny rolls - royce'a, za szybami, które odgradzają od zgiełku świata.

- Nie chcę się powtarzać, Julie - odezwał się Alex, schodząc wraz z nią po schodach. -

Potraktuj to jako głos mego serca. Nie pozwól, by ta tragedia odsunęła w czasie nasze małżeństwo. Wiem, co czujesz, ale zostałam teraz sama. A ja chcę być przy tobie, opiekować się tobą. Chcę, byśmy zostali mężem i żoną.

- Alex, skłamałabym, gdybym ci powiedziała, że jestem teraz w stanie podjąć jakąkolwiek decyzję. Bardziej niż kiedykolwiek potrzeba mi teraz czasu, żeby wszystko przemyśleć.

Jakoś nie mogła się zdobyć, by na niego spojrzeć, sprawiał wrazenie wiecznie młodego. A czy ona sama była kiedykolwiek młoda? Takie pytanie ubawiłoby może wujka Randolpha. Miała dwadzieścia jeden lat. Ale dwudziestopięcioletni Alex wydawał jej się chłopcem. I z wielkim bólem myślała o tym, że nie kocha go tak, jak na to zasługuje.

Gdy Alex otworzył drzwi na ulicę, poraził ją blask słońca. Opuściła woalkę kapelusza.

Dzięki Bogu nie ma ani jednego dziennikarza, a przed budynkiem z otwartymi drzwiami czeka wielkie, czarne auto.

- Nie będę sama, Alex - powiedziała łagodnie. - Mam Ritę i Oscara. Poza tym Henry wprowadza się z powrotem do swojego dawnego pokoju. Wuj Randolph się przy tym upierał.

Będę miała aż nadto liczne towarzystwo.

Henry był ostatnią na świecie osobą, którą miałaby ochotę oglądać. Co za ironia losu, że jego jako ostatniego widziały oczy jej ojca, nim zamknęła je śmierć.

* * *

Wysiadającego na ląd Henry'ego Stratforda obstąpili dziennikarze. Czy przeraziła go klątwa mumii? Czy zauważył jakieś nadprzyrodzone zjawiska w niewielkiej grocie, w której nastąpił zgon Lawrence'a Stratforda? Henry w milczeniu przeszedł odprawę celną, nie zwracając uwagi na głośne wybuchy i dym unoszący się z aparatów fotograficznych. Chłodnym zniecierpliwieniem odstręczał

urzędników, którzy przejrzeni bagaż i przepuścili go.

Słyszał walenie swego serca. Chciał się czegoś napić. Chciał znaleźć się w domowym zaciszu, u siebie w Mayfair. Chciał zobaczyć kochankę, Daisy Banker. Najmniejszej ochoty nie miał za to na okropną przejażdżkę z ojcem. Unikając wzroku Randolpha, zajmował miejsce na tyle rollsa.

Gdy wielka, niezgrabna limuzyna wydostawała się z ciżby aut, Henry zauważył Samira Ibrahaima, witającego się z grupą czarno odzianych mężczyzn - zapewne funkcjonariuszy muzeum. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności trup tego Ramzesa Wielkiego interesował

wszystkich o wiele bardziej niż zwłoki Lawrence'a Stratforda, pogrzebane bez śladnych ceremonii w Egipcie, tak jak ścigał sobie zmarły.

Boże, jak strasznie wyglądał ojciec, jakby przez jedną noc postarzał się o dziesięć lat.

Pewien nieład wkradł się nawet w uczesanie.

- Masz papierosa? - spytał nagle Henry.

Nawet na niego nie spoglądając, ojciec wyjął cienkie cygaro i zapalniczkę.

- Ciągłe najważniejsze jest małżeństwo - zamruczał Randolph, jakby mówiąc do samego siebie. - Kobieta tuż po ślubie po prostu nie ma czasu myśleć o interesach. Na razie zamieszkaś z nią. Nie można dopuścić, żeby pozostała sama.

- Ojczy, mamy już dwudziesty wiek! Niby czemu nie możesz mieszkać sama?

Miałbym mieszkać w domu, gdzie w bibliotece będą wystawiać tę obrzydliwą mumię? Na samą myśl robiło mu się niedobrze. Zamknął oczy, skupił się na aromacie cygara i pomyślał o kochance. Oczyma wyobraźni ujrzał szereg gwałtownych, podniecających obrazów.

- Zrobisz to, co ci każę, do diabła - warknął ojciec. Ale jakoś bez przekonania. Randolph spojrzął za okno.

- Zamieszkaś z nią i nie będziesz spuszczał z niej oka, dokładając wszelkich starań, żeby możliwie najszybciej zgodziła się na to małżeństwo. Dopilnuj, żeby nie oddaliła się od Alexa.

Zdaje mi się, że ostatnimi czasy zaczął ją nieco irytować.

- Nic dziwnego. Gdyby Alex miał choć trochę ikry...

- Małżeństwo wyjdzie jej na dobre. Wszyscy na nim skorzystają.

- W porządku, w porządku, już wystarczy!

Milczeli, samochód posuwał się naprzód. Starczy czasu na kolację z Daisy, odpoczynek w mieszkaniu, a potem karty u Flinta, pod warunkiem, że uda mu się wycisnąć z ojca trochę grosza...

- Chyba niezbyt cierpiał?

Henry wzdrygnął się.

- Co to ma znaczyć?

- Chodzi mi o wuja. - Ojciec po raz pierwszy zwrócił się w jego stronę. - Świętej pamięci Lawrence'a Stratforda, zmarłego niedawno w Egipcie. Czy bardzo cierpiał, czy teŜ była to spokojna śmierć?

- Ni stąd, ni zowąd runął na ziemię. Po paru sekundach juŜ nie Ŝył. Czemu o to pytasz?

- AleŜ z ciebie sentymentalny łotr.

- Nie mogłem nic zrobić!

Przez chwilę przypomniła mu się atmosfera dusznej celki, przenikliwy odór trucizny. I tamta postać w trumnie, i złudzenie, Ŝe cały czas go obserwowała.

- Był upartym osłem - wyszeptał Randolph. - Ale go kochałem.

- CzyŜby? - wyrzucił Henry, odwracając się nagle w stronę ojca. - Zostawił wszystko jej, a ty go kochałeś!

- JuŜ dawno temu zapisał nam obu duŜo, bardzo duŜo. To powinno nam było wystarczyć...

- To nic w porównaniu z fortuną, którą ona odziedziczyła!

- Nie mam ochoty o tym rozmawiać.

Cierpliwości, pomyślał Henry. Cierpliwości. Oparł się o miękką, szarą tapicerkę.

Potrzebne mi jest co najmniej sto funtów, ale to nie jest dobra droga do ich zdobycia.

* * *

Daisy Banker patrzyła przez koronkowe franki, jak Henry Stratford wysiada z taksówki przed wejściem. Mieszkała w duŜym mieszkaniu nad kabaretem, w którym Ŝpiewała co noc od dziesiątej do drugiej: miękka jak dojrzała brzoskwinia o wielkich, sennych, niebieskich oczach i srebrno - blond włosach. Wiedziała, Ŝe w jej głosie nie ma nic szczególnego, ale podobała się, lubili ją. Nawet bardzo.

A ona lubiła Henry'ego Stratforda, tak przynajmniej sobie powtarzała. Poznanie go było z pewnością najlepszą rzeczą, jaka przytrafiła jej się w Ŝyciu. Załatwił jej pracę na parterze, chociaŜ nie miała pojęcia, jaką drogą, i opłacał komorne, a przynajmniej czuł się do tego zobowiązany. Wiedziała, Ŝe sporo zalega, ale z drugiej strony Henry dopiero co wrócił z Egiptu.

Wyrówna dług, albo uciszy każdego, kto będzie śmiał go o to pytać. Akurat to potrafi robić doskonale.

Słyszając jego kroki na schodach, pobiegła do lustra. Zsunęła niżej ozdobiony piórami kołnierz peniuaru i doprowadziła do ładu perłowy naszyjnik. Uszczypnęła się w policzki, chcąc wywołać rumieniec, gdy on przekręcał właśnie klucz w zamku.

- No wiesz, już prawie straciłam nadzieję, że cię jeszcze zobaczę! - krzyknęła, gdy stanął

na progu. Ach, widok jego osoby. Zawsze tak na nią działał. Taki przystojny, ciemnobrązowe włosy i oczy; i sposób bycia, prawdziwy dżentelmen. Podobało jej się, jak z impetem zdjął

pelerynę, cisnął ją na krzesło i wyciągnął do niej ręce. Taki był leniwy, taki nasycony sobą! Ale czemu miałby być inny?

- A auto? Obiecałeś, że przed twoim wyjazdem dostanę automobil. Gdzie on jest? Bo przed dom zajechała zwykła taksówka.

Miał jakiś chłodny uśmiech. Gdy całował, bolały ją wargi, jego palce wbijały się w jej miękkie ramiona. Czowała, jak po kręgosłupie pełźnie jej zimny dreszcz; coś zapiekło w usta.

Pocałowała go jeszcze raz, a gdy prowadził ją do sypialni, nie mówiła ani słowa.

- Kupię ci automobil - szeptał jej do ucha, zdzierając z niej peniuar i przyciskając ją do siebie, tak, że sutki otarły się o szorstką powierzchnię wykrochmalonej koszuli. Pocałowała go w policzek, potem w brodę, liśnięc niewielki zarost. Ten jego uroczy oddech, dotyk jego dłoni na ramionach.

- Tylko bez brutalności, proszę pana - szepnęła.

- Czemu to?

Zadzwonił telefon. Chętnie wyrwałaby kabel ze ściany. Rozpinała mu koszulę, gdy podnosił słuchawkę.

- Przecież zabroniłem ci znowu dzwonić, Sharples.

A, to ten sukinsyn - pomyślała. Dla Sharplesa pracowała, zanim z pomocą nie przyszedł

jej Henry Stratford. Sharples był podły, to jasne jak słońce. Na pamiątkę zostawił jej bliznę, mały półksiężyc na karku.

- Mówiłem, że zapłacę po powrocie, prawda? Może dałbyś mi rozpakować kufer! - Z

impetem położył niewielką słuchawkę na widełkach. Odsunęła aparat na bok, na marmurowy blat stołu.

- Chodź do mnie, kochany - zachęciła, siedząc na łóżku.

Oczy pociemniały jej trochę, gdy zobaczyła, jak męŜczyzna wpija wzrok w telefon.

Ciągle bez grosza. Bez złamanego grosza.

* * *

Dziwne. Po śmierci ojca nie odbyło się w domu Őadne czuwanie. A teraz malowaną trumnę Ramzesa Wielkiego niczym mary niesiono przez podwójny salon do biblioteki, którą ojciec zawsze nazywał pokojem egipskim. Czy miało sens czuwanie przy mumii, skoro nie było głównego Őałobnika?

Julie patrzyła, jak Samir poucza ludzi z muzeum, Őeby postawili trumnę pionowo w południowo-wschodnim kącie, obok wyjścia do oranŜerii. Doskonałe połoŜenie. Spojrzenie kaŜdego wchodzącego do domu padało tutaj. Wszyscy zgromadzeni w salonie będą mieli doskonały widok, a gdy wieko trumny zostanie zdjęte, sama mumia teŜ będzie mogła dobrze obejrzeć sobie tych, którzy przyjdą, Őeby oddać jej cześć.

Zwoje papirusu i alabastrowe słoje zostaną ustawione na długim, marmurowym stole pod lustrem, na lewo od stojącej trumny, przy wschodniej ścianie. Popiersie Kleopatry znalazło się juŜ na kolumnie pośrodku pokoju. Złote monety zostaną umieszczone w specjalnej szklanej gablocie obok stołu. Reszta skarbów będzie ułoŜona tak, jak zarządzi Samir.

Miękki blask popołudniowego słońca wpadał do środka przez oranŜerię, nakładając skomplikowane, płasające wzory na złotą maskę króla i jego złoŜone ręce.

Znaleziska były wspaniałe i na pewno autentyczne. Tylko głupiec mógłby podawać w wątpliwość takie skarby. Ale co oznaczała towarzysząca im opowieść?

Gdyby tylko wszyscy sobie poszli, myślała Julie. Wtedy mogłaby przyjrzeć się eksponatom. Ale ci ludzie będą tu bez przerwy siedzieć i badać znalezisko. A co począć z Alexem, który stał przy niej i nie dawał jej ani chwili dla siebie?

Naturalnie uradował ją widok Samira, chociaŜ jego cierpienie budziło uŐiony w niej ból.

A w tym czarnym, zachodnim garniturze i nakrochmalonej koszuli czuł się najwidoczniej sztywno i nieswojo. W jedwabnych strojach swego kraju wyglądał jak ciemnoskóry ksiąŜę, daleki od utartych szlaków tego zgiełkliwego stulecia i jego bezlitosnego parcia ku postępowi.

Tutaj sprawiał jednak wraŜenie kogoś obcego, wyglądał niemal słuŜalczo, mimo władczości, z jaką kierował robotnikami.

Alex przypatrywał się robotnikom i szczątkom z dziwnym wyrazem twarzy. Co to takiego? Te przedmioty nic dla niego nie znaczyły, naleŜały do jakiegoś zupełnie innego Őwiata.

Jak mogły mu się nie podobać? Tak, bardzo trudno było jej się w tym wszystkim zorientować.

- Ciekawe, czy istnieje jakaś klątwa - wyszeptał.

- Nie wygłupiaj się, proszę - odparła Julie. - Ta praca zajmie im trochę czasu. Może przejdziemy do oranżerii i napijemy się herbaty?

- Tak, tak będzie najlepiej. - Czy dostrzegła w jego twarzy niechęć? A nie zmieszanie?

Nie czuł się w Saden sposób przywiązany do tych skarbów. Były mu obce; ich istnienie nic dla niego nie znaczyło. Pewnie tak samo ona przyglądałaby się jakiejś niezrozumiałej, nowoczesnej maszynie.

Przygnębiało ją to. Ostatnio reagowała w ten sposób na wszystko - smuciło ją zwłaszcza, że ojcu dane było spędzić tak niewiele czasu w towarzystwie tych skarbów, że zmarł w dniu wielkiego odkrycia. A teraz ona do woli ogląda sobie każdy najmniejszy przedmiot znaleziony w wielkim, budzącym sensację grobowcu.

Może po herbacie Alex zorientuje się, że wołałaby zostać sama. Tym razem prowadziła go holem, obok drzwi do obydwu salonów i do biblioteki, przez marmurową niszę do szklarni wypełnionej paprociami i kwiatami, rozciągającej się wzdłuż tylnej ściany domu.

Było to, oprócz biblioteki, ulubione miejsce ojca. Nic więc dziwnego, że jego biurko i księgozbiór znajdowały się zaledwie kilka metrów stąd, za szklanymi drzwiami.

Usiedli przy wiklinowym stoliku; promienie słońca igrały na srebrnej zastawie do herbaty.

- Nalej, kochanie - zwróciła się do Alexa. Sama położyła ciasto na talerzykach. Nareszcie postawiono przed nim zadanie, które doskonale pojmował.

Czy znała w Syciu kogoś, kto lepiej umiałby zajmować się wszystkimi tymi drobiazgami?

Alex umiał jeździć konno, tańczyć, strzelać, nalewać herbaty, przyrządzać wyśmienite amerykańskie koktajle, bez mrugnięcia okiem dopasowywać się do protokołu dyplomatycznego, obowiązującego w Pałacu Buckingham. Od czasu do czasu odczytywał jakiś wiersz z takim uczuciem, że zbierało jej się na płacz. Umiał też świetnie całować i nie ulegało wątpliwości, że będą im się zdarzać autentycznie zmysłowe chwile. Bez wątpienia. Ale co jeszcze mogliby sobie dać?

Nagle poczuła się jak egoistka. Czy to jej nie wystarcza? Nie wystarczało ojcu, księciu kupców, którego manier nie sposób było odróżnić od arystokratycznych. Wszystko to nie miało dla niego najmniejszego znaczenia.

- Napij się, kochana, na pewno dobrze ci zrobi - zachęcał Alex, podając filiżankę herbaty przyrządzonej tak, jak lubiła. Bez mleka i cukru, ale z dodatkiem cieniutkiego plasterka cytryny.

Pomyśleć, że herbata może tak korzystnie wpłynąć na samopoczucie.

Odniosła wrażenie, że zmieniło się natężenie światła; jakby pojawił się cień. Uniosła głowę i zobaczyła Samira, który bezszelestnie wszedł do pokoju.

- Usiądź, Samirze.

Dał jej ręką znak, Œeby nie wstawiała. W rękach trzymał oprawną w skórę ksiąŜkę.

- Julie - zaczął, posyłając rozmyŒlnie wolne, znaczące spojrzenie w kierunku pokoju egipskiego - przyniosłem notatnik ojca. Wolałem nie oddawać go ludziom z muzeum.

- Tak się cieszę. Napij się z nami herbaty.

- Nie, muszę wracać do pracy. Chcę wszystkiego dopilnować. Musisz przeczytać te notatki, Julie. W gazetach opisali jedynie szkielet tej historii. Tutaj jest więcej szczegółów...

- Chodź, usiądź - nalegała. - Notatnikiem zajmiemy się potem.

Po chwili wahania ustąpił. Usiadł na krzeŒle obok niej, obdarzając uprzejmym skinieniem głowy Alexa, którego mu juŜ przedstawiono.

- Julie, ojciec ledwie zaczął tłumaczenie. Znasz jego znajomość staroŒytnych języków...

- Tak, z wielką chęcią wszystko przeczytam. Ale ciebie coŒ niepokoi? - zapytała z przejęciem. - Co się dzieje?

Po chwili zastanowienia Samir zaczął.

- Julie, to odkrycie trochę mnie martwi. Nie dają mi spokoju mumia i trucizny w grobowcu.

- Czy to rzeczywiście trucizny Kleopatry? - zapytał nagle Alex. - Czy teŜ jest to wymyŒl dziennikarzy?

- Tego nie wiadomo - odparł uprzejmie Samir.

- Samirze, wszystko zostało starannie opatrzone etykietami - stwierdziła Julie. - SłuŜba dostała instrukcje.

- Nie wierzycie chyba w istnienie klątwy? - wtrącił się Alex.

Samir grzecznie się uŒmiechnął.

- Nie. Niemniej jednak - podjął, zwracając się do Julie - musisz mi obiecać, Œe natychmiast zawiadomisz mnie w muzeum, gdy tylko zdarzy się coŒ niezwykłego, nawet gdyby chodziło o przecucia.

- AleŜ, Samir, nigdy się po tobie nie spodziewałam...

- Julie, klątwy sà w Egipcie rzadkoŒcià - wyrzucił - a przestrogi wypisane na tej trumnie sà niezmiernie groźne. Co do nieŒmiertelnoŒci faraona, więcej szczegółów znajdziesz w tym notatniku.

- Ale nie sądzisz chyba, Œe ojciec naprawdę uległ działaniu klątwy?

- Nie. Ale tego, co znaleźliśmy w grobowcu, nie sposób wytłumaczyć. Chyba Œe uwierzyć... Ale to niedorzeczne. Proszę cię tylko o jedno, Œebyś nie przyjmowała niczego na wiarę. Œebyś w razie potrzeby natychmiast się ze mną skontaktowała.

Wyszedł, nie Œegnając się, i wrócił do biblioteki. Słyszała, jak rozmawia po arabsku z jednym z robotników. Patrzyła na nich z niepokojem przez otwarte drzwi.

śal - pomyślała. Dziwne i niedostatecznie rozumiane uczucie. Boli go utrata ojca, tak samo jak mnie, i dlatego nie potrafi cieszyć się z odkrycia. To musi być dla niego naprawdę przykre doświadczenie.

A jak bardzo by się cieszył, gdyby tylko... Tak, rozumiała go. Z nią rzecz miała się inaczej. Chciała przede wszystkim zostać sam na sam z Ramzesem Wielkim i Kleopatrą. Ale rozumiała. A ból po stracie ojca juŒ nigdy nie przeminie. Zresztą nawet by tego nie chciała.

Spojrzała na Alexa, biednego chłopca, który patrzył na nią z taką troską.

- Kocham cię - wyszeptał znienacka.

- Cóż ci się nagle stało? - zaśmiała się cicho. Wyglądał jak zmieszany, strofowany chłopiec. Jej przystojny narzeczony szczerze cierpiał. Nie mogła na to patrzeć.

- Nie wiem - powiedział - moŒe to tylko przecucie... tak to się nazywa? Chcę ci tylko przypomnieć, kocham cię.

- Aleksie, drogi Aleksie. - Nachyliła się i pocałowała go, czując, jak rozpaczliwie chwyta ją za rękę.

Tandetny, mały zegar na toalecie Daisy wybił szóstą.

Henry usiadł, przeciągnął się i znów wziął butelkę szampana, nalewając najpierw sobie, potem jej.

Kobieta jeszcze się nie wybudziła, a cienki, satynowy pasek halki zsunął się po zaokrąglonym ramieniu.

- Wypij, kochanie - zachęcił.

- Dziękuję, skarbie. Mam dzisiaj występ - odpałiła, unosząc zadziornie brodę. - Nie mogę, jak niektóre, pić cały dzień.

- Oderwała kawałek pieczonego udka i włoŒyła go sobie prosto do ust. Piękných ust.

- Ale ta twoja kuzynka to dopiero! Nie boi się mumii! Sprowadza ją sobie do domu!

Skupiło się na nim spojrzenie duŒych, głupich, niebieskich oczu; właśnie takich, jakie lubił. Szczerze tęsknił za Malenką, swoją egipską pięknoscią. Kobiety ze Wschodu miały to do siebie, Œe wcale nie musiały być głupie, nawet inteligentne dawały sobą łatwo manipulować. U

dziewcząt pokroju Daisy głupota była niezbędna. Po chwili przyjemności trzeba było znosić

rozmowę - niekończące się gadanie, gadanie i gadanie.

- A czemu miałyby bać się tej mumii? - zapytał rozdrażniony. - Największą bzdurę robi, oddając cały skarb muzeum. Ta moja kuzyneczka nie wie, co zrobić z pieniędzmi. Ma ich za dużo, żeby się nad nimi zastanawiać. Lawrence odrobinę zwiększył mój fundusz powierniczy, a jej pozostawił całą fortunę. To przez niego...

Urwał. Niewielka komnata; smugi światła, padające na tę postać. Ujrzał to wszystko od nowa. Zobaczył, co zrobił! Nie. Nieprawda. Zmarł na zawał lub atak serca - ten człowiek leśący jak długi na piachu. Ja tego nie zrobiłem. A ta mumia wcale nie gapiła się na mnie przez bandażę, to niedorzeczna myśl!

Nieco zbyt szybko wychylił szampana. Za to jaki był dobry. Nalał sobie jeszcze jeden kieliszek.

- Ale jakaś przeklęta mumia pod jednym dachem z nią - upierała się Daisy.

I znenacka, niespodziewanie zobaczył te oczy, wzrok wpijający się w niego spod przegniłych bandaży. Tak jest, wpijający się. Przestań, głupcze. Zrobiłeś, co do ciebie należało!

Przestań, bo oszalejesz.

Trochę niezgrabnie wstał od stołu, założył marynarkę i poprawił jedwabny krawat.

- Dokąd to się wybierasz? - zdziwiła się Daisy. - Jak na mój gust jesteś zbyt pijany, żeby dokądkolwiek iść.

- Ale nikt nie pyta cię o zdanie - odburknął. Wiedziała, dokąd idzie. Miał przy sobie te sto funtów, które udało mu się wyciągnąć od Randolpha, a kasyno było już otwarte. Zaczynało działać wraz z zapadnięciem zmroku.

Chciał pobyć w nim sam, żeby się skoncentrować. Na samą myśl o tym miejscu, o ciemnej zieleni sukna w świetle lamp, o stukocie kości i szmerze ruletki, ogarniało go podniecenie. Przyrzekał sobie, że rzuci to wszystko po jednej dużej wygranej. A na początek sto funtów. Nie, nie było na co czekać...

Oczywiście natknie się na Sharplesa, któremu był winien o wiele za dużo pieniędzy, ale jak do diaska miał spłacić długi, skoro nie dotarł jeszcze nawet do stołu, i mimo że przeczuwał, że dzisiaj nie dopisze mu szczęście - nie, nic z tego nie wyjdzie - musiał przeciw próbować.

- Lepiej zaczekaj. Usiądź - mówiła Daisy, idąc za nim.

- Napijmy się jeszcze po kieliszku, a potem się zdrzemnijmy. Jest dopiero szósta.

- Zostaw mnie w spokoju - warknął. Założył płaszcz i skórzane rękawice. Sharples. Idiota z tego Sharplesa. W kieszeni płaszcza namacał nóż, który był tam od wielu lat. Tak, ciągle tam był. Wyjął go i uważnie przyjrzał się cienkiemu, stalowemu ostrzu.

- Och, nie - westchnęła Daisy.

- Nie wygłupiaj się - rzucił obojętnie, złożył nóg, schował go z powrotem do kieszeni i wyszedł.

* * *

Słysząc było tylko ciche bulgotanie fontanny w kącie oranżerii, popielaty półmrok zastąpiła ciemność, egipski pokój oświetlała jedynie lampa z zielonym kloszem na biurku Lawrence'a.

Julie siedziała na obitym skórą krześle ojca, tyłem do ściany; jedwabny peniarz był miękki, wygodny i zaskakująco ciepły. Położyła rękę na dzienniku ojca, którego nie zdążyła jeszcze przeczytać.

Maska Ramzesa Wielkiego błyszczała jednak trochę przerażająco, duże oczy w kształcie migdałów wpatrywały się w mrok; marmurowa Kleopatra jak gdyby świeciła łagodnym blaskiem. A monety na tle czarnego aksamitu leżące pod przeciwległą ścianą były tak piękne.

Przyjrzała im się dokładnie już wcześniej. Profil ten sam co na popiersiu, te same falujące włosy pod złotą tiarą. Kleopatra w greckim stylu, a nie idiotyczny, egipski wizerunek, jakich wiele w teatralnych programach sztuki Szekspira lub na rycinach ilustrujących *Żywoty* Plutarcha i mnóstwo popularnych rysów historycznych.

Profil pięknej kobiety; mocny, bynajmniej nie tragiczny. Mocny siłą, jaką Rzymianie lubili przydawać swoim bohaterom i heroinom.

Leżące na marmurowym stole zwoje pergaminu i papiirusu sprawiały wrażenie bardzo kruchych. Włócznie ręce mogłyby zniszczyć wszystkie zgromadzone tu przedmioty. Pióra ptaków, kałamarze, niewielkie, srebrne naczynie do palenia olejku z pierścieniem, w którym umieszczano zapewne szklane klosze. Same klosze leżały obok - doskonałe przykłady wyrobów pierwszych szklarzy, każdy zakończony małym, srebrnym kołpakiem. Naturalnie przy wszystkich eksponatach, podobnie jak przy szeregu alabastrowych słoików za nimi, stały tabliczki z napisem: „Proszę nie dotykać”.

Mimo wszystko liczba oglądających ją niepokoiła.

- Pamiętajcie, że to trucizny, i to silne - przestrzegła Ritę i Oscara, niezbędną służącą i lokaja. I tych kilka słów starczyło, żeby nie wchodzili w ogóle do pokoju!

- To trup, panienko - powtarzała Rita. - Nic to, że trup egipskiego króla. Zawsze mówię, żeby zostawiać zmarłych w spokoju, panienko.

Julie cicho się roześmiała.

- British Museum jest pełne trupów, Rita.

Gdyby tylko zmarli mogli powracać. Gdyby nawiedził ją duch ojca. Wyobrazić sobie taki cud. Jego widok, głos, rozmowę z nim. Co się stało, ojczu? Bardzo cierpiełeś? Czy choć przez mgnienie oka

czułeś strach?

Tak, nie miałyby nic przeciwko takiej zjawie. Ale nie łudziła się. I to było najgorsze.

Podążamy od kołyski do grobu pośród codziennych nieszczęść. Wspaniałość zjawisk nadprzyrodzonych zarezerwowana jest dla opowieści, wierszy i sztuk Szekspira.

Ale po co się nad tym rozwodzić? Oto nadeszła wielka chwila. Została sam na sam ze skarbami ojca i może odczytać ostatnie słowa, które wyszły spod jego pióra.

Przewracała kartki dziennika, znajdując datę odkrycia. Na widok pierwszych słów w oczach zakręciły jej się łzy.

Muszę napisać do Julie, wszystko jej opowiedzieć. Hieroglify na drzwiach są właściwie bez błędów; wyszły spod ręki kogoś, kto znał się na rzeczy. Za to greka jest bez wątpienia z epoki Ptolemeuszy. A łacina bardzo wyrafinowana. Wydaje się niemożliwe, ale widzę wszystko na własne oczy. Samir okazuje wyjątkowy dla niego, zabobonny lęk. Trzeba się przespać. Wieczorem wchodzę do środka!

Tu następuje pospieszny szkic opisujący drzwi do grobowca i trzy akapity pisma.

Przewróciła stronę.

Na moim zegarku dziewiąta wieczorem. Nareszcie znalazłem się w środku.

Wnętrze bardziej przypomina bibliotekę niż grobowiec. Złożono go w królewskiej trumnie obok stołu, na którym zostawił trzynaście zwojów. Pisze 1 wyłącznie po łacinie, w wyraźnym pośpiechu, lecz starannie. Wszędzie widać kropelki atramentu, lecz tekst jest sensowny.

„Niech zostanę Ramzesem Przeklętym. Bo takim przydomkiem obdarzyłem samego siebie. Ale niegdyś byłem Ramzesem Wielkim, władcą Dolnego i Górnego Egiptu, zabójcą Hetytów, ojcem licznych synów i córek, panującym Egiptowi przez sześćdziesiąt cztery lata. Moje posągi jeszcze stoją; stale opowiadają o mych zwycięstwach, choć już ponad tysiąc lat minęło od chwili, gdy wydarto mnie, śmiertelne dziecię, z łona matki.

Ach, fatalna chwilo, ginąca w mrokach zapomnienia, gdy przyjąłem od hetyckiej kapłanki ten przeklęty eliksir. Nie zważałem na jej przestrogi. Pragnąłem nieśmiertelności. Dlatego wychyliłem napój z przepełnionej czary. A teraz, po upływie stuleci - wśród trucizn mej utraconej Królowej skrywam płyn, którego nie chciała ode mnie przyjąć moja skazana na zagładę Kleopatra”.

Julie przerwała. Elikwir ukryty pośród trucizn? Pojęła, o co chodziło Samirowi. Gazety nie opisały tego elementu tajemnicy. Kusząca perspektywa. Wśród trucizn kryje się napój, który może dać nieskończone życie.

- Ale kto miałby tworzyć taką opowieść? - wyszeptała.

Wbiła wzrok w marmurowe popiersie Kleopatry. Nieśmiertelność. Czemu Kleopatra nie chciała

wychylić czary? No proszę, sama zaczyna w to wszystko wierzyć! Uśmiechnęła się.

Przewróciła kartkę dziennika. Tłumaczenie było nie dokończone. Ojciec napisał tylko tyle:

Dalej opisuje, jak Kleopatra zbudziła go z pełnego marzeń snu, jak ją uczył, pokochał, patrzył, jak uwodzi kolejnych rzymskich wodzów...

- Tak - szepnęła Julie. - Juliusza Cezara, potem Marka Antoniusza. Ale dlaczego nie chciała przyjąć eliksiru?

Jeszcze jeden akapit przekładu.

„Jak nosić dalej to brzemień? Jak cierpieć samotność? Lecz nie mogę umrzeć. Jej trucizny nie są w stanie mnie skrzywdzić. Nie zagrażają eliksirowi, tak bym mógł marzyć o następnych królowych, pięknych i mądrych, z którymi przepędzę nadchodzące stulecia.

Ale czyś nie widzę jej twarzy? Nie słyszę głosu? Kleopatra. Wczoraj. Dziś. Kleopatra”.

Potem łacina. Kilka akapitów spisanych niedbale po łacinie, której nie znała. Nie byłaby w stanie przełożyć ich nawet z pomocą słownika. Potem następowało kilka linijek demotycznego egipskiego, jeszcze bardziej nieprzeniknionego niż łacina. I nic więcej.

Odłożyła notatnik. Wstrzymywała płacz. Niemal czuła obecność ojca w pokoju. Na pewno był bardzo wzburzony, jego charakter pisma zmienił się w ujmującą bazgraninę.

A jaka nęcąca była ta tajemnica.

Gdzieś pomiędzy truciznami znajdował się eliksir dający nieśmiertelność? Nawet niedosłowna interpretacja jest piękna. Wystarczy spojrzeć na to srebrne naczynie na olejki i delikatny klosz. Ramzes Przeklęty uwierzył. Ojciec być może również. A ona, przez krótką chwilę, chyba też.

Wstała i powoli podeszła do długiego, marmurowego stołu przy przeciwległej ścianie.

Zwoje były zbyt kruche. Wszędzie leżały strzępy i odłamki papirusu. Widziała, jak się ją to spustoszenie ludzie niezmiernie ostrożnie wyjmujący papirus ze skrzynek. Nie śmiała ich dotykać. Zresztą przecież by ich nie odczytała.

Słójów też nie powinna tykać. A gdyby rozlała truciznę albo jakimś sposobem spowodowała przedostanie się tej odrobiny do powietrza?

Znalazła się przed swoim odbiciem w lustrze na przeciwległej ścianie. Usiadła z powrotem przy biurku i rozłożyła leżącą na nim gazetę.

Antoniusz i Kleopatra Szekspira długo nie schodzili z londyńskich afiszy. Zamierzali z Alexem wybrać się na to do teatru, lecz on często zasypiał podczas poważnych przedstawień.

Dobrze bawił się jedynie na *Gilbercie i Sullivanie*, choć pod koniec trzeciego aktu i tak zaczynał

drzemać.

Przyjrzała się niewielkiemu ogłoszeniu zapowiadającemu przedstawienie. Wstała i zdjęła z półki nad biurkiem tom Plutarcha.

Gdzie podziła się historia Śycia Kleopatry? Rzecz jasna, Plutarch nie poświęcił jej całego rozdziału, choć opisał koleje jej losu w biografii Marka Antoniusza.

Szybko odnalazła ustępy, które niejasno pamiętała. Kleopatra była wielką królową i, według nowoczesnej terminologii, wybitnym politykiem. Nie dość, że uwiodła Cezara i Antoniusza, przez dziesięciolecia odsuwała podbój Egiptu przez Rzymian, by wreszcie odebrać sobie Śycie, gdy Antoniusz popełnił samobójstwo, a Oktawian Cezar stał u bram Aleksandrii.

Utrata Egiptu była nieunikniona, chociaż niewiele brakowało, by królowa odmieniła bieg historii.

Gdyby Juliusz Cezar nie zginął, być może uczyniłby Kleopatrze cesarzową. Gdyby Marek Antoniusz okazał nieco większą siłę woli, mógłby obalić Oktawiana Augusta.

Kleopatra jednak na swój sposób tryumfowała do końca Śycia. Oktawian chciał zabrać ją do Rzymu jako jeńca. Wymanewrowała go. Najpierw wypróbowała na jeńcach dziesiątki trucizn, wreszcie wybrała śmierć od jadu węśa. Rzymscy strażnicy nie zdołali zapobiec samobójstwu.

Tym sposobem Oktawian zajął Egipt. Kleopatrze nie zdołał jednak zawładnąć.

Julie niemal z nabośną czcią zamknęła książkę. Ogarnęła wzrokiem długi rząd alabastrowych słojów. Czyśby to te same trucizny?

Popadła w osobliwe zamyślenie, przypatrując się trumnie. Widziała takich setki, tutaj i w Kairze. Odkąd sięgała pamięcią, co jakiś czas jakąś oglądała. Ale ta zawierała kogoś, kto twierdził, że jest nieśmiertelny. Kto utrzymywał, że po pochówku znajduje się nie w krainie śmierci, lecz pełnego marzeń snu.

Na czym polegał sekret tego snu? I przebudzenia? I eliksiru?

- Ramzesie Przeklęty - wyszeptała - czy zechcesz zbudzić się dla mnie tak, jak niegdyś dla Kleopatry? Czy zbudzisz się w wieku trudnych do opisanie cudów, mimo że twoja królowa jest martwa?

Odpowiedzią była tylko cisza, i duże, łagodne oczy złotego króla, rzeźbione ręce skrzyśowane na piersiach.

* * *

- To rozbój w biały dzień! - krzyczał Henry, z trudem powstrzymując gniew. - To jest bezcenne! - Miotał pełne furii spojrzenia na niskiego człowieka na zapleczu sklepu numizmatycznego. Podły złodziejasek, ukryty w swoim dusznym świątku brudnych gablot, banknotów i monet pokazywanych tak, jakby były jakimiś klejnotami.

- JeŜeli to autentyk, ma pan rację - cedził niespiesznie męŜczyzna. - Ale jeŜli jest autentyczna, to powstaje pytanie, skąd pan ją wziął. Taka moneta z doskonałą podobizną Kleopatry? Wszyscy będą pytać, jak ją zdobyłem. A pan nie powiedział, jaka jest pańska godność.

- Nie powiedziałem. - Zdesperowany zabrał handlarzowi monetę, włoŜył ją do kieszeni i odwrócił się do wyjścia. Jeszcze chwilę nie wychodził, nakładając rękawiczki. Ile mu zostało?

Jakieś pięćdziesiąt funtów? Wzbierał w nim gniew. Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem i Henry znalazł się na przejmującym wietrze.

* * *

Handlarz przez dłuŜszą chwilę siedział bez ruchu. Jeszcze czuł monetę, która dosłownie wymknęła mu się z rąk. Przez wszystkie te lata nie widział na oczy czegoś takiego. Wiedział, Ŝe to jest autentyk, i nagle poczuł, Ŝe popełnił największe głupstwo w Ŝyciu.

Powinien był ją kupić! Zaryzykować. Wiedział, Ŝe została ukradziona, a on nie mógł sobie pozwolić na handel kradzionymi numizmatami dla Królowej Nilu.

Podniósł się zza biurka i przeszedł za zakurzoną kotarę z serŜy, która oddzielała sklep od niewielkiego salonu, gdzie w zupełnej samotności spędzał większość czasu, nawet w godzinach otwarcia sklepu. Wziął z krzesła gazetę, rozłoŜył ją i zobaczył nagłówek: MUMIA STRATFORDA I JEJ KLĄTWA

PRZYBYWAJĄ DO LONDYNU

Wykonany tuszem rysunek znajdujący się pod tytułem ukazywał szczupłego młodzieńca, wysiadającego ze statku HMS „Melpomene” razem z mumią sławnego Ramzesa Przeklętego.

Podpis informował, Ŝe jest to Henry Stratford, bratanek zmarłego archeologa. Tak, to ten sam człowiek, który wyszedł przed chwilą ze sklepu. Czy wykradł monetę z grobowca, w którym tak niespodziewanie zmarł wuj? Ile jeszcze takich egzemplarzy sobie zabrał? Handlarza ogarnęły mieszane uczucia. Z jednej strony ulga, z drugiej Ŝal po przepuszczonej okazji. Wbił wzrok w telefon.

* * *

Południe. W klubowej jadalni zalegała cisza, tylko gdzieś przy nakrytych białymi obrusami stołach członkowie klubu jedli obiad. Była to ulubiona pora Randolpha. Mógł uciec tutaj przed zgłębieniem ulicy oraz wiecznym zamieszaniem i bieganiną w biurze.

Widok stojącego w drzwiach syna bynajmniej go nie ucieszył. Prawie na pewno nie zmrúŜył w nocy oka. Mimo to Henry był ogolony i schludnie ubrany. To trzeba mu było przyznać. Takie drobiazgi nigdy nie wymykały się spod jego kontroli. Nie mógł sobie za to poradzić z tragedią na wielką skalę, z tym, Ŝe nie Ŝył juŜ prawdziwym Ŝyciem. Ŝe był hazardzistą i pijakiem, pozbawionym duszy.

Randolph zabrał się z powrotem do zupy.

Nie unosił głowy, gdy syn siadał na krześle naprzeciwko i wołał kelnera, żeby zaraz przyniósł mu scotcha z wodą.

- Kazałem ci nocować wczoraj u kuzynki - zaczął ponurym głosem Randolph, choć wiedział, że ta rozmowa i tak nie miała sensu. - Zostawiłem klucz.

- Wiem, dziękuję. A kuzynka z pewnością świetnie radzi sobie beze mnie. Ma do towarzystwa swoją mumię.

Kelner postawił szklaneczkę, którą Henry natychmiast wychylił.

Randolph powoli przełknął następną łyżkę gorącej zupy.

- Czemu do diabła stołujesz się w takim miejscu? Wyszło z mody dziesięć lat temu.

Atmosfera tu iście pogrzebowa.

- Zechciej mówić ciszej.

- A to czemu? Wszyscy członkowie i tak są głusi. Randolph wyprostował się na krześle.

Skinął na kelnera, żeby zabrał talerz z zupą.

- To mój klub i mi się tu podoba - wydusił. To nie miało sensu. Wszelkie rozmowy z synem pozbawione były sensu. Jeśli będzie o tym myślał, zaraz się rozklei. Rozplacze się, gdy zacznie zbyt długo zastanawiać się nad faktem, że Henry'emu trzęsą się ręce, że ma bladą i napiętą twarz, a wzrok utkwiony w pustce, że ma oczy nałogowca, pijaka.

- Daj butelkę - rzucił Henry kelnerowi, nawet na niego nie patrząc, po czym zwrócił się do ojca: - Zostało mi dwadzieścia funtów.

- Nie mogę ci nic wypłacić! - odparł znużonym tonem Randolph. - Dopóki ona ma nad wszystkim kontrolę, sytuacja jest po prostu beznadziejna. Ale ty i tak niczego nie rozumiesz.

- Kłamiesz. Wiem, że wczoraj podpisała papiery...

- Otrzymałeś z góry roczne pobory.

- Ojczy, muszę dostać jeszcze setkę...

- Jeśli Julie zajrzy do ksiąg, być może będę musiał przyznać się do wszystkiego i poprosić o jeszcze jedną szansę.

Samo wypowiedzenie tych słów sprawiło mu zadziwiająca ulgę. Może tego właśnie było mu potrzeba. Nagle patrzył na syna z jakiegoś oddalenia. Tak, powinien opowiedzieć bratanicy o wszystkim i poprosić ją o... O co? O pomoc.

Henry tylko z tego szydził.

- Rzucimy jej się do nóg. Śliczny obrazek.

Randolph odwrócił głowę i ogarnął wzrokiem długą salę, zastawioną stołami przykrytymi długimi, białymi obrusami. Pozostała w niej tylko jedna osoba, zgarbiona, siwa, jedząca samotnie obiad w odległym kącie. Był to stary wicehrabia Stephenson - przedstawiciel dawnej arystokracji ziemskiej, której zasoby kont bankowych pozwalały na utrzymanie ogromnych posiadłości.

Pośywyj w spokoju, stary przyjacielu, pomyślał wyczerpany Randolph.

- A mamy jakieś inne wyjście? - zwrócił się cicho do syna. - Mógłbyś jutro przyjść do pracy. Przynajmniej próbować stworzyć jakieś pozory...

Czy syn go słuchał, syn, który był nieszczęśliwy, odkąd Randolph sięgał pamięcią, syn pozbawiony przyszłości, ambicji, planów, marzeń?

Nagle zabolalo go serce, na samą myśl o tych wszystkich długich latach, wypełnionych bezsilnością syna, jego skrytością i goryczą. Bolało go serce na widok Henry'ego, który wodził

gorączkowym wzrokiem po przedmiotach znajdujących się na stole - cięskiej, srebrnej zastawie, serwecie, której jeszcze nie rozłożył oraz po kieliszku i butelce scotcha.

- Dobrze, dam ci jeszcze na rachunek - oznajmił. Jakie znaczenie miało kolejne sto funtów? Dawał je swojemu jedyemu synowi. Jedyemu synowi.

* * *

Ponura, choć niezaprzeczalnie interesująca uroczystość. W domu Stratfordów, kiedy zjawił się w nim Elliott, było już pełno gości. Zawsze bardzo lubił to domostwo, jego wyjątkowo przestronne pokoje i imponującą klatkę schodową.

Tyle ciemnego drewna, tyle niebotycznych szaf z książkami. Mimo to było tu wesoło, a to dzięki nieprzyzwoitej obfitości światła elektrycznego i nie kończącym się odcinkom połączanej tapety. Ale stojąc w holu wejściowym, poczuł przypływ tęsknoty za Lawrence'em. Odczuwał tu jego obecność, z całą dotkliwością przypominały mu się wszystkie zmarnowane chwile ich przyjaźni. I dawno miniony romans, który ciągle prześladował go w myślach.

Nie można zaprzeczyć, przeczuwał taki koniec. Ale tego wieczoru chciał być właśnie tutaj, na oficjalnym otwarciu pokazu Ramzesa Wielkiego, odkrycia Lawrence'a. Lekkim gestem zbył tych, którzy natychmiast ruszyli w jego stronę i, schyliwszy głowę, jął delikatnie przeciskać się między nieznanymi i starymi przyjaciółmi, w kierunku pokoju egipskiego. Nogi bolały dziś nieznośnie, a to z powodu wilgoci, jak zawsze powtarzał. Na szczęście jednak nie będzie musiał

długo stać. W dodatku miał jeszcze nową laskę, która mu się podobała. Miała wymyślną, srebrną rączką.

- Dziękuję, Oskarże - powiedział ze swym zwyczajowym uśmiechem, biorąc od kelnera pierwszy kieliszek białego wina.

- Ani chwili za wcześnie, staruszk - przywitał go znużonym tonem Randolph. -

Przymierzają się do odsłonięcia tego straszdyła. Możemy spróbować podejść bliżej.

Elliott kiwnął głową. Randolph już na pierwszy rzut oka wyglądał okropnie. Śmierć Lawrence'a kompletnie odebrała mu chęć do życia. Ale widać było, że bardzo się stara.

Przeszli do pierwszych rzędów i wtedy wzrok Elliotta padł na zadziwiająco piękną trumnę.

Ujął go niewinny, dziecięcy wyraz twarzy złotej maski. Zobaczył zwoje z pismem, którymi owinięto dolne partie figury. Łacińskie i greckie słowa wypisane tak, jakby były hieroglifami!

Ze skupienia wyrwał go Hancock z British Museum, który poprosił o ciszę, donośnie stukając łyżeczką w kryształowy kieliszek. Obok niego stał Alex, obejmujący Julie, która doskonale wyglądała w czerni i z włosami mocno spiętymi do tyłu, dowodząc całemu światu, że jej uroda nigdy nie potrzebowała modnych czepków czy innych ozdób.

Gdy skrzyżowały się ich spojrzenia, Elliott posłał Julie nieznaczny, melancholijny uśmiech i dostrzegł błyskawiczne rozjaśnienie na jej twarzy, którym zawsze reagowała na jego widok. W pewnym sensie, pomyślał, lubi mnie bardziej niż swojego własnego syna. Co za ironia losu. Ale przecież syn gapił się na całą uroczystość, chociaż wyglądał, jakby przybłąkał się tu z innego świata. Mogło to być prawdą, i w tym właśnie tkwił problem.

Znienacka na lewo od Hancocka pojawił się Samir Ibrahim. Kolejny stary znajomy. Ale on nie widział Elliotta. Z pewnym niepokojem kazał dwóm młodzieńcom ostrośnie ująć wieko trumny i czekać na dalsze polecenia. Stanęli ze spuszczoneymi głowami, jakby nieco zakłopotani czynem, którego mieli się dopuścić. W pomieszczeniu zaległa śmiertelna cisza.

- Panie i panowie - zaczął Samir, a dwaj młodzi ludzie unieśli wieko i zgrabnie odsunęli je na bok. - Oto przed wami Ramzes Wielki.

Wszyscy mogli teraz obejrzeć tę mumię; wysoką, męską postać z rękami skrzyżowanymi na piersiach, najwyraźniej łąsą i nagą pod grubą, przebarwioną tkaniną.

Rozległo się jedno zbiorowe westchnienie. W złotym blasku elektrycznych syrandoli i rozstawionych tu i ówdzie kandelabrow postać tchnęła odrobiną grozy. Jak zawsze. Śmierć zachowana i wystawiona na pokaz.

Dało się słyszeć kilka niepewnych oklasków. Ktoś się wzdrygnął, ktoś niespokojnie zaśmiał. Po chwili ława widzów rozpekła się, niektórzy zbliżyli się do mumii, by zaraz odsunąć się jak od żaru ognia, inni z miejsca odwrócili się plecami.

Randolph westchnął i potrząsnął głową.

- Pomyśleć, że umarł dla czegoś takiego? Bardzo chciałbym zrozumieć jego motywów.

- Proszę się nie przygnębiać - odezwał się stojący w pobliżu mężczyzna, którego Elliott powinien pamiętać, ale nie pamiętał. - Lawrence był szczęśliwy...

- Robiąc to, co chciał - dokończył szeptem Elliott. Gdyby jeszcze raz powiedział to na głos, pewnie by się rozplakał.

Lawrence z wielką radością oddałby się badaniu swego skarbu, przekładowi tych zwojów.

Jego śmierć była tragedią. Ktoś, kto mówiłby inaczej, byłby skończonym idiotą. Elliott delikatnie ścisnął ramię Randolpha i skierował się ku szacownym zwłokom Ramzesa.

Miał wrażenie, że młodzi *en masse* zdecydowali się zagrozić mu drogę, skupiając się wokół Alexa i Julie. Elliott słyszał urywki tych rozmów, które od nowa nabierały swego tempa.

- ...interesująca opowieść na papirusach - tłumaczyła.

- Ojciec ledwie rozpoczął tłumaczenie. Ciekawa jestem, co o tym sądzisz, Elliotcie.

- Tak, kochanie? - Dotarł właśnie do mumii i wpił wzrok w jej oblicze, dziwiąc się, że pod tyłoma warstwami rozkładającej się tkaniny można z taką łatwością dostrzec wyraz twarzy.

Julie właśnie przechodziła obok, więc ujął jej dłoń. Ludzie napierali, chcąc lepiej przyjrzeć się mumii, ale Elliott, w sumie dość samolubnie, nie ustępował.

- Jakie jest twoje zdanie na temat całej tej tajemnicy? - zapytała. - Czy to trumna z czasów dziewiętnastej dynastii? Dlaczego sporządzono ją w czasach rzymskich? Bo widzisz, ojciec mówił mi kiedyś, że znasz się na egiptologii lepiej niż wszyscy muzealnicy razem wzięci.

Roześmiała się pod nosem. Rozejrzała się nerwowym wzrokiem, sprawdzając, czy nie ma gdzieś w pobliżu Hancocka. Na szczęście stał w otoczeniu gromadki ludzi, którym bez wątplenia tłumaczył coś w związku ze zwojami i rzędem przepięknych alabastrowych słoików przy ścianie pod lustrem.

- I co o tym myślisz? - upierała się Julie, a powaga czyniła ją bardziej ponętą, niż kiedykolwiek.

- Wątpię, żeby to był Ramzes Wielki, skarbie. Ale sama przecież wiesz... - Raz jeszcze przyjrzał się malowanemu wieku trumny i ciału okutanemu w stary całun. - Świetna robota.

Muszę to przyznać. Nie użyto zbyt wielu związków chemicznych; nie czuć nawet bitumu.

- Nie ma tu żadnego bitumu - wtrącił się ni stąd, ni zowąd do rozmowy Samir. Stał na lewo od Elliotta, który go nawet nie zauważył.

- A co jest?

- Król osobiście udzielił nam wyjaśnień. Tak przynajmniej mówił Lawrence. Ramzes nakazał się pochować z całym naleśnym ceremoniałem i modłami, ale nie został zabalsamowany.

Nigdy nie wyniesiono go z celi, w której spisał swoje dzieje.

- Zdumiewający pomysł! - wykrzyknął Elliott. - A czytałeś te napisy? - Wskazał łaciński, tłumacząc: - „Niech nie pada na mnie promień słońca; bo w mroku śpię; poza cierpieniem; poza poznaniem...” Zgodzisz się chyba, że Saden Egipcjanin by tak nie pomyślał.

Twarz Samira sposepniała, gdy patrzył na niewielkie litery.

- Wszędzie wypisane są klątwy i przestrogi. Ciekawość gnała mnie aż do momentu, gdy weszliśmy do tego osobliwego grobowca.

- A teraz się boisz? - Męśczyźni nie powinni mówić sobie takich rzeczy. Ale to była prawda. Julie znajdowała się pod jej urokiem.

- Elliott, przeczytaj notatki ojca - powiedziała. - Muzeum wszystko zabiera i zamyka w skarbcu. Ten człowiek nie tylko twierdzi, że jest Ramzesem. Dzieje się tu znacznie więcej.

- Nie chodzi ci chyba o te bzdury, które wypisują w gazetach? - zdziwił się. - że niby jest nieśmiertelny i kocha Kleopatę? - Popatrzyła na niego jakoś tak dziwnie.

- Ojciec część przetłumaczył - powtórzyła. Zerknęła na bok. - Zostawił mi notatnik. Leśy teraz na jego biurku. Sądzę, że Samir się ze mną zgodzi, że dziennik ojca bardzo cię zainteresuje.

Ale Samira ciągnął gdzieś właśnie Hancock i jakiś blado uśmiecnięty jegomość. Zanim Julie zdążyła ruszyć się z miejsca, zagadnęła ją Lady Treadwell. Czy Julie nie bała się klątwy?

Elliott czuł, jak jej ręka wysuwa się z jego dłoni. Stary Winslow Baker chciał natychmiast zamienić z nim kilka słów. Nie, odejdz. Wysoka kobieta o pomarszczonych policzkach i długich, białych dłoniach stała przed trumną i zapytywała, czy cała ta maskarada nie jest jednym wielkim kawałem.

- Aleś skąd! - zawołał Baker. - Lawrence zawsze wydobywał autentyki. Jestem gotów się o to założyć.

- Po usunięciu tych tkanin - uśmiecnił się Elliott - muzeum będzie mogło dokładnie oznaczyć wiek tych szczątków, oczywiście na podstawie stanu organizmu.

- Lordzie Rutherford, nie poznałam pana - oświadczyła kobieta.

Boże drogi, czy powinien ją rozpoznać? Ktoś ich rozdzielił; wszyscy chcieli zobaczyć ekspozycję. Powinien się odsunąć, ale nie miał na to ochoty.

- Dreszcze przebiegają mnie na myśl o tym, że będą go rozcinać - niemal wyszeptała Julie. - Widzę go pierwszy raz - ciągnęła. - Nie odważyłam się otworzyć trumny sama.

- Chodź, kochanie, chciałbym przedstawić ci starego znajomego - odezwał się nagle Alex.

- AleŜ ojciec, nie stój tyle! Czy zaprowadzić cię na jakieś krzesło?

- Dam sobie radę, Alex - odparł Elliott. Tymczasem po prostu przyzwyczał się do bólu.

Odczuwał go jak ukłucia Malenkich noŜyków w stawach; dzisiaj czuł je nawet w kościach palców. Ale zdarzały się chwile, gdy zupełnie zapominał o cierpieniu.

Został sam na sam z Ramzesem Przeklętym, za sobą widział ławę pleców i ramion.

Doskonała sytuacja.

ZmruŜył oczy i przysunął się do twarzy mumii. Zdziwiająco dobrze zachowana; ani śladu wysuszenia. I z całą pewnością nie jest to oblicze starca, jakim Ramzes był pod koniec swoich sześćdziesięcioletnich rządów.

Usta młodzieńca, a przynajmniej męŜczyzny w kwiecie wieku. Nos smukły, lecz nie kościsty - Anglicy nazywają taki nos arystokratycznym. Wystające kości pod brwiami, oczy teŜ

nie naleŜały do małych. Prawdopodobnie przystojny. Tak, wręcz nie ulegało to wątpliwości.

Ktoś rzucił ze złością, Őe mumia powinna znaleźć się w muzeum. Ktoś inny, Őe jest potworna. I pomyśleć, Őe to wszystko przyjaciele Lawrence'a! Hancock przyglądał się złotym monetom w wyłoŜonej aksamitem gablocie. Obok stał Samir.

Hancock nawet się czegoś czepiał. Elliott znał ten zarozumiały, pewny siebie ton.

- Było ich tylko pięć? Jesteś pewien? - A mówił tak głośno, Őe moŜna by pomyśleć, Őe Samir jest nie tylko Egipcjaninem, ale na domiar złego głuchym Egipcjaninem.

- Zupełnie pewien, juŜ panu mówiłem - odparł z nutą rozdraŝnienia w głosie Samir. - Sam katalogowałem zawartość komnaty.

Jakby wiedziony intuicją, Hancock spojrział na kogoś w drugim końcu sali. Elliott ujrzał

Henry'ego Stratforda, pysznie wyglądającego w gołęzim, wełnianym garniturze i czarnym, jedwabnym krawacie. Śmiał się i rozmawiał, dość chyba nerwowo, z Alexem, i Julie i gromadką młodzieŜy, której w skrytości ducha nie znosił.

Jak zawsze przystojny, pomyślał Elliott. Przystojny tak samo jak wtedy, gdy był

dwudziestoletnim chłopcem. Jego szczupła twarz potrafiła w mgnieniu oka zmienić wyraz ze złudnej bezbronności do odpychającej nikczemności.

Ale czemu Hancock nie spuszcza z niego wzroku? I co szepcze do ucha Samirowi? Samir przyglądał się Hancockowi przez dłuŜszą chwilę, nieznacznie wzruszył ramionami i powoli równieŜ ogarnął

wzrokiem Henry'ego.

Jak to wszystko musi mu być niemiłe, pomyślał Elliott. Na pewno nie cierpi tego niewygodnego, zachodniego garnituru; wolałby swoją jedwabną *gelabiję* i pantofle, do których ma zresztą pełne prawo. Na pewno wychodzimy na strasznych barbarzyńców.

Elliott przeszedł do odległego kąta i opadł na skórzane krzesło Lawrence'a, opierając je o ścianę. Ciśba raz rzedniała, raz gęstniała, ukazując Henry'ego, który odsuwał się od ludzi i rozglądał się niepewnie na wszystkie strony. Jest bardzo subtelny, nie ma nic z czarnego charakteru bohaterów przedstawień teatralnych, ale najwidoczniej coś knuje.

Powoli minął marmurowy stół, wyciągając ku niemu rękę, jakby miał ochotę dotknąć starożytnych zwojów. Tłum znowu się zwarł, ale Elliott cierpliwie czekał. Stojąca przed nim grupka ostatecznie się rozproszyła i oto ujrzał Henry'ego, zaledwie kilka metrów od siebie, zerkającego na naszyjnik leżący na szklanej półeczce: jedną z licznych pamiątek, które Lawrence przed wielu laty przywiózł do domu.

Czy ktokolwiek widział, jak Henry bierze naszyjnik i przygląda mu się czule niczym antykwariusz? Czy ktokolwiek widział, jak wsuwa go sobie do kieszeni i odchodzi z obojętnym wyrazem twarzy i ściągniętymi ustami?

A to łotr.

Elliott tylko się uśmiechnął. Wypił łyk schłodzonego, białego wina i poślaował, że to nie sherry. Poślaował, że był świadkiem tej drobnej kradzieży. że w ogóle zobaczył Henry'ego.

Jego własne, skryte wspomnienia ze spotkań z Henrym pozostawały bolesne, być może dlatego, że nigdy się nimi z nikim nie podzielił. Nawet z Edith, chociaż wyznał jej wiele obrzydliwości, których dopuścił się w czasach, gdy wino i filozofia zdawały mu się to nakazywać; ani z katolickimi księżmi, z którymi czasami toczył rozmowy o niebie i piekle, tak pełne pasji, że nie mógłby sobie na nie pozwolić z nikim innym.

Zawsze powtarzał sobie, że jeżeli nie będzie wracał myślą do tych mrocznych czasów, to o nich zapomni. Ale ich groza pozostawała ciągle żywa, mimo że upłynęło już dziesięć lat.

Niegdyś bowiem kochał się w Henrym Stratfordzie. A Henry był w życiu Elliotta jedynym kochankiem, który usiłował go szantażować.

Naturalnie nic mu z tego nie wyszło. Elliott zaśmiał mu się w twarz. Uciekł się do wypróbowanego sposobu:

- Co, mam o wszystkim opowiedzieć ojcu? A może twojemu wujowi Lawrence'owi?

Będzie się na mnie wściekał... przez jakieś pięć minut. Ale tobą, ukochanym bratankiem, będzie pogardzał do końca życia, bo rozumiesz, ja opowiem mu o wszystkich szczegółach, włącznie z sumą pieniędzy, której się domagasz. Ile to było? Pięćset funtów? Nie zapominaj, że bardzo się dla niej poniżałem.

Potem Henry starannie go unikał. To był dla niego cios.

Elliott powinien traktować to jako tryumf, ale nic nie zdołało osłodzić goryczy ogólnego upokorzenia. Dwudziestodwuletni Henry - Śmija z twarzą anioła - natarł na Elliotta w paryskim hotelu jak pierwszy lepszy chłopiec z pospólstwa.

Na dodatek drobne kradzieŜe. W godzinę po wyjściu Henry'ego Elliott odkrył, Őe nie ma papieroŝnicy, portfela i całej gotówki. Zniknął szlafrok i spinki do mankietów. I jeszcze parę drobiazgów, których juŜ nie pamiętał.

Nigdy nie zdołał zmusić się do ujawnienia całej tej klęski. Ale teraz miał wielką ochotę przyprzeć Henry'ego do muru, podejść do niego i zapytać o naszyjnik, który przed chwilą znalazł

się w jego kieszeni. Czy Henry zamierzał odłoŜyć go w to samo miejsce co złotą papieroŝnicę, wykwinny portfel i diamentowe spinki? Czy teŜ zanieść go do tego samego lombardu?

Bardzo to wszystko przygnębiające. Henry był swego czasu zdolnym młodzieńcem, ale zszedł na złą drogę, mimo wykształcenia, dobrej krwi i niezliczonych Őyciowych szans. W

hazard wpadł jeszcze jako chłopiec. Picie stało się chorobą w wieku dwudziestu pięciu lat, a teraz, gdy miał juŜ lat trzydzieŝci dwa, nabrał złowieszczonego wyglądu, który nie uwydatniał

urody, lecz czynił go dziwacznie odpychającym. A kto to odcierpiał? Naturalnie Randolph, który wbrew oczywistoŝci wierzył, Őe upadek syna nastąpił z jego winy.

Niech go wszyscy diabli, pomyślał Elliott. Niewykluczone, Őe w romansie z Henrym szukał jakiegoŝ odbłasku płomienia, który wybuchł, gdy był z Lawrence'em, i całą winę ponosił

sam - szukał wuja w bratanku. ChociaŜ wszystko zaczęło się zupełnie niewinnie. Jakby dobrze się zastanowić, to Henry starał się o niego. Tak, niech go diabli.

Przyszedł tu dla mumii. A ludzka ciŜba jakby znowu się przerzedziła. Wziął od przechodzącego kelnera następny kieliszek wina, stanął na nogach, nie zwaŜając na rozdzierający ból w lewym biodrze, i wrócił do powaŜnej postaci w trumnie.

Przyjrzał się jeszcze raz twarzy, ponuro zaciŝniętym ustom i mocno zarysowanemu podbródkowi. Zdecydowanie był to męŝczyzna w kwiecie wieku. Pod nabrzmiałymi bandaŜami widać było pojedyncze kosmyki włosów, przylegające do wygolonej czaszki.

Uniósł kieliszek w geŝcie pozdrowienia.

- Ramzesie - szepnął, przysuwając się. Po czym przeszedł na łacinę. - Witamy w Londynie. Wiesz, gdzie jest Londyn? - Zaśmiał się cicho, rozbawił go fakt, Őe rozmawia z trupem po łacinie. Potem zacytował kilka zdań z opowieŝci Cezara o podboju Brytanii.

- Właŝnie tu się znalazłeŝ, wielki królu - dodał. Próbował mówić po grecku, ale kiepsko mu to

wychodziło, więc poprzestał na łacinie. - Mam nadzieję, że to przeklęte miasto podoba ci się bardziej niż mnie.

Znienacka dobiegł go cichy szelest. Skąd? Czy to nie dziwne, że słyszał go tak wyraźnie, kiedy naokoło nie ustawał rozgardiasz? Ale wszystko wskazywało na to, że dźwięk wyszedł ze stojącej przed nim trumny.

Znowu przyjrzał się twarzy. Potem ręką przywiązany przegniłymi bandażami, które sprawiały wrażenie, jakby mogły lada chwila odpaść. W brudnej tkaninie widniało rozdarcie, ukazujące strój mumii w miejscu krzyżowania się nadgarstków. Niedobrze. Trup rozkłada się na jego oczach. Do tego dochodzi może robota mikroskopijnych pasożytów. Należy to powstrzymać.

Spojrzał na nogi mumii. To był już powód do niepokoju. Na jego oczach pył, tworząc na podłodze niewielką kupkę, opadał chyba z dziwacznie wykręconej, prawej ręki, na której bardzo popękał całun.

- Dobry Boże, Julie musi to natychmiast odesłać do muzeum - wyszeptał. W tej chwili dosłyszał znowu ten dźwięk. Szelest? Nie, coś jeszcze cichszego. Tak, trzeba się tym porządnie zająć. Bóg wie, jakie działanie ma londyńska wilgoć. Ale przecież Samir powinien to wiedzieć. I Hancock też.

Znowu przemówił do mumii po łacinie.

- Ja też nie lubię wilgoci, królu. Wszystko mnie od niej boli. I właśnie z tego powodu wracam już do domu, zostawiając cię w gronie czcicieli.

Odwrócił się, wsparł mocno na lasce, chcąc zmniejszyć ból w lewym biodrze. Raz jeszcze się obejrzał. Mumia wyglądała bardzo solidnie, jakby w ogóle nie wysuszył jej egipski śar.

* * *

Daisy przyglądała się małemu naszyjnikowi, który Henry zapinał jej na karku. W jej garderobie pełno było kwiatów, butelek czerwonego wina, chłodzącego się w lodzie szampana i innych darów, lecz śaden nie pochodził od mężczyzny równie przystojnego jak Henry Stratford.

- Jakiś dziwny - odrzekła, przechylając głowę. Cienki, złoty łańcuszek i jakiś malowany drobiazg na końcu, tak to wyglądało.

- Skąd go wzięłaś?

- Jest wart więcej niż świecidełka, które przed chwilą zdjęłaś - uśmiechnął się Henry. Z

trudem formułował zdania. Był pijany. Co oznaczało, że będzie albo podły, albo bardzo, bardzo słodki.

- Chodź, kaczuszek, idziemy do Flinta. Czuję, że dopisze mi niezwykle szczęście, a w kieszeni dziurę wypala mi sto funtów. Rusz się.

- I chcesz mi powiedzieć, że twoja kuzynka siedzi w domu sama z tą świecą trumną w stołowym?

- A co mnie to obchodzi? - Złapał szal z białego lisa, który jej kupił, i zarzucił go jej na ramiona. Potem wyprowadził ją z garderoby w stronę drzwi na scenę.

U Flinta roilo się od gości. Nie znosiła dymu i cierpkiego odoru alkoholu, ale zawsze sprawiało jej radość, że może tu przy nim być, gdy ma pieniądze i jest w stanie uniesienia. Na dodatek, gdy szli w stronę ruletki, pocałował ją w policzek.

- Znasz zasady. Stoisz po mojej lewej, ale tylko po lewej. To zawsze przynosiło szczęście.

Kiwnęła głową. Ilu tu przystojnych dżentelmenów; kobiety chodzą wprost obładowane biżuterią. Tymczasem ona ma na szyi coś tak idiotycznego. Zaniepokoiła się.

Julie wzdrygnęła się. Co to za odgłos? Poczwała niejasne zakłopotanie, stając w półmroku biblioteki.

Gotowa była przysiąc, że wyczuwa czyjąś obecność. Nie słyszała żadnych kroków, tylko wiele cichych odgłosów, sugerujących, że gdzieś tu obok jest druga osoba.

Spojrzała na półmroku we śnie mumię. W półmroku wyglądała jak posypana cienką warstwą popiołów. A jaki ma posępny, zacięty wyraz twarzy. Julie przedtem nie zwracała na to uwagi. Mumia sprawiała wrażenie zmagającej się z koszmarem. Julie prawie widziała zmarszczkę na jej czole.

Czy to dobrze, że nie nałożyli z powrotem wieka? Nie miała pewności. Ale było już za późno. Przymknęła sobie, że sama nie będzie niczego dotykać i że musi iść spać. Jeszcze nigdy w życiu nie odczuwała takiego znużenia. Starzy znajomi ojca jakby w ogóle nie mieli zamiaru odejść. A potem do środka przedarli się dziennikarze. Ale mieli tupet! Strażnicy w końcu ich wyrzucili, ale reporterzy zdążyli już zrobić mumii mnóstwo zdjęć.

Zegar wybijał pierwszą. A w domu nie było nikogo. Dlaczego drżała? Podeszła szybko do drzwi wejściowych i już miała założyć rygiel, gdy przypomniała sobie o Henrym. Miał ją chronić i dotrzymać jej towarzystwa. Ale dziwne, że od powrotu nie odezwał się do niej ani jednym serdecznym słowem. Z pewnością nie było go w pokoju na górze. Mimo to... Nie zaryglowała drzwi.

* * *

Wyszedł na opustoszałą ulicę, na której panowało dokuczliwe zimno. Szybko założył rękawiczki.

Niepotrzebnie ją uderzyłem, pomyślał. Nie powinna się jednak wtrącać. Wiedział, co robi.

Dziesięciokrotnie zwiększył pulę pieniędzy! Gdyby tak jeszcze przy ostatnim rzucie! A gdy chciał wypisać weksel, krzyknęła: „Przecież ci nie wolno!” I jak wtedy na niego spojrzeli! Wiedział, ile jest winien. Wiedział, co robi. Na dodatek ten męt Sharples. Jakby bał się kogoś takiego, jak on!

A tu z zaułka wyłonił się właśnie Sharples. Przez chwilę nie miał pewności. Było ciemno, tuś nad ziemią przewalały się kłęby mgły, ale w smudze światła, padającej z okna na piętrze, ujrzał dziobatą facjatę tamtego.

- Zejdź mi z drogi.

- Znowu pech, proszę pana? - Zrównali się krokiem. - A panienska kosztuje. Zawsze była droga, proszę pana, nawet gdy pracowała u mnie. A widzi pan, ja jestem hojnym człowiekiem.

- Zostaw mnie samego, idioto. - Przyspieszył kroku. Latarnia, do której się zbliśali, nie paliła się. O tej porze trudno spodziewać się dorośek.

- Ale najpierw trochę procentów, proszę pana.

Henry zamarł w bezruchu. Moneta Kleopatry. Czy ten idiota uświadamiał sobie, ile była warta? Zmienacka poczuł, jak palce tamtego wpijają mu się w ramię.

- Ani się waś! - Odsunął się, po czym wolno wyjął monetę z wewnętrznej kieszeni płaszcza, oglądał ją w przyćmionym świetle, unióś brwi i spojrzał na męśczyznę, który nagle wyrwał mu ją z ręki.

- Piękna, proszę pana, bardzo piękna. Prawdziwy arche... o... logiczny cud! - Obracał

monetę w palcach, jak gdyby rzeczywiście rozumiał coś z napisów. - Zwędził ją pan, nie mylę się? Z odkrycia pańskiego wuja?

- Chcesz, to bierz!

Sharples ukrył monetę w pięści, niczym magik, pokazujący dziecku sztuczkę.

- Nawet nie zadrśała panu ręka. - Wsunął pieniąśek do kieszeni. - Czy jeszcze leśał na ziemi i dyszał, gdy ją pan kradł? Czy teś odczekał pan, aś wyzionie ducha?

- Idź do diabła!

- To wystarczy, proszę pana, zaledwie na pokrycie części długów wobec mnie i dśentelmenów u Flinta.

Henry obrócił się na pięcie; poprawił cylinder, śeby lepiej chronił go przed siekącym wiatrem i ruszył szybszym krokiem w stronę rogu. Za plecami słyszał, jak buty Sharplesa postukują o płyty chodnika. Przed sobą, w mglistej ciemności, nie widział nikogo. Z tyłu teś nie było śywej duszy, gdzieś w oddali zniknęła smuśka światła, sącząca się spod drzwi u Flinta.

Słyszał, jak Sharples się zbliśa. Włośył rękę do kieszeni płaszcza. Nóś. Powoli go wyciągnął, otworzył ostrze i mocno chwycił za rękojesc.

Nagle poczuł na plecach dotyk Sharplesa.

- Coś mi się zdaje, że naleśy się panu mała nauczka, jak się spłaca długi - odezwał się.

Dłoń Sharplesa spoczęła na jego ramieniu, ale Henry błyskawicznie się obrócił, uderzając Sharplesa kolanem i wytrącając go na moment z równowagi. Henry celował w lśniący aksamit kamizelki przeciwnika, gdzie nóg mógłby bez przeszkody wejść między śebra. I ku swojemu zdumieniu poczuł, jak ostrze zagłębia się w pierś tamtego. Ujrzał białe zęby Sharplesa, który otworzył usta w bezgłośnym krzyku.

- Dureń! Mówiłem, żebyś dał mi spokój. - Wyjął nóg i dźgnął raz jeszcze. Tym razem usłyszał, jak rozdziera jedwab i odsunął się gwałtownie, drżąc na całym ciele.

Tamten zrobił kilka chwiejnych kroków. Padł na kolana. Łagodnie osunął się do przodu, skulony, wreszcie powoli przewrócił się na bok, a bezwładne ciało znieruchomiało.

Henry nie widział w ciemności jego twarzy, tylko martwą postać. Paraliżowało go przenikliwe zimno. W uszach słyszał łomot serca, tak jak wtedy w Egipcie, gdy stał nad martwym ciałem Lawrence'a.

Do diabła z nim! Niepotrzebnie ze mną zaczynał! Oślepiła go furia. Nie mógł ruszyć prawą ręką, bo mimo rękawicy tak bardzo zmarzła, trzymając nóg. Ostrośnie wziął go w lewą rękę, złośliwie i schował.

Rozejrzał się dookoła. Cisza, pusto. Tylko w oddali szum silnika samochodu na jakiejś ulicy. Gdzieś kapiała woda, jakby z pękniętej rynny. A na niebie jakby nieco się rozjaśniało -

firmament przybierał szarą barwę łupka.

Ukląkł. Znowu wyciągnął rękę w stronę lśniącego jedwabiu, starannie omijając mokrą plamę, która coraz bardziej się rozlewała, i odsunął połą płaszcz. Portfel. Wypchany, pełen pieniędzy!

Nawet nie przyjrzał się zawartości, tylko włożył portfel do tej samej kieszeni co nóg.

Następnie obrócił się na pięcie, uniósł brodę i ruszył swawym, głośnym krokiem, po pewnym czasie zaczął nawet gwizdać.

Już później, gdy usadowił się w dorośce, wyciągnął portfel. Trzysta funtów. No, nie najgorzej. Ale gdy tak wpatrywał się w zwitek brudnych banknotów, niespodziewanie ogarnął go popłoch. Miał wraśenie, że odebrało mu mowę i zdolność ruchów, a za niewielkim oknem kebu widział tylko brudnoszare niebo ponad dachami przygnębiających czynszówek, i nie przychodziło mu do głowy nic, czego by chciał, mógłby chcieć albo co byłoby zdolne złagodzić wypełniającą go beznadzieję.

Trzysta funtów. Ale nie zabił tamtego ze względu na pieniądze. Zresztą kto wie, że kogokolwiek zabił? Wuj Lawrence zmarł na atak serca w Kairze. Co do Sharplesa, śłośnego lichwiarza, którego poznał pewnego wieczoru u Flinta, cóś, zginął pewnie z ręki podobnych mu zbirów. Którzy zaskoczyli go w ciemnej ulicy i wsadzili nóg między śebra.

Właśnie taki był przebieg wypadków. Bo ktoś skojarzy go z tą ponurą aferą?

Nazywał się Henry Stratford, był wiceprezesem Stratford Shipping, członkiem szacownej rodziny, którą wkrótce, przez małżeństwo, złączył z Rutherford. Nikt nie odważyłby się...

Teraz zwróć uwagę na kuzynkę. Wy tłumaczy, że ostatnio niezbyt dopisywało mu szczęście. Już

ona znajdzie jakąś tłustą sumkę, założy trzy razy większą od tej, którą trzyma w ręku, bo ona pojmie, że straty, jakie poniósł, są tylko przejściowe. I z wielką ulgą je zrekompensuje.

Kuzynka, jedyna siostra. Niegdyś bardzo się kochali. Miłością, jaka zdarza się tylko między bratem i siostrą. O wszystkim jej przypomni. Ona nie będzie stawiać mu żadnych przeszkód, a on tymczasem nieco odpocznie.

To były ostatnie czasy najgorsze. Ciągle czuł się zmęczony.

Julie podreptała po schodach w domowych pantoflach, w jednej ręce trzymając, Œeby się nie potknąć, fałdy koronkowego peniuaru. Rozpuszczone włosy opadały brązowymi falami na ramiona i plecy.

W bibliotece ujrzała najpierw słońce - wielką, błogosławioną powódź Œóltego światła, zalewającą oranŜerię za otwartymi drzwiami, iskrzącą się wśród paproci, igrającą na strumieniach fontanny i wielkiej, liściastej sieci, sięgającej szklanego dachu.

Długie, ukośne promienie padały na maskę Ramzesa Wielkiego w mrocznym kącie, na ciemne barwy orientalnego dywanu i na samą mumię, stojącą pionowo w otwartej trumnie: opatulona twarz i kończyny przybierały w świetlistej mgiełce barwę złota, niczym pustynny piasek w południe.

Na oczach Julie w pomieszczeniu pojaśniało. Promienie rozbłyły nagle na złotych monetach Kleopatry, leŜących na aksamitnej wyściółce. Œwiatło zadrŜało na marmurowym popiersiu królowej, patrzącej zalotnym wzrokiem półprzymkniętych oczu. Padło na przezroczysty alabaster długiego rzędu słoŒów. Skrzyło się na wszechobecnych w pokoju, złotych elementach, na poŒlacanych tytułach i na grzbietach wielu oprawnych w skórę ksiąŜek. Rozpaliło głęboko wytłoczony napis „Lawrence Stratford” na aksamitnej okładce dziennika, leŜącego na biurku.

Julie stała nieruchomo, pozwalając zalać się fali ciepła. Ulatniał się mroczny, duszny zapach. MoŜna było odnieść wrażenie, iŜ mumią porusza się w coraz jaskrawszym oŒwietleniu, jakby reagowała na ciepło. Jakby wzdychała niczym rozwierający się kwiat. Co za niepokojące złudzenie. Rzecz jasna, mumią wcale się nie poruszała; a mimo to sprawiała wrażenie bardziej zaokrąglonej; barki i ręce miała silniejsze, a palce wyciągnięte, jak gdyby tętniły Œyciem.

- Ramzesie... - szepnęła Julie.

Wtedy rozległ się dźwięk, ten sam, który wystraszył ją wczorajszej nocy. Ale nie, to nie Œaden dźwięk. To tylko oddech tego wielkiego domu: drewna i tynku, reagujących na poranne ciepło. Przymknęła na chwilę oczy. Wtedy w holu rozległy się kroki słuŜącej. Naturalnie, to od samego początku była Rita. Te odgłosy znajdującej się gdzieś bardzo blisko osoby: bicie serca, oddech, szelest ubrania w ruchu to jej sprawa.

- Mówię panience, Œe wcale mi się nie podoba, Œe to tutaj jest w domu - zaczęła Rita. Czy to ojciec słuŜącej Œciera delikatnie kurze z mebli w salonie?

Julie nie odwracała się. Patrzyła na mumię. Podeszła i zajrzała jej w twarz. Bo Œe, wczoraj wieczorem w ogóle nic nie widziała. W ciepłym Œwietle postać wyglądała zupełnie inaczej. W te całuny okutano Œywego niegdyś, oddychającego człowieka.

- Zaklinam się, panienko, Œe na jej widok przebiegają mnie ciarki.

- Nie wygłupiaj się, Rito. Bądź tak dobra i przynieś mi kawy. - Przysunęła się jeszcze bliŜej. PrzecieŜ nie ma nikogo, kto zdołałby ją powstrzymać. Mogła swobodnie dotknąć mumi.

Słuchała odgłosu kroków Rity. Słyszała, jak otwierają i zamykają się kuchenne drzwi. Wtedy rzeczywiście wyciągnęła rękę i dotknęła płóciennych bandaŝy na prawej ręce. Zbyt miękkie, zbyt kruche. I ciepłe od słońca!

- Nie, to nie wyjdzie ci na dobre, prawda? - zwróciła się do mumii, jakby nie chciała być nieuprzejma. - Ale nie chcę, ŝeby cię zabierali. Będzie mi cię brakować. Ale obiecuję ci przynajmniej tyle, ŝe nie dam cię rozciąć.

Czy pod bandaŝami widziała na czaszce ciemnobrązowe włosy? Był ich chyba cały gąszcz, przciŝnięto je boleŝnie mocno do czaszki, która sprawiała przez to okropne wraŝenie.

Ale jej uwagę zwróciła całość, co kazało jej zapomnieć o szczegółach. Ta figura miała wyrazistą osobowość, jaką czasem miewają piękne rzeźby. Wysoki, barczysty Ramzes z głową pochyloną na znak rezygnacji.

Wróciło dojmujące wspomnienie słów w dzienniku.

- Ty rzeczywiście jesteś nieśmiertelny, mój drogi. Juŝ ojciec o to zadbał. Moŝesz przeklinać go za otwarcie grobowca, ale dzięki temu zobaczą cię tysiące i znajdziesz się na tysiącach ust. Będziesz ŝył wiecznie...

Dziwnie zbierało jej się na płacz. Ojciec nie ŝyje. A tu stoi mumia, która miała dla niego takie znaczenie. On w jakimś bezimiennym grobie w Kairze, a Ramzes Przeklęty atrakcją Londynu.

Z zamyŝlenia wyrwał ją głos Henry'ego.

- Rozmawiasz z tym trupem dokładnie tak jak ojciec.

- Boŝe, nie miałam pojęcia, ŝe tu jesteś! Skąd się wzięłaś?

Stał pod łukiem między dwoma salonami, a jego serŝowa peleryna zwisała niedbale z ramienia. Nie ogolony, zapewne pijany. I ten uŝmieszek. Aŝ ciarki przebiegają po grzbiecie.

- Mam za zadanie się tobą opiekować - oznajmił. - Pamiętasz?

- Oczywiście. Jestem pewna, ŝe nie posiadasz się z radości.

- Gdzie klucz do barku z alkoholami? Jest zamknięty? Po kiego licha Oscar to robi?

- Oscara nie ma. Wraca jutro. A tobie znacznie bardziej przydałaby się kawa.

- Czyŝby? - Zdjął pelerynę i aroganckim krokiem ruszył w jej stronę, omiatając egipski pokój takim spojrzeniem, jakby nie wszystko mu się tutaj podobało.

- Zawsze moŝna na ciebie liczyć, co? - Znowu uŝmiechnął się z goryczą. - Towarzyszko dziecinnych zabaw, kuzynko, siostrzyczko. Nie znoszę kawy! Znacznie bardziej wolałbym kieliszek porto lub sherry.

- Nie mam niczego takiego. W takim razie może pójdziesz na górę i trochę się prześpisz?

Rita stanęła w progu i chyba czekała na polecenia.

- Dla pana Stratforda tak może poproszę kawę - zakomenderowała Julie, ponieważ on stał

bezczyinnie. Wszystko wskazywało na to, że nigdzie się nie wybiera. Wpatrywał się w mumię tak, jakby coś go w niej przestraszyło.

- Czy ojciec naprawdę z nią tak rozmawiał? - spytała Julie. - Tak, jak ja przed chwilą?

Nie odpowiedział od razu. Podeszedł do alabastrowych słoików, skulony, lecz ciągle zachowujący arogancką pozę.

- Tak, przemawiał do niej, jakby miała mu odpowiedzieć. I na dodatek po łacinie. Moim zdaniem twój ojciec miał coś nie w porządku z głową. Zbyt długo uganiał się po pustyniach, wyrzucając pieniądze na trupy, posągi, ozdóbki i tandetę.

Jak bolały te jego słowa. Tak nie wyważone, a mimo to dyszące nienawiścią. Stał przed jednym ze słoików, odwrócony do niej plecami. W lustrze widziała, jak z nieprzyjemnym grymasem przypatruje się naczyniu.

- To przecież jego pieniądze - odparła. - A zarobił je dla nas wszystkich, tak mu się przynajmniej zdawało.

Gwałtownie obrócił się na pięcie.

- Co to ma znaczyć?

- że ty zawsze miałeś kłopoty z pieniędzmi.

- Robiłem wszystko, co w mojej mocy. A kto dał ci prawo sądenia? - zapytał. Przez chwilę, gdy słońce oświetliło mu rysy, wyglądał na przerażającego nikczemnika.

- A co powiesz o akcjonariuszach Stratford Shipping? Ty dla nich też się starałeś? Czy w tym przypadku również nie mam prawa cię osądzać?

- Licz się ze słowami, mała. - Zbliżył się do niej. Jedno bezczelne spojrzenie posłał

mumii, jakby była to osoba, której nie sposób było zlekceważyć, po czym stanął do niej nieco bokiem, zmrużył oczy i wbił je w Julie.

- Ja i ojciec to cała rodzina, jaka ci pozostała. Potrzebujesz nas bardziej, niż sobie być może wyobrażasz. W sumie, co ty w ogóle wiesz o handlu albo o Segludze morskiej?

Zadziwiająca. Znalazł dobry argument, który zaraz własnoręcznie unicestwił. Obydwaj byli jej potrzebni, ale nie miało to nic wspólnego z handlem ani o Segludę morską. Potrzebowała ich, bo byli z

tej samej krwi, a handel i Śegluga mogły pójść w kąt.

Nie chciała okazywać urazy. Odwróciła się i popatrzyła przez podwójny salon w kierunku białych, północnych okien od przodu domu, gdzie jakby jeszcze nie zaczął się ranek.

- Znam się co nieco na rachunkach, kuzynie - powiedziała - co stawia mnie w niezręcznym i raczej bolesnym położeniu.

Z ulgą zobaczyła, że w holu pojawia się Rita, z plecami przygiętymi od ciężaru srebrnego serwisu, który niosła. Postawiła go na stoliku w tylnym salonie, kilka kroków od miejsca, gdzie stała Julie.

- Dziękuję, moja droga. To na razie wszystko. Obrzucając mumię znaczącym spojrzeniem, Rita odeszła.

I Julie znów została sama na samą z tą dotkliwie bolesną sceną. Odwróciła się powoli i ujrzała, że kuzyn stoi przed Ramzesem.

- Czyli powinienem przejść od razu do rzeczy - zwrócił się w jej stronę. Poluzował

jedwabny krawat, wreszcie zdjął go i wepchnął do kieszeni. Ruszył w jej stronę, niemal powłócząc nogami.

- Wiem, czego chcesz - zaczęła. - Czego chcecie ty i wuj Randolph. Co więcej, wiem, ile wam potrzeba. To, co zostawił ojciec, wystarczy za ledwie na spłacenie części twoich długów.

Boże, do czego ty doprowadziłeś!

- Ale z ciebie święta - stwierdził Henry. Stał tyłem do słonecznego okna i mumii.

- Sufrażystka, mały archeolog. Teraz spróbujemy zająć się interesami, tak?

- Tak jest - odparła zimno. Jego złość rozpaliała jej gniew.

- A jakie mam inne wyjście? Mam pozwolić, żeby wszystko przeciekło przez palce twojego ojca? Boże, jak mi ciebie śal!

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał. Oddech Henry'ego śmierdzał alkoholem, a twarz pokrywał cień nierównego zarostu. - Jesteś za naszą rezygnacją? Tak?

- Jeszcze nie wiem. - Odwróciła się do niego plecami. Przeszła do salonu od frontu i otworzyła mały sekretarzyk. Usiadła przy nim i wyjęła książkę weksli bankowych. Otworzyła buteleczkę z atramentem.

Słyszała, jak mężczyzna przemierza pokój za jej plecami, gdy wypisywała czek.

- Powiedz mi, kuzynko, jak czuje się osoba, która ma więcej, niż byłaby w stanie wydać, tyle, że nie potrafiłaby wszystkiego nawet zliczyć? I która nie kiwnęła palcem, żeby to zdobyć?

Odwróciła się i, nie spoglądając na niego, podała mu czek. Wstała i podeszła do okna.

Uniosła firankę i wyjrzała na ulicę. Odejdź Henry, proszę, myślała tępo, rozpaczliwie. Nie chciała robić krzywdy wujowi. Nikomu. Ale co mogła na to poradzić? Od lat wiedziała o defraudacjach Randolpha. Rozmawiali na ten temat z ojcem, kiedy była ostatni raz w Kairze.

Naturalnie zamierzał wziąć sprawę w swoje ręce. Jak zwykle. Teraz przypadło to w udziale jej.

Odwróciła się gwałtownie. Cisza wzbudziła w niej niepokój. Zobaczyła, że kuzyn stoi w pokoju egipskim. Wpatrywał się w nią zimnym i pozbawionym życia wzrokiem.

- A gdy wyjdiesz za Alexa, czy nas wydziedziczysz?

- Na miłość boską, Henry, odejdź i zostaw mnie w spokoju.

Wstrząsający był widok jego twarzy, tej twardości rysów. Młodość miał już raczej za sobą. Ze swoimi zwyczajami, poczuciem winy i hipokryzją zachowywał się jak starzec. Litość, pomyślała. Co jeszcze można dla niego zrobić? Dać mu fortunę, żeby przepuścił ją w tydzień?

Znowu się odwróciła i spojrzała na zimową londyńską ulicę.

Poranni przechodnie. Niania z naprzeciwka, wioząca w wiklinowym wózku bliźniaki.

Staruszek, idący szybkim krokiem z gazetą pod pachą. I strażnik z British Museum, stojący beczynnie na schodach tuż pod oknem. Dalej, przed domem wuja Randolpha, służąca Sally trzepała przed drzwiami wejściowymi chodnik, pewna, że o tej porze nikt tego nie widzi.

Czemu z obydwu pokoiów za jej plecami nie dochodził żaden dźwięk? Czemu Henry nie wybiegł, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi? Możliwe, że się wymknął, ale nie, usłyszała nieostrożny odgłos, jakby ktoś ukradkiem trącał łyżeczką o porcelanę. Ta przeklęta kawa.

- Nie wiem, jak mogło do tego dojść - powiedziała, ciągle nie oglądając się za siebie. -

Fundusze powiernicze, pensje, dodatki, obaj mieliście wszystko.

- Niestety, nie wszystko. Wszystko masz ty - dobiegł zza pleców głos.

Odgłos nalewanej kawy. Na miłość boską!

- Słuchaj, koleśko - zaczął ściszym, nerwowym głosem. - Tak samo jak ty wolałbym zakończyć tę kłótnię. Chodź. Siadaj. Napijmy się kawy jak cywilizowani ludzie.

Zastygła w bezruchu. Ten jego gest napędliał ją obawami gorszymi niż gniew.

- Chodź, napijmy się kawy, Julie.

Czy była jakaś droga ucieczki? Szła ze spuszczoną głową, unosząc ją tylko wtedy, gdy wydawało jej

się to konieczne, w kierunku Henry'ego, który trzymał w wyciągniętej ręce filiśankę parującej kawy.

Sytuacja była co najmniej osobliwa, sposób, w jaki ją częstował, jego pusty wzrok.

Ale nie miała zbyt wiele czasu, Œeby się nad tym zastanowić. Stała bowiem jak wryta na widok tego, co zobaczyła za jego plecami. Sprzeciwiało się to zdrowemu rozsądkowi, ale Œwiadectwo zmysłów było jednoznaczne.

Mumia poruszyła się. Wyciągnęła prawą rękę, z której zwisały strzepy tkaniny, i wyszła ze złoconej trumny! Krzyk ugrzął jej w gardle. To coś szło w jej stronę - w stronę Henry'ego, który stał tyłem - niepewnym krokiem, z wyciągniętą ręką, znad przegniętego płótna unosił się pył, pokój wypełniał swąd kurzu i rozkładu.

- Co się z tobą, u diabła, dzieje?! - zawołał Henry. Ale mumia stała tuŒ za nim.

Wyciągnięta ręka zacisnęła mu się na gardle.

Krzyk ciągle tkwił w krtani. SparaliŒowana grozą, usłyszała tylko głuchy wrzask, dobywający się gdzieś z jej wnętrzości, podobny do tych z najstraszniejszych koszmarów.

Henry odwrócił się, odruchowo unosząc ręce w obronnym geście, filiśanka kawy z brzękiem spadła na srebrną tacę. Wydusił z siebie głuchy ryk, mocując się z duszącą go istotą.

Chwycił kurczowo cuchnącą tkaninę. Kłęby pyłu uniosły się, gdy mumia wyswobodziła lewą rękę i chciała teraz zacisnąć je obie na szyi ofiary.

Wydając z siebie nieludzki pisk, Henry odepchnął mumię i zaczął uciekać na czworakach.

W mgnieniu oka stanął na nogi i czmychnął. Przebiegł pokój gościnny, marmurowe płyty holu i znalazł się u drzwi.

PrzeraŒona Julie, której odebrało mowę, wpatrywała się w potworną postać, klęczącą przy stole. Mumia cięŒko dyszała, z trudem chwytała oddech. Julie nawet nie słyszała, gdy Henry otwierał i zatrząskiwał drzwi.

Nigdy nie przeŒyła chwili, która do tego stopnia burzyłaby zasady zdrowego rozsądku.

DrŒąc, odsuwała się od obdartej istoty, od trupa, który oŒył, a teraz nie starczało mu sił, Œeby stanąć na nogi.

Czy na nią patrzył? Czy pod strzępami bandaŒy błyszczały oczy? Niebieskie? Wyciągnął rękę w jej stronę. Całe jej ciało przebiegł zimny dreszcz. Zalała ją fala mdłości. Nie mdlej.

Cokolwiek by się stało, nie mdlej.

Znienacka mumia odwróciła się. Zupełnie Œwiadomie popatrzyła na trumnę, a moŒe na oranŒię, do

której przez dach lało się światło. Leżała wyczerpana na orientalnym dywanie, po chwili wyciągnęła rękę w stronę wielkiej powodzi porannego światła.

Julie znów usłyszała oddech stwora. Syje! Dobry Boże, on Syje! Usiłował czołgać się naprzód, unosząc potężny tors, a następnie na podobieństwo płaza odpychał się kolanami. Pełznął

cał za całem, oddalając się od niej, a wreszcie dotarł do pierwszego promienia słońca, który przenikał do biblioteki. Tam zatrzymał się i zaczerpnął tchu, jakby oddychało nie powietrzem, a światłem. Uniósł się nieco wyżej na łokciach i zaczęło szybciej pełznąć w kierunku oranżerii.

Płócienne bandaże wlokły się za nogami. Na chodniku zostawała smuga kurzu. Bandaże na rękach rozpadały się na kawałki. Strzępy płótna odpadały i zdawały się rozkładać pod wpływem światła.

Julie machinalnie ruszyła jego śladem, trzymając się w bezpiecznej odległości, ale nie mogąc stanąć w miejscu, nie mogąc powstrzymać się od patrzenia na posępny marsz mumii przez drzwi oranżerii.

Ta weszła w największy Śar słońca, po czym niespodziewanie zatrzymała się i przewróciła na plecy. Jedna ręka uniosła się w stronę szklanego sufitu, a druga opadła bezwładnie na piersi.

Julie bezszelestnie przeszła do oranżerii. Cały czas nie mogła opanować drżenia, jednak sunęła naprzód, by w końcu stanąć bezpośrednio nad tym stworzeniem.

Ciało rośnie w słonecznym blasku! Na jej oczach stawało się coraz potężniejsze! Słyszała odgłos pękających bandaży. Widziała, jak pierś unosi się i opada w regularnym oddechu.

I ta twarz, Boże, ta twarz. Pod cienką tkaniną znajdowały się otwarte oczy, duże, lśniące, niebieskie oczy. Istota podniosła nagle rękę i zdarła bandaże. Tak, ogromne, piękne, niebieskie oczy. Jeszcze jedno pociągnięcie i odpadły bandaże na czaszce, odsłaniając gęstą czuprynę brązowych włosów.

Następnie przyklęknął z dyskretnym wdziękiem i włożył zabandażowane ręce do fontanny, nabierając garście roziskrzzonej wody i donosząc je do ust. Pił i pił, z hałasem pochłaniając duże łyki. Skończył i spojrzał w jej stronę, zdecydowanym ruchem ręki zdzierając z twarzy fragment grubej warstwy popielatej tkaniny.

Męszczyzna! Niebieskooki mężczyzna!

Znowu poczuła narastający w krtani krzyk, który jednak nie wydostał się na zewnątrz.

Zamiast tego dobieło się lekkie westchnienie. Ulgi, a może zdumienia? Zdała sobie sprawę, że postąpiła krok do tyłu. Tymczasem on wstał.

Wyprostował się i obrzucił ją spokojnym wzrokiem, niemal w roztargnieniu zdejmując z głowy resztkę bandaży, jakby były to jakieś pajęczyny. Tak jest, głowa pokryta falami ciemnobrązowych włosów. Sięgały tuż poniżej uszu, kosmyki opadały równie miękko, na czoło.

A patrząc na nią oczy wyrażały fascynację. Coś takiego! Fascynację na jej widok!

Zaraz zemdleje. Czytała o tym. Wiedziała, co ją czeka, choć nigdy jej się to nie przytrafiło. Ale nogi dosłownie odmawiały posłuszeństwa, a w oczach pociemniało. Nie. Dosyć!

Nie może mdleć, kiedy on tak na nią patrzy.

Oto mumia, która ożyła!

Na drżących nogach wycofała się do pokoju egipskiego. Była cała spocona, ręce kurczowo zaciskały się na peniuarze.

Przyglądał się jej, jakby był szczerze ciekaw, co ma zamiar zrobić. Po chwili zdjął kolejną porcję bandażu z szyi, ramion i torsu. Szerokiego, nagiego. Zamknęła, wreszcie powoli otworzyła oczy. Ciągle tam stał, z potężnymi ramionami i pyłem, opadającym z twarzy.

Zrobił krok w jej stronę. Odsunęła się. Jeszcze krok. Znowu się cofnęła. Cofała się tak przez całą bibliotekę i wkrótce natknęła się na stół w środku drugiego salonu. Rękami dotknęła krawędzi srebrnej tacy.

Podszedł do niej bezszelestnym, równym krokiem - ten stwór, ten piękny mężczyzna o wspaniałym ciele i dużych, łagodnych, niebieskich oczach.

Może, czy ty całkiem zwariowałaś? Co z tego, że jest przystojny? Przed chwilą próbował

udusić Henry'ego! Błyskawicznie obiegnęła stół i cofała się dalej, wyciągając za siebie ręce, by napotkać drzwi salonu od frontu.

Przystanął przy stole. Spojrzał na imbryk i przewróconą filiżankę. Wziął coś z tacy.

Zmiętą chustkę do nosa. Zostawił ją tam Henry? Bez wahania wskazał rozlaną kawę, odezwał się łagodnym, dźwięcznym i bardzo męskim głosem.

- Chodź, napijmy się kawy, Julie.

Idealna brytyjska wymowa! Znajome słowa. Julie poczuła, jak przebiegają ją ciarki. Nie chodziło o zaproszenie. To była imitacja głosu Henry'ego. Ta sama, precyzyjna intonacja. To samo, co powiedział Henry!

Wyciągnął rozłożoną chusteczkę. Biały proszek, skrzący się, jakby złożony z niewielkich kryształków. Wskazał odległy rząd alabastrowych słoików. Na jednym z nich nie było przykrywki! I jeszcze raz przemówił tym nieskazitelnym, rzeczowym angielskim.

- Napij się kawy, wuju.

Z jej ust wyrwał się jęk. Treść była niedwuznaczna. Stała z wytrzeszczonymi oczami, w głowie tłuło się echo słów. Henry otrął ojca, a ten człowiek był tego świadkiem. Henry próbował ją otruć. Usiłowała zaprzeczyć temu siłą woli. Szukała powodów, dla których miałyby to być niemożliwe. Ale wiedziała, że tak wygląda prawda. Tak samo jak była pewna, że ta istota żyje, oddycha i

zajmuje fragment przestrzeni przed nią, oraz Œe jest to nieśmiertelny Ramzes, który oŒył i wydobył się z całunów, a teraz stał przed nią w salonie, podczas gdy za jego plecami świeciło słońce.

Nogi się pod nią uginały. Nie sposób temu zapobiec, na dodatek przed oczami gęstnieje ciemność. A gdy juŒ czuła, Œe osuwa się bezwładnie na podłogę, zobaczyła męŒczyznę, który rusza w jej stronę. Poczwała, jak silne ręce chwytają ją, unoszą i trzymają tak, Œe poczuła się niemal bezpieczna.

Otworzyła oczy i popatrzyła mu w twarz. Piękną twarz. Z holu dobiegł wrzask Rity. I na nowo zapadła ciemność.

* * *

- Co ty, do diaska, wygadujesz?! - Randolph nie był jeszcze do końca przytomny.

Wygrzebał się z pościeli i sięgnął po jedwabny szlafrok leŒący u stóp łóŒka.

- I chcesz mi powiedzieć, Œe zostawiłeś swoją kuzynkę sam na sam z tą mumią!

- PrzecieŒ mówię, Œe usiłowała mnie zamordować! - Henry wrzeszczał jak szalony. - To chcę ci powiedzieć! Wyszła z trumny i chciała udusić mnie prawą ręką!

- Do diabła, gdzie moje pantofle? Ona została tam sama, idioto!

Wybiegł bosy na korytarz i pognął po schodach, za nim frunęły poły szlafroka.

- Szybko, ty imbecyłu! - krzyknął na syna, który stał niepewnie u szczytu schodów.

* * *

Otworzyła oczy. Siedziała na kanapie, tuliła się do niej Rita. SłuŒająca wpijała w jej ciało paznokcie. Cicho jęczała.

A przed nimi stała mumia. Cała i prawdziwa. Z kosmykiem ciemnych włosów, opadającym na szerokie, gładkie czoło. Z głębokimi, niebieskimi oczami. Ramzes zdąŒył zderzeć trochę więcej zgniłej tkaniny, która go okrywała. Był nagi do pasa, sprawiał wręcz wrażenie boga. Zwłaszcza dzięki temu uŒmichowi. Ciepłemu, otwartemu.

Patrząc, miała wrażenie, Œe jego włosy cały czas się poruszają, jak gdyby rosły. Były bujniejsze i bardziej lśniące niŒ w chwili, gdy mdlała. Ale co ona na Boga wyprawia, czemu przygląda się włosom na głowie tej istoty?!

Postąpił bliŒej. Bosych stóp nie krępowwały juŒ bandaŒe.

- Julie - zaczął cicho.

- Ramzes - odpowiedziała szeptem.

Skinął głową i jeszcze szerzej się uśmiechnął.

- Ramzes! - powtórzył z naciskiem i bardzo dwornie skłonił przed nią głowę.

Boże, to nie jest po prostu mężczyzna obdarzony urodą, ale wręcz najpiękniejszy człowiek, jakiego w Śyciu widziała.

Oszołomiona zmusiła się do powstania. Rita kurczowo się jej czepiała, ale odtrąciła ją, a wtedy mumia - mężczyzna - wyciągnął dłoń i pomógł jej wstać.

Miał ciepłe, suche palce. Zapatrzyła się prosto w jego twarz. Skóra jak u każdego innego człowieka, tylko bardziej gładka, może nieco bardziej miękka, o intensywniejszym kolorze - jak u człowieka, który po biegu ma zarumienione policzki.

Obrócił gwałtownie głowę. Ona też to dosłyszała: hałas z ulicy; ktoś się kłóci. Przed domem zatrzymał się samochód.

Rita niezgrabnie ruszyła w stronę okna, jak gdyby mumia miała ją zamiar powstrzymać.

- To Scotland Yard, panienko, Bogu niech będą dzięki.

- Nie, to katastrofa! Natychmiast zarygluj drzwi.

- Ale panienko!

- Zarygluj. Już.

Rita usłuchała. Julie wzięła Ramzesa za rękę.

- Chodźmy zaraz na górę. Rito, zakryj trumnę wiekiem. Niemal nic nie waży. Dociśnij je jak najmocniej, a potem przyjdź do nas.

Rita ledwie zdążyła założyć rygiel, gdy rozległo się pukanie i dzwonek do drzwi. Ostry brzęk niepokoił Ramzesa. Oczywiście przebiegł po suficie na tył domu, jak gdyby słyszał impuls, przebiegający kablem do ściany w kuchni.

Julie ciągnęła go łagodnie, lecz uporczywie; ku jej zdumieniu usłuchał i bez oporu poszedł za nią na piętro.

Z tyłu rozlegały się ciche okrzyki rozpaczony Rity. Słuchająca wykonywała jednak polecenia.

Julie usłyszała stukot wieka o trumnę.

Ramzes natomiast przypatrywał się tapecie, portretom, półce z różnymi drobiazgami, umieszczonej w kącie u szczytu schodów. Patrzył na witraże w oknach. Na wełniany dywan z wzorem w pióra i skrócone liście.

Walenie do drzwi stawało się nie do zniesienia. Julie słyszała, Œe woła ją wuj Randolph.

- Co mam robić, panienko? - spytała Rita.

- Natychmiast chodź na górę. - Julie spojrzała na Ramzesa, który obserwował ją z dziwną mieszanką cierpliwości i rozbawienia. - Wyglądasz jak zwyczajny człowiek - szepnęła. -

Zupełnie normalny. Piękny, lecz normalny. - Pociągnęła go korytarzem. - Wody, Rito! -

krzyknęła, gdy drŜąca i niepewna kobieta zjawiała się na piętrze. - Nalej wody do wanny. Szybko.

Skierowała się w stronę przedniej części domu. Rita minęła ją w biegu. Stukanie na chwilę ustało. Słyszała zgrzyt klucza w zamku. Dzięki Bogu, Œe pomyślała o ryglu! I znowu walenie.

Na ustach Ramzesa rozkwitł szczery uśmiech, jakby miał zamiar się roześmiać. Zaglądał

do mijanych sypialni. Nagle ujrzał elektryczny Œyrandol, zwisający na zakurzonym łańcuchu z rozety na suficie. W dziennym świetle niewielkie Œarówki sprawiały wrażenie ciemnych i matowych, choć cały czas się paliły. ZmruŜył oczy, chcąc się im lepiej przyjrzeć, i po raz pierwszy stawiał Julie łagodny opór.

- Obejrzysz je potem! - zawołała w popłochu. Gwałtowny strumień wody wpadał do wanny. Zza drzwi dobywały się kłęby pary.

Znowu uprzejmie skinął głową, unosząc lekko brwi, i weszli razem do łazienki. Widok lśniących kafli wyraźnie sprawił mu przyjemność. Spojrzał w kierunku okna, utkwivszy wzrok w promieniach słońca, które wpadały przez mleczone szkło. Spokojnie przyjrzał się klamce i otworzył okno, wysunął głowę na tyle, Œe mógł objąć wzrokiem dachy domów w okolicy i całe słoneczne niebo poranka.

- Rito, ubranie ojca - zakomenderowała szeptem Julie. Lada moment gotowi byli wywaŜić drzwi. - Znajdź jego szlafrok, pantofle, koszulę, cokolwiek, byle prędko.

Ramzes uniósł głowę i przymknął oczy. Chłonał słoneczny blask. Julie widziała mikroskopijne ruchy jego włosów; krótkie kosmyki, które zaczynały tworzyć kędziory na czole.

Wyglądało na to, Œe włosy gęstnieją. Rzeczywiście tak było.

AleŜ oczywiście. To dzięki temu zbudził się z pełnego marzeń snu. Słońce! A siły starczyło mu tylko na krótkie starcie z Henrym. Chcąc odzyskać pełnię sił, musiał doczołgać się do słonecznego światła.

Na dole rozlegały się krzyki: „Policja!” Rita przybiegła z parą pantofli i zarzuconą na ramię stertą ubrań.

- Tam jest całe mnóstwo dziennikarzy, panienko, i Scotland Yard, i pani wuj Randolph...

- Tak, wiem. Teraz zejdź i powiedz im, Œe zaraz ich przyjmiemy, ale nie odsuwaj rygla!

Julie wzięła jedwabny szlafrok i białą koszulę i powiesiła je na wieszaku przy ścianie.

Dotknęła ramienia Ramzesa.

Odwrócił się; jego ciepły uśmiech robił na niej piorunujące wrażenie.

- Britannia - wyszeptał, rozglądając się, jakby chciał ogarnąć wzrokiem miejsce, w którym stali.

- Tak jest, Britannia! - zawołała. Poczula słodki zawrót głowy. Pokazała wannę. - *Lavare!*

- powiedziała. To chyba znaczyło „myć”?

Kiwnął głową, nie przestając się rozglądać - patrzył na mosiężne kurki, kłęby pary, unoszącej się nad głęboką wanną.

- Dla ciebie! - powiedziała, wskazując najpierw szlafrok, potem Ramzesa. Jaka szkoda, że nie pamiętała łaciny.

- *Westybul!* - wyrzuciła w desperacji.

Wtedy autentycznie się roześmiał. Cicho, łagodnie, z wyrozumiałością. I znowu nie mogła oderwać od niego oczu, od drżącej urody jego oblicza. Piękne były nawet te jego białe zęby, nieskazitelna skóra i dziwnie władczy sposób bycia. Ale to w końcu Ramzes Wielki. Jeśli nie przestanie o tym myśleć, za chwilę znowu zemdleje.

Wyszła za drzwi.

- *Relaxatio! Lavare.* - Słowom tym towarzyszyły prośące gesty obu rąk. Zbierała się do odejścia, gdy na jej nadgarstku zacisnęła swą lewą, silną dłoń.

Serce kompletnie zamarło jej w piersi.

- Henry! - powiedział łagodnie. Przybrał groźny wyraz twarzy, chociaż nie w związku z nią.

Wstrzymała oddech. Słyszała, jak Rita wrzeszczy, żeby tamci za drzwiami przestali się do nich dobijać. Ktoś odkrzykiwał z ulicy.

- Henrym nie musimy się przejmować. Przynajmniej na razie. Zajmę się nim, możesz być spokojny. - Przecież on nic z tego nie rozumie. I znowu spróbowała gestem uprosić go o cierpliwość, wyrozumiałość, po czym delikatnie uwolniła rękę z jego uchwytu. Skinął głową, puścił. Wycofała się, zamknęła drzwi, pognęła korytarzem i zbiegła po schodach na dół.

- Rito, puszczaj! - krzyczał wuj Randolph.

Julie omal nie potknęła się na ostatnim stopniu. Pognęła do salonu. Wieko leżało na trumnie! Czy zauważyła niewielką smuśkę pyłu na podłodze? Ale przecież nikt w to nie uwierzy!

Ona sama, gdyby tego nie widziała, nie dałaby wiary takiej historii!

Przystanąła, zamknęła oczy, zaczerpnęła tchu, wreszcie nakazała Ricie otworzyć drzwi.

Odwróciła się, przyjmując dość oschły wyraz twarzy, i patrzyła, jak wuj Randolph, bosy i z rozwianymi włosami, wpada do środka. Po piętach deptał mu strażnik z muzeum i dwóch dżentelmenów, którzy sprawiali wrazenie policjantów po cywilnemu, chociaż co do tego nie mogła mieć pewności.

- Co to wszystko ma znaczyć? - zapytała stanowczo. - Wyrwałeś mnie ze smacznego snu.

Która jest godzina? - rozejrzała się niczego nie rozumiejącym wzrokiem. - Co się tu dzieje, Rito?

- Nie mam pojęcia, panienko! - Głos słyszanej bliski był wrzasku. Julie uspokoiła ją ruchem ręki.

- Moja droga, tak się wystraszyłem - tłumaczył Randolph. - Henry mówił...

- Tak? Co mówił Henry?

Dwaj mężczyźni w płaszczach przyglądali się rozlanej kawie. Jeden z nich zainteresował się rozłożoną chusteczką z białym proszkiem, który wysypał się na podłogę. W słońcu był zupełnie podobny do cukru. Nagle w drzwiach wejściowych ukazał się Henry.

Na chwilę wpiła w niego złowieszczy wzrok. Ten człowiek zabił mojego ojca! Ale na razie nie mogła pozwolić sobie na takie myśli, żeby nie oszaleć. Oczyma duszy znów ujrzała go, jak podaje jej tę filiżankę kawy. Zobaczyła bezosobowy wyraz i bladość jego twarzy.

- Co takiego ci się przytrafiło, Henry? - spytała chłodno, opanowując drżenie głosu. - Pół godziny temu wybiegłeś stąd tak, jakbyś zobaczył ducha.

- Aś nadto dobrze wiesz, co się stało - wyszeptał. Poblądł jak płótno, był spocony. Wytrzeł chustką górną wargę; ręce tak bardzo mu się trzęsły, że Julie widziała to nawet z tej odległości.

- Weź się, do diabła, w garść - zwrócił się Randolph do syna. - Co takiego widziałeś?

- Pozostaje tylko pytanie, proszę pani - odezwał się niższy z pracowników Scotland Yardu

- czy do tego domu wtargnął jakiś intruz?

Kulturalny głos i sposób bycia. Opuszczał ją lęk. Czuli, że mówi z coraz większym przekonaniem.

- Aleś skąd, proszę pana. Czyby kuzyn widział jakiegoś intruza? Musisz mieć nieczyste sumienie, Henry. Masz halucynacje. Ja nikogo nie widziałam.

Randolph rzucił Henry'emu pełne wściekłości spojrzenie. Funkcjonariusze byli zdezorientowani.

Henry tymczasem dostawał białej gorączki. Patrzył na nią tak, jakby chciał udusić ją gołymi rękami. A Julie chłodno odwzajemniała spojrzenie, myśląc: Zabiłeś mi ojca. Mało nie zamordowałeś mnie samej.

Nigdy nie wiadomo, co się czuje w takich chwilach. Nie da się tego przewidzieć, myślała.

Wiem tylko tyle, że cię nienawidzę, a nigdy w życiu nikogo nie nienawidziłam.

- Ten sarkofag - wykrztusił zniechęca Henry. Trzymał się drzwi, jakby nie miał odwagi wejść do środka.

- Trzeba go otworzyć.

- Przekraczasz wszelkie granice. Nikomu nie wolno go dotykać. Zawiera bezcenne szczątki, które są własnością British Museum i nie wolno narażać ich na działanie powietrza.

- Co to, do diabła, ma znaczyć?! - zawołał. Wpadał w histerię.

- Ucisz się! - nakazał Randolph. - Dostyc tego!

Przed domem rozległ się jakiś hałas, czyjeś głosy. Ktoś wszedł na schody i zaglądał do środka.

- Henry, nie chcę sobie takiego zamieszania we własnym domu - oznajmiła krótko Julie.

Ludzie ze Scotland Yardu chłodno przyglądali się Henry'emu.

- Proszę pana, jeżeli ta pani nie chce sobie przeszukania tego domu...

- Jak najbardziej sobie nie chcę - wtrąciła Julie. - Sądzę, że stracili panowie wystarczająco dużo czasu. Jak widzicie, nie nastąpiło żadne zakłócenie porządku.

Rzecz jasna filiżanka leżała przewrócona na tacy, a chusteczka spadła na podłogę, ale Julie nie ustępowała, chłodno przenosząc spojrzenie z Henry'ego na policjanta, a wreszcie na drugiego funkcjonariusza, który przyglądał jej się jakby nieco zbyt bacznie, nie odzywając się przy tym ani słowem.

Żaden z nich nie widział tego, co ona - postaci Ramzesa, który schodził wolno po schodach. Nie widzieli, jak przemierza hol wejściowy i bezszelestnie wchodzi do pokoju.

Wszystko do momentu, kiedy Julie nie była już w stanie oderwać od niego wzroku, a pozostali zdali sobie sprawę, gdzie znajduje się źródło fascynacji i odwrócili się w stronę wysokiego mężczyzny o brązowych włosach, ubranego w wiśniowy szlafrok z jedwabiu i stojącego w drzwiach.

Na jego widok zaparło jej dech w piersiach. Co za majestat. Takim powinni emanować wszyscy królowie. Jednak wyglądał jak istota nie z tego świata, jakby jego dwór składał się z nadludzi o

Sywym i przenikliwym spojrzeniu, niezwykłej sile i dostojnym sposobie bycia.

Nawet szlafrok z jedwabnym kołnierzem wyglądał na nim egzotycznie. Pantofle były jakby zabrane ze starożytnego grobowca. Nie zapiął białej koszuli, a jednak wyglądało to osobliwie naturalnie, być może ze względu na zdrowy połysk skóry, nieco wysuniętą do przodu klatkę piersiową i mocno stąpające po ziemi nogi. Zatrzymał się niczym żołnierz w pozycji spoczynkowej, tak, jak nie stanąłby współczesny człowiek. Taka poza domagała się posłuszeństwa, chociaż nie było w niej ani krzty arogancji. Po prostu patrzył na nią i na Henry'ego, który zaczerwienił się po cebulki włosów.

Henry wpił wzrok w rozpiętą koszulę. W pierścień ze skarabeuszem na prawej ręce Ramzesa. Przypatrywali mu się obaj inspektorzy. Randolph natomiast popadł w zupełną konsternację. Czy poznał szlafrok, który podarował kiedyś bratu? Rita cofnęła się do ściany i zakryła usta rękami.

- Wuju Randolphie - odezwała się Julie, robiąc krok do przodu - to dobry znajomy ojca, przybył właśnie z Egiptu. Egypciolog, który dobrze znał mego ojca. Pan... pan Ramsey, Reginald Ramsey. Poznaj, proszę, mego wuja, Randolpha Stratforda, i jego syna Henry'ego...

Ramzes przyjrzał się Randolphowi, po czym na nowo wpił wzrok w Henry'ego. Ten bezmyślnie wpatrywał się w Ramzesa. Julie ruchem ręki poprosiła króla o cierpliwość.

- Sądzę, że nie jest to najlepsza pora na towarzyskie spotkania - stwierdziła niezręcznie. -

Jestem naprawdę zmęczona, i w ogóle cała ta sytuacja wytrąciła mnie z równowagi...

- Cóż, panno Stratford, możliwe, że pani kuzyn zobaczył tego właśnie detektymena - stwierdził miły policjant.

- Całkiem możliwe - zgodziła się. - Ale teraz muszę zająć się gościem. Nie jadł jeszcze śniadania. Muszę...

Henry wszystko wiedział! Poznała to po jego minie. Usiłowała zdobyć się na powiedzenie czegoś uprzejmego i odpowiednio niezobowiązującego. że minęła ósma. że jest głodna. Henry cofał się w kąt, jakby chciał zapaść się pod ziemię. Ramzes, nie spuszczając oczu z tamtego, przeszedł za pracowników Scotland Yardu, zbliżył się do chusteczki i, bardzo szybkim i zgrabnym ruchem, podniósł ją z ziemi. Świadcami tego byli jedynie Julie i Henry. Obrzucając Henry'ego groźnym wzrokiem, Ramzes wsadził sobie chusteczkę do kieszeni.

Randolph patrzył na Julie niczego nie rozumiejącym wzrokiem. Jeden z funkcjonariuszy okazywał kompletne znużenie.

- Nic ci nie jest, kochanie? - zapytał Randolph. - Jesteś tego pewna?

- Tak jest, jak najbardziej. - Podeszła do niego, wzięła go pod rękę i poprowadziła w stronę drzwi. Policjanci ruszyli za nimi.

- Nazywam się inspektor Trenton, proszę pani - odezwał się ten bardziej wygadany. - A to mój

współpracownik, sierśant Galton. W razie potrzeby proszę nas bez wahania wezwać.

- Tak, oczywiście. - Zdawało się, że Henry zaraz wybuchnie. Nagle zerwał się do biegu, mała jej nie przewracając, i pognął na zewnątrz, roztrzaskując tłumek, który zebrał się na ulicy.

- Czy to mumia, proszę pana? - zawołał ktoś. - Czy widział pan, jak mumia ośyła?

- Chodzi o tę kłatwę?

- Panno Stratford, czy nic pani nie jest?

Panowie ze Scotland Yardu natychmiast wyszli przed dom. Inspektor Trenton nakazał

ludziom, żeby się rozeszli.

- Co mu się do diaska stało? - mruzczał Randolph. - Nic z tego nie rozumiem.

Julie jeszcze mocniej ścisnęła go za rękę. Nie, nie może mieć pojęcia o postępach Henry'ego. Wuj nigdy w życiu nie skrzywdziłby ojca. Ale skąd może mieć pewność?

Odruchowo pocałowała go. Objęła za szyję i ucałowała w policzek.

- Nie martw się, wuju - wyrzuciła. I poczuła, że zaraz wybuchnie płaczem.

Randolph potrząsnął głową. Doznał upokorzenia, nawet trochę się bał, i współczuła mu, patrząc, jak odchodzi. Jeszcze nigdy nikomu tak bardzo nie współczuła. Dopiero, gdy przemierzył pół ulicy, zorientowała się, że idzie boso. Podążyli za nim dziennikarze. Gdy tylko odjechali pracownicy Scotland Yardu, do drzwi przyskoczyło natychmiast dwóch dziennikarzy.

Błyskawicznie schroniła się w domu, zamykając za sobą drzwi. Spoglądała przez okno na postać wuja, który wchodził już na schody swojego domu.

Potem powoli odwróciła się i skierowała do salonu.

Cisza. Łagodny szum fontanny w oranżerii. Stukot biegnącego stępa konia na ulicy. Rita trzęsąca się w kącie, nerwowo ściskająca w rękach fartuch.

I Ramzes, nieruchomy na środku pokoju. Stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach i lekko rozstawionymi stopami, tak jak przedtem. Słońce tworzyło za jego plecami złocistą mgiełkę, pogrążając jego głowę w półcieniu. A głęboki blask oczu odwracał uwagę niemal równie skutecznie jak połysk włosów.

Dopiero teraz pojęła proste znaczenie słowa „królewski”. Do głowy przyszło jej jeszcze jedno słowo, raczej obce, lecz doskonale pasujące do sytuacji. Miała na myśli słowo „śliczny”.

Zdumiało ją, że na jego urodę w znacznej części składał się wyraz twarzy. Sprawiał wrażenie cudownie inteligentnego i ciekawego świata, choć zupełnie zrównoważonego, a wszystko to składało

się w jedną całość. Jak z innego świata, acz zupełnie normalny. Wspanialszy od człowieka, a jednak ludzki.

Po prostu na nią patrzył. Ciężkie fałdy satynowego szlafroka nieznacznie powiewały w lekkim strumieniu powietrza, dochodzącym od drzwi oranżerii.

- Rito, zostaw nas samych - szepnęła.

- Aleś panienko.

- Idź...

Znowu nastała cisza. Potem do niej podszedł. Ani śladu uśmiechu; tylko łagodna powaga, lekko rozszerzone oczy, gdy przyglądał się jej twarzy, włosom, ubraniu.

Jakie wrażenie wywiera na nim ten przezroczysty, koronkowy peniuar? - pomyślała nagle.

Boże, żeby tylko nie pomyślał sobie, że dzisiejsze kobiety noszą coś takiego w domach i na ulicy.

Ale nie patrzył na koronki. Mierzył wzrokiem kształt jej piersi pod luźną, jedwabną tkaniną, kontury bioder. Ponownie spojrzął jej w oczy i teraz wyraz jego twarzy był jednoznaczny. Czysta namiętność. Przyniósł się, położył ręce na jej ramionach, poczuła, jak zaciskają się ciepłe palce.

- Nie - odezwała się.

Pokręciła stanowczo głową i cofnęła się. Wyprostowała się w ramionach, nie chcąc okazywać po sobie strachu ani niespodziewanego, rozkosznego dreszczu, który przebiegł jej po plecach i ramionach.

- Nie - powtórzyła z odcieniem dezaprobaty w głosie. Patrzyła ze zdumieniem, czując w piersiach ciepło, jak skinął głową, odstał i uśmiechnął się. Wykonał delikatny ruch otwarcia dłoni. Mówił delikatną, melodyjną łaciną. Wychwyciła swoje imię, słowo *regina* i wyraz oznaczający dom. Julie jest panią w swoim domu.

Skinęła głową.

Nie sposób było stłumić westchnienia ulgi. Znowu się trzęsła. Czy to widział? Aleś

oczywiście.

Wykonał proszący gest.

- *Panis*, Julie - szepnął. - *Panis. Vinum.* - Zmarszczył czoło, jakby szukał właściwego słowa. - *Edere* - wyszeptał i pełnym wdzięku gestem dotknął swoich warg.

- Wiem! Wiem, o co ci chodzi. Jeść, chcesz jeść. Chcesz chleba i wina. - Pobiegnęła do drzwi. - Rita - zawołała. - Rito, on jest głodny, musimy mu natychmiast przygotować coś do jedzenia.

Odwróciła się i ujrzała, Śe znowu się do niej uśmiecha, z tym samym, ciepłym uczuciem, które widziała, kiedy byli na piętrze. Jej widok sprawiał mu chyba przyjemność? Gdyby wiedział, Śe niemal nie mogła mu się oprzeć, Śe dosłownie przed chwilą mało co nie objęła go ramionami i... nie, lepiej o tym nie myśleć. W ogóle nie wolno o tym myśleć.

Elliott rozparł się na fotelu i zapatrzył w rozżarzone węgle. Zbliżył się już maksymalnie do ognia, nogi w pantoflach wsparł o kratę kominka. Ciepło koło ból w nogach i rękach. Słuchał

opowieści Henry'ego, wahając się pomiędzy zniecierpliwieniem a niespodziewaną fascynacją.

Boża zemsta za grzechy Henry'ego była niemal doskonała. Świecie Henry'ego wołało bowiem o pomstę do nieba.

- Na pewno ci się przywidziało - orzekł Alex.

- Przecież mówię, że to truchło wyszło ze swojej trumny i rzuciło się na mnie. Zaczęło mnie dusić; czułem jego palce na gardle; patrzyłem w tę obrzydliwą, zabandażowaną twarz.

- Z pewnością ci się przywidziało - powtórzył Alex.

- Nonsens!

Elliott uniósł wzrok na obydwu młodzieńców, stojących obok kominka po jego prawej ręce. Henry, nie ogolony, drżący, ze szklaneczką scotcha w ręce. I Alex, nieskazitelny, o rękach czystych jak u zakonnicy.

- A ten egiptolog, jak twierdzisz, jest tym samym człowiekiem, co mumia? Henry, zdaje się, że całą noc włóczyłeś się z tą dziewczyną z kabaretu...

- To skąd się, u diabła, wziął, jeśli nie jest mumią? Elliott cicho się roześmiał. Poruszył

szar końcem srebrnej laski. Henry'ego nie zbiło to z tropu.

- Wczoraj wieczorem go tam nie było! Zszedł z góry w szlafroku wuja Lawrence'a!

Zresztą nie widzieliście go! To nie pierwszy lepszy człowiek z ulicy! To widać na pierwszy rzut oka.

- I jest tam teraz sam? Z Julie?

Alex tak długo dopasowywał elementy układanki. Naiwna z niego dusza.

- Przecież mówię. Boże, czy nikt w całym Londynie mnie nie słucha? - Henry wypił

scotcha, podszedł do barku i nalał sobie następną szklanekę. - A Julie go chroni! Ona wie, co się stało. Widziała, jak tamten się na mnie rzuca!

- Taką opowieścią oddajesz sobie niedźwiedzią przysługę - stwierdził Alex. - Nikt nie uwierzy...

- Wiesz chyba, że te papirusy, te zwoje - wyrzucał z siebie Henry - mówią o jakimś nieśmiertelnym. Lawrence rozmawiał na ten temat z Samirem, wspominał o jakimś Ramzesie Drugim, który błąka się

po ziemi tysiąc lat...

- O ile pamiętam, była mowa o Ramzesie Wielkim - przerwał Alex.

- To jedno i to samo, idioto. Ramzes Drugi, Ramzes Wielki, Ramzes Przeklęty. W tych zwojach było wszystko opisane, mówię wam - o Kleopatrze i tym Ramzesie. Nie czytaliście w gazetach? Wtedy zdawało mi się, że wuj Lawrence dostaje bzika od upału.

- A mnie się zdaje, że powinieneś odpocząć, może nawet w szpitalu. Wszystkie te pogłoski o klątwie...

- Do licha, nic nie rozumiesz! To coś znacznie gorszego niż jakaś klątwa. Ten trup chciał mnie zabić. On się porusza. żyje.

Alex wpatrywał się w Henry'ego z ledwo ukrywaną odrazą. Tak samo patrzy na gazety, pomyślał Elliott ponuro.

- Pójdę do Julie, ojcze, jeśli pozwolisz...

- Masz absolutną rację. - Elliott znów odwrócił się w stronę ognia. - Przekonaj się, kto zaczął ten egiptolog. Skąd się tam wziął. Ona nie powinna mieszkać pod jednym dachem z obcym.

To niedorzeczny pomysł.

- Jest sam na sam z tą przeklętą mumią! - warknął Henry.

- Powinieneś chyba pójść do siebie i trochę się przespać - stwierdził Alex. - Do zobaczenia, ojcze.

- Ty niewydarzony głupku!

Alex nie zwrócił uwagi na obelgę. Nie sprawiło mu to najmniejszego trudu. Henry wypił alkohol i ruszył w stronę barku po dolewkę.

Elliott wsłuchał się w brzęk kieliszka o szkło butelki.

- Pamiętasz może, jak nazywa się ten człowiek, ten egiptolog? - zapytał.

- Reginald Ramsey, ni mniej, ni więcej. Założyła się, że sama to zmyśliła. - Henry wrócił do kominka, oparł się łokciem o marmurową półkę, trzymając w dłoni pełną szklaneczkę scotcha.

Sączył powoli, nerwowo odwracając oczy, gdy Elliott uniósł głowę. - Nie słyszałem z jego ust ani słowa po angielsku; i ten wyraz twarzy. Mówię ci, trzeba z tym coś zrobić.

- Zgoda, ale co na przykład?

- A skąd mam wiedzieć? Złapać to truchło!

Elliott zaśmiał się krótko.

- Jeśli to coś, istota, człowiek, czy kim tam jest, próbowało cię udusić, to czemu Julie miałyby go chronić? Dlaczego nie udusił jej?

Henry wytrzeszczał przez chwilę pozbawione wyrazu oczy. Potem wypił duży łyk. Elliott mierzył go zimnym wzrokiem. Nie zwariował. Histeryzuje, ale nie oszalał.

- Pytam - podjął Elliott - z jakiego powodu chciał zrobić ci krzywdę?

- To przecież mumia, do jasnej cholery! To ja kręciłem się po tym obrzydliwym grobowcu. A nie ona. To ja znalazłem tam martwego Lawrence'a...

Henry urwał, jak gdyby po raz pierwszy coś sobie uświadomił. Jego twarz nie była już pozbawiona wyrazu: był najwidoczniej wstrząśnięty.

Ich spojrzenia skrzyżowały się na mgnienie oka. Elliott odwrócił się w stronę kominka.

Oto młody człowiek, na którym kiedyś mi zależało, myślał, którego pieściłem z czułością i namiętnością, którego kochałem. A teraz zbliża się do kresu jakiejś drogi, ostatecznego kresu. A zemsta powinna być podobno słodka.

- Słuchaj - niemal wyjąkał Henry. - Wy tłumaczenie tej sytuacji jest pewnie zawile. Ale mumię, kimkolwiek by nie była, należy powstrzymać. Być może rzuciła na Julie jakiś urok.

- Rozumiem.

- Nic nie rozumiesz. Uważasz mnie za szaleńca. I gardzisz mną. Jak zawsze.

- Nie zawsze.

Znowu na siebie spojrzeli. Henry miał twarz mokłą od potu. Nieznacznie zadrżała, mu warga, wreszcie odwrócił głowę.

Bezdenne rozpacz, myślał Elliott. Szkopuł w tym, że nie ma się już gdzie skryć przed samym sobą.

- Myśl, co chcesz - przerwał milczenie Henry. - Ja nie zamierzam spędzać kolejnej nocy pod tamtym dachem. Każe przewieźć swoje rzeczy do klubu.

- Nie powinieneś zostawiać jej samej. Nie wypada. A wobec braku oficjalnych zaręczyn Julie i Alexa ja sam nie mam prawa interweniować.

- Do diabła z oficjalnymi formami. I nikt mi nie zabroni mieszkać tam, gdzie zechcę.

Mówię ci, że za nic na świecie tam nie zostanę.

Usłyszał, że Henry odchodzi. Usłyszał brzęk szkła, stukającego o marmur przy barku, a później ciężkie kroki, oddalające się; został sam.

Elliott oparł się o adamaszkowe obicie fotela. Dobiegło go głucho echo, oznaczające trzask zamykanych drzwi.

Próbował jakoś ogarnąć wszystko. Henry przyszedł do niego, bo Randolph mu nie uwierzył. Osobliwie brzmiała ta historia w ustach człowieka nawet tak zdezorientowanego i zrozpaczonego, jak Henry. To wszystko nie miało sensu.

- Kochanek Kleopatry - wyszeptał - strażnik królewskiego domu Egiptu. Ramzes Nieśmiertelny. Ramzes Przeklęty.

Nagle znowu naszała go ochota, by zobaczyć się z Samirem. Porozmawiać z nim.

Naturalnie ta historia jest niedorzeczna, ale... Nie. To sprowadza się do tego, że Henry stacza się znacznie szybciej niż ktokolwiek mógł przewidzieć. Mimo to chciał opowiedzieć o wszystkim Samirowi.

Wyjął z kieszeni zegarek. Cóż, pora była jeszcze wczesna. Do południa, kiedy miał

kilka spraw do załatwienia, pozostało jeszcze sporo czasu. Gdyby tylko zdołał wygramolić się z fotela.

Mocno oparł łaskę na kamiennych płytach przed kominkiem, gdy usłyszał ciche kroki Sony na dywanie za drzwiami. Opadł na fotel, czując ulgę, że jeszcze przez kilka chwil nie będzie czuł rozdzierającego bólu, potem uniósł głowę w jej stronę.

Zawsze lubił swoją Sony, a teraz, w połowie życia, odkrył, że ją kocha. Kobieta o nienagannych manierach i subtelnym uroku, sprawiała wrażenie odpornej na upływ czasu, być może dlatego, że nie pociągała go erotycznie. Ale wiedział, że jest od niego starsza o dwanaście lat, czyli już stara, a sam bał się starości, która mu ją zabierze.

Zawsze był dla niej podziw, lubił jej towarzystwo i na gwałt potrzebował jej pieniędzy.

Nigdy jej to nie przeszkadzało. Ceniła w nim urok osobisty, stosunki towarzyskie i wybaczała skryte dziwactwa.

Od samego początku zorientowała się, że on kieruje się jakąś inną filozofią, że jest czarną owcą swego stada, że nie poczuwa się do solidarności ze środowiskiem, przyjaciółmi i wrogami.

Ale nigdy mu tego nie wypominała. Wszystko wskazywało na to, że jej szczęście nie zależy od jego szczęścia; była mu też nieskończenie wdzięczna, że poddawał się towarzyskiej rutynie i że nie uciekł, jak Lawrence Stratford, do Egiptu.

Zbyt nie dokuczał mu artretyzm, by mógł ją jeszcze zdradzać, i nie wiedział, czy Sony sprawia to ulgę, czy raczej ją zasmuca. On sam nie był pewien, co na ten temat myśli. Cały czas dzielili wspólne

IoSe, choć nigdy nie było w tym konieczności czy autentycznej potrzeby, tyle Se ostatnimi czasy zdawał sobie dojmująco sprawę, Se był od niej zależny, i mocno ją kochał.

Cieszył się, Se Sona jest w domu. Jej obecność łagodziła ból po śmierci Lawrence'a. Ale oczywiście wkrótce będzie musiał odzyskać jej diamentowy naszyjnik, a obietnica Randolpha, Se da mu jutro rano pieniądze na spłatę długu, który zaciągnął pod zastaw biŜuterii, bardzo mu ulŜyła.

W nowym, zielonym kostiumie prosto z ParyŜa Edith wyglądała bardzo ładnie. Jedynym odstępstwem od starannej elegancji były utapirowane, srebrne włosy, które wyglądały jednak korzystnie na tle surowego stroju i braku biŜuterii. Diamenty, które posłuŜyły jako zabezpieczenie poŜyczki, zakładała tylko na bale. Jej nie więdnąca uroda i wraŜenie, jakie robiła, napawały go dumą. Ludzie ją lubili, nawet bardziej niŜ jego, zresztą właŝnie tak być powinno.

- Wychodzę na chwilę - oznajmił. - Drobną sprawą. Z pewnością zdąŜę wrócić na obiad.

Nie odpowiadała. Usiadła na miękkiej otomanie obok niego i wzięła go za rękę. Jaką miała lekką dłoń. Ręce były jedyną częścią ciała, po której moŜna było rozpoznać, w jakim jest wieku.

- Elliott, poŜyczyłeś pieniądze pod zastaw mojego naszyjnika - odezwała się.

Zrobiło mu się wstyd. Milczał.

- Wiem, Se zrobiłeś to dla Randolpha. Znowu długi Henry'ego. Ciągłe ta sama historia.

Patrzył na Sar w kominku. Nie odpowiadał. Bo cóŜ było do dodania? Oboje wiedzieli, Se naszyjnik jest bezpieczny w rękach zaufanego jubilera, Se poŜyczona suma była w miarę niewielka. Se mogliby sobie na nią spokojnie pozwolić, nawet gdyby Randolph nie zdołał ich spłacić.

- Czemu nie powiedziałeś mi otwarcie, Se potrzebujesz pieniędzy? - spytała.

- Nigdy nie przychodziło mi to zbyt łatwo, kochanie. Poza tym Randolph jest z powodu Henry'ego w coraz trudniejszym połoŜeniu.

- Wiem. Wiem teŜ, Se miałeś jak zwykle dobre intencje.

- MoŜe zabrzmie to pospolicie, ale diamentowy naszyjnik to niewielka cena za miliony Stratfordów. A jesteśmy właŝnie na tym etapie, moja droga. Jak to mówią, szykujemy swojemu synowi dobrą partię.

- Randolph nie zdoła nakłonić bratanicy do wyjścia za Alexa. On nie ma na nią Ŝadnego wpływu. PoŜyczyłeś, bo było ci Ŝal Randolpha. Jest twoim starym przyjacielem.

- Być moŜe to prawda. Westchnął. Wolał na nią nie patrzeć.

- MoŜliwe, Se czuję się za to wszystko w pewnym sensie odpowiedzialny.

- Jak to? Jak moŜesz odpowiadać za Henry'ego i to, co się z nim dzieje?

Nie odpowiedział. Przypomni ł mu si  pok j w paryskim hotelu, i pe ne t pej rozpaczy oczy Henry'ego, gdy nie uda o mu si  wymusi c  adnych pieni dzy. A   dziw,  e tak dok adnie pami ta  wszystkie sprz ty w tamtym pomieszczeniu. Ju   potem, gdy odkry  kradzie  

papiero  nicy i pieni dzy, usiad  i my  la : musz  zapami ta c, zapami ta c to wszystko. Ju   nigdy nie wolno mi dopu  ci  do czego   takiego.

- Przykro mi z powodu naszyjnika, Edith. - Serce zak u o go na my  l,  e okrad   on  tak samo, jak Henry okrad  kiedy   jego. U  miechn ł si  do niej, mrugn ł okiem, usi lowa  flirtowa c, jak zwykle. Wzruszy  lekko ramionami.

Odwzajemni ła si  figlarnym u  mieszkiem. Przed laty powiedzia aby. Nie baw si  ze mn  w niegrzecznego ch opca. To,  e przesta a tak nazywa c m   sa, nie oznacza o wcale,  e nie poci ga  jej jego urok.

- Randolph ma ju   pieni dze na sp acenie d lgu - zapewni  j  ju   powa  niej.

- No, mo  e niekoniecznie - szepn ła. - Sama si  tym zajm . - Wsta a powoli i czeka a.

Wiedzia a,  e przyda mu si  jej pomoc przy wstawaniu. I, mimo ca ego upokorzenia, on r wnie   zdawa  sobie z tego spraw .

- Dok d si  wybierasz? - zapyta a, wyci gaj c r ce.

- Do Samira Ibrahaima z muzeum.

- Znowu ta mumia.

- Henry opowiedzia  mi niezwyk l  histori ...

- Alex, kochanie - tłumaczyła, ujmując jego dłonie - pan Ramsey był bliskim przyjacielem ojca. Nie ma nic złego w tym, że tu mieszka.

- Ale jesteś sama... - Spojrzał z dezaprobatą na jej biały peniuar.

- Alex, pomyśl, w jakich jesteśmy czasach. Nie przeciwstawiaj mi się! Teraz już sobie idź i pozwól zająć się gościem. Za kilka dni zaproszę cię na obiad i wszystko wyjaśnię...

- Julie, aż kilka dni!

Ucałowała go szybko, a potem popchnęła lekko w stronę drzwi. Odchodząc, rzucił jeszcze jedno ze swych stanowczych spojrzeń w kierunku oranżerii.

- Idź już, Aleksie, ten pan jest z Egiptu, a ja powinnam pokazać mu Londyn. Nie mam zbyt dużo czasu. Dlatego proszę cię, posłuchaj.

Niemal wyrzuciła go za drzwi. Był na tyle dobrze wychowany, że nie stawiał oporu.

Obrzucił ją swoim niewinnym, skonsternowanym wzrokiem, po czym oświadczył łagodnie, że jeśli nie ma nic przeciwko temu, zatelefonuje do niej wieczorem.

- Proszę bardzo - - zgodziła się. - Miły z ciebie młodzieniec. - Posłała mu na palcach pocałunek i pospiesznie zamknęła drzwi.

Odwróciła się i wsparła o ścianę, spoglądając w stronę drzwi oranżerii. Zobaczyła przemykającą Ritę. Usłyszała odgłos czajnika w kuchni. Dom wypełniała ciepła, intensywna woń gotowanego posiłku.

Serce znowu waliło jej jak młotem; przez głowę przemykały różne myśli, nie mające jednak żadnego bezpośredniego wpływu na jej odczucia. W tej chwili, niezwyklej chwili, ważną była tylko obecność Ramzesa - nieśmiertelnego człowieka. Czekał w oranżerii.

Przeszła z powrotem przez hol i stanęła w drzwiach, patrząc na niego. Wciąż miał na sobie szlafrok ojca, choć koszulę zdjął, z niesmakiem dotykając sztywnej, nakrochmalonej tkaniny. Włosy zdążyły już w pełni odrosnąć, tworząc płową grzywę, która sięgała tuż poniżej płatków uszu. Gęsty kosmyk raz po raz opadał mu na czoło.

Na białym blacie wiklinowego stolika stały talerze z parującym jedzeniem. Czytając

„Punch”, delikatnie brał prawą ręką mięso, owoce, chleb z talerza po lewej i kawałki pieczonego ptactwa, leżącego na talerzu przed nim. Cudowny był wdzięk, z jakim jadł, nie dotykając sztućców, chociaż widziała, że podobały mu się misterne ozdoby na starym srebrze.

Czytał i jadł bez ustanku od dwóch godzin. Pochłaniał ilości, o jakich nigdy nie pomyślałaby, że są w

stanie zmieścić się w Śoładku. Jakby czerpał paliwo do Śycia. Wypił cztery butelki wina, dwie butelki wody seltzer, całe mleko, jakie mieli w domu, a teraz jeszcze popijał

od czasu do czasu łyk brandy.

Nie był bynajmniej pijany, wręcz przeciwnie, sprawiał wrażenie wyjątkowo trzeźwego.

Jej słownik angielsko - egipski kartkował w zawrotnym tempie. Równie szybko uporał się ze słownikiem angielsko - łacińskim. Wyglądało na to, że system liczb arabskich, zestawiony z rzymskimi, przyswoił sobie w ciągu kilku minut. Nie była w stanie wyczerpująco wyjaśnić mu pojęcia zera, chociaż udało jej się zademonstrować go na przykładach. Potem z takim samym pośpiechem przejrzał *Oxford English Dictionary*, przesuwając palcem po kolumnach.

Naturalnie nie czytał każdej definicji. Ogarniał istotę, korzenie, fundamentalne schematy języka; pojęła to, gdy kazał jej nazywać każdy przedmiot w polu widzenia i szybko wszystko powtarzał, doskonale ją naśladowując. Zapamiętał nazwę każdej rośliny w oranżerii - paprocie, bananowce, orchidee, begonie, stokrotki, bugenwille. Z dreszczem podniecenia wysłuchiwała bezbłędnej wymowy grup list wyrazów: fontanna, stół, talerze, porcelana, srebro, podłoga, płyty, Rita!

Teraz przedzierał się przez angielskie teksty, kończąc numer „Puncha”, tak samo jak przedtem czytał dwa numery „Strandu”, amerykańskiego „Harper’s Weekly” i każdy egzemplarz

„Timesa”, jaki znalazł się w domu.

Niezmiernie starannie oglądał każdą stronę, dotykał słów, zdjęć, nawet szpalty niczym niewidomy, któremu dano jakiś cudowny dar postrzegania przez dotyk. Z tą samą troskliwą uwagą sięgał po zastawy od Wedgwooda i kryształ z Waterford.

Podniecony uniósł głowę, gdy Rita przyniosła szklankę piwa.

- Nie mam już nic więcej, panienko - oznajmiła z lekkim wzruszeniem ramion, zachowując bezpieczną odległość i wyciągając rękę ze szklanką.

Pochwycił naczynie i bez wahania wychylił jego zawartość. Skinął głową i posłał słuchającej uśmiech.

- Egipcjanie przepadają za piwem, Rito. Szybko, przynieś mi więcej.

Aktywność chroniła Ritę przed obłąkaniem.

Julie przeszła między paprociami, drzewkami w donicach, po czym usiadła przy stole naprzeciw Ramzesa. On uniósł wzrok i wskazał zdjęcie zatytułowane „Dziewczynka” autorstwa Gibsona. Julie kiwnęła głową.

- Amerykański - powiedziała.

- Stany Zjednoczone - zareagował. Była pod wrażeniem.

- Tak.

Błyskawicznie przełknął całą kielbasę, złoŜył kromkę chleba i zjadł ją w dwóch kęsach, lewą ręką przewracając strony gazety i zatrzymując się na zdjęciu męŜczyzny na rowerze. Na ten widok głoŝno się rozeŝmiał.

- Cyklista - oznajmiła.

- Tak! - odparł, dokładnie tak samo, jak ona przed chwilą. Następnie powiedział coś cicho po łacinie.

A tak, będzie musiała mu wszystko pokazać.

Ni stąd, ni zowąd rozległ się przenikliwy dzwonek telefonu na biurku ojca w pokoju egipskim. Ramzes natychmiast zerwał się z krzesła. Poszedł za nią do egipskiego pokoju i stał w pobliŜu, przypatrując się, jak odbiera telefon.

- Halo? Tak, tu Julie Stratford. - Zakryła dłonią słuchawkę. - Telefon - szepnęła. -

Mówiąca maszyna. - Wyciągnęła słuchawkę tak, Ŝeby męŜczyzna słyŝał dobiegający z niej głoŝ.

Dzwonili z klubu Henry'ego. Chcieli zabrać kufer i pytali, czy mogłaby go przygotować.

- Jest gotowy. Wydaje mi się, Ŝe będzie tu potrzebnych dwóch ludzi. Tylko proszę się pospieszyć.

Wzięła kabel, zwracając na niego uwagę Ramzesa.

- Głoŝ biegnie kablem - szepnęła. Powiesiła telefon, rozejrzała się. Wzięła go za rękę i zaprowadziła z powrotem do oranŜerii, pokazując druty, które biegły od tyłu domu do słupa telegraficznego na końcu ogrodu.

Przyglądał się wszystkiemu w głoŝokim skupieniu. Julie wzięła ze stołu pustą szklankę i podeszła do ŝciany, oddzielającej oranŜerię od kuchni. Przytknęła górę szklanki do ŝciany, przycisnęła ucho do dna i słuhała. Naczynie wzmacniało odgłoŝy towarzyszące poruszaniu się Rity po kuchni. Zachęciła go, Ŝeby poszedł w jej ŝlady. On takŝe usłyŝał wzmocnione dŝwięki.

Wpatrywał się w nią zamyŝlony, oszołomiony, z podnieceniem.

- Drut telefonu przewodzi dŝwięk - tłumaczyła. - To wynalazek mechaniczny. - Właŝnie, musi mu pokazać działanie maszyn! Wyjaŝnić ten wielki postęŝ techniki; całkowitą przemianę sposobu myŝlenia.

- Przewodzi dŝwięk - powtórzył z zadumą. Podeszedł do stołu i wziął czasopismo, które czytał. Zrobił ręką ruch, jakby chciał powiedzieć, Ŝeby mu głoŝno czytała. Szybko odczytała akapit komentarza na temat polityki wewnętrznej. Zbyt duŝo tu abstrakcji, ale jego interesują chyba tylko zgłoŝki? Zniecierpliwiony odebrał jej gazetę i powiedział:

- Dziękuję.

- Świetnie. Zdumiewająco szybko się uczysz.

Wtedy wykonał szereg osobliwych gestów. Dotknął swojej skroni, czoła, jakby chodziło mu o mózg. Potem dotknął włosów i skóry. Co próbował przez to powiedzieć? Ście narząd myśli reagował równie szybko, jak skóra i włosy na światło słońca?

Zwrócił się w kierunku stołu.

- Kiełbaski - zaczął. - Wołowina. Pieczone kurczaki. Piwo. Mleko. Wino. Widelec. Nóż.

Serwetka. Piwo. Jeszcze piwa.

- Tak - odparła. - Rito, przynieś mu jeszcze trochę piwa. On lubi piwo. - Uniosła fałdę peniuaru. - Koronka. Jedwab.

Wydał z siebie odgłos podobny do bzyczenia.

- Pszczoły! Jedwabniki! - zawołała. - Ale ty jesteś cudownie inteligentny.

Zaśmiał się.

- Powiedz jeszcze raz - powiedział.

- Cudownie inteligentny. - Wskazała swoją głowę, puknęła w nią. Mózg, myśl.

Przytaknął. Spojrzał na leżący na stole nóż do obierania owoców ze srebrnym trzonkiem.

Ujął go, jak gdyby prosząc ją o pozwolenie, i wsunął sobie do kieszeni. Kiwnął, żeby za nim poszła, i skierował się do pokoju egipskiego. Zbliżył się do starej, pociemniałej mapy świata w cięskiej oprawie za zakurzoną szybą i starannie wskazał Anglię.

- Tak. Anglia. Britannia - potwierdziła. Pokazała Amerykę. - Stany Zjednoczone. - Potem nazwała kontynenty, oceany, w końcu Egipt i Nil, na tej niewielkiej mapie prezentujący się jako cienka linia. - Ramzes, król Egiptu - stwierdziła i wskazała na męszczyznę.

Skinął głową. Ale interesowało go jeszcze coś innego. Bardzo starannie wypowiedział

pytanie:

- Dwudziesty wiek? Co to znaczy Roku Pańskiego?

Ze zdumienia odebrało jej mowę. Przecież przespał narodziny Chrystusa! Naturalnie nie mógł ocenić, jak długo był pogrążony we śnie. Jego pogaństwo bardziej ją fascynowało, niż

niepokoiło. Obawiała się jednak piorunującego wrażenia, jakie może wyrzucić jej odpowiedź.

Liczby rzymskie... Gdzie ta ksiąŜka? Z półki ojca zdjęła *ŝywoty* Plutarcha i odszukała podany rzymskimi cyframi rok wydania, tylko trzy lata wcześniej, idealnie.

Z biurka ojca wyjęła kartkę papieru, wzięła pióro i napisała właściwą datę. Ale jak zakomunikować mu wprowadzenie nowego systemu?

Kleopatra Ŝyła dość blisko, ale Julie - z wiadomych powodów - wolała nie wymieniać jej imienia. Wtem przyszedł jej do głowy najbardziej przejrzysty przykład.

Wyraźnymi, drukowanymi literami wypisała imię Oktawiana Augusta. Ramzes skinął głową. PoniŜej wypisała datę rzymskimi cyframi. Następnie narysowała długą, poziomą linię, biegnącą aŜ do prawej krawędzi strony, napisała swoje imię i datę w rzymskim zapisie. Potem łacińskie słowo *annum*.

Zbladł jak płótno. DłuŜszą chwilę przypatrywał się kartce, wreszcie na policzkach wykwitły mu rumieńce. Bez wątpienia ją zrozumiał. Przybrał powaŜny, wręcz filozoficzny wyraz twarzy. Jakby rozwaŜał to, czego się dowiedział, a nie przeŜywał wstrząs. Napisała słowo stulecie, rzymską liczbę sto i słowo *annus*. Kiwnął głową lekko zniecierpliwiony, tak, tak, przecieŜ rozumiał.

SkrzyŜował ręce na piersiach i zaczął krąŜyć powoli po pokoju. Nie wiedziała, o czym myśli.

- Długi czas - szepnęła. - *Tempus... tempus fugit!* - Ogarnęło ją nagłe zakłopotanie. Czas ucieka? Ale tyle tylko była w stanie przypomnieć sobie po łacinie. Uśmiechał się do niej. Czy dwa tysiące lat temu teŜ był to komunał?

Podszedł do biurka, łagodnie się nad nią pochylił, wziął pióro i narysował kartusz z hieroglifami oznaczającymi jego imię - Ramzes Wielki. Następnie takŜe poprowadził poziomą linię do brzegu strony, gdzie napisał imię Kleopatry. Na samym ŝrodku linii postawił literę M, oznaczającą tysiąc lat, a obok liczbę arabską, której nauczyła go zaledwie przed godziną.

Dał jej chwilę na odczytanie tego, co napisał. Potem pod swoim kartuszem napisał po arabsku 3000.

- Ramzes ma trzy tysiące lat - stwierdziła, pokazując na niego. - Ramzes o tym wie.

Znowu kiwnął głową i uśmiechnął się. Co wyraŜała jego twarz? Smutek, rezygnację, po prostu zadumę? W pociemniałych oczach pełgał płomień bólu. Uśmiech nie zniknął, ale ona dostrzegła cierpienie i nieznaczne zmarszczenie powiek, w miarę jak męŜczyzna rozwaŜał to, czego się dowiedział, i stopniowo się do tego dystansował. Rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby widział je po raz pierwszy. Spojrzał na sufit, na podłogę, wreszcie prosto na popiersie Kleopatry.

Oczy nie zatraciły wielkości, uśmiech przyjemnej łagodności, ale z twarzy zniknęło to coŝ. Zapał.

Przepadł bez ŝladu.

Gdy znów na nią spojrział, w oczach szklity mu się łzy. Nie mogła znieść tego widoku.

Ujęła jego lewą dłoń. Schwycił palcami jej rękę, delikatnie ją ściskając.

- Bardzo duŜo lat, Julie - powiedział. - Bardzo duŜo lat. Świat niewidziany przeze mnie.

Czy mówię jasno?

- Tak, tak, najzupełniej.

Przyglądał jej się, szepcząc powoli, niemal z czcią.

- Bardzo duŜo, duŜo lat, Julie. - Wtedy się uśmiechnął. A uśmiech ten stawał się coraz szerszy. I zaczęły mu się trząść ramiona. Julie zdała sobie sprawę, Őe to śmiech.

- Dwa tysiące lat, Julie. - Śmiał się do rozpuku. I znowu miał na twarzy ten wyraz nieokiełznanego podniecenia, ogromnej woli Őycia. Bardzo powoli odwrócił się w stronę popiersia Kleopatry. Wpił w nie wzrok na dłuŜszą chwilę, potem spojrział na Julie, w jego oczach znów zajaśniały ciekawość i optymizm. Tak, to właśnie to, wielki, pełen Őycia optymizm.

Miała ochotę go pocałować. Ochotę tak silną, Őe sama się zdumiała. Pragnienie nie brało się z samej urody jego twarzy, ale równieŜ z głębokiej dźwięczności głosu, cienia bólu w oczach, sposobu, w jaki się uśmiechał, w jaki uniósł rękę i z takim szacunkiem dotknął jej włosów. Po plecach przebiegły jej ciarki.

- Ramzes jest nieśmiertelny - rzekła. - Ramzes ma *vitam eternam*.

Wydał z siebie cichy, uprzejmy śmiech potwierdzenia. Skinął głową.

- Tak - potwierdził. - *Vitam eternam*.

Czy była to miłość? Czy teŜ tylko się w nim zadurzyła, i to tak ślepo, Őe przestały dla niej istnieć wszelkie inne względy? Nawet myśł o Henrym i o tym, Őe zabił jej ojca?

Henry poczeka. Na sprawiedliwość przyjdzie czas. Chyba Őe miałyby zabić go własnymi rękoma, co było nie do pomyślenia. A teraz liczyło się tylko jedno: ten siedzący przed nią męŜczyzna. Jeszcze nadejdzie pora na nienawiść do Henry'ego. Z całą pewnością dosięgnie go ręka boska.

Spoglądała w te wspaniałe, niebieskie oczy, czuła ciepło ręki. Jakimś cudem znalazła się w Őyciu tego człowieka.

Z ulicy dobiegł jakiś gwałtowny hałas. Nie mogło to być nic innego, jak tylko automobil.

Ramzes usłyszał ten dźwięk, nie było najmniejszej wątpliwości, ale zareagował bardzo powoli, odwracając się od niej w stronę okien frontowych. PołoŜył jej dłoń na ramieniu i bardzo łagodnie skierował ją w tamtą stronę.

JakiŜ z niego dŜentelmen; dziwna, niezmiernie dworna istota. Zwrócił oczy na widok, który z pewnością nim wstrząsnął - włoskie auto stało na ulicy, a dwaj siedzący w nim z przodu młodzieńcy

machali na młodą kobietę, która szła chodnikiem po drugiej stronie. Kierowca nacisnął klakson, rozległ się obrzydliwy dźwięk, który bardzo niemile zaskoczył Ramzesa. Ale nie odrywał oczu od warkoczącego, strzelającego gaźnika kabrioletu, patrząc nań nie z lękiem, lecz z ciekawością. Gdy machina ruszyła i pognęła ulicą, ciekawość ustąpiła miejsca zdumieniu.

- Automobil - oznajmiła. - Działa na benzynę. To maszyna. Wynalazek.

- Automobil! - Ruszył błyskawicznie do drzwi wyjściowych, otwierając je.

- Nie, chodź, trzeba się odpowiednio ubrać. Stroje, odpowiednie stroje.

- Koszula, krawat, spodnie, buty - wyrecytował.

Roześmiała się. Dał jej znak, żeby zaczekała. Udał się do pokoju egipskiego i badawczo przyjrzał drugiemu rzędomi alabastrowych słoików. Wybrał jeden i otworzył niewielką, ukrytą w podstawie szufladkę. Wyjął z niej kilka złotych monet, które jej przyniósł.

- Stroje - powiedział.

Spojrzała na nie w świetle wpadającym przez okna. Następne nieskazitelne monety Kleopatry.

- O, nie - stwierdziła - są warte o wiele za dużo, żebyśmy mieli je wydawać. Schowaj je.

Jesteś moim gościem i ja się wszystkim zajmę.

Wzięła go za rękę i poprowadziła na piętro. Znowu uważnie przypatrywał się wszystkiemu dookoła. Tym razem przystanął przy porcelanowych drobiazgach na półce. Stał

też pod portretem ojca w korytarzu na górze.

- Lawrence - stwierdził. Potem wpił w nią wzrok. - Henry? Gdzie jest Henry?

- Już ja zajmę się Henrym - zapewniła go. - Czas i sądy... *judicium*... sprawiedliwość poradzi sobie z Henrym.

Okazał po sobie niezadowolenie z takiej odpowiedzi. Wyciągnął z kieszeni nóż do owoców i przesunął kciukiem po ostrzu.

- Ja, Ramzes, zabiję Henry'ego.

- Nie! - Zakryła usta rękami. - Nie. Sprawiedliwość. Prawo! Jesteśmy ludem posłusznym prawu i sądom. Gdy nadejdzie pora... - Ale nerwy odmówiły jej posłuszeństwa. Nie mogła wykrztusić ani słowa. W oczach zakręciły się łzy. Znowu uświadamiała to sobie z całą dobitnością. Henry okradł ojca z takiego właśnie tryumfu, rozwikłania tajemnicy, tej chwili.

- Nie - powtórzyła, gdy próbował ją uspokoić. Położył rękę na piersi.

- Ja, Ramzes - oświadczył - jestem sprawiedliwością. - Król, sąd, sprawiedliwość.

Pociągnęła nosem, starając się powstrzymać łzy. Grzbietem dłoni otarła usta.

- Bardzo szybko przyswajasz słowa - stwierdziła - ale nie możesz zabić Henry'ego. Nie prześląabym tego.

Znienacka ujął jej twarz, przyciągnął do siebie i ucałował. Chwila była krótka, lecz oszałamiająca. Zatoczyła się i odwróciła do niego tyłem.

Szybkim krokiem przemierzyła korytarz i otworzyła drzwi pokoju ojca. Nie odwracając się do niego, wyjmowała z szafy ubrania. Rozłożyła koszulę, spodnie, pasek. Skarpety, buty.

Wskazała zdjęcia na ścianie, wszystkie stare, pieczołowicie przez ojca przechowywane fotografie z czasów Oksfordu, na których był z Elliottem, Randolphem i innymi kolegami. Płaszcz, zapomniała o płaszczu. Wyjęła go z szafy i rozłożyła na łóżku.

Dopiero wtedy uniosła głowę. Ramzes stał w progu i patrzył. Szlafrok miał rozpięty do pasa; z pewnością było coś z gruntu prymitywnego w postawie mężczyzny ze skrzyżowanymi rękami i rozstawionymi nogami. W tej chwili jednak jego zachowanie zdawało jej się szczytem przyzwoitości i dobrego smaku.

Wszedł do środka, lustrując pokój z taką samą ciekawością jak wszystko inne. Zobaczył

zdjęcie jej ojca z Randolphem i Elliottem w Oksfordzie. Popatrzył na rozłożoną na łóżku garderobę. Najwyraźniej porównywał ją z ubraniami mężczyzn na fotografii.

- Tak - odezwała się. - Właśnie tak powinieneś się ubrać.

Rzucił okiem na leżący na toalecie *Dziennik archeologiczny*. Wziął go i zaczął szybko kartkować, zatrzymując się na dużej rycinie, przedstawiającej piramidę w Gizie i hotel Mena obok. Ciekawe, o czym myślał? Zamknął czasopismo.

- Arrrrr... che... ooo... logia - wykrztusił, uśmiechając się z niewinnością dziecka.

Gdy na nią patrzył, oczy dosłownie mu błyszczały. Na muskularnej piersi miał niewiele włosów. Musi się stąd jak najprędzej wydostać.

- Ubieraj się, Ramzesie. Jak na zdjęciach. Potem ci pomogę, jeśli się pomylisz.

- Doskonale, Julie Stratford - odparł obojętnie brytyjskim akcentem. - Ubiorę się sam. Już to kiedyś w Syciu robiłem.

Ale oczywiście. Niewolnicy. Przecież zawsze ich miał. I to całe mnóstwo. No cóż, na to nie można było nic poradzić. Nie wolno jej było zdjąć z niego szlafroka własnymi rękami.

Policzki jej płonęły. Czowała to. Pospiesznie wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Henry jeszcze nigdy w Śyciu nie był tak pijany. Dokończył butelkę scotcha, którą wziął bez pytania od Elliotta, teraz wlewał w siebie brandy. Ale to nie pomagało.

Wypalał egipskie cygara jedno za drugim, napełniając pokój Daisy bogatym aromatem, do którego tak bardzo przywykł w Kairze. To przypominało mu o Malence i o tym, jak bardzo chciałby przy niej być, choć jednocześnie Śałował, Śe jego noga w ogóle powstała w Egipcie, Śe wszedł kiedykolwiek do komnaty w zboczu góry, gdzie wuj Lawrence siedział pogrąŚony w lekturze jakichś staroŚytnych zwojów.

To truchło Śyło! I widziało, jak wsypuje Lawrence'owi do filiŚanki truciznę. Tak dokładnie przypominał sobie teraz otwarte pod bandaŚami oczy. Oczyma wyobraźni widział

jeszcze, jak mumia wychodzi z trumny i zaciska mu na gardle swoje oślizgłe paluchy.

Nikt nie ogarniał niebezpieczeństwa, w jakim znalazł się Henry. Nikt nic nie rozumiał, ponieważŚ nikt nie domyślał się powodów zachowania trupa! Co za znaczenie mają powody jego cuchnącej egzystencji! Mumia wiedziała, czego się dopuścił. Reginald Ramsey - nijak nie mógł

skojarzyć tego człowieka z odpychającym trupem, a mimo to wiedział, Śe Ramsey i mumia to jedna i ta sama istota. Czy ten męŚczyzna znowu owinie się w gnijące bandaŚe, kiedy przyjdzie po Henry'ego?

BoŚe! Cały się zatrzęsł. Usłyszał, jak Daisy coś mówi, uniósł głowę i zobaczył, Śe stoi przy kominku, pozując w gorsecie i jedwabnych pończochach, z piersiami wyglądającymi zza koronkowych miseczek gorsetu i blond lokami, które opadały na ramiona. Piękny widok: gdyby jej jeszcze dotknąć... Ale w ogóle go to nie pociągało.

- I chcesz mi wmówić, Śe jakaś idiotyczna mumia wylazła z trumny, Śeby zacisnąć ci ręce na gardle! I Śe ma na sobie jakiś idiotyczny szlafrok i pantofle i chodzi sobie po tamtym domu!

Odejdź, Daisy. Oczyma wyobraźni ujrzał, jak wyjmuje z kieszeni nóż, ten sam, którym zabił Sharplesa, i jak wbija go Daisy w gardło.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Chyba nie pójdzie otworzyć w tym stroju? Co za idiotka.

Ale co go to obchodzi! Usłyszał odgłos otwieranych drzwi. Skulił się na krześle, macając w poszukiwaniu noŚa.

Daisy wróciła z wielkim bukietem kwiatów, paplając o jakimś wielbicielu. Opadł bezwładnie na krzesło. Co ona wyczynia? Czemu się gapi?

- Potrzebny mi pistolet - odezwał się, nie patrząc na nią. - Chyba któryś z twoich znajomych zbirów

może załatwić mi pistolet?

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego!

- Zrobisz, co ci każe! - krzyknął. Gdyby wiedziała o tym, że zabił dwóch ludzi. No i prawie zabił Julie. Prawie. Co najgorsze, miałby ochotę zadać Daisy ból, chciałby zobaczyć wyraz jej twarzy, gdy nóż będzie wbijał się w krtań. - A teraz zadzwoń do tego swojego braciszka. Potrzebny mi pistolet na tyle mały, żeby można trzymać go pod płaszczem.

Czy zaraz się rozpłaczę?

- Rób, co ci każe - powtórzył. - Teraz pójdę do klubu po swoje rzeczy. Gdyby ktoś do mnie dzwonił, powiedz, że zatrzymałem się w klubie, jasne?

- W takim stanie nie powinieneś się nigdzie ruszać! Dźwignął się z krzesła i ruszył w kierunku drzwi. Podłoga chwiała mu się pod nogami. Wsparł się o framugę. Na dłuższą chwilę przycisnął do niej czoło. Nie pamiętał już czasów, kiedy: nie był zmęczony, zdesperowany, zły.

Obejrzał się w jej stronę. - Jeśli wrócę i zobaczę, że nie zrobiłaś tego, co ci każe...

- Zrobię - zapiszczała. Rzuciła kwiaty na ziemię, skrzyżowała ręce na piersiach, odwróciła się do niego tyłem i pochyliła głowę.

Jakaś intuicja, za której głosem zawsze szedł, podpowiadała mu, żeby rozładować atmosferę. Nadeszła chwila, w której należało zrobić wrażenie delikatnego, okazać swoje uczucie, chociaż na widok jej pochylonych pleców ogarniała go wściekłość, a na dźwięk jej szlochów zgrzytał zębami.

- Podoba ci się chyba w tym mieszkaniu, prawda, skarbie? - zapytał. - Lubisz też pić szampana i nosić futra. I na pewno spodoba ci się automobil, gdy już go kupię. Ale na razie potrzebna mi odrobina lojalności i czasu.

Zobaczył, jak kiwa głową. Zwróciła się w jego stronę. Wyszedł z mieszkania.

* * *

Właśnie odebrano kufer Henry'ego.

Julie stała przy oknie i odprowadzała wzrokiem ociężały, hałaśliwy niemiecki automobil.

W głębi duszy nie miała pojęcia, co przedsięwziąć w sprawie kuzyna.

Zawiadomienie władz nie wchodziło w rachubę. Nie dość, że nie miała żadnego wiarygodnego świadka próby otrucia, to na dodatek nie mogła znieść myśli o tym, że musiałaby zranić Randolpha.

Wuj nie wiedział o niczym. Podpowiadała jej to intuicja. Przeczuciwała też, że świadomość winy syna byłaby dla Randolpha ostatecznym ciosem. Po ojcu utraciłaby wujka. I chociaż nigdy nie dorastał do poziomu ojca, to jednak stanowili rodzinę i bardzo go kochała.

Z trudem przypomniwała sobie słowa, które rano wypowiedział Henry. Jesteśmy wszystkim, co ci pozostało. Znowu sparaliŜował ją ból, była bliska płaczu.

Z zadumy wyrwał ją odgłos kroków na schodach. Odwróciła się. I zobaczyła jedyną osobę na świecie, która była w stanie choć trochę ułŹyc jej w niesieniu tego cięŜaru, choćby na krótką chwilę.

Na tę okazję ubrała się bardzo starannie. Powtarzając sobie, Źe wszystko, co robi, stanowi pewnego rodzaju lekcję dla jej czcigodnego gościa, wybrała najbardziej wykwinny kostium; najlepszy kapelusz z czarną kryzą i jedwabnymi kwiatami; i naturalnie rękawiczki. Wszystko po to, by zapoznać go z modą swych czasów.

Ale jednocześnie chciała wypaść jak najlepiej. Wiedziała, Źe wiśniowa wełna dodaje jej uroku. Na widok schodzącego po schodach męŜczyzny znów Źywiej zabiło jej serce.

Szczerze mówiąc, niemal zaparło jej dech w piersiach, gdy znalazł się w holu i podszedł niebezpiecznie blisko, jakby znowu chciał ją przytulić.

Nie cofnęła się.

Dobrze wykorzystał garderobę ojca. Doskonale dobrane ciemne buty i skarpetki.

Dokładnie zapięta koszula. Jedwabny krawat zawiązany dość ekscentrycznie, ale pięknie. Nawet spinki do mankietu uŜyte zostały prawidłowo. W jedwabnej kamizelce, lśniącym, czarnym anglezie i szarych, flanelowych spodniach był niepokojąco przystojny. Tylko kaszmirowy szal okazał się zupełnym nieporozumieniem. Zawiązał go wokół pasa niczym staroŹwiecki Źołnierz.

- MoŜna? - spytała, zdejmując szal, zakładając mu go na szyję, pod surdut. Starannie go wygładziła, próbując nie poddawać się urokowi męŜczyzny, jego uwaŜnie w nią wpatrzonym, niebieskim oczom i osobliwemu, filozoficznemu uŹmiechowi.

Nadszedł czas niezwykłej przygody. Razem wychodzili z domu. Miała zamiar pokazać Ramzesowi Wielkiemu dwudzieste stulecie. ZbliŜała się najbardziej podniecająca chwila w jej Źyciu.

Gdy otwierała drzwi, chwycił ją za rękę i szybko do siebie przyciągnął. Wyglądało na to, Źe znów chce ją pocałować, i jej podniecenie natychmiast zmieniło się w przestрах.

Wyczuł to, więc rozluźnił uŹcisk ręki, cały złagodniał. Wtem nachylił się i z szacunkiem pocałował ją w rękę. Po chwili posłał figlarny uŹmieszek.

I jak ona miała mu się oprzeć?!

- Chodź, idziemy. Źwiat na nas czeka! - Akurat nadjeŜdŜał keb. Szybko zamachała ręką, lekko pociągając męŜczyznę za sobą.

Zatrzymał się w miejscu. Ogarnął wzrokiem rozległą przestrzeń ulicy, liczne domy z Źelaznymi balustradami, masywnymi odrzwiami, koronkowymi firankami w oknach i dymiącymi kominami.

Sprawiał wrażenie pełnego woli Sycia, namiętności, wigoru. Poszedł za nią spręsystem krokiem i wsiadł na tył niewielkiego kebu.

Przyszło jej do głowy, że kochany Alex nigdy w Syciu nie okazał choćby odrobiny takiej pasji. Przez chwilę ją to zasmuciło, i to nie dlatego, że myślała o Aleksie, ale że po raz pierwszy wyraźniej poczuła, jak jej stary świat rozplywa się w powietrzu, jak wszystko nieodwracalnie się zmienia.

* * *

Pokój Samira w British Museum był niewielki, zavalony książkami, chyba zbyt dużo miejsca zajmowały w nim ogromne biurko i dwa obite skórą krzesła. Ale Elliottowi to nie przeszkadzało. I dzięki Bogu stał w nim piecyk, więc w środku panowało przyjemne ciepło.

- Cóż, raczej trudno mi będzie odpowiedzieć na wszystkie pańskie pytania. Lawrence przełożył tylko fragment, w którym faraon utrzymywał, że jest nieśmiertelny. Wygląda na to, że po zakończeniu oficjalnego panowania błąkał się po świecie. Słyszeliśmy wśród ludów, o których istnieniu starożytni Egipcjanie nie mieli pojęcia. Twierdził, że żył dwa stulecia w Atenach, że był

w Rzymie. Na koniec zamknął się w grobowcu, z którego mogłyby go wezwać jedynie królewskie rody Egiptu. Sekret znany był pewnym kapłanom. W czasach Kleopatry stał się już

legendą. Ale wszystko wskazuje na to, że młoda królowa weń wierzyła.

- I poczyniła wszystkie niezbędne kroki, żeby go zbudzić.

- Tak napisał. Zapałał do niej wielką miłością. Ze względu na dziejową konieczność i możliwość zdobycia doświadczenia pochwalał jej związek z Juliuszem Cezarem, ale z Markiem Antoniuszem już nie. Lawrence mówił, że faraon bardzo od tego czasu zgorzkniał. Nie było żadnych faktów sprzecznych ze współczesną wersją tamtych dziejów. Tak jak my potępiał

ekscesy i brak rozsądku Kleopatry i Marka Antoniusza.

- Czy Lawrence wierzył w tę opowieść? Czy miał na ten temat jakąś teorię...

- Lawrence po odkryciu tajemnicy był przepełniony entuzjazmem. Taki niezwykły zbiór przedmiotów. Pewnie poświęciłby resztę Sycia na rozwiązanie tej zagadki. Nie wiem, w co tak naprawdę wierzył.

- Mumia, Samirze - zastanawiał się Elliott. - Oglądałeś ją. Byłeś z Lawrence'em, gdy otwierał trumnę.

- Tak.

- Czy zauważyłeś coś niezwykłego?

- Milordzie, widział pan tysiące takich mumii. Bardziej intrygujące były opowieść, znajomość języków i naturalnie sarkofag.

- W takim razie mam ci coś do zakomunikowania. Według naszego wspólnego znajomego, Henry'ego Stratforda, mumia daje wyraźne znaki Śycia. Dziś rano opuściła trumnę, przemierzyła bibliotekę Lawrence'a i próbowała w salonie udusić Henry'ego. Sprzyjało mu szczęście, uszedł z Śyciem.

Samir przez chwilę milczał, jak gdyby niczego nie słyszał. Wreszcie odezwał się cicho.

- Raczy pan sobie ze mnie Śartować, lordzie Rutherford. - Elliott roześmiał się.

- Nie, nie Śartuję, panie Ibrahaim. I gotów jestem załoŚyć się, Śe Henry Stratford równieŚ

nie Śartował, gdy mi o tym dzisiaj rano opowiadał. Powiem więcej, jestem pewien, Śe nie Śartował. Był wstrząśnięty, wręcz bliski hysterii. Ale na pewno nie był w nastroju do Śartów.

Zapadła cisza. Oto ktoś, komu odebrało mowę, myślał Elliott, przypatrując się Samirowi.

- Masz moŚe papierosa? - zapytał Samira.

Nie odrywając wzroku od Elliotta, Samir wyjął niewielką szkatułkę z kości słoniowej, ozdobioną delikatnymi rycinami. Egipskie papierosy. Wyśmienite. Samir podał Elliottowi złotą zapalniczkę.

- Dziękuję. Mogę jeszcze dodać... bo przypuszczam, Śe cię to interesuje... Śe mumia nie zrobiła najmniejszej krzywdy Julie. Została wręcz z honorami ugoszczona w jej domu.

- Lordzie Rutherford...

- Mówię całkiem powaŚnie. Mój syn, Alex, natychmiast się tam udał. Co więcej, jeszcze przed nim na miejscu zjawiała się policja. Okazuje się, Śe w domu Stratforda przebywa pewien egiptolog, niejaki Reginald Ramsey, a Julie wyraźnie upiera się, Śe musi pokazać mu Londyn. I nie ma czasu na rozmowy o obłądnych halucynacjach Henry'ego. Natomiast Henry, który widział tego egiptologa, utrzymuje, Śe to ta sama mumia, chodząca sobie w ubraniu Lawrence'a.

Elliott zapalił papierosa i głęboko się zaciągnął.

- JuŚ wkrótce usłyszysz o wszystkim z innych źródeł - stwierdził obojętnie. - Na miejscu nie zabrakło rzecz jasna dziennikarzy. Przechadzka mumii po Mayfair. - Wzruszył ramionami.

Samira najwyraźniej niezbyt to bawiło. Wręcz przeciwnie, był głęboko poruszony.

- Proszę mi wybaczyć - odezwał się - ale nie mam zbyt wysokiego mniemania o bratanku Lawrence'a, Henrym.

- To oczywiste, trudno, Śeby było inaczej.

- Egiptolog... Mówi pan, Śe nazywa się Reginald Ramsey. Nigdy nie słyszałem o takim naukowcu.

- Domyślałem się. A znasz ich pewnie wszystkich, prawda? Od Kairu do Londynu, Manchesteru, Berlina i Nowego Jorku.

- Wydaje mi się, że tak.
- Czyli to wszystko nie ma sensu.
- Najmniejszego.
- Chyba że przez moment dopuścimy możliwość, że ta mumia jest rzeczywiście nieśmiertelna. Wtedy wszystko zacznie się zgadzać.
- Ale nie wierzy pan chyba... - Samir urwał. Na jego twarzy znowu odmalował się niepokój. I to jeszcze bardziej dojmujący.
- Tak?
- To niedorzeczne - mruknął Samir. - Lawrence zmarł w tym grobowcu na atak serca. Ta mumia go nie zabiła! To czyste szaleństwo.
- Czy znaleziono jakiegokolwiek ślady przemocy?
- Ślady? Nie. Ale cały grobowiec przenikała taka atmosfera, i jeszcze te wszystkie klątwy wypisane na sarkofagu. Faraon życzył sobie, żeby nie zakłócać mu spokoju. Słońce. Nie chciał oglądać słońca. Prosił o pozostawienie go w spokoju. Jak wszyscy zmarli.
- Czyżby? - zdziwił się Elliott. - Nie wiem, czy jako zmarły chciałbym mieć spokój. To znaczy, gdyby to było jednoznaczne z nieodwracalną śmiercią.
- Dajemy się ponosić wyobraźni, lordzie Rutherford. Ponadto... Henry Stratford był w grobowcu w chwili śmierci Lawrence'a!
- Hmm. To prawda. A Henry dopiero dzisiaj rano zobaczył, jak nasz odziany w strzępy, rozkładający się przyjaciel się porusza.
- Nie podoba mi się ta historia. Nawet bardzo. Nie podoba mi się, że panna Stratford przebywa w domu sam na sam z tymi szczątkami.
- Może Museum powinno się tym uważniej zająć - podsunął Elliott. - Zbadać tę mumię.

Jest w końcu niezmiernie cenna.

Samir nie odpowiadał. Znowu zamilkł, wbijając wzrok w stojące przed nim biurko.

Elliott mocno chwycił laskę i stanął na nogach. Coraz lepiej wychodziło mu skrywanie kłopotów, jakie nieodmiennie towarzyszyły tej prostej czynności. Ale musiał odstać kilka chwil bez ruchu, żeby minął ból. Powoli zdusił niedopałek papierosa.

- Dziękuję, Samirze, za niezmiernie interesującą rozmowę. Tamten uniósł głowę, jak zbudzony ze snu.

- Jak pan sądzi, lordzie Rutherford, co się tu do diaska wyprawia? - Wstał powoli.

- Chciałbyś poznać moje zdanie?

- Tak jest.

- Ramzes Drugi jest nieśmiertelny. W czasach starożytnych odnalazł jakiś sekret, jakąś tajemniczą substancję, która dała mu wieczne życie. I w tej chwili chodzi sobie w towarzystwie Julie po Londynie.

- Raczy pan śmiać się.

- Nie tym razem. Chociaż z drugiej strony wierzę w duchy, demony i pecha. Bez przerwy sypię za siebie sól i pukam w niemalowane drewno. Bardzo bym się zdziwił - nie posiadałbym się ze zdumienia - gdyby jakakolwiek część tej hipotezy okazała się prawdą. Ale w tej chwili w nią wierzę. A dlaczego? Bo to jedyne sensowne wyjaśnienie niedawnych wypadków.

Znowu zapadło milczenie.

Elliott uśmiechnął się. Założył rękawiczki, wziął laskę i wyszedł z biura tak, jakby nie sprawiało mu to bólu.

Oto przygoda jej Śycia. Z pewnością juŚ nigdy nie przeŚyje czegoś takiego. JakŚe zdumiewające, Śe działo się to w Londynie, w południe, wśród ruchu i zgiełku ulic, które znała od dziecka.

To olbrzymie, brudne miasto nigdy dotąd nie miało w sobie nic magicznego. Teraz wszystko się zmieniło. Ciekawe, jak widział je on - tę przerośniętą metropolię z ceglanymi wieŚowcami, hałaśliwymi tramwajami i spalinami automobili, hordami konnych powozów i kebów, od których roilo się na kaŚdej ulicy? Co sądził o nie kończącej się reklamie, szyldach wszelkich odmian i rozmiarów, zachwalających towary i usługi? Czy uwaŚał mroczne magazyny ze stertami gotowych ubrań za brzydkie? Co pomyślał o małych sklepikach, w których całymi dniami paliło się elektryczne światło, ponieważŚ dymu i mroku ulic nie był w stanie przeniknąć blask słońca?

Wszystko bardzo mu się podobało. Bez zastrzeŚeń. Nic go nie przeraŚało ani nie odpychało. Wbiegał na jezdnię, Śeby dotknąć stojących automobili. Pędził krętymi schodkami trolejbusów, by móc rzucić okiem z piętra. Wbiegł do biura telegrafu, by przyjrzeć się piszącej na maszynie, młodej sekretarce. Ta zaś, z miejsca poddając się urokowi tego niebieskookiego olbrzyma, pozwoliła mu postukać zręcznymi palcami w klawisze i wypisywać łacińskie zdania, które rozśmieszały go tak bardzo, Śe nie mógł powstrzymać się od chichotania.

Julie przemyciła go do redakcji „Timesa”. Musi zobaczyć gigantyczne prasy drukarskie, powąchać czarną farbę, usłyszeć ogłuszający hałas, który wypełniał ogromne pomieszczenia.

Musi połączyć te wynalazki w jedną całość, przekonać się, jakie to wszystko jest proste.

Patrzyła, jak ludzie ulegają jego urokowi. Ustępowali mu, jakby intuicyjnie przeczuwali, Śe mają przed sobą króla. Sposób, w jaki się nosił, długie kroki, promienny uśmiesz przytłaczały tych, w których wpijał wzrok, którym pospiesznie ścisnął ręce, których rozmów lub przelotnej wymiany słów wysłuchiwał, jak gdyby pojmowali tajemną wiedzę, której nie sposób było nie zrozumieć.

Z pewnością na opis jego stanu znalazłyby się jakieś górnolotne określenia, ale Julie nie przychodziły one do głowy. Ona wiedziała tylko, Śe Ramzes cieszy się wszystkim, Śe parowa koparka i walec nie przeraŚały go, bo oczekiwał wstrząsów i niespodzianek, a chciał tylko wszystko zrozumieć.

Miała do niego tyle pytań. Tyle myśli chciała wyrazić. Z tym było najtrudniej. Z przekazem myśli.

Ale rozmowa o abstrakcjach z godziny na godzinę przychodziła mu łatwiej. Przystwajał sobie angielski w zawrotnym tempie.

- Nazywaj! - wykrzykiwał, gdy choć na chwilę przerywała nieustający komentarz. - Język to nazwy, Julie. Nazwy ludzi, przedmiotów, uczuć. - Mówiąc te ostatnie słowa, bił się w piersi.

Około trzeciej po południu przestał uŚywać łacińskich *quare, quid, quo, qui*.

- Angielski jest stary, Julie. Za moich czasów był językiem barbarzyńców, a teraz nasycił

się łaciną. Słyszysz tę łacinę? Co to takiego, Julie? Wyjaśnij mi!

- Ale to, czego się uczę, nie mieści się w ramach ogólnego porządku. - Chciała mu opowiedzieć o druku, porównać go do bicia monet.

- Porządek znajdę potem - zapewnił ją. Na razie był zbyt zajęty zaglądaniem na zaplecza piekarni i jadłodajni, do warsztatów szewców i kapeluszników, przypatrywaniem się odpadkom wyrzucanym w zaułki, patrzeniem na noszone przez ludzi papierowe pakunki i na kobiece ubrania.

Oraz na same kobiety.

Jeśli nie jest to Śądza, to kompletnie nie znam się na ludziach, myślała Julie. Kobiety by się go bały, gdyby nie był tak wykwintnie odziany i nadzwyczajnie opanowany. W ogóle sposób, w jaki stał, gestykulował, mówił, przykuwał ludzką uwagę. Oto król, myślała Julie, poza swoją epoką i królestwem, niemniej jednak ciągle król.

Zaprowadziła go do księgarni. Pokazała stare nazwiska. Arystoteles, Platon, Eurypides, Cynceron. Wpatrywał się w ilustracje Aubrey Beardsley na ścianach.

Na widok fotografii wpadał po prostu w zachwyt. Julie zabrała go do niewielkiej pracowni, gdzie zrobiono mu zdjęcie portretowe. Cieszył się jak dziecko. Co najcudowniejsze, zawołał, nawet biedacy, mieszkający w tym wielkim mieście mogą zamówić sobie takie zdjęcia.

Ale gdy zobaczył kinematograf, osłupiał. Siedząc w niewielkiej, zatłoczonej salce, wzdychał, ścisnął rękę Julie, podczas gdy przez ekran przemykały gigantyczne, świetliste postacie. Spozrzegłszy źródło smug światła z projektora, pognął do niewielkiego pokoiku na tyle i bez wahania wtargnął do środka. Stary operator natychmiast uległ jego czarowi i wytłumaczył

mechanizm działania aparatu.

Gdy w końcu znaleźli się w gigantycznej, mrocznej pieczarze Victoria Station, na widok potężnych, dudniących lokomotyw stanął jak wryty. Ale podszedł do nich bez lęku. Dotykał

zimnego, czarnego Źelaza i stanął niebezpiecznie blisko ogromnych kół. Wskoczył na tory za odjeżdżającym pociągiem, Źeby poczuć drgania. W oszołomieniu przypatrywał się tłumom.

- Tysiące ludzi, przewożonych z jednego końca Europy na drugi - usiłowała przekrzyczeć zgiełk. - Podróże, które niegdyś trwały wiele miesięcy, teraz zajmują kilka dni.

- Europa - wyszeptał. - Italia do Britanni.

- Okręty przewożą pociągi przez morze. Biedacy ze wsi mogą pojechać do miasta.

Widzisz, wszyscy znają miasta.

Z powagą skinął głową. Ścisnął jej rękę.

- Nie ma pośpiechu, Julie. Z czasem wszystko będzie zrozumiałe. - I znowu olśniewający uśmiech. Fala ciepła i czułości, na której widok zarumieniła się i odwróciła głowę.

- Świątynie, Julie. Domy *deus... di*.

- Bogów. Ale teraz jest tylko jeden. Jeden Bóg. Niedowierzenie. Jeden Bóg?

Opactwo Westminsterkie. Przechodzili pod wysokimi łukami. Taka wspaniałość.

Pokazała mu cenotaf Szekspira.

- To nie dom Boga - oznajmiła - ale miejsce, w którym gromadzimy się, Œeby o nim rozmawiać. - Jak opisać chrześcijaństwo? - Braterska miłość. To fundament.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Braterska miłość? - Zaczął badawczo przyglądać się ludziom.

- Czy oni wierzą w tę religię? - zapytał. - Czy jest to po prostu takie przyzwyczajenie?

Wieczorem formułował juŒ sensowne ciągi zdań. Powiedział, Œe podoba mu się angielski.

W tym języku dobrze się myśli. Greka i łacina doskonale pasowały do myślenia. Egipski nie.

Wcześniej uczył się kilku języków, więc wzrastała jego zdolność rozumienia. Język ułatwiał

nowe rodzaje myślenia. Ale Œe teŒ wszyscy ludzie nowoczesnej epoki czytali wypełnione słowami gazety! Jak myśli przeciętny człowiek?

- Czy nie jesteś ani trochę zmęczony? - spytała w końcu Julie.

- Nigdy, chyba Œe w sercu i duszy. Głodny. Jeść, Julie. Bardzo pragnę jeść.

Weszli w zacisze Hyde Parku i, mimo zarzekania się, widok ponadczasowych drzew sprawił mu widoczną ulgę, obraz nieba pomiędzy gałęziami, taki sam, jak we wszystkich okresach czasu i ze wszystkich miejsc na Ziemi.

Usiedli na ławce przy ścieŒce. Zamilkł, obserwując spacerowiczów. Natomiast oni przyglądali się jemu - męŒczyźnie o potęŒnej budowie ciała, o pełnym zapału wyrazie twarzy.

Ciekawe, czy zdawał sobie sprawę z własnej urody. Czy wiedział, Œe od zwykłego dotknięcia jego ręki przez całe jej ciało przebiegał dreszcz, który starała się zbagatelizować?

Miała mu tyle do pokazania! Zabrała go do biur Stratford Shipping, w duchu modląc się, Œeby nikt jej nie poznał. Weszli do windy z kutego Œelaza, gdzie nacisnęła guzik oznaczający dach.

- Kable i dźwigi - wyjaśniła.

- Britannia - wyszeptał, gdy spoglądali na dachy Londynu, gdy słuchali wycia fabrycznych syren, brzęku tramwajowych dzwonek. - Ameryka, Julie. - Zwrócił się do niej i chwycił ją, zadziwiająco delikatnie, za ramiona. - Ile dni okrętem mechanicznym do Ameryki?

- Chyba dziesięć dni. W Egipcie można by się znaleźć szybciej. O ile pamiętam, rejs do Aleksandrii trwa sześć dni.

Po co wypowiadała te słowa? Nieznacznie pociemniała mu twarz.

- Aleksandria - szepnął, naśladowując jej wymowę. - Aleksandria ciągle istnieje?

Zaprowadziła go do windy. Tyle jeszcze zostało do obejrzenia. Tłumaczyła, że nadal istnieją Ateny, Damaszek, Antiochia. I Rzym, oczywiście był jeszcze Rzym.

Przyszedł jej do głowy szalony pomysł. Zatrzymała keb i nakazała woźnicy:

- Do Madame Tussaud.

Chciała mu pokazać wszystkie postacie w muzeum figur woskowych. Pospiesznie wytłumaczyła, że jest to swego rodzaju panorama dziejów. Pokaże mu Indian, Czyngis - chana, Huna Attyłę - którzy napełniali Europę grozą po upadku Rzymu.

Nie umiała sobie wyobrazić mozaiki faktów, którą układał w swojej głowie. Zdumiewała ją jego równowaga ducha.

Ale już po kilku chwilach pobytu u Madame Tussaud uświadomiła sobie swoją pomyłkę.

Spokój opuścił go już na widok pierwszych rzymskich legionistów. Natychmiast rozpoznał figurę Juliusza Cezara. Z niedowierzaniem zapatrzył się na egipską Kleopatę, woskową lalkę, która w niczym nie przypominała wizerunku z jego ukochanego popiersia ani troskliwie przechowywanych monet. Ale nie sposób było pomylić ją z kimś innym, gdy leżała na złoconej lektyce, z wijącym się w rękach węszem, wbijającym zęby tuż nad jej piersiami. Za nią stała sztywna figura Marka Antoniusza, pozbawionego charakteru rzymskiego legionisty w stroju wojskowym.

Ramzes zaczerwienił się. W jego wzroku było coś dzikiego, gdy spoglądał na Julie, a potem na wydrukowane pod eksponatem opisy.

Jak mogło nie przyjść jej do głowy, że będą tu stać te figury? Jak mogła nie pamiętać?

Schwyciła go za rękę, gdy odsuwał się od szklanej gabloty. Obrócił się na pięcie i mało nie wpadł

na dwoje ludzi, którzy znaleźli się na jego drodze. Męszczyzna powiedział coś groźnym głosem, ale Ramzes jakby go nie słyszał. Ruszył w stronę wyjścia. Ona pognęła za nim.

Gdy dogoniła go na ulicy, sprawiał już wrażenie spokojniejszego. Przyglądał się pojazdom i

ludziom. Wyciągnął rękę w jej stronę, nawet na nią nie patrząc, i szli tak razem, dopóki nie zatrzymał się na widok robotników na placu budowy. Pracowała akurat wielka betoniarka. Od dalekich ścian odbijał się odgłos kucia młotami.

Przez usta Ramzesa przemknął lekki, gorzki uśmieszek. Julie zatrzymała przejeżdżający keb.

- Dokąd teraz? - zapytała. - Powiedz, co chcesz teraz zobaczyć.

Przyglądał się Śebracze, odzianej w łachmany i dziurawe buty, która wyciągnęła rękę w ich stronę.

- Biedni - stwierdził, patrząc na kobietę. - Dlaczego oni jeszcze istnieją?

Jechali w milczeniu przez brukowane ulice. Sznury bielizny zasłaniały szare, pochmurne niebo. W zaułkach unosiły się dymy z nad kuchni. Bose dzieci o brudnych twarzach oglądały się za nimi.

- A czy nie można całym bogactwem pomóc tym ludziom? Są tak samo biedni, jak wieśniacy na moich ziemiach.

- Pewne rzeczy nie zmieniają się z czasem.

- A twój ojciec? Czy był bogaty? - zapytał.

Skinęła głową.

- Stworzył wielką firmę przewozów morskich - okręty wożące towary z Indii i Egiptu do Anglii i Ameryki. Okręty, które okrążają kulę ziemską.

- I dla tego bogactwa Henry usiłował cię zabić, tak, jak zamordował w grobowcu twojego ojca.

Julie zapatrzyła się przed siebie. Jego słowa rozpraszały resztki jej spokoju. W ciągu tego dnia, tej przygody osiągnęła szczyty, a teraz czuła, że znowu stacza się w dół. Henry zabił ojca.

Słowa uwięzły jej w gardle.

Ramzes ujął jej rękę.

- Bogactwa powinno starczyć dla wszystkich - wydusiła. - Dla mnie, dla Henry'ego, dla jego ojca.

- A jednak twój ojciec szukał skarbów w Egipcie.

- Wcale nie skarbów! - popatrzyła na niego surowo. - Odkopywał ślady przeszłości.

Twoje zapiski miały dla niego wagę większą niż pierścienie na twoich rękach. Skarbem była dla niego historia, którą opowiedziałeś. I jeszcze malowana trumna, gdy był to przedmiot pochodzący z twoich czasów.

- Archeologia - stwierdził Ramzes.

- Tak. - Uśmiechnęła się wbrew sobie. - Ojciec nie okradał grobowców.

- Rozumiem. Nie gniewaj się.

- Był uczonym - podjęła juŜ nieco łagodniej. - Miał wystarczająco duŜo pieniędzy.

Błędem było pozostawienie firmy w rękach brata i bratanka, choć z drugiej strony doskonale ich opłacał.

Urwała. Ogarnęło ją niespodziewane znuŜenie. Pod pozorną euforią czaiła się pamięć o bolesnych wydarzeniach, a cierpienie dopiero się zaczynało.

- Coś przestało się układać - wyszeptała.

- Wszystko przez chciwość. Wszystko, co złe, dzieje się przez chciwość.

Spoglądał na szare, wybite okna domów. Cuchnęło z kałuŜ i drzwi wejściowych. Odór moczu i rozkładu.

Julie pierwszy raz w Śyciu była w tej części Londynu. Okolica ją przygnębiała, powiększała tkwiący w niej ból.

- Henry'ego naleŜy powstrzymać - oświadczył Ramzes - Œeby znowu nie próbował cię skrzywdzić. Jestem pewien, Œe chcesz pomścić śmierć ojca.

- Wuj Randolph nie wytrzyma wiadomości o tym, co się zdarzyło. O ile jeszcze się nie dowiedział.

- Wuj, ten, który przybiegł dziś rano, bo tak się o ciebie lękał - on jest niewinny i niepokoi się o syna. Ale kuzyn Henry jest zły. A zła nie da się powstrzymać.

DrŜała. W oczach zabłyśły jej łzy.

- Póki co nie mogę nic poradzić. Jest moim kuzynem. Są jedynymi moimi krewnymi. A sprawa musi skończyć się na sali sądowej.

- Jesteś w niebezpieczeństwie, Julie Stratford - powiedział.

- Ramzesie, ja nie jestem tu królową. Nie mogę działać samowolnie.

- Ale ja jestem królem. I zawsze nim pozostanę. Moje sumienie uniesie to brzemię.

Pozwól mi działać, gdy uznam to za stosowne.

- Nie - wyszeptała. Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem. Delikatnie przycisnął się do jej boku, potem wyciągnął rękę, jakby chciał ją objąć. Nie pozwoliła.

- Obiecuj, Œe niczego nie zrobisz. Wszystko spadnie równieŜ na moje sumienie.

- On zabił twojego ojca.

- Zabij go, a zamordujesz jednocześnie córkę mojego ojca.

Zapadła chwila ciszy, podczas której spojrzał na nią, być może z podziwem. Poczwała na lewej ręce jego prawą. Wreszcie przyciągnął ją do siebie, przyciskając ją do piersi i całując namiętnie. Śmiech przysłyszał natychmiast i zalał ją całkowicie. Podniosła rękę, żeby go odepchnąć, a tylko zanurzyła ją w jego włosach. Łagodnie kołysała jego głowę w swoich dłoniach. Nareszcie odsunęła się, wyczerpana, zdumiona.

Przez chwilę nie potrafiła wykrztusić ani słowa. Miała zaczerwienioną twarz, czuła, że jest cała miękka, bezbronna. Zamknęła oczy. Wiedziała, że gdyby ją jeszcze raz dotknął, byłoby po wszystkim. Jeśli zaraz czegoś nie zrobi, skończy się na pieszczotach w tym kebie...

- Za kogo ty mnie brałaś, Julie? - zapytał. - Za ducha? Jestem nieśmiertelnym, ale jednak człowiekiem.

Przysunął się, chcąc ją znowu pocałować. Podniosła rękę, cofając się.

- Wracamy do rozmowy o Henrym? - zapytał. Schwycił jej dłoń i ucałował w palce.

- Henry wie, kim jestem. Widział, jak spieszę ci na ratunek, Julie. I nie ma powodu, żeby pozwolić być mu dalej z tą świadomością, skoro jest zły i zasługuje na śmierć.

Wiedział, że trudno jej skupić się na wypowiedzianych przez niego słowach. Nagle rozgniewało ją, że muska ją po palcach, że jego oczy błyszczą w mroku kebu niczym światła.

- Rozgłaszając tę historię, Henry wyszedł tylko na głupca - stwierdziła - i raczej nie będzie już próbował mnie skrzywdzić. - Cofnęła rękę i wyjrzała za okno. Opuszczali tę przygnębiającą, nieszczęsną dzielnicę nędzy. Dzięki Bogu.

Zamyślony, wzruszył lekko ramionami.

- Henry to tchórz - ciągnęła, odzyskując panowanie nad sobą.

- Straszliwy. Jak tchórzliwie spowodował śmierć ojca.

- Tchórze potrafią być groźniejsi od ludzi odważnych, Julie.

- Nie rób mu krzywdy! - szepnęła. Znowu obróciła się do Ramzesa.

- Dla mojego dobra pozostaw to Bogu. Ja nie mogę być jego sędzią i ławą przysięgłych!

- Zupełnie jak królowa - orzekł. - I mądrzejsza od wielu monarchiń.

Wolno nachylił się i znowu ją ucałował. Wiedziała, że powinna się odwrócić, ale tego nie zrobiła. I przyjemne ciepło zalało ją raz jeszcze, całkowicie pozbawiając sił. Próbował

przytrzymać ją dłużej, ale opór w końcu zwyciężył. Gdy po chwili na niego spojrzała, uśmiechał się.

- Gość na twym dworze - powiedział z lekkim gestem zaproszenia - królowo.

* * *

Elliott bez trudu dał sobie radę z Ritą. Gdy błagała go o zrozumienie, że pani nie ma w domu i że musi przyjść kiedy indziej, minął ją i skierował się do pokoju egipskiego.

- Ach, co za wspaniałe skarby. Można by je oglądać bez końca. Przynieś mi kieliszek sherry, Rito. Czuję, że jestem zmęczony. Chwilę odsapnę i wracam do siebie.

- Tak, proszę pana, ale...

- Poproszę sherry, Rito.

- Tak, proszę pana.

Jaka to biedaczka była blada i niespokojna. I w jakim okropnym stanie była biblioteka.

Wszędzie leżały rozrzucone książki. Rzucił okiem na stół w oranżerii. Nawet z takiej odległości widać było stos słowników na wiklinowym stole; na wszystkich krzesłach leżały starannie ułożone niewielkie sterty gazet i czasopism.

Za to dziennik Lawrence'a leżał spokojnie na jego biurku, dokładnie tak, jak spodziewał się Elliott. Otworzył go, upewnił się, że się nie myli, po czym schował go pod połę płaszcza.

Wpatrywał się w trumnę, gdy wróciła Rita z kieliszkiem sherry na niewielkiej, srebrnej racy.

Wsparłszy się o laskę, uniósł kieliszek i tylko skosztował trunku.

- A pozwoliłabyś mi może rzucić okiem na mumię?

- Nie, na miłość boską, nie! Proszę nawet nie dotykać! - Stała, wpatrując się w trumnę, a w jej głosie brzmiał prawdziwy popłoch.

- Jest bardzo ciężka, proszę pana. Lepiej nawet nie próbować unosić pokrywy.

- Bez przesady, wiesz równie dobrze jak ja, że to tylko skrzynka z cienkiego drewna, która prawie nic nie waży.

Dziewczyna przeraziła się.

Uśmiechnął się. Dał jej suwerena. Zdumiała się. Pokręciła głową.

- Weź, weź, kochanie. Kup sobie coś ładnego.

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy minął ją i poszedł w stronę drzwi frontowych. Pobieгла, żeby je przed nim otworzyć.

Przystanął dopiero u stóp schodów. Dlaczego się nie upierał? Czemu nie zajrzał do trumny?

Z pomocą przyszedł mu słuchający Walter. Stary, dobry Walter, który pracował u niego od dziecka. Pozwolił mu właściwie wnieść się do czekającego auta; rozsiadł się, czując kłujący ból w pasie, gdy rozprostował nogi.

Czy zdziwiłby się, widząc, że trumna jest pusta, że nie jest to Sart? Bynajmniej. Zdał

sobie sprawę, że w zasadzie wierzył, że tak by było. Ale bał się przekonać o tym na własne oczy.

Pan Hancock z British Museum nie należał do ludzi cierpliwych. Całe życie wykorzystywał swoje przywiązanie do egipskich starożytności, żeby podporządkowywać sobie ludzi, usprawiedliwiać ordynarność i zwyczajną podłość. Leżało to w jego naturze tak samo, jak autentyczna miłość do przedmiotów i papirusów, których badaniem zajmował się całe życie.

- „Przechadzka mumii po Mayfair”. - Złoczył gazetę. - To po prostu obrzydliwe. Czy ten młody Stratford kompletnie zwariował?

Starszy pan, który siedział po drugiej stronie biurka, tylko się uśmiechnął.

- Henry Stratford jest pijakiem i nałogowym graczem. Mumia wyszła z trumny? Co też on nie powie!

- Kłopot w tym - stwierdził Hancock - że powierzyliśmy osobie prywatnej bezcenną kolekcję starożytności, a teraz wybucha ten skandal! W asyście funkcjonariuszy Scotland Yardu i rojących się wokół domu dziennikarzy brukowców.

- Śmiałym zauważyć - zaproponował starszy pan - że o wiele bardziej niepokojąca jest sprawa skradzionej monety.

- Zgoda - odezwał się Samir Ibrahim, siedzący na końcu kółka zgromadzonych - ale powtarzam, że kiedy je katalogowałem, monet było tylko pięć, i Saden z nas nie widział ani śladu tej tak zwanej skradzionej.

- Niemniej jednak - orzekł pan Hancock - pan Taylor ma reputację dobrego handlarza numizmatów. Utrzymuje on, że moneta była autentyczna. A w osobie proponującego sprzedaż

rozpoznał Henry'ego Stratforda.

- Niewykluczone, że Stratford ukradł ją jeszcze w Egipcie - podsunął starszy pan. Jego słowom towarzyszyło przytaknięcie kilku głów.

- Kolekcja winna znaleźć się w muzeum - powiedział pan Hancock. - Powinniśmy zająć się badaniem

mumii Ramzesa. Muzeum w Kairze wyraża swoje zaniepokojenie tą sensacją. A teraz na dodatek jeszcze sprawa tej monety...

- Ale panowie - przerwał mu Samir - zdajecie sobie chyba sprawę, że nie możemy podjąć sądnej wiążącej decyzji w sprawie tych zbiorów bez porozumienia z panną Stratford.

- Panna Stratford jest bardzo młodą osobą - burknął pan Hancock. - Poza tym śal po stracie ojca przeszkadza jej kierować się rozsądkiem.

- Tak - przyznał starszy pan - ale wszyscy tu obecni zdają sobie naturalnie sprawę, że nasze muzeum zawdzięcza Lawrence'owi Stratfordowi miliony funtów. Sądzę więc, że Samir ma rację. Nie powinniśmy tykać tej kolekcji bez zgody panny Stratford.

Hancock spojrział raz jeszcze na gazety.

- „Ramzes powstaje z grobu” - odczytał. - Powtarzam, że bardzo mi się to nie podoba.

- Może powinniśmy dodać jeszcze jednego strasznika - zaproponował Samir - albo dwóch.

- Dobra myśl - przytaknął starszy pan. - Ale przedtem naleśy spytać o zdanie pannę Stratford.

- To może ją odwiedzisz! - zawołał Hancock, rzucając Samirowi pełne furii spojrzenie. -

Byłeś przyjacielem jej ojca.

- Oczywiście, proszę pana - odparł cichym głosem Samir. - Z pewnością nie omieszkam.

* * *

Wczesny wieczór. Hotel Victoria. Ramzes rozpoczął kolację o godzinie czwartej, kiedy ukośne promienie słońca oświeślały jeszcze przez ołowiane szybki białe obrusy na stołach. Od tego czasu zapadł już jednak zmrok. Wszędzie paliły się świece, a pod sufitem bardzo powoli obracały się wentylatory, lekko poruszając liście wysokich, eleganckich, ciemnozielonych palm w mosiężnych donicach.

Kelnerzy w liberiach bez słowa komentarza przynosili kolejne dania, unosząc brwi przy otwieraniu czwartej butelki czerwonego włoskiego wina.

Julie skończyła swój skromny posiłek już przed kilkoma godzinami. Byli pogrążeni w rozmowie, a strumień angielskiej mowy płynął równie wartko co czerwone wino.

Uczyła Ramzesa, jak używa się cięskiej, srebrnej zastawy, ale nauka poszła w las. Za jego czasów tylko barbarzyńca używałby narzędzi, żeby wpychać sobie jedzenie do ust.

Po krótkim namyśle dodał, że po prostu nikt tego nie robił. Nadeszła pora na wyjaśnienie powstania sztucców. Na razie musiała przyznać, że jadł z ogromną... jak by to ująć... gracją. Z

wdziękiem dzielił chleb i mięso na niewielkie porcje i kładł je na języku, nie dotykając ust.

Zajęła się omawianiem technicznej rewolucji.

- Pierwsze maszyny miały proste przeznaczenie - używane były do tkania, uprawy pola.

Ludzi zafascynowała idea maszyny.

- Tak.

- Jeśli można sprawić, żeby maszyna robiła jedną rzecz, to można ją udoskonalić tak, by robiła jeszcze coś...

- Rozumiem.

- Potem przyszła kolej na silnik parowy, automobil, telefon, samolot.

- Chciałbym kiedyś polecieć po niebie.

- Naturalnie, zrobimy to. Ale czy rozumiesz koncepcję, tę rewolucję w myśleniu?

- Oczywiście. Nie pochodzę, jak mówisz, z epoki dziewiętnastej dynastii egipskiej, lecz z czasu początków Imperium Rzymskiego. Umysł mam, jak by to powiedzieć, elastyczny, umiejący się przystosować. Jestem w ciągłym stanie, jak ty to nazywasz, rewolucji.

Coś go nagle poruszyło. Z początku nie zdawała sobie sprawy, o co chodzi. Orkiestra zaczęła grać bardzo cicho, tak że z początku muzykę zagłuszał gwar rozmów. Wstał, upuszczając serwetkę, i wskazał drugi kraniec zatłoczonej sali.

Delikatne takty walca z *Wesołej wdówki* przebiły się przez szum na sali. Julie odwróciła się i zobaczyła małą orkiestrę smyczkową, która zajęła miejsce na końcu niewielkiego, polerowanego parkietu.

Ramzes wstał i skierował się w ich stronę.

- Ramzesie, zaczekaj - prosiła Julie. Ale nawet jej nie słuchał. Pobiegła za nim. Z

pewnością wszyscy patrzyli na wysokiego mężczyznę, który przemierzył parkiet i stanął przed orkiestrą, jak gdyby był dyrygentem.

Widok skrzypiec i wiolonczeli rozpałił w nim wściekłość; ale gdy uważniej przyjrzał się ogromnej, złocistej harfie, na usta powrócił mu uśmiech, pełen takiej ekstazy, że skrzypaczka uśmiechnęła się do niego, a siwowłosy wiolonczelista sprawiał wrażenie z lekka rozbawionego.

Na pewno wzięli go za głuchoniemego, gdy wszedł między nich i położył palce na wiolonczeli, cofając się od potężnych wibracji, by po chwili znów dotknąć instrumentu.

- Och, Julie - wyszeptał głośno.

Wszyscy patrzyli. Nawet kelnerzy byli wyraźnie zaniepokojeni. Ale nikt nie śmiał

sprzeciwić się przystojnemu dŃentelmenowi ubranemu w elegancki garnitur i jedwabną kamizelkę, nawet gdy zadrŃał i przyłoŃył obie dłonie do boków głowy. Ciągnęła go. Nie ustępował.

- Julie, takie dŃźwięki! - wyszeptał.

- Zatańcz ze mną, Ramzesie.

Na parkiecie nie było nikogo, ale jakie miało to teraz znaczenie, skoro miała ochotę zatańczyć? Przede wszystkim zatańczyć.

Spojrzał na nią zdezorientowany, wreszcie pozwolił sobą obrócić i ustawić rękę we właściwym połoŃeniu, podczas gdy ona ujęła go w tali.

- Teraz uwaŃaj, w taki sposób męŃczyzna prowadzi kobietę - zaczęła, zaczynając krok walca. - Moja dłoń powinna tak naprawdę znaleźć się na twoim barku. Będę się poruszać, tak, a ty... Pozwól mi prowadzić.

Wirowali coraz prędeziej, Ramzes nadaŃał za nią z wielką gracją, od czasu do czasu spoglądając na swoje stopy. Na parkiecie zjawiała się druga para, potem kolejna. Ale Julie ich nie widziała. Dla niej waŃna była tylko ekstatyczna twarz Ramzesa i jego wzrok, muskający pospolite skarby, które zgromadzono na sali. Wszystko pogrąŃyło się w jakiejś mgiełce: płomienie Ńwiec, łopatkı złoconego wiatraka pod sufitem, więdnące kwiaty na stolikach, wszechobecny, pełgający blask srebra i otaczająca ich muzyka; fala muzyki, która niosła ich coraz szybciej.

Ni stąd, ni zowąd rozeŃmiał się na głos.

- Julie, to jak muzyka nalewana z czary. Muzyka jak wino. Obróciła go kilka razy, szybko.

- Rewolucja! - zawołał. Odrzuciła głowę i zaŃmiała się.

Znienacka nadszedł koniec. Wcześniejszy czy później musiało to nastąpić. Zdawała sobie sprawę tylko z tego, Ńe muzyka ucichła, on chce ją pocałować, a ona nie ma ochoty go powstrzymać. Ale Ramzes zawahał się. ZauwaŃył, Ńe pozostałe pary schodzą z parkietu. Ujął jej rękę.

- Tak, na nas juŃ pora - potwierdziła.

Na zewnątrz było ciemno i mgliŃcie. Dała portierowi kilka monet. Potrzebowała kebu.

Ramzes chodził tam i z powrotem, przyglądając się ciŃbie ludzi, którzy wsiadali i wysiadali z automobili i powozów. Wtedy zauwaŃył gazeciarza, który zachwalał najnowsze wydanie.

- Klątwa mumii na Mayfair! - krzyczał piskliwie chłopiec. - Mumia powstaje z grobu!

Nie zdążyła zareagować, gdy Ramzes wyrwał gońcowi gazetę. Zmieszana dała małemu monetę.

I oto mieli przed oczyma ten idiotyczny skandal w całej okazałości: sporządzoną w tuszu rycinę, przedstawiającą Henry'ego, zbiegającego ze schodów przed jej domem.

- Twój kuzyn - wycedził ponuro Ramzes. - „Kolejny cios klątwy mumii...” - odczytał powoli.

- Nikt w to nie wierzy! To głupi Śart!

- „Panowie z British Museum - kontynuował lekturę - utrzymują, Śe kolekcji Ramzesa nic nie grozi oraz Śe wkrótce zostanie zwrócona muzeum”. - Urwał. - Muzeum. Co to znaczy muzeum? Czy to jakiś grobowiec?

* * *

Samir widział, Śe biedne dziewczę kompletnie się pogubiło. Powinien dać jej spokój. Ale musiał odnaleźć Julie. Dlatego czekał w salonie, siedząc sztywno na brzeŚku kanapy i po raz trzeci odmawiając kawy, herbaty i wina.

Raz po raz spoglądał w głąb domu na lśniąca, egipską trumnę.

Gdyby tylko nie stała przy nim Rita! Ale najwyraźniej nie miała zamiaru pozostawić go samego.

* * *

Muzeum było juŚ dawno nieczynne. Ale chciała mu je pokazać. Zwolniła keb i poszła za nim do Śelaznego parkanu. Kurczowo chwycił pręty i przyglądał się odrzwiom i wysokim oknom. Ulica pogrąŚona była w mrocznej pustce. Zaczęło lekko mŚyć.

- Wewnątrz znajduje się wiele mumii - tłumaczyła. - Twoja takŚe by się tam w końcu znalazła. Ojciec pracował w British Museum, chociaŚ sam finansował swoje ekspedycje.

- Mumie egipskich królów i królowych?

- Jeszcze więcej jest ich w Egipcie. Na przykład mumia Ramzesa Drugiego od lat leŚy tam zamknięta w szklanej gablocie.

Zaśmiał się krótko i gorzko.

- I kto by pomyślał? - Odwrócił się z powrotem ku muzeum. - Nieszczęsny głupiec.

Nawet nie wiedział, Śe pogrzebano go w grobowcu Ramzesa.

- A kto to był? - Poczwała przyspieszone bicie serca. Zbyt wiele pytań cisnęło się na usta.

- Nie znałem go - odparł, powoli omiatając wzrokiem budynek muzeum, jak gdyby próbował wszystko zapamiętać. - Posłałem żołnierzy, żeby znaleźli jakiegoś starego, umierającego człowieka, którego nikt nie kochał i którym nikt się nie opiekował. Przeprowadzili go nocą do pałacu. I tym sposobem... jak by to powiedzieć? Zaimprovizowałem swoją śmierć. A potem spełniło się marzenie mojego syna Meneptaha, został królem. - Chwilę się zastanawiał.

Gdy znowu przemówił, głos mu się zmienił, pogłębił.

- I mówisz, że ciało tego człowieka jest w egipskim muzeum, wraz ze zwłokami egipskich królów i królowych?

- W Muzeum Kairskim - odparła cicho. - W pobliżu Sahary i piramid. Stoi tam wielkie miasto.

Widziała, jak on to przyjmuje. Podjęła łagodnym głosem opowieść, sama nie wiedząc, czy on ją w ogóle słyszy.

- W czasach starożytnych obrabowano Dolinę Królów. Złodzieje okradli większość grobowców. Ciało Ramzesa Wielkiego znaleziono w masowej mogile, którą przygotowali w tym celu kapłani.

Spojrzał na nią w zamyśleniu. Nawet mimo smutku jego twarz sprawiała wrażenie otwartej, oczy patrzyły badawczo.

- Powiedz mi coś, Julie, o królowej Kleopatrze VI, która panowała za czasów Juliusza Cezara. Czy jej zwłoki także leżą w Muzeum Kairskim? A może tutaj? - Zwrócił się w stronę mrocznej bryły muzeum. Dostrzegła w nim drobne zmiany; na twarz wróciły rumieńce.

- Nie, Ramzesie. Nikt nie wie, co stało się ze szczątkami Kleopatry.

- Ale znasz królową, której popiersie stało w moim grobowcu?

- Tak, Ramzesie, nawet dzieci znają tu imię Kleopatry. Zna je cały świat, ale jej grobowiec uległ zniszczeniu w starożytności. Wszystko to działo się w epoce starożytnej, Ramzesie.

- Rozumiem więcej, niż umiem powiedzieć, Julie. Mów dalej.

- Nikt nie wie, gdzie znajdował się jej grobowiec, co stało się z jej szczątkami. Czasy mumii minęły.

- Nieprawda! - wyszeptał. - Pogrzebano ją w zgodzie ze starym egipskim obyczajem, bez czarów i balsamowania, owinięto w płócienny całun, tak jak należało, i zawieziono do grobu nad morzem.

Urwał. Przyłożył ręce do skroni. Oparł czoło o żelazny parkan. Deszcz gęstniał. Nagle poczuła, że marznie.

- Ale mauzoleum - podjął, odsuwając się od muru i krzyżując ręce na piersiach, jak gdyby spełniał swój obowiązek. - Była to majestatyczna budowla. Duża, piękna i wyłożona marmurem.

- Takie te są starożytne przekazy. Ale nie ma go. W Aleksandrii nie zostało po nim ani śladu. Nikt

nie wie, gdzie się znajdowało.

- Naturalnie z wyjątkiem mnie. - Popatrzył na nią w milczeniu.

Odszedł kilka kroków chodnikiem. Stał pod latarnią i uniósł wzrok na przyćmione, Œólte, fosforyzujące Œwiatło. Niepewnie poszła jego Œladem. Nareszcie odwrócił siê do niej, podał

jej rękê i przyciagnał do siebie.

- Znasz moje cierpienie - powiedział - chociaŒ tak mało o mnie wiesz. Co o mnie myŒlisz?

- JesteŒ męŒczyznà - odparła po chwili zastanowienia.

- Pięknym i silnym męŒczyznà, który cierpi, jak zwyczajni Œmiertelnicy. A wiem o pewnych sprawach... poniewaŒ spisałeś je na zwojach papirusu i zostawiłeś w grobowcu.

Nie wiedziała, czy sprawiło mu to radoŒć.

- I twój ojciec równieŒ je czytał - stwierdził.

- Tak. Przetłumaczył fragmenty.

- Obserwowałem go - wyszeptał.

- Czy napisałeś prawdê?

- A czemu miałbym kłamać?

Znienacka przysunął siê i chcał ją pocałować, ale ona zrobiła krok do tyłu.

- AleŒ ty wybierasz najmniej oczekiwane chwile na swoje zaloty - wyrzuciła bez tchu. - O

ile sobie przypominam, rozmawialiŒmy o tragedii... prawda?

- Raczej o samotności i szaleństwie. I o tym, do czego pcha ludzi Œal.

Wyraz jego twarzy dodawał jej otuchy. Znowu był figlarny, znowu pojawił siê ten uŒmiech.

- Twoje Œwiątynie jeszcze stojà w Egipcie - oznajmiła.

- Ramesseum w Luksorze. Abu Simbel. Ale ty nie znasz przecieŒ tych nazw. I te kolosalne posàgi! Posàgi, które ogląda cały Œwiat. Pisali o nich angielscy poeci. Wielcy generałowie odbywali do nich podróŒe. Przechodziłam koło nich, dotykałam. Stałam w twych staroŒytnych budowlach.

- A teraz chodzę z tobà po współczesnych ulicach. - Nie przestawał siê uŒmiechać.

- I robisz to z wielkà radoŒcià.

- To prawda. Moje świątynie zestarzały się jeszcze za mojej pamięci. Ale mauzoleum Kleopatry zbudowano niedługo przed tym, jak zamknąłem oczy. - Urwał, puszczając jej rękę.

- Bo widzisz, wydaje mi się, jakby to było wczoraj. A jednocześnie jest takie odległe, jak ze snu. W jakiś sposób odczuwałem we śnie upływ stuleci. Mój duch cały czas dojrzewał.

Przypomniały jej się słowa z tłumaczenia ojca.

- Co ci się śniło, Ramzesie?

- Nic, co miałoby jakiś związek z cudami twojego wieku, kochanie - urwał. - Gdy czujemy znużenie, mówimy o sennych marzeniach, jakby były spełnieniem naszych najszczerzych pragnień - co chcielibyśmy mieć, gdy to, co mamy, sprawia nam bolesny zawód.

Ale dla wędrowca prawdziwym przedmiotem pośądania zawsze był świat materialny. A znużenie przychodziło dopiero wtedy, gdy świat zaczynał wydawać się jak ze snu.

Zapatrzył się w strugi deszczu. Zastanawiała się nad jego słowami, być może daremnie usiłując pojąć ich sens. Jej krótkie życie naznaczone było cierpieniem akurat na tyle, żeby umiała cenić to, co ma. Śmierć matki przed laty sprawiła, że jeszcze mocniej przywiązała się do ojca.

Starła się pokochać Alexa Savarella, bo tego pragnął, a ojciec nie miał nic przeciwko. Ale prawdziwą miłością darzyła idee i przedmioty, zupełnie tak jak ojciec. Czy o to chodziło Ramzesowi? Nie była pewna.

- Czy chciałbyś wrócić do Egiptu i na własne oczy obejrzeć stary świat? - zapytała.

- Jestem rozdarty - szepnął.

Puste chodniki omiół podmuch wilgotnego wiatru, suche liście unosiły się i przywierały do żelaznego parkanu. W drutach elektrycznych nad nimi rozległo się jakieś odległe brzęczenie i Ramzes podniósł głowę.

- Znacznie bardziej malownicze niż senne marzenie - wyszeptał, nie odrywając wzroku od samotnej, żółtej latarni. - Wolę twój czas, kochanie. Pozwolisz, że będę cię tak nazywał? Tak, jak zwracałeś się do swojego przyjaciela Alexa.

- Możesz mnie tak nazywać - przystała.

Bo jego nigdy nie kochałam tak bardzo jak ciebie!

Obdarzył ją tym swoim ciepłym, szczodrym uśmiechem. Podszedł do niej z rozwartymi ramionami i niespodziewanie porwał ją z ziemi.

- Mała lekka królowa.

- Postaw mnie na ziemi, wielki królu - szepnęła.

- A to dlaczego?

- Bo taka jest moja wola.

Usłuchał. Delikatnie postawił ją na ziemi i głęboko się pokłonił.

- A dokąd teraz skierujemy swe kroki, królowo, do pałacu Stratfordów w prowincji Mayfair, w krainie Londynu, w państwie Anglia, znanym do niedawna jako Britannia?

- Tak jest, ponieważ jestem śmiertelnie znużona.

- Tak, a ja muszę, za twoją zgodą, oddać się lekturze w bibliotece twego ojca. Muszę poczytać trochę ksiąsek, żeby, jak to mówisz, uporządkować sobie wszystko, co mi pokazałaś.

* * *

W domu panowała absolutna cisza. Gdzie podziała się dziewczyna? Kawa, którą przyniosła, zupełnie wystygła. Wodnisty wywar nie przechodził przez gardło. Zresztą Samir w ogóle nie miał ochoty na kawę.

Odnosił wrażenie, że już od godziny nieruchomo przypatruje się mumii - zegar w holu bił

dwukrotnie, od czasu do czasu reflektory przebijały się przez koronkowe firany i omiatały wysoki sufit tego pomieszczenia, na chwilę oświetwiając dziwną, złotą twarz mumii.

Nagle wstał. Jego uszu dobiegło ciche skrzypienie podłogi pod dywanem. Podeszedł wolno do trumny. Unieś wieko. Wszystkiego się dowiesz. Podnieś. Tylko sobie wyobraź. Czy możliwe, żeby była pusta?

Wyciągnął drżącą rękę w stronę złoczonego drewna.

- Na pana miejscu bym tego nie robiła!

A, to znowu ta dziewczyna. Stała ze złożonymi rękami w korytarzu. Była bardzo wystraszona, ale dlaczego?

- Panna Julie bardzo by się gniewała.

Nie przychodziła mu do głowy śmiała odpowiedź. Niezręcznie skinął głową i wrócił na kanapę.

- Może powinien pan przyjść jutro - podsunęła.

- Nie, muszę zobaczyć się z nią jeszcze dzisiaj.

- Ale, proszę pana, jest strasznie późno.

Stukot kopyt przed domem, ciche skrzypienie kół kebu. Nagle usłyszał śmiech, bardzo cichy, ale

poznał głos Julie.

Rita pobiegła do drzwi i odsunęła rygiel. W milczeniu patrzył na wchodzącą do środka parę: promieniejąca Julie, z iskrzącymi kroplami deszczu we włosach, a u jej boku męszczyzna, postawny, pełen godności, o ciemnobrązowych włosach i niebieskich oczach.

Julie odezwała się do niego po imieniu. Ale Samir go nie znał.

Nie mógł oderwać wzroku od męszczyzny. Błada, nieskazitelna skóra i idealne proporcje rysów twarzy. Jednak cechą, która najmocniej przykuwała uwagę, był zamieszkujący w nim duch. Męszczyzna emanował siłą i nagłą ostrością, która mroziła.

- Chciałem tylko... zajrzeć - zagadnął Julie, nawet na nią nie patrząc - Œeby upewnić się, czy nic ci nie jest. Martwię się o ciebie...

Głos uwiązał mu w gardle.

- AleŒ ja cię znam - odezwał się zniecierpliwiony męszczyzna, posługujący się nienaganną angielszczyzną. - Jesteś przyjacielem Lawrence'a, prawda? A na imię masz Samir?

- Nie przypominam sobie, Œebyśmy się kiedyś spotkali - odparł Samir.

Ogarnął niepewnym spojrzeniem zbliŒającą się postać, gdy wtem wzrok jego przykuła wyciągnięta dłoń i rubinowy pierścień; pierścień z kartuszem Ramzesa Wielkiego. Pokój zatracił

nagle realne kontury, a przemawiające doń głosy straciły sens. Nie było potrzeby silić się na odpowiedź.

Pierścień, który oglądał przez caun mumii! Nie było mowy o pomyłce. Nie w tym przypadku. Jakie znaczenie mogły mieć teraz słowa Julie? Były uprzejme, lecz kłamliwe. Ta istota patrzyła mu prosto w oczy ze Œwiadomością, Œe Samir poznaje ten pierścień, Œe wie, iŒ

Œadne słowa nie mają teraz najmniejszego znaczenia.

- Mam nadzieję, Œe Henry nie przybiegł do ciebie z tą nonsensowną opowieścią o... - Tak, właŒnie o to jej chodziło.

Tyle Œe nie mogło być mowy o nonsense. Z wysiłkiem uniósł wzrok i przekonał się, Œe nic mu nie grozi. Jest zdrowa na ciele i umyŒle. Zamknął oczy, a gdy znowu je otworzył, spoglądał juŒ nie na pierścień, lecz na twarz króla, na spokojne, niebieskie oczy, które wszystko rozumiały.

Gdy się wreszcie odezwał, wydusił z siebie tylko pozbawiony znaczenia pomruk.

- Ojciec na pewno nie chciałby pozostawiać cię bez opieki. Jego Œyczeniem byłoby, Œebym przyszedł...

- AleŒ Samirze, przyjacielu Lawrence'a - wtrącił się tamten - Julie Stratford nic nie grozi.

- Ni stąd, ni zowąd przeszedł na starożytny egipski, wymawiany w sposób, którego Samir nigdy nie słyszał. - Ta kobieta jest przede mną kochana i będę ją ochraniać.

Zdumiewający dźwięk. Cofnął się. Julie znowu coś mówiła. Nie słuchał. Podeszedł do półki nad kominkiem i kurczowo się jej przytrzymał, jakby miał zaraz upaść.

- Z pewnością znasz starożytny język faraonów, przyjacielu - stwierdził wysoki, niebieskooki mężczyzna. - Jesteś jednak Egipcjaninem? Badasz ten język całkiem dobrze. Znasz go tak samo biegle jak grekę czy łacinę.

Co za staranna modulacja głosu. Głosu starającego się rozproszyć wszelkie obawy. Był taki cywilizowany, dworny. Czego jeszcze można chcieć?

- Tak, panie, masz rację - przyznał Samir. - Ale nigdy nie słyszałem, jak ktoś w nim rozmawia, a wymowa zawsze pozostawała dla mnie tajemnicą. Proszę mi powiedzieć... - Zmusił

się do popatrzenia na niego. - Słyszałem, że jest pan egiptologiem. Czy uważa pan, że ta wisząca nad grobowcem klątwa spowodowała zgon mego ukochanego przyjaciela Lawrence'a? Czy też, zgodnie z naszymi przypuszczeniami, zginął on śmiercią naturalną?

Zdawało się, iż mężczyzna rozważa pytanie, a stojąca nieco dalej w cieniu Julie Stratford poblądła i spuściła wzrok, po czym nieznacznie się od nich odwróciła.

- Klątwy są słowami, przyjacielu - zaczął mężczyzna. - Przestrogi dla głupców i wścibskich. Zadanie człowiekowi nienaturalnej śmierci wymaga użycia trucizny lub innej prymitywnej broni.

- Trucizny - wyszeptał Samir.

- Samirze, jest już bardzo późno - włączyła się Julie. Jej głos był niepewny, pełen napięcia. - Lepiej teraz o tym nie rozważajmy, bo znowu się rozkleję i wyjdę na idiotkę. O takich sprawach należy rozmawiać tylko wtedy, gdy chce się je dokładnie omówić. - Podeszła i ujęła go za rękę. - Zapraszam cię na któryś wieczór, żebyśmy mogli wszyscy usiąść i porozmawiać o szczegółach.

- Tak, Julie Stratford jest bardzo zmęczona. Julie Stratford doskonale spisała się jako nauczyciel. A teraz śgnaj, przyjacielu. Bo jesteś chyba moim przyjacielem? Jest zapewne wiele spraw, o których moglibyśmy pomówić. Ale na razie możesz mieć pewność, że uchronię Julie Stratford przed wszystkim i wszystkimi, którzy będą chcieli ją skrzywdzić.

Samir podeszedł wolno do drzwi.

- W razie potrzeby - powiedział, odwracając się - proszę mnie zawezwać. - Sięgnął do kieszeni płaszcza, wydobywając wizytówkę. Przez chwilę patrzył na nią niczego nie rozumiejącym wzrokiem, po czym podał ją mężczyźnie. Dostrzegł błysk pierścienia, gdy tamten ją odbierał.

- Jestem u siebie w biurze w British Museum codziennie do bardzo późna. Chodzę po korytarzach, gdy w środku nie ma już nikogo. Znajdziecie mnie przy bocznym wejściu.

Ale po co to wszystko mówił? Co chciał przez to powiedzieć? Nagle ogarnęła go ochota usłyszenia jeszcze raz starożytnego języka z ust tej istoty. Nie pojmował dziwnej mieszanki bólu i radości, którą odczuwał; osobliwa ciemność, która ogarnęła świat, i tym większa waga napotykanego na nim światła.

Wyszedł i pospiesznie zbiegł po granitowych schodach, ledwie rzucając okiem na stojących tam strażników. Przemierzał szybkim krokiem zimną, moką ulicę. Nie zwracał uwagi na zwalniające dorożki. Przede wszystkim chciał zostać sam. Przed oczyma cały czas miał ten pierścień, a w uszach brzmiało echo starożytnych egipskich słów, nareszcie ostatecznie uformowanych tak, jak nigdy przedtem ich nie słyszał. Miał ochotę zapłakać. Poznał cud, który jakimś sposobem zagrażał wszystkiemu, co go otaczało.

- Lawrensie, daj mi jakieś wskazówki - szepnął.

* * *

Julie zamknęła drzwi i zasunęła rygiel. Odwróciła się do Ramzesa. Słysząc było stąpanie Rity na górze. Byli więc sami, słysząca nie mogła ich słyszeć.

- Nie chcesz chyba powierzać mu swojej tajemnicy! - zaczęła.

- Już po fakcie - szepnął. - On zna prawdę. A twój kuzyn Henry wszystkim ją rozgłosi. Z czasem i oni w to uwierzą.

- Nie, to niemożliwe. Sam widziałeś, jak zareagowała policja. Samir wie, gdy zobaczył pierścień i rozpoznał go. Przyszedł go zobaczyć i uwierzyć. Z innymi tak nie będzie. I jakimś sposobem...

- Jakimś?

- Chciałeś dać mu do zrozumienia. Dlatego zwróciłeś się do niego po imieniu.

Powiedziałeś mu, kim jesteś.

- Czyśby?

- Tak mi się wydaje.

Rozważał jej słowa. Myśl chyba niezbyt przypadła mu do gustu. Ale Julie mogłaby przysiąc, że ma rację.

- Dwoje wierzących przekona trzeciego - stwierdził, jak gdyby sama przed chwilą mu tego nie powiedziała.

- Nie mają dowodów. Jesteś rzeczywisty, tak, i pierścień również. Ale jakie masz tak naprawdę

związki z przeszłością? Nie rozumiesz moich czasów, jeśli uważasz, że ludzie tak po prostu uwierzą, że ktoś powstał z grobu. To wiek nauki, nie religii.

Zbierał myśli. Pochylił głowę, skrzyżował ręce na piersi i chodził po pokoju. Po chwili stanął.

- Ach, kochanie, gdybyś wiedziała. - Nie nalegał, ale mówił z głębokim uczuciem.

Modulację miał już niemal angielską, prawie jak rodowity Brytyjczyk.

- Tysiące lat ukrywałem tę prawdę nawet przed tymi, których kochałem i którym służyłem. Nie wiedzieli, skąd pochodzę, co mi się przytrafiało ani ile mam lat. A teraz zabłąkałem się w twój czas i w ciągu jednego księżyca prawdę tę poznało więcej śmiertelników niż od czasów panowania Ramzesa Wielkiego.

- Rozumiem - powiedziała, ale rozmyślała nad czymś zupełnie innym. - Spisałeś tę opowieść na zwojach. Pozostawiłeś ją w grobowcu. A wszystko dlatego, że nie byłeś już w stanie unieść brzemienia tajemnicy. Nie rozumiesz jednak natury czasów, w których się znalazłeś -

powtórzyła. - W cuda nie wierzą nawet ci, którym się one przytrafiają.

- Mówisz bardzo dziwne rzeczy!

- Gdybym rozgłaszała to z dachów, nikt by nie uwierzył. Twój eliksir jest niezagrożony nawet bez strzegących go trucizn.

Wyglądał tak, jakby przeszył go nagły ból. Dostrzegła to i pośmiewała własnych słów.

Szaleństwem jest myśleć, że ta istota jest wszechpotężna, że jego szczodry uśmiech nie skrywa bezbronności równej jego sile. Nie wiedziała, co począć. Czekwała. Wtedy z pomocą znowu przyszedł jego uśmiech.

- Cóż, pozostaje nam chyba tylko czekać, Julie Stratford.

Westchnął, po czym zdjął anielez i oddalił się do pokoju egipskiego. Przyglądał się swojej trumnie i rzędomi słoików. Ostrożnie włączył elektryczną lampę, naśladowując jej ruchy, wreszcie ogarnął wzrokiem rzędy ksiąg, które wznosiły się nad biurkiem Lawrence'a do samego sufitu.

- Na pewno chciałbyś się przespać - odezwała się. - Zaprowadzę cię do pokoju ojca na piętrze.

- Nie, kochanie, ja śpię tylko wtedy, gdy chcę na jakiś czas poświęcić się z tym Syciem.

- To znaczy... że wcale nie potrzebujesz snu?

- Zgadza się - odpowiedział, posyłając jej kolejny uśmiech. - Zdradzę ci jeszcze jeden sekret. Nie potrzebuję również jedzenia ani picia, tylko czasami mam na nie ochotę. Bo to sprawia przyjemność memu ciału. - Zaśmiał się cicho na widok jej osłupienia. - Za to naprawdę chciałbym poczytać książkę twego ojca, rzecz jasna, o ile mi na to pozwolisz.

- Naturalnie, o takie rzeczy nie musisz mnie nawet pytać. Bierz wszystkiego do woli.

Kiedy chcesz, idź do jego pokoju. Wkładaj jego szlafrok. Pragnę zapewnić ci wszystkie wygody.

- Zaśmiała się. - Zaczynam mówić tak jak ty.

Popatrzyli na siebie. Dzięki Bogu, Źe dzieliło ich te kilka stóp.

- Teraz zostawię cię samego - zaczęła, ale on natychmiast przebył tę odległość, chwycił ją za rękę, zamknął ją w swoich ramionach i jeszcze raz pocałował. Po czym niemal brutalnie wypuścił.

- Julie jest królową w swej krainie - oświadczył z niejaką skruchą.

- Zapamiętajmy teŹ słowa, które wypowiedziałeś do Samira: „Ale na razie moŹesz mieć pewność, Źe ochronię Julie Stratford przed wszystkim i wszystkimi, którzy będą chcieli ją skrzywdzić”.

- Nie kłamałem. Chciałbym leć u twego boku, Źeby móc cię lepiej chronić.

Roześmiała się cicho. Czas uciekać, póki jest to jeszcze moŹliwe do wykonania.

- O, i jeszcze jedno. - Podeszła do północno - wschodniego kąta pokoju i otworzyła szafkę z gramofonem. Nakręciła aparat i rzuciła okiem na zbiór płyt wytwórni RCA Victor. *Aida* Verdiego.

- Dokładnie tego było mi potrzeba. - KrąŹek bez fantastycznych obrazów na okładce, które mogłyby być dla niego odpychające. PołoŹyła cięŹką, kruchą płytę na obitym aksamitem talerzu, nastawiła dźwignię, a potem odwróciła się, by obserwować jego reakcje, gdy rozpoczynał się marsz tryumfalny z opery, cichy, odległy chór przepięknych głosów.

- Co za czary! Maszyna wytwarza muzykę!

- Tylko nakręcaj i niech gra. A ja zasnę jak wszystkie śmiertelne kobiety, śniąc, chociaŹ

Źycie upodobniło się do wszelkich moich marzeń.

Na odchodnym jeszcze raz się obejrzała, patrząc, jak kołysze się w rytm muzyki, z pochyloną głową i skrzyŹowanymi na piersi rękami. Śpiewał, bardzo cicho, szeptem. Nawet widok białej koszuli, szczelnie opinającej jego szerokie plecy i silne barki, sprawił, Źe przeszyły ją dreszcze.

Gdy zegar wybił północ, Elliott zamknął swój notatnik. Wieczór poświęcił na wielokrotne odczytywanie przekładu Lawrence'a i ponowne przeglądanie starych, zakurzonych biografii monarchy zwanego Ramzesem Wielkim i królowej znanej jako Kleopatra. Śadne zdanie zawarte w owych historycznych tomach nie podwaŜało niedorzecznej historii mumii.

Człowiek, który przez sześćdziesiąt lat panował nad Egiptem, mógł być właściwie nieśmiertelny. Natomiast rządy Kleopatry VI były pod kaŜdym względem niezwykle.

Na razie najbardziej intrygował go akapit, sporządzony przez Lawrence'a po egipsku i łacinie - w sumie ostatni jego zapisek. Elliott zrozumiał go bez trudu. Jeszcze w Oksfordzie prowadził po łacinie dziennik, a języka egipskiego uczył się najpierw wiele lat u boku Lawrence'a, a potem samodzielnie.

Nie miał przed sobą odpisu materiałów na zwojach. Paragraf zawierał raczej osobiste uwagi Lawrence'a na temat tego, co przeczytał.

„Twierdzi, Őe zaŜył ten eliksir jeden, jedyny raz. Nie była konieczna kolejna doza.

Przyrządził wywar dla Kleopatry, ale bał się go tak po prostu wylać. Wolał go sam nie zaŜywać, bojąc się negatywnych reakcji organizmu. A jeŜeli wszystkie substancje w tym grobowcu zostały odpowiednio przetestowane? I jedna z nich wpływa na ludzkie ciało odmładzająco i jest władna w znaczący sposób przedłuŜyc Őycie?”

Dwa wiersze po egipsku nie miały sensu. Była w nich mowa o jakiejś magii, tajemnicach, składnikach naturalnych, które po połączeniu wywoływały zupełnie nieoczekiwane skutki.

Czyli tak mniej więcej przedstawiały się poglądy Lawrence'a. I zadał sobie wiele trudu, Őeby zaszyfrować je w staroŜytnej mowie. Wobec tego, co na to Elliott? Zwłaszcza w Őwietle opowieŐci Henry'ego o oŜywającej mumii.

Pomyślał sobie, Őe zaczyna igrać z ogniem, Őe wiara to słowo, nad którym człowiek mało się zastanawia. Na przykład całe Őycie wierzył w naukę kościoła anglikańskiego. Ale ani przez moment w głębi duszy nie uwaŜał, Őe po Őmierci zostanie wzięty do chrześcijańskiego nieba, a juŜ tym bardziej Őe pójdzie do piekła. Nie dałby złamanego grosza za istnienie tych miejsc.

Jedno było pewne. Gdyby rzeczywiście ujrzał, jak to truchło wychodzi z trumny - tak, jak utrzymuje Henry - z pewnością nie zachowywałby się tak, jak on. Henry był człowiekiem bez wyobraźni. Zresztą być moŜe właśnie jej brak był fundamentalną rysą w naturze Henry'ego.

Elliottowi przyszło na myśl, Őe Henry jest człowiekiem nie pojmującym konsekwencji zdarzeń i czynów.

W przeciwieństwie do Henry'ego, który czmychnął na widok tej tajemnicy, Elliott został

nią opętany. Gdyby tylko został w domu Stratfordów odrobinę dłuŜej, gdyby wykazał się nieco

większym sprytem... Mógłby przyjrzeć się tym alabastrowym słojom, zabrać jeden z papirusów.

Ta nieszczęsna Rita przełknęłaby każde wyjaśnienie.

Szkoda, że sam nie spróbował.

Szkoda mu było też syna, Alexa, który cierpiał. Była to jak dotąd jedyna nieprzyjemna strona tej afery.

Alex cały dzień wydzwaniał do Julie. Bardzo niepokoiła go obecność tego gościa, którego widział tylko przez mgnienie oka za drzwiami oranżerii - gigant, dobrze, może po prostu bardzo wysoki, o niebieskich oczach. Dostyc... przystojny, ale z pewnością zbyt stary, żeby ubiegać się o względy Julie!

I oto o ósmej wieczorem odebrał telefon od jednego z owych Sycyliwców, którzy sens życia odnajdują w niez mordowanym rozpowszechnianiu plotek. Widziano Julie w hotelu Victoria, gdy tańczyła z przystojnym i robiącym niesamowite wrażenie nieznajomym. Czy Alex i Julie nie byli zaręczeni? Od tej pory Alex nie mógł sobie znaleźć miejsca. Mimo że wydzwaniał

do Julie całe popołudnie, nie doczekał się odpowiedzi. W końcu zaczął błagać Elliotta o interwencję. Bo chyba ojciec potrafi rozwiązać tę zagadkę?

Tak jest, Elliott ją rozwikła. Szczerze mówiąc, rozwój sytuacji dodawał mu animuszu.

Czuł się niemal młodo, marząc o Ramzesie Wielkim i skrytym wśród trucizn eliksirze.

Wstał z wygodnego fotela przy kominku, bagatelizując dobrze znany ból w nogach, podszedł do biurka i napisał list.

Najdroższa Julie!

Doszły mnie słuchy, że przyjmujesz gościa, o ile wiem, znajomego Twego ojca. Z

największą przyjemnością poznałbym tego dżentelmena. Możliwe, że mógłbym wyświadczyć Ci jakąś przysługę w czasie jego pobytu w Londynie, poza tym nie chciałbym stracić tak wyśmienitej nadarzającej się okazji.

Chciałbym serdecznie zaprosić Was jutro wieczorem na kolację w rodzinnym gronie...

Pisanie karteczki zajęło mu krótką chwilę. Włożył ją do koperty, którą zakleił i zaniósł do holu wejściowego, gdzie miała czekać na srebrnej tacy, a służący, Walter, doręczy ją nazajutrz rano. Zamyślił się. Alex z pewnością spodziewał się po nim czegoś takiego. Ale nie wysłał

zaproszenie jedynie ze względu na Alexa. Zdawał sobie sprawę, że jeśli taka kolacja dojdzie w ogóle do skutku, może przysporzyć synowi jeszcze większych cierpień. Z drugiej strony im wcześniej Alex uświadomi sobie... Powstrzymał się. Sam do końca nie orientował się, co powinien uświadomić sobie Alex. Wiedział tylko tyle, że coraz bardziej fascynowała go tajemnica, która

zaczynała powoli rozwijać się przed jego oczami.

Pokuśtykał do wieszaka przy schodach, zdjął serŃową pelerynę i wyszedł bocznymi drzwiami na ulicę. Czekały tam cztery automobile.

Ale on sam uŃywał jedynie lancii thety, choć nie sprawiał sobie tej wyjątkowej przyjemności chyba od blisko roku.

Z wielką radością zajął się wszystkim sam, nie potrzebując pomocy ani rady koniuszego, woźnicy, lokaja czy szofera. Cudowny wynalazek, który umoŃliwił człowiekowi powrót do prostoty.

NajcięŃiej szło zajmowanie miejsca za kierownicą, ale jakoŃ się udało. Przycisnął pedał

gazu, puŃcił strumień benzyny i po chwili znalazł się na grzbiecie wierzchowca, wolny jak w czasach młodoŃci, gdy pędził galopem po Mayfair.

* * *

Julie zostawiła Ramzesa na dole i pospieszyła do swojego pokoju na piętrze, zamykając drzwi. Przez dłuŃszą chwilę stała wsparta o nie, z zamkniętymi oczyma. Słyszała krzatanie się Rity. Czula zapach woskowych Ńwiec, które kobieta zawsze zapalała przy łóŃku. Mały, romantyczny akcent jeszcze z czasów dzieciństwa - kiedy nie było elektrycznoŃci, a odór oŃwietlenia gazowego zawsze przyprawiał ją o lekkie mdłoŃci.

Miała za sobą dzieŃ pełen przeŃyć, było ich tyle, Ńe zabrakło miejsca na głębsze przemyŃlenie czy ocenę. Potrafiła nazwać jedynie puls wszechogarniającej przygody. I rzecz jasna fizyczny pociąg do Ramzesa, który sprawiał jej dotkliwy ból.

Nie, to nie był tylko pociąg fizyczny. Była po uszy zakochana.

Otwarłszy oczy, ujrzała portret Alexa na toaletce. I Ritę w półmroku, która przed chwilą rozłoŃyła na koronkowej narzucie jej nocną koszulę. Zorientowała się, Ńe pokój zastawiony jest kwiatami. Bukiety w szklanych wazonach na toaletce, na nocnych stolikach, na biurku w kącie.

- Od wicehrabiego, panienko - oznajmiła Rita. - Tyle bukietów. Nie wiem, co on sobie pomyŃli o tym wszystkim... o tych dziwnych zdarzeniach. Ja sama teŃ nie wiem, panienko...

- To naturalne, Rito, ale wiesz przecieŃ, Ńe nie wolno ci pisnać ani słówka.

- A kto by mi uwierzył, panienko! Ja nic nie rozumiem! Jak on się ukrył w tej skrzyni?

Czemu tyle je?

Przez chwilę Julie nie wiedziała, co ma jej odpowiedzieć. Co teŃ moŃ kłębić się w głowie Rity?

- Rito, nie ma powodów do zmartwienia - oŃwiadczyła stanowczo. Ujęła dłoń słuŃającej. -

Uwierzysz, gdy ci powiem, że on jest dobrym człowiekiem i że na wszystko jest solidne wytłumaczenie?

Rita wpatrywała się w nią pustym wzrokiem. Wtem wytrzeszczyła małe, niebieskie oczy.

- Ale panienko Julie - szepnęła. - Jeśli jest dobrym człowiekiem, to dlaczego musiał się w ten sposób ukrywać?

I jakim cudem nie udusił się pod tymi bandażami?

Julie zastanowiła się przez chwilę.

- Rito, mój ojciec wiedział o tym planie - powiedziała ze spokojem - i on go pochwałał.

Czy naprawdę za kłamstwa człowiek będzie smażył się w piekle? - myślała Julie. - Chyba nie, skoro te kłamstwa natychmiast uspokajają innych.

- Mogę ci nawet zdradzić - podjęła - że ten człowiek ma pewien ważny cel do spełnienia.

A o wszystkim wie bardzo niewielu ludzi w rządzie...

- Aaa - Rita była kompletnie zbита z tropu.

- Naturalnie kilku ważnych ludzi w Stratford Shipping również o wszystkim wie, ale nie wolno ci pisać ani słówka. Szczególnie Henry'emu i wujowi Randolphowi, i lordowi Rutherfordowi, sama rozumiesz...

- Bardzo dobrze, panienko - kiwnęła głową Rita. - Nie wiedziałam, że to taka sprawa.

Gdy zamknęły się za nią drzwi, Julie zaczęła się śmiać, niczym dziewczynka, zakrywając usta ręką. Choć w gruncie rzeczy jej wersja miała głęboki sens. Bo to, w co uwierzyła Rita, choć brzmiało obłąkańczo, było znacznie bardziej prawdopodobne niż to, co się rzeczywiście wydarzyło.

Co się w rzeczywistości wydarzyło. Usiadła przed lustrem. Zaczęła z roztargnieniem wyjmować z włosów spinki. Odbicie w lustrze stawało się coraz mniej wyraźne. Pokój widziała jakby przez mgłę: kwiaty, koronkowe zasłony nad łóżkiem. Jej świat gdzieś się oddalał, pozbawiony znaczenia.

Powoli i jakby bezwiednie uczesała włosy, podniosła się, rozebrała, założyła nocną koszulę i położyła do łóżka. Świece jeszcze się paliły. Sypialnia była pogrążona w delikatnym, uroczym blasku. Czuć było nieznaczny aromat kwiatów.

Jutro, jeśli będzie chciał, zabierze go do muzeów. Może pojedą pociągiem za miasto.

Mogą iść do Tower. Tyle jest rzeczy... tyle, tyle rzeczy...

Potem ogarnęła ją ta rozkoszna bezmyślność. Oczyma wyobraźni zobaczyła jego, zobaczyła siebie razem z nim.

Samir już prawie godzinę siedział za biurkiem. Wypił pół butelki Pernoda, swojego ulubionego trunku, który odkrył w pewnej francuskiej kawiarni w Kairze. Nie był jednak pijany.

Alkohol odrobinę stępił podniecenie i pieczenie rąk, które poczuł tuż po opuszczeniu domu Stratfordów. Ale gdy tylko próbował poważnie zastanowić się nad wszystkimi wypadkami, poruszenie natychmiast wracało.

Ni stąd, ni zowąd rozległo się ciche pukanie do okna. Jego gabinet znajdował się w tylnej części muzeum. A w całym budynku światło paliło się tylko tu i może jeszcze gdzieś w głębi, w jakimś pokoiku, gdzie nocni stróżowie palili papierosy i pili kawę.

Nie widział postaci za oknem. Ale domyślał się, kto to jest. Zdażył już wstać, gdy rozległo się kolejne stukanie. Wyszedł na korytarz i otworzył drzwi od strony zaułka na tyłach muzeum.

Czekał na niego Ramzes Wielki w przemokniętym płaszczu i rozpiętej koszuli. Samir zanurzył się w mrok. Od deszczu lśniły kamienne mury i płyty chodnika. Ale nic nie błyszczało z takim majestatem, jak ta stojąca przed nim władcza postać.

- Czym mogę służyć, panie? - zapytał Samir. - Jaką mógłbym oddać ci przysługę?

- Szczerze mówiąc chciałbym wejść do środka, rzecz jasna za twoim pozwoleniem. Chcę zobaczyć szczątki mych przodków i moich dzieci.

Na dźwięk tych słów Samira przeszył rozkoszny dreszcz. Poczuł, jak zbiera mu się na płacz. To gorzkie szczęście było zupełnie niewytłumaczalne.

- Z radością, panie - odparł. - Będę twym przewodnikiem. To dla mnie wielki zaszczyt.

* * *

Elliott zobaczył światła pałace się w bibliotece Randolpha. Zaparkował przy krawężniku, obok starej powozowni, i jakoś zdołał wspiać się po schodach i zadzwonić do drzwi. Otworzył

mu sam Randolph, w nocnej koszuli. Z jego ust wydobywał się odór wina.

- Boże, czy wiesz, która jest godzina? - zapytał. Odwrócił się i pozwolił Elliottowi pójść za sobą do biblioteki. Absolutny szczyt luksusu, wyposażony we wszystkie detale, które można było kupić za pieniądze, włącznie z grafikami psów i koni oraz mapami, których nikt nigdy nie studiował.

- Nie będę cię zwodził, jestem na to zbyt zmęczony - zaczął Randolph. - Przyszedłeś akurat w samą porę, żeby odpowiedzieć na bardzo ważne pytanie.

- Jakież to? - Elliott patrzył, jak tamten sadowi się za monstrualnych rozmiarów biurkiem z mahonią, zdobionym cięskimi płaskorzeźbami. Na blacie leżały dokumenty, księgi rachunkowe i stosy rachunków. I jeszcze wielki, brzydki aparat telefoniczny, i skórzane pojemniki na spinacze, pióra,

papier.

- Starożytni Rzymianie. - Randolph jednym haustem wypił wino, nawet nie proponując Elliotowi. - Co oni robili, kiedy spotkała ich hańba? Podcinali sobie żyły, nieprawda? I z wdziękiem wykrwawiali się na śmierć.

Elliott przypatrywał się mężczyźnie, jego zaczerwienionym oczom i częściowo sparaliżowanym rękami. Przy pomocy laski stanął z powrotem na nogach. Podeszedł do biurka i nalał sobie z karafki kieliszek wina. Dolał też Randolphowi, po czym wrócił na swoje miejsce.

Gospodarz śledził wszystkie jego czynności, ale tak, jakby nie przywiązywał do nich najmniejszej wagi. Wsparł się łokciami o blat biurka i przecesał siwe włosy ciętymi, zmarszczonymi palcami, wbijając wzrok w sterty papierów.

- Jeśli pamięć mnie nie zawodzi - odezwał się Elliott - Brutus rzucił się na własny miecz.

Marek Antoniusz próbował tego samego, ale wynikła z tego tylko krwawa jatka. Potem wspiął

się po sznurze do sypialni Kleopatry, gdzie zdołał w końcu popełnić samobójstwo czy też po prostu umrzeć. Ona wybrała jad węży. Ale wracając do twojego pytania, tak, Rzymianie rzeczywiście od czasu do czasu podcinali sobie żyły, to prawda. Ale pozwól, że zwrócę twoją uwagę na fakt, że śadna suma pieniędzy nie jest warta ludzkiego życia. I lepiej wybij to sobie z głowy.

Randolph uśmiechnął się. Elliott skosztował wina. Bardzo dobre. Stratfordowie zawsze pili dobre wino. Na co dzień pijali roczniki, które inni zachowywali na najbardziej uroczyste okazje.

- Tak sądzisz? - zapytał Randolph. - śadna suma pieniędzy? A gdzie zdobędę sumę potrzebną do tego, żeby moja bratanica nie przejrzała całej mojej perfidii?

- Jeśli odbierzesz sobie życie, ona bez wątpienia o wszystkim się dowie. - Earl potrząsnął głową.

- Tak, ale nie będzie mogła zadawać mi śadnych pytań.

- Drobiazg, zupełnie niewart reszty twych lat. Pleciesz bzdury.

- Czyżby? Ona nie wyjdzie za Alexa. Przecież wiesz. Ale nawet gdyby wyszła, nie zapomniałaby o Stratford Shipping. Już nic nie dzieli mnie od ostatecznej katastrofy.

- Mylisz się.

- To znaczy?

- Poczekaj kilka dni, a sam się przekonasz. Twoja bratanica znalazła sobie nowy obiekt westchnień. Gościa z Kairu, pana Reginalda Ramseya. Alex chodzi z tego powodu nieszczęśliwy, ale mu przejdzie. A pan Reginald Ramsey może odsunąć Julie od Stratford Shipping tak samo, jak od

mojego syna. I na wszystkie twoje problemy znajdzie się bardzo proste rozwiązanie. Ona ci wybaczy.

- Widziałem go! - oświadczył się Randolph. - Widziałem go rano, kiedy Henry wywołał ten idiotyczny skandal. Nie chcesz mi chyba powiedzieć...

- Mam przeczucie, jak mawiają Amerykanie. Julie i ten mężczyzna...

- Henry nie powinien ruszać się z jej domu!

- Trudno. Twoje słowa nie mają tu żadnego znaczenia.

- Muszę przyznać, że wyglądasz, jakbyś się cieszył. A mnie zdawało się, że powinno cię to wyprowadzić z równowagi nawet bardziej niż mnie.

- To nie ma znaczenia.

- Od kiedy zmieniłeś zdanie?

- Odkąd zacząłem zastanawiać się, naprawdę zastanawiać, nad naszym życiem.

Wszystkich nas czeka starość i śmierć. A że nie możemy poradzić sobie z tą prawdą, ciągle poszukujemy urozmaiceń.

- Skaranie boskie, Elliott! Masz przed sobą Randolpha, a nie Lawrence'a. śluję, ale nie potrafię spojrzeć na wszystko z lotu ptaka. W tej chwili sprzedałbym duszę za sto tysięcy funtów.

I nie różnię się w tym od wielu innych ludzi.

- Ja bym nie sprzedał. A nie mam, i nigdy nie będę miał stu tysięcy funtów. Gdybym je miał, zaraz bym ci oddał.

- Naprawdę?

- Tak sądzę. Ale zmieńmy temat. Julie może nie życzyć sobie rozpytywania o tego pana Ramseya. Może dlatego, że pragnie trochę samotności i prawdziwej niezależności. A wtedy wszystko znajdzie się z powrotem w twoich rękach.

- Mówisz serio?

- Tak, a teraz jadę do domu. Jestem zmęczony. A ty, Randolphie, nie podcinaj sobie żył.

Pij, ile chcesz, ale nie rób nam takiego świństwa. Przyjdź do mnie jutro na kolację. Zaprosiłem Julie i tego tajemniczego mężczyznę. Nie spraw mi zawodu. Po tym wszystkim uzyskamy może lepszy obraz sytuacji. Może dostaniesz, czego chcesz. A ja znajdę być może rozwiązanie pewnej zagadki. Mogę liczyć na twoją obecność?

- Kolacja jutro? - powtórzył Randolph. - I przychodzisz do mnie o pierwszej w nocy tylko po to,

Seby mi o tym powiedzieć?

Elliott roześmiał się. Odstawił kieliszek i wstał.

- Nie - odparł. - Przyszedłem uratować ci życie. Możesz mi wierzyć, że nie jest warte stu tysięcy funtów. Samo życie... bez bólu... ale po co ci to tłumaczyć?

- Tak jest, nie wysilaj się za bardzo.

- Dobranoc, przyjacielu. Pamiętaj, jutro wieczorem. Sam się odprowadzę. A ty połóż się grzecznie do łóżka.

* * *

Oświetlając drogę elektryczną latarką, Samir oprowadził Ramzesa po całych zbiorach.

Król nie mówił o uczuciach, jakie to w nim wywoływało. Przyglądał się bacznie każdemu większemu eksponatowi - mumii, sarkofagowi, posągowi - ledwie zwracając uwagę na niezliczone mnóstwo drobiazgów w szklanych gablotach.

Echo ich kroków unosiło się nad kamiennymi podłogami. Nocny strażnik, od dawna przyzwyczajony do wędrówek Samira, nie zakłócał im spokoju.

- Prawdziwe skarby są w Egipcie - mówił Samir. - Ciała królów. To za ledwie ułamek tego, co udało się uratować przed rabusiami i czasem.

Ramzes stał w miejscu. Przyglądał się mumii z epoki Ptolemeuszów, jednej z tych dziwnych hybryd złożonych z egipskiej trumny i greckiego w duchu, realistycznego wizerunku twarzy, która zastąpiła stylizowane maski wcześniejszych stuleci. Była to trumna kobiety.

- Egipt - wyszeptał nagle Ramzes. - I znowu przeszłość przesłania mi teraźniejszość. Nie będę mógł zanurzyć się w tych czasach, dopóki do końca nie połączę się z dawnymi epokami.

Stojący w mroku Samir zadrżał. Słodką melancholię znów ustąpiła miejsca lękowi, głębokiej grozie wobec tego nienaturalnego stworzenia, które musiał oto uznać za rzeczywiste.

Nie mogło być mowy o pomyłce.

Król odwrócił się od sal egipskich.

- Wyprowadź mnie stąd, przyjacielu - nakazał. - Zabłądziłem w tym labiryncie. Idea muzeum mi się nie podoba.

Samir szedł swawym krokiem obok niego, smugą światła oświetlając fragment posadzki przed sobą.

- Panie, jeśli pragniesz jechać do Egiptu, uczyn to zaraz. Taka jest moja rada, choć wiem, że jej nie potrzebujesz. Jeśli chcesz, zabierz ze sobą Julie Stratford. Ale za wszelką cenę porzuć Anglię.

- Czemu?

- Władze muzeum wiedzą, że z kolekcji skradziono monety! Chcą przejąć mumię Ramzesa Wielkiego. Krąży wiele pogłosek i podejrzeń.

Samir widział furię na twarzy Ramzesa.

- Ten przeklęty Henry Stratford - wykrztusił, nieznacznie przyspieszając kroku. - Otruł

swojego wuja, człowieka wielkiej mądrości. Ciało z jego ciała i kość z jego kości. I gdy tamten konał, ukradł złotą monetę.

Samir stanął jak wryty. Wiadomość była zbyt wielkim wstrząsem. Od razu wiedział, że to prawda. Już gdy ujrzał zwłoki przyjaciela, wiedział, że stało się coś potwornego. Nie była to śmierć naturalna. Ale zawsze uważał Henry'ego Stratforda za tchórza. Powoli dochodził do siebie. Spojrzał na wysoką postać, stojącą w mroku.

- Próbowałeś mi to już dzisiaj powiedzieć - szepnął - a ja nie mogłem uwierzyć.

- Widziałem to na własne oczy, ukochany sługo - oświadczył Ramzes. - Tak, jak widziałem ciebie, gdy podszedłeś do zwłok przyjaciela i rozplakałeś się. Te obrazy mieszały się ze snami, ale widziałem wszystko zupełnie wyraźnie.

- Ale tego nie można puścić płazem.

Ramzes położył mu dłoń na ramieniu. Powoli szli przed siebie.

- I ten Henry Stratford zna mój sekret - ciągnął Ramzes. - Jego opowieść była prawdą. Bo gdy usiłował w ten sam sposób targnąć się na siostrę kuzynki, wyszedłem z trumny, żeby temu zapobiec. Gdybym tylko był w pełni sił, od razu zakończyłbym całą sprawę. Własnoręcznie bym go zabalsamował, owinął tkaniną i wsadził do malowanej trumny, żeby mógł uchodzić przed całym światem za Ramzesa.

- Słuszna kara - uśmiechnął się z goryczą Samir. Czuł na twarzy łzy, jednak płacz nie przynosił ulgi.

- A co zamierzasz teraz, panie?

- Zabić go naturalnie. Zrobię to dla dobra Julie i własnego. Inne możliwości nie wchodzą w rachubę.

- Czekasz na sposobność?

- Na pozwolenie. Julie Stratford obdarzona jest wrażliwością człowieka nie nawykłego do rozlewu krwi. Kocha wuja, nie znosi myśli o przemocy. Rozumiem jej tok myślenia, lecz coraz bardziej się niecierpliwie i gniewam. Mam już dosyć zagrożenia ze strony tego Henry'ego.

- A co ze mną? Ja też poznałem twój sekret, panie. Czy mnie również zabijesz, żeby go chronić? - Ramzes stanął jak wryty.

- Nie proszę o przysługi tych, których mam zamiar skrzywdzić. Ale powiedz mi, pod słowem honoru, kto jeszcze zna prawdę?

- Lord Rutherford, ojciec młodzieńca, który stara się o rękę Julie...

- A, tego o imieniu Alex, z łagodnymi oczami.

- Tak, panie. Ojca nie sposób zlekceważyć. Coś podejrzewa. Co więcej, być może wierzy, i to bardziej niżli miody Stratford.

- Ta wiedza jest trucizną! Równie śmiertelną jak jady w moim grobowcu. Zacznie się od fascynacji, która przerodzi się w chciwość i skończy desperacją.

Dotarli do bocznego wyjścia. Padał deszcz. Samir widział to przez grube szyby, choć nie słyszał żadnego szumu.

- Powiedz mi, dlaczego ta wiedza nie zatruwa ciebie? - odezwał się zniechęcony Ramzes.

- Ja nie pragnę wiecznego życia, panie.

Milczenie.

- Wiem. To widać. Ale w głębi ducha nie rozumiem.

- To dziwne, panie, że domagasz się wyjaśnień. Ty, który wiesz o sprawach, których mnie nie będzie nigdy dane poznać.

- Z wdzięcznością wysłucham wytłumaczenia.

- życie, które było mi dotąd dane, było wystarczająco trudne. Kochałem zmarłego przyjaciela. Boję się o jego córkę. Boję się o ciebie. Lękam się wiedzy, której nie byłbym w stanie wykorzystać do żadnego moralnego celu.

Znowu przerwa.

- Jesteś mądrym człowiekiem - stwierdził Ramzes. - Ale o Julie się nie bój. Będę ją chronił nawet przed samym sobą.

- Wysłuchaj mej rady i wyjedź stąd. Docierają do mnie różne pogłoski. Wcześniej czy później wyda się, że trumna jest pusta. Gdy cię nie będzie, zamieszanie ucichnie. Będzie musiało.

Bo racjonalny umysł nie przyjmie niczego innego.

- Muszę znowu zobaczyć Egipt, nowoczesną Aleksandrię, która obejmuje pałace i ulice, niegdyś mi znane. Muszę zobaczyć Egipt, żeby móc zacząć żyć we współczesnych czasach.

Tylko nie wiem jeszcze, kiedy.

- żeby podróżować, będą potrzebne ci dokumenty, panie. W dzisiejszych czasach nie można być człowiekiem bez tożsamości. Jestem gotów zdobyć takie papiery.

Po chwili zastanowienia.

- Powiedz, gdzie znajdę Henry'ego Stratforda.

- Tego nie wiem, panie. Teraz, kiedy znam prawdę, mógłbym zabić go i ja. Mieszka z ojcem, gdy przyjdzie mu na to ochota. Utrzymuje gdzieś kochankę. Proszę, wyjedź natychmiast z Anglii, na zemstę nadejdzie lepsza chwila. Do tego czasu załatwię ci konieczne dokumenty.

Ramzes skinął głową, lecz nie był to znak zgody. Po prostu dziękował za przyjacielską radę. Samir doskonale o tym wiedział.

- Jak mam wynagrodzić twą lojalność, Samirze? - zapytał. - Czy chcesz ode mnie czegoś, co ci mogę dać?

- Być blisko ciebie, panie. Poznać cię. Usłyszeć od czasu do czasu jakiś okruczeństwo twojej mądrości. Przyciłeś tajemnice, które kochałem. Sam stałeś się najważniejszą tajemnicą. Ale proszę cię właściwie tylko o jedno, żebyś dla własnego bezpieczeństwa wyjechał. I chronił Julie Stratford.

Ramzes uśmiechnął się przychylnie.

- Zdobądź dokumenty podróżne.

Wyjął z kieszeni błyszczącą, złotą monetę, którą Samir natychmiast rozpoznał. Nawet nie musiał przyglądać się wyrytym na niej obrazom.

- Nie, nie mogę, panie. To nie jest już zwykła moneta. To raczej...

- Wykorzystaj ją, przyjacielu. Tam, skąd ją wzięłem, jest ich jeszcze bardzo, bardzo dużo.

W Egipcie mam ukryte skarby, których sam już nie ogarniam.

Samir wziął monetę, sam nie wiedząc, co z nią poczyni.

- Załatwię potrzebne papiery.

- I dla siebie? żebyś mógł nam towarzyszyć?

Samir poczuł przyspieszone bicie tętna. Nie mógł oderwać oczu od oblicza króla, niezbyt dokładnie widocznego przez szare światło, które wpadało przez drzwi.

- Tak, panie, jeżeli taka jest twoja wola. Z radością z tobą pojedę.

Ramzes wykonał nieznaczny, uprzejmy gest. Samir błyskawicznie otworzył drzwi. Król lekko się skłonił i w milczeniu zanurzył w deszcz.

Samir przez dłuższą chwilę stał w progu, czując zimne krople, lecz nie ruszał się z miejsca. Wreszcie zamknął drzwi na zasuwę. Przebył ciemne korytarze muzeum, aŜ znalazł się we foyer przy wejściu.

Od lat stał tam posąg Ramzesa Wielkiego, witający wszystkich odwiedzających muzeum.

Król na jego widok tylko nieznacznie się uśmiechnął. A teraz Samir zapatrzył się na rzeźbę, czując, Ŝe w milczeniu oddaje jej cześć.

* * *

Inspektor Trent siedział zamyślony przy swoim biurku w Scotland Yardzie. Była druga.

SierŜant Galton juŜ dawno poszedł do domu. Sam inspektor teŜ był zmęczony, ale nie mógł

odpędzić myśli dotyczących osobliwej sprawy, której kręgi obejmowały od niedawna zabójstwo.

Przez całe Ŝycie nie zdołał przyzwyczaić się do oględzin zwłok. Mimo to z jednego istotnego względu poszedł do kostnicy obejrzeć ciało Toma Sharplesa. W kieszeni jego płaszcza znaleziono rzadką grecką monetę, taką samą jak monety Kleopatry z kolekcji Stratfordów.

Sharples miał teŜ przy sobie niewielki notes, w którym odnalazł personalia i adresy Henry'ego Stratforda.

Henry Stratford, który tego samego ranka wybiegł z domu kuzynki na Mayfair z krzykiem, Ŝe mumia wyszła z trumny.

Tak, oto zagadka.

Fakt posiadania przez Henry'ego rzadkiej monety Kleopatry nikogo by raczej nie zdziwił.

Ustalono juŜ niemal z całą pewnością, Ŝe dwa dni temu usiłował sprzedać taką właśnie monetę.

Ale dlaczego chciał spłacić długi takim cennym numizmatem i dlaczego złodziej, który zabił

Sharplesa, nie obrabował go z tego kawałka złota?

Z samego rana zadzwoni w sprawie tej monety do British Museum. To znaczy po tym, jak wywlecze Stratforda z łóŜka i przesłucha go w związku ze śmiercią Toma Sharplesa.

Ale to wszystko nie miało sensu. Pozostawała jeszcze kwestia samego zabójstwa. Trudno przypuścić, Ŝeby popełnił je Henry Stratford. DŜentelmen jego pokroju potrafiłby całymi miesiącami zwodzić swoich wierzycieli. Zresztą on w ogóle nie nadawał się do tego, Ŝeby dźgnąć kogoś noŜem pod Ŝebro. Przynajmniej zdaniem Trenta.

Ale z drugiej strony nie pasowało do niego to, Ŝe wybiega z domu kuzynki wrzeszcząc, Ŝe próbowała udusić go mumia.

I jeszcze jedno. Coś bardzo niepokojącego. Reakcja panny Stratford na obłąkaną historię kuzyna. Była nie tyle wstrząśnięta, co oburzona. Sama opowieść wcale a wcale jej nie zaskoczyła. I jeszcze ten nieznajomy dŃentelmen w jej domu i spojrzenie, jakie wpił weń Stratford. Wszystko wskazywało na to, Ńe młoda kobieta coś ukrywa. MoŃe powinien zajŃć tam po drodze, rozejrzeć się i pogawędzić ze straŃnikiem.

Tak czy inaczej nie ma juŃ co marzyć, Ńe się dzisiaj przeŃpi.

Nad ranem Ramzes stał w holu królewskiej rezydencji Julie i obserwował poruszenia misternie rzeźbionych wskazówek stojącego zegara. Nareszcie duża wskazówka przecięła rzymską liczbę dwanaście, mała - liczbę cztery, i zegar zaintonował swą melodię.

Rzymskie cyfry. Widział je wszędzie; na węglach, stronach ksiąg, na fasadach budowli.

Sztuka, język, duch łaciński przenikały całą tę kulturę, mocno zakorzeniając ją w przeszłości.

Nawet ideał sprawiedliwości, pod którego tak silnym wpływem była Julie Stratford, pochodził

nie od barbarzyńców, którzy niegdyś rządili tą wyspą, hołdujących prymitywnym koncepcjom prawa objawionego i plemiennej zemsty, ale od sądów rzymskich, w których niepodzielnym władcą był rozum.

Wielkie banki wymieniające pieniądze zbudowano na wzór rzymskich świątyń. W

miejscach publicznych stały wielkie posągi w rzymskich szatach. Zdumiewająco niezgrabne domy, którymi zastawiono tę ulicę, miały przed wejściami rzymskie kolumnienki, a nawet perystyle nad odrzwiami.

Wrócił do biblioteki Lawrence'a Stratforda i zasiadł na wygodnym, obitym skórą fotelu.

Dla własnej przyjemności rozstawił po całym pomieszczeniu płonące świece, które dawały tyle światła, ile lubił. Naturalnie słuśca padnie rano trupem, widząc wszędzie krople wosku, ale to nieistotne. Z pewnością wszystko posprząta.

Bardzo podobało mu się w pokoju Lawrence'a Stratforda - wśród jego ksiąg, przy jego biurku. Gramofon Lawrence'a Stratforda, odgrywający coś o nazwie *Beethoven*, mieszankę piszczących rogów, która do złudzenia przypominała koci chór.

Co za dziwny zbieg okoliczności, Śe zawładnął tyłoma rzeczami naleśacymi do siwowłosego Anglika, który wtargnął do jego grobowca.

Cały dzień w sztywnych, ciężkich, oficjalnych strojach Lawrence' Stratforda. Teraz nareszcie odrobina swobody w jego jedwabnej pidśmie i satynowym szlafroku. Najbardziej intrygującą częścią garderoby współczesnego człowieka były skórzane męskie buty. Stopy nie są chyba przystosowane do tego rodzaju okrycia. Nawet Śołnierz w ukropie bitwy nie potrzebuje takiej osłony. Mimo to wszyscy, włącznie z biedakami, zakładali te przenośne izby tortur, choć niektórzy mieli na tyle szczęścia, Śe udawało im się przetrzeć dziury i zrobić coś na podobieństwo sandałów, w których stopa moŚe oddychać.

Zaśmiał się. Po wszystkim, co dziś widział, myśli o butach. Nogi juŚ nie bolały. Więc po co jeszcze zawracać sobie tym głowę?

Nie odczuwał zbyt długo Śadnego bólu, ani przyjemności. Na przykład palił w tej chwili wysmienite cygara Lawrence'a Stratforda, powoli zaciągając się dymem, aŚ kręciło mu się w głowie. Ale zawroty natychmiast mijały. Podobnie było z działaniem brandy. Upojenie odczuwał

przez mgnienie oka, gdy przełknął trunek i jeszcze czuł w piersiach wyborne ciepło.

Jego organizm był po prostu odporny na skutki. Mimo to miał zmysł smaku, powonienia i dotyku. A ta dziwna, blaszana muzyka, która dobiegała z gramofonu, sprawiała mu tyle przyjemności, Śe miał ochotę od nowa nauczyć się płakać.

Tyle powodów do radości. Ile mógł się jeszcze nauczyć! Od powrotu z muzeum przewertował pięć czy sześć tomów z biblioteki Lawrence'a Stratforda. Czytał skomplikowane i zabawne omówienia „Rewolucji przemysłowej”. Liznął ideę Karola Marksa, które jak na jego oko były czystym absurdem. Bogacz, jak się zdawało, piszący o biedakach, a nie znający ich sposobu myślenia. Wielokrotnie oglądał globus, zapamiętując nazwy krajów. Rosja, tak, to był

dopiero interesujący kraj. Ale największą tajemnicą pozostawała Ameryka.

Potem czytał Plutarcha, tego kłamcę! Jak ten łotr mógł napisać, Śe Kleopatra próbowała uwieść Oktawiana, ostatniego zdobywcę jej królestwa! Co za obrzydliwa myśl! Pisanina Plutarcha przypominała mu plotki starców na publicznych placach. W jego dziejach nie było Śadnej *gravitas*.

Ale dość już. Po co się tym przejmować! Poczł lekką dezorientację. Co go niepokoiło, wywoływało strach?

Nie wszystkie cuda dwudziestego stulecia, które oglądał od rana, nie szorstki, prymitywny język angielski, którego nauczył się do popołudnia, i nie upływ czasu od chwili, kiedy ostatni raz zamknął oczy. Najbardziej niepokoiła go nieustająca odnowa jego własnego organizmu: gojące się rany, ustępujące skurcze mięśni, brandy, która nie wywierała na niego Śadnego wpływu.

Dręczyło go to, ponieważŚ po raz pierwszy w swym długim istnieniu zaczynał zadawać sobie pytanie, czy serce i mózg równieżŚ nie podlegają podobnemu procesowi niekontrolowanej odnowy. Czy cierpienie psychiczne ustępowało równie szybko co fizyczne?

NiemoŚliwe. Ale jeŚeli tak nie jest, dlaczego po wyprawie do British Museum nie zalał

się gorzkimi łzami? Niemy i obojętny szedł pośród mumii, sarkofagów i rękopisów wykradanych wszystkim egipskim dynastiom aŚ do czasu, gdy odchodził z Aleksandrii, by zamknąć się w swym ostatnim grobowcu na wzgórzach. A jednak to Samir cierpiał, piękny Samir o złocistej skórze i oczach czarnych jak niegdyś oczy Ramzesa. Po niezliczonych stuleciach ciągle te same, wspaniałe egipskie oczy. Samir, jego dziecię.

Nie chodziło o to, Śe nie zachował Śywych wspomnień. Widział, jak zabierają trumnę Kleopatry z mauzoleum i niosą ją na rzymski cmentarz nad morzem, jakby to działo się wczoraj.

Gdyby chciał, poczułby woń tamtego morza. Słyszał rozlegające się zewsząd łkania. Tak jak wtedy, czuł kamienie pod cienką skórą sandałów.

Prosiła o pochówek u boku Marka Antoniusza; prośby usłuchano. On stał w tłumie jak zwykły człowiek, okutany w szorstką tunikę, i słuchał zawodzenia płaczek: „Nasza wielka królowa nie żyje!”

Bardzo wtedy cierpiał. Czemu więc teraz nie płakał? Siedział w tym pokoju, wpatrzony w jej marmurowe popiersie i nie potrafił wykrzesać z siebie bólu.

- Kleopatra - wyszeptał. Wywołał jej obraz nie na łożu śmierci, lecz jako młodej dziewczyny, która przysłała go zbudzić: Powstań, Ramzesie Wielki. Wzywa cię królowa Egiptu.

Chodź i słuchaj mi radę w czasach niedoli.

Nie, nie czuł ani radości, ani bólu.

Czy to oznacza, że potężny eliksir, ciągle płynący w jego żyłach, wpłynął na możliwość odczuwania cierpienia? Czy chodziło o coś innego, co cały czas podejrzewał: że śpiąc, wiedział, i przemija czas? Jakimś sposobem, nawet w stanie nieświadomości, oddalał się od źródeł

cierpienia, a jego sny były szumem myśli, które rozpląwały się w mroku i ciszy. Nie czując popłochu, jeszcze nim dotknęły go promienie słońca wiedział, że upłynęło wiele stuleci.

Może widok całego tego dwudziestego wieku tak nim wstrząsnął, że wspomnienia nie osiągnęły jeszcze pełnej siły. Cierpienie wróci niespodzianie i będzie wyl bliższy obłędu -

niezdolny do pojęcia całego piękna, jakie się przed nim rozpościera.

Była taka chwila w muzeum woskowych figur, kiedy widząc sylwetkę Kleopatry i niedorzeczną, pozbawioną wyrazu twarz Antoniusza obok niej, odczuł coś w rodzaju paniki.

Powrót na zgiełkliwe, pełne ludzi ulice Londynu przywrócił mu wtedy spokój. Pamiętał jeszcze jej okrzyk: „Ramzesie, Antoniusz umiera. Daj mu eliksir! Ramzesie!” Zdawało mu się, że głos dochodzi skądś na zewnątrz, że nawet gdyby chciał, nie byłby w stanie go uciszyć. Widok tak wulgarnego obrazu królowej zaniepokoił go. Serce stukało jak parowe młoty, które rozbijały cementowe chodniki Londynu. Waliło. Ale nie miało to nic wspólnego z bólem.

W końcu jakie to ma znaczenie, że woskowa figura tak spłyciła jej urodę? Sam przecież

stał obok swoich posągów, które w niczym go nie przypominały, i beztrąsko gawędził z robotnikami. Nikt nie spodziewał się po sztuce publicznej, że będzie miała bliski związek z pierwowzorem z krwi i kości, to znaczy było tak do czasów Rzymian, którzy zaczęli stawiać sobie w ogrodach własne portrety, przedstawiające wszystko, włącznie z brodawkami.

Kleopatra nie była Rzymianką, lecz po trosze Egipcjanką i Greczynką. Co najgorsze, dla ludzi dwudziestego stulecia oznaczała coś zupełnie nie związanego z nią samą. Stała się symbolem zmysłowości, podczas gdy w rzeczywistości posiadała cały szereg talentów. Ukarali ją za jedną, jedyną wadę, zapominając o całej reszcie.

Tak, właśnie to wstrząsnęło nim w muzeum. Przetrwiała w ludzkiej pamięci, ale zupełnie inna. Umalowana dziwka na obitej jedwabiem sofie.

Cisza. Znowu usłyszał bicie swojego serca. Nasłuchiwał. Tykanie zegara.

Stała przed nim taca smakowitych wypieków i brandy oraz pomarańcze i gruszki na porcelanowym talerzu. Powinien zjeść i napić się, bo to go zawsze uspokajało, jak gdyby w ogóle umiał odczuwać głód.

A przecieŜ nie chciał poczuć na nowo tamtego cierpienia, prawda? Mimo wszystko był przeraŜony. Nie miał bowiem zamiaru utracić rozległego zasobu ludzkich uczuć, które były mu znane. To byłaby prawdziwa śmierć!

Raz jeszcze spojrzał na jej piękne oblicze, wykute tu w marmurze i wierniejsze niŜ tamto woskowe straszidło. Gdzieś w głębi duszy czuł, Ŝe coś zagraŜa dziwnemu spokojowi jego umysłu. Widział pozbawione znaczenia obrazy. Objął głowę rękami i westchnął.

Naturalnie gdyby zaczął myśleć o Julie Stratford, leŜącej w łóŜku znajdującym się w komnacie nad nim, serce i umysł doznałyby natychmiastowego zjednoczenia. Roześmiał się cicho, biorąc jedno z ciastek - ciągnące się i słodkie. Połknął je. A miał ochotę pochłonać Julie Stratford. Ach, ta kobieta, cudowna kobieta; ta współczesna królowa o delikatnych rysach, której majestatowi nie były potrzebne Ŝadne posiadłości. Zdumiewająco inteligentna i zadziwiająco silna. Lepiej chyba zbyt długo się nad tym nie zastanawiać, bo będzie musiał iść na górę i wywaŜyć drzwi do jej pokoju.

Próbował sobie wyobrazić, jak wpada do jej sypialni. Nieszczęsna słuŜąca budzi się na poddaszu i zaczyna wrzeszczeć. I co z tego? Julie Stratford leŜy w tej swojej koronkowej komnacie, którą wypatrzył, przechodząc wcześniej korytarzem, on kładzie się na niej, zdzierając skąpe odzienie, pieści jej rozpalone nogi i bierze ją, zanim zdąŜy zaprotestować.

Nie. Tak nie wolno. W ten sposób zniszczysz to, czego poŜądasz. Julie Stratford zasługiwała na mnóstwo pokory i cierpliwości. Przekonał się o tym, obserwując ją w tym osobliwym stanie półsennej paralizacji, gdy chodziła po bibliotece i przemawiała do niego, nie domyŜlając się, Ŝe on ją słyszy.

Julie stała się dla niego wielką tajemnicą ciała, duszy i woli.

Przełknął kolejny duŜy łyk brandy. Wyborna. Znowu głęboko zaciągnął się cygarem.

Przekroił noŜem pomarańczę i wydraŜył z niej słodki, wilgotny miąŜsz.

Cygaro nappełniło pokój wonią delikatniejszą niŜ wszystkie kadzidła. Julie mówiła, Ŝe to turecki tytoń. Wtedy nie wiedział, co to oznacza, ale teraz się przekonywał. Wertując ksiąŜeczkę pod tytułem *Dzieje Ŝwiata*, wyczytał wszystko o Turkach i ich podbojach. W sumie od tego powinien zaczynać, od niewielkich ksiąŜek pełnych ogólników i podsumowań. W przeciągu półtora stulecia cała Europa padła pod naporem barbarzyńskich hord. Pora na subtelniejsze rozróżnienia przyjdzie potem, w miarę jak będzie stykał się z drukowanymi skarbnicami wiedzy we wszystkich językach. Uśmiechnął

się na samą myśl o tej perspektywie.

Ucichł gramofon. Podszedł i znalazł następny czarny krążek, który maszyna będzie mogła odegrać. Nosił osobliwy tytuł *Tylko ptak w złoconej klatce*. Nie wiedzieć czemu, skojarzyło mu się to z Julie, i znów przysła mu ochota, żeby obsypać ją pocałunkami. Położył krążek na talerzu i nakręcił urządzenie. Rozległ się świergot cichego, kruchego, kobiecego głosu. Roześmiał się.

Nalał sobie brandy i zaczął nieznacznie poruszać się w rytm muzyki, tańcząc bez odrywania stóp od podłogi.

Nadszedł czas, żeby trochę popracować. Za oknami zaczynała blednąć ciemność.

Nadchodziła szarówka przed świtem. Mimo tępego szumu miasta słyszał odległe śpiewy ptaków.

Poszedł do pogrążonej w mroku kuchni, znalazł szklanekę, jak nazywali te piękne przedmioty, i nalał do niej wody z cudownego, małego, miedzianego kurka.

Następnie wrócił do biblioteki i obejrzał długi szereg alabastrowych słoików, stojących pod lustrem. Wszystkie wyglądały na nieuszkodzone. śadnych pęknięć. I niczego nie brakowało.

Odnalazł także swój mały palnik i puste, szklane fiołki. Potrzebna mu była tylko odrobina oliwy, albo jedna ze świec, z której pozostał nadający się do jego celów ogarek.

Ustawił palnik, dość nieostrośnie odsuwając zwoje papiirusu. Włożył resztkę świecy, zdmuchując płomyk.

Wrócił do słoików. Ręka bez namysłu, odruchowo wybrała jeden z nich. A gdy przyjrzał się białemu proszkowi, przekonał się, że odruch był uzasadniony.

Ach, gdyby tylko Henry Stratford zanurzył łyżkę w tym słoiku! Ale prześlyby wstrząs.

Wuj zmieniłby się w ryczącego lwa, który mógłby urwać mu głowę.

Przyszło mu na myśl, i chociaż trucizny przerażały ludzi jego epoki, nie odstraszyłyby bynajmniej dzisiejszych naukowców. Ktoś oświony wiarą mógłby spokojnie wynieść stąd wszystkie słoiki, podawać ich zawartość nieszczęsnym zwierzętom, dopóki nie odkryłyby eliksiru.

Nie byłoby to zbyt trudne.

Na razie jednak o eliksirze wiedzieli jedynie Samir Ibrahim i Julie Stratford. A oni nigdy nie zdradzą tajemnicy. Ale Lawrence Stratford wykonał tłumaczenie części tekstów, a notatnik leżał gdzieś tutaj - Ramzes jakoś nie mógł go znaleźć - i każdy mógł go przeczytać. Rzecz jasna do tego dochodziły jeszcze zwoje.

Tak czy owak, taka sytuacja nie mogła trwać bez końca. Musi nosić eliksir przy sobie.

Ponadto zawsze istniała możliwość, że ta partia straciła moc. Proszek leżał w słoiku przez blisko dwa tysiące lat.

Przez taki czas wino zmieniłoby się w ocet albo jakiś inny niemożliwy do przełknięcia płyn. Mąka zmieniłaby się w coś równie jadalnego jak piasek.

Ręka mu drżała, gdy sypał wszystkie szorstkie ziarenka na metalową płytkę nad palnikiem. Postukał w słoik, żeby w środku nie pozostał nawet pyłek. Potem delikatnie wymieszał wszystko palcem i obficie dodał wody ze szklanki.

Zapalił na powrót świecę. Wywar zaczął bulgotać, a on rozstawił cztery szklane fiołki -

dwie z wystawionych na stole i dwie, które zostały ukryte lub przeoczone w hebanowej szkatule.

Cztery duże naczynia ze srebrnymi korkami.

Przemiana zaszła w ciągu kilku sekund. Składniki, potężne już same w sobie, przekształciły się w bulgoczący płyn, przesycony mglistą fosforescencją. Jakże groźnie wyglądał, jakby był zdolny przepalić podniebienie każdego, kto ośmielił się go skosztować! Ale nie powodował takich skutków. Nie działał tak przed eonami, gdy wychylił pełną czarę, gotów cierpieć w imię nieśmiertelności! Nie czuł żadnego bólu. Uśmiechnął się. żadnego bólu.

Ostrożnie wziął naczynie. Napełnił parującym eliksirem wszystkie cztery fiołki.

Odczekał, aż naczynie ostygnie, i oblizał resztki płynu, ponieważ był to jedyny bezpieczny sposób. Zakorkował fiołki. Wziął świecę i nakapał wosku na trzy zakrętki, jedną pozostawiając nieuszczelnioną.

Trzy naczynka umieścił w kieszeni szlafroka. Czwarte, którego nie zapieczętował, wziął

do oranżerii. Stał w mroku z naczyniem w ręku i przyglądał się paprociom i pnączom.

Szklane ściany traciły nocną matowość. Jeszcze wyraźnie widział swoje odbicie -

wysokiego mężczyzny w szlafroku barwy ciemnoczerwonego wina - ale zaczynał już dostrzegać wyblakłe elementy świata zewnętrznego.

Podszedł do najbliższej paproci w donicy, rośliny o ogromnych, delikatnych, ciemnozielonych liściach. Nalał odrobinę eliksiru do wilgotnej ziemi. Następnie przeszedł do bugenwilli z nielicznymi kwiatami pośród ciemnego listowia. Do tej doniczki również nalał wiele kropel płynu.

Rozległo się nieznaczne trzaskanie. Nie powinien lać już ani odrobiny. Mimo to szedł od donicy do donicy i dozował po kilka kropel. W końcu pozostało mu pół fiołki. Chyba narobił już

wystarczająco dużych szkód? Jeśli czary przestały działać, dowie się za chwilę. Spojrzał na szklany pułap. Ujrzał pierwszy, czerwony odbłask słońca. Bóg Ra posyła pierwsze ciepłe promienie.

Liście paproci szeleściły, wydłużały się, rozwijały się młode pędy. Bougainwilla nabrzmiała i zaczęła drżeć; niewielkie odrosty zaczęły pięć się po szelaznej kracie, na której się wspierała, wszędzie zniecka rozwierały się miniaturowe, krwawoczerwone kwiatki. W szklarni kłębiło się od pobudzonego Sycia. Zamknął oczy, wsłuchując się w te odgłosy. Wstrząsnął nim mroczny, głęboki dreszcz.

Jak mogło mu w ogóle przyjść na myśl, że eliksir stracił moc? Był potężny jak zawsze.

Jeden łyk obdarzył go nieśmiertelnością. Dlaczego pomyślał, że raz przyrządzona substancja może stać się nieśmiertelna w mniejszym stopniu niż on sam?

Włożył fiolkę do kieszeni. Przeszedł do tylnych drzwi domu i wyszedł w mroczny, wilgotny świt.

* * *

Henry'ego tak bardzo bolała głowa, że niezbyt wyraźnie widział dwóch policjantów. Gdy go zbudzili, śniło mu się to truchło, mumia. Zdjęty przerażeniem, wyjął pistolet, nastawił kurek, wsunął broń do kieszeni i ruszył do drzwi. Niech tylko spróbują go przeszukiwać...

- Toma Sharplesa znali wszyscy! - mówił, maskując strach wściekłością. - Wszyscy byli mu coś winni. I po to zrywacie mnie z łóżka o świcie?

Zezował jak kretyn na funkcjonariusza o nazwisku Galton, który pokazywał mu tę przeklętą monetę z Kleopatram! Jak mógł się tak wygłupić, żeby odejść, zostawiając pieniądze w kieszeni Sharplesa. Ale przecież nie miał, do diabła, zamiaru go wykańczać! Jak można liczyć, że będzie myślał o takich sprawach?

- Czy widział pan kiedykolwiek tę monetę?

Spokojnie. Nie ma ani grama dowodu, który łączyłby cię z tą sprawą. Skorzystaj z wypróbowanego sojusznika, oburzenia.

- No cóż, pochodzi ze zbiorów wuja. Z kolekcji Ramzesa. Jak ją zdobyliście? Powinna być zamknięta na cztery spusty.

- Chodzi o to - wtrącił ten, który przedstawił się jako Trent - jak znalazła się u Sharplesa. I co przy nim robiła, gdy został zabity?

Henry przeczesał włosy palcami. Gdyby nie ten ból... Gdyby mógł ich na chwilę przeprosić, wypić porządnego drinka i mieć chwilę, żeby wszystko obmyślić.

- Reginald Ramsey - stwierdził, patrząc Trentowi prosto w oczy. - Bo tak on się chyba nazywa? Ten egiptolog, który mieszka u mojej kuzynki. Dobry Boże, co tam dzieje się w tym domu?

- Pan Ramsey?

- No chyba go przesłuchaliście? Tego człowieka. Skąd on się wziął? - Zaczerwienił się pod

wpływem spojrzenia obydwu męŜczyzn. - Czy mam wykonywać za was całą robotę? Skąd wziął się ten łotr? I co wyprawia ze skarbami w domu mojej kuzynki?

* * *

Ramzes przez godzinę chodził ulicami. Poranek był zimny i ponury. Wielkie, imponujące domostwa na Mayfair ustąpiły miejsca ubogim kamienicom czynszowym. Błąkał się wąskimi, niebrukowanymi zaułkami - przypominającymi ulice staroŜytnego miasta, Jerycha albo Rzymu.

Koleiny wozów i cuchnące końskie odchody.

Od czasu do czasu gapił się na niego jakiś przechodzący nędzarz. Nie powinien chyba zakładać tego długiego satynowego szlafroka, ale jakie to miało znaczenie? Na powrót stał się Ramzesem Tułaczem. Ramzesem Przeklętym, znajdującym się w danym czasie jedynie przelotnie. Elixir ciągle działał. A nauka tych czasów nie była na to przygotowana tak samo, jak nauka wszystkich innych epok.

Spójrz na tych cierpiących, na śpiących na ulicach Œebraków. Poczuj smród tego domu, jakby drzwi były ustami, przez które wypływają duszące wyziewy, łaknącymi czystego powietrza.

ZbliŜył się do niego Œebrak.

- OdŒaľuj kilka pensów, panie. Nie jadłem od dwóch dni. Proszę.

Ramzes nie zatrzymywał się, idąc w pantoflach mokrych i brudnych od wody w kaľuŒach, w które wchodził.

A oto młoda kobieta, popatrz, wsłuchaj się w kaszel, grzechoczący gdzieś w głębci piersi.

- Chce się pan zabawić? Mam taki miły, ciepły pokoik.

Ach, tak, pragnął jej usług, i to tak mocno, Œe natychmiast poczuł, jak narasta podniecenie. A w gorączce była jeszcze bardziej ponętna. Z wdziękiem wypinała drobne piersi, maskując cierpienie uŒmiechem.

- Nie teraz, moja piękna - szepnął.

Zdawało mu się, Œe ulica, o ile w ogóle moŒna to było nazwać ulicą, zaniosała go na rozległe rumowisko. Spalone budowle cuchnęły dymem, okna ziały pustką, pozbawione zasłon i szkła.

Nawet tutaj w niszach i na progach gromadzili się ubodzy. Rozpaczliwie zapłakało dziecko. PieŒń głodu.

Szedł naprzód. Słyszał, jak wszędzie dookoła do Œycia budzi się miasto. Nie chodziło o ludzkie głosy, które rozlegały się bez względu na porę. Teraz budziły się maszyny, podczas gdy nad głowami rozjaśniało się niebo, przybierając juŒ niemal srebrny kolor. Gdzieś z oddali dobiegł

go głęboki, gardłowy dzwonek tramwaju. Przystanął. Nawet w tym miejscu czuł przez wilgotną ziemię tępe drżenie pod kołami żelaznego potwora. Co za transowy rytm, nieustanne toczenie się po żelaznych szynach.

Niespodziewany pisk wyrwał go z zasłuchania. Odwrócił się na czas, by zobaczyć mknący w swoją stronę, otwarty automobil, w którym na wysokich siedzeniach podskakiwał

jakiś młody człowiek. Oparł się o stojący za nim mur, podczas gdy machina pognęła dalej, grzechocząc i rozjeżdżając błotniste koleiny.

Był zły. To jeden z niewielu przypadków, gdy czuł się bezbronny, narażony na niebezpieczeństwo.

Oszołomiony spostrzegł martwą szarą synogarlicę, leżącą w błocie. Jeden z tych tłustych, nudnych ptaków, które widywało się wszędzie, gnieżdżące się na okiennych parapetach i na dachach. Tego przejechał automobil, miażdżąc mu skrzydło.

Poruszył go wiatr, stwarzając pozór, że synogarlica żyje.

Ni stąd, ni zowąd wspomnienie, jedno z najstarszych i najbardziej żywych, wyrwało go brutalnie z teraźniejszości i przeniosło wprost do innego miejsca i czasu.

Stał w jaskini hetyckiej kapłanki. W stroju wojennym, z ręką spoczywającą na rękojeści brązowego miecza, spoglądał na białe gołębicę, krążącą w blasku słońca pod zamocowaną wysoko kratą.

- Są nieśmiertelne? - spytał, używając prymitywnego, gardłowego języka Hetytów.

Zaśmiała się jak obłąkana.

- Jedzą, ale tego nie potrzebują. Piją, ale nie potrzebują napoju. Siłę daje im słońce. Gdy zabierze im się słońce, śpią, ale nie umierają, królu.

Patrzył uważnie na jej twarz, taką starą, naznaczoną tyłoma zmarszczkami. Jej śmiech go rozgniewał.

- Gdzie eliksir? - zapytał stanowczo.

- Myślisz, że to coś wspaniałego? - Jak błyszczały jej oczy, gdy do niego podchodziła, drażniąc go. - A gdyby świat zaludnił się tymi, którzy nie mogą umrzeć? A dzieci? I dzieci ich dzieci? W tej jaskini kryje się potworna tajemnica. Powiadam ci, to tajemnica końca świata!

- Daj go! - ryknął, wyciągając miecz.

Nie wystraszył jej, tylko się uśmiechnęła.

- A jeśli cię zabije, mój lekkomyślny gościu z Egiptu? Nie pił go żaden człowiek. żadna kobieta, żaden mężczyzna.

Zdał się już zauważyć ołtarz i czarę białego płynu. Widział za nimi tabliczkę z małymi, podobnymi do

klinów literami.

Zbliżył się do ołtarza. Odczytał tamte słowa. Czyżby był to wzór eliksiru Sycia? Z

pospolitych składników, które mógł własnoręcznie zebrać na polach i nad rzekami swej rodzinnej ziemi? Nie do końca w to wierząc, wyrył go sobie w pamięci, nie przypuszczając nawet, iż nigdy nie dane mu będzie zapomnieć.

I płyn, o bogowie, spójrzcie tylko. Uniósł czarę i wypił jej zawartość. Gdzieś z oddali dobiegł jego uszu jej nieustający śmiech. Jego echo niosło się po niezliczonych komnatach jaskini.

Potem odwrócił się, wierzchem dłoni ocierając usta, wytrzeszczając oczy, w miarę jak przebiegał go dreszcz, twarz pulsowała, ciało tęsało, jak gdyby powoził rydwanem przed bitwą i już zamierzał wnieść miecz i wydać wojenny okrzyk. Kapłanka odstąpiła krok do tyłu. Co zobaczyła? Poruszające się, wijące niczym na wietrze włosy. Wypadały siwe, a zastępowały je mocne, brązowe kędziory. Czarne oczy bladły i przybierały mocny odcień szafirów -

zdumiewająca przemiana, której skutki obejrzy później, gdy zobaczy się w zwierciadle.

- Zobaczmy, czyż nie? - zawołał, czując, jak serce niezmordowanie tłoczy krew, jak pieką mięśnie. Jaki czuł się lekki i potężny. Jakby miał zerwać się do lotu. - żyję czy umieram, kapłanko?

W osłupieniu patrzył na ulice Londynu. Jakby od tamtej pory minęło zaledwie kilka godzin! Cały czas brzmiał mu w uszach trzepot skrzydeł o tamtą kratę. Potem upłynęło siedemset lat do chwili, gdy wszedł do grobowca na pierwszy długi sen. I dwa tysiące do następnego zbudzenia, po którym kilka lat później powrócił do grobu.

A oto Londyn, dwudziesty wiek. Zawładnęło nim gwałtowne drżenie. Wilgotny, przynoszący dym wiatr znowu poruszył pióra szarej synogarlicy, która leżała martwa na ulicy.

Zrobił kilka kroków w brei, ukląkł i ujął ptaka w ręce. Jaka krucha istota. Przed chwilą pełna Sycia, a teraz zamieniona w śmieć, mimo że na ciepłej, wąskiej piersi jeszcze furkotało białe pierze.

O, jak przeszywał go zimny wiatr. Jak kłuło serce na widok nieżywego ptaka.

Trzymając go w prawej ręce, lewą wyjął połowę fiołki eliksiru. Kciukiem otworzył korek na zawiasie i polał martwe stworzenie lśniącym płynem, wpuszczając kolejne krople do otwartego dzioba.

Stworzenie ożyło błyskawicznie. Otworzyły się małe, okrągłe oczy. Ptak usiłował się wyprostować, gwałtownie bijąc skrzydłami. Ramzes go puścił i synogarlica wzbiła się w górę, zakreślając okręgi pod cięskim, ołowianym niebem.

Śledził ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła. Już nieśmiertelna. Dany jej będzie wieczny lot.

Powróciło kolejne wspomnienie, rączę i bezszelestne niczym skrytobójca. Mauzoleum; marmurowe korytarze, kolumny i szczupła postać Kleopatry, biegnącej obok niego, gdy coraz szybszym krokiem

oddalał się od zwłok Marka Antoniusza, leśących na złoconej sofie.

„Mośesz przywrócić mu Őycie! - wrzeszczała. - PrzecieŐ wiesz. Jeszcze nie jest za póŐno, Ramzesie. Daj go nam obojgu, Markowi Antoniuszowi i mnie! Ramzesie, nie odwracaj się ode mnie”. - Jej długie paznokcie orały mu ramię.

W przypiływie furii odwrócił się, wymierzył jej policzek, upadła. Była zdumiona, wreszcie skuliła się i rozsłochała. Jaka była bezbronna, wynędzniała, z tymi ciemnymi kręgami pod oczami.

Ptak zniknął ponad dachami Londynu. Słónce stawało się coraz jaśniejšie, rozlewając swoje óślepiające światło za wałami przetaczających się po niebie chmur.

Oczy zasłzy mu mgłą. Serce tłuóko się ocięśale w piersi. Płakał, stał bezradnie i płakał. O

bogowie, jak mógl pomyśleć, Őe ból nie powróci?

Po całych wiekach zbudził się, ciesząc się luksusem odrętwienia. Drętwota mijała, a Őar miłósci i Őałoby juŐ wkróóce wróci w całej pełni. Miał óto przedsmak cierpienia, a zarazem błógosławieństwa: Őył znowu całym sercem i duszą.

Wbił wzrok w trzymaną w rękú fiolkę. Kusió go, Őeby ją rozbić i pozwolić, by resztká zawartości wyciekła na tę brudną, śmierdzącą ulicę. Őeby wziąć pozostałe, wywieźć daleko od Londynu, gdzie z pewnością rosła wysoka trawa, i wylać wszystko gdzieś na pole, gdzie świadkami będą tylko dzikie kwiaty.

Ale po co mu te szalone myśli? Wiedział, jak go przyrzádzić. Zapamiętał słowa z tabliczki. Nie mógl wymazać czegoś, co było na wieki wyryte w pamięci.

* * *

Samir wysiadł z kebu i pieszo przemierzył pięćdziesiąt jardów, które dzieliły go od celu, z rękami w kieszeniach i kołnierzem postawionym dla ochrony przed porywistym wiatrem.

Dotarłszy do domu na rogu, wszedł po kamiennych schodach i zastukał do pokrytych łuszczącą się farbą drzwi.

Kobieta odziana w czarny, wełniany strój, uchyliła lekko drzwi, by natychmiast wpuścić go do środka. Wszedł dyskretnie do zagraconego pomieszczenia, gdzie dwóch Egipcjan palió i czytaó poranne gazety w otoczeniu półek zastawionych egipskimi towarami. Na stole z boku leśały papirus i szkło powiększające.

Samir zerknął na papirus. Nic istotnego. Jego spojrzenie prześlizgnęó się po długiej, poŐóóókiej mumii, okutanej w nieźle zachowaną tkaninę i pozornie niedbale leśającej na póóce.

- Ach, Samirze, nie przejmuj się - odezwał się wyśszy z tamtych dwóch, imieniem Abdel.

- Na rynku są same podróbki. Jak wiesz, to robota Zakiego. Z wyjątkiem tego tutaj... - Abdel wskazaó

mumię. - Ten jest prawdziwy, ale nie wart twojego zachodu.

Mimo wszystko Samir uważniej przyjrzał się mumii.

- Męty pozostałe z prywatnych zbiorów - podjął Abdel.

- To nie twój poziom.

Samir kiwnął głową, po czym zwrócił się w stronę Abdela.

- Słyszałem natomiast, że pojawiły się pewne rzadkie monety z wizerunkiem Kleopatry -

dodał nieco śartobliwie tamten. - Ach, gdybym mógł chociaż jedną taką dostać do rąk.

- Abdel, potrzebny mi jest paszport - odezwał się Samir. - Dokumenty o obywatelstwie. I to szybko.

Abdel nie odpowiadał, bacznie przyglądając się Samirowi, który sięgnął do kieszeni.

- I pieniądze. Ich też potrzebuję. Pokazał błyszczącą monetę z Kleopatą.

Abdel jeszcze siedząc, wyciągnął po nią rękę. Samir patrzył beznamiętnie, jak tamten ogląda numizmat.

- Dyskrecja, przyjacielu - powiedział wreszcie. - Szybkość i dyskrecja. A teraz przystąpmy do omówienia szczegółów.

* * *

Wrócił Oscar. To może przysporzyć kłopotów, myślała Julie, ale tylko wtedy, gdy Rita coś wypapla, chociaż z kolei Oscar nigdy nie liczył się ze zdaniem Rity. Uważał ją za idiotkę.

Schodząc po schodach, Julie zobaczyła, jak *butler* zamyka drzwi wejściowe. Trzymał

bukiet róż. Podał jej liścik, przysłany razem z kwiatami.

- Dopiero co przyszły, panienko - oznajmił.

- Tak, wiem.

Z ulgą zobaczyła, iż nadawcą jest Elliott, a nie Alex, i pośpiesznie, na oczach Oscara, odczytała list.

- Oscar, zadzwoń do earla Rutherforda i powiedz mu, że nie będę mogła być u niego wieczorem. I że później sama zadzwonię i wszystko wyjaśnię.

Zanim odszedł, Julie wyjęła różę z bukietu i poleciała:

- Postaw je w jadalni, Oscarze. - Powąchała, dotknęła miękkich płatków. Co pocnie w sprawie Alexa? Z pewnością było jeszcze za wcześnie na podejmowanie jakichkolwiek decyzji, ale z każdym

dniem będzie coraz trudniej.

Ramzes. Gdzie był? To rzeczywiście najpilniejsze. Drzwi do pokoju ojca stały otworem, z łóżka nikt nie korzystał.

Pobiegła holem do oranżerii. Jeszcze po drodze zauważyła wspaniałą bugenwillę, obsypaną czerwonym kwieciami.

Pomyśleć, że jeszcze wczoraj nie dostrzegła tych wspaniałych kwiatów. I te paprocie, jakie cudowne. I lilie we wszystkich doniczkach tak wcześnie w tym roku rozkwitły.

- Co za cud.

Zobaczyła, że Ramzes siedzi na wiklinowym krześle i ją obserwuje. Zdążył się już

odpowiednio dostojnie ubrać w oczekiwaniu na przygody, jakie przyniesie ten dzień. Tym razem zrobił to bezbłędnie. Był taki piękny! Rumieńce zjawyły się na jego policzkach w strumieniach słonecznego światła. Włosy miał jeszcze gęstsze, a w cudownych, niebieskich oczach snuła się melancholia, rzecz jasna dopóki zupełnie się nie rozchmurzył i nie obdarzył jej tym rozbajającym uśmiechem.

Na mgnienie oka poczuła, jak przeszył ją lęk. Wyglądał tak, jakby miał się rozpłakać.

Wstał, podszedł do niej i delikatnie musnął palcami policzek.

- Ach, jakim ty jesteś cudem - odezwał się. Nastąpiła pełna czułości cisza. Ona miała ochotę zarzucić mu ręce na szyję. Tymczasem tylko na niego patrzyła, czując bliskość, wreszcie wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka.

Wiedziała, że powinna się cofnąć. Ale ją zaskoczył. Sam się odsunął, ucałował ją niemal nabożnie w czoło i oznajmił:

- Chcę jechać do Egiptu, Julie. To prędzej czy później nadejdzie, więc niechaj stanie się teraz.

Ile znużenia było w jego głosie. Cała łagodność, którą wczoraj tchnął, przemieszała się dzisiaj ze smutkiem. Oczy wyglądały na większe i ciemniejsze. I nie myliła się - zbierało mu się na płacz, i znowu przeszył ją dreszcz lęku na myśl o tym.

Boże, ile on potrafi unieść cierpienia.

- Naturalnie - odparła. - Pojedziemy do Egiptu, oboje...

- Ach, miałem taką nadzieję. Julie, ten wiek nie stanie się tak naprawdę moim, dopóki nie poślęgam się z Egiptem, bo Egipt to moja przeszłość.

- Rozumiem.

- Pragnę przyszłości! - jego głos przeszedł w szept. - Pragnę... - Urwał, widocznie nie będąc w stanie dokończyć. Skonfudowany, odwrócił głowę. Z kieszeni wyciągnął garść złotych monet.

- Czy za to można kupić okręt, który przewiezie nas przez morze, Julie?

- Wszystkie sprawy pozostaw mnie - zaproponowała. - Pojedziemy. Teraz usiądź i zjedz śniadanie. Wiem, jaki czujesz głód. Nie musisz mnie o tym przekonywać.

Mimo woli roześmiał się.

- A ja natychmiast się wszystkim zajmę.

Poszła do kuchni. Oscar właśnie szykował tacę ze śniadaniem. Pomieszczenie wypełniały aromaty kawy, cynamonu i świeżo upieczonych bułeczek.

- Oscarze, zadzwoń zaraz do Thomasa Cooka. Zarezerwuj dla mnie i pana Ramseya rejs do Aleksandrii. Możliwie najprędzej. O ile to możliwe, odpłyniemy jeszcze dzisiaj. Ja się tym zajmę, a ty idź i połatwiaj wszystko.

Jakieś było jego zdumienie!

- Aleś, panno Julie, co z...

- Już, Oscarze, idź zadzwonić w tej sprawie. Nie ma czasu do stracenia.

Wróciła z ciętą tacą do szklarni i raz jeszcze stropiła się na widok ogromnych kwiatów.

Purpurowych orchidei i słotych stokrotek, dorównujących sobie urodą.

- Proszę, proszę - wyszeptała. - I pomyśleć tylko, że wcześniej prawie nie zwracałam na nie uwagi. Wszystko kwitnie. Jakie to śliczne.

Stał przy drzwiach od tyłu, patrząc na nią z tym samym, smutnym i pięknym wyrazem twarzy.

- Tak, śliczne - przytaknął.

Cały dom stanął na głowie. Rita mało nie odeszła od zmysłów na wieść, że jedzie do Egiptu. Oscar, który zostawał pilnować domu, pomagał woźnicom znosić kufry.

Randolph i Alex zaciekle przekonywali Julie, że nie wolno jej jechać do Egiptu.

Zaś enigmatyczny pan Ramsey siedział na wiklinowym krześle w oranżerii i pochłaniał

ogromne ilości jedzenia, popijając je obficie alkoholem. Cały czas czytał przy tym dwie gazety, i to jednocześnie, o ile Elliott się nie mylił. Od czasu do czasu brał jedną spośród rozrzuconych po podłodze książek, wertował ją, jakby w poszukiwaniu informacji najwyższej wagi, a gdy ją znalazł, niedbale ciskał tom na ziemię.

Elliott siedział na krześle Lawrence'a w pokoju egipskim i przyglądał się temu wszystkiemu w milczeniu; czasami zerkał w kierunku Julie; potem wracał wzrokiem do pana Ramseya, który z całą pewnością wiedział, że go obserwują, ale chyba nic a nic się tym nie przejmował.

Drugim milczącym i samotnym obserwatorem był Samir Ibrahim, stojący na tyłach oranżerii, nieco zagubiony wśród zdumiewająco obfitego, wiosennego listowia, zapatrzony przed siebie, ku obojętności pana Ramseya.

Telefon Julie dotarł do Elliotta trzy godziny temu. Ten natychmiast przystąpił do czynu.

Mniej więcej wiedział, co zdarzy się w salonie w wyniku toczącego się tam małego dramatu.

- Ale po prostu nie możesz popłynąć do Egiptu w towarzystwie mężczyzny, o którym absolutnie nic nie wiesz - przekonywał Randolph, starając się nie podnosić głosu. - Nie można odbywać takich podróży bez stosownej opieki.

- Julie, ja do tego nie dopuszczę - mówił Alex, błądzący z bezsilnej rozpacz. - Nie pozwolę ci na samotną wyprawę.

- Zamknijcie już - odezwała się Julie. - Jestem dorosłą kobietą. Płynę. Dam sobie radę.

Poza tym będzie ze mną Rita i Samir, najbliższy przyjaciel ojca. Nie umiem wyobrazić sobie lepszej opieki.

- Julie, przecież wiesz, że żadne z nich nie zapewni ci właściwej ochrony. To po prostu skandal.

- Wuj, statek odbija o czwartej. Muszę już wychodzić. Lepiej zajmijmy się pilniejszymi sprawami. Kazałam przygotować pełnomocnictwo, żebyś mógł mieć swobodę manewru przy kierowaniu Stratford Shipping.

Cisza oznacza, że dotarliśmy nareszcie do sedna, pomyślał chłodno Elliott. Słyszał, jak Randolph powoli odchrząkuje.

- Tak, zdaje się, że tak będzie trzeba zrobić - stwierdził drżącym głosem Randolph.

Alex chciał coś dorzucić, ale Julie grzecznie go uciszyła. Zapytała, czy ma podpisać Randolphowi jeszcze jakieś dokumenty. Wuj może je zaraz wysłać do Aleksandrii. Podpisze i odeśle mu do Anglii.

Upewniwszy się, że Julie wyjedzie zgodnie z planem, Elliott wstał i przeszedł swobodnym krokiem do oranżerii.

Ramsey bez wahania zjadał nadludzkie ilości jedzenia. Wziął jedno z trzech zapalonych cygar i zaciągnął się nim, następnie wrócił do puddingu, pieczonej wołowiny i chleba z masłem.

Leżał przed nim *Dzieje współczesnego Egiptu*, otwarte na rozdziale pod tytułem „Masakra mameluków”. Tak szybko przebiegał palcem po stronie, że wyglądało na to, że przegląda książkę tylko pobieżnie.

Nagle Elliott uświadomił sobie, że zewsząd otaczają go liście. Niemal wystraszył się rozmiarów stojącej obok paproci i olbrzymiej bugenwilli, która ocierała się o jego bark, częściowo przesłaniając wejście. Boże, co się tu stało? Gdziekolwiek spojrzał, widział lilie, wylewające się z doniczek stokrotki i zagarniające przestrzeń pod dachem bluszcze.

Ukrywając swoje zdumienie - choć nie wiadomo, przed kim, bo ani Ramsey, ani Samir oficjalnie go nie zauważali - zerwał jeden z białoniebieskich powojów, które rosły nad jego głową.

Patrzył na doskonały kwiat w kształcie trąbki. Co za słodycz. Powoli uniósł głowę, napotykając wzrok pana Ramseya.

Samir jakby zbudził się z zadumy.

- Lordzie Rutherford, pozwoli pan... - Urwał, jakby nie wiedział, jak ma się dalej zachować.

Ramsey wstał, starannie wycierając palce płócienną serwetką. Earl z roztargnieniem wsunął kwiat do kieszeni i wyciągnął rękę.

- Panie Ramsey - zagaił - bardzo mi miło. Jestem starym przyjacielem rodziny Stratfordów. Także parę się nieco egiptologią. Mój syn Alex jest zaręczony z Julie. Może obito się to panu o uszy.

Tamten nic o tym nie wiedział. Albo wiedział, ale nie rozumiał. Na policzkach wykwitł mu lekki rumieniec.

- Zaręczony z Julie? - powtórzył półszepem i, siląc się na wesołość, dodał: - Pańskiemu synowi sprzyja los.

Earl nie był w stanie oderwać wzroku od zastawionego jedzeniem stołu i cisnących się wszędzie kwiatów. Patrzył ze spokojem na stojącego przed nim człowieka, który bez wątplenia należał do

najprzystojniejszych istot, jakie zdarzyło mu się oglądać. Był wręcz piękny. Miał

duże, współczujące, niebieskie oczy, za którymi szaleją kobiety. Wystarczy dodać do tego uśmiech na zawołanie i otrzymuje się zabójczą mieszankę.

Ale to milczenie stawało się niezręczne.

- A, jeszcze dziennik - odezwał się Elliott, sięgając do kieszeni surduta. Samir natychmiast rozpoznał książeczkę.

- Dziennik ten - ciągnął Elliott - był własnością Lawrence'a. Zawiera cenne informacje na temat grobowca Ramzesa. Wygląda na to, że ktoś sporządził jakieś notatki na papirusie. Wziąłem sobie parę dni temu ten dziennik, więc teraz oddaję.

Na twarzy Ramseya odbił się nagle chłód.

Elliott odwrócił się, wsparł na lasce i przeszedł kilka sprawiających ból kroków do biurka Lawrence'a.

Ramsey ruszył za nim.

- Ten ból w pańskich stawach - zagadnął - czy istnieje jakieś współczesne... jakieś na to lekarstwo? W starożytnym Egipcie stosowano korę wierzby. Należało ją gotować.

- Tak - odparł Elliott, spoglądając w te niepokojące, błękitne oczy - w naszych czasach nazywamy je aspiryną. - Uśmiechnął się. Nie spodziewał się, że pójdzie mu tak dobrze. Miał

tylko nadzieję, że nie rumienił się tak, jak Ramsey.

- Gdzieś pan bywał przez wszystkie te lata, przyjacielu, że nie słyszał pan o aspirynie?

Wytwarzamy ją syntetycznie, chyba zna pan to sformułowanie.

Wyraz twarzy Ramseya pozostał niewzruszony, chociaż mężczyzna zmrużył nieco oczy, jak gdyby chciał dać lordowi do zrozumienia, że jest poddawany obserwacji.

- Nie jestem człowiekiem nauki, lordzie Rutherford - stwierdził - lecz raczej obserwatorem, filozofem. Zatem nazywacie to aspiryną. Dobrze wiedzieć. Niewykluczone, że nieco zbyt dużo czasu spędzałem w odległych krainach. - Niemal śartobliwie uniósł brwi.

- Ale starożytni Egipcjanie z pewnością znali lekarstwa mocniejsze od wierzbowej kory? -

naciskał Elliott. Spojrzał na rząd alabastrowych słoików pod przeciwległą ścianą.

- Potężne lekarstwa, powiedzmy eliksiry, zdolne leczyć dolegliwości poważniejsze niż

bóle, które czuję w kościach.

- Potężne lekarstwa mają swoją cenę - odparł niewzruszenie Ramsey - czy teŜ raczej niebezpieczne strony. AleŜ niezwykle z pana człowiek, lordzie Rutherford. Trudno bowiem przypuścić, Ŝe uwierzył pan w to, co znalazł w notatniku mojego przyjaciela Lawrence'a.

- Naturalnie, Ŝe wierzę. Bo widzi pan, ja takŜe nie jestem człowiekiem nauki.

Niewykluczone, Ŝe obydwaj jesteŝmy filozofami i chyba po trosze poetami, poniewaŜ znaczna część mojej tułaczki odbywa się w snach.

MęŜczyźni mierzyli się przez chwilę milczącym wzrokiem.

- Poetami - zawtórował Ramsey, juŜ prawie niegrzecznie omiatając tamtego wzrokiem. -

Rozumiem, ale nie przeczę, Ŝe mówi pan rzeczy niezwykle.

Elliott starał się zachować spokój. Czuł, jak poci się pod koszulą. Oblicze tamtego było niespodziewanie otwarte, niemal zachęcające.

- Chciałbym pana lepiej poznać - wyznał znienacka - ...czegoś się od pana... nauczyć. -

Zawahał się. Wpijały się w niego niebieskie oczy.

- MoŜe znaleźlibyśmy trochę czasu na rozmowę w Kairze lub Aleksandrii. MoŜe poznalibyśmy się na pokładzie statku.

- A płynie pan do Egiptu? - spytał Ramsey, przechylając głowę.

- Tak. - Uprzejmie wyminął Ramseya i przeszedł do salonu. Stał przy Julie, która podpisała właśnie następną weksel bankowy i podała go wujowi.

- Tak - powtórzył Elliott, odwracając się do Ramseya i mówiąc głośno, do wszystkich.

- Jedziemy razem z Alexem. Natychmiast po telefonie od Julie zarezerwowałem miejsca na tym samym statku. Nigdy nie pozwolilibyśmy jej jechać samej, prawda, Aleksie?

- Elliocie, mówiłam ci, Ŝebyś tego nie robił - zaprotestowała Julie.

- Ojczy, nie miałem pojęcia...

- Wiem, kochanie - zwrócił się Elliott do bratanicy - ale nie mogłem przyjąć twojej odmowy. Zresztą jest to dla mnie być moŜe ostatnia juŜ okazja zobaczenia Egiptu. Alex z kolei jeszcze nigdy tam nie był. Nie odmówisz nam przeciwieŝ tej przyjemności. Czy są jakieś powody, dla których nie moglibyśmy popłynąć tam razem?

- Tak, chyba powinienem go zwiedzić - mówił Alex, zupełnie zbity z tropu.

- Kufer jest spakowany i juŜ w drodze - powiadomił syna Elliott. - Chodźcie, bo wszyscy

zostaniemy, Śe tak powiem, na lodzie, a statek odpłynie.

Julie przeszła go wściekłym spojrzeniem. Z tyłu cicho roześmiał się Ramsey.

- Czyli jedziemy wszyscy do Egiptu - podsumował. - To niezmiernie interesujący pomysł.

Porozmawiamy po drodze, lordzie Rutherford, tak jak pan wspomniał.

Schowawszy pełnomocnictwo, Randolph uniósł głowę.

- Czyli wszystkie trudności zostały rozwiązane, prawda? Szczęśliwej podróŜy, kochanie. -

Czule pocałował bratanicę w policzek.

* * *

Znowu sen, ale tym razem nie mógł się obudzić. Przewrócił się na łóŜku Daisy, drapiąc twarz o koronkową, pachnącą słodko poduszkę.

- To tylko sen - wymamrotał - pora kończyć. - Ale widział zmierzającą ku sobie mumię, za którą wlekły się pasma pociemniałej tkaniny. Czuł zaciskające się na gardle palce.

Chciał wrzeszczeć, lecz krzyk uwiązł w gardle. Dusił się od smrodu przegniłego całunu.

Przekręcił się, rękami waląc na oślep w pościel, nagle uderzył pięścią i poczuł, jak zaciskają się na niej palce.

Po otwarciu oczu zobaczył twarz ojca.

- O BoŚe - wyszeptał. Opadł na poduszkę. Na chwilę znów zamknął się nad nim sen, ale wstrząsnął się i znowu ujrzał ojca, który stał przy łóŜku.

- Ojczy - jęknął - co ty tu robisz?

- To samo pytanie mógłbym zadać tobie. Wyłaź z tego łóŜka i ubieraj się. Na dole czekają twoje bagaŜe i keb, który zawiezie cię do portu. Odpływasz do Egiptu.

- Za Śadne skarby świata! - Czy to kolejna faza snu?

Ojciec zdjął kapelusz i usiadł na krześle obok łóŜka. Gdy Henry sięgnął po cygaro i zapalki, ojciec wytrącił mu je z ręki.

- Niech cię wszyscy diabli - wyszeptał Henry.

- Teraz słuchaj. Sytuacja jest znowu pod kontrolą, której nie zamierzam juŜ tracić.

Kuzynka Julie i jej tajemniczy przyjaciel wypływają dziś po południu do Egiptu, jadą z nimi Elliott i Alex. Ty teŜ masz się znaleźć na tym statku, zrozumiano? Jesteś kuzynem Julie, a tym samym jedynym

właściwym dla niej towarzyszem podróży. Dopilnujesz, żeby wszystko odbywało się przyzwoicie, żeby nic nie przeszkodziło małżeństwu Julie i Alexa Savarella. Masz też dopilnować, żeby... żeby ten człowiek nie skrzywdził jedynej córki mojego brata.

- Ten człowiek! Chyba upadłeś na głowę, jeśli zdaje ci się, że ja...

- W przeciwnym razie zostaniesz wydziedziczony i nie dostaniesz złamanego grosza! -

Randolph ściszył głos i pochylił się. - Mówię serio, Henry. Całe życie dawałem ci wszystko, czego chciałeś, ale jeśli teraz nie wypełnisz co do joty moich poleceń i nie przypilnujesz całej sprawy, usunę cię z zarządu Stratford Shipping i zlikwiduję ci pensję oraz dochody osobiste.

Wsiądziesz na statek, będziesz miał na oku kuzynkę, żeby przypadkiem nie wymknęła się z tym odpychająco przystojnym Egipcjaninem i będziesz donosił mi o wszystkich wypadkach!

Z kieszeni na piersi Randolph wyjął cienką białą kopertę. Położył ją na stoliku obok łóżka. W środku był gruby zwitek banknotów. Henry go widział. Ojciec wstał.

- I nie telegrafuj z Kairu, że jesteś bez grosza. Trzymaj się z dala od kasyn gry i tancerek brzucha. Najpóźniej za tydzień spodziewam się listu albo telegramu.

* * *

Hancock wyłaził ze skóry.

- Wyjechała do Egiptu! - charczał do słuchawki telefonu. - Przecież całe zbiory zostały w tym domu! Jak ona mogła?

Ruchem ręki nakazał milczenie urzędnikowi, który chciał coś wtrącić. Wreszcie cisnął czarną słuchawkę na widełki.

- Proszę pana, znowu przyszli dziennikarze, w związku z mumią.

- Do diabła z mumią! Ta kobieta wyjechała do Egiptu i zostawiła kolekcję w swoim salonie, jakby to były jej lalki.

* * *

Elliott stał przy wysokim relingu obok Julie i Ramseya, patrząc, jak daleko w dole, u wejścia na trap, Alex całuje matkę na pożegnanie.

- Ale nie jestem tutaj, żeby gadać nad tobą jak kwoka - tłumaczył Julie Elliott. Alex raz jeszcze objął matkę i wbiegł na pomost.

- Chcę tylko być ci pomocny w trudnych chwilach. Nie przejmuj się tak, proszę.

Mówił szczerze. Bo Œe, jak martwił go wyraz jej twarzy.

- Ale po co nam tutaj Henry? Nie chcę być z nim na jednym pokładzie.

Henry wsiadł przed chwilą, nie zamieniając z nikim ani słowa, tak samo blady, przemęczony i nieszczęśliwy, jak dzień wcześniej.

- Tak, wiem - westchnął Elliott. - Musisz jednak zrozumieć, kochanie, Œe jest twoją najbliższą rodziną i...

- Dajcie mi trochę odetchnąć! Elliott, wiesz, Œe kocham Alexa. Od samego początku. Ale małŒeństwo ze mną wcale niekoniecznie wyjdzie mu na dobre. Nigdy tego zresztą nie ukrywałam.

- Wiem, Julie, wierz mi, zawsze o tym wiedziałem, ale twój przyjaciel... - Ruchem ręki wskazał stojącego nieopodal Ramseya, który przyglądał się całemu poruszeniu w zatoce z nie skrywanym podnieceniem. - Jak możemy się nie martwić? Co mamy robić?

Nie potrafiła oprzeć się jego urokowi. Jak zwykle. Pewnego wieczoru kilka miesięcy temu, gdy wypić za duŒo szampana i zbyt duŒo tańczyła, wyznała Elliottowi, Œe jest w nim zakochana mocniej niŒ w Aleksie. Gdyby był wolny i poprosił o jej rękę, nie byłoby Œadnych przeszkód. Rzecz jasna Alex uznał to za Œart, ale jej oczy miały osobliwy wyraz, który niezwykle pochlebiał Elliottowi. W tej chwili dostrzegł blade echo tamtego spojrzenia. Ale kłamał. Kłamał

w Œywe oczy.

- W porządku, Elliotcie - wyszeptwała. Ucałowała go w policzek, co sprawiło mu ogromną przyjemność.

- Nie chciałabym skrzywdzić Alexa.

- Tak, oczywiście, kochanie.

Gwałtowny strumień pary z gwizdka. Ostatnie wezwanie dla wsiadających pasaŒerów.

PodróŒni Œegnali odprowadzających, którzy zaczęli płynąć wartkim strumieniem na brzeg.

Ni stąd, ni zowąd przybiegł do nich wielkimi susami Ramsey. Obrócił Julie, jakby nie uŒwiadamił sobie własnej siły. Patrzyła na niego nie rozumiejącym wzrokiem.

- Czujesz, Julie, te wibracje? Muszę obejrzeć silniki. Natychmiast złagodniała. Jakby jego entuzjazm był zaraźliwy.

- Tak, naturalnie. Wybacz, Elliotcie. Muszę zaprowadzić Ramze... to znaczy pana Ramseya... do maszynowni, rzecz jasna, o ile w ogóle będzie to możliwe.

- Pozwoli pan - Elliott wykonał gest w kierunku młodego oficera w ŒwieŒym, białym mundurze, który wyszedł na pokład.

Alex zabrał się już za rozpakowywanie, gdy Elliott wszedł do niewielkiego salonu, oddzielającego ich kajuty. Stały tam otwarte dwa kufry podróżne. Walter chodził z naręczami garderoby.

- Przyjemnie tu, prawda? - zagadnął Elliott, ogarniając wzrokiem niewielką kanapę i krzesła oraz miniaturowy portal. Nie mieli zbyt dużo czasu na rezerwację odpowiedniego lokum, ale na koniec i tak do dzieła zabrała się sama Edith.

- Sprawiasz wrażenie zmęczonego, ojciec. Zamówię herbatę.

Earl usadowił się na małym, złoconym *fauteuil*. Perspektywa napicia się herbaty brzmiała zachęcająco. Co to za zapach? Czy w pomieszczeniu były kwiaty? Nie widział żadnych. Tylko szampan w błyszczącym kubku z lodem i kieliszki, stojące w gotowości na srebrnej tacy.

Wreszcie sobie przypomniał. Powój, zmięty w kieszeni, do której włożył go rano. Cały czas pachniał w swojej kryjówce.

- Tak, herbata dobrze mi robi, Aleksie, ale nie ma pośpiechu - zamruczał. Namacał w kieszeni zgnieciony kwiatek, wyciągnął go i przytknął do nosa.

Rzeczywiście, bardzo urocza woń. Wtedy przypomniał sobie tę oranżadę z fantastycznie rozrośniętymi kwiatami i listowiem. Spojrzał na powój. Na jego oczach kwiat prostował się, znikły zmarszczenia na woskowatych płatkach. Całkowicie się rozwarł i w chwilę potem na powrót stał się idealny.

Alex coś mówił, ale Elliott w ogóle go nie słyszał. Patrzył tylko z głupim wyrazem twarzy. Następnie znowu zmiażdżył kwiat, mocno zaciskając go w pięści.

Uniósł powoli głowę, kiedy Alex akurat odkładał słuchawkę.

- Herbata będzie za kwadrans - oznajmił Alex. - Co ci jest, ojciec? Zbladłeś jak...

- To nic. Nic mi nie jest. Muszę chwilę odpocząć. Daj mi znać, kiedy przyniosą herbatę.

Wstał, nie wypuszczając kwiatka z zaciśniętej pięści.

Gdy zamknął za sobą drzwi kajuty, wsparł się o nie, czując spływające po plecach struśki potu. Rozwarł pięść. Kwiat znowu przemienił się ze zmiażdżonego w kształtny i nieskazitelny.

Patrzył, jak wydłużają się białoniebieskie płatki.

Wpatrywał się w nie przez chwilę, która zdawała się wiecznością. Zwinął się malutki listek u podstawy kwiatu. Po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że patrzy na siebie w lustrze.

Siwowłosego earla Rutherford, prawie kaleka, jeszcze przystojny w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, chociaż każdy krok sprawiał mu nieznośny ból. Wypuścił laskę, nie patrząc, jak spadała, i pomacał

swoje siwe włosy.

Słyszał, jak woła go Alex. Herbata była już na stole. Ostrośnie wyjął portfel. Raz jeszcze zmiął kwiat i wsunął go w skórzaną przegródkę. Wreszcie bardzo powoli nachylił się i podniósł laskę.

* * *

W jakimś oszołomieniu patrzył na syna, który nalewał herbatę.

- Wiesz co, ojciec - mówił Alex - zaczynam dochodzić do przekonania, że wszystko w końcu jakoś się ułoży. Przyjrzałem się uważniej temu Ramseyowi. To prawda, jest bardzo przystojny, ale chyba o wiele za stary dla niej.

* * *

Och, co to za radość, cały ten żelazny pałac na wodzie, z małymi sklepikami i wielką salą bankietową, i salą balową, gdzie będzie grała muzyka!

I jego kwatery. Nigdy jako król nie miał na pokładzie żelaznego okrętu takiego wspaniałego lokum. Śmiał się niemal jak idiota, gdy stewardowie kończyli rozpakowywać ostatni kufer z rzeczami Lawrence'a Stratforda.

Po ich odejściu Samir zamknął drzwi i wyciągnął z surduta całe mnóstwo papierowych pieniędzy.

- To wystarczy na zaspokojenie twoich potrzeb przez długi czas, panie, tylko nie wolno ci pokazywać całej sumy na raz.

- Tak jest, mój lojalny sługo. Wiedziano o tym już wtedy, gdy jeszcze jako mały chłopiec wymykałem się z pałacu. - Znowu zaśmiał się radośnie. Nie mógł się powstrzymać. Na statku mieściła się nawet biblioteka i małe kino. Wszystkie te cuda znajdowały się pod pokładem.

Delikatni, eleganccy członkowie załogi - wszyscy o manierach dżentelmenów - zapewnili go, że ma zupełną swobodę ruchów.

- Twoja moneta była warta znacznie więcej, panie, ale nie miałem czasu, żeby się targować.

- Jak mówią w tych czasach, Samirze, nie zwracaj sobie tym głowy. Twoje zdanie o lordzie Rutherfordzie jest słuszne. On wierzy, a dokładnie rzecz biorąc, wie.

- Ale zagrożenie pochodzi od strony Henry'ego Stratforda. Czy wpadnięcie do oceanu byłoby godną karą?

- Niemądrą. Zakłóciłoby spokój ducha Julie Stratford. Im więcej dowiaduję się o tej epoce, tym lepiej rozumiem jej złożoność, jej skomplikowane pojęcia sprawiedliwości. Są rzymskie, ale to nie wyczerpuje ich istoty. Będziemy mieli na oku postępkę pana Henry'ego Stratforda. Gdy kuzynce

dopieczę juŜ do Œywego jego obecnoŒć, być moŜe uzna jego Œmierć za mniejsze zło. Ale tą częŒcią się nie przejmuj. Sam ją załatwię.

- Tak, panie. Ale gdybyś z jakiegoŒ powodu nie chciał wykonać tego zadania, ja z wielką radoŒcią zabiję Stratforda.

Ramzes cicho się rozeŒmiał. Bardzo lubił tego człowieka, przebiegły, a mimo to uczciwy; cierpliwy, a zarazem wielce przenikliwy.

- MoŜe powinniŒmy zabić go wspólnie, Samirze. Ale póki co umieram z głodu. Kiedy zjemy posiłek wśród tych cudownych, róŜowych obrusów i wspaniałych palm w donicach?

- JuŜ wkrótce, panie, i proszę... uwaŜaj.

- Nie martw się, Samirze. - Ramzes wziął go za rękę. - Otrzymałem instrukcje od królowej Julie. Mam jeŒć jedną potrawę rybną, jedną z ptactwa i jedną mięsną, a nie wszystkie naraz.

Tym razem rozeŒmiał się Samir.

- Czy ciągle się niepokoisz? - zapytał Ramzes.

- Nie, panie, jestem bardzo ŒczęŒliwy. Niech nie zwodzi cię mój poŒępny wyraz twarzy.

To, co zdąŜyłem ujrzeć w swoim Œyciu, przekracza moje najŒmielsze marzenia. Gdy Henry Stratford padnie trupem, nie będzie mi juŜ nic więcej potrzeba.

Ramzes skinął głową. Wiedział, Œe przy tym człowieku jego tajemnica jest bezpieczna, chociaŜ nie do końca pojmował to połączenie mądroŒci i rezygnacji. Nie znał go, gdy był

Œmiertelny. Nie znał go i teraz.

W wykwintnej jadalni pierwszej klasy było już tłoczno od dżentelmenów w białych krawatach i frakach oraz pań w toaletach z głębokim dekoltem. Gdy weszła Julie, Alex wstał, żeby pomóc jej zająć miejsce. Siedzący już naprzeciw Elliott i Henry także wstali. Julie skinęła głową Elliottowi, ale nie mogła się przemóc, żeby spojrzeć na kuzyna.

Zwróciła się w stronę Alexa i położyła rękę na jego dłoni. Na nieszczęście dosłyszała, jak Henry szepcze rozgniewany do ucha Elliotta, że Alex jest głupcem, który nie potrafił odwieść Julie od tej podróży.

Alex, wpatrzony w stojący przed nim talerz, sprawiał wrażenie zagubionego. Czy był to czas i miejsce na powiedzenie sobie prawdy? Czuli, że powinna być od samego początku szczerą, w przeciwnym bowiem razie Alex będzie znajdował się w coraz gorszym położeniu, a do tego nie mogła dopuścić.

- Aleksie - zaczęła szeptem - całkiem możliwe, że zatrzymam się w Egipcie na dłużej. Nie mam jeszcze określonych planów. Wiesz co, kochanie, czasami myślę sobie, że powinieneś znaleźć kogoś lepszego niż ja.

Jej słowa bynajmniej go nie zaskoczyły. Odparł po bardzo krótkim namyśle.

- Ale gdzie miałbym kogoś takiego szukać? Pójdę za tobą w sudańską dżunglę, jeśli się tam zapuścisz.

- Nie wiesz, o czym mówisz.

Pochylił się, zniżając głos do najbardziej zaślętego szeptu.

- Kocham cię, Julie. Wszystko inne w życiu przyjmuję

jako

coś

naturalnego.

Z

wyjątkiem ciebie. Jesteś dla mnie cenniejsza od reszty świata, i jeśli zajdzie taka potrzeba, będę o ciebie walczył.

Czyż mogła powiedzieć coś, co go nie zrani? Nagle uniósł głowę. Zjawili się Ramzes i Samir.

Na chwilę odebrało jej mowę. W białej, krochmalonej koszuli i pięknie skrojonym fraku ojca, Ramzes wyglądał jak zjawia nie z tego świata. Każdego jego ruch i gest sprawiały wrażenie pełnych

większej gracji i szyku niż u wszystkich siedzących naokoło Anglików. Po prostu lśnił

energią i dobrym samopoczuciem. Jego uśmiech był jak promień światła.

Wtedy stało się coś niedobrego. Wpił wzrok w obnażone ramiona Julie, w odsłoniętą szyję. Zapatrzył się szczególnie mocno na cień pomiędzy obnażonymi do połowy piersiami. Alex zmroził go wzrokiem pełnym uprzejmego oburzenia. Samir, który zajmował miejsce po lewej stronie earla, zdążył się już zaniepokoić.

Musi coś przedsięwziąć. Ramzes usiadł po jej lewej ręce, nie odrywając od niej wzroku, jak gdyby nigdy przedtem nie widział kobiety.

Rozłożyła serwetkę i podała mu ją, szepcząc:

- Proszę, na kolana. I przestań się na mnie gapić. To odświętny bal, całkowicie przyzwoity! - Pospiesznie zwróciła się do siedzącego naprzeciw Samira. - Samirze, jak się cieszę, że mogłeś z nami popłynąć.

- Tak, znaleźliśmy się tu wszyscy - wspomógł ją Elliott - wszyscy przy kolacji, dokładnie tak, jak to zaplanowałem. Czy to nie cudowne? Wygląda na to, że moje pragnienia zostały zaspokojone.

- To prawda - roześmiała się Julie. Czowała przyływ ulgi, bo był z nimi Elliott. Dzięki niemu udało się zatuszować wszystkie niezręczności: robił to odruchowo. Prawdopodobnie nie mógł się powstrzymać. To między innymi ze względu na pełen energii urok był rozrywany w towarzystwie.

Nie była w stanie spojrzeć prosto w twarz Henry'ego, ale widziała, że czuje się nieswój.

Zaczynał pić. Stało przed nim pół kieliszka.

Kelnerzy przynieśli sherry i zupę. Ramzes zdążył poczęstować się chlebem. Oderwał

bardzo duży kęs małego bochenka i przełknął go w całości.

- Proszę mi powiedzieć, panie Ramsey - podjął Elliott - jak się panu podoba w Londynie?

Pański pobyt nie był zbyt długi.

Dlaczego ten Ramzes tak się uśmiecha?

- To miejsce wywarło na mnie niezatarte wrażenie - zaczął z natychmiastowym entuzjazmem. - Niespotykana mieszanka bajkowego bogactwa i niewyobrażalnej nędzy. Nie rozumiem, jakim sposobem tyle maszyn może produkować tak wiele dla tak nielicznych, a tak mało dla rzeszy nędzarzy...

- Podaje pan w wątpliwość całą rewolucję przemysłową, proszę pana - odezwał się Alex, nerwowo się śmiejąc, co było u niego nieomylną oznaką niepokoju. - Tylko proszę mi nie mówić, że jest pan marksistą. Raczej rzadko spotyka się radykałów w... naszych kręgach.

- Kto to jest marksista? Ja jestem Egipcjaninem.

- AleŜ naturalnie, panie Ramsey - wtrącił gładko Elliott.

- I nie jest pan Őadnym marksistą. Co za niedorzeczność. Poznał pan w Kairze naszego Lawrence'a?

- Naszego Lawrence'a? Znałem go dość krótko. - Ramzes wpił wzrok w Henry'ego. Julie uniosła łyŜkę i, nieznacznie szturchając go łokciem, pokazała, jak naleŜy jeść zupę. Nawet na nią nie spojrzał. Wziął chleb, urywał kawałki, zanurzał je w zupie i zabrał się do jedzenia, nie odrywając spojrzenia od Henry'ego.

- Śmierć Lawrence'a bardzo mną wstrząsnęła, jak zapewne wszystkimi, którzy go znali -

mówił, zanurzając w zupie następny olbrzymi kęs. - Marksista to pewien typ filozofa? JuŜ

przypominam sobie niejakiego Karola Marksa. Poznałem tę postać w bibliotece Lawrence'a.

Głupiec.

Henry nawet nie tknął zupy. Wypił następny łyk scotcha i skinął na kelnera.

- To nieistotne - wtrąciła szybko Julie.

- Tak, śmierć Lawrence'a była prawdziwym wstrząsem - potwierdził z powagą Elliott. -

Byłem przekonany, Őe ma przed sobą jeszcze co najmniej dziesięć lat Őycia. MoŜe nawet dwadzieścia.

Ramzes moczył w zupie kolejny kawał chleba, a Henry wpatrywał się w niego z ledwie skrywaną grozą, starannie unikając jego spojrzenia. Wszyscy mniej lub bardziej dyskretnie obserwowali Ramzesa, który wytarł talerz po zupie jeszcze jednym kęsem chleba, wychylił

sherry, wytarł usta serwetką i rozparł się wygodniej na krześle.

- Jeszcze - szepnął. - Będzie jeszcze?

- Tak, ale musisz zwolnić tempo - upomniała go Julie.

- Był pan prawdziwym przyjacielem Lawrence'a? - zagadnął Ramzes Elliotta.

- Jak najbardziej.

- Tak, gdyby tu z nami siedział, rozmawiałby o swojej ukochanej mumii - znowu roześmiał się nerwowo Alex. - W gruncie rzeczy, po co odbywasz tę podróż, Julie? Po co wracasz do Egiptu, kiedy mumia ma być zbadana w Londynie? Wiesz, nie do końca rozumiem...

- Zbiory otwarły kilka nowych perspektyw badawczych - odparła kobieta. - Chcemy pojechać do

Aleksandrii, potem być może do Kairu...

- Tak, naturalnie - powiedział Elliott. Bardziej jednak interesowały go reakcje Ramzesa na widok przyniesionej przez kelnera ryby, niewielkiej porcji w delikatnym, śmietanowym sosie.

- Kleopatra - ciągnął - ten wasz tajemniczy Ramzes Drugi utrzymywał, że ją kochał i utracił. A wszystko działo się w Aleksandrii, prawda?

Julie się tego nie spodziewała. Ramzes też nie. Odłożył chleb i wpatrywał się w ściany pustymi oczyma. Pod gładką skórą na policzkach pojawiły się te ruchliwe, czerwone punkciki.

- Tak, chodzi nam między innymi o to - wykrztusiła Julie. - A potem udamy się do Luxor, i może do Abu Simbel. Mam nadzieję, że wasza kondycja pozwoli na odbycie naszej wyprawy.

Oczywiście jeśli nie chcecie jej kontynuować...

- Abu Simbel - powtórzył Alex. - Czyż nie tam stoją kolosalne posągi Ramzesa Drugiego?

Ramzes urwał pół ryby i zjadł ją palcami. Następnie pochłonął drugą połowę. Na ustach Elliotta zagościł tajemniczy uśmiech, ale Ramzes go nie widział. Znowu zapatrzył się na Henry'ego. Julie poczuła, że zaraz zacznie wrzeszczeć.

- W gruncie rzeczy posągi Ramzesa Wielkiego są wszędzie - oznajmił Elliott, patrząc, jak Ramzes wyciera sos chlebem. - Wystawił sobie więcej pomników niż wszyscy inni faraonowie.

- A, to ten. Wiedziałem - oświadczył się Alex. - Ten megaloman egipskich dziejów. Teraz przypominam sobie ze szkoły.

- Megaloman! - skrzywił się Ramzes. - Jeszcze chleba! - polecił kelnerowi. Następnie spytał Alexa. - Co to takiego megaloman? Byłby pan łaskaw wyjaśnić?

- Aspiryna, marksizm, megalomania - włączył się Elliott. - To wszystko pojęcia nowe dla pana, panie Ramsey?

Henry po prostu nie mógł już usiedzieć na miejscu. Wypił drugi kieliszek scotcha i siedział jak przybity do oparcia krzesła, wpijając wzrok w ręce Ramzesa, który tymczasem objadał się.

- Wie pan, co - zaczął radośnie Alex. - Ten człowiek był wielkim zarozumiałcem.

Wszędzie budował sobie pomniki. Bez przerwy przechwalał się swoimi zwycięstwami, synami i synami! Aha, czyli to jego mumia, a ja do tej pory nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Co ty do diabła wygadujesz? - nie wytrzymała Julie.

- Czy w dziejach Egiptu jest drugi król, który odniósł tyle zwycięstw - mówił podniecony Ramzes - zadowolony z synów i spłodził tylu synów? Rozumiecie państwo zapewne, że stawiając sobie tyle pomników faraon robił dokładnie to, czego oczekiwał od niego lud.

- A to ci dopiero nowina! - zawołał z sarkazmem Alex, odkładając nóż i widelec. - Chce pan przez to powiedzieć, że niewolnicy z przyjemnością poddawali się chłóście, żeby w palącym słońcu wznosić wszystkie te świątynie i posągi?

- Niewolnicy chłostani w palącym słońcu? - powtórzył Ramzes. - O czym pan mówi? Nic takiego nie miało miejsca! - Zwrócił się do Julie.

- Alex, to zaledwie jedna z teorii na temat budowy zabytków - tłumaczyła. - Nikt nie wie z całą pewnością...

- Ja wiem - wpadł jej w słowo Ramzes.

- Każdy ma swoją teorię! - zaproponowała Julie, podnosząc głos i wbijając w Ramzesa gniewne spojrzenie.

- Na Boga - zaperzył się Alex - ten człowiek wznosił sobie w całym Egipcie gigantyczne posągi. Nie powie pan chyba, że ludzie nie byłiby o wiele szczęśliwsi, uprawiając swoje ogródki...

- Zdumiewasz mnie, młody człowieku! - oświadczył Ramzes. - Cóż bowiem wiesz o egipskim ludzie? Mówisz o niewolnikach, kiedy u was dzielnice ńędzy roją się od umierających z głodu dzieci. Lud chciał pomników. Był dumny ze swych świątyń. Po wylewie Nilu nie było mowy o pracy w polu, a budowle stały się narodową pasją. Praca nie była przymusowa. Nie było takiej konieczności. Faraon był podobny do boga i musiał robić to, czego spodziewał się po nim lud.

- Chyba jednak odrobinę ponosi pana sentymentalizm - stwierdził Elliott, wyraźnie zafascynowany opowieścią.

Henry zbiełał. Przestał się w ogóle poruszać. Świeżo napełniony kieliszek scotcha stał nietknięty.

- Ale skąd - zareplikował Ramzes. - Lud egipski był dumny ze swego Ramzesa Wielkiego. Ich władca odpierał nieprzyjaciół, podbił Hetytów, utrzymywał pokój w Górnym i Dolnym Egipcie przez wszystkie sześćdziesiąt cztery lata panowania! Który inny faraon obdarzył

krainę Wielkiej Rzeki taką spokojnością? Wie pan, co stało się potem, prawda?

- Reginaldzie - wtrąciła się bezgłośnie Julie - czy to wszystko naprawdę ma aż takie znaczenie?

- Wygląda na to, że dla przyjaciela twego ojca ma - stwierdził Elliott. - Ja jednak podejrzewam, iż starożytni królowie byli prawdziwymi tyranami. że chłostali poddanych na śmierć, gdy nie chcieli budować tych niedorzecznych pomników. Na przykład piramidy, jak...

- Nie jest pan tak głupi, lordzie Rutherford - przerwał mu Ramzes. - Pan mnie... jak wy to mówicie... judzi. Czy Anglicy byli karani chłostą, gdy budowali katedrę św. Pawła albo Opactwo Westminster? Czy londyńska Tower to dzieło niewolników?

- Nikt nie zna odpowiedzi na te pytania - wtrącił łagodnie Samir. - MoŜe powinniśmy spróbować...

- Jest w pana słowach duŜa doza prawdy - stwierdził Elliott, nie zwracając uwagi na Samira. - Ale co do wielkiego Ramzesa, musi pan przyznać, Őe był władcą wyjątkowo mało skromnym. Stele, na których chwala swoje czyny, sã komiczne.

- Proszę pana... - odezwał się Samir.

- Nic podobnego - odparował Ramzes. - Taki obowiązywał wtedy styl, poddani chcieli, Őeby władca przedstawiał się właśnie w taki sposób. Czy pan tego nie pojmuje? Władca był

ludem. Őeby lud mógł być wielki, władca musiał być wielki! Panujący był niewolnikiem Őyczeń, potrzeb, dobra własnego ludu.

- Nie chce pan chyba przez to powiedzieć, Őe ten człowiek był męczennikiem! - zadrwił

Alex. Julie nigdy nie widziała u niego tyle agresji.

- MoŜliwe, Őe człowiek współczesny nie jest w stanie tak łatwo pojąć staroŜytnego umysłu - przyznał Elliott. - Ciekawe, czy to samo działa w drugą stronę. Czy człowiek ze staroŜytniej epoki, oŜywiony i przeniesiony w te czasy, pojąłby nasze wartości?

- Was nie jest tak trudno zrozumieć - oświadczył Ramzes. - Nauczyliscie się wyrażać tak dobrze, Őe pozostało niewiele tajemnic. Wasze gazety i ksiãŜki mówią o wszystkim. Mimo to nie róŜnicie się aŜ tak bardzo od staroŜytnych przodków. Pragniecie miłości, spokoju, sprawiedliwości. Tego samego chciał egipski rolnik, wychodzący uprawiać swoje pole. Tego pragnã robotnicy londyńscy. Bogaci jak zwykle zazdrośnie strzegã tego, co posiadają. A chciwość jak zawsze prowadzi do wielkich zbrodni.

Spojrzał znacząco na Henry'ego, który patrzył mu teraz prosto w oczy. Julie posłała rozpaczliwe spojrzenie Samirowi.

- Mówi pan o tych czasach tak, jakby nie miał pan z nimi nic wspólnego - stwierdził Alex.

- Chodzi panu o to - włączył się Elliott - Őe nie jesteśmy ani lepsi, ani gorsi od staroŜytnych Egipcjan?

Henry sięgnãł po kieliszek i niespodziewanie go przewrócił. Wziãł kieliszek wina i je wychylił. Jego blada twarz była wilgotna. DrŜała mu dolna warga. Sprawiał wrażenie człowieka, który zapada właśnie na cięŜkã chorobę.

- Nie, nie to chciałem powiedzieć - odparł z powagã Ramzes. - Jesteście lepsi. Pod niezliczonymi wzglãdami lepsi, ale jesteście ciãgle tylko ludźmi. Nie znaleźliście jeszcze odpowiedzi na wszystkie pytania. Elektryczność, telefony, to wszystko cudowne czary, ale biedni cierpiã głód. Ludzie zabijają, Őeby zdobyć coŝ, czego nie mogã osiągnãć pracã swych rãk. Ciãgle nie wiadomo, jak dzielić się czarami, bogactwem, sekretami.

- I proszę bardzo. Marksizm. Mówiłem od początku - ucieszył się Alex. - A w Oksfordzie mówili, że Ramzes Drugi był krwawym tyranem.

- Ucisz się, Alex - skarcił go pogardliwie Elliott, zwracając się do Ramzesa. - Czemu tak bardzo trapią pana kwestie chciwości i władzy?

- Oksford? Co to takiego? - pytał Ramzes, spoglądając na Alexa. Po chwili popatrzył

raptownie na Henry'ego, a ten odsunął krzesło. Wyglądało to tak, jakby uwiesił się stołu, żeby nie upaść. Tymczasem kelnerzy zabrali rybę i stawiali na stole pieczonego kurczaka i ziemniaki.

Ktoś nalał Henry'emu następny kieliszek, który ten natychmiast oprósnił.

- Będzie ci niedobrze - upomniał go półgłosem Elliott.

- Chwileczkę - zawołał Alex. - Nie słyszał pan nigdy o Oksfordzie?!

- Nie, a co to jest?

- Oksford, aspiryna, megalomania, marksizm - wyliczał Elliott. - Chodzi pan z głową w chmurach, panie Ramsey.

- Tak jest, całkiem jak kolosalny posąg! - uśmiechnął się Ramzes.

- Co nie zmienia faktu, że jest pan marksistą - upierał się Alex.

- Alex, pan Ramsey nie jest marksistą! - wybuchnęła Julie, nie mogąc powstrzymać furii.

- O ile mnie pamięć nie myli, twoim ulubionym przedmiotem był w Oksfordzie sport, wyścigi wioślarskie i futbol? I raczej nigdy nie zajmowałeś się bardziej szczegółowo dziejami Egiptu albo marksizmem, mam rację?

- Tak, kochanie, nie mam bladego pojęcia o starożytnym Egipcie - przyznał zgnębiony. -

Ale pamiętam ten wiersz, panie Ramsey, ten wiersz Shelleya o Ramzesie Wielkim. Chyba pan go słyszał? Jakiś przeklęty nauczyciel zmusił mnie do nauczenia się go na pamięć.

- Może lepiej powróćmy do kwestii podróży - zaproponował Samir. - W Luksorze będzie o tej porze bardzo gorąco. Może pojedziemy tylko do...

- Tak, i do motywów podróży - pochwycił Elliott. - Macie zamiar sprawdzać twierdzenia wysuwane przez mumię?

- Jakie twierdzenia? - spytała osłabłym głosem Julie. - Nic mi o nich nie wiadomo...

- Aleś wiadomo ci, wiadomo. Sama mi mówiłaś - odpalił Elliott. - Do tego dochodzi jeszcze notatnik ojca, który na twoją prośbę przeczytałem. Twierdzenie mumii, że jest nieśmiertelna, że

kochała i utraciła Kleopatrze.

Ramzes spuścił wzrok na talerz. Zręcznie odłamał kostkę kurczęcia i zjadł ją dwoma delikatnymi kęsami.

- Tymi tekstami będzie musiało zająć się muzeum - oznajmił Samir. - Jest jeszcze za wcześnie na jakiegokolwiek wnioski.

- A czy muzeum nie przeszkadza fakt, że pozostawiliście zbiory zamknięte na Mayfair? -

zapytał Elliott.

- Powiem szczerze - odezwał się Alex - cała to historia wyglądała mi na niedorzeczną.

Jakieś romantyczne brednie. Nieśmiertelna istota, żyjąca tysiąc lat, a potem nieszczęśliwie zakochująca się w Kleopatrze!

- Pan wybaczy - odezwał się znowu Ramzes, który pochłonął kurczaka i znowu wytarł

palce serwetką. - W tym pańskim Oksfordzie oczernili również Kleopatrze.

Alex szczerze roześmiał się na takie dictum.

- Nie trzeba chodzić do Oksfordu, żeby usłyszeć o niej nie najlepsze opinie. Była w końcu nierządnicą starożytnego świata, rozrzutną uwodzicielką i histeryczką.

- Alex, mam już dosyć tych szkolnych opowieści! - upomniała go surowo Julie.

- Ma pan wyrobione zdanie na wiele tematów, młody człowieku - stwierdził z zimnym uśmiechem Ramzes. - Co w tej chwili najbardziej pana pasjonuje?

Zapadła cisza. Julie nie mogła nie zauważyć osobliwego wyrazu twarzy Elliotta.

- Gdyby był pan nieśmiertelny - zapytał Alex - jako człowiek żyjący wiecznie, który był niegdyś wielkim królem, zakochałby się pan w kobiecie pokroju Kleopatry?

- Odpowiedz na pytanie - wtrąciła się Julie. - Co cię pasjonuje? Na pewno nie egiptologia, nie historia, nie rząd. Jak sądzisz, co każe ci każdego ranka wstawać z łóżka? - Czują, że krew napływa jej do twarzy.

- Tak, zakochałbym się w Kleopatrze - odpowiedział Ramzes. - Potrafiłaby oczarować boga. Czytaj między wierszami u Plutarcha. Tam ukryta jest prawda.

- Jaka to prawda? - zainteresował się Elliott.

- że była błyskotliwym umysłem, miała niezwykły dar posługiwania się wieloma językami i

umiejętność sprawowania rządów. Cześć składali jej najwięksi ludzie tamtych czasów.

Duszę miała królewską w każdym tego słowa znaczeniu. Po co miałby pisać o niej wasz Szekspir? Jak to się dzieje, że dzieci w szkole znają jej imię?

- Och, proszę nie przesadzać. Boskie prawo do tronu? - zdziwił się Alex. - O wiele lepiej panu do twarzy z marksizmem.

- A dokładnie na czym on polega?

- Alex - zawołała Julie - nie poznałbyś marksisty, nawet gdyby dał ci w twarz.

- Musi pan zrozumieć, milordzie - zwrócił się Samir do Alexa - że my, Egipcjanie, traktujemy swoją historię dość poważnie. Kleopatra była pod każdym względem nieprzeciętną królową.

- Święte słowa - przytaknął Ramzes. - A Egipcjanie przydałaby się taka Kleopatra, żeby pozbyć się angielskiego panowania. Może pan być pewien, że odesłałaby waszych żołnierzy z kwitkiem.

- A, proszę, proszę, rewolucjonista. A co powiedziała o Kanale Sueskim? Pewnie grzecznie by odmówiła. Wie pan zapewne, co to jest Kanał Sueski? I ten mały cud powstał dzięki brytyjskiemu wsparciu finansowemu. Rozumie pan chyba, o co mi chodzi.

- Tak, o ten wąski rów między Morzem Śródziemnym a Czerwonym. Czy chłostaliście niewolników, żeby kopali go w gorącym słońcu? Słucham!

- *Touche*, mój drogi, *ouche*. Szczerze mówiąc nie mam zielonego pojęcia. - Alex odłożył

widelec i rozsiadł się wygodniej, patrząc z uśmiechem na Henry'ego. - To była niezmiernie wyczerpująca kolacja.

Henry wpatrywał się w niego wciąż takimi samymi, pozbawionymi wyrazu, szklistymi oczami.

- Prosiłbym pana, panie Ramsey - odezwał się Elliot - o opinię. Czy ta mumia rzeczywiście jest Ramzesem Wielkim? Nieśmiertelnym, który żył aż do czasów Kleopatry?

Alex cicho się roześmiał. Znowu rzucił okiem na Henry'ego, i tym razem wyraz twarzy tamtego wyraźnie nim wstrząsnął. Już miał coś powiedzieć, gdy Ramzes zaczął odpowiadać.

- A pan co sądzi, lordzie Rutherford? Czytał pan zapiski Lawrence'a Stratforda. Czy w trumnie w domu Julie na Mayfair jest nieśmiertelna mumia?

- Nie, nie ma - odparł z uśmiechem Elliott.

Julie wbiła wzrok w swój talerz, by po chwili unieść go na Samira.

- To chyba oczywiste! - zawołał Alex. - I najwyższa już chyba pora, żeby ktoś wyraźnie to powiedział. Gdy wezmą go do muzeum i zrobią sekcję, odkryją, że był zwykłym skrybą o bujnej

wyobraźni.

- Proszę wybaczyć - powiedziała Julie - ale bardzo mnie to wszystko znużyło. Już wkrótce znajdziemy się w Egipcie, pośród mumii i wszystkich zabytków. Czy musimy ciągle o tym rozmawiać?

- Przykro mi, kochanie - powiedział Elliott, unosząc na widelcu niewielki kęs kurczaka.

- Bardzo miło mi się z panem rozmawiało, panie Ramsey. Pański punkt widzenia na starożytny Egipt jest niezmiernie intrygujący.

- Tak? Ostatnimi czasy bardziej zajmują mnie czasy współczesne. Fascynują mnie angielscy dżentelmeni pańskiego autoramentu. I jak pan wspominał, był pan bliskim przyjacielem Lawrence'a, prawda?

Julie najpierw zobaczyła zmianę na twarzy Henry'ego, a dopiero potem zorientowała się, że znowu patrzy na niego Ramzes. Henry poruszył się niespokojnie, uniósł kieliszek, by dopiero wtedy zdać sobie sprawę, że jest pusty, wytrzeszczył oczy, jakby nie wiedział, co począć w takiej sytuacji, na koniec popatrzył tępo na kelnera, który zabrał mu kieliszek i podał kolejnego drinka.

Elliott nie dawał po sobie poznać, że cokolwiek widzi.

- Mnie i Lawrence'owi zdarzały się różnice zdań - stwierdził - ale w sumie tak, byliśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi. Zgadzałyśmy się co do jednego. Mieliśmy nadzieję, że nasze dzieci połączą się węzłem małżeńskim.

- Elliott, proszę cię - wydusiła osłupiała Julie.

- Ale to nie jest temat na rozmowy między nami - dokończył pośpiesznie Elliott, któremu wulgarność przychodziła z widocznym trudem. - Bardziej interesuje mnie, skąd pan pochodzi, kim jest. Te same pytania, które zadaję sobie, kiedy patrzę w lustro.

Ramzes zaśmiał się, lecz Julie czuła, że był zły.

- Moje odpowiedzi będą krótkie i raczej sprawią panu zawód. Co do małżeństwa Julie z pańskim synem, zdaniem Lawrence'a wybór należał do Julie. Chwileczkę, jak on to ujął? -

Znowu popatrzył na Henry'ego. - Angielski znam od niedawna, ale mam wyjątkowo dobrą pamięć. Już wiem. Małżeństwo Julie może czekać w nieskończoność. Mój drogi Henry, czyż nie takie były jego słowa?

Henry poruszał wargami, ale z jego ust wydobywał się tylko cichy jęk. Alex zaczerwienił

się, wyraźnie dotknięty, patrzył na Julie. Ona powinna jakoś położyć temu wszystkiemu kres, ale jak?

- Tak, wyraźnie był pan bardzo bliskim przyjacielem ojca Julie - stwierdził prawie ze smutkiem Alex - być może nawet bliższym niż przypuszczaliśmy. Czy Lawrence zakomunikował

panu przed śmiercią jeszcze jakieś inne ważne sprawy?

Biedny Alex! Ale wszystko to było ukartowane dla zgnębienia Henry'ego i za chwilę dojdzie do wybuchu.

- Tak - odparł Ramzes. Julie ścisnęła jego rękę, ale nie zwrócił na to większej uwagi.

- Tak, Źe uwaŹał swojego bratanka za łotra. - Znowu spojrzenie na Henry'ego. - Mam rację? Ty łotrze. Czy nie takie były jego ostatnie słowa?

Henry uniósł się, przewracając krzesło. Zatoczył się do tyłu, a krzesło uderzyło z hałasem o pokrytą dywanem podłogę. Nie mógł oderwać wzroku od Ramzesa, z otwartymi ustami, z których wydobywał się cichy odgłos, ni to westchnienie, ni jęk.

- Mój BoŹe - obruszył się Alex. - Panie Ramsey, posuwa się pan za daleko.

- CzyŹby? - spytał Ramzes, nie spuszczając oczu z Henry'ego.

- Henry, stary, jesteś pijany. Odprowadzę cię do pokoju - zaproponował Alex.

- Proszę, lepiej nie - wyszeptała Julie. Elliott badawczo przyglądał się im obojgu. Ledwie raczył obdarzyć spojrzeniem Henry'ego, który chwiejnie skierował się do drzwi w odległym końcu sali.

Alex coraz bardziej czerwony wbijał wzrok w talerz.

- Panie Ramsey, wydaje mi się, Źe pan nie rozumie jednej rzeczy - zaczął.

- CzegóŹ to, młody człowieku?

- Ojciec Julie był szczery w stosunku do tych, których kochał. - Raptem jakby go olśniło.

- Ale pana przecieŹ nie było przy jego śmierci. Zdawało mi się, Źe był sam na sam z Henrym.

Elliott nie odzywał się.

- Cóż, szykuje się bardzo interesująca wycieczka - stwierdził niezręcznie Alex. - Muszę przyznać...

- Szykuje się wielka kłapa! - weszła mu w słowo Julie, która czuła, Źe dłuŹej tego nie wytrzyma. - Teraz posłuchajcie. Wszyscy bez wyjątku. Nie chcę juŹ słyszeć ani słowa o małŹeństwie ani o śmierci ojca. Mam juŹ powyŹej uszu tych tematów. - Wstała. - Proszę mi wybaczyć, ale pozostawię panów samych. W razie potrzeby znajdą mnie panowie w kajucie.

- Popatrzyła na Ramzesa. - I ani słowa o tych sprawach, czy wyrażam się jasno?

Wzięła małą, wieczorową torebkę i przeszła przez jadalnię, nie zwracając uwagi na wpatrzone w nią spojrzenia obecnych.

- Co za potworność - usłyszała za plecami słowa Alexa, który po chwili znalazł się u jej boku. - Tak mi przykro, kochanie! Po prostu sytuacja wymknęła się spod kontroli.

- Chcę znaleźć się we własnym pokoju, przecież mówiłam - oświadczyła, przyspieszając kroku.

* * *

Koszmar. Zaraz zbudzisz się w Londynie, bezpieczny, wszystkie te wypadki zostaną unieważnione. Zrobiłeś to, co do ciebie należało. To stworzenie jest potworem, którego trzeba zniszczyć.

Stał przy barze, czekając na scotcha, który ciągle się nie pojawiał, wtem uniósł głowę i zobaczył go - tę istotę, tę niehumanoidalną istotę, stojącą w progu.

- Nieważne - burknął pod nosem. Odwrócił się i wąskim, wyłożonym dywanem korytarzem pomknął na pokład. Trzaśnięcie drzwi za plecami - on go gonił. Odwrócił się od szczypiącego twarz wiatru i mało nie potknął się na małych, żelaznych stopniach. Tamten był

zaledwie kilka stóp za nim, wpijając w niego te swoje szkliste, niebieskie oczy. Wbiegł po schodach i czmychnął na opuszczony pokład, gnając pod wiatr.

Dokąd? Czy uda mu się wymknąć? Pchnął następne drzwi, które wiodły na wąski korytarz. Nieznane numery na polerowanych drzwiach do kajut. Obejrzał się; tamten znalazł się na korytarzu, już dudniły jego kroki.

- Niech cię wszyscy diabli. - Głos zmienił mu się w jęk. Trafił z powrotem na pokład, wilgotny wiatr upodobnił się do deszczu. Nie miał pojęcia, dokąd zmierza. Na chwilę złapał za reling, wyglądając na kłębiące się, szare fale.

Nie! Byle z dala od relingu. Pobiegł przed siebie, aś ujrzał jakieś drzwi i wbiegł do środka. Czuł za sobą wibracje, na karku oddech tamtego. Pistolet, gdzie do cholery podział się ten pistolet?

Odwrócił się, grzebiąc w kieszeni. Ten stwór go pochwycił. O Boże! Czuł, jak ściska go duża, ciepła ręka, która wyszarpaneła mu z palców broń. Jęcząc, skulił się przy ścianie, ale tamten złapał go za kłapy, patrząc prosto w twarz. W iluminatorze w drzwiach rozbiły się światło, zarysowując kontury tej istoty.

- Pistolet, nie myłę się? - zapytał tamten. - Czytałem o tym, chociaż powinienem był

chyba wtedy zająć się marksizmem, megalomanią, aspiryną i Oksfordem. W wyniku gwałtownego spalania w tylnej komorze wystrzela z dużą prędkością niewielki, metalowy pocisk.

Bardzo ciekawe, ale w starciu ze mną zupełnie bezużyteczne. A gdybyś wypalił, zjawiłaby się załoga, ciekawa, dlaczego to zrobiłeś.

- Wiem, kim jesteś! Wiem, skąd się wzięłeś!

- Doprawdy? Rozumiesz zatem, że ja wiem, kim ty jesteś. I co uknułeś! Bez skrupułów zaniósłbym

cię do węglowych pieców, które napędzają ten wspaniały okręt, i wsadziłbym do ognia, który pcha nas przez zimny Atlantyk.

Ciałem Henry'ego wstrząsnęły drgawki. Chociaś starał się ze wszystkich sił, nie potrafił uwolnić się z uchwytu ręki, która delikatnie kruszyła mu kości ramienia.

- Posłuchaj, głupcze. - Tamten przysunął się bliśej, aś Henry poczuł na twarzy jego oddech. - Jeśeli skrzywdzisz Julie, zrobię to. Jeśeli będzie przez ciebie płakać. Wystarczy, że z twojego powodu zmarszczy czoło. śyjesz tylko ze względu na jej spokój. Nie ma innych powodów. Zapamiętaj to sobie.

Wypuścił go z uścisku i Henry o mało nie osunął się na podłogę. Zagryzł zęby, zamknął

oczy, czując w spodniach ciepłą lepkość, której zapach już do niego dobiegł. Jelita nie wytrzymały.

Tamten stał w cieniu, przyglądając się pistoletowi, który wyciągnął, żeby padało nań szare światło z iluminatora. Po chwili schował broń do kieszeni, obrócił się na pięcie i poszedł.

Fala mdłości wezbrała, Henry zobaczył ciemność.

Obudził się, kucając w kącie korytarza. Wszystko wskazywało na to, że nikt tędy nie przechodził. Drśący, czując zawroty głowy, stanął na nogach i ruszył w stronę kajuty. Zwrócił

zawartość śoładka do niewielkiej toalety. Dopiero wtedy zdjął zabrudzone ubranie.

* * *

Gdy wszedł, była zalana łzami. Przed chwilą zaprowadziła Ritę na kolację, którą miała zjeść ze wszystkimi innymi słuśącymi na pokładzie. Nawet nie pukał, wszedł prosto do środka.

Nie chciała na niego patrzeć. Przycisnęła do oczu chusteczkę, ale płacz nie ustawał.

- Przepraszam, ma królowo. Uwierz, piękna królowo, naprawdę mi przykro.

Gdy w końcu uniosła głowę, zobaczyła malujący się na jego twarzy smutek. Stał przed nią bezradny, paląca się z tyłu lampa zalewała jego brązowe włosy złocistym blaskiem.

- Daj mu na razie spokój, Ramzesie - odezwała się z rozpaczą w głosie. - Świadomość, że się tego dopuścił, jest nie do zniesienia. Błagam, daj mu spokój. Cieszymy się, że będziemy razem w Egipcie.

Usiadł na sofie, znacznie górując nad nią wzrostem. Odwrócił ją delikatnie i gdy tym razem ją pocałował, zupełnie się roztopiła, pozwalając się otoczyć, chłonać jego potężne ciepło.

Całowała go po twarzy, po policzkach, z tą ciasno rozpiętą na kościach skórą, w końcu po zamkniętych oczach. Poczula, jak jego ręce zaciskają się na jej obnaśonych ramionach, wreszcie jak zdejmują suknię, odsłaniając piersi.

Odsunęła się zawstydzona. Wbrew samej sobie pozwoliła mu na zbyt wiele.

- Nie chcę tego - powiedziała, czując napływające do oczu łzy.

Nie patrząc na niego, naciągnęła z powrotem satynowe rękawy. Gdy po chwili ich spojrzenia spotkały się, zobaczyła w jego oczach tylko cierpliwość i blady półuśmiech, teraz z dodatkiem tego samego smutku, który widziała już przedtem.

Wyciągnął do niej rękę; zeszywniała. Ale on chciał tylko poprawić rękawy sukni. I perłowy naszyjnik. Po czym ucałował ją w rękę.

- Wyjdźmy - powiedział cicho i łagodnie, delikatnie całując ją w ramię. - Odświeś nas chłodny wiatr. Poza tym gra muzyka. Będziemy mogli zatańczyć? Ach, co za pałac na wodzie.

To istny raj. Chodź, królowo.

- Alex - zaczęła. - Gdyby Alex...

Pocałował ją w szyję. I jeszcze raz w rękę. Znowu poczuła, jak robi jej się gorąco.

Pozostawanie w tym pokoju byłoby szaleństwem, chyba że... ale nie. Nie chciała dopóty, dopóki nie zapragnie tego z całej duszy.

Nie było wykluczone, że utraci ją na wieki i to ją przerażało. Wróciło niejasne poczucie, że oto ulega zniszczeniu jej dawny świat.

- Chodźmy więc - odezwała się sennie.

Pomógł jej wstać. Wziął jej chusteczkę i wytarł oczy, jakby była małym dzieckiem.

Następnie zdjął z krzesła białe futro i zarzucił jej na ramiona.

Przemierzyli wietrzny pokład i weszli na korytarz prowadzący do wielkiej sali balowej -

uroczej konstrukcji ze złożonego drewna i obitych satyną ścian, sennych palm i witraży.

Jęknął na widok orkiestry.

- Ooch, Julie, ta muzyka - wyszeptał. - Ona zniewala. Znowu trafili na Straussowski walc, ale tym razem orkiestra była liczniejsza, dźwięki głośniejsze i bogatsze, zalewające wielką salę.

Dzięki Bogu nie było śladu Alexa. Zwróciła się w stronę Ramzesa i pozwoliła ująć się za rękę.

Rozpoczął zamaszystego walca, uśmiechając się do niej promiennie, i zdało się, że cały świat nie ma znaczenia. Nie było Alexa, nie było Henry'ego, nie było okropnej śmierci ojca, którą należało pomścić.

Istniała tylko ta chwila, kiedy tańczyła z nim, koło za kołem, w łagodnym świetle roziskrzonych Śyrandoli. Fala muzyki wezbrała. Wydawało się, że pozostali tancerze zbliżyli się do niej na niebezpieczną odległość. Jednak Ramzes stawiał nieomylnie, mimo że potężne i długie kroki.

- Czy nie wystarczy, że jest tajemniczy? - myślała rozpaczliwie. - że całkowicie się odsłonił? Musiał na dodatek emanować takim nieodpartym urokiem? A ona - czy musiała zakochać się w nim po uszy?

Z oddali, zaszyty w głębokim mroku przy obitym ciemnym drewnem barze, obserwował

ich Elliott. Zaczynali już trzeciego walca, Julie śmiała się, podczas gdy Ramsey prowadził jak oszalały, nie zważając na innych tancerzy, którzy musieli ustępować mu z drogi.

Chyba nikt się nie obrażał. Ludzie są wyrozumiali wobec zakochanych.

Elliott dopił whisky i wstał.

Dotarł do drzwi Henry'ego, zastukał jeden raz i otworzył. Henry siedział skulony na małej kanapie, opatulony cienkim, zielonym szlafrokiem, spod którego wystawały owłosione nogi i bosa stopy. Drżał, jakby było mu przeraźliwie zimno.

Elliotta zdumiała gwałtowność własnej wściekłości. Usłyszał, jak mówi ochryłym, innym niż normalnie głosem.

- Co widział egipski król? - zaczął stanowczo. - Co zdarzyło się w grobowcu podczas śmierci Lawrence'a?

Henry próbował się wymknąć, jakby w śalonym napadzie hysterii chciał przepęłznąć przez ścianę. Elliott schwycił go w barach i odwrócił w swoją stronę.

- Patrz na mnie, ty podły tchórze. Odpowiadaj na pytanie! Co stało się w grobowcu?

- Próbowałem uzyskać to, czego chciałeś - wyszeptał Henry. Miał zapadnięte oczy i dużego siniaka na karku. - Próbowałem... nakłonić go, żeby doradził Julie wyjście za Alexa.

- Nie kłam! - krzyknął Elliott. Ścisnął srebrną laskę, gotów ją unieść i posłuchać się nią jak maczugą.

- Nie wiem! - jęczał Henry. - Nie wiem, co on zobaczył! Leżał w tej przeklętej trumnie.

Co takiego mógł zobaczyć? Ja i wuj Lawrence kłóciliśmy się. Był wzburzony. Ta spiekota... Nie wiem, co się stało. Znienacka runął jak długi na ziemię. - Nachylił się, wsparł łokciami o kolana, obejmując rękami głowę.

- Nie chciałem zrobić mu nic złego - szlochał - Boże, nie chciałem niczego złego!

Robiłem to, co do mnie należało. - Schylił głowę, zanurzając palce w gęstwinie ciemnych włosów.

Elliott mierzył go gniewnym spojrzeniem. Gdyby miał takiego syna, Śycie straciłoby wszelki sens. A jeŚeli ten nędznik kłamał... Ale tego nie wiedział.

- W porządku - mruknął. - Powiedziałaś juŚ wszystko?

- Tak! - zawołał Henry. - BoŚe, muszę wydostać się z tego okrętu. Uciekać jak najdalej stąd.

- Ale dlaczego on tobą pogardza? Czemu próbował cię zabić i stara się upokarzać cię na kaŚdym kroku?

Nastąpiła chwila ciszy, maćonej tylko urywanym szlochaniem Henry'ego. Potem chuda, biała twarz uniosła się ku Elliottowi w błagalnym geście.

- Widziałem, jak oŚył. Oprócz Julie jestem jedynym człowiekiem, który naprawdę wie, kim on jest. Ty wierzysz moim słowom, ale to ja widziałem wszystko na własne oczy. On chce mnie zabić! - Urwał, jakby bał się, Śe całkowicie straci panowanie nad sobą. Rozbiegane oczy błędyły po dywanie.

- Powiem ci coś jeszcze - podjął, opadając z powrotem na kanapę. - On jest nieludzko silny. Zdolny zabić gołymi rękami. Nie wiem, czemu nie zamordował mnie za pierwszym razem.

Ale jeśli jeszcze kiedyś spróbuje, to na pewno dokończy dzieła.

Earl nie odpowiadał.

Obrócił się i wyszedł z kajuty, kierując się na pokład. Niebo było czarne, a gwiazdy - jak w kaŚdą bezchmurną noc nad oceanem - błyszczwały niezmiernie wyraźnie.

DłuŚszą chwilę stał oparty o reling, wreszcie zapalił fajkę. Musiał poukładać sobie wszystko w głowie.

Samir Ibrahim nie miał wątpliwości co do faktu, Śe Ramsey jest nieśmiertelny.

Towarzyszył mu w podróŚy. Julie równieŚ to wiedziała i była pod jego urokiem. A teraz on sam, dając się ponieść własnej obsesji, dał Ramseyowi do zrozumienia, Śe takŚe wie.

Nie dało się ukryć, Śe Ramsey odczuwa sympatię dla Samira Ibrahaima. Jakimś uczuciem darzył teŚ Julie Stratford, chociaŚ trudno było bliŚej ocenić ich stosunki. A co Ramsey sądził o nim? Niewykluczone przecieŚ, Śe z czasem natrze na niego tak, jak na Henry'ego, jako jedynego świadka.

To było pozbawione sensu. Gdy się nad tym jednak lepiej zastanowić, sens był, lecz bynajmniej nie przeraŚający dla Elliotta. Wręcz przeciwnie, fascynował go. Zagadka Henry'ego nie dawała mu spokoju i napełniała jakimś obrzydzeniem. Henry potrafił kłamać. W kaŚdym razie teraz z pewnością nie mówił całej prawdy.

Nie pozostało zatem nic innego, jak czekać. I robić wszystko dla ochrony Alexa, biednego, wraŚliwego Alexa, któremu nie udało się przy kolacji ukryć jątrzącej się rany, którą mu zadano.

Musiał pomóc synowi jakoś to przetrwać, dać mu do zrozumienia, że utraci pierwszą miłość - bo to nie ulegało najmniejszym wątpliwościom.

Samemu Elliotta zaś bawiło to setnie. Tak, napełniało skrytym podnieceniem. Problem w tym, że niezależnie od zakończenia tych wszystkich wypadków, on dzięki nim czuł się odmłodzony. Czegoś takiego nie przeżywał już od wielu, wielu lat.

Przypominał sobie jeden tylko okres, w którym samo życie zdawało mu się takim wielkim cudem. Studiował wtedy na Oksfordzie, miał dwadzieścia lat; i kochał Lawrence'a Stratforda z wzajemnością.

A teraz myśl o Lawrencie zniszczyła cały spokój ducha, jakby zimny wiatr od morza skuł

serce Elliotta lodem. W grobowcu zdarzyło się coś, czego Henry boi się wyznać. I Ramsey o tym wiedział. Choćby się waliło i paliło, Elliott musiał odkryć prawdę.

W czwartym dniu rejsu Elliott zauważył, że Julie przestała jeść kolację w szerszym gronie. Wszystkie posiłki kazała sobie nosić do kajuty, gdzie spożywała je najprawdopodobniej w towarzystwie Ramseya.

Henry także schodził wszystkim z oczu. Siedział bez przerwy w swojej kwaterze, upijając się na ponuro, przez większość czasu ubrany był tylko w spodnie, koszulę i marynarkę od smokingu. Nie przeszkadzało mu to jednak w dość regularnym rozgrywaniu partii kart z członkami załogi, którzy nie bali się, że ktoś przyłapie ich na uprawianiu hazardu z pasażerem pierwszej klasy. Chodziły słuchy, że Henry sporo wygrywa. Ale takie pogłoski towarzyszyły mu już od dawna. Wcześniej czy później i tak przegra wszystko, co zarobił. W takim rytmie staczał

się od samego początku kariery gracza.

Elliott widział też, że Julie stara się być niezmiernie miła dla Alexa. Bez względu na pogodę odbywali popołudniową przechadzkę na pokładzie. Od czasu do czasu po kolacji tańczyli. Zawsze był przy nich Ramsey, przyglądając im się ze zdumiewającym spokojem, gotów w każdej chwili zająć miejsce Alexa u boku Julie. Najwyraźniej ustalili jednak, że Julie nie powinna zaniedbywać narzeczonego.

Krótkie wypady na ląd, które przerastały siły fizyczne Elliotta, Julie, Samir, Ramsey i Alex zawsze odbywali razem. Alex nieodmiennie okazywał lekką odrazę, ponieważ nie lubił

cudzoziemców. Natomiast Julie i Samir doskonale się bawili, a Ramsey wprost roznosił

entuzjizm, szczególnie gdy udało mu się natrafić na kino lub księgarnię z pozycjami w języku angielskim.

Elliott doceniał starania Julie w stosunku do Alexa. W końcu statek nie był miejscem odpowiednim do tego, żeby Alex poznał całą prawdę. Julie najwidoczniej zdawała sobie z tego sprawę. Z drugiej strony całkiem możliwe, że Alex przeczuwał, że przegrał pierwszą większą bitwę w Syciu. Sęk jednak w tym, że był osobą zbyt miłą i uprzejmą, żeby okazywać swoje uczucia. Zresztą może po prostu nie umiał ich rozpoznać, doszedł do wniosku Elliott.

Esencją tej podróży było dla Elliotta poznawanie Ramseya, obserwacja jego zachowania i wychwytywanie rzeczy, na które nikt inny nie zwracał raczej uwagi. W sukurs przychodziła Elliottowi ogromna towarzyskość Ramseya.

Ramsey, Elliott, Samir i Alex rozgrywali długie partie bilarda, a Ramsey zadawał

najrozmaitsze pytania na wszelkie możliwe tematy.

Interesowała go zwłaszcza współczesna nauka, i Elliott całymi godzinami snuł wywody na temat teorii komórki, układu krążenia, zarazków i innych przyczyn chorób. Ramseya frapowała sama koncepcja szczepienia.

Spędzał niemal każdy wieczór w bibliotece, wertując prace Darwina, Malthusa i popularne kompendia poświęcone elektryczności, telegrafowi, automobilom i astronomii.

Uwagę Ramseya przykuła również współczesna sztuka. Niezmiernie intrygowali go pointyliści i impresjoniści, dał się porwać powieściom Rosjan - Tołstoja i Dostojewskiego, niedawno przetłumaczonym na angielski. Tempo, w jakim czytał i wszystko przyswajał, było nadludzkie.

Chyba szóstego dnia podróży Ramsey zdobył maszynę do pisania. Za kapitańskim pozwoleniem dostał ją z wyposażenia okrętu i całymi godzinami wypisywał listy tego, co zamierza zrobić. Podczas wizyt w jego kajucie Elliottowi udawało się czasami rzucić na nie okiem. Typowe zapiski brzmiały: „Odwiedzić Prado w Madrycie; jak najszybciej polecieć samolotem”.

Po pewnym czasie Elliott uświadomił sobie pewien fakt. Ten człowiek w ogóle nie spał.

Nie musiał. Elliott widywał Ramseya zajętego czymś o każdej porze dnia i nocy. Gdy nie było go w bibliotece albo w kinie - lub gdy nie pisał na maszynie - można było go znaleźć w kabine nawigacyjnej lub przy radiostacji. Zaledwie po dwóch dniach Ramsey znał wszystkich członków załogi i część personelu pomocniczego. Jego umiejętność perswazji była wprost niewiarygodna.

Pewnego bardzo osobliwego poranka Elliott zaszedł do sali balowej i zobaczył, że muzycy cały czas grają coś na śyczenie Ramseya, który tańczył samotnie, w bardzo powolnym i pierwotnym tańcu, podobnym do tego, jaki wykonują dziś w tawernach Grecy. Na widok samotnego, tańczącego mężczyzny w rozpiętej do pasa, długiej, białej koszuli, Elliotta zakłuło serce. Niemal zbrodnią wydało mu się podglądanie czegoś, co było tak bezpośrednim wyrazem duszy. Elliott zawrócił i wyszedł na pokład zapalić papierosa, pogrążony we własnej samotności.

Dziwiło natomiast to, że Ramsey w ogóle się nie izolował. Ale najbardziej zdumiewającym elementem całej przygody była sympatia, jaką Elliott zaczynał odczuwać do tej tajemniczej istoty.

Gdyby się nad tym głębiej zastanowił, sprawiłoby mu to autentyczny ból. Wielokrotnie powracał w myślach do słów, które nieopatrznie wyrwały mu się jeszcze przed odjazdem: Chciałbym cię poznać. Święta prawda. Jakaś to dręcząca pokusa, a ile sprawia mu radości.

Do tego dochodził lęk, cierpienie. Dzieje się tu coś kompletnie niewyobrażalnego! Elliott chciał być tego świadkiem.

Nie mógł się nadziwić, że oczom jego syna, Alexa, Ramsey jawił się zaledwie jako dziwny i osobliwy, nic a nic nie intrygujący. Z drugiej strony, co tak naprawdę zaciekawiało syna? Ramsey błyskawicznie zaprzyjaźnił się z ludźmi, z którymi zawsze można się szybko i łatwo zaznajomić. Wyglądało na to, że bawi się dobrze, zresztą jak zawsze, i niezależnie od okoliczności. To go uratuje, myślał Elliott. Niczego nie odczuwa zbyt głęboko.

Samir z kolei był małomówny z natury i nieczęsto wtrącał się do najbardziej nawet zaciętej wymiany zdań między Ramseyem a Elliottem. Lecz jego stosunek do Ramseya miał w sobie coś niemal religijnego. Było widoczne jak na dłoni, że stał się sługą tamtego. Oświał się tylko wtedy, gdy Elliott domagał się od Ramseya zdania na tematy historyczne. Podobnie reagowała Julie.

- Proszę o wyjaśnienie - poprosił Ramseya, gdy tamten orzekł, że łacina stworzyła całkiem nowy sposób myślenia. - Przecież myśli poprzedzają język, za którego pomocą je wyrażamy.

- Ale skąd. Nawet w Italii, gdzie narodził się ten język, rozpoczęło to ewolucję idei, która bez łaciny w ogóle by nie zaszła. To samo powinowactwo myśli i języka zdarzyło się niewątpliwie w Grecji.

- Powiem panu o Italii coś być może dziwnego. Zaskakujący jest fakt, że w ogóle wykształciła się tam kultura, bo klimat jest tam taki przyjemny, a dla rozwoju cywilizacji potrzebne są zazwyczaj gwałtowne zmiany aury. Wystarczy spojrzeć na ludy mieszkające w dżunglach i na dalekiej północy. Są takie ograniczone, bo stykają się cały rok z taką samą pogodą...

Julie właściwie za każdym razem przerywała takie wykłady. Wystawiało to cierpliwość Elliotta na ciężką próbę.

Ona i Samir niepokoiłi się również wtedy, gdy Ramsey wypowiadał jakieś twierdzenia prosto od serca, na przykład: Julie, musimy jak najszybciej uporać się z przeszłością. Tyle spraw czeka na odkrycie. Promienie Rentgena, wiesz, co to takiego? I trzeba nam polecieć samolotem na biegun północny.

Tego rodzaju uwagi niezmiernie wszystkich bawiły. Albowiem inni pasażerowie, jak jeden mąż zniewoleni urokiem Ramseya, uważali go za istotę nie superinteligentną, lecz z lekką opóźnioną w rozwoju. Sami będąc zbyt wyrafinowani, i nie odgadując powodów jego dziwacznych okrzyków, patrzyli na niego z łagodną pobłażliwością, nigdy nie szukając informacji, których mógłby im lada moment udzielić.

Inaczej rzecz się miała z Elliotem, który zasypywał tamtego pytaniami.

- Starożytny bitwy. Jakże one naprawdę były? Widzieliśmy co prawda wielkie reliefy na świątyni Ramzesa Trzeciego...

- Tak, to był człowiek genialny, zaiste mój godny imiennik...

- Proszę?

- Godny imiennik Ramzesa Drugiego, to chciałem powiedzieć, proszę nie przerywać.

- Ale czy faraon naprawdę brał czynny udział w walce?

- Naturalnie. Jechał na czele swych oddziałów, bo był symbolem w działaniu. W ciągu jednej batalii taki faraon potrafił zmieścić swą maczugą do dwustu czaszek wrogów. Umiął

przemierzyć pole bitwy i dobijać rannych i konających. Wracając do namiotu, miał ręce po łokcie unurzane we krwi. Ale proszę nie zapominać, że tego od niego oczekiwano. Gdyby faraon zginął... cóż, byłoby po bitwie.

Cisza.

- Wolelibyście o tym nie wiedzieć, prawda? - podejmował. - A przecieŜ nowoczesna wojna jest odraŝająca. Weźmy tę ostatnią w Afryce; Őłnierzy rozrywał w strzepy proch strzelniczy. I wojna secesyjna w Stanach Zjednoczonych, co za okropnoŝć. Wszystko pozornie siê zmienia, nie ulegając zasadniczo zmianom...

- Właŝnie. Czy byloby pana stać na to, Őeby własnorecznie rozbijać czaszki maczugą?

- Jest pan dzielnym człowiekiem, lordzie Elliott, earlu Rutherford - uŝmiechnął siê Ramsey. - Tak, byłbym w stanie to zrobić. Pan równieŜ, gdyby był pan wówczas faraonem.

Potrafiłby pan tego dokonać.

Okręć pruć fale szarego morza. Przed dziobem majaczyły juŜ afrykańskie brzegi. Zabawa dobiegała końca.

* * *

Zapadła kolejna piękna noc. Alex doŝć wcześnie poszedł do swojej kajuty, dzięki czemu Julie mogła spokojnie tańczyć z Ramzesem. Wypiła nieco za duŜo wina.

I gdy stali tak w wąskim, niskim korytarzu przed jej kajutą, powróciła ta męcząca pokusa i ŝwiadomoŝć, Őe nie wolno jej ulec.

Zupełnie nieoczekiwanie Ramzes ją obrócił, przycisnął do swej piersi i pocałował mniej delikatnie niŜ zwykle. Wyczuwała w tym bolesne pragnienie. Szamotali siê, wreszcie Julie siê odsunęła, bliska płaczu, unosząc rękę, jakby chciała go uderzyć. Nie zrobiła tego.

- Czemu mnie przymuszasz? - spytała.

Przestraszyło ją jego spojrzenie.

- Jestem głodny - oŝwiadczył, porzucając całą uprzejmoŝć - głodny ciebie, wszystkiego.

Jedzenia, picia, słońca i samego Őycia. Ale przede wszystkim ciebie. To boli! To cierpienie mnie nuŜy.

- BoŜe! - wyszeptała. Uniosła rękę i delikatnie zasłoniła twarz. Czemu stawiała opór? W tej chwili nie znała powodów.

- Wszystko to przez ten wywar, który płynie w mych Őyłach. Niczego mi nie potrzeba, ale nic mnie nie napełnia. Być moŜe oprócz miłości. Tak wiêc czekam. - ZniŜył głos. - Czekam, aŜ mnie pokochasz. JeŜeli tak ma być...

Ni stąd, ni zowąd głoŝno siê rozeŝmiała. Wszystko było jasne.

- Tyle jest w tobie mądrości, a jednak nic nie rozumiesz. Najpierw trzeba, żebyś ty pokochał mnie.

Znieruchomiał, by zacząć powoli kiwać głową. Jakby odebrało mu mowę. Nie miała pojęcia, jakie myśli kłębią mu się w głowie.

Pospiesznie otworzyła drzwi, weszła i usiadła na kanapie. Ukryła twarz w dłoniach. Jakie dziecinne były jego słowa. Ale szczerze, rozdzierająco szczerze. Rozpłakała się cicho, w nadziei, że Rita nie usłyszy.

Za dwadzieścia cztery godziny, oznajmił nawigator, dobijemy do portu w Aleksandrii.

Oparł się o reling na pokładzie. I posłał spojrzenie w gęstą mgłę, która kompletnie zasłaniała wodę.

Była czwarta. Nawet earl Rutherford poszedł się już położyć. Gdy ostatnim razem zaszedł do kajuty, Samir mocno spał. Tak więc miał cały pokład dla siebie.

Bardzo mu się tu podobało. Uwielbiał pomruk silników i drżenie stalowego kadłuba.

Kochał czystą moc okrętu. Ach, paradoks dwudziestowiecznego człowieka wśród wspaniałych machin i wynalazków, bo wciąż pozostawał tym samym co dawniej dwunożnym stworzeniem, podczas gdy wynalazki rodziły kolejne wynalazki.

Wyjął cygaro - jedno z tych słodkich i łagodnych, które dostał od earla Rutherforda -

osłonił je dłonią i zapalił. Nie widział rozplywającego się w ciemności dymu, lecz czuł boski smak. Zamknął oczy i wciągnął zapach wiatru, po czym pozwolił swym myślom powrócić do Julie Stratford, bezpiecznie zabarykadowanej w niewielkim alkierzu.

Ale jej obraz zniknął, zastąpiony twarzą Kleopatry. Za dwadzieścia cztery godziny dobijemy do portu w Aleksandrii.

Zobaczył salę narad w dawnym pałacu, długi, marmurowy stół i ją, młodą królową - w wieku Julie Stratford - pogrążoną w rozmowie z ambasadorami i doradcami.

Oglądał to wszystko z przedpokoju. Nie było go tam przez dłuższy czas, wędrował na północ i wschód, do królestw, które uprzednio w ogóle nie istniały. Ubiegłej nocy, natychmiast po powrocie, udał się do jej sypialni.

Otwarte okna wychodziły na morze. Kochali się całą noc i byli wciąż tak samo głodni siebie. Mimo że w przeciągu kilku ostatnich miesięcy miał wiele kobiet, kochał wyłącznie Kleopatę. Tak się zapędził, że zrobiłby jej krzywdę. Nie odtrąciła go jednak, mocno obejmując i raz po raz przyjmując jego ciało.

Audiencja dobiegła końca. Patrzył, jak odprawia dworzan. Patrzył, jak wstaje i idzie w jego stronę - wysoka kobieta o idealnej budowie ciała, pięknie obnażonej, długiej i smukłej szyi, z falami czarnych włosów upiętymi, na rzymską modłę, w krąg z tyłu głowy.

W wyrazie jej twarzy dało się wyczuć niejaki opór, podkreślony jeszcze wysokim podniesieniem brody. Dawało to wrażenie siły, bardzo potrzebne dla zrównoważenia jej wrodzonego, uwodzicielskiego czaru.

Dopiero po zaciągnięciu kotar odwróciła się i uśmiechnęła, w ciemnych oczach zapłonął piękny ogień.

Był czas, kiedy znał tylko ciemnookich ludzi. On jeden, po wypiciu eliksiru, miał oczy niebieskie. Później zawitał do odległych krain, w których nigdy nie stąpali Egipcjanie, i poznał śmiertelników o białych źrenicach. I mimo że takie widoki go oszałamiały, oczy brązowe pozostały tymi prawdziwymi, które potrafił z miejsca przeniknąć.

Oczy Julie Stratford były brązowe i duże, otwarte na świat i pełne uczucia, tak samo jak oczy Kleopatry w dzień, kiedy go objęła.

- Jaką mam na dziś lekcję? - zapytała po grecku, w jedynym języku, jakim ze sobą rozmawiali. W jej oczach można było dostrzec echo nocnych czułości.

- Proszę - odparł. - Przebierz się i chodź, będziemy przechadzać się pośród ludu. żebyś zobaczyła to, czego nie widzi żadna inna królowa. Takie czeka cię zadanie.

Aleksandria. Jaka będzie nazajutrz? Wówczas była miastem greckim, złożonym z kamiennych ulic i obielonych wapnem murów, zasiedlonym przez kupców handlujących z całym światem - portem rojącym się od tkaczy, jubilerów, szklarzy, wytwórców papiirusu. Znajdowali zatrudnienie w tysiącu sklepików nad pełną okrętów zatoką.

Szli razem przez bazar, odziani w bezkształtne płaszcze, noszone przez ludzi, którzy nie chcą, by ich rozpoznano. Dwoje podróżników w czasie. Rozmawiał z nią o tylu sprawach - o podróży na północ do Galii, o długiej wyprawie do Indii. Jechał na słońcach i na własne oczy widział wielkiego tygrysa. Po powrocie do Aten słuchał nauk filozofów.

I czego się dowiedział? że Juliusz Cezar, rzymski wódz, podbija cały świat, że zajmie Egipt, jeśli nie powstrzyma go Kleopatra.

O czym wtedy myślała? Czy nie przerywała jego rozważań, chłonąc wszystkie rozpaczliwe rady, jakich jej udzielał? Jak uważnie przyglądała się zwykłym ludziom, którzy ich otaczali? Kobietom i dzieciom, w pocie czoła piorącym i pracującym przy krosnach?

Marynarzom z całego świata, szukającym drogi do domów publicznych?

Zawędrowali do wielkiej akademii, by stanąć pod portykami i słuchać nauczycieli.

Wreszcie zatrzymali się na piaszczystym placu. Kleopatra zaczerpnęła wody z publicznej studni i wypila z uszywanego przez wszystkich kubka.

- Smakuje tak samo - oświadczyła z figlarnym uśmiechem.

Tak dokładnie zapamiętał obraz kubka, wpadającego do chłodnej wody w głębokiej studni. Dźwięk odbił się echem od kamiennej cembrowiny. Od strony portu dobiegały uderzenia młota. Przed oczyma rysował się obraz okrętów, widocznych w uliczce na prawo, bezlistnego lasu masztów.

- Czego tak naprawdę ode mnie chcesz, Ramzesie? - zapytała.

- Œebyś była dobrą i mądrą królową Egiptu. JuŜ ci o tym mówiłem.

Ujęła go za rękę i zmusiła, Œeby na nią popatrzył.

- Chcesz czegoś więcej. Gotujesz mnie na coś znacznie donioŒlejszego.

- Nie. - Ale było to kłamstwo, pierwsze kłamstwo wobec niej. Z trudem wytrzymał

przenikliwy ból. Cierpię samotność, moja ukochana. Samotność nie do zniesienia dla Œmiertelników. Ale tego nie powiedział. Stał ze Œwiadomością, Œe on, nieŒmiertelny, nie moŒe bez niej Œyć.

Co działo się potem? Kolejny wieczór wypeŒniony miłością, gdy za oknami morze zmieniało barwy od lazuru do srebra po czerń, skąpaną w blasku księŜyca w pełni. A wszędzie dookoła złoczone sprzęty, wiszące lampy i aromat wonnych olejków; gdzieś nieopodal, w jakiejś komnacie młody chłopiec grał na harfie i Œpiewał Œałobną pieŒń w staroŒytnych słowach, których sam nie pojmował, a które bez trudu rozumiał Ramzes. Wspomnienie zamknięte w większym wspomnieniu. Pałac w Tebach, kiedy był jeszcze Œmiertelny i bał się Œmierci i upokorzenia.

Utrzymywał wtedy w haremie sto Œon, które musiał zadowolić, co wydawało mu się trudnym brzemieniem.

- Czy od mojego wyjazdu brałaś wielu kochanków? - spytał Kleopatrę.

- Ach, było wielu męŜczyzn - odparła niskim głosem, twardym niczym głos męŜczyzny -

ale Œaden nie był kochankiem.

Na kochanków miała dopiero przyjŒć pora. Pora Juliusza Cezara, a potem tego, który odsunie ją od wszystkiego, czego uczył ją Ramzes.

- To dla Egiptu - będzie krzyczeć. Ale nie robiła tego dla Egiptu. Egipt był wtedy Kleopatrą. A Kleopatra oddawała się Antoniuszowi.

Rozwidniało się. Mgła nad morzem bladła i moŒna juŜ było dostrzec roziskrzoną powierzchnię ciemnoniebieskich wód. Gdzieś w górze płoŒło niewyraźne jeszcze słońce. Wtem poczuł jego wpływ. Przebiegł go dreszcz energii.

Cygaro dawno juŜ zgaŒło. Wyrzucił niedopałek w pustkę za burtą i ze złotej papieroŒnicy wyjął następnę.

Na stalowym pokładzie za jego plecami rozległ się odgłos kroków.

- Jeszcze tylko kilka godzin, panie.

Przytknięta do cygara zapałka.

- Tak, wierny sługo - odparł, wciągając dym. - Kończymy tę podróż niczym sen. Co zrobimy na jawie z dwoma ludźmi, którzy znają naszą tajemnicę, tym młodym łotrem i podstarzałym filozofem, który ze swą wiedzą może stanowić dla nas największe zagrożenie?

- Czy filozofowie są aż tak niebezpieczni, panie?

- Lord Rutherford mocno wierzy w świat niewidzialny, Samirze. I nie jest bynajmniej tchórzem. Pośada sekretu wiecznego Śycia. On zdaje sobie sprawę, co to tak naprawdę jest.

Bez odpowiedzi. Ciągłe ten sam odległy, melancholijny wyraz twarzy.

- Zdradzę ci jeszcze jeden sekret, przyjacielu - ciągnął. - Niezmiernie polubiłem tego starca.

- Wiem, panie.

- To ciekawy człowiek. - Ku własnemu zdziwieniu Ramzes usłyszał, że łamie mu się głos.

Mimo to dokończył. - Lubię z nim rozmawiać.

* * *

Hancock siedział przy biurku w muzeum, spoglądając na stojącego inspektora Trenta ze Scotland Yardu.

- W takim razie nie mamy innego wyjścia. Występujemy o sądowy nakaz wejścia do tego domu i dokonania rewizji. Naturalnie, jeśli wszystko będzie w porządku i wszystkie monety są na miejscu...

- Proszę pana, ja na pańskim miejscu raczej bym się tego nie spodziewał.

CZEŚĆ 2

Wielki Hotel Kolonialny stanowił róŜową mieszankę mauretańskich łuków, mozaikowych posadzek, lakierowanych przepierzeŃ i obszernych wiklinowych foteli. Z rozległych werand schodziło się na lśniący piasek, a dalej ciągnął się błękitny przestwór morza.

W ogromnym lobby i innych pomieszczeniach dla publiczności roiło się od zamoŜnych Amerykanów i Europejczyków w klasycznie białych, letnich strojach. W jednym z otwartych barów orkiestra grała muzykę wiedeŃskich mistrzów. W innym młody, amerykański pianista grał ragtime. Miało się wraŜenie, iŜ ozdobne, mosięŜne windy, kursujące tuŜ obok krętych schodów, nigdy się nie zatrzymują.

Gdyby taki kurort istniał w jakiegokolwiek innej epoce, Ramseyowi z pewnością przypadłby do gustu. Jednak Elliott z miejsca zauwaŜył, Ŝe pierwszy widok Aleksandrii głęboko wstrząsnął tamtym.

Jakby naraz odebrano mu całą chęć do Ŝycia. Siedział milczący podczas podwieczorku, wreszcie przeprosił i odszedł, by błąkać się po mieście.

Przy kolacji, gdy omawiano kwestię nagłego wyjazdu Henry'ego do Kairu, Ramsey zareagował nerwowo.

- Julie Stratford jest dorosłą kobietą - oznajmił, spoglądając w jej stronę. - Niedorzecznym jest myślenie, Ŝe niezbędne jest jej towarzystwo nieodpowiedzialnego pijaka. CzyŜ nie jesteśmy, jak wy to ujmujecie, wśród dŜentelmenów?

- Ma pan chyba rację - odparł z właściwą sobie pogodą Alex. - Niemniej jednak jest jej kuzynem i Ŝyczeniem jej wuja było, aby...

- Wuj nie zna widać jej kuzyna! - zareplikował Ramsey. Julie utraciła cały spór.

- Cieszę się, Ŝe Henry sobie pojechał. Wkrótce zresztą spotkamy się w Kairze. Znosić go to pański krzyŜ. Henry w Dolinie Królów byłby nie do wytrzymania.

- To prawda - westchnął Elliott. - Julie, od tej chwili jestem twym opiekunem. Z urzędu.

- Elliocie, ta wyprawa znacznie przerasta twoje siły. Ty takŜe powinieneś zaczekać na nas w Kairze. - Alex miał juŜ zaprotestować, ale Elliott uciszył go ruchem ręki.

- Ta kwestia jest juŜ właściwie przesądzona, przecieŜ wiesz. Poza tym chciałbym znów ujrzeć Luksor i Abu Simbel, być moŜe po raz ostatni.

Spojrzała na niego zadumana. Wiedziała, Ŝe ma całkowitą rację. Nie mógł pozwolić jej na podróŜ sam na sam z Ramseyem, choćby nie wiem jak prosiła. I rzeczywiście chciał zobaczyć te zabytki. Wyczuwała jednak, Ŝe ma jeszcze inne, waŜniejsze cele.

Jej zgoda zupełnie Elliottowi wystarczyła.

- Kiedy wsiadamy na parowiec pływający po Nilu? - zapytał Alex. - Ile czasu jest ci potrzebne w tym mieście, mój drogi? - zwrócił się do Ramseya.

- Niewiele - odparł przygnębiony Ramzes. - Po czasach Rzymian pozostało tu bardzo mało z tego, co spodziewałem się zobaczyć.

Nawet nie oglądając się na widelce czy noże, Ramsey pochłonął trzy dania i odszedł od stołu, nie czekając, aż inni skończą kolację.

Następnego dnia widać było jak na dłoni, że znajduje się w opłakanym stanie. Przy obiedzie nie odzywał się ani słowem. Nie przyjął zaproszenia na bilard i znowu poszedł

spacerować po mieście. Wkrótce okazało się, że wędruje całymi dniami i nocami, pozostawiając Julie Alexowi. Nawet Samir jakby stracił nieco pewności siebie.

Ramsey był człowiekiem toczącym samotną walkę.

Elliott wszystko obserwował, a wreszcie podjął decyzję. Za pośrednictwem swojego sługi Waltera wynajął do śledzenia Ramseya młodego chłopaka, który kręcił się po hotelu, nieustannie zamiatając czerwone dywany na schodach. Gra była ryzykowna. Elliott wstydził się tego, ale obsesja brała nad nim górę.

Godzinami wysiadywał na wiklinowym fotelu w holu i obserwował, co dzieje się wokół

niego. Od czasu do czasu odbierał sprawozdania małego Egipcjanina, który mówił przyzwoicie po angielsku.

Ramsey spacerował. Ramsey wpatrywał się w morze. Brnął przez rozległe pola za miastem. Ramsey przesiadywał w europejskich kawiarniach i pochłaniał mnóstwo słodkiej egipskiej kawy. Poszedł też do domu publicznego, gdzie wprowadził w osłupienie starą, brudną właścicielkę, biorąc wszystkie pracujące tam kobiety między zachodem a wschodem słońca. A to oznaczało dwanaście stosunków. Stara stręczycielka nigdy w Syciu nie widziała niczego podobnego.

Elliott uśmiechnął się. Zatem zdobywa kobiety tak, jak zaspokaja wszystkie inne swoje żądze, myślał. To z kolei oznaczało, że Julie nie wpuściła go do swojego *sanctum*. A może się mylił?

* * *

Wąskie zaułki, stare miasto, tak to nazwali. Ale liczyło sobie zaledwie kilkaset lat i nikt nie miał pojęcia, że niegdyś stała tam wspaniała biblioteka. Na stoku wzgórza, znajdowała się wielka akademia, w której nauczycieli słuchały niezliczone rzesze uczniów.

Kiedyś miasto to było szkołą starożytnego świata, a teraz stało się nadmorskim kurortem.

Hotel ulokowano dokładnie w punkcie, gdzie znajdował się jej pałac, gdzie wziął ją w ramiona i

błagał, by porzuciła szaloną namiętność do Marka Antoniusza.

- Ten człowiek poniesie klęskę, czy ty tego nie widzisz? - przekonywał. - Gdyby nie zamordowano Juliusza Cezara, zostałąbyś rzymską cesarzową. Marek nigdy ci czegoś takiego nie da. Jest słaby, zepsuty i brak mu odwagi.

I wtedy po raz pierwszy dojrzał w jej oczach dziką, samobójczą pasję. Kochała Marka Antoniusza. Było jej wszystko jedno! Egipt, Rzym, jakie to mogło mieć znaczenie? Kiedy przestała być królową i zmieniła się w zwykłą śmiertelniczkę? Nie wiedział. Był jednak świadom, że wszystkie jego wielkie plany i marzenia sypią się w gruzy.

- Czy tobie zależy na Egipcie? - pytała. - Albo na tym, że bym zasiadła na rzymskim tronie? Nie tego ode mnie wymagasz. Chcesz, że bym wypila twój czarodziejski napój, który ma mnie uczynić tak samo nieśmiertelną jak ciebie. Do diabła z moim śmiertelnym życiem! Miałbyś ochotę je zniszczyć, przyznaj się! Ja za ciebie nie umrę!

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz!

Nie, niech umilkną głosy przeszłości. Słuchaj tylko szumu fal, rozbijających się o brzegi.

Idź na miejsce, gdzie stał rzymski cmentarz, gdzie złożyli ją u boku Marka Antoniusza.

Widział oczyma duszy tamtą procesję. Słyszał zawodzenie płaczek. Co najgorsze, zobaczył ją w ostatnich godzinach życia.

- Zabierz swoje obietnice. Antoniusz wzywa mnie z grobu. Chcę znaleźć się przy nim.

A teraz jedyne ślady po niej pozostały w jego duszy. I w legendzie. Znowu usłyszał zgiełk tłumów, które blokowały zaułki i płynęły po zielonych stokach wzgórz ku marmurowemu grobowcowi, gdzie kładziono jej ciało.

- Nasza królowa zmarła wolna!

- Oszukała Oktawiana.

- Nie była niewolnicą Rzymu.

Tak, ale mogła wybrać nieśmiertelność!

* * *

Katakumby. Jedyne miejsce, do którego nie ośmielił się dotąd zapuścić. Po co poprosił

Julie, żeby mu towarzyszyła? Co za oznaka słabości z jego strony. I pomyśleć, że nie zwierzył jej się z niczego.

Widział troskę na jej twarzy. Wyglądała uroczo w tej długiej, bladożółtej sukni z koronkowym

obrąbkiem. Na pierwszy rzut oka współczesne kobiety zdawały się nakładać na siebie absurdalną ilość strojów, lecz wkrótce pojął urok takiego ubrania - pełne rękawy, zwężające się w obcisłe mankiety na nadgarstkach, szczuplutkie talie i obszerne suknie.

Przyzwyczał się do ich widoku.

Nagle pośałowal, se się tu znaleźli. Ogarneła go chęc, by wracać do Anglii albo jechać do Ameryki.

Ale katakumby, przed dalszą podróŜą musiał obejrzeć katakumby! Szli więc wraz z innymi turystami, słuchając monotonnego głosu przewodnika, który opowiadał o kryjących się tu chrześcijanach, o staroŜytnych obrzędach, odbywanych jeszcze wcześniej w tych skalnych komnatach.

- Byłeś tu przedtem - szepnęła Julie. - Jest to dla ciebie waŜne.

- Tak - odparł półgłosem, ściskając jej dłoń. Ach, gdyby mogli juŜ na zawsze opuścić Egipt! Jaki sens miała ta męka?

Niesforna grupa szwargoczących, szepczących turystów stanęła. Ramzes omiatał

niespokojnym wzrokiem ścianę. Jest, jest przejście. Inni poszli dalej, posłuszni ostrzeŜeniom, by nie oddalać się od przewodnika, lecz on zatrzymał Julie, odczekał, aŜ głosy tamtych zamrą w ciemności, włączył elektryczną latarkę i zanurzył się w korytarz.

Czy to ten? Trudno powiedzieć. Pamiętał tylko, co zdarzyło się przed tylu laty.

Ten sam zapach wilgotnej skały i łacińskie napisy na ścianach.

Dotarli do obszernego pomieszczenia.

- Patrz - zawołała - tam wysoko jest wykute w skale okno. Nie do wiary! I haki w ścianie, widzisz?

Jej głos dobiegał jak z wielkiego oddalenia. Chciał odpowiedzieć, lecz nie było takiej moŜliwości.

Wpatrywał się w duŜy, prostokątny głaz, który zauwaŜyła juŜ takŜe Julie. Powiedziała coŝ o ołtarzu.

Nie, to nie Ŝaden ołtarz. ŁoŜe. ŁoŜe, na którym leŜał trzysta lat, dopóki nie otwarto tamtego portalu w górze. StaroŜytny łańcuchy odsunęły drewnianą pokrywę i promienie słońca padły na jego powieki.

Usłyszał dziewczęcy głos Kleopatry.

- Bogowie, to prawda. On Ŝyje. - Jej westchnienie odbiło się echem od ścian. Zalewały go potoki światła.

- Ramzesie, powstań! - zawołała. - Przyzywa cię królowa Egiptu!

Poczuł swędzenie nóg i rąk, a włosy i skórę przebiegł gwałtowny dreszcz. Na pół śpiący usiadł i

zobaczył tę młodą kobietę o czarnych włosach, które opadały falami na ramiona. Obok niej stał stary kapłan, roztrzęsiony, bełkoczący coś szeptem, z rękami złożonymi jak do modlitwy, zgięty w ukłonie.

- Ramzesie Wielki - oświadczyła. - Królowa Egiptu potrzebuje twej rady.

Delikatne, pełne kurzu promienie, padające z dwudziestowiecznego świata nad nimi. Ryk silników automobili na bulwarach współczesnej Aleksandrii.

- Ramzesie!

Odwrócił się. Julie Stratford wpatrywała się w niego.

- Moja ty piękna - wyszeptał. Wziął ją czule w ramiona. Nie była to namiętność, lecz miłość. Tak, miłość.

- Moja piękna Julie.

* * *

W holu zasiedli do podwieczorku. Cały obrządek bardzo go śmieszył. Jeść rogaliki, jajka, kanapki z ogórkiem i nie nazywać tego posiłkiem, coś takiego. Przecież nie miał powodów do narzekań. Mógłby zjeść trzy razy tyle co pozostali i ciągle mieć ochotę na kolację.

Każda chwila sam na sam z nią była mu droga. Kiedy nie kręcili się przy nich Samir, Elliott i Alex.

Siedział zapatrzony w paradę kapeluszy z piórami i obszytych koronkami parasolek. I wielkich, lśniących, otwartych aut, które podjeżdżały do bocznego wejścia tuż obok powozów z obitymi skórą siedzeniami.

Od jego czasów zmienili się także ludzie. Miał przed oczyma inną mieszankę ras. Julie zapowiedziała, że to samo czeka go w Grecji. Ach, tyle jeszcze trzeba było zobaczyć! Czy sprawiało mu to ulgę?

- Okazywałaś mi tyle cierpliwości - odezwał się uśmiechnięty. - Nie sądałaś żadnych wyjaśnień.

Julie promieniała radością. Miała na sobie jasną, jedwabną suknię w kwiaty z koronkowymi mankietami i perłowymi guziczkami, które coraz bardziej mu się podobały. Dzięki Bogu od pierwszego wieczoru na statku nie zakładała sukni z dekoltem. Widok jej nagiego ciała doprowadzał go do szaleństwa.

- Powiesz mi wszystko, kiedy zechcesz - stwierdziła. - Ja przede wszystkim nie chciałabym widzieć, jak cierpisz.

- Jest dokładnie tak, jak mówiłaś - mruknął. Wypił herbatę, napój, który niezbyt przypadł mu do gustu, bo był jakby rozcieńczony.

- Wszystko przepadło bez śladu. Mauzoleum, biblioteka, latarnia. Wszystko, co wzniósł

Aleksander i co zbudowała Kleopatra. Tylko nie wiem, dlaczego stoją jeszcze piramidy w Gizie i moje posągi w Luksorze.

- Chcesz je zobaczyć? - Ujęła go za rękę. - Jesteś już gotów do wyjazdu?

- Tak, chyba pora jechać dalej. A kiedy wszystko zwiedzimy, możemy opuścić tę krainę.

Razem... o ile chcesz przy mnie zostać.

Takie urocze brązowe oczy, ujęte w ramę czarnych rzęs i czysta słodycz uśmiechających się ust. A tu masz babo placek! Oto z windy wyłonił się earl Rutherford, jego czarujący maminsynek i Samir.

- Pójdę za tobą na kraniec ziemi - wyszeptała.

Długą chwilę patrzyli sobie w oczy. Czy ona zdawała sobie sprawę, co mówi? Nie.

Pozostawało pytanie, czy on sam to rozumiał. Kochała go. Ale to wielkie pytanie przecieŜ nie padło.

Większą część popołudnia płynęli w górę Nilu. Rozpalone słońce świeciło na markizy znajdujące się na pokładzie niewielkiego, eleganckiego parowca. Dzięki sakiewce Julie i zdolnościom przywódczym Elliotta mieli do dyspozycji wszelkie luksusy. Kajuty na niewielkim stateczku były równie wykwintne jak na okręcie, który przewiózł ich przez morze. Jadalnia i salon nie pozostawiały nic do Źyczenia. Kuk był Europejczykiem, a słuŜba, naturalnie z wyjątkiem Waltera i Rity, pochodziła z Egiptu.

Ale najlepsze było to, Źe mieli ten statek tylko dla siebie. Nie musieli się z nikim dzielić.

I, ku zdziwieniu Julie, od momentu wyjazdu Henry'ego stali się zŹytą grupką podróŜników. Za co naleŜało tylko dziękować Bogu.

Henry wziął nogi za pas tuŜ po lądowaniu w Aleksandrii. Opowiadał bzdury, Źe niby przygotowuje wszystko na ich przyjazd do Kairu choć swobodnie mógłby zająć się tym personel Hotelu Pasterskiego. Wysłali tam telegram jeszcze przed wyruszeniem na południe, do Abu Simbel. Nie wiedzieli, ile potrwa wyprawa, ale Pasterski, stara przystań Brytyjczyków za granicą, będzie czekał.

Uprzedzono ich, iŜ niebawem rozpocznie się sezon operowy. KonsjerŜka pytała, czy ma rezerwować loŜe dla wszystkich. Julie potwierdziła, nie mając pojęcia, jak zakończy się eskapada.

Wiedziała tylko tyle, Źe Ramzes czuł się doskonale i Źe rejs po Nilu bardzo mu odpowiada. Źe godzinami wystaje na pokładzie i patrzy na palmy i pustynię po obu stronach pasma lŹniącej, brązowej wody.

Julie wiedziała, Źe mają przed sobą te same rozłoŜyste palmy o wachlarzowatych liŹciach, które malowano na Źcianach staroŜytnych grobowców. I Źe ciemnoskórzy rolnicy czerpali wodę z rzeki tymi samymi, prymitywnymi metodami, jakich uŜywali cztery tysiące lat temu. Nie musiano jej

przekonywać, że liczne łódki, które mijali, nie uległy większym zmianom od czasów Ramzesa Wielkiego.

A wiatr i słońce nie zmieniły się nigdzie.

Jednak czekała ją sprawa, która nie cierpiała zwłoki. Siedziała spokojna w salonie, bezmyślnie patrząc, jak Samir i Elliott rozgrywają partię szachów. A gdy Alex skończył grać w solitera i wyszedł na pokład, podążyła za nim.

Zbliżał się wieczór. Wietrzyk dopiero się ochładzał, a niebo przybierało ciemnoniebieską barwę, zbliżoną do fioleto.

- Kochany jesteś - zagaiła - i nie chcę sprawiać ci cierpienia. Ale nie chcę również za ciebie wychodzić.

- Wiem. Wiem o tym już od pewnego czasu. Ale będę nadal udawał, że nie mam pojęcia.

Jak zwykle.

- Alex, nie...

- Nie, kochana, nie udzielaj mi żadnych rad. Pozwól, że urządzę wszystko po swoim. W

końcu przywilejem kobiety jest móc w każdej chwili zmienić zdanie, nieprawda? Ja będę czekał i być może ty je zmienisz. Nie, nic już nie mów. Masz wolną rękę. W gruncie rzeczy było tak zawsze.

Zaczerpnęła tchu. Czowała, jak przenika ją ból. Czowała go w piersi, w okolicach śródka.

Miała ochotę się rozpłakać, lecz nie było to odpowiednie po temu miejsce. Ucałowała go spiesznie w policzek i pobiegła do kajuty.

Dzięki Bogu nie zastała tam Rity. Położyła się na niewielkim łóżku i zapłakała w poduszkę. Po jakimś czasie zapadła znużona w jakiś półsen, a ostatnią myślą, jaką zapamiętała, było: „Oby tylko nie dowiedział się, że nigdy go nie kochałam. Niech myśli, że to inny mężczyzna, rywal, rzucił mnie sobie do stóp. że to zrozumiałe, zdarza się”.

Gdy otworzyła oczy, za oknem panował mrok. Rita zapaliła małą lampkę, którą przyniosła z pokładu. Julie zorientowała się, że stoi nad nią Ramzes.

Nie odczuwała cienia gniewu, z pewnością nie było w niej też lęku.

Wtem uświadomiła sobie, że widzi to wszystko jeszcze we śnie. Dopiero wtedy zbudziła się w pustym, jasnym pomieszczeniu. Gdyby tak on znalazł się wtedy przy niej. Jej ciało boleśnie za nim tęskniło. Przestało jej zależeć na przeszłości i przyszłości. Liczył się tylko on, z pewnością o tym wiedział. W jadalni ujrzała go pogrążonego w ożywionej rozmowie. Stół był

zastawiony egzotycznymi potrawami.

- Nie wiedzieliśmy, czy powinniśmy cię budzić, moja droga - odezwał się Elliott, natychmiast wstając, Œeby pomóc jej zająć miejsce.

- Ach, Julie - powiedział Ramzes - te miejscowe dania sa po prostu wyŒmienite. - Z

zapalem dokadał sobie kebabowego szaszyku w liŒciach winogron i innych aromatycznych potraw, których nie potrafiaby nazwać, jak zwykle przebierajac palcami z ogromnym wykwintem i wdziekiem.

- Zaraz, zaraz - waczył sie Alex - chce pan przez to powiedzieć, Œe nigdy dotad nie jadł

pan czegoŒ takiego?

- No, nie, w tym dziwnym róŒowym hotelu, o ile mnie pamiec nie myli, serwowali ziemniaki z miesem. O, to bardzo dobra potrawa, kurczak z cynamonem.

- Chwileczke - nie ustepował Alex. - CzyŒ nie jest pan z pochodzenia Egipcjaninem?

- Alex, daj spokoj panu Ramseyowi, on lubi otaczać swoje pochodzenie tajemnica -

strofowała Julie.

Ramzes rozeŒmiał sie, wychylajac kielich wina.

- Przyznaje, to prawda... Ale skoro tak bardzo panu na tym zaleŒy, zgadza sie, jestem...

Egipcjaninem, tak.

- Wobec tego jakim cudem...?

- Alex, przestan prosze - powiedziała Julie.

- AleŒ z pana zagadkowy czlowiek, panie Ramsey! - Alex wzruszył ramionami.

- Ale nie czuje sie pan, mam nadzieje, uraŒony, Aleksandrze?

- Prosze mnie tak jeszcze raz nazwać, a natychmiast wyzwe pan na pojedynek.

- Co to znaczy?

- Nic - wtracił sie Elliott, klepiac syna po gowie.

Alex nie zoŒcił sie i z caa pewnoŒcia nie czuł urazy. Spojrzał na siedzaca po drugiej stronie stou Julie, posylajac jej ukradkowy, peen smutku uŒmiech, za ktory - jak wiedziała -

bedzie mu winna dozgonna wdziecznoŒc.

W południe w Luksorze panował upał. Dopiero po południu zeszli na brzeg, by odbyć długą przechadzkę po olbrzymim zespole świątynnym. Julie widziała, że Ramzes nie potrzebuje odosobnienia. Kluczył wśród kolumn, od czasu do czasu unosząc głowę, lecz przeważnie był pogrążony w myślach.

Elliott nie chciał darować sobie tej części podróży, choćby kosztowała go wiele wysiłku.

Alex szedł wolniej, żeby ojciec mógł wesprzeć się na jego ramieniu. Samir także towarzyszył Earlowi. Wyglądało na to, że prowadzą ożywioną rozmowę.

- Cierpienie mija, prawda? - zagadnęła Julie Ramzesa.

- Kiedy patrzę na ciebie, nie czuję go wcale. Piękność Julie w Egipcie jest równa jej urodzie w Londynie.

- Czy te budowle były już ruinami, kiedy widziałeś je ostatni raz?

- Tak, i pokrywała je tak gruba warstwa piasku, że widoczne były jedynie wierzchołki kolumn. Aleja sfinksów była całkowicie zasypana. Tysiąc lat wcześniej chodziłem tymi ulicami jeszcze jako śmiertelnik i głupiec uważający, że cywilizowany świat kończy się w Egipcie i że poza jego granicami nie istnieją żadne prawdy. - Przystanął i szybko ucałował ją w czoło, po czym rzucił ukradkowe spojrzenie w kierunku reszty towarzystwa, która ich doganiała. Nie, nie było w tym wzroku poczucia winy, raczej rozszalenie, że tamci im przeszkadzają.

Wzięła go za rękę. Ruszyli.

- Kiedyś opowiem ci o wszystkim - mówił. - Będę opowiadał o tylu sprawach, że słuchanie cię znudzi. Opowiem ci, w co się ubieraliśmy i jakie prowadziliśmy rozmowy. Powiem, co jadaliśmy i jak tańczyliśmy, jak wyglądały te świątynie i pałace, kiedy farba była jeszcze świeża na ścianach. Wychodziłem przed pałac o świcie, w południe i o zachodzie słońca, by odprawiać modły, których oczekiwał ode mnie lud. A teraz musimy przepłynąć przez rzekę do świątyni Ramzesa Trzeciego. Tak bardzo chciałbym ją zobaczyć.

Dał znak jednemu z Egipcjan w turbanie, który szedł nieopodal. Chciał, żeby tamten sprowadził buggi, które zawiezie ich na drugi brzeg. Julie z radością odłączała się na chwilę od towarzyszy podróży.

Ale gdy tam się znaleźli i dotarli do ogromnej, pozbawionej dachu świątyni z dziesiątkami okolonymi gigantycznymi kolumnami, Ramzes dziwnie umilkł. Patrzył na wielkie reliefy, przedstawiające króla - wojownika w ukropie bitwy.

- Był moim pierwszym uczniem - odezwał się po pewnym czasie. - Do niego powróciłem po stuleciach wędrówek. Wróciłem do Egiptu w poszukiwaniu śmierci, ale nic nie mogło mi jej zadać.

Wtedy wymyśliłem sobie zadanie. Udam się do królewskiego domu i zostanę strażnikiem, nauczycielem. On mi wierzył, mój imiennik, odległy potomek. Słuchał tego, co mówiłem o dziejach, o dalekich krainach.

- A czy chciał wypić eliksir? - zainteresowała się Julie. Stali samotni na obszernym dziedzińcu, otoczeni kolumnami z płaskorzeźbami. Od pustyni wiał zimny wiatr, który targał

włosy Julie. Ramzes otoczył ją ramieniem.

- Nigdy nie powiedziałem mu, że byłem niegdyś śmiertelnikiem. W ogóle nikomu o tym nie wspominałem. Z ostatnich lat Sycia pamiętałem wrażenie, jakie wywierała moja tajemnica.

Wiedziałem, jak pod jej wpływem mój własny syn, Meneptah, staje się zdrajcą. Naturalnie próba uwięzienia mnie i wydarcia mi sekretu nie powiodła się. Oddałem mu królestwo i na drugie wieki porzuciłem Egipt. Wiedziałem jednak, jakie skutki ma ta wiedza. Podzieliłem się nią dopiero z Kleopatrami.

Urwał. Było widać, że nie ma już ochoty mówić na ten temat. Powróciło cierpienie, które prześladowało go w Aleksandrii. W oczach zgasł blask. W milczeniu wrócili do powozu.

- Julie, niech nasza podróż przebiega szybko - poprosił. - Jutro Dolina Królów, a potem dalej na południe.

* * *

Wyszli o świcie, dopóki z nieba nie lał się jeszcze śnieg.

Julie wzięła pod rękę Elliotta. Ramzes był znów rozmowny, pretekstem stawało się każde pytanie Elliotta. Powoli schodzili ścieżką, mijając splądrowane groby, wokół których roило się od turystów, fotografów i handlarzy w turbanach i gelabijach, opatrujących sprzedawane podróbki fantastycznymi historiami.

Julie zaczynała odczuwać spiekotę; wielki, słomiany kapelusz na niewiele się zdawał.

Musiała się zatrzymać, by odsapnąć. Od smrodu wielbłądzich odchodów ogarniała ją mdłość.

Dotknął jej jakiś handlarz. Spojrzała w jego stronę i zobaczyła wyciągniętą, czarną rękę, której palce wiły się niby pajęczne nogi. Nie zdążyła powstrzymać krzyku.

- Wynoś się! - uniósł się gniewem Alex. - Ci tubylcy są nie do zniesienia.

- Ręka mumii! - zawołał tamten. - Ręka mumii, bardzo stara.

- Z pewnością - zaśmiał się Elliott. - Prosto z jakiejś fabryki mumii w Egipcie.

Lecz Ramzes jak urzeczony wpatrywał się w handlarza i dłoń mumii. Tamten nagle zastygł w bezruchu; z oczu wyjrzało przerażenie. Ramzes wyrwał mu pomarszczoną rękę, handlarz wypuścił ją

i padł na kolana, po czym spiesznie czmychnął.

- Co to? - zdziwił się Alex. - Chyba nie potrzebuje pan czegoś takiego.

Ramzes nie mógł oderwać wzroku od ręki i zwisających z niej strzępów płótna.

Julie nie wiedziała, o co chodzi? Czy oburzało go świętokradztwo? Czy teŜ zaintrygowało co innego? Wróciło wspomnienie mumii w bibliotece ojca, która była tą samą istotą co Œywy męŜczyzna, którego kochała. Od tamtej pory upłynęły jakby całe wieki.

Elliott bacznie się wszystkiemu przyglądał.

- Co się stało, panie? - zapytał półgłosem Samir. Czy Elliott słyszał te słowa?

Ramzes wyjął kilka monet i cisnął je w piach dla handlarza. Tamten zgarnął je pospiesznie i wziął nogi za pas. Następnie Ramzes starannie owinał rękę chusteczką i schował ją do kieszeni.

- O czym to mówiliśmy? - Elliott podejmował ich poprzednią rozmowę, jak gdyby nic nie zaszło. - Zdaje się, Œe mówił pan, Œe dominującym motywem naszych czasów jest zmiana?

- Tak - odparł Ramzes z uśmiechem. Wyglądało na to, Œe nagle spojrział na całą dolinę z zupełnie innej perspektywy. Przyglądał się otwartym drzwiom grobowców, leŜącym przed nimi psom. Elliott ciągnął.

- A dominującym wątkiem czasów staroŜytnych było przekonanie, Œe wszystko pozostanie na wieki nie zmienione.

Julie dostrzegała subtelne zmiany w wyrazie jego twarzy, jakby odcień rozpaczy, mimo to gładko odpowiadał na pytania Elliotta.

- Tak, nie było mowy o Œadnym pojęciu postępu. Zresztą koncepcja czasu równieŜ nie była wtedy zbyt dobrze wypracowana. Lata liczono od narodzin kaŜdego kolejnego króla. O tym pan doskonale wie. Nie mierzyło się samego czasu, w stuleciach. Nie wiem, czy prosty Egipcjanin zdawał sobie w ogóle sprawę z istnienia... stuleci.

* * *

Abu Simbel. Nareszcie dotarli do najwspanialszej ze świątyń Ramzesa. Wypad na brzeg ze względu na Œar trwał krótko, ale teraz nad pustynią wiał zimny, nocny wiatr.

Julie i Ramzes ukradkiem zeszli po sznurowej drabince do czółna. Kobieta mocno otuliła się szalem. Księżyc zawisł nisko nad drŜącą wodą.

Z pomocą egipskiego sługi wsiedli na czekające wielbłądy i ruszyli w stronę wspaniałej świątyni, gdzie stały największe znane posągi Ramzesa Wielkiego.

Jazda na tym szalonym, przeraŜającym zwierzęciu była wielkim przeŜyciem. Julie śmiała się na głos.

Wolała nie patrzeć na kołyszącą się pod nimi ziemię. Jednak bardzo się ucieszyła, gdy znaleźli się na miejscu, a Ramzes zeskoczył i wyciągnął do niej rękę.

Słuchający odprowadził wierzchowce. Stali we dwoje pod rozgwieżdżonym niebem, nad pustynią hulał wiatr. W oddali ujrzała światła w namiocie ich Malenkiego obozowiska. Widziała latarnię za przezroczystym płótnem; małe ognisko, płaszące na wietrze, przygasające i na powrót się rozpalające.

Weszli do świątyni, mijając po drodze gigantyczne nogi boga - faraona. Jeśli Ramzes płakał, to wiatr rozwiewał łzy po pustyni, za to na pewno dobiegło ją westchnienie. Wyczuła lekkie drżenie trzymającej ją ręki.

Szli obok siebie, on omiatał wzrokiem nieruchome posągi.

- Gdzie udałeś się - wyszeptła - po zakończeniu panowania? Oddałeś tron Meneptahowi, a sam powędrowałeś...

- Po całym świecie. Dokąd poniosły mnie nogi. Gdzie zdążyła stanąć stopa śmiertelników. Wtedy widziałem wielkie puszcze Britanni. Mieszkańcy chodzili ubrani w skóry i kryli się na drzewach, skąd wypuszczali drewniane strzały. Dotarłem na Daleki Wschód.

Odkrywałem miasta, po których nie ma dziś śladu. Zaczynałem pojmywać, że eliksir działa zarówno na mózg, jak i na ciało. Umiałem nauczyć się języka w kilka dni; potrafiłem... jak wy to mówicie... przystosować się. Po czym następowała nieuchronna... dezorientacja.

- To znaczy? - Stanęli na ubitym piachu. Łagodny blask gwiazd padał na jego twarz, gdy spoglądał na Julie.

- Przestałem być Ramzesem. Nie byłem królem. Pozostałem bez narodu.

- Rozumiem.

- Przekonywałem sam siebie, że świat jest wszystkim. Czego było mi potrzeba poza wędrówką, oglądaniem? Ale to nie była prawda. Musiałem powrócić do Egiptu.

- Wtedy zapragnąłeś śmierci.

- I udałem się do faraona, Ramzesa Trzeciego, mówiąc, że zostałem posłany jako jego stróż. To znaczy dopiero wtedy, gdy przekonałem się, że nie szkodzi mi żadna trucizna. Ani ogień. Mogły zadać mi ból, tak, ból nie do zniesienia, ale nie były w stanie zabić. Byłem nieśmiertelny. Wystarczył jeden łyk eliksiru. Nieśmiertelność!

- Co za okrucieństwo - westchnęła. Były jednak sprawy, których wciąż nie pojmywała, ale nie śmiała wypytywać. Cierpliwie czekała, aż sam opowie.

- Po dzielnym Ramzesie Trzecim było wielu innych. Wielkie królowe i królowie. Miałem swobodę, zjawiałem się, kiedy chciałem. Byłem owiany legendą, żywy upiór, który rozmawia jedynie z

władcami Egiptu. Moja obecność była uważana za wielkie błogosławieństwo.

Prowadziłem te Śycie potajemnie. Przemierzałem ulice Teb, zwykły człowiek, szukający towarzystwa, kobiet, pijący w tawernach.

- Ale nikt nie znał ciebie ani twojej tajemnicy? - Potrząsnęła głową. - Nie umiem sobie wyobrazić, jak to wytrzymałeś.

- Prawdę mówiąc, stało się to nie do zniesienia - wyznał ponuro - o czym napisałem na zwojach, które twój ojciec znalazł w moim tajnym gabinecie. Ale z początku byłem odważniejszy. Poza tym kochano mnie, Julie, nie wolno o tym zapominać.

Zamilkł, jakby nasłuchiwał wiatru.

- Oddawano mi cześć - podjął - dokładnie tak, jak gdybym umarł i stał się tym, za kogo się podawałem. Strażnikiem królewskiego domu, sędzią złoczyńców. Lojalnym nie wobec króla, lecz wobec królestwa.

- Czy bogom nie dokuczają samotność? - Roześmiał się cicho.

- Znasz odpowiedź. Nie ogarniasz jednak pełnej mocy napoju, który obdarzył mnie nieśmiertelnością. Ja sam nie do końca ją pojmuję. Ach, obłęd tych pierwszych lat, kiedy eksperymentowałem jak lekarz. - Na jego twarzy pojawił się wyraz rozgoryczenia. - Naszym zadaniem jest bowiem zrozumienie tego świata, prawda? A przerastają nas nawet najprostsze rzeczy.

- Tak, nie sposób się z tym nie zgodzić - wyszeptała.

- W najcięższych chwilach pokładam całą nadzieję w zmianach. Ja je rozumiałem, w odróżnieniu od mojego otoczenia. To także przeminie, stary aksjomat, myślałem sobie. Ale w końcu dopadło mnie... znużenie. Ogromne zmęczenie.

Ogarnął ją ramieniem, delikatnie przysuwając do siebie. Zawrócili i wyszli ze świątyni.

Wiatr ucichł. Ogrzewał ją swym ciepłem. Julie od czasu do czasu musiała tylko osłaniać oczy przed unoszącymi się w powietrzu drobkami piasku. Mówił cichym, powolnym głosem, wspominając:

- Na naszej ziemi pojawili się Grecy. Aleksander, budowniczy miast, twórca nowych bogów. Ja pragnąłem tylko pograżyć się w śmiertelnym śnie. Ale bałem się, tak samo jak każdy śmiertelnik.

- Wiem - szepnęła. Przeszył ją dreszcz.

- Na koniec dobiłem tchórzliwego targu. Zamknę się w grobowcu, w mroku, który, jak zdążyłem się zorientować, może oznaczać jedynie stopniowe osłabienie i coraz głębszy sen, z którego nie zdołam się zbudzić. Ale kapłani domu królewskiego będą wiedzieć, gdzie leżę, oraz że może wskrzesić mnie blask słoneczny. Będą zdradzać tajemnicę każdemu kolejnemu władcy, z przestrożą, że moje przebudzenie musi służyć wyłącznie dobru Egiptu. Biada śmiałkowi, który zbudzi mnie ze zwykłej ciekawości, lub w złych zamiarach, bo wtedy wywrę na nim zemstę.

Przechodzili przez odrzwia świątyni, przystając, Œeby Ramzes mógł spojrzeć na siedzące tam, kolosalne postacie. Wysoko w górze widać było oblicze króla, skąpane w księŜycowym blasku.

- Czy w czasie snu zachowałeś świadomość?

- Nie wiem. Sam sobie zadaję to pytanie! Czasami znajdowałem się na krawędzi przebudzenia, tego jestem pewien. I śniłem, ach, te sny. Ale wszystko, co wiedziałem, wiedziałem jak gdyby we śnie. Nie było Œadnych powodów do pośpiechu, do paniki. Ale nie byłem w stanie sam się obudzić. Nie starczyłoby mi siły, Œeby pociągnąć za łańcuch, który uchyliłby cięŜką, okutą Œelazem, drewnianą pokrywę, i wpuściłby trochę słońca. MoŜliwe, Œe wiedziałem, co rozgrywa się na zewnątrz. Tak czy owak, wieści o tym, co działo się podczas mego snu, nie zaskoczyły mnie. Przeszedłem do legendy - Ramzes Przeklęty, Nieśmiertelny, który śpi w jaskini, czekając na króla albo królową, która odwaŜyłaby się go zbudzić. Sądzę, Œe przestali juŜ w to wierzyć. Do chwili...

- Gdy nadeszła ona.

- Była ostatnią władczynią Egiptu. I jedyną, której wyznałem całą prawdę.

- Czy ona rzeczywiście nie chciała wypić eliksiru? Umilkł. Jakby nie miał ochoty odpowiadać. Po chwili.

- Na swój sposób nie chciała. Bo widzisz, ona nie do końca pojmowała, czym jest eliksir.

Później błagała, bym dał go Markowi Antoniuszowi.

- Rozumiem. AŜ dziw, Œe sama się nie domyśliłam.

- Marek Antoniusz zniszczył Œycie sobie i jej. Ale ona nie miała pojęcia, o co prosi. Nie wiedziała, do czego by to doprowadziło - samolubny król i królowa o takiej potędze. Zechcieliby równieŜ poznać metodę przyrządzania eliksiru. Czy Antoniuszowi nie zamarzyłyby się nieśmiertelne armie?

- O BoŜe! - wyszeptała.

Ramzes znieacka zatrzymał się i odsunął od niej. Uszli juŜ trochę od świątyni i teraz odwrócił się, chcąc ogarnąć spojrzeniem siedzące posągi.

- Ale po co zapisałeś tę historię na zwojach? - zapytała. Nie mogła się powstrzymać.

- Z tchórzostwa, moja droga, z tchórzostwa i w nadziei, Œe pewnego dnia ktoś natrafi na mą osobliwą historię i zdejmie mi z ramion brzemię tajemnicy! Poniosłem klęskę, kochana.

Straciłem siłę ducha. Przez to wymknąłem się w sen i pozostawiłem po sobie opowieść... niby ofiarę na ołtarzu losu. Nie umiałem juŜ sobie pozwolić na siłę.

Zarzuciła mu ramiona na szyję. Nie patrzył na nią. Spoglądał w stronę posągów. W jego oczach zaszklity się łzy.

- MoŜe śniłem, Œe pewnego dnia zbudzê siê w nowym Œwiecie zamieszkanym przez inne, mądre istoty. Marzyłem o kimś, kto... podejmie siê tego zadania. - Załamał mu siê głos. - I przestałbym byç wiecznym tułaczem. Ramzes Przeklęty na powrót stałby siê Ramzesem Nieśmiertelnym.

Sprawiał wraŜenie zaskoczonego własnymi słowami. Spojrzał na nią, ujął w ramionach i lekko uniósł, całując.

Uległa mu całą duszã. Czowała, jak unosi ją w kierunku namiotu i pełgającego ogniska. Nad odległymi, pogrãsonymi w cieniu wzgórzami spadały gwiazdy. Pustynia była wielkim, spokojnym morzem, które rozciągało siê naokoło zatoki ciepła, do której przybili.

Kadzidło, zapach woskowych Œwiec. PołoŜył ją na jedwabnych poduszkach, na poŒłaniu z tkanymi, ciemnymi kwiatami. Zamknęła oczy, nie chcãc widzieç ruchliwych płomyków Œwiec. Z

jedwabiu, na którym leŜała, unosiły siê aromatyczne wonie. Stworzył dla niej, dla siebie, na tę chwilê, mały buduar.

- Kocham ciê, Julie Stratford - wyszeptał jej do ucha. - Moja angielska królowo. Moja wieczna piêknoŒci.

Jego pocałunki paraliŜowały ją. LeŜała z zamkniętymi oczyma, pozwalając mu odpinaç ciasne haftki koronkowej bluzki, zapinki sukni. Rozkoszując siê własną bezradnoŒciã, nie protestowała, gdy zdierał z niej halkê i gorset i Œciągał długã, koronkowã koszulê. LeŜała naga, spoglãdając na niego, gdy przyklãkł i zaczął zdejmowaç swoje ubrania.

Wyglãdał jak prawdziwy król. Jego pierś lśniła w blasku ksiêŒyca, a sztywny członek był gotowy, aby w nią wejŒç. Poczowała, jak zwała siê na nią i przygniata swym rozkosznym ciêŜarem.

W oczach stanęły jej łzy, łzy ulgi. Z ust wymknãł siê cichy jêk.

- WywaŒ drzwi - wyszeptała - drzwi dziewictwa. Otwórz je, jestem na zawsze twoja.

Rozdarł pieczęç. Ból, krótka fontanna bólu, która zniknęła pod falã rozkoszy. Całowała łapczywie jego słony, gorący kark, jego twarz, barki. Raz po raz mocno w nią wchodził, ona wyprêŜała siê w łuk, starając przyłgnãç do jego ciała.

Gdy pierwsza fala sięgnęła szczytu, krzyknęła, jakby za chwilê miała naprawdê umrzeç.

Słyszała rodząc siê w jego krtani pomruk. Ale to był dopiero poczãtek.

* * *

Elliott patrzył, jak czólno odbija od statku. Przez lornetkê oglãdał niewielkie Œwiatelko w namiocie na niskich wydmach. Widział figurki sług i wielbłãdy.

Zbiegł z pokładu, nie uŜywając laski, Œeby nie stukaç, dotarł do drzwi Ramzesa i przekrêcił gałkê.

Otwarte. Wkroczył do ciemnej kajuty.

Ach, ta afera zmieniła mnie w natręta i złodzieja, pomyślał. Ale ta świadomość bynajmniej go nie powstrzymywała. Nie wiedział, ile będzie miał czasu. Przy blasku księżyca, który wpadał przez drzwi, przetrząsał szafę, starannie powieszzone ubrania i szuflady pełne koszul. Zajrzał do pustego kufra. W tym pomieszczeniu nie było żadnego tajemnego przepisu.

Chyba że został dobrze ukryty.

Wreszcie dał za wygraną. Stał przy biurku, spoglądając na rozłożone tam książki biologiczne. Wtedy przeraziło go coś czarnego i obrzydliwego, co dostrzegł kątem oka. Ale była to tylko pomarszczona ręka mumii, leżąca na bibule.

Wyszedł na głupca. Było mu wstyd. Mimo to stał i wbijał wzrok w ten przedmiot, serce niebezpiecznie obijało się o klatkę piersiową. Po chwili odczuł piekący ból i drętwienie ramienia, które zawsze następowały po tego rodzaju nagłych przeżyciach. Stał bez ruchu, bardzo powoli oddychając.

Po pewnym czasie wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Natręt i złodziej, pomyślał sobie. Wsparł się na srebrnej lasce i poszedł wolno do salonu.

* * *

Dniało. Wiele godzin temu opuścili ciepły namiot i przybyli do opuszczonej świątyni, odziani jedynie w luźne, jedwabne szaty. Wielokrotnie kochali się na piasku. Potem on leżał i wpatrywał się w gwiazdy, król, który wznosił ten dom.

Słowa były zbędne. Czują tylko ciepło jego ciała, gdy leżała na jego lewym barku.

Dzieliła ich tylko gładka tkanina, w którą była spowita.

* * *

Tuż przed wschodem słońca Elliott zasnął na krześle. Słyszał, jak łódka przybija do burty.

Usłyszał uderzające fale, a potem trzeszczenie lin, gdy dwoje kochanków wspinało się na pokład.

Słyszał ich szybkie, ukradkowe kroki na pokładzie. Potem znowu zapadła cisza.

Gdy otworzył oczy, ujrzał stojącego w półmroku syna. Z rozwianym włosom, jak gdyby spał w ubraniu, nie ogolonego. Patrzył, jak bierze ze szkatułki z kości słoniowej papierosa i go zapala.

Alex wreszcie go dostrzegł. Nie zamienili ani słowa. Wreszcie na twarzy Alexa zagościł

dobrze znany, dobroduszny uśmiech.

- Wiesz, ojciec - powiedział wolno - dobrze by nam zrobił powrót do Kairu i odrobiny cywilizacji.

- Jesteś dobrym człowiekiem, synu - orzekł cicho Elliott.

* * *

Zdała sobie sprawę, że wszyscy się domyślali. Leżała obok Ramzesa pod ciepłymi kocami na swym łóżku, podczas gdy parowiec wracał na północ, do Kairu.

Mimo to zachowywali się dyskretnie. Przychodził do niej tylko wtedy, gdy nikogo nie było w pobliżu. Nie okazywali sobie uczuć przy innych. Jednak cieszyli się wykradzioną wolnością. Kochali się do bladego świtu, spadając na podłogę i łącząc się, gdy silniki okrętu niosły ich naprzód.

Było to wszystko, co mogli sobie wymarzyć. Jednak ona chciała jeszcze więcej. Chciała pozbyć się wszystkich bliskich prócz niego. Pragnęła zostać jego oblubienicą lub przebywać wśród ludzi, którzy nie podawaliby w wątpliwość śadnego z jej kroków. Wiedziała, że decyzja zapadnie, gdy dopłyną do Kairu. I że przez długi czas nie ujrzy Anglii, chyba że zechce tego Ramzes.

Godzina czwarta. Ramzes stał przy łóżku i spoglądał na Julie uroczo pogrążoną w głębokim śnie. Brązowe włosy odbijały się cieniem od białej poduszki. Przykrył ją ostrożnie, żeby nie zmarzła.

W płątaniu płaszcza i spodni odnalazł pas z pieniędzmi, wymacał przyklejone taśmą do tkaniny cztery fiolki, po czym zapiął pas i pospiesznie się ubrał.

Na pokładzie pustki. Jednak w salonie paliło się światło. Przez szpary w drewnianych saluzjach dojrzał śpiącego na fotelu Elliotta. Na jego kolanach leżała otwarta książka, a na stoliku obok stało pół kieliszka wina.

Poza tym nie było widać nikogo.

Poszedł do swojej kwatery, zamknął drzwi na klucz i zasunął drewniane saluzje. Usiadł

na drewnianym krześle przy biurku, włączył lampę z zielonym kloszem i przyjrzał się ręce mumii, z palcami wygiętymi tak, że niemal dotykały dłoni, i paznokciami posódkłymi, o barwie kości słoniowej.

Czy zdoła przeprowadzić swój zamiar? Czy nie wykonywał takich okropnych eksperymentów już w przeszłości? Ale musiał się przekonać. Dokładnie poznać moc eliksiru.

Powtarzał sobie, że powinien zaczekać i zrobić to w laboratorium z odpowiednim sprzętem, do czasu, gdy zapozna się z tekstami chemicznymi, gdy wysłucha uczonych medyków.

Ale chciał wiedzieć już teraz. W jego głowie, gdy ujrzał w Dolinie Królów tę zeschniętą dłoń, zapłonęło jakieś złowieszcze światło. To nie było fałszerstwo. Wiedział o tym. Wystarczyło rzucić okiem na odłamek kości, wystający z przeciętego nadgarstka, na przyrośnięte do niego, szerniałe mięso.

Miał tysiącletnią wprawę.

Odsunął podręczniki biologii. Umieścił rękę pod lampą i zaczął powoli odwijać płótno.

Dostrzegł nieznaczną pieczęć balsamisty - egipski napis informujący, że ciało pochodziło z czasów dynastii poprzedzającej go na tronie. Nieszczęsna dusza, wierząca w potęgę bogów i wytwórców balsamowanych zwłok.

Wewnętrzny głos podpowiadał mu, by tego nie robił. Mimo wszystko sięgnął do skrytego pod koszulą pasa, wyjął napełnioną do połowy fiolkę i kciukiem odkorkował ją, nawet się nad tym nie zastanawiając.

Wylał eliksir na poczerwiałą dłoń i zeszywniałe palce.

I nic.

Czy czuł ulgę? A może zawód? Przez chwilę sam nie wiedział. Spojrzał w stronę okna, za którym zaczynał się świt, przenikając do wnętrza smugami jasności. Może dla pierwszego efektu konieczne było jeszcze słońce. Chociaż nie było potrzebne, kiedy on sam stał w jaskini kapłanki. Czuł działanie potężnej alchemii, zanim spoczęły na nim promienie słońca. Naturalnie dodały mu one dużo siły. Zresztą bez nich zasnąłby z powrotem w ciągu kilku dni. Ale na początku nie potrzebował ich.

Tak, dzięki niech będą bogom, że eliksir nie oddziaływał na starożytnego trupa. że moc przerażającego napoju miała swoje granice.

Zapalił cygaro, rozkoszując się aromatem. Wypił małą szklaneczkę brandy.

Wnętrze ogarniała powoli jasność. Miał ochotę powrócić w objęcia Julie i tam zostać.

Wiedział jednak, że za dnia nie może sobie na to pozwolić. Zresztą w gruncie rzeczy na tyle polubił młodego Savarella, że nie chciał go ranić. Elliotta tak, pod ładnym pozorem. Do zadziergnięcia prawdziwej przyjaźni brakowało niewiele.

Gdy usłyszał pierwsze kroki na pokładzie, zatkał fiolkę i ukrył ją w pasie z pieniędzmi.

Wstał, gotowy do przebrania się. Wtedy zaskoczył go jakiś dźwięk.

Kajutę rozświetlało niebieskawe światło poranka. Przez chwilę brakowało mu odwagi, żeby się odwrócić. Znowu ten odgłos! Drapanie!

Czuł pulsującą w skroniach krew. W końcu obrócił się na pięcie i spojrzał na dłoń. Oj! Oj!

Poruszała się. Leżała na grzbiecie, zginając i prostując palce, kołysząc się na biurku, raptem przechyliła się niczym skarabeusz na pięć nóg i zaczęła skrobać w bibułę.

Wzdrygnął się przerażony, odsunął do tyłu. Sunęła po blacie, macając przed sobą, w końcu dotarła do krawędzi i spadła z hałasem na podłogę.

Wykrztusił modlitwę w najstarszym języku Egipcjan. Bogowie podziemia, wybaczenie mi bluźnierstwo! Cały roztrzęsiony, postanowił złapać rękę, ale nie był w stanie się do tego przymusić.

Rozglądał się po pokoju jak szaleniec. Jedzenie, taca z jedzeniem, która zawsze na niego czekała. Znalazł ostry nóż do obierania owoców, chwycił go i dźgnął rękę, i cisnął ją na biurko.

Palce wyciągały się, jakby chciały złapać ostrze.

Przygniótł ją lewą ręką i zaczął raz po raz dźgać, dopóki nie pokrajał stwardniałego ciała i kości na drobne kawałki. Tryskała krew, Źywa krew. Bogowie, palce nie przestawały się poruszać. W coraz intensywniejszym świetle przybierały różowy kolor zdrowego ciała.

Pobiegł do niewielkiej łazienki, wziął ręcznik i zawinął weń wszystkie strzępy. Zaczął

walić w zawiniątko trzonkiem noża, następnie ciężką podstawą lampy, której sznur wyszarpał z gniazdka. W krwawej miazdze ciągle dało się wyczuć ruch.

Stał i płakał. Och, Ramzesie, ty głupcze! Czy nic nie zdoła powstrzymać twojego szaleństwa? Wziął ręcznik, starając się nie zwracać uwagi na bijące z niego ciepło. Wybiegł na pokład i wyrzucił zawartość ręcznika do ciemnych wód rzeki.

Krwawe strzępy błyskawicznie zniknęły. Stał, ociekając potem, trzymając w lewej ręce krwawy ręcznik, który po chwili również rzucił w głębiny. Tak samo postąpił z nożem. Po czym oparł się o ścianę, patrząc na odległy, piaszczysty brzeg i wzgórza, wciąż jeszcze bladofioletowe.

W pamięci przemknęły mu całe lata. Znowu dobiegło go zawołanie w pałacu. Słyszał

krzyk adiutanta, doszedł do sali tronowej i otworzył drzwi.

- To je zabija, królu. Zwracają, wymiotują tym, wymiotują krwią.

- Zebrać wszystko i spalić! - krzyczał. - Każde drzewo, każdą miarę zboża! Wrzucić wszystko do rzeki.

Szaleństwo! Katastrofa.

W ostatecznym rozrachunku był po prostu człowiekiem swoich czasów. Co czarownicy wiedzieli o komórkach, mikroskopach i prawdziwej medycynie?

Jednak w uszach stale rozbrzmiewały krzyki, krzyki tysięcy, którzy wybiegali z pałacu i gromadzili się na publicznym placu.

- Oni giną, mój królu. Przez mięso, które ich zatruwa.

- Zarżnąć pozostałe zwierzęta.

- Ale, królu...

- Pokrajać je na kawałki, słyszysz? I cisnąć do rzeki.

Teraz spoglądał w wodne głębiny. Porwane nurtem rzeki Źyły gdzieś kawałki ręki. Gdzieś w mule i błocie trwały Źywe ziarna. Źyły strzępy tamtych staroŹytnych zwierząt!

Mówię ci, to przeraŹająca tajemnica, która oznacza być moŹe koniec Źwiata.

Wrócił do kajuty, zaryglował drzwi, usiadł na krześle przy biurku i zapłakał.

* * *

Na pokład wyszedł dopiero w południe. Julie siedziała w swym ulubionym fotelu i czytała tę staroŹytną historię, tak rojącą się od kłamstw i luk, Źe aŹ śmieszna. Notowała na marginesie jakieś pytanie, które chciała mu zadać.

- A, wstałeś nareszcie - odezwała się, ale widząc wyraz jego twarzy, spytała: - Co się stało?

- Mam dosyć tego miejsca. Chcę zobaczyć muzeum, piramidy, to, co zobaczyć naleŹy. A potem stąd wyjechać.

- Tak, rozumiem. - Ruchem ręki wskazała mu krzesło obok. - Ja teŹ mam na to ochotę. -

Ucałowała go przelotnie w usta.

- Ach, jeszcze - zamruczał. - To sprawia mi niezmierną ulgę.

Pocałowała go dwa razy, muskając ciepłymi palcami po karku.

- W Kairze zatrzymamy się najwyŹej na kilka dni, obiecuję.

- Kilka dni! A nie moglibyśmy wziąć samochodu i szybko wszystko obejrzeć, albo nawet wsiąść do pociągu i zmykać z tej krainy?

Z westchnieniem spuściła głowę.

- Ramzesie, musisz mi wybaczyć, ale Alexowi bardzo zaleŹy na wizycie w kairskiej operze. Elliottowi równieŹ. Właściwie juŹ przyrzekłam...

Jęknął.

- Bo widzisz, będę się tam chciała z nimi poŹegnać. I oznajmić, Źe nie wracam do Anglii.

I... Źe potrzeba mi czasu. - Przyglądała mu się uważnie. Proszę!

- AleŹ oczywiście. Opera. To coś nowego? Powinienem to obejrzeć?

- Tak! - zawołała. - Będą wystawiać pewną egipską opowieść. Napisał ją jednak Włoch, pięćdziesiąt lat temu, specjalnie dla potrzeb Opery Angielskiej w Kairze. Powinna ci się spodobać.

- Liczne instrumenty.

- Tak! - roześmiała się. - I chór głosów.

- Dobrze, poddaję się. - Nachylił się, całując ją w policzek, potem w szyję. - A potem będziesz już moja i tylko moja, piękna?

- Tak, z całego serca - szepnęła.

* * *

Gdy wieczorem nie chciał zejść na brzeg w Luxor, earl spytał, czy wyprawę do Egiptu uważa za udaną, czy znalazł to, czego szukał.

- Tak myślę - odparł, nie odrywając wzroku od atlasu geograficznego. - Chyba znalazłem dla siebie przyszłość.

Dom był w stylu mameluckim i prezentował się jako swego rodzaju pałacyk. Henry'emu przypadł do gustu, choć o mamelukach wiedział tylko tyle, że rządzą kiedyś Egiptem.

Było mu wszystko jedno. Na razie czuł się tutaj świetnie, we wnętrzu pełnym egzotycznych przedmiotów ze Wschodu i wiktoriańskich mebli, gdzie miał wszystko, czego dusza zapagnie.

Malenka karmiła go wybornymi, pikantnymi potrawami, na które dziwnym zbiegiem okoliczności nachodziła go ochota, gdy robiło mu się niedobrze od picia. Smakowały nawet wtedy, gdy był bardzo pijany i zwykle jedzenie przypominało nie osolony kleik.

Zaopatrywała go też w trunki, biorąc to, co wygrał, do brytyjskiego Kairu i wracając z ulubionymi ginem, scotchem i brandy.

Dobra passa nie opuszczała go od dziesięciu dni. Siadał przy stoliku w południe i odchodził późnym wieczorem. Z taką łatwością przychodziło blefować tym Amerykanom, uważającym wszystkich Brytyjczyków za mięczaków. Na Francuza musiał mieć oko; twarda z niego sztuka. Ale nie oszukiwał. W dodatku spłacał wszystkie długi, chociaż Henry nie był w stanie domyśleć się, skąd ten podejrzany typ bierze tyle pieniędzy.

Nocą kochał się z Malenką w wielkim, wiktoriańskim łóżku, za którym ona przepadała. Za szczyt luksusu uważała mahoniowy zagłówek i ogromną moskitierę. Niech ludzi się swoimi małymi marzeniami. Tym bardziej że na razie ją kochał. Nie zależało mu na Sadnej Daisy Banker. W sumie postanowił już, że nie wraca do Anglii.

Natychmiast po przybyciu Julie i jej świty wyruszy do Ameryki. Przyszło mu nawet do głowy, że ojciec może przystać na taki pomysł i wydzielić mu mały dochód pod warunkiem, że syn będzie siedział w Nowym Jorku albo nawet w Kalifornii.

San Francisco, oto miasto, które go pociągało. Niemal kompletnie przebudowane od czasu trzęsienia ziemi. Czuł, że żył tam może mu się ułożyć, z dala od wszystkiego, czego nienawidził w Anglii. Nie najgorszym pomysłem było zabranie ze sobą Malenki. Kogóż w Kalifornii obchodziłoby to, że miała skórę ciemniejszą od niego?

Jej skóra. Uwielbiał skórę Malenki. Gorąca, oliwkowa Malenka. Kilka razy wychylił nosa ze swojego zagraconego domku, żeby obejrzyć jej taniec w Klubie Europejskim. Podobało mu się. Kto wie, może w Kalifornii zdobędzie rozgłos, naturalnie z nim w roli menedżera. Tym sposobem uzyskałoby się trochę pieniędzy, a jaka kobieta nie chciałaby porzucić tego miasta na końcu świata? Zaczęła się już uczyć angielskiego, słuchając płyt, które na własną rękę kupiła w angielskiej dzielnicy Kairu.

Rozśmieszały go idiotyczne zwroty, które powtarzała:

- Czy miałby pan ochotę na odrobinę cukru? Czy miałby pan ochotę na odrobinę śmietanki?

Język opanowała w miarę przyzwoicie. I umiała dysponować pieniędzmi, to było widać na pierwszy rzut oka. W przeciwnym razie nie zdołałaby utrzymać tego domu, który zostawił jej brat - podobno jakiś mieszaniec.

Sęk w tym, że papę należało podejść ostrożnie. Właśnie z tego powodu nie wyjechał

jeszcze z Kairu. Bo ojciec musiał być w przekonaniu, że Henry czuwa przy Julie, pilnuje jej i tym podobne bzdury. Przed kilkoma dniami wysłał ojcu telegram z prośbą o pieniądze i jakąś idiotyczną wiadomością, że Julie ma się zupełnie dobrze. Po co miałby jeszcze jeździć z nią do Londynu? To byłby absurd. Musiał coś wymyślić.

Oczywiście nie było pośpiechu, mógł tu jeszcze zostać. Już jedenasty dzień szło mu doskonale.

Od pewnego czasu przestał wychodzić na zewnątrz, z wyjątkiem śniadań na dziedzińcu.

To lubił. Podobała mu się zupełna izolacja od świata. Podobał mu się niewielki staw i terakota, i nawet ta skrzecząca papuga Malenki, w barwie afrykańskiej szarości - najpaskudniejszy ptak, jakiego widział na oczy - nie była pozbawiona uroku.

W domu panowała obfitość, przesada, która mu odpowiadała. Późno w nocy budził się, umierając z pragnienia, odnajdował butelkę i siadał w stołowym, otoczony obszytymi tapicerką poduszkami, po czym słuchał nagrań fragmentów *Aidy*. Mrużył oczy i wszystkie barwy świata zlewały się w jedno.

Dokładnie takie wymarzył sobie życie: gra, alkohol, kompletne odosobnienie i ciepła, zmysłowa kobieta, która rozbierze się, gdy on pstryknie na nią palcami.

Zmuszał ją, żeby po domu chodziła w swoich kostiumach. Lubiał oglądać jej lśniący, płaski brzuch i obfite piersi, górujące nad purpurową, krzykliwą satyną. Lubiał jej wielkie, tanie kolczyki i delikatne, ach, delikatne włosy. Opadały jej na plecy, mógł złapać je garścią i delikatnie przyciągnąć kobietę.

Tak, była dla niego idealną towarzyszką. Prała mu koszule, prasowała ubrania i pilnowała, żeby nigdy nie brakowało tytoniu. Na życzenie przynosiła gazety i czasopisma.

Lecz na tym także niezbyt mu zależało. Świat zewnętrzny nie istniał. Z wyjątkiem snów o San Francisco.

Dlatego bardzo rozżłościł go przyniesiony telegram. Co z niego za głupiec, że zostawił w Pasterskim adres. Ale nie miał innego wyjścia. Bo jak odebrałby przysłane przez ojca pieniądze?

Lub drugi telegram? Rodziciela nie należało zbytnio drażnić, dopóki nie dojdą do jakiegoś porozumienia.

Francuz czekał z zimnym, nikczemnym wyrazem twarzy, gdy Henry rozdarł solną kopertę i zorientował się, że tym razem list nie jest od ojca, tylko od Elliotta.

- Niech to - mruknął. - Płyną tu. - Podał kopertę Malence. - Wyprasuj garnitur. Muszę wracać do hotelu.

- Teraz nie może pan zrezygnować - wtrącił się Francuz.

Niemiec zaciągnął się śmierzącym cygarem. Był jeszcze głupszy od Francuza.

- A kto powiedział, że rezygnuję? - Podniósł pulę, po czym zablefował i wszystkich nabrał.

Do Pasterskiego jeszcze zdąży, żeby przygotować im pokoje, ale sam nie będzie tam nocował. Tego niech się po nim nie spodziewają.

- To mi zupełnie wystarczy - oznajmił Niemiec, ukazując pośótkle zęby.

Za to Francuz będzie siedział co najmniej do dziesiątej albo jedenastej.

* * *

Kair. Za jego czasów była tu tylko pustynia, choć nieco na południe leżała Sakkara i grób pierwszego króla Egiptu, dokąd odbył pielgrzymkę. Potem odwiedził jeszcze wspaniałe piramidy wielkich przodków.

Powstała tutaj metropolia, na dodatek większa od Aleksandrii. Ta dzielnica brytyjska do złudzenia przypominała część Londynu, tyle że było tu cieplej. Chodniki, elegancko przycięte drzewa, obfitość samochodów, których silniki i klaksony straszyły wielbłądy, osły, tubylców. Hotel Pasterski - jeszcze jeden tropikalny pałac z obszernymi gankami, pełen wikliny i wyposażony w saluzje z listewek, z przedmiotami niejasno kojarzącymi się z Egiptem pośród angielskich sprzętów. Wszędzie kłębili się ci sami bogaci turyści, których widywał gdzie indziej.

Przed dwiema żelaznymi windami stała wielka reklama opery *Aida*. I takie wulgarne, obliczone na najniższe gusta malowidło przedstawiające dwoje starożytnych Egipcjan, zwartych w uścisku na tle palm i piramid. Na pierwszym planie owalny rysunek: współczesna para w tańcu.

BAL OPEROWY - PREMIERA - HOTEL PASTERSKI

Cóż, skoro tego chciała Julie... On osobiście wolałby duży teatr i potężną orkiestrę. Ach, tyle było do zobaczenia! Słyszał już o kinematografie.

Ale musi znieść te kilka ostatnich dni na ojczystej ziemi bez słowa skargi. Elliott zapowiadał, że jest tu dobra biblioteka. Wypożyczy stos podręczników i będzie się uczył, nocą wymykając się, by obejrzeć sfinksa i porozmawiać z duchami przodków.

Nie żeby wierzył, że naprawdę je spotka. Nie. Nic podobnego. Nawet w starożytności nie do końca wierzył w bogów, może dlatego, że poddani go ubóstwiali; a obrządek tak bardzo go wyczerpywał. Od samego początku wiedział, że nie jest śladnym bogiem.

Czyż bóg po wychyleniu eliksiru jednym ciosem brązowego miecza zabiłby kapłankę?

Ale on nie był człowiekiem, który się tego dopuścił. Tak, życie nauczyło go niewiele więcej poza okrucieństwem.

Teraz oddawał cześć duchowi współczesnej nauki. Marzyło mu się laboratorium, zaszyte w jakimś bezpiecznym zakątku, gdzie mógłby zanalizować składniki eliksiru. Oczywiście wszystkie znał i wiedział, że dzisiaj można znaleźć je tak samo łatwo, jak w Egipcie przed tysiącami lat. Dokładnie takie same ryby widział na targu w Luksorze. śaby - skaczące w mokradłach nad Nilem, gdzie dziko rosły potrzebne rośliny.

Pomyśleć tylko, że tak potężny specyfik był wynikiem połączenia prostych elementów.

Kto zdołałby je skojarzyć, jeśli nie jakiś starożytny mag, wrzucający wszystko do garnka niczym stara kobieta, gotująca zupę?

Laboratorium musiało jednak poczekać. Najpierw muszą odbyć z Julie wiele podróży. A jeszcze przedtem przyjdzie pora na bolesne poświęcenia. Gdy tak wyobrażał sobie, jak Julie poświęca się ze swym pięknym i opływającym w bogactwa światem, przebiegał go zimny dreszcz. Lęki nie miały znaczenia - za mocno ją kochał, żeby na nie zważać.

Pozostawał jeszcze Henry. Który nie odważył się pokazać od momentu ich powrotu.

Zamienił dom tancerki brzucha w Starym Kairze w gniazdo hazardu.

Urzednicy bardzo chętnie udzielali wszystkich informacji. Wygląda na to, że młody pan Stratford niezbyt sownie opłacał ich milczenie.

Ale na co Ramzesowi informacje, jeśli Julie nie pozwoli mu działać? Na pewno nie wolno pozostawić Henry'ego przy życiu, gdy będą odjeżdżać. Jak można tego dokonać, żeby Julie nie zaznała już żadnego cierpienia?

* * *

Elliott siedział na łóżku, tyłem do ozdobnego drewnianego zagłówka, z boków wisiały rozpięte płachty moskitiery. Miło było wrócić do apartamentu w Pasterskim.

Ból w biodrze był niemal nie do zniesienia. Długie przechadzki w Luksorze Abu Simbel kompletnie go wyczerpały. W płucach czuł niewielki skrzep, a serce już od kilku dni biło zbyt szybko.

Patrzył, jak Henry w zmiętym, płóciennym garniturze chodzi po małym, tunezyjskim dywanie w dziwacznej sypialni „kolonialnej”, zastawionej staromodnymi, przycięskimi sprzętami doby wiktoriańskiej, ze ścianami obitymi egipską tkaniną i wszędobylskimi krzesłami z wikliny.

Henry wyglądał jak skończony pijak. Cere miał jednocześnie woskową i rumianą, a ręce nie trzęsły się tylko dlatego, że zamiast krwi płynął w nich scotch.

Szklaneczka przed nim stała pusta, zaś Elliott nie miał bynajmniej zamiaru kazać Walterowi, żeby ją napełnił. Niechęć Elliotta do Henry'ego sięgnęła zenitu. Odrazą napełniał go z trudem zrozumiałą bełkot tego człowieka.

- ...nie ma najmniejszego powodu, żeby tam z nią wracał, ona potrafi się o siebie zatroszczyć. Nie

mam równieŜ zamiaru mieszkać w Pasterskim...

- Po co mi o tym wszystkim mówisz? - przerwał potok słów Elliott. - Po prostu napisz do ojca.

- Napisałem. Chciałbym tylko, Őebyś nie mówił mi, Őe zostałem w Kairze, gdy wy ruszyliście na tę szaloną wycieczkę na południe. Proszę cię, Őebyś stanął po mojej stronie.

- A to dlaczego?

- Bo wiem, na co ostrzysz sobie zęby. - Henry obrócił się na piętach i wpił w Elliotta oczy lśniące pijackim podnieceniem. - Wiem, dlaczego tu przyjechałeś. Nie ma to nic wspólnego z Julie! Zdajesz sobie sprawę, Őe on jest potworem. Utwierdził cię w tym przekonaniu przebieg podróŜy. Wiesz, Őe mówiłem prawdę o tym wyjściu z trumny...

- Twoja głupota przekracza wszelkie granice.

- Őe co proszę? - Henry pochylił się nad łóŜkiem, jakby chciał nastraszyć Elliotta.

- Widziałeś, jak nieśmiertelny człowiek wstaje z grobu. Dlaczego w takim razie bierzesz na ten widok nogi za pas, ty łotrze?

- To ty jesteś durniem, Elliott. To nienaturalne, to... potworne. A jeŜeli on spróbuje się do mnie zbliŜyć, rozgłoszę wszystko, co wiem. O nim i o tobie.

- Tracisz pamięć i samokontrolę. JuŜ wszystko rozgłosiłeś. Przez dwadzieścia cztery godziny byłeś pośmiewiskiem całego Londynu, co jest prawdopodobnie twoją jedyną zasługą wobec ludzi.

- UwaŜasz się za przebiegłego, ty Őebraku w skórze arystokraty. Próbujesz wynosić się ponad mnie. Zapomniałeś juŜ o naszym małym rendez - vous w ParyŜu? - Z ironicznym uśmieszkiem uniósł szklankę, by zorientować się, Őe jest pusta. - Przehandlowałeś tytuł za amerykańską fortunę. A teraz uganiaasz się za truchłem! Wierzysz w ten obłąkany pomysł z eliksirem.

- A ty nie?

- Nie.

- To jak wyjaśnić to, co widziałeś?

Henry urwał, rzucając dookoła gorączkowe, rozbiegane spojrzenia.

- To jakiś kawał, fortel. PrzecieŜ nie istnieje Őadna substancja, która daje ludziom wieczne Őycie. To bez sensu.

- MoŜe to gra luster. - Elliott zaśmiał się cicho.

- Őe co?

- Œe on wyszedł z trumny i próbował cię udusić.

Wzgarda w oczach Henry'ego zmieniła się w nienawiść.

- MoŒe powinienem zdradzić kuzynce, Œe ją szpiegujesz, Œe poŒadasz eliksiru. MoŒe jemu teŒ mam powiedzieć.

- Ona wie. On takŒe.

Zupełnie zbity z tropu, Henry popatrzył na pustą szklaneczkę.

- WynoŒ się stąd. Idź, dokąd cię oczy poniosą.

- Gdyby ojciec się z tobą kontaktował, zostaw mi kartkę na biurku.

- CzyŒby? Czy mam udawać, Œe nie wiem nic o twoim Œyciu z tą Malenką? Wszyscy o tym wiedzą. To sensacja z ostatniej chwili: Henry w starym Kairze przy stoliku do kart i tancerce.

Henry zaŒmiał się drwiąco.

Elliott spojrzeł w stronę okna. Łagodny, jasny blask słońca. Obejrzał się dopiero wtedy, gdy usłyszał odgłos zamykanych drzwi. Odczekał kilka minut, podniósł słuchawkę telefonu i poprosił o połączenie z recepcją.

- Czy macie adres Henry'ego Stratforda?

- Prosił, ŒebyŒmy go nie ujawniali, proszę pana.

- Mówi earl Rutherford, przyjaciel rodziny. Poproszę o adres.

Szybko go zapamiętał, podziękował recepcjoniŒcie i odłoŒył słuchawkę. Znał tę uliczkę w starym Kairze. Znajdowała się kilka kroków od Babilonu, francuskiego nocnego klubu, w którym tańczyła ta Malenka. Z Lawrence'em spędzili w nim wiele godzin na sporach, kiedy moŒna tam było jeszcze obejrzeć tańczących chłopców.

Umocnił się w postanowieniu, Œe jeszcze przed odjazdem musi dowiedzieć się od Ramseya jak najwięcej o wszystkim, co przydarzyło się Lawrence'owi w tamtym grobowcu.

Nie powstrzyma go przed tym nic, ani tchórzostwo, ani marzenia o eliksirze. Musiał poznać całą prawdę o postępkach Henry'ego.

Drzwi otwarły się bezszelestnie. To na pewno Walter, jedyny człowiek, który wchodził bez pukania.

- Wygodne pokoje, milordzie? - W jego głosie zabrzmiała zbytnia troskliwość. Pewnie usłyszał, jak

się klócili. Teraz kręcił się po pokoju, wycierając nocny stolik, poprawiając klosz lampki.

- Tak, tak, wygodne, Walterze, w porządku. A gdzie jest mój syn?

- Na parterze, milordzie. Czy mogę zdradzić panu mały sekret?

Walter pochylił się nad łóŜkiem i osłonił usta dłonią, jak gdyby stali w tłumie ludzi, a nie znajdowali się w obszernej, pustej sypialni, z której drzwi wychodziły jedynie na salon.

- Poznał tam ładną dziewczynę, Amerykankę nazwiskiem Barrington, milordzie. Bogata rodzina z Nowego Jorku. Ojciec siedzi w kolejach.

- A skąd ty o tym wszystkim wiesz? - Elliott uśmiechnął się.

Walter roześmiał się i opróŜnił popielniczkę z popiołu po cygarze, które wypaliło się samo, gdyŜ tak mocno draŜniło płuca Elliotta, Őe ten nie mógł go dokończyć.

- Od Rity, milordzie. Widziała go zaledwie godzinę po tym, jak się zameldowaliśmy. W

tej chwili pan Alex spaceruje z panną Barrington po hotelowych ogrodach.

- Tak, czyŜ nie byłoby to zajmujące, Walterze - Elliott pokiwał głową - gdyby nasz drogi Alex oŜenił się z amerykańską dziedziczką fortuny?

- Tak jest, milordzie, byłoby to ze wszech miar interesujące. Czy co do tamtego dŜentelmena nadal obowiązują te same zalecenia? - Znowu przybrał tajemniczą minę. - Czy mam znaleźć kogoś, Őeby go śledził?

Chodziło mu naturalnie o Ramzesa. Nawiązywał do bezwstydnego wynajęcia w Aleksandrii chłopca, który miał za nim chodzić.

- JeŜeli potrafisz urządzić to dyskretnie - zastrzegł Elliott. - Niech obserwują go noc i dzień, a potem donoszą mi o kaŜdym jego kroku.

Dał Walterowi zwitek banknotów, który tamten wsadził do kieszeni i natychmiast wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Elliott próbował głęboko zaczerpnąć tchu, lecz ból w piersi mu to uniemoŜliwiał.

Oddychał więc płytko i szybko. Patrzył na białe zasłonki, wydymane wpadającym przez okna wiatrem. Słyszał ruch na ulicach brytyjskiego Kairu. Rozmyślał o daremności wszystkich wysiłków - śledzenia Ramzesa w celu odkrycia jakiegokolwiek śladu eliksiru.

Czysty absurd. Intryga jak z powieści płaszczka i szpady, która tylko podsyciała obsesję Elliotta. ToŜsamość Ramzesa nie ulegała juŜ wątpliwości, a jeŜeli miał eliksir, to na pewno nosił

go przy sobie.

Było mu wstyd, ale nie dbał o to. Ważniejsza była tajemnica, do której nie miał żadnego dostępu. Równie dobrze mógłby pójść do niego i poprosić o eliksir. Mało nie przywołał z powrotem Waltera i nie powiedział, że wszystkie ich machinacje to nonsens. Mimo to w głębi duszy wiedział, że jeszcze raz odważy się przeszukać pokoje Ramzesa, a chłopiec śledzący faraona może udzielić cennych wskazówek na temat jego zwyczajów.

Elliott miał w końcu co robić, żeby nie rozmyślać o bólu w piersiach i biodrze. Zamknął oczy, a wtedy pojawiły się przed nimi kolosalne posągi w Abu Simbel. Nagle poczuł, że to ostatnia wielka przygoda w jego życiu, uświadomił sobie, że niczego nie żałuje, że nagrodą za wszystko było samo podniecenie.

A kto wie, dodał w myślach, może Alex znajdzie jakąś amerykańską dziedziczkę.

* * *

Tak, była śliczna, miała boski głos i tę iskrę w oku. Uroczo dotykała go palcem, gdy się śmiała. I jak ładnie się nazywała - panna Charlotte Whitney Barrington.

- Potem przyszło nam do głowy pojechać do Londynu, ale mówią nam, że o tej porze jest tam okropnie zimno i strasznie ponuro. Na dodatek ta wieża Tower, gdzie ścięli Annę Boleyn.

- Ale gdybym ja pokazał ci miasto, byłoby zupełnie inne!

- zawołał.

- A kiedy wracacie? O ile pamiętam, czekacie na operę? Wszyscy tutaj uparli się, żeby rozmawiać tylko o tym. Bardzo dziwne, jeżdżąc tak daleko tylko po to, żeby obejrzeć operę.

- Ale to *Aida*, moja droga.

- Wiem, wiem...

- Tak, idziemy na nią, wszystko zostało już zaplanowane. Ty naturalnie takś będziesz.

Co powiedziała byś na bal po przedstawieniu?

- Szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia o żadnym balu.

- Co za uroczy uśmiech. - Nie mam zbytnej ochoty iść na bal z mamą i tatą, i...

- W takim razie może wybierzesz się ze mną? Jakie cudowne, białe zęby.

- Z wielką przyjemnością, lordzie Rutherford.

- Proszę mówić do mnie Alex, panno Barrington. Lord Rutherford to mój ojciec.

- Aleś jest pan wicehrabią - oznajmiła ze zdumiewającą, amerykańską otwartością, i tym swoim ujmującym uśmiechem.

- Tak mi mówiono.

- Tak, to rzeczywiście prawda. Wicehrabią Summerfield.

- Co to takiego wicehrabia? - spytała.

Co za śliczne oczy, i spojrzenie, gdy się śmiała. Nagle w ogóle przestał mieć Henry'emu za złe, że przestaje z tą tancerką. W sumie lepiej, że nie kłuje nikogo w oczy swoim pijaństwem i hazardem.

Ciekawe, co Julie powiedziałyby o panie Barrington? On sam był zachwycony.

* * *

Samo południe. Ramzes siedział roześmiany w jadalni.

- Nalegam, żebyś wziął nóż i widelec - mówiła Julie.

- Przynajmniej spróbuj.

- Julie, nie chodzi o to, że nie potrafię! Po prostu wydaje mi się zupełnym barbarzyństwem wpychanie sobie jedzenia do ust przy pomocy kawałków srebra.

- Sęk w tym, że zdajesz sobie sprawę ze swojego uroku i wiesz, że wszyscy mu ulegają.

- W ciągu wieków nauczyłem się nieco taktu. - Ujął widelec, rozmyślnie trzymając go w zaciśniętej pięści.

- Przestań - wydusiła półgłosem.

Roześmiał się. Zostawił widelec i znów palcami włożył sobie do ust kęs kurczaka.

Schwyciła go za rękę.

- Ramzesie, jedz, jak należy.

- Kochanie, ja jem na wzór Adama i Ewy, Ozyrysa i Izydy, Mojżesza, Arystotelesa i Aleksandra.

Rozbroił ją, a że się roześmiała. Szybko skradł jej pocałunek. Po chwili twarz mu jednak pociemniała.

- Co będzie z kuzynem? - szepnął. Całkowicie ją zaskoczył.

- Czy musimy teraz o tym mówić?

- A mamy zostawić go w Kairze? Nie pomścimy zabójstwa twego ojca?

W oczach stanęły jej łzy. Rozgniewana, zaczęła szukać w torebce chusteczki. Nie widziała Henry'ego od chwili powrotu i wcale nie miała ochoty go oglądać. Nie wspominała o nim w liście do Randolpha. W tej chwili płakała równieś na myśl o połośeniu wuja.

- Zrzuć brzemień na mnie - szepnął Ramzes. - Dam sobie z nim bez trudu radę. Niech sprawiedliwości stanie się zadoś.

Gwałtownie zakryła mu dłonią usta.

- Wystarczy - upomniała go. - Nie teraz. Popatrzyl, co dzieje się za jej plecami, i cicho westchnął.

- Wygląda na to, że wycieczka do muzeum jest juś tutaj - stwierdził. - Nie wolno dopuścić, żeby Elliott zbyt długo stał na nogach.

Alex niespodziewanie nachylił się nad Julie i przelotnie ucałował ją w policzek. Co za przyzwoitoś. Wytarła nos i pospiesznie się odwróciła, żeby tamten nie zauważył na jej twarzy rumieńców.

- Wszyscy gotowi? - zagadnął. - Umówiliśmy się z naszym przewodnikiem po muzeum za piętnaście minut. Aha, żeby nie zapomniał, wyjście do opery jest dopięte na ostatni guzik.

Bilety do lośy, a potem rzecz jasna na bal. Ramsey, mój drogi, pozwól sobie oznajmić, że tego wieczoru nie będę rywalizował z tobą o względy Julie.

- Juś zakochany - powiedziała scenicznym szeptem Julie, kiwając głową. Pozwoliła Alexowi podać sobie ramię.

- Niejaka panna Barrington.

- Proszę cię, kochanie, o opinię na jej temat. Będzie z nami w muzeum.

- Chodźmy juś - wtrącił się Ramzes. - Twój ojciec ma się nie najlepiej. Dziwię się, że w ogóle się z nami wybiera.

- Bośe, czy ty wiesz, jakie znaczenie ma dla niektórych kairskie muzeum? - zdumiał się Alex. - A jest to najbrudniejsze i najbardziej zakurzone miejsce, jakie...

- Alex, proszę, za chwilę zobaczymy największe na świecie zbiory egipskich skarbów.

- Ostatnia próba - stwierdził Ramzes, ujmując Julie pod ramię. - Czy wszyscy królowie są na jednej sali?

- Słowo honoru, nigdy bym nie pomyślał, że jesteś tu po raz pierwszy - wykrzyknął Alex.

- Zagadkowy z ciebie człowiek, mój stary...

- Przestań - szepnął Ramzes.

Lecz Alex już go nie słuchał. Szeptał Julie, że chce usłyszeć jej opinię na temat panny Barrington. A panna Barrington była blondynką o zaróżowionych policzkach. Stała teraz w holu z Elliottem i Samirem. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest ładna.

- Pomyśleć tylko - szepnęła Julie - że potrzebujesz mojej aprobaty.

- Cii, to ona. Ta przy ojcu. Przypadli sobie do gustu.

- Alex, ona jest po prostu śliczna.

* * *

Przemierzali rozległe, pełne kurzu sale na parterze, słuchając przewodnika, który mimo wyraźnego egipskiego nalotu mówił szybko. Tak, całe mnóstwo skarbów, to nie ulegało wątpliwości. Wszystko złupione z grobowców. W dawnych czasach Ramzesowi nawet się nie śniło o takich rzeczach. Tu leżały za brudnym szkłem oświetlone słabymi lampami, ale mógł je zobaczyć każdy.

Wpatrywał się w posąg szczęśliwego skryby - małą, siedzącą po turecku figurkę z papirusem na kolanach, spoglądającą z zapalem w górę. Powinno go to wzruszać do łez.

Tymczasem czuł tylko jakąś niejasną radość, że tu przyszedł, że wypełnił swój obowiązek, zobaczył wszystko i teraz może wyjść.

W końcu weszli na imponującą klatkę schodową. Sale królewskie, próba, której się obawiał. Czuł u swojego boku obecność Samira.

- Możemy sobie tę odrażającą przyjemność, panie? Od wszystkich wieje grozą.

- Nie, Samirze, chcę znieść wszystko do końca.

Z trudem powstrzymał się od śmiechu, gdy wreszcie zorientował się, jak wygląda całość -

wielka komnata wypełniona szklanymi gablotami, podobnymi do tych w wielkich sklepach, gdzie towary leżały zabezpieczone przed palcami zbyt ciekawskich.

Mimo to na widok szerniałych, wyszczerzonych w uśmiechach twarzy przeżył tępy wstrząs. Słowa przewodnika dobiegały jakby z oddali, będąc zarazem zupełnie jasne i zrozumiałe.

- Mumia Ramzesa Przeklętego, odesłana ostatnio do Anglii, wciąż budzi kontrowersje.

Dotyczy kontrowersje. Tutaj mają państwo przed sobą autentycznego Ramzesa Drugiego, znanego również pod przydomkiem Ramzesa Wielkiego.

Przysunął się i spojrzał na okropną, kościstą postać, która nosiła jego imię.

- ...Ramzes Drugi, najwybitniejszy faraon Egiptu.

Widok wysuszonych kończyn nawet go bawił; po pewnym czasie uderzyła go oczywistość prawdy, uciskającej pierś niby jakiś fizyczny przedmiot, że gdyby nie zszedł wtedy do jaskini z tą nikczemną kapłanką, rzeczywiście leżałby teraz za szkłem. To znaczy leżałoby tutaj to, co by z niego pozostało. Raptem wszystkie przeżyte od tamtego momentu tysiąclecia zbladły, zmieniły się w jakąś odległą przeszłość. Pomyśleć tylko, że umarłby bez tej wiedzy, nawet bez świadomości, i...

Dźwięki. Julie powiedziała coś, czego nie dosłyszał. W głowie rozbrzmiewał jeden wielki ryk. Ni stąd, ni zowąd wyobraził sobie wszystkie te trupy na podobieństwo ciał, które wyciągnięto by z pieca. Z dojmującą jasnością ujrzał brudne szkło i rozpychających się turystów.

Usłyszał głos Kleopatry: „Gdy pozwoliłeś mi umrzeć, skazałeś na śmierć również mnie!

Teraz chcę znaleźć się przy nim, zabierz ten eliksir, nie będę go piła”.

Idą dalej? Czy Samir powiedział, że czas wychodzić? Powoli oderwał wzrok od obrzydliwej, zapadłej twarzy i zorientował się, że Elliott spogląda na niego bardzo dziwnym wzrokiem. Co chciał przez to okazać? Zrozumienie.

Ale jak on mógłby to pojąć? Mnie samemu przychodzi to z trudem.

- Chodźmy, panie.

Pozwolił Samirowi ująć się pod ramię i poprowadzić do wyjścia. Panna Barrington śmiała się chyba z czegoś, co szepnął jej do ucha Alex. Stojący nieopodal francuscy turyści wzniecali wprost przerażający zgiełk. Co za szorstki język.

Odwrócił się ku szklanej gablocie. Tak, trzeba stąd odejść. Czemu idziemy korytarzem na tył budynku? Obejrzelismy już chyba wszystko, co zostało ze snów i zapału tego narodu, wielkie, zakurzone mauzoleum, w którym młode dziewczęta wybuchają śmiechem, i mają zupełną rację.

Przewodnik zatrzymał się na końcu korytarza. O co chodziło? Jeszcze jedno ciało w gablocie, przecież w tym mroku nie da się nic zobaczyć. Przez brudne okno u góry przenikały tylko pojedyncze, kłębiące się od kurzu, nieśmiałe smugi światła.

- Ta nieznaną kobietą... osobliwy przypadek zachowania ciała w sposób naturalny.

- Tutaj nie wolno palić, prawda? - szepnął do Samira.

- Nie, panie, ale w każdej chwili możemy się wymknąć. Jeśli taka jest twoja wola, możemy zaczekać na pozostałych na zewnątrz...

- ...w połączeniu zmumifikowały zwłoki tej bezimiennej kobiety.

- Chodźmy - zdecydował. Położył dłoń na ramieniu Samira. Musi jednak powiadomić Julie, żeby się nie niepokoiła. Zrobił krok w jej kierunku i pociągnął ją za rękaw, jednocześnie rzucając okiem na kobietę w trumnie.

Serce zamarło mu w piersi.

- ...mimo że większa część całunu została już dawno zdarta - niewątpliwie w poszukiwaniu kosztowności - ciało tej kobiety idealnie zachowało się w mule delty, podobnie jak zwłoki odkrywane w bagnach na północy...

Falujące włosy, druga, smukła szyja, delikatny łuk ramion! I twarz, ta twarz! Nie wierzył własnym oczom! W głowie tętniło echo słów.

- ...nieznana kobieta... epoka Ptolemeuszów... grecko - rzymskie. Proszę zwrócić uwagę na egipski profil. Doskonały rysunek ust...

Skronie przeszył mu donośny śmiech panny Barrington.

Zatoczył się do przodu. Musnął rękę panny Barrington. Alex mówił coś ostrym tonem, zwracając się do niego po imieniu. Przewodnik mierzył go bacznym spojrzeniem.

Przebił wzrokiem szkło. Jej twarz! To ona - miękki całun wrósł w ciało, delikatnie zgięte dłonie, białe stopy, wiszące u kostek strzępy płótna. Wszystko czarne, czarne jak muł delty, który ją otaczał, ocalił, utwardził!

- Ramzesie, co się dzieje?

- Panie, czyś chory?

Mówili ze wszystkich stron. Otaczali go. Raptem ktoś go pociągnął, a on odwrócił się ze wściekłością.

- Nie, puszczaj!

Słyszał odgłos tłuczonego szkła. Włączył się sygnał alarmowy, rozdzierający jak krzyk przerażonej kobiety.

Spójrz na zamknięte oczy. To ona! Ona! żeby ją poznać, nie potrzebował imion, ozdób, pierścieni. To ona.

Pojawili się uzbrojeni mężczyźni. Julie mówiła coś błagalnym tonem. Panna Barrington bała się. Alex usiłował mu coś wytłumaczyć.

- Nie słyszę was. Nic nie słyszę. To ona. Bezimienna kobieta. - Ostatnia królowa Egiptu.

Jeszcze raz stracił leżącą mu na ramieniu dłoń. Stał nad gablotą. Chciał rozbić ją w drobny mak. Z jej nóg pozostały tylko kości; prawa dłoń wyglądała jak szkielet. Ale twarz, owa piękna twarz...
Moja Kleopatra.

W końcu dał się stamtąd wyprowadzić. Julie wypytywała, co się dzieje. Nie reagował.

Zapłaciła za wyrządzone szkody: gablotę, zniszczoną ekspozycję klejnotów. Ramzes chciał chyba wyrazić, że jest mu przykro.

Nic więcej nie pamiętał. Oprócz jej twarzy i ogólnego wrażenia - truchła, wydobytego z czarnej ziemi i umieszczonego na polerowanym drewnie, okutanego w zmarszczony całun, jak gdyby ciągle obmywały go rzeczne fale. I włosów, gęstych, falistych włosów. Cała postać jakby lśniła w półmroku.

Julie coś mówiła. W hotelowym pokoju paliło się łagodne światło. Chciał odpowiadać, lecz nie był w stanie. I jeszcze jedno wspomnienie, gdy w całym zamieszaniu odwrócił się i napotkał melancholijne spojrzenie szarych oczu Elliotta.

* * *

Oscar poganiał pana Hancocka i dwóch ludzi ze Scotland Yardu, którzy przemierzali szereg salonów w drodze do pokoju egipskiego. Tak, w ogóle nie powinien ich wpuszczać. Nie mieli prawa wstępu do tego domu. A teraz szli prosto do trumny z mumią.

- Panna Julie będzie się bardzo gniewać, proszę pana. To jej dom, proszę pana. I nie wolno niczego dotykać, przecieŜ to odkrycie pana Lawrence'a.

Hancock przypatrywał się pięciu złotym monetom Kleopatry za szkłem.

- Ale zachodzi moŜliwość, że monety zostały skradzione w Egipcie, proszę pana. Jeszcze przed skatalogowaniem zbiorów.

- Tak, naturalnie, masz zupełną rację. - Hancock wbił wzrok w trumnę.

* * *

Julie naląła mu wina. Ledwie na nie spojrział.

- MoŜe spróbowałbyś mi wszystko wyjaśnić? - szepnęła. - Poznałeś ją? To na pewno ona?

JuŜ wiele godzin siedział bez słowa. Późne popołudniowe słońce świeciło przez przezroczyście firanki. Wentylator pod sufitem obracał się powoli, monotonnie, skrzypiąc tępo.

Nie chciała od nowa płakać.

- Ale to niemoŜliwe... - Nie. Nie zdołałaby nawet wykrztusić tych słów. Mimo to znowu ujrzała obraz tej kobiety: złota tiara we włosach, poczerniała i lśniaca jak reszta jej ciała.

- To nie moŜe być ona...

Ramzes powoli odwrócił głowę w jej stronę. Twarde, Œarliwe spojrzenie.

- NiemoŒliwe! - wyszeptał zduszonym, zbolałym głosem. - WykopaliŒcie tysiące zmarłych Egipcjan. ObrabowaliŒcie piramidy, pustynne grobowce, katakumby. Nic nie jest tu niemoŒliwe!

- O mój BoŒe! - Po policzkach ciekły jej łzy.

- Wykradzione, wystawione na sprzedaŒ mumie - ciągnął. - Czy na tej ziemi jest choć jeden męŒczyzna, kobieta albo dziecko, których zwłoki nie zostałyby zbezczeszczone, wystawione na pokaz lub poćwiartowane?! Nie ma nic niemoŒliwego!

Przez moment wydawało się, Œe całkowicie straci panowanie nad sobą. Ale uspokoił się i po prostu patrzył na nią nieruchomymi oczami, które po chwili zmatowiały, jakby w ogóle jej nie widział.

- JeŒeli nie masz ochoty, wcale nie musimy przebywać w Kairze...

Raz jeszcze powoli się odwrócił i na nią popatrzył. Jakby budził się z głębokiego snu i cała ta rozmowa nie miała miejsca.

- Nie - oŒwiadczył. - Teraz nie wolno wyjeŒdŒać. Nie chcę...

Głos zamarł mu w krtani, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co mówi. Wstał i wyszedł powoli z pokoju, nawet się na nią nie oglądając.

Patrzyła, jak zamykają się drzwi. Słyszała jego kroki na korytarzu i wtedy łzy popłynęły z jej oczu z nową siłą.

Co miała począć? Co przyniesie mu pociechę? Czy gdyby uŒyła wszystkich swych wpływów, ciało usunięto by z wystawy i godnie pogrzebano? Mało prawdopodobne. Taka proŒba sprawiłaby wraŒenie nierozsądnego kaprysu. W końcu wystawiano niezliczone mumie monarchów!

Jednak nawet gdyby tego dopieła, zachodziła obawa, Œe na nic by się to juŒ nie zdało. Do głębi wstrząsnął nim sam widok trupa, a nie sposób, w jaki go potraktowano.

* * *

Dwaj funkcjonariusze z niepokojem obserwowali pracownika British Museum.

- PowinniŒmy odejŒć, proszę pana. Nie mamy nakazu sądowego, Œeby naruszyć trumnę.

PrzyszliŒmy tu dla sprawdzenia monet i wykonaliŒmy zadanie.

- Bzdura - odpalił Hancock. - Trzeba skorzystać z nakazu i sprawdzić wszystko. Naszym celem jest zapewnienie nienaruszalności zbiorów. Przed wyjŒciem chcę jeszcze sprawdzić, Œe mumii nie stała się Œadna krzywda.

- AleŒ, proszę pana - interweniował Oscar.

- JuŜ dosyć, mój dobry człowieku. Twoja pani wyjechała do Kairu, pozostawiając tutaj bezcenny skarb. Bez naszego pozwolenia. - Zwrócił się do przedstawicieli prawa. - Otwierajcie trumnę - nakazał stanowczo.

- Wcale mi się to nie podoba, proszę pana, wcale a wcale - oświadczył Trent.

Hancock wyminął go i, zanim tamci zdąŜyli zareagować, uniósł wieko. Galton usiłował je złapać, Őeby nie uderzyło o podłogę. Oscar tylko sapnął.

Wewnątrz znajdowała się poczerniała, skurczona mumia.

- Co tu się do diaska wyprawia? - rozjuszył się Hancock.

- A co ma pan na myśli? - zainteresował się Trent.

- Od tej chwili wszystko wraca do muzeum.

- AleŜ, proszę pana...

- To nie ta sama mumia, głupcze. Ta pochodzi od jakiegoś londyńskiego handlarza!

Widziałem ją na własne oczy. Proponowano mi jej zakup. Do diabła z tą kobietą! Ukradła sensację stulecia!

* * *

Było juŜ dobrze po północy. Z lokalów rozrywkowych przestały dobiegać dźwięki muzyki. Kair spał.

Elliott szedł pogrąŜonym w mroku dziedzińcem między dwoma skrzydłami Hotelu Pasterskiego. Drętwiała mu lewa noga, ale nie zwaŜał na to. Raz po raz spoglądał na sylwetkę, przemierzającą apartament na piętrze. Cień przemykający się między szczelinami Őaluzji to był

Ramsey.

W pokoju Samira było ciemno. Őwiatło u Julie zgasło godzinę temu. Alex juŜ dawno leŜał

w łóŜku, przejęty stanem Ramseya i zachodzący w głowę, czy teŜ Julie nie zakochała się w szaleńcu.

Postać stanęła. Podeszła do Őaluzji. Elliott stał jak wmurowany w lodowatych ciemnościach. Patrzył, jak Ramsey spogląda na nocny firmament i, być moŜe, na wielką sieć gwiazd, zarzuconą nad dachami miasta.

Potem usunął się z pola widzenia.

Elliott odwrócił się i pokuŐtykał w stronę drzwi do holu. Dotarł do ciemnego foyer za recepcją, gdy na wielkiej klatce schodowej ukazał się Ramsey. Kierował się w stronę wyjścia, na ramiona opadała

mu zmierzwiona grzywa brązowych włosów.

Jestem szalony, pomyślał Elliott, znacznie bardziej niż on.

Schwycił laskę i udał się w ślad za tamtym. Gdy wyszedł, ujrzał postać Ramseya, przemierzającą szybkim krokiem plac. Ból w nodze zmuszał Elliotta do zaciśnięcia zębów, ale mimo tego ruszył dalej.

Po kilku minutach Ramsey dotarł do muzeum. Elliott obserwował, jak tamten odchodzi od głównego wejścia w kierunku prawego krańca budynku, ku płonącemu w zakratowanym oknie światłu.

Śółte światło pochodziło z niewielkiej klitki na tyle. StraŜnik siedział rozwalony na krześle i błogo chrapał. Tylne drzwi stały otworem.

Elliott wszedł wolnym krokiem do środka. Szybko przeszedł puste sale na parterze i skierował się ku potężnym sylwetkom monarchów. Dotarł do wielkiej klatki schodowej, schwycił

za balustradę i zaczął wspinać się stopień po stopniu, starając się nie obciążać bolącej nogi i poruszać bezszelestnie przez rzedniejący mrok.

Korytarz wypełniało szare światło. W oknie na końcu widać było coraz bledsze niebo.

Tam teŜ, obok długiej, płytkej gabloty, stał Ramsey. Zwłoki kobiety w strzępach całunu błyszcząły niczym węgiel. Ramsey pochylił głowę jak człowiek oddający się modlitwie.

Chyba coś szeptał. A może płakał? Widać było jego ostro zarysowany profil, potem ruch ręki, gdy sięgał pod płaszcz i wyciągał coś, co zabłysło w mroku.

Szklana fiolka pełna fosforyzującego płynu.

O BoŜe, on chyba nie zamierza... Co to za napój, Őe w ogóle powstała mu w głowie taka myśl? Elliott ledwie powstrzymał krzyk. Mało nie podszedł do tamtego i nie złapał go za rękę.

Ale gdy Ramsey otworzył fiolkę, gdy rozległo się tarcie metalowej zatyczki, Elliott przywarł do ściany korytarza i skrył się za wysoką szafą ze szkła.

Jak ta odległa postać emanowała cierpieniem. Stał nad gablotą z fiolką w jednej ręce, a drugą odgarniał włosy z czoła.

Wtem Ramsey odwrócił się i ruszył korytarzem w stronę Elliotta, nie dostrzegając go jednak.

Zmieniła się natura światła. Dało się wyczuć pierwszą poświatę słońca, matowe, metalowo - szare promieniowanie; delikatne, szare drŜnienie światła wylaniało z mroku wszystkie szklane gabloty i szafy, rozstawione na długim korytarzu.

Ramsey obrócił się. Elliotta dobiegło westchnienie. Czuł mękę tamtego. Co za obłąd, coś nieludzkiego.

Bezradnie patrzył, jak Ramsey wraca do gabloty, bez trudu odrywa lekką pokrywę ze szkła w drewnianej oprawie, odkłada ją na bok niczym okładkę książki, zyskując dostęp do martwej postaci we wnętrzu.

Jego gesty nabrały nagle tempa. Krople białego, lśniącego płynu spływały na trupa, zaś Ramsey przesuwiał fiolkę nad całą długością ciała.

- To na nic, nie może zadziałać - wyszeptał półgłosem Elliott. Jeszcze mocniej przywarł do ściany, patrząc przez szklane boki szafy.

Przerazony, nie mógł jednak oderwać wzroku od Ramseya, który rozprowadzał płyn po nogach kobiety. Widział, jak czule się pochyla, jakby wlewał jej płyn do ust.

W mroku rozległ się syk. Elliott westchnął. Ramsey zatoczył się do tyłu, oparł o ścianę.

Fiolka wypadła mu z ręki i potoczyła się po kamiennej posadzce, wewnątrz jeszcze lśniła odrobina eliksiru. Ramsey wpił wzrok w leżącego przed nim trupa.

Ciemna bryła ciała poruszyła się w trumnie. Elliott wszystko widział. Cichy, chrapliwy odgłos, jak gdyby oddech.

O Boże, człowieku, coś ty zrobił? Co zbudziłeś?

Drewniane części gabloty gwałtownie zaskrzypiały. Cienkie nośki jakby się zatrzęśły.

Ciało wewnątrz poruszało się, wstawało.

Ramsey cofnął się. Z ust wyrwał mu się stłumiony okrzyk. Elliott widział, jak postać za tamtym siada. Drewniana skrzynia rozpadła się i runęła na podłogę, odgłos upadku rozniósł się donośnym echem po muzeum. Kobieta stanęła na nogach! Wielka grzywa czarnych włosów spływała na ramiona na podobieństwo gęstych kłębow dymu. Poczerniała skóra bladła, przekształcała się. Stworzenie wydało upiorny jęk. Uniosło kościstą rękę.

Ramsey odsuwał się od niej. Wypowiadał rozpaczliwą modlitwę, pełną staroegipskich imion bogów. Elliott zakrył usta dłonią.

Zbudzona istota szła do przodu, bosa stopy skrobały o posadzkę z odgłosem wydawanym przez szczury w ścianach. Opuściła ręce, a następnie wyciągnęła je ku Ramseyowi.

W olbrzymich oczach, pozbawionych powiek, błyszczało światło. Włosy wiły się, nabierając blasku, czerniejąc i opadając na wychudzone ramiona.

Boże, co to za białe plamy na jej ciele? To kości, kości w miejscach, gdzie ciało odpadło, być może całe wieki temu! Goła kość w lewej nodze, w prawej stopie, w palcach, wyciągniętych ku Ramseyowi.

Nie jest cała. Wskrzesiłeś coś, co nie jest całością.

W oknie u góry zajaśniało światło. Popielisty mrok przebiły pierwsze promienie. W miarę jak Ramsey cofał się, potykając, mijając Elliotta i docierając do schodów, stworzenie nabierało szybkości i sunęło w kierunku słonecznego blasku.

Gdy do niego dotarło, wyciągnęło ręce, jak gdyby chciało pochwycić promienie słońca, i z ust wymknął mu się rozpaczliwy, pełen paniki jęk.

Pomarszczone ciało dłoni nabrało brązowego odcienia. To samo działo się z twarzą, która jaśniała, bladła i pod wpływem słońca nabierała coraz bardziej ludzkich rysów.

Elliott zamknął oczy. Mało nie stracił przytomności. Dobiegł go jakiś hałas na parterze.

Trzaśnięcie drzwiami na tyle budowli.

Otwarł oczy i ujrzał, że ta istota coraz bardziej się przybliża. Obejrzał się przez ramię i zobaczył Ramseya, przywartego do balustrady schodów, z wyrazem nieskrywanej trwogi w oczach.

Boże, broń mnie. Elliott uczuł w piersiach pieczenie, znajomy ucisk. Ból przeszył mu lewe ramię; zacisnął rękę na lasce. Siłą woli przykazał sobie oddychać, nie upaść.

Szkielet nabierał ciała. Miało ono barwę taką samą jak skóra Elliotta, ramiona zupełnie skryła burza czarnych włosów. I strój - zmieniał się nawet strój. W miejscach, gdzie padły krople eliksiru, pojawiała się na powrót białe płótno. Stworzenie zajęczało, ukazując zęby razem z dziąsłami. Wezbrały piersi, płócienne łachmany opadły, ukazując pełne, kobiece kształty, i plątały się między nogami, które niestrudzenie parły do przodu.

Oczy wpiła w mężczyznę na końcu korytarza. Ciężko dyszała. Usta wykrzywiły się.

Rozgardiasz na dole. Dźwięk gwizdka. Męski głos, krzyczący po arabsku.

Ramzes zatoczył się. Wbiegali po schodach. Ich krzyki mogły oznaczać tylko jedno: dostrzegli go.

W popłochu zwrócił się ku coraz bliższej postaci kobiety.

Z ust wyrwał jej się chrapliwy okrzyk.

- Ramzesie!

Earl zamknął oczy. Gdy je na nowo otworzył, kobieta mijała go z rozwartymi ramionami.

Rozległ się okrzyk: „Stać!” Potem padł strzał. Istota zapiszczała i zakryła uszy. Zatoczyła się do tyłu. Ramzes został trafiony kulą, obrócił się na pięcie w kierunku nadbiegających mężczyzn, potem na powrót ku postaci kobiety. Kolejna salwa! Ogłuszający huk odbił się echem od ścian korytarza. Ramzes upadł na marmurową balustradę.

Kobieta zadrżała, wciąż nie odrywając dłoni od uszu. Zdawało się, że traci równowagę, objając się o kamienne sarkofagi po drugiej stronie korytarza. Gdy znowu zabrzmiał gwizdek, ryknęła przerażona.

- Ramzesie! - Był to krzyk zranionego zwierzęcia.

Elliott znowu mało nie stracił przytomności. Zamknął oczy i usiłował nabrać w płuca powietrza. Lewa ręka, ściskająca łaskę, całkowicie zdrętwiała.

Słyszał, jak strażnicy wloką Ramzesa korytarzem. Faraon wyraźnie im się opierał. Lecz było ich zbyt wielu.

A kobieta?! Przepadła. Po chwili raz jeszcze usłyszał, jak szura nogami o kamienną posadzkę. Przez szkło stojącej obok gabloty wypatrzył, Œe zmierza w głąb korytarza. Jęcząc, zniknęła za jakimiś bocznymi drzwiami.

Na parterze ucichło. Zapewne Ramzesa wyprowadzono z muzeum. Nie ulegało jednak wątpliwości, Œe za chwilę zaczną przetrząsać wnętrza.

Zupełnie ignorując ból w piersi, Elliott ruszył korytarzem. Otworzył boczne drzwi dokładnie w momencie, gdy kobieta zniknęła u stóp schodów gospodarczych. Błyskawicznie odwrócił się, zaglądając pod gabloty. Wypatrzył szklaną fiolkę, lśniąca cały czas w szarym świetle. Przykląkł na jedno kolano i zdołał jej dosięgnąć. Po czym zatkał wieczko i schował ją do kieszeni płaszcza.

Starając nie poddać się fali mdłości, schodził powoli po schodach, idąc śladem kobiety.

Zdrętwiała lewa noga bardzo utrudniała mu poruszanie się. Wypatrzył ją w połowie drogi - oszołomioną, zataczającą się, na podobieństwo szponu wyciągającą jedną rękę, by macać w ciemności.

Ni stąd, ni zowąd otworzyły się jakieś drzwi, przez które do korytarza wpadło Œólte światło; wynurzyła się z nich sprzątaczką, odziana w muzułmański, czarny strój z wełny. W

prawej ręce trzymała szczotkę.

Nadchodzącą, kościstą postać zauwaŜyła w mgnieniu oka. Wydała przeraźliwy krzyk, wypuszczając szczotkę, a następnie czmychnęła z powrotem do oświetlonego pomieszczenia.

Zraniona cicho syknęła, a potem znowu wydała ten obezwładniający ryk, później pognęła za wrzeszczącą sprzątaczką, wyciągając ręce, jak gdyby chciała zdusić krzyk kobiety.

Elliott szedł, jak mógł najszybciej. Gdy dotarł do uchylonych drzwi, krzyki zdały juŜ

ustać. Wchodząc, ujrzał bezwładnie osuwające się na podłogę, martwe ciało posługaczki. Widać było, Œe złamano jej kark i wyrwano mięso z policzków. Szkliste oczy patrzyły pusto. A stwór w łachmanach przeszedł przez trupa i ruszył w kierunku wiszącego nad umywalką lustro.

Gdy zobaczyła swoje odbicie, z gardła wyrwał jej się pełen cierpienia, Œałosny szloch.

Sapiąc i cała się trzęsąc, dotknęła szklanej tafli.

Elliott jeszcze raz mało nie upadł. Widok martwego ciała i upiornej figury przed lustrem był nie do zniesienia. Przytomność przywracała mu jednak niezmiernie fascynująca, która przywiodła go do muzeum. Pora ruszyć głową. Do diabła z bólem w piersiach i popłochem, który napływał mu do gardła falą mdłości.

Szybko przymknął za sobą drzwi. Hałas wystraszył stworzenie. Obróciła się, znów wyciągając ręce do ataku. Na moment sparaliżowała go groza tego widoku. Światło padające z Śarówki było bezlitosne. Gałki oczne trupa tkwiły w na poły wyjedzonych oczodołach. W

olbrzymiej ranie na boku lśniły białe Śebra. W jej twarzy brakowało połowy ust, a z obnażonego odcinka obojczyka sączyła się krew.

BoŚe, co za cierpienie! Jak musi cierpieć nieszczęsna!

Warknęła cicho i naparła na niego. Elliott szybko odezwał się po grecku.

- Przyjaciel. Jestem twoim przyjacielem i chcę cię ochronić. - Gdy zabrakło greckich słów, przeszedł na łacinę. - Zaufaj mi. Nie pozwolę, Śeby stała ci się krzywda.

Nie spuszczając jej ani przez chwilę z oczu, sięgnął pojedna z czarnych peleryn, które wisiały na ścianie. Tak, tego jej było potrzeba - takiej workowatej szaty, jakie muzułmanki nosiły w miejscach publicznych. MoŚna nią było zakryć kobietę od stóp do głów.

Podszedł do niej bez lęku, zarzucił jej pelerynę na głowę i otulił ramiona. Ona zaraz podniosła ręce, Śeby mu pomóc i okryli jej głowę tak, Śe widać było tylko wystraszone oczy.

Wyprowadził ją na korytarz, zamykając drzwi, Śeby zwłoki nie pozostawały na widoku. Z

piętra nad nimi dochodziły krzyki i rozgardiasz. Słyszał głosy w pokoju na końcu korytarza.

ZauwaŚył po prawej stronie drzwi gospodarcze. Wyszli w zaułek, gdzie zalały ich potoki słonecznego blasku.

Po chwili muzeum zniknęło im z oczu. Wtopili się w nieprzeliczony tłum muzułmanów, Arabów i Europejczyków, wszechobecny w Kairze - tysiące spieszących we wszystkich kierunkach pieszych, nie zwaŚających na klaksony automobili i hurgot zaprzęŚonych w osły wózków.

Kobieta zeszywniała na dźwięk klaksonów. Na widok przejeŚdŚającego automobilu odskoczyła, krzycząc przez zaciśnięte zęby. Elliott znowu odezwał się po łacinie, uspokajając, Śe się nią zajmie, Śe będzie bezpieczna.

Trudno było powiedzieć, co z tego rozumiała. Po chwili wymówiła cichym, bolesnym głosem łacińskie słowo oznaczające jedzenie.

- Jeść i pić! - wyszeptała. Wybełkotała jeszcze coś, czego nie rozumiał. Coś wyglądającego na

modlitwę lub przekleństwo.

- Tak - odparł po łacinie, co przychodziło mu tym łatwiej, że wiedział, iż ona ją zna. -

Zaspokoję wszystkie twoje potrzeby. Zajmę się tobą. Zaufaj mi.

Gdzie mógł ją zabrać? Przyszło mu do głowy tylko jedno. Musiał przedostać się do starego Kairu. Ale czy odważy się usadowić ją w taksówce? Zatrzymał przejeżdżającą konną dorożkę. Bez wahania weszła na skórzane siedzenie. A on jak tego dokona, skoro ledwie zipie i lewa noga jest niemal bezużyteczna? Prawą stanął mocno na stopniu i, używając prawej ręki, wywindował się w górę. Resztkami sił opadł na siedzenie obok zamaskowanej postaci i powiedział woźnicy, dokąd ma się kierować.

Keb ruszył naprzód, dorożkarz pokrzykiwał na przechodniów i strzelał z bata.

Nieszczęsne stworzenie obok Elliotta krzyknęło łamiącym się głosem i kompletnie zasłoniło twarz.

Objął ją, nie zwracając uwagi na twarde, sterczące kości, które było czuć przez czarną szatę. Przycisnął się do niej, stopniowo odzyskując dech, i raz jeszcze powiedział, że jest jej przyjacielem, że będzie się o nią troszczył.

Dorożka wyjechała już z brytyjskiej partii miasta, podczas gdy on próbował zebrać myśli. Wstrząśnięty i obolały, nie potrafił znaleźć żadnego racjonalnego wytłumaczenia dla tego, co widział i czego sam dokonał. Gdzieś w głębi świadomości czało się tylko to, że był

świadkiem cudu i morderstwa. Pierwsze znaczyło dla niego o wiele więcej niż drugie. Znaczyło, że wszedł na drogę, z której nie było już odwrotu.

* * *

Julie całkiem się jeszcze nie rozbudziła, bo chyba opacznie pojęła słowa brytyjskiego urzędnika, który stał w drzwiach?

- Zatrzymany? Za włamanie do muzeum? Nie wierzę.

- Panno Stratford, on odniósł poważne rany. Dzieją się pewne niezrozumiałe rzeczy.

- Niezrozumiałe?

* * *

Lekarz wściekał się. Skoro ten człowiek był ciężko ranny, powinien chyba leżeć w szpitalu, a nie na zapleczu więzienia.

- Puszcząć - krzyknął stojącym mu na drodze mundurowym. - Co to, na Boga, pluton egzekucyjny?

Co najmniej dwadzieścia strzelb było wycelowanych w stojącego pod ścianą, wysokiego,

niebieskookiego męszczyznę. Koszulę miał pokrytą zakrzepłą krwią. Pod przestrzelonym ramieniem również widać było krew. Patrzył na lekarza wystraszonym wzrokiem.

- Nie podchodź! - wołał. - Nie wolno ci mnie badać. Nie dotkniesz mnie instrumentami medycznymi. Nic mi nie jest i chcę się stąd wydostać.

- Pięć kul - szepnął doktorowi do ucha policjant. - Mówię panu, na własne oczy widziałem rany. Niemożliwe, żeby wytrzymał takie...

- Chciałbym się panu przyjrzeć! - Lekarz usiłował podejść bliżej.

Pierwsze uderzenie wytrąciło mu z rąk czarną torbę. Padł strzał, gdy męszczyzna natarł na policjantów, przypierając ich do ściany. Lekarz ukląkł. Okulary spadły mu na ziemię. Poczul, jak rękę depte mu cięsko obuta noga, gdy funkcjonariusze w popłochu uciekali z pomieszczenia.

Znowu wystrzał. Okrzyki i przekleństwa po egipsku. Gdzie są jego okulary? Musi je odnaleźć.

Raptem czyjaś ręka pomogła mu wstać. Okulary znalazły się w jego dłoni; natychmiast je założył.

Ujrzał twarz kulturalnego Anglika.

- Nic panu nie jest?

- Co się do diaska stało? Gdzie on jest? Czy znowu go postrzelili?

- On jest silny jak byk. Wyłamał drzwi razem z kratami. Uciekł.

* * *

Dzięki Bogu był przy niej Alex. Nigdzie ani śladu Elliotta. Samir udał się na policję dla zasięgnięcia języka. Gdy wchodziła z Alexem do biura, z ulgą zorientowała się, że czeka na nich asystent gubernatora, Miles Winthrop, a nie gubernator we własnej osobie. Miles był kolegą Alexa ze szkolnej ławy. Julie знаła go od małego.

- Miles, to jakieś nieporozumienie - zaczął Alex. - Nie ma innej możliwości.

- Miles - włączyła się Julie - myślisz, że uda ci się wyciągnąć go z więzienia?

- Julie, sytuacja jest bardziej skomplikowana niż sądziliśmy. Po pierwsze, Egipcjanie niezbyt lubią tych, którzy włamują im się do znanego na całym świecie muzeum. Do tego dochodzi podejrzenie o kradzież i morderstwo.

- O czym ty mówisz? - wyszeptwała.

- Miles, Ramsey nie skrzywdziłby nawet muchy - oświadczył Alex. - To jakaś niedorzeczność.

- Obyś miał rację, Alex. Ale w muzeum znaleziono martwą sprzątaczkę ze skrzyconym karkiem. A z

gabloty na drugim piętrze zniknęła mumia. Wasz przyjaciel natomiast uciekł z więzienia. Powiedzcie mi, tylko szczerze, jak dobrze go znacie?

* * *

Biegając co sił po dachu, jednym susem przeskoczył wyłaniający się przed nim zaułek. W mgnieniu oka przemierzył kolejny dach, zeskoczył na następny i przeleciał nad następną ulicą.

Dopiero wtedy się odwrócił. Pogoń straciła trop. Słyszał odległy, cichy wystrzał.

Niewykluczone, że strzelali do siebie nawzajem. Było mu wszystko jedno.

Zeskoczył na ulicę i puścił się pędem. Po chwili ulica przeszła w aleję. Otaczające go domy miały wysokie okna z drewnianymi żaluzjami. Zniknęły brytyjskie sklepy i szyldy po angielsku. Mijał przewaśnie Egipcjanki, z reguły idące po dwie, z twarzami i włosami ukrytymi pod strojem. Błyskawicznie odwracały wzrok od jego skrwawionej koszuli i podartych ubrań.

W końcu stanął w jakichś drzwiach i włożył rękę pod płaszcz. Rana zasklepiła się na powierzchni, choć głębiej czuł pulsowanie. Wymacał szeroki pas z pieniędzmi. Fiolki były nietknięte.

Przekłęte! Po co w ogóle zabierał eliksir z londyńskiej kryjówki?! Byłoby lepiej, gdyby zapieczętował proszek w glinianym naczyniu i utopił je w morzu!

Co żołnierze poczęliby z płynem, gdyby się do niego dobrali? Wolał nie myśleć o tej ewentualności, o którą otarł się przecieś o włos.

Teraz naleśało wrócić do muzeum! Musi ją odnaleźć! Nie mógłby znieść myśli o tym, że mogło jej się coś złego przytrafić.

Jeszcze nigdy nie prześywał takich wyrzutów sumienia. Stało się! Uległ pokusie.

Wskrzesał na wpół rozłożonego trupa.

Teraz musi odnaleźć efekty swojego szaleństwa. Musi dowiedzieć się, czy trup zachował choć iskierkę inteligencji.

Czemu miałby w to wątpić? Ona odezwała się do niego po imieniu!

Spiesznym krokiem ruszył aleją. Potrzebował jakiegoś przebrania. Nie było czasu na zakupy. Musiał zdobyć je gdzieś tutaj. Pranie, widział je wiszące na sznurach. Parł naprzód, dopóki nie zobaczył takiego właśnie sznura, uginającego się pod ciężarem ubrań w wąskim zaułku po lewej stronie.

Strój Beduina - szata z długimi rękawami i turbanem. Jednym ruchem ściągnął je ze sznura. Cisnął swoją marynarkę i przebrał się, po czym odciął kawałek sznurka, którym obwiązał

głowę.

Wyglądał całkiem jak Arab, może z wyjątkiem niebieskich oczu. Wiedział jednak, że może sobie kupić parę ciemnych okularów. Widział takie na bazarze. Ale to już w drodze powrotnej do muzeum. Zerwał się do biegu.

* * *

Henry nie trzeźwiał od wczorajszego powrotu z Pasterskiego. Krótka wymiana zdań z Elliottem wywarła osobliwy efekt: utracił pewność siebie.

Próbował przekonywać się, że nienawidzi Elliotta Savarella i że sam wyjeżdża niedługo do Ameryki, gdzie jego oczy nigdy nie napotkają nikogo pokroju earla.

Mimo wszystko spotkanie nie dawało mu spokoju. Ledwie nieco wytrzeźwiał, natychmiast pojawiały się oczy tamtego, wpatrzone w niego z bezwzględną pogardą. Słyszał w jego głosie chłodną nienawiść.

Ale ten Elliott miał tupet, że tak go atakował. Przed laty, po przelotnym i bezsensownym romansie, w zasięgu Henry'ego leżało zniszczenie Elliotta, lecz nie zdecydował się na to tylko z tego względu, że byłoby to okrutne. Zawsze zakładał, że Elliott jest mu wdzięczny, że jego uprzejmość i cierpliwość była właśnie tego oznaką. Bo że Elliott zawsze okazywał mu nienaganną grzeczność.

Wszystko odmieniło się wczoraj. Najokropniejsze było jednak to, że nienawiść Elliotta była zwierciadlanym odbiciem niechęci, jaką Henry darzył wszystkich znanych sobie ludzi. To rozgoryczyło Henry'ego, jednocześnie przerażając.

Muszą zejść mi z oczu, wszyscy, wszyscy, rozumował. Tylko mnie krytykują i oceniają, podczas gdy sami nie są warci złamanego szeląga.

Gdy wyjadą z Kairu, on doprowadzi się do porządku, przestanie pić, zamieszka w Pasterskim i prześpi w spokoju kilka dni. Następnie dobije targu z ojcem i ruszy do Ameryki, zabierając pokaźną fortunę, którą udało mu się zaoszczędzić.

Póki co jednak nie miał zamiaru przerywać sobie dobrej zabawy. Dzisiaj nie będzie kart, po prostu siądzie i będzie rozkoszował się scotchem. Będzie drzemał w ratanowym fotelu, a kiedy przyjdzie mu ochota, zje to, co przygotowuje Malenka.

Ostatnio ona stawiała się uciążliwa. Właśnie przyrządziła angielskie śniadanie i nalegała, żeby usiadł przy stole. Uderzył ją wierzchem dłoni i kazał zostawić w spokoju.

Nie zważając na to, kontynuowała przygotowania. Z kuchni dobiegał gwizdek czajnika.

Na ratanowym stoliku na dziedzińcu znalazła się porcelanowa zastawa.

Niech ją wszyscy diabli. On miał swoje trzy butelki scotcha, które mu zupełnie wystarczą.

MoŜe potem nadarzy się okazja i uda się zamknąć przed nią drzwi. Wprost uwielbiał siedzieć sam w domu. Pić, palić i marzyć. Ewentualnie słuchać jeszcze gramofonu. Zaczynał się nawet przyzwyczajać do tego przeklętego ptaka.

Gdy tak drzemał, papuga bez przerwy skrzeczała i ćwierkała, chodząc do góry nogami po suficie klatki. Afrykańskie, szare papugi lubiły takie rozrywki. Jemu ptaszysko kojarzyło się z olbrzymim robakiem. MoŜe powinien ją zabić, gdy Malenki nie będzie w domu.

Czuł, Ŝe odpływa, Ŝe jest na krawędzi snu. Wypił jeszcze łyk scotcha, tak łatwo przechodził przez gardło. Wreszcie głowa opadła mu na bok. Dom Julie; biblioteka; to truchło za jego plecami; uwięzły w gardle krzyk.

- BoŜe! - podskoczył, szklaneczka wypadła z ręki. Gdyby tylko przestał prześladować go ten sen...

* * *

Elliott musiał złapać oddech. Dwoje ogromnych oczu spoglądało na niego znad czarnej serŜy. Chyba próbowały zmruŜyć się w słońcu, ale nadjedzone powieki nie chciały się domknąć.

Kobieta naciągnęła tkaninę, jak gdyby nie chciała, Ŝeby ją oglądał.

Szepnął cicho po łacinie, upraszając o cierpliwość. DoroŜka nie mogła dojechać do samego domu. Jeszcze zaledwie kilka kroków.

Otarł czoło chusteczką. Zaraz, zaraz. Ręka. Ręka, która zasłaniała serŜową tkaniną usta.

Rzucił na nią jeszcze raz okiem. Zmieniała się w piekącym słońcu. Rana, spod której widać było kości knykcii, prawie się zasklepiła.

Przypatrywał się temu przez chwilę. Potem spojrział na jej oczy. Tak, powieki jakby nieco się powiększyły, a czarne rzęsy zakreślały łuki w górę, zakrywając ciało jakby pokryte trądem.

Znowu objął ją ramieniem; natychmiast do niego przyłgnęła, miękka i drŜąca. Wydała ciche westchnienie.

Poczuł emanującą od niej woń, słodką i uroczą. Czuł takŜe odór mułu, błota, iłu z dna rzeki - ale coraz słabszy. Dominował mocny, piŜmowy aromat. Czuł bijące przez czarną serŜę ciepło.

O BoŜe, co za napój? Czego potrafi dokonać?

- JuŜ, juŜ, moja droga - odezwał się po angielsku. - Te drzwi na końcu. Bardzo blisko.

Uczuł, jak obejmuje go jej ręka. Chwyciła potężnie i nieco go uniosła, zmniejszając nacisk na bezwładną, lewą nogę. Ból w lewym biodrze zelŜał. UlŜyło mu tak, aŜ trochę się zaśmiał. Mało nie wybuchnął donośnym śmiechem. Powstrzymał się jednak, pozwalając sobie pomagać. Wreszcie dobrnęli do drzwi.

Tam nieco odpoczął, by z całych sił zastukać prawą pięścią.

Nie uszedłby już ani kroku dalej.

* * *

Przez dłuższą chwilę nie było żadnej reakcji. Stukał i stukał.

Nareszcie rozległ się odgłos odsuwanej rygli i w progu stanął Henry, mrusząc oczy. Był nieogolony, ubrany tylko w długi, zielony szlafrok.

- Czego chcesz?

- Puszczaj. - Pchnął drzwi i wprowadził ze sobą kobietę. Przywarła do niego rozpaczliwie, zakrywając twarz.

Zorientował się, że panuje tu zbytek - dywany, meble, błyszcząca na marmurowym stoliku karafka. Widoczna za łukowym przejściem, ciemnoskóra piękność w kostiumie tancerki -

na pewno Malenka - stawiała na stole tace z parującym jedzeniem. Przy obielonym murze ogrodu gęsto rosły niewielkie drzewa pomarańczowe.

- Co to za kobieta? - spytał stanowczo Henry.

Cały czas kurczowo się jej trzymając, Elliott dowlóknął się do krzesła. Widział jednak, że Henry gapi się na stopy jego towarzyszkę. Spozrzegł wystające od spodu, nagie kości. Przez jego twarz przemknął wyraz obrzydzenia; zdumienia.

- Kto to? Po coś ją tu przyprowadził?

Wtem rzuciło nim do tyłu, zderzył się z kolumną, podpierającą łuk prowadzący na dziedziniec. Głowa z niebezpiecznym łoskotem uderzyła w kamień.

- Co jej jest? - wydyszał.

- Cierpliwości, wszystko ci opowiem - wyszeptał Elliott. Ból w piersiach stał się tak dokuczliwy, że z trudem formułował zdania. Gdy usadowił się w ratanowym krześle, poczuł, że chwyt kobiety rozluźnia się. Usłyszał z jej strony jakiś cichy dźwięk. Uniósł głowę i zorientował

się, iż zobaczyła stojący po drugiej stronie pomieszczenia kredens. Od szklanych butelek odbijało się wpadające z dziedzińca światło.

Jęcząc, podążała ku płynowi. Czarny, serowy strój spadł z jej głowy, potem z ramion, odsłaniając kości i pierś, błyszczące na plecach, i resztki całunu, obnażające jej nagość.

- Tylko na miłość boską nie panikujcie! - zawołał Elliott.

Było jednak za późno. Twarz Henry'ego zbieleła; usta wykrzywiły się i zaczęły trząść.

Znajdująca się na dziedzińcu Malenka wrzasnęła ile sił w płucach.

Okaleczone stworzenie upuściło butelkę, wydając śłośny jęk. Ręka Henry'ego wyłoniła się z kieszeni. W słońcu zabłysnął srebrny pistolet.

- Henry, nie! - zawołał Elliott. Usiłował się podnieść, ale bez skutku. Wystrzał odbił się tym samym, ogłuszającym echem, co palba w muzeum. W klatce zaskrzeczała papuga.

Ranna kobieta krzyknęła, wyjmując sobie kulę z piersi, po czym rozdzierająco ryknęła, ruszając w kierunku Henry'ego.

Dźwięki wydawane przez tamtego nie przypominały ludzkich. Zupełnie odchodził od zmysłów. Cofał się na dziedzińcu, raz za razem oddając strzały. Wrzeszcząca z bólu kobieta dopadła go, wytrąciła mu pistolet i zacisnęła palce na gardle. Rozpoczął się upiorny taniec: Henry rozpaczliwie machał rękami, a ona nie puszczała jego gardła. Wiklinowy stół przewrócił

się, porcelana strzaskała na płytkach. Zatoczyli się między drzewa, które zasypały ich ulewą listków.

Zdjęta trwogą Malenka kuliła się przy ścianie.

- Elliott, pomocy! - wrzasnął Henry. Zginał się do tyłu, nogi tworzyły kąt prosty, ręce wymachiwały, chwytając za włosy napastnika.

Elliottowi udało się jakimś cudem dotrzeć do krawędzi łuku. Jednak dokładnie w tej chwili usłyszał trzask kości. Wzdrygnął się na widok bezwładnego ciała Henry'ego, które miękko opadło na ziemię, skryte pod zielonym jedwabiem szlafroka.

Stworzenie cofnęło się, skowycząc, potem szlochając. Wyszczrzyło zęby dokładnie tak samo, jak w muzeum. Okrywające ją strzępy zostały zdarte, co odsłoniło jedno ramię; przez przezroczyste płótno można było dostrzec jej ciemnoróżowe sutki. W czepiających się tułowia łachmanach tkwiły wielkie skrzepy krwi. Tkanina z każdym krokiem odpadała z ud. Przekrwione i zażawione oczy wpatrywały się w martwe ciało, potem przeniosły się na rozrzucone jedzenie, na błyszczącą w słońcu herbatę.

Powoli uklęknęła. Schwyciła bułeczki i wetknęła sobie do ust. Na czworakach zlizywała herbatę. Wycierała dłońmi palcami, potem gorączkowo je ssała. Gryzła bekon, wreszcie połknęła plaster w całości.

Elliott obserwował ją w zupełnym milczeniu. Zdawał sobie sprawę, że Malenka bezszelestnie przebiega za jego plecy, za którymi się chowa. Oddychał szybko i rozważnie, cały czas nasłuchując walenia serca.

Stworzenie pochłonęło masło, a jajka zmiażdżyło i wyskrobało zębami ze skorupki.

Jedzenie się skończyło. Mimo to kobieta nie wstawała. Przyglądała się swej wyciągniętej ręce.

Blask słońca lał się na małe dziecko. Lśnił na jej włosach.

Oszołomiony Elliott nie mógł oderwać oczu. To, co widział, nie mieściło mu się w głowie, nie poddawało się sądowi. Nie sposób było ogarnąć całej serii wstrząsów, jakie stały się jego udziałem.

Ni stąd, ni zowąd ta istota położyła się na posadzce. Rozprostowała kończyny, jęcząc przy tym, jakby tuliła się do miękkiej poduszki, drapiąc rękami w wypalane płytki podłogi.

Przetoczyła się na pełne słońce, z dala od zielonego cienia drzew, i przewróciła na plecy.

Wpatrywała się przez chwilę w rozszarżone niebo, nagle jej oczy zaczęły jakby przewracać się w głowie. Widać było tylko półksiężyc zrenic.

- Ramzes - wyszeptała. Piersi nieznacznie unosiły się przy oddechu. Poza tym ciało pozostawało w bezruchu.

Earl odwrócił się, wsparł na Malence i próbował dojść z powrotem do krzesła. Czuł

drżenie ciemnoskórej kobiety. Cicho usadowił się na obitych tapicerką poduszkach, głowę opierając o szorstki rattan. To jakiś koszmar, pomyślał. Ale nie miał racji. Widział, jak ta osoba zostaje wskrzeszona z martwych. Widział, jak zabija Henry'ego? Co miał na litość boską począć?

Malenka stała u jego boku, po chwili cicho uklękła. Puste oczy miała wytrzeszczone, rozwierała usta. Spoglądała w stronę ogrodu.

Muchy zaczęły krążyć nad twarzą Henry'ego. Rzuciły się na resztki przewróconego śniadania.

- Już dobrze, dobrze, nic ci się nie stanie - szeptał Elliott. Pieczenie w piersiach powoli ustawało. Czuł tępe ciepło w lewej ręce. - Ona nie zrobi ci krzywdy. Obiecuję. - Obliznął

zeschnięte wargi, dzięki czemu jakoś udało mu się powiedzieć.

- Ona jest chora. Muszę się nią opiekować. Rozumiesz, ona nie zrobi ci krzywdy.

Egipcjanka złapała go za nadgarstek, czoło wsparła o ramię fotela. Odezwała się dopiero po długiej chwili:

- Bez policji - powiedziała ledwie słyszalnym głosem.

- Anglik nie zabracz mi domu.

- Nie - zamruczał Elliott. - Nie potrzeba nam tutaj sądowej policji.

Miał ochotę poklepać ją po głowie, ale bał się poruszyć. Patrzył nieruchomo w słońce, na leżącą na wznak kobietę z rozrzuconymi, czarnymi włosami; na trupę mężczyzny.

- Zajmę się... - wyszeptała Malenka. - Wyniosę mojego Anglika. śadnej policji tutaj.

Elliott jej nie rozumiał. Co ona mówi? W końcu go olśniło.

- Zrobisz to? - wyszeptał.

- Tak. Zrobię. Przyjaciele. Zabiorą Anglika.

- Dobrze, to dobrze. - Westchnął, a ból w piersiach się nasilił. Niepewnie włożył rękę do kieszeni i wyjął portfel. Z trudem poruszając palcami lewej ręki, wyciągnął dwa banknoty dziesięciofuntowe.

- Dla ciebie. - Zamknął oczy, tak wyczerpał go wysiłek. Czuł, jak tamta wyjmuje mu pieniądze z ręki.

- Ale musisz uważać. Nie wolno mówić nikomu o tym, co zobaczyłaś.

- Nie powiem. Zajmę się... To mój dom. Dał brat.

- Tak, rozumiem, nie będę tu długo siedział. Przysięgam. Kobietę wezmę ze sobą. Ale na razie bądź cierpliwa, a będzie więcej pieniędzy, znacznie więcej.

Jeszcze jeden rzut oka do portfela. Wyjmował banknoty bez liczenia i wciskał jej do ręki.

Potem oparł się wygodniej i zamknął oczy. Słyszał jej ciche kroki na dywanie. Po chwili poczuł dotyk ręki na łokciu.

Ujrzał, że ubrała się w czarny strój - a w dłoni trzymała jeszcze jeden taki sam.

- Nakryj - wyszeptała. Oczyma pokazała dziedziniec.

- Już nakrywam - odparł i zamknął na powrót oczy.

- Nakryj! - dobiegł go jej rozpaczliwy szept. I znowu obiecał, że tak zrobi.

Z wielką ulgą usłyszał, jak wychodzi na ulicę i zamyka za sobą drzwi.

* * *

Ubrany w długą, luźną szatę Beduinów, Ramzes chodził po muzeum wraz z rzeszą turystów, zza ciemnych okularów zerkając na puste miejsce, gdzie niedawno stała szklana gablota. Nie zostało po niej ani śladu! Ani okrucha szkła, drzazgi drewna. Zniknęła też fiołka, którą upuścił.

Gdzie ona może być? Co mogło się z nią stać? Z grozą przypomniał sobie żołnierzy, którzy go otaczali. Może wpadła w ich ręce?

Skręcił za róg, omiatając wzrokiem posągi i sarkofagi. Nie sięgał przez wszystkie te stulecia pamięcią do okresu, kiedy czułby większą rozpacz. Nie miał prawa chodzić tu wśród ludzi, oddychać tym samym powietrzem.

Nie miał pojęcia, dokąd się udać i co zrobić. JeŜeli wkrótce nie natrafi na Œaden Œlad, kompletnie oszaleje.

* * *

Minął moŜe kwadrans, moŜe mniej. Nakryć ją, tak. Nie, usunąć ją z ogrodu, zanim przyjdą tamci. LeŜała otępiała na słońcu, od czasu do czasu mruczając przez sen.

Schwycił laskę i stanął na nogach. Odzyskał czucie w lewej nodze, a razem z nim powrócił ból.

Wszedł do sypialni. Przy prawej ścianie stało wysokie, staroŒwieckie łoŜe w wiktoriańskim stylu, biała moskitiera tonęła w słońcu, które wpadało przez okno z odsuniętymi Œaluzjami.

Na lewo od okna stała toaletka. Nieco dalej, w lewym rogu, ustawiono szafę, a za jej otwartymi, lustrzanymi drzwiami wisiał rząd wełnianych płaszczy i marynarek.

Na toalecie stał niewielki, przenośny gramofon z tubą. Obok, w kartonowym pudełku, leŜały płyty. Drukowanymi literami wypisane na nich było „Nauka angielskiego”. Jeszcze płyta z musicalu. Popielniczka. Parę czasopism i pół butelki scotcha.

Za drzwiami, na prawo od łoŜka, widać było porządną łazienkę. Miedziana wanna; ręczniki.

Poszedł jednak w przeciwną stronę, do izby przylegającej do północnej ściany dziedzińca, w której zasunięto wszystkie Œaluzje. Tu ciemnoskóra piękność trzymała tandetne kostiumy do tańca i tania biŜuterię. Ale jedna z szaf wprost pękała od koronkowych strojów w zachodnim stylu. Europejskie buty, parasolki z frędzlami i kilka kapeluszy z niewyobraŜalnie szerokimi rondami.

Ale na co zda się tyle ubrań, kiedy trzeba było ukryć przed ludzkim okiem okaleczoną kobietę? Na dolnej półce znalazł starannie złoŜone, typowe stroje muŜmańskie. Czyli moŜe dać jej ŒwieŜe okrycie - pod warunkiem, Œe Malenka zgodzi się je sprzedać.

Przystanął na progu dla złapania oddechu. Wpatrywał się w zalane słońcem królewskie łoŜe, w moskitierę, która spływała z okrągłego baldachimu, zawieszzonego tam niczym korona.

Czas wydawał się elastyczny, wydłuŜał się jak w transie. Przed oczyma przemknęły mu obrazy agonii Henry’ego. Mimo to nie czuł nic. Nic - moŜe za wyjątkiem zimnej grozy, która odbierała samą wolę Œycia.

Wola Œycia. W kieszeni miał fiolkę. A w niej kilka kropel cennego płynu!

Ta Œwiadomość równieŜ nie miała na niego wpływu, nie rozproszyła ocięŜałości. Martwa sprzątaczką w muzeum; trup Henry’ego na dziedzińcu i ta istota, leŜąca na słońcu!

Nie był w stanie ogarnąć wszystkiego rozumem. PróŒny wysiłek. Pewien był jednego: musi znaleźć Ramzesa. Ale gdzie? Jaki skutek miały kule? Czy zatrzymali go ludzie, którzy wywlekli go z muzeum?

Najpierw trzeba zająć się kobietą, przetransportować do Œrodka domu, Œeby moŜna było wynieść

zwłoki Henry'ego.

Mogłaby bowiem zaatakować ludzi, którzy przyjdą w tym celu. Jej widok mógłby narobić ogromnych szkód.

Pokuśtykał na dziedziniec, starając się zebrać myśli. Nie byli z Ramzesem wrogami. Stali się współnikami. MoŜe potem... Ale nie miał juŜ energii na snucie takich marzeń i planów -

wolał skupić się na tym, co go czekało.

OstroŜnie postąpił kilka kroków w stronę leŜącej na posadzce patio kobiety.

Południowe słońce paliło niemiłosiernie i nagle przeląkł się, Ŝe moŜe jej się coś stać.

Ostłonił oczy i popatrzył na nią, bo chyba miał omamy.

Zajęczała niespokojnie. Cierpiała - lecz oto leŜała przed nim kobieta niezwyklej urody!

To prawda, Ŝe pośród kruczoczarnych włosów błyszczał odcinek białej kości, w szczęce wystawała naga chrząstka. Dwa palce prawej ręki składały się z samych kości, z tkanki stawów sączyła się krew. Jeszcze było widać ogromną ranę na piersi, która odsłaniała białe Ŝebro, pokryte cienką błoną z siateczką Ŝyłek.

Za to twarz miała w pełni ludzkie rysy! Na kształtnych policzkach zakwitły rumieńce.

Usta były wykwintnie uformowane i czerwone, a cała skóra miała delikatny, oliwkowy odcień.

CiemnoróŜowe sutki zdobiły pełne, jędrne piersi.

Co się działo? Czy działanie eliksiru wymagało czasu?

PrzybliŜył się nieśmiało. Poczł falę gorąca. Zakręciło mu się w głowie. Usiłując nie stracić przytomności, oparł się o stojącą z tyłu kolumnę, nie spuszczał przy tym wzroku z kobiety, która otwarła jasnoorzechowe oczy.

Poruszyła się, uniosła prawą rękę i jeszcze raz na nią popatrzyła. Z pewnością czuła, co się z nią dzieje. Chyba nawet bolały ją urazy. Z westchnieniem dotknęła krwawego brzegu rany na dłoni.

Trudno było poznać natomiast, czy zdawała sobie sprawę, Ŝe odzyskuje zdrowie.

Opuściła rękę i na powrót zamknęła oczy. Cicho krzyknęła.

- Ramzes - odezwała się, jakby na poły we śnie.

- Chodź - powiedział cicho po łacinie Elliott. - Chodź, połoŜysz się na porządnym łóŜku.

Spojrzała na niego bez wyrazu.

- Tam teŹ jest ciepłe słońce. - Dopiero gdy wypowiedział te słowa, uŹwiadomił sobie, Źe ona zdrowieje za sprawą słońca! Widział jego działanie na jej rękę, gdy szli ulicą. Była to jedyna obnaŹsona częŹć jej ciała, oprócz oczu, które takŹe się goiły.

To słońce zbudziło Ramzesa. Taki był sens wszystkich osobliwych napisów na trumnie, Źe nie wolno wpuszczać do grobu promieni słonecznych.

Nie było jednak czasu na rozwaŹsania czy wåtpliwoŹci. Kobieta usiadła. Łachmany całkowicie spadły jej z piersi. Uniesiona ku niemu twarz miała urodziwy kszałt, o wyraŹnie zarysowanych konturach, na policzki padał łagodny cień, a w oczach płonęło zimne Źwiatło.

Podaała mu rękę, jednak dostrzegła koŹciste palce i cofnęła ją z sykiem.

- Nie, zaufaj mi - przekonywał po łacinie. Pomógł jej wstać.

Przeprowadził ją przez niewielki dom do sypialni. Omiała wszystkie przedmioty uwaŹnym wzrokiem. Stopą macaała fakturę perskiego dywanu. Wpiła wzrok w gramofon.

Ciekawe jak jej oczom jawił się ten czarny krąg?

Usiłował pociągnąć ją w stronę łóŹka, ale nie chciała się ruszyć. ZauwaŹyła leŹącą na toalecie gazetę. Jej wzrok przyciągnęła duŹa zapowiedź opery. Patrzyła na niezbyt typowwą Egipcjanke i jej kochanka - wojownika, na rysunek w tle, przedstawiający trzy piramidy i wygladające jak wachlarze palmy.

Na ten widok wydała z siebie cichy jęk, wyraŹający poruszenie. Jej palec przesunął się po kolumnie angielskiego druku. Spojrzała na Elliotta duŹymi, błyszczącymi i noszącymi Źlady obłakania oczyma.

- Mój język - oznajmił po łacinie. - Angielski. To zapowiedź dramatu z muzyką.

Nazywamy to operą.

- Mów po angielsku. - Głos miała stanowczy, lecz uroczy. - Mów.

KtoŹ stał za drzwiami. Wziął ją pod ramię i odprowadził na bok, Źeby tamci jej nie zobaczyli.

- Obcy - oznajmił po angielsku, natychmiast tłumacząc na łacinę. Dalej mówił tak samo, tłumacząc z jednego języka na drugi. - PołóŹ się, odpocznij, przyniosę ci coś do jedzenia.

Przechyliła głowę, nasłuchując odgłosów, które dobiegały z sąsiedniego pomieszczenia.

Nagle całym jej ciałem wstrząsnął spazm. PrzyłóŹyła rękę do rany na piersi. Tak, bolały ją te obrzydliwe, małe wrzody, bo tak właŹnie wyglądały. Działo się z nią jeszcze coś niedobrego, co powodowało nagłe drgawki i odruchy lękowe przy kaŹdym dźwięku.

Zaprowadził ją energicznie do łóŹka, odsunął moskitierę i ułóŹył kobietę na koronkowych poduszkach. Sprawilo jej to widoczną ulgę. Znowu raptownie się zatrzęsła, zaczęła przebierać

palcami przed oczyma, które instynktownie szukały słońca. Powinien ją nakryć; miała na sobie zaledwie kilka cienkich jak papier strzępów płótna. Z drugiej strony potrzebowała słońca.

Odsunął Œaluzje w oknie naprzeciw łóŒka; do Œrodka wpadł słoneczny Œar.

Pospiesznie zamknął drzwi do pokoju stołowego, a następnie wyjrzał przez okno na dziedziniec.

Malenka otwierała furtkę do ogrodu. Towarzyszyło jej dwóch męŒczyzn, którzy nieśli zwinięty dywan. Rozwinęli go na płytkach, ułoŒyli ciało Henry'ego i na nowo zrolowali.

Na widok cięŒkich, bezwładnych kończyn tamtego, Elliottowi zrobiło się niedobrze.

Przełknął ślinę i przeczekał chwilę zwiększonego ucisku w piersi.

Wtedy od strony łóŒka dał się słyszeć cichy płacz. Wrócił i spojrział na kobietę. Nie był pewien, czy gojenie trwa. Przyszła mu do głowy fiolka w kieszeni płaszcza.

Przez chwilę się wahał. Któs nie miałby wątpliwości? Ale pozostało zaledwie kilka kropel. I nie mógł znieść widoku jej cierpienia.

Œmierć, którą zadawała, była wynikiem fatalnych omyłek. Nie sposób przecieŒ zmierzyć jej dezorientacji i męki.

Popatrzyła na niego, mruŒąc oczy, jakby jasność sprawiała jej ból. Zapytała cicho, jak się nazywa.

Nie bardzo wiedział, jak odpowiedzieć. Proste pytanie sugerowało wrodzoną inteligencję, którą widział właśnie w jej oczach.

Nie sprawiała juŒ wraŒenia szalonej ani zdezorientowanej. Po prostu cierpiała.

- Wybacz - odezwał się. - Elliott, lord Rutherford. W swojej krainie jestem lordem.

Mierzyła go chytrym spojrzeniem. Wstała, wzięła złoŒony w nogach łóŒka, ciemny szal, i nakryła się nim do pasa. Słonce lśniło w jej czarnych włosach i Elliott raz jeszcze dostrzegł

pląsające wokół jej twarzy pasma.

Miała pięknie zarysowane, czarne brwi, wysokie i odpowiednio szeroko rozstawione.

Oczy barwy orzechów laskowych zapierały dech w piersiach.

- Mogę wiedzieć, jak ty się nazywasz? - zapytał.

- Kleopatra - uŒmiechnęła się z goryczą. - W mej krainie jestem królową.

Powietrze zadrŒało. Zalała go łagodna fala ciepła, całkowicie niepodobna do odczuć towarzyszących poprzednim wstrząsom. Patrzył jej w oczy, niezdolny do wykrztuszenia

jakiegokolwiek odpowiedzi. Po chwili nadeszła wielka radość, niweczająca wszelkie lęki i wyrzuty sumienia.

- Kleopatra - wyszeptał z szacunkiem, z naboŹną trwogą.

- Mów do mnie po angielsku, lordzie Rutherford - nakazała po łacinie. - UŹywaj języka, którym porozumiewałeś się z niewolnicą. Języka, którym piszą w tej księdze. Przynieś coś do jedzenia i picia, bo umieram z głodu.

- Tak - odparł po angielsku, kiwając głową. Powtórzył swoją zgodę po łacinie. - Jedzenie i picie.

- Musisz mi teŹ powiedzieć... - urwała. Zabolało ją w boku, potem gorączkowo dotknęła rany na głowie.

- Powiedz... - spróbowała jeszcze raz, spoglądając na niego nie rozumiejącym niczego wzrokiem. Wyraźnie usiłowała sobie coś przypomnieć. Na koniec wpadła jednak w popłoch, ścisnęła głowę rękami, zamknęła oczy i rozplakała się.

- Chwileczkę, mam tutaj lekarstwo - wyszeptał. Powoli opadł na brzeg łóŹka. Wyjął z płaszcza fiolkę. Pozostało w niej pół uncji nienaturalnie skrzącego się na słońcu płynu.

Przyglądała się fiolce z podejrzliwością. Patrzyła, jak ją otwiera. Uniósł ją, delikatnie dotykając lewą ręką włosów królowej. Ale powstrzymała go. Wskazała powieki. ZauwaŹył, Źe są na nich jeszcze miejsca pozbawione skóry. Kleopatra wzięła fiolkę, wylała dwie krople na palce i roztarła je po powiekach.

Elliott zmruŹył oczy i zaczął przyglądać się działaniu substancji. Niemal słyszał

nieznaczny szelest, trzaskanie.

Chwyciła rozpaczliwie fiolkę i wylała zawartość na ziejącą ranę na piersiach. Rozcierała płyn lewą ręką, cicho jęcząc, a na koniec połoŹyła się, dysząc cicho, kręcąc głową, aŹ wreszcie znieruchomiła.

Upłynęło kilka minut. Był świadkiem fascynującego widowiska. Jednak gojenie trwało tylko chwilę. Powieki były juŹ całe i zdrowe, rzęsy układały się w nieprzerwany szereg. Ciągle dokuczała rana w boku.

Dopiero zaczynał docierać do jego świadomości fakt, Źe to Kleopatra, Źe Ramzes natknął

się na trupa utraconej kochanki. Wyjaśniało się, dlaczego postąpił tak, jak postąpił. Elliott zastanawiał się, jak czuje się ktoś dysponujący taką potęgą. Marzył o nieśmiertelności, ale nigdy o mocy jej udzielania, która równała się zwycięstwu nad śmiercią.

Ale konsekwencje... były trudne do ogarnięcia. Co działo się w głowie tej kobiety? Skąd w ogóle biorą się jej myśli? BoŹe, musi natychmiast znaleźć Ramsey'a!

- Zdobęde więcej lekarstwa - oświadczył, natychmiast tłumacząc na łacinę. - Przyniosę je, ale musisz tu teraz leżeć i odpoczywać. Musisz leżeć na słońcu. - Wskazał okno. W obydwu językach wytłumaczył, że słońce umożliwi działanie leku.

Spojrzała sennym wzrokiem. Powtórzyła angielskie słowa, idealnie naśladowując wymowę.

Ale oczy zaszkliły się, widać w nich było obłęd. Wymamrotała po łacinie, że czegoś nie pamięta, i znowu się rozpłakała.

Nie mógł tego znieść. Ale co można było zrobić? Przeszedł szybko do drugiego pokoju i przyniósł jej butelkę alkoholu, gęstej, korzennej brandy, którą natychmiast mu zabrała i wypła.

Oczy jej na moment pociemniały. Zaraz jednak jęknęła z bólu.

Gramofon. Ramsey przepadał za muzyką. Rzuciła na niego czar. Elliott podszedł do małego urządzenia i przejrzał kilka leżących obok płyt. Mnóstwo bzdur z nauki angielskiego.

Tak, tego mu potrzeba, *Aida*. Caruso w roli Radamesa.

Nakręcił gramofon i nastawił igłę na płycie. Kobieta zerwała się na pierwszy, cichy dźwięk orkiestry. Wytrzeszczyła oczy przerażona. Podszedł do niej i delikatnie dotknął ramienia.

- Opera. *Aida* - oznajmił. Szukał w pamięci łacińskich słów na wyjaśnienie, że maszyna to skrzynka do grania. - Pieśń mężczyzny dla egipskiej ukochanej.

Wstała z łóżka i przeszła chwiejnym krokiem obok Elliotta. Była niemal całkowicie naga, kształty miała prześliczne: wąska w biodrach, odpowiednie proporcje nóg. Usiłował się na nią nie gapić, nie patrzeć na piersi. Zbliżył się do niej powoli i podniósł igłę gramofonu. Wrzasnęła na niego. Z ust popłynęła lawina łacińskich przekleństw.

- Niech muzyka gra dalej!

- Dobrze, ale chcę ci pokazać, jak to się dzieje. - Znowu pokręcił korbą. Nastawił igłę na płycie. Dopiero wtedy skończył się chwilowy atak barbarzyństwa. Jęczała w rytm muzyki, przyłożyła ręce do głowy i bardzo mocno zamknęła oczy.

Zaczęła tańczyć, gorączkowo kołysząc się na boki. Był to taniec przerażający, ale Elliott już go widział. Tak tańczyły dzieci z poważnymi urazami. Właśnie tak wyglądała atawistyczna reakcja na dźwięk i rytm.

Nawet nie zauważyła, jak poszedł po coś do jedzenia i picia.

* * *

Ramzes kupił w brytyjskim kiosku gazetę i ruszył dalej przez ludny bazar.

MORDERSTWO W MUZEUM

ZABITA SPRZĄTACZKA, SKRADZIONA MUMIA

Pod nagłówkiem widniał podtytuł:

Tajemniczy Egipcjanin poszukiwany

w związku z okropną zbrodnią

Przebiegł wzrokiem artykuł, po czym zmiął i wyrzucił gazetę. Szedł z pochyloną głową i rękami skrzyżowanymi pod arabskim strojem. Czy to ona zabiła tę posługaczkę? Ale jak? I jak zdołała uciec?

Urzednicy mogą rzecz jasna kłamać, lecz było to mało prawdopodobne. Upłynęło zbyt mało czasu. Kleopatra miała okazję popełnić morderstwo, gdy strażnicy go zabierali.

Starał się przypomnieć sobie, co zobaczył w mrocznym korytarzu - upiornego potwora, którego wskrzesił z martwych. Widział, jak brnie w jego stronę, słyszał chrapliwy, niemal bulgoczący głos. Widział cierpienie w na poły zgniłej twarzy!

Co teraz? Dzisiaj rano, pierwszy raz od czasów swego śmiertelnego Śycia, myślał o bogach. Gdy w muzeum stał nad jej zwłokami, przypomniały mu się starożytnie pieśni: ponadczasowe słowa, które wypowiadał przed ludem i w mrocznej świątyni, w otoczeniu kapłanów.

I teraz, idąc przez rozświetlone, tłoczne ulice, znowu szeptał stare modlitwy.

* * *

Julie siedziała na małej, obitej perkalem sofie, w swoim zastawionym sprzętami apartamencie. Cieszyła się, że Alex trzyma ją za rękę. Samir stał dyskretnie przy jedynym wolnym krześle. Naprzeciwko zajęło miejsca dwóch brytyjskich urzędników. Miles Winthrop, stojący przy drzwiach z założonymi na plecach rękami, wyglądał na bardzo nieszczęśliwego.

Starszy z urzędników, o nazwisku Peterson, trzymał w ręce telegram.

- Rozumie pani, panno Stratford - tłumaczył z pobłażliwym uśmiechem - wobec morderstwa w Londynie i teraz tego trupa w Kairze...

- Skąd wiadomo, że istnieje między nimi związek? - odezwał się Samir. - Mówicie panowie, że ten człowiek w Londynie udzielał nielegalnych pożyczek?

- A, Tommy Sharples, tak, właśnie tym się trudnił.

- Co wspólnego miałby mieć z nim pan Ramsey? - spytała Julie. Zdziwiający spokój, pomyślała, podczas gdy w duszy kłębi się szaleństwo.

- Panno Stratford, nicią łączącą obydwa morderstwa jest moneta Kleopatry, znaleziona w kieszeni mężczyzny zabitego w Londynie. Bez wątpienia pochodzi z pani kolekcji. Jest identyczna z pięcioma

egzemplarzami, które znalazły się w katalogu.

- Ale to nie jedna z nich. Sam pan to powiedział.

- To prawda, ale widzi pani, znaleźliśmy ich jeszcze kilka, i to tutaj, w Pasterskim.

- Nie rozumiem.

- W pokoju pana Ramseya.

Cisza. Samir odchrząknął.

- Przeszukiwaliście jego pokój?

Tym razem odpowiedział Miles.

- Julie, wiem, że to twój bardzo serdeczny przyjaciel, a cała sytuacja jest dla ciebie bardzo bolesna. Ale widzisz, te zabójstwa... są niezwykle brutalne. Musisz nam udzielić wszelkich informacji, które dopomogłyby w schwytaniu tego człowieka.

- Nie zabił nikogo w Londynie!

Miles podjął, jak gdyby nie słyszał wybuchu, z doprowadzającą do szału uprzejmością.

- Pozostaje earl. Z nim tak że musimy porozmawiać, a nigdzie nie można go znaleźć. -

Spojrzał na Alexa.

- Nie wiem, gdzie jest ojciec - odparł tamten bezradnie.

- A Henry Stratford?

* * *

Dwaj Egipcjanie pospiesznie zmierzali przez wąskie uliczki starego Kairu, w południowej spiekocie okryci kocem, uginając się pod swym ciężarem.

Jednak warto było się męczyć i poświęcać, bo zarobią na tych zwłokach sporo pieniędzy.

Wraz ze zbliżaniem się zimowych miesięcy na Egipt spadną hordy turystów. We właściwym czasie trafił im się dobry, niezłe zachowany trup.

Dotarli wreszcie do domu Zakiego, czyli manufaktury, jak określali go w swoim Sargonie.

Weszli na dziedziniec i przenieśli zwłoki do pierwszego z szeregu zalanych przyćmionym światłem pokoi. Przechodząc, nie zwracali uwagi na wsparte o ściany mumie, ani na pociemniałe zwłoki o stwardniałej skórze, które leżały na stołach.

Dokuczał im tylko odór chemikaliów. Tak więc niecierpliwie czekali na Zakięgo.

- Dobre ciało - zagadnął jeden z nich robotnika, który mieszał smołę w wielkiej kadzi na środku pokoju. Płyn stale bulgotał, temperaturę podtrzymywał Śarżący się pod naczyniem węgla.

Stamtąd właśnie pochodził obrzydliwy smród.

- Kości dobre? - zapytał robotnik.

- Tak, piękne, angielskie.

* * *

Przebranie było właściwie. Po mieście krąŜyły setki podobnie ubranych Beduinów.

Uwagę zwracały jedynie przeciwsłoneczne okulary, które przyciągały czasami zaintrygowane spojrzenia.

WłoŜył je do kieszeni, wchodził bowiem na dziedziniec Hotelu Pasterskiego. Mali, ciemnoskórzy Egipcjanie, którzy pucowali automobil, nawet nie unieśli głów na jego widok.

Szedł wzdłuŜ ściany, za rzędem drzew pomarańczowych, by dotrzeć do niewielkich, nie rzucających się w oczy drzwi. Za nimi rozpoczynały się wąskie, nie okryte chodnikiem schody.

Szczotki, ścierki, wiadro do mycia w ściennej niszy.

Wziął szczotkę i zaczął powoli wchodzić na schody. Obawiał się nieuniknionej chwili, gdy Julie zapyta, co właściwie zrobił.

* * *

Siedziała na łóŜku, zajadając z tacy, którą postawił na wiklinowym stoliku, przyniesionym z patio. Miała na sobie cienką halkę, jedyną bieliznę, jaką znalazł w garderobie Malenki. Pomógł Kleopatrze się w nią ubrać.

Malenka przyrządziła mu posiłek - chleb, owoce, ser i wino - ale sama wolała trzymać się z dala od tego pomieszczenia.

Kobieta miała wilczy apetyt i jadła niemal jak dzikus. Wino piła całymi butelkami, jakby to była woda. Mimo Őe cały czas pozostawała na słońcu, gojenie ustało, tego był zupełnie pewien.

Malenka siedziała w pokoju stołowym i cała się trzęsła. Trudno było powiedzieć, ile jeszcze czasu będzie posłuszna Elliottowi.

Poszedł ją odszukać. Zobaczył, Őe siedzi w kucki pod przeciwległą ścianą, z rękami skrzyŐowanymi na piersiach.

- Nie bój się, moja droga - zagadnął.

- Mój biedny Anglik - wyszeptała.

- Wiem, moja droga, wiem. - Ale sęk w tym, że nie miał o niczym pojęcia. Usiadł znowu na szerokim fotelu i wyjął następne kilka banknotów. Dał jej znak, żeby po nie podeszła. Ale patrzyła tylko tępym wzrokiem, drżąc, by po chwili odwrócić głowę do ściany.

- Mój biedny Anglik - podjęła - na pewno już go gotują. Czy nie mylił go słuch?

- Jak to gotują? - zdziwił się. - Co to znaczy?

- Zrobią z mojego Anglika wielkiego faraona. Z mojego pięknego Anglika. Wsadzą go do smoły i przerobią na mumię dla turystów.

Odebrało mu mowę. Odwrócił się, niezdolny wykrztusić ani słowa.

- Mój piękny Anglik. Zawiną go w płótno i zrobią wielkim królem.

Chciał ją powstrzymać, powiedzieć, że nie może tego słuchać, ale zamiast tego siedział w milczeniu, dopóki z otępienia nie wyrwał go dźwięk gramofonu - czyjś pełen napięcia głos, wypowiadający angielskie zdania. Płyty do nauki angielskiego. Znalazła je. Miał nadzieję, że na razie jej wystarczą, że dadzą mu chwilę odpoczynku.

Zamiast tego usłyszał wielki huk rozbijanego szkła. Lustro. Stłukła je.

Pospieszył do drugiego pokoju. Stała na dywanie, kołysząc się jak sierota, odłamki szkła zasłaly toaletkę i całą podłogę. Z gramofonu nieustannie dochodziły słowa.

- Regina - odezwał się. - *Bella regina Cleopatra.*

- Lordzie Rutherford - zawołała. - Co się ze mną stało?! Gdzie ja jestem? - Wyrzucała z siebie słowa w jakimś nieznanym języku, po chwili słowa ustąpiły miejsca urywanym, histerycznym okrzykom, które przeszły w jeden wielki wrzask.

* * *

Zaki nadzorował pracę. Patrzył, jak zanurzają ciało Anglika w gęstym, lepkim, zielonym płynie. Czasami chciało mu się jeszcze balsamować mumię. Wtedy odtwarzał tradycyjny proces w najdrobniejszych szczegółach. Nie było to już jednak konieczne. Anglikom przeszła ochota na rozwijanie całunów podczas londyńskich przyjęć. Wystarczyło namoczyć zwłoki w smole, a następnie okutać tkaniną.

Podszedł do kadzi, przyjrzał się twarzy dryfującego tuż pod powierzchnią męszczyzny.

Dobre kości, to prawda. Turyci to lubią - obejrzeć pod płótnem prawdziwą twarz. A ta będzie wyglądać wprost rewelacyjnie.

Ciche pukanie do drzwi.

- Nie mam ochoty nikogo widzieć - odezwała się Julie. Siedziała na kanapie w salonie apartamentu obok Samira, który przytulał ją, gdy płakała.

Nie ogarniała myślą wypadków ostatnich dni. Nie ulegało wątpliwości, że Ramzes był w muzeum, że odniósł poważne rany i że uciekł. Z drugiej strony nie mogła uwierzyć, że mógłby zamordować sprzątaczkę.

- Kradzież mumii rozumiem - mówiła przed chwilą Samirowi. - Znał tę kobietę. Nie mógł znieść, że ją bezczeszczą, więc próbował usunąć ją z muzeum.

- Ale to wszystko nie układa się w sensowną całość - zauważył Samir. - Skoro go aresztowano, kto wyniósł mumię? - Urwał, gdy Rita poszła otworzyć drzwi.

Julie odwróciła się i rzuciła okiem na stojącego w progu, wysokiego Araba w długim, luźnym stroju. Miała się już odwrócić, gdy spostrzegła błysk niebieskich oczu.

Ramzes. Minął Ritę i zamknął drzwi. Julie z miejsca rzuciła mu się w ramiona.

Zapomniała o wszelkich wątpliwościach i obawach. Objęła go, przywierając twarzą do jego szyi. Czowała na czole jego wargi. Ucisnęła ją jeszcze mocniej. Pocałował mocno, lecz czule, w usta.

Doleciał ją pospieszny szept Samira.

- Panie, jesteś w niebezpieczeństwie. Wszędzie cię szukają.

Julie nie chciała go jednak wypuścić z ramion. W swym zgrabnym stroju wyglądał bardziej niż zwykle wyjątkowo. Jej czysta, pełna miłość natężyła się do granicy bólu.

- Wiesz, co się stało? - wydusiła. - Zaginęła pracownica muzeum i ciebie oskarżają o zabójstwo.

- Wiem, najdroższa - odparł cicho. - Wisi nade mną śmierć. I jeszcze większe groźby.

Przypatrywała mu się, próbując pojąć jego słowa. W oczach na powrót stanęły jej łzy, zakryła twarz rękami.

Siedziała na łóżku, patrząc na niego bezmyślnie. Czy rozumiała, co to znaczy, że sukienka jest bardzo elegancka? Nienagannie odtwarzała angielskie zdania z gramofonu.

- Poproszę odrobinę cukru do kawy. Poproszę plasterek cytryny do herbaty. - Potem znowu umilkła.

Pozwoliła mu zapiąć perłowe guziki i patrzyła ze zdumieniem, jak zawiązuje szarfę na róŝowej spódnicy. Rozeŝmiała się złoŝliwie i uniosła nogą cięŝkie kliny spódnicy.

- Ładna, ładna - stwierdziła. Przynajmniej tyle zdołał ją nauczyć po angielsku. - Ładne ubranie.

Nagle minęła go i podeszła do toaletki, patrząc na zdjęcia kobiet w Ŝurnalach. Potem jeszcze raz spytała po łacinie, co to za miejsce.

- Egipt - odparł. Powtarzał to juŝ wielokrotnie. Reakcją było spojrzenie najpierw puste, potem wypełnione bólem.

Nieŝmiało dotknął szczotką jej włosów. Piękne, urocze włosy. Tak czarne, Ŝe gdzieniegdzie połyskiwały niebiesko. Westchnęła, wyprostowała ramiona; czesanie sprawiało jej wielką przyjemność. Zaŝmiała się cicho.

- Bardzo dobrze, lord Rutherford - oznajmiła po angielsku. Wypręŝyła grzbiet i ocięŝale przesunęła nogi, niczym przeciągający się kot. Uniosła pełne wdzięku, zgrabne ręce.

- *Bella regina Cleopatra* - westchnął. Czy mógł ją tu bezpiecznie zostawić? Czy ona zrozumie jego intencje? Moŝe uda się nakłonić Malenkę do wyjścia z domu i zaryglowania drzwi...

- Muszę juŝ iść, Wasza Wysokość. Muszę w miarę moŝliwości zdobyć więcej lekarstwa.

Spojrzała na niego bezmyŝlnie. Nie wiedziała, o czym mówi! Czy jest moŝliwe, Ŝe nie pamiętała nawet tego, co działo się przed chwilą? Z pewnością próbowała sobie przypomnieć.

- Od Ramzesa - dorzucił.

Oczy jej rozbłysły, na twarz padł głęboki cień. Szepnęła coś, czego nie dosłyszał.

- Dobry lord Rutherford - powiedziała.

Zdecydowanym ruchem przeciągnął szczotkę. Jej włosy wyglądały niczym łagodny, falujący wodospad.

Miała osobliwy wyraz twarzy; lekko rozchylone usta, zaczerwienione policzki.

Odwróciła się i pogładziła go po twarzy. Szybko wypowiedziała po łacinie coś, co miało oznaczać, Ŝe ma wiedzę starca i usta młodzieńca.

Zdumiało go to, próbował skoncentrować się, gdy ona zagłądała mu w oczy. Odnosił

wraŝenie, Ŝe jego pojmowanie ŝwiata stało się bardzo niepewne, w jednej chwili była okaleczoną, nieszczęŝliwą istotą, by zaraz zmienić się w wielką Kleopatrę. Z trudem znosił takie myŝli.

Piękna, zmysłowa kobieta, która uwiodła Cezara. Przysunęła się. Na nowo stała się przebiegłą kotką. Objęła go za szyję, palcami przeczesując włosy.

Ciepłe ciało. BoŜe, to samo, które leŜało, gnijąc pod brudnym szkłem, wyglądając jak gęsta, kleista maź, niby smoła.

Za to oczy, głęboko orzechowe z Őółtymi punkcikami na źrenicach, przecieŜ niemoŜliwe, Őeby narodziły się z tamtego błota. Błota Őmierci... Zmienacka musnęła jego usta wargami.

Poczuł, jak jej język wsuwa się pomiędzy jego zęby.

Członek natychmiast oŜył. Obłąd. Nie był do tego zdolny. Serce, obolałe kości, pieczenie w piersi... Przycisnęła się do niego. Czuł bijący przez tkaninę Őar. Koronka, perłowe guziki; one tylko dodawały jej dzikiej urody.

Świat pogrąŜył się we mgle. Elliott dostrzegł kości jej palców, które odsuwały mu włosy z czoła. Pocałunki stawały się coraz bardziej natarczywe, język wędrował coraz głębiej.

Kleopatra, kochanka Cezara, Antoniusza i Ramzesa Przekłętego. Objął ją w pasie. Opadła na poduszki, pociągając go za sobą.

Stęknął, wpijając się w nią ustami. BoŜe, gdyby tak ją wziąć. Ręka odgarnęła jedwabne spódnice i wsunęła się między nogi. Wilgotne, ciepłe włosy, wilgotne wargi.

- Dobrze, lordzie Rutherford - zachęcała po łacinie. Jej biodra stawiały opór, naciskając na penis, nabrzmiały, pragnący oswobodzenia.

Szybko rozpiął te kilka guzików. Ile lat temu robił to w takim pośpiechu? Jednak rzecz nieuchronnie zmierzała do finału.

- Weź mnie, lordzie Rutherford - syknęła. - Zanurz swój sztylet w mą duszę.

Właśnie tak umieram. Nie od widoku okropieństw, ale od tego, co jest ponad moje siły, lecz czemu nie mogę się oprzeć. Całował ją niemal do bólu, członek zanurzył się między wilgotne uda. Z jej ust wylewał się słodki, złowieszczy Őmiech.

Zamknął oczy, zagłębiając się w ciasny otwór.

* * *

- Nie moŜesz tu pozostać, panie - tłumaczył Samir. - Ryzyko jest zbyt wielkie. Obserwują wejście. Z pewnością Őledzą kaŜdy nasz krok. Przeszukali twój pokój, panie, i znaleźli staroŜytne monety. Niewykluczone, Őe natrafili... na coŐ więcej.

- Nie. Nic więcej na nich nie czekało. Ale muszę rozmówić się z wami obojgiem.

- Trzeba znaleźć jakąŐ kryjówkę - włączyła się Julie - gdzie będziemy się mogli spotykać.

- To da się zrobić - powiedział Samir - ale potrzeba mi na to kilku godzin. Czy moŜemy umówić się o trzeciej przed Wielkim Meczetem? Będę ubrany tak jak ty, panie.

- Idę z tobą! - nalegała Julie. - Nic mnie nie powstrzyma!

- Julie, ty nie wiesz, czego się dopuściłem - wyszeptał Ramzes.

- Czyli musisz mi opowiedzieć. Samir zdobędzie taki strój również dla mnie.

- Jak ja cię kocham - szepnął bardzo cicho Ramzes. - Potrzebuję cię, ale dla twojego dobra, nie wolno...

- Jestem przy tobie w każdych okolicznościach.

- Panie, idź już. W tym hotelu roi się od policjantów. Wrócą nas przesłuchiwać. Przed meczetem. O trzeciej.

* * *

Ból w piersiach był dokuczliwy, ale raczej jeszcze nie konał. Siedział ociężały na niewielkim, drewnianym krześle koło łóżka. Chciałby nalać sobie alkoholu z butelki w sąsiednim pokoju, ale nie miał siły się ruszyć. Stać go było co najwyżej na powolne zapięcie guzików koszuli.

Jeszcze raz spojrzął na jej woskową, pogrążoną we śnie twarz. Otworzyła oczy. Podała mu szklaną fiolkę.

- Lekarstwo - odezwała się.

- Tak, zdobędę je. Ale ty musisz tu zostać. Rozumiesz? - wyjaśnił to najpierw po łacinie. -

Nic ci tu nie grozi. Musisz zostać w tym domu.

Wyglądało na to, że bynajmniej nie ma ochoty.

- A ty gdzie pójdziesz? - spytała. Rozejrzała się, popatrzyła na otwarte przy łóżku okno, przez które wpadały skośne promienie popołudniowego słońca, i na widoczny za oknem pusty, obielony mur. - Egipt. Nie. To nie może być Egipt.

- Ale tak jest, moja droga. A ja muszę odnaleźć Ramzesa.

Znowu błysk w oku, zmieszanie, wreszcie popłoch.

Mimo to wstał, nie można zwlekać w nieskończoność. Mógł się tylko modlić, żeby Ramzesowi udało się wyswobodzić z rąk ludzi, którzy go schwytali. Julie i Alex z pewnością zaangażowali odpowiednich adwokatów. Tak czy owak, postara się dotrzeć do hotelu.

- Nie potrwa to zbyt długo, Wasza Wysokość - zwrócił się do kobiety. - Możliwie najszybciej przyniosę lekarstwo.

Wyraźnie mu nie ufała. Odprowadziła go podejrzliwym wzrokiem, gdy wychodził z pokoju.

Malenka cały czas kuciała w kącie pokoju stołowego. Trzęsła się i gapiała na niego pustym, bezmyślnym wzrokiem.

- Posłuchaj, moja droga - zaczął. Wziął stojącą obok barku z alkoholem laskę.

- Chcę, żebyś ze mną wyszła, zamknęła drzwi na klucz i pilnowała domu.

Czy kobieta go rozumiała? Patrzyła na coś za jego plecami - odwrócił się i ujrzał stojącą w drzwiach Kleopatę. Boso, z kaskadą czarnych włosów, w różowej angielskiej sukience wyglądała niczym dzikuska. Wpijała wzrok w Malenkę.

Dziewczyna wstrząsnęła się, zaskowityła. Na jej twarzy bez osłonek malowała się niechęć i lęk.

- Nie, nie, najdroższa - uspokajał Elliott. - Chodź ze mną. Ona nie zrobi ci nic złego.

Trwoga uniemożliwiała Malence usłuchanie prośby. Pusta twarz Kleopatry zmieniła się we wściekłą maskę.

Podeszła do bezradnej kobiety, która nie mogła oderwać wzroku od kości w rękach i nogach tamtej.

- To tylko słuśca! - zawołał earl, usiłując przytrzymać rękę Kleopatry. Obróciła się na pięcie i wymierzyła mu policzek, a on zatoczył się do tyłu, na klatkę z papugą. Malenka zaczęła histerycznie wrzeszczeć, zaś ptak skrzeczał, rozpaczliwie uderzając skrzydłami o pręty klatki.

Elliott próbował opanować sytuację. Dziewczyna musi być cicho. To katastrofa.

Kleopatra, spoglądając raz na krzyżącą kobietę, raz na skrzeczącą papugę, sama była na skraju hysterii. Po chwili rzuciła się na Malenkę, złapała ją za gardło i pociągnęła na kolana, dokładnie tak samo, jak przed kilkoma godzinami zrobiła z Henrym.

- Przestań! - Elliott runął na nią. Nie mógł do tego dopuścić, ale znowu poczuł potężny cios i przeleciał na drugi koniec pokoju. Upadł pod ścianą, ręka przywarła do tynku. Wtedy rozległ się ten dźwięk, nieludzki dźwięk. Dziewczyna nie żyła. Kleopatra skrzyła jej kark.

Ptak przestał skrzeczeć. Patrzył okrągłym, nierozumnym okiem na pomieszczenie.

Malenka leżała na dywanie z głową skrzyconą pod nieprawdopodobnym kątem i półprzymkniętymi, brązowymi oczami.

Kleopatra z zadumą wpatrywała się w trupa. Po chwili orzekła po łacinie:

- Ona nie żyje.

Elliott nie odpowiadał. Złapał krawędź marmurowego blatu kredensu i z taką pomocą stanął na nogi. Nie zwracał uwagi na pulsowanie w piersi. Nic nie dorównywało cierpieniu duszy.

- Dlaczego to zrobiłaś? - wyszeptał. Po co w ogóle pytać stworzenie?! Istotę o mózgu uszkodzonym

podobnie jak ciało, mimo całej jej urody.

Patrzyła na Elliotta z prawie niewinną miną. Potem odwróciła głowę w stronę martwej.

- Powiedz mi, lordzie Rutherford, jak się tutaj znalazłam?

- Zmrużyła oczy. Zaczęła do niego podchodzić. Wyciągnęła rękę i bez wysiłku pomogła mu wstać. Wzięła laskę i włożyła mu ją do lewej ręki.

- Skąd się wzięłam? - ponowiła pytanie. - Lordzie Rutherford! - Pochyliła się, wytrzeszczając przerażone oczy.

- Lordzie Rutherford, czy ja byłam martwa?

Nie czekała na odpowiedź, zaczęła krzyczeć. Objął ją i zakrył dłonią jej usta.

- Ramzes cię tu sprowadził. Ramzes! Wołałaś go. Widziałaś.

- Tak! - Znieruchomiała, nie stawiała oporu, tylko ścisnęła go w nadgarstku. - Ramzes tam był. A kiedy go zawołałam, on... on przede mną uciekł. Tak, jak ta kobieta. To samo spojrzenie!

- Zamierzał wrócić. Inni go powstrzymali. Teraz muszę go znaleźć. Rozumiesz? Musisz tu zostać. Zaczekać na niego.

- Patrzyła niewidzącym wzrokiem. - Ramzes ma lekarstwo. Przyniosę je.

- Kiedy?

- Za kilka godzin. Jest środek popołudnia. Wrócę przed zmrokiem.

Zajęczała, przycisnęła skrzywiony kciuk do zębów i wbiła wzrok w podłogę. W tej chwili przypominała dziecko, zmagające się z ogromną zagadką.

- Ramzes - szepnęła. Najwyraźniej nie miała całkowitej pewności, kto to taki.

Poklepał ją łagodnie po ramieniu i wspierając się na lasce, podszedł do trupa dziewczyny.

Co ma z nią na miłość boską, począć? Zostawić, żeby gnęła? Nie był w stanie zakopać jej w ogrodzie, skoro i tak z trudem się poruszał. Zamknął oczy i gorzko się roześmiał. Zdawało mu się, że cała wieczność upłynęła od czasu, gdy widział syna, Julie, albo cywilizowane miejsca w rodzaju apartamentów w Hotelu Pasterskim. Jakby tysiące lat nie robił ani nie lubił niczego normalnego, jakby nie wierzył w normalność ani się dla niej nie poświęcał.

- Idź po lekarstwo - zakomenderowała. Stała między nim a ciałem. Uniosła Malenkę za prawe ramię. Bez wysiłku pociągnęła tamtą po dywanie, minęła ptaka, który na swoje szczęście milczał, wreszcie cisnęła zwłoki na dziedziniec, jak wypchaną lalkę. Ciało wylądowało twarzą zwróconą pod przeciwległą ścianą.

Nie myśl. Idź po Ramzesa. Idź!

- Trzy godziny - zwrócił się do niej, znów w obydwu językach. - Zarygluj za mną drzwi.

Widzisz zasuwę?

Spojrzała w stronę drzwi. Kiwnęła głową.

- Bardzo dobrze, lordzie Rutherford - odparła. - Przed zmrokiem.

* * *

Nie zasunęła drzwi. Stała wsparta o futrynę i wsłuchiwała się w jego kroki. Musiało minąć trochę czasu, zanim zniknął jej z oczu.

Teraz musi się stąd wymknąć! Zorientować, gdzie jest! To nie może być Egipt. Nie rozumiała teŃ, czemu się tu znalazła, dlaczego odczuwała taki wielki głód, którego nie można było zaspokoić, i skąd brała się irytująca Ńadza, by znaleźć się w męskich objęciach. Zmusiłaby lorda Rutherforda jeszcze raz, gdyby nie wolała go posłać z zadaniem.

Zadanie, nagle zapomniała, o co w nim chodziło. Zamierzał zdobyć lekarstwo, ale co to za lekarstwo? Jak mogła Ńyc z tak rozległymi ranami, które nosiła na ciele?

Lecz przecieŃ uŃwiadomiła to sobie dopiero przed chwilą, gdy spojrzała na tę martwą kobietę, niewolnicę, której złamała kark.

Na razie jednak musiała się stąd wydostać, kiedy nie ma przy niej lorda Rutherforda, ganiącego ją niczym nauczyciel i kaŃącego zostać na miejscu.

Przypomniał jej się niejasny obraz ulic, którymi przejeŃdŃali, pełnych wielkich, hałaśliwych przedmiotów z metalu, wypełnionych cuchnącym dymem i ogłuszającym jazgotem.

Kim byli ludzie, których widziała dookoła? Kobiety w sukniach takich jak ona.

Wtedy bardzo się bała, ale ciało przeszywał jej ból i nieszczęście. Teraz czuła przede wszystkim pragnienie. Nie wolno się bać. Trzeba iŃć.

Wróciła do sypialni. Wzięła magazyn o nazwie „Harper’s Weekly” i patrzyła na sylwetki ładnych kobiet w osobliwych strojach, uciskających je w talii jak osy. Potem spojrzała na siebie w lustrze w szafie.

Potrzebowała okrycia na głowę i sandałów. Tak, sandałów. Przetrasnęła sypialnię i znalazła je w drewnianej szafce - sandały ze skóry inkrustowanej złotem, rozmiarem pasujące na jej małe stopy; i jeszcze coś wielkiego z jedwabnymi kwiatami, coś, czym można było chronić się przed deszczem.

Na widok tego czegoś rozeŃmiała się. NałoŃyła to na głowę i zawiązała pod szyją kokardy. Teraz znacznie bardziej przypominała kobiety na obrazkach. Z wyjątkiem rąk. Co począć z rękami?

Wpatrywała się w nagie kości pierwszego palca prawej dłoni. Pokrywała je cienka warstwa skóry, jednak bardziej przezroczysta nawet od jedwabnej sukienki. Widać było płynącą we wnętrzu krew. Na sam widok kości dostawała zawrotów głowy, wpadała w panikę.

Wspomnienie - ktoś nad nią stoi. Nie, ma już tego dosyć. Musi owinać czymś rękę, jakimś bandaśem. Lewa ręka prezentowała się przyzwoicie. Odwróciła się i zaczęła szukać w szafie z damską garderobą.

Wtedy dokonała największego odkrycia! Oto dwa jedwabne ubrania, idealnie pasujące na ręce. Były białe, ozdobione perłami. W każdym z nich wycięto pięć palców, doskonale przylegały do ręki. Idealne. Całkowicie zakrywały kości.

Ach, cuda tych, jak określił to lord Rutherford, współczesnych czasów. Czasów pudeł z muzyką i automobili, które widziała rankiem, mknąc we wszystkie strony niczym ryczące, nadrzeczne hipopotamy. Jak lord Rutherford nazwałby te odkrycia na ręce?

Traciła czas. Podeszła do toaletki, wzięła kilka drobnych monet i włożyła je w głęboką, zakrytą kieszeń z boku cięskiej spódnicy.

Otwierając drzwi wyjściowe, obejrzała się jeszcze na martwe ciało, leżące bezwładnie pod ścianą dziedzińca. Coś, nie wiedziała co, musiała to pojąć, ale nie miała jasności, co to może być. Coś...

Na nowo ujrzała stojącą nad nią postać o zamglonych rysach. Dobiegły ją święte słowa.

Przemawiał znajomym językiem. To język twych przodków, musisz się go nauczyć. Nie, to z innego okresu. Znajdowali się w jasnym pomieszczeniu, zastawionym przedmiotami z italskiego marmuru, a on ją uczył. Teraz było ciemno i gorąco, a ona zmagala się, jak gdyby chciała wydobyć się z głębokiej toni wodnej. Nogi słabły, woda przygniatała ją, usta były jej pełne, przez co nie mogły krzyknąć.

- Twoje serce na nowo bije, znów żyjesz! Jesteś młoda i silna; na teraz i na wieki.

Nie, tylko nie płacz! Nie próbuj go złapać, zobaczyć. Postać odsuwa się; niebieskie oczy.

Znane jej niegdyś oczy. To stało się zaraz po wypiciu. Kapłanka pokazała mi w lustrze...

niebieskie oczy. Ale czyj to głos?! Głos, który odmówił w mroku modlitwę, starożytną, świętą modlitwę o otwarcie ust mumii.

Zawołała jego imię! I w tym dziwnym, małym domku powtórzył je lord Rutherford. Lord Rutherford poszedł...

Wróci przed zmrokiem.

Bez sensu. Patrzyła na leżące po drugiej stronie łuku ciało. Musi znaleźć się w tej nieznannej krainie. Musi też zapamiętać, jak niezmiernie łatwo ich zabić, łamać im karki niby żdźbła trawy.

Wyszła, nawet nie zamykając za sobą drzwi. Obielone domy po obu stronach ulicy robiły na niej dobre, znajome wrażenie. Znała takie miasta. Może to rzeczywiście Egipt, ale nie, to niemożliwe.

Szła energicznie, trzymając pod brodą kokardy, żeby ten dziwny strój nie zleciał jej z głowy. Bez trudu przyspieszyła kroku. Słońce też miało na nią dobry wpływ. Słońce. W

przeblysku pamięci ujrzała je, wpadające przez portal u góry jaskini. Otworzyła się drewniana pokrywa. Usłyszała skrzypienie łańcucha.

Po chwili wspomnienie, o ile w ogóle było to wspomnienie, znikło. Zbudź się, Ramzesie.

Właśnie tak się nazywał. Ale teraz było jej wszystko jedno. Mogła błądzić po tym nieznanym mieście; chodzić i wszystko odkrywać!

Samir kupił parę kompletów beduińskich strojów w pierwszym napotkanym w starym Kairze sklepie. Przeszedł małą restauracją do brudnego zaułka, w którym roіło się od przegranych Śyciowo Francuzów, i tam załóŚył luźny ubiór, a pozostałe ubrania - przeznaczone dla Julie - wetknął pod pachę i zakrył szatą.

Lubił ten wygodny, chłopski ubiór, znacznie starszy od szytych na miarę tunik i czapek, jakie nosiła większość Egipcjan. Było to chyba najstarsze uŚywane jeszcze ubranie - długa, luźna szata pustynnych wędrowców. Czuł się w niej swobodny i zakryty przed niepowołanymi oczyma.

Kluczył labiryntami, tworzącymi układ podobny do plastra miodu ulicami arabskiego Kairu, w stronę domu swojego kuzyna Zaki, z którym wolał się nie zadawać, ale który bez problemów i najszybciej zaopatrzy go w to, czego było mu potrzeba. Kto wiedział, jak długo Ramzes będzie musiał ukrywać się na terenie Kairu? Jakie rozwiązanie znajdzie zagadka morderstw?

Do manufaktury mumii kuzyna - najobrzydliwszego znanego mu miejsca na całym świecie - wszedł przez boczną furtkę. W popołudniowym Śarze smaŚył się świeŚy ładunek owiniętych w płótno ciał. Wewnątrz z pewnością gotowały się juŚ inne.

Robotnik kopał rów, w który zostaną na kilka dni wrzucone świeŚe mumie, jak gdyby brunatniejące w wilgotnej ziemi.

Samira napełniało to niezmierną odrazą, choć jako chłopiec znalazł się w tej fabryce, kiedy jeszcze nie słyshał o istnieniu autentycznych mumii, ciał staroŚytnych przodków, które moŚna było badać, uratować przed kradzieŚą i okaleczeniem, wreszcie zachować.

- Spójrz na to w ten sposób - przekonywał go kiedyś kuzyn Zaki. - Jesteśmy lepsi od złodziei, którzy po kawałku sprzedają naszych staroŚytnych władców cudzoziemcom. Nasz towar nie jest świąty. To podróbka.

Stary, dobry Zaki. Samir miał juŚ dać znak jednemu z ludzi w środku fabryki, który zajmował się akurat owijaniem jakichś zwłok. Ale w tejŚe chwili z cuchnącego budynku wynurzył się sam Zaki.

- A, Samir. Jak miło cię widzieć, kuzynie. Chodź, napijmy się kawy.

- Nie teraz, Zaki. Potrzebuję twojej pomocy.

- Naturalnie, po co innego miałbyś tu przychodzić?

Samir przełknął naganę z nieznacznym uśmiejchem.

- Zaki, potrzebne mi jest bezpieczne miejsce, mały domek z cięŚkimi drzwiami i tylnym wejściem. Tajne. Na kilka dni, moŚe dłuŚej, sam nie wiem.

Zaki roześmiał się dobrodusznie, choć z widocznym zadowoleniem.

- No, proszę, taki wykształcony, szanowany przez wszystkich, a przychodzi do mnie w poszukiwaniu kryjówki.

- Nie pytaj o nic, Zaki. - Samir wyjął spod szaty zwitek banknotów i podsunął je kuzynowi. - Jakieś bezpieczne miejsce. Jestem gotów zapłacić.

- W porządku, znam dokładnie coś takiego - uspokoił go Zaki. - A teraz wejdź, napijemy się kawy. Jedno pociągnięcie nosem i przyzwyczaisz się do zapachu.

Zaki mówił tak już od wielu lat. Samir jednak nigdy się nie przyzwyczaił. Teraz czuł się zmuszony do przyjęcia zaproszenia i wszedł za kuzynem do pokoju balsamowania, obrzydliwego pomieszczenia, gdzie bez przerwy bulgotała kadź smoły i innych substancji, czekających na kolejne zwłoki.

Przechodząc, Samir zauważył, że w naczyniu dusiła się nowa ofiara. Odwrócił wzrok, lecz zdał sobie jeszcze zauważyć unoszące się na powierzchni czarne włosy nieszczęśnika i jego twarz tuż poniżej.

- Co powiesz na świeżo pachnącą mumię? - drażnił się Zaki. - Prosto z Doliny Królów.

Wszystkie dynastie, do wyboru, do koloru. Kobieta, mężczyzna, wszystko, co zechcesz!

- Kryjówka, kuzynie.

- Tak, tak. Mam kilka pustych domów tego rodzaju. Najpierw kawa, a potem dostaniesz klucze. Powiedz, wiesz coś o tej kradzieży w muzeum?! O wykradzionej mumii! Myślisz, że była autentyczna?

* * *

Elliott wszedł jak oszołomiony do holu Pasterskiego. Zdawał sobie sprawę, że ma rozwiane włosy, że brud i piach pokrywają mu spodnie, a nawet marynarkę. Lewa noga bolała, ale przestał na nią zwracać większą uwagę. Nie było ważne, że pod koszulą zalewał go strumień potu. Wiedział, że dotarcie tutaj powinno sprawić mu ulgę - z dala od wszystkich okropności, których był świadkiem, a nawet uczestnikiem. Jednak hotel robił na nim wrażenie nierealnego -

nie otrząsnął się z nastroju panującego w małym domku.

Gdy wracał ze starego Kairu, gdy keb trząśł niemiłosiernie, przedzierając się przez nasilony ruch, myślał: Malenka nie żyje, bo przyprowadziłem do niej tę kobietę. Nie umiał

wykrzesać z siebie słowa po Henrym. Za to Malenka będzie mu wiecznie ciążyła na sumieniu. I morderczyni, ta potworna, wskrzeszona królowa! Co z nią pocznie, jeżeli nie znajdzie Ramseya?

Kiedy ona rzuci się na niego?

Teraz trzeba poszukać Samira, bo on będzie wiedział, gdzie jest Ramsey.

Zupełnie nie spodziewał się spotkania z Alexem, który wybiegł ku niemu, objął go i blokował drogę

do recepcji.

- Ojczy, Bogu niech będa dzięki, Œe tu jesteŒ.

- Gdzie Ramsey? Muszę z nim natychmiast pomówić.

- Ojczy, czy ty nie wiesz, co się działo? Poszukuję go w całym Kairze. Jest oskarŒony o zabójstwo, jedno tutaj, drugie w Londynie. Julie wychodzi wprost ze skóry. Wszyscy tracimy zmysły. Nie moŒemy znaleŒć Henry'ego! Ojczy, gdzie ty się podziewałeŒ?

- Zostań przy Julie i opiekuj się nię - polecił. - Amerykanka, panna Barrington, moŒe troche poczekać. - Próbował dostać się do recepcji.

- Panna Barrington wyjechała - oznajmił z lekcewaŒącym gestem Alex. - Rodzina zmieniła plany dzisiaj rano, po tym, jak policja przesłuchiwała ich w zwięzku z nami i Ramseyem.

- Przepraszam, synu - wymamrotał - ale muszę zostawić cię samego. Koniecznie potrzebny mi jest Samir.

- To masz szczęście. Przed chwilę wrócił.

Alex wskazał rękę w stronę kasy. Wyględało na to, Œe Samir skończył wypisywać polecenie wypłaty z konta bankowego. Teraz liczył banknoty i odkładał na bok. Pod pachę niósł

jakieŒ zawiniętko. WyraŒnie się spieszył.

- Zostaw nas samych, chłopczy - nakazał Elliott, idęc w kierunku Egipcjanina. Gdy dotarł do marmurowego kontuaru, Samir uniósł akurat głowę. Elliott odciągnął go na bok.

- Muszę się z nim widzieć - wyszeptał Elliott. - JeŒli wiesz, gdzie on jest, muszę z nim porozmawiać.

- AleŒ lordzie. - Samir powoli i obojętnie lustrował wzrokiem hol. - Szukaję go władze.

W tej chwili jesteŒmy obserwowani.

- Ale wiesz, gdzie on jest. Albo jak moŒna mu przekazać wiadomoŒć. Wiesz o nim wszystko, i to od samego poczętku.

Oczy Samira przybrały nieprzenikniony wyraz. Jak gdyby w duszy zamknęły się jakieŒ drzwi.

- Proszę przekazać tę wiadomoŒć przeze mnie.

Samir zaczął odchodzić.

- Powiedz mu, Œe mam ją. - Samir zawahał się.

- Kogo? - wyszeptał. - Co to ma znaczyć?

Elliott znów bezceremonialnie ujął go pod ramię.

- On wie. Ona też wie, kim jest! Przekaż mu, że zabrałem ją z muzeum. I zaprowadziłem w bezpieczne miejsce. Spędziłem z nią cały dzień.

- Nie rozumiem.

- On zrozumie. Teraz posłuchaj uważnie. Powiedz mu, że słońce jej pomogło, że pomogło też... lekarstwo w fiolce.

Earl wyjął puste naczynie i podał je Samirowi. Ten wpił w nie oczy, jak gdyby napelniało go strachem; jakby nie chciał się z nim stykać i nie miał najmniejszego pojęcia, co ma począć z fiolką.

- Jej potrzeba więcej! - podjął Elliott. - Ma urazy, wewnętrzne i zewnętrzne. Jest szalona.

- Kątem oka ujrzał idącego w ich stronę Alexa, któremu dał znak, żeby wykazał jeszcze trochę cierpliwości, a sam przysunął się do Samira. - Powiedz, żeby skontaktował się ze mną o siódmej wieczorem. We francuskiej kawiarni o nazwie „Babilon”, w dzielnicy arabskiej.

- Ale chwileczkę, proszę wyjaśnić...

- Już ci mówiłem. On zrozumie. Pod ładnym pozorem nie wolno mu się ze mną kontaktować tutaj. To zbyt niebezpieczne. Nie chcę mieszać w to wszystko syna. O siódmej w

„Babilonie”. Aha, powiedz mu jeszcze jedno. Zabiła trzy osoby. I na tym nie poprzestanie.

Obrócił się gwałtownie i wyciągnął rękę, żeby wesprzeć się na Aleksie.

- Chodź, weź mnie na górę - powiedział. - Muszę odpocząć. Ledwie trzymam się na nogach.

- Ojczy, co się tu wyprawia?!

- To ty musisz mi opowiedzieć. Co zdarzyło się od mojego wyjścia? Aha, jeszcze recepcja. Powiedz w recepcji, że nie przyjmuję nikogo. Niech nie dzwonią do pokoju. Nikt nie ma do mnie prawa wstępu.

Jeszcze parę kroków, pomyślał, gdy otwierały się drzwi windy. Gdyby tylko zdołał

dotrzeć do łóżka z czystą pościelą. Miał zawroty głowy. Czuł mdłości. Był wdzięczny za obecność syna, który obejmował go stanowczo pod ramiona i nie pozwalał upaść.

Już w pokoju zupełnie opadł z sił, ale czekał tam Walter, który razem z Alexem pomógł mu położyć się do łóżka.

- Chcę usiąść - wycharczał niczym niedołężny starzec.

- Napuszczę wody do wanny, milordzie, gorącej wody, w której można wypocząć.
- Proszę bardzo, Walter, ale najpierw przynieś mi drinka. Najlepiej scotcha, a butelkę postaw koło szklanki.
- Ojczy, nigdy nie widziałem cię w takim stanie. Zaraz dzwonię po rodzinnego lekarza.
- Ani się waś! - Ton głosu Elliotta przeraził Alexa, czyli wywołał zamierzony efekt. - Czy Lady Makbet pomogłby jakiś lekarz? Szczerze wątpię.
- Ojczy, o co chodzi? - Głos Alexa zamienił się w szept, jak zawsze w chwilach, gdy syn był naprawdę wzburzony. Patrzył, jak Walter wkłada szklankę do ręki Elliotta.

Ten wypił łyk whisky.

- O, jak dobrze - westchnął. W tamtym okropnym domu, domu śmierci i obłędu, stało kilka butelek trunku Henry'ego, jednak nie mógł zmusić się do przełknięcia choćby kropli. Nie mógłby pić z butelki Henry'ego ani przełknąć nawet kęsa jego jedzenia. Wszystko dawał

Kleopatrze, ale sam nie potrafił się przymusić. Teraz rozkoszował się słodkim śmakiem scotcha, tak odmiennym od pieczenia w piersiach.

- Teraz posłuchaj, Alex - podjął, popijając ze szklanki. - Musisz niezwłocznie wyjechać z Kairu. Spakuj bagaże tak, żebyś zdążył na pociąg do Port Said o piątej. Osobiście zawiozę cię na dworzec.

Syn zaczął nagle sprawiać wrażenie kompletnie bezbronny. Po prostu chłopiec, uroczy chłopiec. Oto moje marzenie o nieśmiertelności, które towarzyszy mi od zawsze. Mój Alex, który musi wracać do Anglii, gdzie będzie bezpieczny.

- To nie wchodzi w rachubę, ojczy - oświadczył z taką samą łagodnością młodzieniec. -

Nie mogę tu zostawić Julie.

- Wcale cię o to nie proszę. Julie pojedzie z tobą. Teraz do niej idź i powiedz, żeby się pakowała. Już.

- Ojczy, ty nic nie rozumiesz. Ona nie wyjedzie, dopóki Ramsey nie zostanie oczyszczony z zarzutów. A Ramsey'ego nie można znaleźć. Słuch zaginął równieś po Henrym. Zresztą sądzę, że władze nie zezwolą nikomu z nas na wyjazd, dopóki sprawa nie zostanie rozstrzygnięta.

- O mój Boże.

Alex wyjął chusteczkę, starannie ją rozłożył i otarł ojcu czoło. Złaził ją z powrotem i podał Elliottowi, który wytarł usta.

- Ojczy, ty chyba nie sądzisz, że Ramsey dopuścił się tych wszystkich zbrodni, prawda?

W sumie nawet go lubiłem!

- Kąpiel gotowa, milordzie - oznajmił Walter, który stanął w drzwiach.

- Biedny Alex - wyszeptał Elliott. - Uczciwy i honorowy Alex.

- Ojczy, powiedz, co się stało. Nigdy cię takiego nie widziałem. Nie jesteś sobą.

- Ale jestem najprawdziwszym sobą. Jak zawsze awanturnikiem i szaleńcem, goniącym za obłąkańczymi marzeniami. A jestem zbytnio sobą. Widzisz, synu, kiedy odziedziczysz tytuł, staniesz się chyba jedynym uczciwym i honorowym earlem Rutherford w dziejach.

- Znowu bawisz się w filozofię. A ja nie jestem znowu taki uczciwy i honorowy. Jestem po prostu dobrze wychowany, co jest chyba znośną namiastką. Teraz wskakuj do wanny. Od razu poczujesz się lepiej. I przestań już pić tego scotcha. - Zawołał do pomocy Waltera.

* * *

Miles Winthrop wpatrywał się w telegram, który wręczył mu stojący przed nim mężczyzna.

- Zatrzymać ją? Julie Stratford?! Za kradzieżą bezcennej mumii w Londynie? Ale to jakieś szaleństwo. Chodziłem do szkoły z Alexem Savarellem. Sam skontaktuję się z British Museum!

- Proszę bardzo, tylko szybko - przystał tamten. - Gubernator się wścieka. Dział Antyków bije na alarm. Znajdź tego Henry'ego Stratforda. Wytrop jego kochankę, tancerkę o imieniu Malenka. Stratford siedzi gdzieś w Kairze, na pewno pijany w siwy dym. Czym prędzej kogoś zatrzymaj, bo szefa zaleje krew.

- Mam to gdzieś - wyszeptał Miles, biorąc słuchawkę.

* * *

Ach, jaki wspaniały bazar. Wszystko tu można kupić: bogate tkaniny, perfumy, korzenie i dziwne, tykające urządzenia z rzymskimi liczbami; biżuterię, wyroby garncarskie; i jedzenie! Ale nie miała pieniędzy! Pierwszy handlarz oznajmił jej po angielsku, posiłkując się starożytnymi, jednoznacznymi gestami, że jej monety są nic nie warte.

Szła dalej. Wsłuchiwała się w otaczający ją gwar, szczególnie w angielski, próbowała coś zrozumieć.

- Tyle nie zapłacę. Za drogo, ten człowiek chce nas okraść...

- Coś do picia, zapraszam. Jest straszny upał.

- Ale ładne naszyjniki!

Śmiech, obrzydliwe odgłosy i donośny zgrzyt! Już go słyszała. Zakryła uszy rękami.

Ruszyła przed siebie, usiłując nie słyszeć tego, co zadawało jej ból, ale jednocześnie wysłuchiwać wszystkiego, czego mogłaby się nauczyć.

Znienacka wstrząsnął nią potworny łoskot - niewyobrażalny - uniosła więc głowę, gotowa wybuchnąć krzykiem. Ręce nie zdołały osłonić uszu. Zatokczyła się do przodu, w popłochu orientując się, że ludzie dookoła wcale się nie bali! Prawie nie zwracali uwagi na hałas.

Musiała przeniknąć tę tajemnicę! Parła naprzód, mimo że w oczach stały jej łzy.

Widok, który się ukazał, napełnił ją nienazwaną trwogą. Słowa w śladnym ze znanych jej języków nie opisałyby tego zjawiska. Coś ogromne i czarne jechało naprzód na kołach z metalu, z komina na górze wydobywał się dym. Ten odgłos zagłuszył wszystkie inne. Z tyłu przesuwały się wielkie, drewniane wozy, połączone hakami z czarnego żelaza. Przerastająca karawana sunęła po dwóch pasmach metalu, które biegły po ziemi. Hałas narastał, w miarę jak pojazd mijał ją i wjeżdżał do jamy wielkiego tunelu, w której tłoczyły się setki ludzi, najwyraźniej próbujących przedostać się jak najbliżej stwora.

Jęknęła głośno, nie mogąc oderwać wzroku od maszyny. Dlaczego opuszczała kryjówkę?

Po co porzuciła lorda Rutherforda, który by się nią zaopiekował? Wtem, gdy zdawało się już, że będzie widzieć tylko ciągnący się w nieskończoność sznur wozów, ostatni zanurzył się w tunelu i po drugiej stronie metalowej drogi Kleopatra ujrzała wielki, granitowy posąg faraona Ramzesa, który stał ze skrzyżowanymi rękami, trzymając w nich berła.

Nie wierząc własnym oczom, wpatrywała się w kolosa. Wyrwany z krainy, którą znała, którą niegdyś władała, stał tutaj bezsensownie groteskowy, samotny.

Cofnęła się. Nadjeżdżał następny demoniczny rydwan. Wydał z siebie przenikliwy pisk i pomknął naprzód, zasłaniając posąg.

Czuła, że ucieka przed tym wszystkim, że chowa się w siebie, wraca do ciemnych głębi, skąd przyszła. Gdy otworzyła oczy, stał nad nią młody Anglik. Obejmował ją, podnosił i nakazywał

cofnąć się gapiom. Zrozumiała, że pyta, co jej jest i czy może jej jakoś pomóc.

- Kawa - wyszeptala - poproszę odrobinę cukru do kawy. - Wyrecytowała słowa z mówiącej maszyny, którą pokazał jej lord Rutherford. - Poproszę plasterek cytryny. - Twarz mu się rozjaśniła.

- Ach, tak, proszę bardzo. Chodźmy do angielskiej kawiarni, kupię pani kawę!

Postawił ją na nogach. Jaki przystojny, muskularny młodzieniec. Z niebieskimi oczami, o barwie niemal tak intensywnej, jak u tamtego...

Obejrzała się przez ramię. Nie był to sen. Posąg nadal stał nad metalowym traktem; dobiegały ją ryki rydwanów, mimo że nie widziała ani jednego.

Znowu zrobiło jej się słabo, zachwiała się, a wtedy on pochwycił ją. Pomógł iść.

Bacznie przysłuchiwała się wypowiedzanym przez niego słowom.

- To miły lokal. Można tam posiedzieć i wypocząć. Bardzo się o ciebie przestraszyłem.

Upadłaś, jakby coś uderzyło cię w głowę.

Kawiarnia. Głos w gramofonie mówił: Umówmy się w kawiarni. Czyli jest to miejsce na picie kawy, spotkania, rozmowy. Miejsce pełne kobiet w pięknych strojach i eleganckich mężczyzn w rodzaju lorda Rutherforda i tego miłego stworzenia o potężnych barkach i nogach.

Usiadła przy stoliku z marmurowym blatem. Wszędzie tyle głosów.

- Tak, naprawdę uważam, że to wspaniałe miejsce, ale, mamo, jej zachowanie...

- Okropne, nieprawdaż? Mówią, że złamano jej kark.

- Herbata jest zimna. Wezwij tego kelnera.

Patrzyła, jak mężczyzna przy sąsiednim stole odlicza dla słuchającego kawałki papieru z napisami. Czy to pieniądze? Sługa dawał mu w zamian monety.

Postawiono przed nią tacę z parującą kawą. Zgłodniała już tak bardzo, że była gotowa wypić cały imbryk, wiedziała jednak, że powinna odczekać, a mężczyzna należy płynąć do filiszek. Lord Rutherford zdążył pokazać jej przynajmniej tyle. O właśnie, młody człowiek uczynił dokładnie to samo. Ładnie się uśmiecha. Jak powiedzieć, że chce zaraz pójść, z nim do łóżka? Powinni znaleźć małą gospodę, bo mają tu chyba gospody.

Siedząca twarzą do niej kobieta zaczęła mówić pośpiesznie.

- Sama nie wiem, niezbyt przepadam za operą. W Nowym Jorku na pewno bym się nie wybrała. Ale skoro już jesteśmy w Kairze, mamy obowiązek wszyscy ją uwielbiać. To śałosne.

- Ależ, kochanie, to *Aida*.

Aida. Celeste Aida. Zanuciła, po czym zaczęła śpiewać, na tyle cicho, że ludzie dookoła jej nie słyszeli. Ale towarzyszący jej mężczyzna dosłyszał. Uśmiechnął się do niej promiennie.

Zaciągnięcie go do sypialni byłoby łatwe. Więcej trudności mogłoby przysporzyć samo znalezienie jakiegoś łóżka. Mogła go naturalnie zabrać z powrotem do małego domku, ale to było chyba za daleko. Przestała śpiewać.

- Nie, nie, nie ustawaj - zachęcił ją. - Śpiewaj dalej. Śpiewać dalej, śpiewaj dalej. Należało chwileczkę odczekać, by znaczenie ujawniło się z zaskakującą jasnością.

Nauczył ją tego Ramzes. Z początku każdy język tworzy nieprzeniknioną zasłonę. Mówi się nim, słucha się, i zasłona zostaje stopniowo uchylona.

Ramzes. Ramzes, którego posąg stał pośród Śelaznych rydwanów! Przekreśliła głowę, by spojrzeć przez okno - to z kolei wypełniono ogromnym kawałkiem bardzo czystego szkła. Widać było na nim brud. Jak się to robi? Współczesne czasy, jak ujął to lord Rutherford. Skoro potrafili wytwarzać takie potworne rydwany, szkło nie stanowiło zapewne problemu.

- Masz śliczny głos, naprawdę śliczny. Wybierasz się moŜe przypadkiem do opery, bo zdaje się, Őe będą tam wszyscy ludzie w Kairze?

- Bal będzie trwał do świtu - powiedziała kobieta siedząca naprzeciw swojej towarzyszki.

- Doskonale. Jesteśmy po prostu tak oddalone od cywilizacji, Őe wprost nie wypada narzekać.

MęŜczyzna roześmiał się. On takŜe słyszał rozmowę tamtych dwóch.

- Bal ma stać się wydarzeniem sezonu w mieście. Odbędzie się w Pasterskim. - Wypił łyk kawy. Czekala na taki właśnie sygnał. Wychyliła całą filiŜankę.

Uśmiechnął się. Nalał jej z niewielkiego imbryczka.

- Dziękuję - odezwała się, starannie naśladowując nagranie.

- Ale chyba Őyczyła pani sobie cukru?

- Wolałabym chyba śmietankę, jeśli nie ma pan nic przeciwko.

- AleŜ oczywiście. - Dolał jej trochę mleczka. Czy to śmietana? Tak, lord Rutherford dał jej resztkę, którą znalazł w domu tamtej kobiety.

- Wybiera się pani na bal w Pasterskim? Mieszkam tam z wujem. Zajmuje się tutaj handlem.

Urwał. Czemu się przypatruje? Jej oczom? Włosom? Był bardzo przystojny, podobała jej się nowa, świeŜa skóra jego twarzy i szyi. Lord Rutherford był niewątpliwie niebrzydkim męŜczyzną, lecz ten miał na dodatek urok młodości.

Wyciągnęła rękę i - przez płótno jego koszuli i jedwab, który okrywał jej palce -

pomacała mięśnie jego klatki piersiowej. Oby nie poczuła kości. Sprawiał wrażenie bardzo zaskoczonego. Koniuszkami palców dotknęła jego sutek i uszczypnęła go delikatnie kciukiem i czwartym palcem. Zarumienił się niczym Westalka. Krew napłynęła mu do twarzy. Kobieta uśmiechnęła się.

Rzuciła okiem na dwie kobiety siedzące obok. Te jednak były nadal pogrąŜone w rozmowie.

- Po prostu prześliczna!

- Wiesz, wydałam na tę sukienkę majątek. Powiedziałam sobie, Őe skoro mam tu zostać i będą tu

wszyscy...

- Opera - roześmiała się Kleopatra. - Iść do opery.

- Tak - odparł mężczyzna, wciąż zdumiony tym, co zrobiła. Nalała zawartość imbryka do filiżanki i wychyliła ją. Następnie wzięła niewielki dzbanek mleka i takse wypila zawartość.

Wsypała sobie do ust cukier. Nie, to jej nie smakowało. Wsunęła rękę pod stolik i ścisnęła nogę mężczyzny. Był gotów! Biedny chłopiec! Nieszczęsny, wielkooki chłopiec.

Przypomniała sobie, jak wespół z Antoniuszem sprowadzali do namiotu młodych żołnierzy, kazali im się rozbierać i dokonywali wyboru. Piękna zabawa. Jednak tylko do chwili, gdy dowiedział się o niej Ramzes. Pod koniec wytykał jej niemal każdy krok. Ale ten mężczyzna był bardzo rozpalony! Pragnął jej.

Wstała. Skinęła na niego ręką i ruszyła w stronę drzwi.

Rozgardiasz. Rydwany. Nie zwracała na nie uwagi. Jeżeli wszyscy ci ludzie się nie bali, z pewnością istniało jakieś wytłumaczenie obecności tych urządzeń. Teraz należało znaleźć odpowiednie miejsce. On szedł za nią, cały czas mówiąc.

- Chodź - odezwała się po angielsku. - Chodź za mną. Prowadziła go boczną uliczką, przestępując kałuse. Więcej cienia, zaciszniej. Odwróciła się i ujęła go pod ramiona. Pochylił się, żeby ją pocałować.

- Chyba nie tutaj, nie tutaj! - mówił nerwowo. - Panienko, nie sądzę...

- Mówię, że tutaj - oświadczyła, całując go i wkładając rękę pod ubranie. Gorąca skóra, oto, czego było jej potrzeba. Gorąca i słodko pachnąca. Pełna gotowość, młody ogier. Uniosła spódnice różowej sukni.

Za szybko dobiegło to końca. Zadrżała, przyciskając się do niego, wieszając mu się na szyi. Usłyszała jęk rozkoszy. Na chwilę znieruchomiał, zastygł w zupełnym bezruchu. Nią ciągle wstrząsały dreszcze, lecz nie potrafiła wydobyć z niego nic więcej. Puścił ją i oparł się o mur, wytrzeszczył oczy, jakby był chory.

- Chwileczkę, proszę, daj mi trochę czasu - błagał, gdy zaczęła go znowu całować.

Przez kilka sekund mierzyła go wzrokiem. To takie łatwe. W pół. Mocno schwyciła go obiema rękami za głowę i przekreśliła, aś usłyszała trzask łamanych kości.

Patrzył pustym wzrokiem, tak samo, jak kobieta, a jeszcze przed nią mężczyzna. Nicosić w oczach. Nic. Osunął się po murze, mając szeroko rozłożone nogi.

Przyglądała się. Znowu dręczyło ją poczucie tajemnicy, coś związanego z jej własnym losem. Z tym, czego właśnie dokonała.

Przypomniała sobie mroczną postać, stojącą nad nią. Czy to się jej śniło?

- Powstań, Kleopatro. Wzywam cię ja, Ramzes!

Nie! Sam wysiłek pamięci boleśnie rozdarł jej głowę. Ból nie był jednak fizyczny. To ból duszy. Słyszała płacz kobiet, kobiet, które niegdyś знаła. Zawodzących kobiet. Wołających ją po imieniu. Kleopatry. Potem ktoś nakrył jej twarz przezroczystą, czarną tkaniną. Czy wąż jeszcze żył? Dziwiła się, że ją przeżył. Na nowo poczuła, jak zęby zanurzają jej się w piersi.

Wydała cichy, tępy jęk. Stała wsparta o mur, wpatrzona w martwego młodzieńca. Gdzie się to wszystko działo? Kiedy? Kim była ona sama?

Nie wolno jej wspominać. Czasy współczesne czekają.

Nachyliła się i wyjęła z marynarki mężczyzny pieniądze. Całe mnóstwo pieniędzy w niewielkiej, skórzanej kieszonce. Wsunęła je w głąb swojej kieszeni. Jeszcze coś. Kartka z portretem chłopca i angielskimi napisami, zadziwiająca. Piękne dzieło. I dwa kawałki sztywnego papieru, z napisem *Aida* i „Opera”. Widniał na nich ten sam mały rysunek, co w angielskim magazynie, przedstawiający głowę Egipcjanki.

Je tak było warto sobie zachować. Wyrzuciła obraz nieżyjącego. Operowe kartki włożyła sobie do kieszeni i znowu cicho zaintonowała *Celeste Aida*, przechodząc nad zwłokami chłopca i wracając na gwarną ulicę.

Nie bój się. Rób to, co oni. Skoro chodzą obok metalowej drogi, ty też powinnaś tak uczynić.

Ale ledwie zdążyła postąpić kilka kroków, gdy rozległ się ten przenikliwy gwizd jednego z metalowych rydwanów. Zakryła uszy, wydając mimowolny krzyk, a gdy uniosła głowę, stał

przed nią następny przystojny mężczyzna.

- Mogę w czymś pomóc, panienko? Mam nadzieję, że nie zablądziłaś? Nie powinnaś kręcić się w pobliżu dworca z tymi pieniędzmi, które wystają ci z kieszeni.

- Dworca...

- Nie masz torebki?

- Nie - odparła niewinnie. Pozwoliła ująć się pod ramię. - Pomożesz mi? - powtórzyła zwrot, który wielokrotnie wypowiadał lord Rutherford. - Mogę ci zaufać?

- Aleś naturalnie! - Mówił szczerze. Kolejny młodzieniec. O gładkiej, ślicznej skórze!

Z tylnego wyjścia Pasterskiego wyłoniło się dwóch Arabów, wyższy i niższy, i obaj ruszyli swawym krokiem.

- Pamiętaj - wyszeptał Samir. - Stawiaj bardzo długie kroki. Jesteś mężczyzną. Mężczyźni nie drobia

nogami i nie wymachują nienaturalnie rękami.

- Powinnam się już bardzo dawno tego nauczyć - odparła Julie.

* * *

W Wielkim Mecze roilo się zarówno od wiernych, jak i turystów, którzy przyszli obejrzeć ten cud architektury i samych muzułmanów, modlących się na klęczkach. Julie i Samir przechadzali się leniwie wśród tłumu zwiedzających. Po chwili wypatrzyli wysokiego Araba w ciemnych okularach i długich, obszernych szatach.

Samir położył w dłoni Ramzesa klucz. Szeptem przekazał mu adres i opisał drogę do wybranego miejsca. Ramzes miał pójść za nim. Nie było daleko.

Wraz z Julie ruszył przodem, Ramzes zaś szedł o kilka kroków z tyłu.

* * *

Ach, jak podobał jej się ten, jak się nazywał, Amerykanin, który mówił takim dziwnym językiem. Jechali zaprzęgniętą w konie taksówką, klucząc pośród automobili. Przestała się bać.

Jeszcze przed odjazdem z dworca kolei zorientowała się, iż sielazne rydwany woziły ludzi.

Zwykły, popularny środek transportu. Zadziwiające.

Ten mężczyzna nie dorównywał elegancją lordowi Rutherfordowi, ale mówił powoli i stopniowo coraz lepiej go rozumiała, zwłaszcza kiedy pokazywał to, o czym mówił.

Zorientowała się, co to automobil Forda i Stutz Bearcat, i mały wehikuł. On sprzedawał takie rzeczy w Ameryce. Handlował tam automobilami Forda. Na takie pojazdy mogli pozwolić sobie nawet biedni.

Trzymała kurczowo płócienną torebkę, którą jej przyniósł, a w niej pieniądze i kawałki papieru z napisem „Opera”.

- A tutaj zamieszkują turyści - tłumaczył - przeważnie. To znaczy jest to dzielnica brytyjska.

- Angielska.

- Zgoda, ale zatrzymuje się tu także większość Europejczyków i Amerykanów. A w tamtym budynku mieszkają najbogatsi, Brytyjczycy i Amerykanie. To Pasterski, taki hotel, nie wiem, czy rozumiesz.

- Pasterski, taki hotel. - Roześmiała się.

- Tutaj jutro wieczorem będzie wystawiana opera. Ja tu mieszkam. Nie lubię opery -

skrzywił się - nigdy się nią nie interesowałem. Ale tutaj, w Kairze, rozumiesz, wypada być na takim

przedstawieniu.

- Wypada, rozumiesz.

- Naprawdę wypada. Dlatego pomyślałem sobie, że pójdę, rozumiesz, a potem jeszcze na bal, chociaż trzeba było wypożyczyć frak i wszystkie te drobiazgi. - Oczy płonęły mu uroczym blaskiem, kiedy tak na nią patrzył. Najwyraźniej doskonale się bawił.

Ona zresztą też.

- *Aida* jest na temat starożytnego Egiptu.

- Tak, śpiewa Radames.

- Właśnie! To znaczy, że wiesz o tym i pewnie lubisz operę, znasz się na niej. -

Niespodziewanie zmarszczył czoło. - A jak się czujesz, panienko? Może bardziej spodobałaby ci się atmosfera starego miasta? Napijesz się czegoś? Może wybierzemy się na wycieczkę moim automobilem? Stoi zaraz za Pasterskim.

- Automobilem?!

- Przy mnie nie musisz się niczego obawiać, panienko, ja jestem bardzo ostrożnie.

Widziałaś kiedyś piramidy?

Pii - raa - mii - dy.

- Nie - odparła. - Jechać twoim automobilem, wyśmienicie!

Roześmiał się. Wykrzyknął woźnicy jakieś polecenie, taksówka skręciła i stanęła przy chodniku. Objechali taki hotel, Pasterski, ładną budowlę ze ślicznymi ogrodami.

Gdy podawał jej rękę, by pomóc wysiąść z powozu, niemal otarł się o ranę w jej boku.

Zadrżała. Na szczęście nie dotknął czułego miejsca. Mimo to przypomniawszy sobie o dotkliwej ranie. Jak można było żyć z takimi okropnymi urazami? Oto tajemnica. Tak czy owak, musi przed zmrokiem wrócić do lorda Rutherforda. Lord szukał człowieka, który znał wytłumaczenie tej zagadki - męszczyzny o niebieskich oczach.

* * *

Przybyli do kryjówki. Julie zgodziła się poczekać przed wejściem, podczas gdy Samir i Ramzes obejrzelili trzy niewielkie pokoje i zapuszczony ogród. Potem dali jej znak, że może wejść, i Ramzes zamknął drzwi na zasuwę.

Na środku pomieszczenia stał mały stół ze świecą, wetkniętą w starą butelkę po winie.

Samir zapalił świecę. Ramzes przysunął dwa krzesła z prostymi oparciami, a Julie przyniosła jeszcze jedno.

Mieszkanie było dość wygodne; popołudniowe słońce wpadało przez drzwi od ogrodu. W

środku było gorąco, chociaż do wytrzymania, jako że dom stał od pewnego czasu zamknięty. W

powietrzu snuł się zawieszisty zapach korzennych przypraw i konopi.

Julie zdjęła arabskie okrycie głowy i rozpuściła włosy. Nie spinała ich, więc teraz tylko rozwiązała trzymającą je od tyłu kokardę.

- Nie uwierzę, że zabiłeś tę kobietę - oświadczyła prosto z mostu, spoglądając na siedzącego naprzeciw niej Ramzesa.

W pustynnym stroju przypominał szejka, z twarzą pogrążoną w półcieniu, blaskiem świecy w oczach.

Samir dyskretnie zajął miejsce po lewej stronie kobiety.

- Nie zabiłem - odparł Ramzes - choć odpowiadam za jej śmierć. Potrzebuję waszej pomocy. Czyjejkolwiek pomocy. I proszę o wybaczenie. Nadszedł czas, żebym wam wszystko powiedział.

- Panie, mam wiadomość - wtrącił się Samir - którą muszę ci niezwłocznie przekazać.

- Co to za wiadomość? - zdziwiła się Julie. Samir nic o tym nie wspominał.

- Od bogów, Samirze? Czy sądają ode mnie rozliczenia za moje postęпки? Nie ma czasu na inne, mniej ważne wiadomości. Muszę opowiedzieć wam, co się zdarzyło, co zrobiłem.

- Od earla Rutherford, panie. Zaczepił mnie dziś w hotelu. Zachowywał się jak obłąkany, kazał powiedzieć ci, że ma ją.

Ramzes osłupiał. Patrzył na Samira, jak gdyby chciał zabić go wzrokiem.

Julie miała już tego dosyć.

Samir wyjął coś spod szaty i podał to Ramzesowi. Była to szklana fiolka, taka jak te, które stały pomiędzy alabastrowymi słojami w zbiorach w jej domu.

Ramzes obrzucił wzrokiem naczynie, ale jakby obawiał się go dotknąć. Samir chciał

jeszcze coś powiedzieć, lecz Ramzes nakazał mu ruchem ręki milczenie. Emocje tak bardzo zniekształciły mu twarz, że wyglądał jak zupełnie inny człowiek.

- Co to ma znaczyć?! - wyrzuciła Julie, nie panując nad sobą.

- Poszedł za mną do muzeum - wykrztusił Ramzes, nie mogąc oderwać wzroku od pustej fiolki.

- Co ty wygadujesz? Co stało się w muzeum?

- Panie, on mówi, że słońce jej pomogło. że lekarstwo w fiolce zadziałało, ale że ona potrzebuje jeszcze więcej. Jest uszkodzona, od środka i od zewnątrz. Zabiła trzy osoby. Jest obłąkana. Earl trzyma ją w bezpiecznej kryjówce, pragnie się z tobą spotkać. Naznaczył czas i miejsce.

Ramzes przez chwilę milczał, wreszcie wstał i skierował się do drzwi.

- Stój! - krzyknęła Julie, biegnąc za nim. Samir również zerwał się od stołu.

- Panie, jeśli będziesz próbował znaleźć go wcześniej, grozi ci aresztowanie. Hotel jest otoczony. Zaczekaj, a lord wyjdzie na spotkanie. To jedyne bezpieczne rozwiązanie!

Ramzes był wyraźnie zbity z tropu. Odwrócił się z ociąganiem, patrząc tępy, oszalałym wzrokiem. Powlókł się z powrotem na krzesło.

Julie otarła łzy chusteczką i tak usiadła.

- Gdzie i kiedy? - zapytał Ramzes.

- O siódmej wieczorem. W „Babilonie”, takim francuskim nocnym klubie, który znam.

Mogę cię tam zaprowadzić.

- Nie mogę tyle czekać!

- Ramzesie, powiedz, co to wszystko znaczy. Jak mamy ci pomóc, skoro nie wiemy, o co chodzi?

- Panie, Julie ma rację. Musisz nam teraz zaufać. Pozwól sobie pomóc. Jeśli zostaniesz schwytany przez policję...

Ramzes machnął ręką w geście obrzydzenia. Na jego twarzy malowały się sprzeczne uczucia.

- Potrzebuję was, ale kiedy wszystko powiem, być może was utracę. Ale stało się.

Wprowadziłem w wasze życie chaos.

- Mnie nigdy nie utracisz - zadeklarowała Julie, mimo narastającego lęku. W głębi jej duszy czaiła się obawa przed tym, co miało nastąpić.

Jeszcze przed chwilą myślała, że ogarnia całą sytuację. Zabrał ciało ukochanej z więzienia. Chciał je godziwie pogrzebać. Jednak teraz, wobec tajemniczej fiolki i wiadomości od Elliotta, przychodziły jej do głowy bardziej upiorne możliwości, które odrzucała. One jednak natychmiast powracały.

- Obdarz nas zaufaniem, panie. Pozwól dopomóc w niesieniu tego brzemienia.

Ramzes spojrział na Samira, potem na nią.

- Nie możesz przejąć części winy - stwierdził. - Zwłoki w muzeum. Tej nieznannej kobiety...

- Tak - wyszeptał Samir.

- Dla mnie ona nie była nieznaną, moi kochani. Poznałby ją duch Juliusza Cezara. Cień Marka Antoniusza okryłby pocałunkami. Był czas, gdy jej śmierć pogrążyła w ślobie miliony...

Julie pokiwała głową, czując napływające do oczu łzy.

- A ja dopuściłem się niesłychanego czynu. Zabrałem do muzeum eliksir. Nie zdawałem sobie sprawy ze zniszczenia, jakiemu uległo jej ciało, z którego odpadły całe kawałki. Połałem ją eliksirem! Po dwóch tysiącach lat w resztkach jej ciała zbudziło się Śycie! Powstała! Krwawiąca, okaleczona, stanęła na nogach. Chodziła. Wyciągnęła do mnie ręce. Zawołała po imieniu!

* * *

Ach, to było lepsze niż najwykwintniejsze wino, niż miłość, ta jazda drogą w otwartym amerykańskim samochodzie, gwiżdżący w uszy wiatr i radosne okrzyki Amerykanina, który przesuwiał we wszystkie strony dźwignię.

Widok błyskawicznie mijanych domostw. Egipcjan, wlokących się na osłach i wielbłądach, obsypywanych grudkami świru.

Cudowne. Spojrzała na niebo, jedną ręką przytrzymując kapelusz, podczas gdy wiatr rozwiewał włosy.

Od czasu do czasu przyglądała się, jak mężczyzna wprawia w ruch swój rydwan. Raz po raz naciskał, jak to nazywał, pedały, przesuwiał dźwignię i kręcił kierownicą.

Jaki dreszcz emocji, podniecenia. Ale nie stąd, nie zowąd znowu w popłoch wprawił ją ten przenikliwy odgłos. Ryk, który przygwoździł ją na dworcu. Zakryła uszy rękami.

- Nie bój się, panienko, to zwykły pociąg. Popatrz, nadjeżdża. - Automobil gwałtownie przystanął.

Dwie metalowe ścieżki, biegnące przez piasek pustyni. I ten czarny potwór, gnający z prawej strony. Dźwięczał dzwonek. Gdzieś błysnęło czerwone światło, niczym jakaś latarnia.

Czy już nigdy nie zobędzie się widoku tych okropieństw?

Objął ją ramieniem.

- Nic się nie dzieje, panienko. Musimy tylko odczekać, aż przejedzie.

Mówił coś jeszcze, ale zgrzyty i ryki maszyny zagłuszyły jego słowa. Obrzydliwe koła, kręcące się przed jej oczyma, a nawet procesja drewnianych wozów, pełnych ludzi, którzy siedzieli przy deskach, jak gdyby była to najnormalniejsza rzecz na świecie.

Próbowała się opanować. Chłoneła przyjemne ciepło męskiej ręki, słodkie perfumy, wydzielane przez jego skórę. Odprowadziła tępym wzrokiem ostatnie wozy. Znowu rozległ się dzwonek. Rozbłysło czerwone światło na słupie.

Amerykanin nacisnął pedały i pociągnął dźwignię, a wtedy automobil zaczął ryczeć, przejechał metalowe ścieżki i zagłębił się w pustynię.

- Kiedy człowiek opowiada o tym ludziom w Hannibal w stanie Missouri, nie mają nawet pojęcia, o czym się mówi. Mówię ojcu: jadę, wybieram się tam. Zabieram pieniądze, które uskładałem, i jadę, a potem wrócę i na dobre ustatkuję się...

Odzyskała oddech. Zaczynała na nowo odczuwać przyjemność z wycieczki. Wtem w oddali, po lewej ręce, ujrzała piramidy w Giza! Na tle horyzontu zarysowały się kontury sfinksa.

Krzyknęła. To jednak Egipt. Znalazła się w Egipcie w czasach współczesnych, mimo to była u siebie.

Zalała ją łagodna fala melancholii. Grobowce przodków i sfinks, do którego udawała się w młodości, by modlić się w świątynce usytuowanej pomiędzy jego łapami.

- To ładny widok, prawda? Mówię ci, jeśli ludzie w Hannibal w stanie Missouri nic sobie z tego nie robią, to mają pecha.

- Mają pecha - zawtórowała ze śmiechem.

W miarę, jak się zbliżała, dostrzegła tłumy turystów. Wielkie pole, zastawione automobilami i powozami. Kobiety w koronkowych sukienkach i z wąską talią, jak ona sama.

Męczyźni w słomkowych kapeluszach, jak Amerykanin. I Arabowie z wielbłędami i naręczami tanich naszyjników. Uśmiechnęła się.

Za jej czasów tanią biuterię sprzedawano tu Rzymianom. Handlowano przejażdżkami po pustyni na wielbłędach. Teraz działa się to samo!

Jednak widok ogromnego grobowca króla Kufu zaparł jej dech w piersiach. Ile czasu minęło od chwili, gdy przybyła tu jako dziewczynka i ujrzała tę ogromną konstrukcję z kwadratowych bloków kamienia? Potem była tu z Ramzesem, w nocnym chłodzie. Jechała opatulona w ciemną szatę, niczym kobieta z ludu, dokładnie tym samym szlakiem.

Ramzes! Nie, jakieś upiorne wspomnienie, którego wołała nie przywoływać. Zalewające ją, ciemne wody. Szła ku niemu, a on się cofał!

Amerykański automobil szarpnął i znów się zatrzymał.

- Chodź, panienko, obejrzymy to sobie. Siódmy cud świata.

Uśmiechnęła się do pulchnego mężczyzny, który tak łagodnie się z nią obchodził.

- Ooookej! Super! - zawołała. Zeskoczyła z wysoko umieszczonego fotela, tak Œe nie zdąŜył podać jej ręki.

Znaleźli się bardzo blisko siebie. Gdy się uśmiechał, marszczył mu się nos. Urocze, młode usta. Niespodziewanie pocałowała go. Stała na palcach i zarzuciła mu ręce na szyję.

Mmm. Słodki i młody jak tamten. I taki zdziwiony!

- Tak, wraŒliwa z ciebie osóbką, młoda damo - szepnął jej do ucha. Chyba nie wiedział, jak ma się zachować. PokaŒ mu. Wzięła go za rękę i poszli w stronę piramid.

- Patrz! - zawołała, wskazując wznoszący się na prawo pałac.

- A, to Dom Mena - odparł. - TeŜ nie najgorszy hotel. Nie taki jak Pasterski, ale ujdzie.

Jak chcesz, to wracając moŜemy tam coś przegryźć.

* * *

- Stawiałem opór - mówił Ramzes - ale nie miałem szans. Było ich po prostu za duŜo.

Zabrali mnie do więzienia. Potrzebowałem czasu na zagojenie ran. Udało mi się zbiec dopiero po półgodzinie.

Cisza.

Julie skryła twarz w chusteczce.

- Panie - odezwał się łagodnie Samir - czy wiedziałaś, Œe eliksir jest zdolny do wskrzeszania umarłych?

- Tak, wiedziałem, chociaŜ nigdy nie wystawiałem go na taką próbę.

- Zatem odezwała się w tobie ludzka natura, panie. Ni mniej, ni więcej.

- Samirze, gdybyś wiedział, ile ja popełniałem głupstw przez wszystkie te wieki. Znałem zagroŜenia, jakie niesło wykorzystanie substancji. Wy teŜ musicie je teraz poznać. Musicie się zdecydować, czy będziecie mi pomagać. Tego stworzenia - obłąkanej, którą przywróciłem do Œycia - nie sposób unicestwić.

- Na pewno istnieje jakieś wyjście - stwierdził Samir.

- Nie. Przekonałem się o tym metodą prób i błędów. Współczesne ksiąŜki biologiczne jeszcze pogłębiły moje rozumienie tej sprawy. Gdy komórki organizmu nasyci się eliksirem, będą podlegały nieustannej odnowie. Rośliny, zwierzęta, ludzie - we wszystkich przypadkach jest tak samo.

- Bez starości, bez rozkładu - wymamrotała Julie. Uspokoila się, odzyskała panowanie nad sobą.

- Właśnie. Dzięki jednej czarze zyskałem nieśmiertelność. Wystarczy zawartość fiołki.

Pozostaję w kwiecie wieku. Nie potrzebuję jedzenia, ale jestem głodny jak wilk. Nie potrzeba mi snu, choć sprawia mi przyjemność. I ciągle pragnę... miłości.

- A ta kobieta nie otrzymała całej dawki?

- Nie, na dodatek była okaleczona! Właśnie na tym polega całe szaleństwo tego kroku.

Nie zachował się cały organizm! Jednak mimo uszkodzeń właściwie nic nie zdoła jej teraz powstrzymać. Pojąłem to, gdy szła ku mnie przez korytarz. Rozumiecie?

- Nie myślisz w kategoriach współczesnej nauki - zauważyła Julie. Powoli wytarła łzy. -

Na pewno istnieje jakiś sposób powstrzymania tego procesu.

- Gdybyś jednak podał jej większą ilość lekarstwa - mówił Samir - całą dawkę, jak ujmuje to earl Rutherford...

- To szaleństwo - weszła mu w słowo Julie. - Nawet nie wolno dopuszczać takiej możliwości. Tym samym byś ją wzmocnił.

- Najpierw posłuchajcie, co mam do powiedzenia - zawołał Ramzes. - Problem nie kończy się na Kleopatrze. Earl z całą pewnością poznał tajemnicę. Niebezpieczny jest przede wszystkim eliksir, nawet nie zdajecie sobie sprawy, jak bardzo.

- Tak, ludzie będą go pragnąć - powiedziała Julie - i zrobią wszystko, żeby go zdobyć.

Jednak Elliotta można przekonać, a Henry to głupiec.

- To nie wszystko. Mówimy o substancji, która zmienia naturę każdego żywego organizmu, który ją wchłonie. - Ramzes obrzucił ich wzrokiem, po czym podjął. - Przed wiekami, kiedy jeszcze jako Ramzes władałem tą ziemią, przyszło mi do głowy, że za pomocą eliksiru rozmnożę żywność i wodę dla całego ludu. Pszenicę, która odrastałaby natychmiast po śniegach. Sady, które bez przerwy by owocowały. Pozbylibyśmy się wtedy głodu. I wiecie, co się stało?

Spoglądali na niego zaintrygowani.

- Lud nie trawił nieśmiertelnej żywności. Tkwiła nienaruszona w ich wnętrznościach.

Marli, jakby najedli się piasku.

- O bogowie - wykrztusiła Julie. - Chociaż to zupełnie logiczne. Ale oczywiście!

- A gdy usiłowałem spalić pola i zarzącać nieśmiertelne kury i mleczne krowy, zobaczyłem, że wypalona pszenica kiełkuje, gdy tylko padną na nią promienie słońca. Patrzyłem, jak zwęglone i pozbawione głów zwierzęta próbują wstać. Na koniec wszystko zostało wrzucone do morza,

obciążone powędrowało na samo dno, gdzie z pewnością pozostaje nienaruszone do dziś dnia.

Samir zadrżał. Skrzyżował ręce na piersiach, jakby było mu zimno.

Julie nie odrywała oczu od Ramzesa.

- Czyli... gdyby sekret wpadł w ręce nieodpowiednich ludzi, całe obszary ziemi zyskałyby nieśmiertelność.

- Całe narody - powiedział Ramzes. - A my, nieśmiertelni, cierpimy głód tak samo, jak żywi ludzie. Wyparlibyśmy ich i zjedli to, co do tej pory do nich należało!

- Zakłócony zostałby cały rytm życia i śmierci - dorzucił Samir.

- Ten sekret należy zniszczyć bez śladu! - oświadczyła Julie. - Jeśli masz przy sobie eliksir, zniszcz go. W tej chwili!

- Jak mam tego dokonać, kochana? Jeśli cisnę proszek na wiatr, jego cząstki padną na ziemię, gdzie czekają, a pierwszy deszcz zmieni je w wodę, która przeniknie do korzeni drzew, a te staną się nieśmiertelne. Gdybym wylał płyn na pustynię, utworzy kałużę, z której napiją się wielbłądy. Wyleję go do morza, a powstaną niezliczone ławice ryb, stada krokodyli, wędły.

- Dostyc - szepnęła.

- Czy możesz wypić go, panie, bez szkody dla siebie?

- Nie wiem. Sądzę, że tak. Ale kto wie?

- Nie! - wtrąciła się Julie.

Posłał jej blady, smutny uśmiech.

- Jeszcze przejmujesz się moim losem, Julie Stratford?

- Tak - wyszeptała. - Jesteś tylko człowiekiem w posiadaniu boskiej tajemnicy, Przejmuję się.

- Właśnie, Julie. Tajemnica jest przy mnie, tutaj. - Poklepał się w skroń. - Wiem, jak przyrządza się eliksir. To, co stanie się z tymi kilkoma fiołkami, nie ma w sumie aż takiego znaczenia, bo w każdej chwili mogę przygotować więcej płynu.

Obrzucili się spojrzeniami. Trudno było objąć całą groźbę sytuacji. Należało rzucić na nią okiem, odstąpić i przyjrzeć się jej z dystansu.

- Teraz rozumiecie, dlaczego przez tysiące lat nie dzieliłem się eliksirem z nikim. Znałem niebezpieczeństwo. Ale potem, niczym słaby śmiertelnik, zakochałem się.

W oczach Julie na nowo zakręciły się łzy. Samir czekał cierpliwie.

- Tak, wiem - westchnął Ramzes - zachowałem się jak głupiec. Dwa tysiące lat temu patrzyłem, jak moja ukochana umiera, bo nie dałem eliksiru Markowi Antoniuszowi - jej kochankowi, rozpustnikowi, który wytropiłby mnie na krańcu świata, Őeby wydobyć ze mnie przepis. WyobraŐacie sobie taką parę nieśmiertelnych władców? MoŐe stworzylibyśmy nieśmiertelną armię? - zapytała, gdy jego szkodliwy wpływ zatrzał jej duszê. Gdy stała się pionkiem w jego rękach. A teraz, w wieku zadziwiających cudów, postąpiłem niezgodnie z jej ostatnią proŐbą. Prosiła mnie przecieŐ, Őebym nigdy nie przywracał jej do Őycia.

Julie przełknęła ślinę. Po jej policzkach toczyły się łzy. Przestała nawet wycierać je chusteczką. Wyciągnęła rękę i dotknęła grzbietu jego dłoni.

- Nie, Ramzesie, to nie Kleopatra. Nie rozumiesz? Popełniłeś straszliwy błąd, a teraz musimy jakoŐ zapobiec jego konsekwencjom. Ale to nie Kleopatra. To niemoŐliwe.

- Julie, pod tym wzglêdem nie mogłem się pomylić! A ona mnie poznała! Nie rozumiesz?

Zawołała mnie po imieniu!

* * *

Z Domu Mena dobiegała cicha muzyka. W oknach pełgały Őólte Őwiatła. Na rozległym tarasie kołysały się jakieŐ postacie.

Kleopatra i Amerykanin stali w ciemnym tunelu w górnej czêści piramidy - korytarzu grzebalnym.

Objęła go gorączkowo, wsuwając osłonięte jedwabiem palce za koszulę. Ach, męskie sutki, takie miękkie; klucz do męki i ekstazy. MęŐczyzna wił się, gdy ona łagodnie je naciskała, raz po raz zagłębiając język w jego usta.

Cała zuchwałość i entuzjazm męŐczyzny przepadły bez śladu. Zmienił się w jej niewolnika. Zdarła z jego piersi płócienną materię koszuli, włoŐyła rękę za skórzany pasek, docierając do korzeni jego członka.

Jęknął. Czwała, jak podnosi jej spódnicę. Wtem dłoń zatrzymała się. Cały zeszywniał. Z

trudem przekręciła głowę, on wpatrywał się w jej lewą stopę.

Patrzył na krwawy odcinek koŐci w lewej nodze, na labirynt koŐci stopy.

- Chryste! - wyszeptał, cofając się i opierając o Őcianę. - Jezus Maria!

Z jej gardła wyrwał się cichy warkot furii.

- Nie gap się na mnie! - wrzasnęła po łacinie. - Odwróć się! Masz nie patrzeć z odrazą!

Ze szlochem schwyciła jego głowę i zaczęła uderzać nią w kamienną Őcianę.

- Czeka cię za to śmierć! - rzuciła mu w twarz. Potem skręt, prosty, krótki skręt. I kolejny trup.

Tylko tyle było potrzeba, by zapadła błogosławiona cisza. Popatrzyła na jego zwłoki, leżące tak, jak ciało tamtego. Spod obwisłej marynarki wysuwały się pieniądze.

Rany nie spowodują jej śmierci. Nie zabiło jej uderzenie mężczyzny zwanego Henrym; cios, któremu towarzyszył nieznośny łoskot. Natomiast zabijanie tych ludzi nie wymagało większego wysiłku.

Spojrzała przez wylot korytarza na ciemny, ochrowy piasek i dalej, na łagodne światła Domu Mena. Znowu doleciała jej uszu ta słodka, płasząca w powietrzu muzyka.

Lord Rutherford. Lekarstwo. Zapadał mrok.

Nachyliła się i zabrała Amerykaninowi pieniądze. Pomyślała o pięknym, sółtym samochodzie. Tak, tym sposobem raczej pomknęłaby tam, skąd tu przyjechała. Teraz pojazd należał tylko do niej.

Roześmiała się, podniecona taką perspektywą. Zbiegała z piramidy, bez trudności zsuwając się z jednej kamiennej płyty na drugą płytę. Miała tyle siły. Pognała w stronę samochodu.

To proste. Nacisnąć elektryczny rozrusznik. Następnie pedał gazu. Od razu rozległ się ryk. Dźwignia do przodu, tak, jak robił to on, puściła drugi pedał i oto - cud nad cudami - pognała naprzód, gorączkowo przekręcając kierownicę.

Zakreśliła wielki krąg wokół Domu Mena. Z drogi umknęło jej kilku przerażonych Arabów. Przycisnęła drżący klakson, jak nazwał go mężczyzna. Wystraszyła wielbłądy.

Skierowała się na drogę, przesuwając dźwignię do tyłu, żeby przyspieszyć, potem pchnęła w przód, dokładnie naśladując ruchy Amerykanina.

Po dotarciu do metalowego traktu przystanęła. Drżąc, chwyciła kurczowo za kierownicę.

Z przestworów pustyni po obu stronach nie dochodził żaden dźwięk. Przed sobą widziała światła Kairu, uroczy widok na tle jaśniejszego, rozgwieżdżonego firmamentu.

- *Celeste Aida* - zaśpiewała, ruszając.

* * *

- Prosięś nas o pomoc - mówiła Julie - i o przebaczenie. Teraz wysłuchaj mnie.

- Tak jest - odparł z głębi serca Ramzes, mimo że był zaskoczony. - Julie, nie ulega wątpliwości, że to Kleopatra.

- Ciało, zgoda. Ale co do istoty, która je teraz zamieszkuje... Nie. To nie jest ta sama kobieta, którą niegdyś kochałeś. Ona, gdziekolwiek jest, nie zdaje sobie sprawy, co dzieje się z jej ciałem.

- Julie, ależ ona mnie poznała!

- Ramzesie, rozpoznał cię mózg. Ale zastanów cię, co mówisz. Pomyśl o konsekwencjach. Bo one są najistotniejsze. Nasz intelekt - lub dusza, jak wolisz - nie zamieszkuje w ciele, nie drzemie przez stulecia w gnijącym truchle. Albo przechodzi w wyższe rejony, albo całkowicie przestaje istnieć. Kleopatra, którą ukochałeś, przestała być sobą z chwilą zgonu ciała.

Wpił w nią wzrok, usiłując pojąć sens jej słów.

- Panie, zdaje mi się, że to warte zastanowienia - potwierdził Samir, mimo że sam był zbity z tropu. - Earl mówi, że ona wie, kim jest.

- Raczej wie, kim być powinna - odparowała Julie. - Komórki istnieją, odżyły, i zapewne są w nich zapisane jakieś wspomnienia, ale ta istota to jakiś potworny sobowtór twojej utraconej kochanki. Nie ma innej możliwości!

- Nie jest to wykluczone - mruczał Samir. - Jeśli pójdziesz za radą earla i dasz jej więcej lekarstwa, być może wzmocnisz... demona.

- Nic nie rozumiem! - przyznał Ramzes. - To jest Kleopatra! - Julie potrząsnęła głową.

- Ramzesie, mój ojciec nie żyje zaledwie od dwóch miesięcy. Nie przeprowadzono sekcji jego zwłok. Zabalsamował go tylko starożytny egipski upał i suche, pustynne powietrze. Leży nienaruszony w krypcie. Ale czy myślisz, że wzięłabym eliksir, gdybym miała do niego dostęp i chciała wskrzesić ojca?

- O Boże - wyszeptał Samir.

- Nie - dokończyła Julie - bo nie byłby to już mój ojciec! Pewna nic została zerwana!

Zbudziłabym replikę własnego ojca. Kpię, która być może wiedziałaby wszystko to, co on. Ale ojca by już nie było. Nawet by nie wiedział, że istnieje jakaś replika. A to, co ożywiłeś, to replika Kleopatry! Nie ma w niej twojej utraconej kochanki.

Ramzes milczał. Był to dla niego chyba ogromny wstrząs. Popatrzył na Samira.

- Według jakiej religii, panie, dusza trwa w rozkładającym się ciele? Nasi przodkowie tak nie twierdzili. Nie wierzy w to nikt na całym świecie.

- Ty jesteś naprawdę nieśmiertelny, kochany - odezwała się Julie. - Lecz Kleopatra nie żyje od dwudziestu stuleci. Jest martwa. Istotę, którą wskrzesiłeś, trzeba unicestwić.

- Nie, przykro mi, Miles. Ojca nie ma. Tak, dobrze. Natychmiast. - Alex odłożył

słuchawkę. Elliott obserwował go zza biurka w kącie pokoju.

- Dziękuję, Alex. Kłamstwo jest mało docenianą umiejętnością towarzyską. Ktoś inteligentny powinien napisać przewodnik po uprzejmych kłamstwach, wykładając wszystkie zasady miłości bliźniego, które uzasadniają sztukę dobrego kłamania.

- Ojczy, nie pozwolę ci wychodzić samemu.

Elliott wrócił do swojego zajęcia. Gorąca kąpiel i krótki odpoczynek przywróciły nadwątlone siły, chociaż nie było czasu na porządny sen. Miał godzinę na przemyślenie następnych kroków. Decyzje zapadły, chociaż niezbyt się łudził, żeby udało mu się wprowadzić swoje plany w życie. Niemniej jednak gra, czyli eliksir, była warta świeczki. Pod warunkiem, że Samir zdołał skontaktować się z Ramzesem. Jego zachowanie sugerowało, że zna miejsce pobytu faraona.

Zakleił ostatnią z trzech zaadresowanych kopert i odwrócił się do syna.

- Spełnisz co do joty wszystkie moje polecenia - oznajmił stanowczo. - Jeśli nie wrócę do jutra w południe, wyślij te listy. Do matki i Randolpha. Możliwie najszybciej wyjedź z Kairu.

Teraz podaj mi laskę. Będzie mi też potrzebna peleryna. Po zmroku jest w tym mieście diabelnie zimno.

Walter bezzwłocznie przyniósł laskę. Pelerynę niósł przewieszoną przez rękę. Zarzucił ją Elliottowi na ramiona, ciepło go opatulając.

- Ojczy - błagał Alex - na miłość...

- Do zobaczenia, Alex. Pamiętaj, Julie cię potrzebuje. Potrzebuje cię tutaj, na miejscu.

- Panie, minęła już szósta - oznajmił Samir. - Muszę pokazać ci drogę do tawerny.

- Sam sobie poradzę - odparł Ramzes. - Wracajcie oboje do hotelu. Muszę zorientować się w... sytuacji. Gdy tylko będzie to możliwe, powiadomię was o wszystkim.

- Nie - odpaliła Julie. - Idę z tobą.

- Niemożliwe. To zbyt niebezpieczne. Poza tym muszę się z tym zmierzyć sam.

- Ramzesie, ja cię nie zostawię - upierała się.

- Julie, powinniśmy wracać - włączył się Samir. - Musimy pokazać się w hotelu, żeby nie wszczęli poszukiwań.

Ramzes powoli wstał. Odwrócił się od mrugającej świecy, która była w tym pomieszczeniu jedynym źródłem światła. Podniósł ręce, jakby się modlił. Do złudzenia przypominał muzułmanów w meczecie. W oczach lśnił mu punkcik światła.

- Julie, jeśli pojedziesz teraz do Londynu - zwrócił się do niej głęboko wzdychając -
zdołasz jeszcze powrócić do swojego dawnego Śycia.

- Zadajesz mi taki ból, Ramzesie. Ranisz mnie do Śywego. Czy ty ją kochasz? Kochasz to coś, co wskrzesiłeś z grobu?

Nie zamierzała tego mówić. Urwała przygnębiona, i tak jak on odwróciła głowę.

- Wiem, Śe kocham ciebie, Julie Stratford - wyszeptał. - Pokochałem cię od chwili, gdy cię ujrzałem. Zaryzykowałem własne Śycie, Śeby cię ocalić. I pragnę twej miłości.

- Więc nie wspominaj o moim wyjeździe - powiedziała łamiącym się głosem. - Ramzesie, jeŚeli widzę cię dziś po raz ostatni, moje Śycie nie ma sensu.

- Daję ci słowo honoru, Śe mnie jeszcze zobaczysz.

Objął ją.

- Kochana, odwaŚna i kochana - mówił, gładząc ją. - Potrzebuję cię - was - tak bardzo, Śe nie umiem tego wyrazić.

- Niech dopomogą ci starzy bogowie, panie - wyszeptał Samir. - Będziemy odliczać minuty do otrzymania wieści od ciebie.

* * *

W gabinecie Winthropa paliło się przyćmione światło. Był zdruzgotany leŚącym przed nim sprawozdaniem. Stojący przed nim młody urzędnik czekał na polecenia.

- Mówisz, Śe jego głowa została zmiaŚdŚona?

- A kark skręcony. Podobnie jak u sprzątaczkii w muzeum. Zabrano mu teŚ wszystkie pieniądze, choć paszport porzucono w błocie.

- Zdwoić czujność w Pasterskim - rozkazał. - I przyprowadzić mi tu natychmiast earla Rutherforda. Wiemy, Śe on tam jest, niezależnie od tego, co mówi syn. Widzieliśmy, jak earl wchodzi do środka.

* * *

Elliott Śwawym krokiem wyszedł tylnymi drzwiami bocznego skrzydła. Lewą nogę trzymał sztywno, Śeby nie nadweręŚać kolana. Przemierzył ciemny parking i ruszył w kierunku starego Kairu. Dopiero dwie przecznice od Pasterskiego zatrzymał przejeŚdŚającą taksówkę.

* * *

Julie weszła do apartamentu i zamknęła drzwi na klucz. Arabski strój trzymała złożony pod pachą. Zdjęła go w kebie, a teraz wepchnęła do dolnej szuflady szafy za swoim kufrem.

Przechodząc do sypialni, zdjęła z półki w szafie niewielką walizkę. Ile rzeczy było jej potrzebnych? Cały majątek nie miał znaczenia. Ważna była tylko wolność, wolność przy Ramzesie, i wyplątanie się z tego upiornego kłębka wydarzeń.

A jeśli nie ujrzy już człowieka, który zmienił jej dotychczasowe życie? Po co pakować walizkę, skoro nie dowiedziała się jeszcze, jak wygląda sytuacja?

Nagle wydało jej się, że to zupełnie ją przerasta. Położyła się na łóżku, taka słaba, z bolącym sercem. Płakała cicho, gdy do pokoju weszła Rita.

* * *

„Babilon”. Bębny i cymbały słyszał już na krętej, kamiennej uliczce. Dziwnym zbiegiem okoliczności w tej chwili opadły go wspomnienia Lawrence'a, ukochanego Lawrence'a.

Niespodziewany, cichy odgłos zmusił go do odwrócenia się. Ktoś zeskoczył z dachu!

- Nie oglądaj się - nakazał wysoki Arab. Ramsey! - Za rogiem jest bar, który lepiej nadaje się na nasze spotkanie. Jest zaciszny. Wejdz przede mną i zajmij miejsce.

Elliottowi uśmiechnęło się. Usłuchał bez wahania. Tak czy owak, nie musiał już mierzyć się z tym koszmarem samotnie. Ramsey będzie wiedział, co należy zrobić. Wszedł do niewielkiego baru.

Zasłony wyszywane koralikami; pełgające mdłym światłem lampy naftowe; drewniane stoły, przy których zasiadała jak zwykle grupa podejrzanych Europejczyków. Obojętny kelner wycierał stół brudną szmatą.

Przy ostatnim stoliku tyłem do ściany siadł wysoki, niebieskooki Arab. Ramsey. Pewnie wszedł od tyłu.

Kilku gości taksowało Elliotta beczelnymi spojrzeniami, gdy szedł w głąb sali. W przyzwoitym ubraniu rzucał się w oczy. To akurat najmniej ważne.

Zajął miejsce po prawej ręce Ramsey'a, odwrócony od tylnego wyjścia.

Bulgocząca lampka na stole cuchnęła perfumowaną oliwą. Ramzes dostał już drinka.

Obok stała butelka bez etykiety i czysta szklanka.

- Gdzie ona jest? - zapytał Ramzes.

- Ani mi się śni ci powiedzieć.

- Czyśby? Jakie są reguły tej gry? Czy mam stać na straconej pozycji?

Elliott zamilkł na chwilę. Zastanawiał się nad słusnością swego postanowienia. Warto.

Warto przełknąć chwilę wstydu.

Odchrząknął.

- Wiesz, czego chcę - zwrócił się do Ramseya. - Zdajesz sobie z tego sprawę od samego początku. Nie pojechałem z wami do Egiptu, żeby chronić czystość przyszłej synowej. To byłby z mej strony idiotyzm.

- Uważałem pana za człowieka honoru.

- Bo nim jestem, choć dzisiaj byłem świadkiem rzeczy, których widoku nie zniósłby potwór.

- Popełnił pan błąd, idąc za mną do muzeum.

Elliott skinął głową. Odkorkował butelkę i nalał sobie trunku. Whisky. O, tak. Bez wody.

- Wiem, że popełniłem błąd. Szalony krok młodzieńca. Może zresztą nim zostanę... na zawsze.

Spojrzał na Ramseya. Od mężczyzny w białych szatach bił prawdziwy majestat. Wyglądał jak postać z Biblii, istota nadludzka. Z drugiej strony - niebieskie oczy miał przekrwione. Był znużony, cierpiał. To było widać na pierwszy rzut oka.

- Chcę eliksiru - oznajmił spokojnie Elliott. - Jeśli mi go dasz, a ja go wypiję, powiem ci, gdzie ona jest. Przejmiesz za nią odpowiedzialność. Wierz mi, że ci nie zazdrozczę. Chociaż

zrobiłem wszystko, co w mojej mocy.

- W jakim jest stanie? Proszę o dokładne informacje.

- Wyzdrowiała, lecz niedostatecznie. Jest piękna i przynosi śmierć. Zamordowała Henry'ego i jego egipską kochankę, Malenkę.

Ramsey przez chwilę milczał.

- Cóż, młody Stratford odpokutował za swoje grzechy, jak to dzisiaj mówicie. Zabił

własnego wuja. Usiłował zabić kuzynkę. Wstałem z grobu, żeby go powstrzymać. To, co wam opowiadał, że próbowałem go udusić, było prawdą.

Elliott westchnął. Kolejna fala ulgi, choć nie pozbawiona goryczy, głębokiej goryczy.

- Wiedziałem... o Lawrensie. Co do Julie, nigdy bym nie pomyślał.

- Moimi truciznami - westchnął Ramzes.

- Kochałem Lawrence'a Stratforda - wyznał Elliott. - Był kiedyś moim... moim kochankiem, a przez całe życie przyjacielem.

Ramzes skinął głową z szacunkiem.

- Czy to morderstwo przyszło jej łatwo? Jak do tego doszło?

- Jest niezmiernie silna. Chyba nie do końca rozumie, na czym polega śmierć. Zabiła Henry'ego, gdy celował do niej z pistoletu. Malenkę, ponieważ dziewczyna się jej bała i zaczęła krzyczeć. Skręciła im karki. To samo spotkało sprzątaczkę w muzeum.

- Mówi?

- Jak najbardziej. Angielski wprost chłonie. Powiedziała mi, kim jest. Ale dzieje się z nią coś złego, bardzo złego. Nie do końca wie, gdzie jest ani co się z nią dzieje. I cierpi. Cierpi okrutne męki, bo ciało ma pokryte wielkimi ranami, przez które są widoczne kości. Nęka ją rozpacz i ból fizyczny. - Elliott napił się whisky. - Urazy ciała - coś podobnego stało się z mózgiem.

- Musisz mnie do niej natychmiast zaprowadzić!

- Podałem jej reszkę płynu w fiolce, którą tak nieopatrnie upuściłeś w muzeum.

Posmarowałem jej twarz i dłonie. Ale potrzeba znacznie więcej.

- Widziałeś, jak działa? Czy rany zasklepiły się?

- Tak. Bardzo pomogło jej te słońce. - Elliott urwał, obserwował pozornie obojętną twarz Ramseya, jego rozszerzone, niebieskie oczy. - Ale nie opowiadam chyba niczego nowego...

- Mylisz się!

Ramsey odruchowo uniósł szklankę i napił się alkoholu.

- Pozostało co najwyżej ćwierć fiolki - podjął Elliott. - Czy dla mnie byłaby to ilość wystarczająca, gdybym wypił zamiast dawać jej?

- Nie wiem.

Elliott uśmiechnął się gorzko.

- Nie jestem naukowcem. Załedwie królem.

- Zatem taka jest moja propozycja, Wasza Królewska Wysokość. Dajesz mi eliksir, i to w ilości bez

wątpienia wystarczającej. A ja oddam ci Kleopatrze, królową Egiptu, z którą zrobisz, co tylko zechcesz.

Ramzes spojrzał mu w oczy.

- A gdybym zagroził ci śmiercią, jeśli nie powiesz mi, gdzie ona jest?

- Proszę bardzo. Bez eliksiru i tak prędzej czy później umrę. Myślę tylko o dwóch rzeczach: śmierci i eliksirze. Zaczyna mi się wręcz wydawać, że nie jestem w stanie ich rozróżnić. - Jeszcze szklaneczka whisky, więcej nie da rady.

Wychylił ją i lekko się skrzywił.

- Bądźmy szczerzy. Nie mogę znieść myśli o tym, co dziś widziałem. Pragnę napoju. W obliczu tego pragnienia wszystko inne się nie liczy.

- Tak, pamiętam to doskonale. Jednak ona wybrała inaczej. Stała przed takim wyborem.

Wolała śmierć u boku ukochanego Marka Antoniusza, chociaż proponowałem jej eliksir.

- Wobec tego nie bardzo wiedziała, co to jest śmierć.

Ramzes uśmiechnął się.

- Tak czy inaczej, jestem pewien, że nie pamięta tamtych wypadków. A nawet jeśli pamięta, jest jej zapewne wszystko jedno. śyje, cierpi, zmaga się z ranami, Śądami... - Urwał.

Nachylił się. - Gdzie ona jest?!

- Daj mi napój. Wtedy pomogę ci się z nią uporać. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Nie zostaniemy chyba nieprzyjaciółmi.

- Nie! - wyszeptał Ramzes. Mówił łagodnie, lecz w oczach błyszczał mu gniew. - Nie mogę ci go dać. Jest zbyt groźny. Po prostu nie rozumiesz natury tego płynu.

- Przecież wskrzesiłeś ją z martwych niczym jakiś alchemik! - zawołał podniecony Elliott

- I dasz go Julie Stratford, nieprawdaś? I ukochanemu przyjacielowi, Samirowi?

Ramzes nie odpowiedział. Wsparł się o ścianę, na nowo wpatrując się w pustkę.

Elliott wstał.

- Znajdziesz mnie w Pasterskim. Skontaktuj się ze mną, kiedy przyrządzisz napój.

Poznam cię po głosie przez telefon. Ale uważaj. Wtedy umówimy się na następne spotkanie.

Wziął laskę i ruszył w kierunku drzwi. Nie oglądał się, mimo że bardzo go kusiło. Twarz płonęła mu od wstydu. Była to jednak jego ostatnia, nikła szansa i próbował ją wykorzystać, mimo że rozgrywka bardzo go przygnębiła.

Przeżył chwile strachu, idąc samotnie ciemnym zaułkiem. Dotkliwie zdawał sobie sprawę nie tylko ze wszystkich znanych mu bólów, lecz również z ogólnej słabości ciała, przekleństwa starości, które spadło nań przedwcześnie.

Przystanął, wyżył słuch. Nic. Ruszył.

* * *

Stała w pokoju stołowym. Jeszcze nie zdecydowała się, czy zabije to wrzaskliwe ptaszysko. Akurat w tej chwili ptak siedział cicho, podskakując i cicho świergocząc. Był piękny.

Jeżeli nie będzie skrzeczał, nie zabije go. To chyba sprawiedliwe.

Ciało tancerki zaczęło się rozkładać. Zaciągnęła je w najdalszy kąt ogrodu i nakryła tkaniną, mimo to wciąż czuła odór.

Smród przenikał nawet do kuchni na tyłach domu. Nie przeszkodziło jej to jednak w pochłonięciu całego jedzenia, które udało jej się znaleźć: kilka bardzo słodkich cytryn; bochenek czerstwego chleba.

Następnie przebrała się w jedną z obszytych koronkami sukienek. Ta była biała, co jej się podobało, bo w takim zestawieniu jej skóra wyglądała wyjątkowo ładnie, nabierając lekko złotawego odcienia. Miała jeszcze obfitsze spódnice z ogromnymi falbanami, które lepiej zakrywały stopy.

A te dotkliwie bolały. Podobnie jak bok. Jeżeli zaraz nie pojawi się lord Rutherford, będzie musiała wyjść, chociaż nie miała pojęcia, jak go znaleźć. I tak z trudem odnalazła drogę powrotną do domu. Dotarła samochodem do krańca tej dziwacznej części miasta, gdzie budowle były pozbawione barw i ozdób, potem zaczęła kluczyć po wąskich uliczkach, aż wreszcie tu trafiła. Zaczynała się jednak niecierpliwić. Nagle rozległo się pukanie.

- Kto tam? - spytała po angielsku.

- Elliott, lord Rutherford. Otwórz.

Otworzyła pospiesznie.

- Czekałam od dłuższego czasu, lordzie Rutherford. Przyniosłeś eliksir? Wiesz, gdzie jest człowiek o niebieskich oczach?

Elliotta zdumiał dźwięk angielskiego w jej ustach. Wzruszyła lekko ramionami, zamykając drzwi.

- A, tak, wasz język nie stanowi dla mnie problemu. Na ulicach miasta słyszałam dziś wiele słów w tym i innych podobnych językach. Dużo się nauczyłam. Niepokoi mnie przeszłość, to, czego nie

pamiętam. - Uczuła przyływ gniewu. Dlaczego się na nią gapi?! - Gdzie Ramzes? -

zapytała stanowczym głosem. Nabrała przekonania, że tak nazywa się człowiek o niebieskich oczach.

- Rozmawiałem z nim. Przekazałem, co potrzeba.

- Tak, lordzie Rutherford. - Postąpiła w jego stronę. Zaczął się odsuwać. - Czujesz przede mną lęk?

- Nie wiem. Chcę cię chronić - wyszeptał.

- A, tak. A Ramzes, niebieskooki... Czemu nie przyszedł? - Pamiętała coś nieprzyjemnego, bardzo nieprzyjemnego. Błady obraz Ramzesa, cofającego się przed nią.

Stojącego z dala, gdy do niego woła. Coś o jądze Śmi i... wrzeszczała, ale nikt nie słyszał!

Potem naciągnęli jej na twarz czarną tkaninę. Odwróciła się od lorda Rutherforda.

- Gdybym niczego nie pamiętała, byłoby mi łatwiej. Ale widzę, a po chwili przestaję widzieć. - Zwróciła się do mężczyzny.

- Potrzeba cierpliwości - przekonywał Elliott. - On nadejdzie.

- Cierpliwości! Nie chcę czekać! Chcę go znaleźć. Powiedz, gdzie on jest. Pójdę, znajdę go.

- Nie mogę. To niemożliwe.

- Czyśby?! - Jej głos zmienił się we wrzask. Widziała jego strach, jego... co? Nie odpychała go tak, jak tamtych. Nie, chodziło o coś innego.

- Powiedz, gdzie mam go znaleźć! - ryknęła. Zrobiła jeszcze krok w jego stronę, przypierając go do muru. - Zdradzę ci tajemnicę, lordzie Rutherford. Jesteście słabi, wszyscy tacy słabi. Dziwne istoty! Lubię was zabijać. Widok waszego konania sprawia mi ulgę w bólu.

Runęła na niego, chwytając go za gardło. Wydusi z niego prawdę, zrobi to, nawet jeśli nic nie powie. Wtem jednak czyjeś silne ręce złapały ją za barki i obróciły. Na chwilę straciła orientację. Zawyla, zatoczyła się, wreszcie ujrzała stojącego przed nią, niebieskookiego mężczyznę. Kto to? Wiedziała, ale nie mogła sobie przypomnieć. Ale imię samo wyrwało się z ust.

- Ramzes! - Tak, to był Ramzes, niebieskooki... Pobiegnęła ku niemu z wyciągniętymi ramionami.

- Wyjdź - krzyknął na tamtego mężczyznę. - Wynoś się. Już.

Gardło miało niczym marmur. Nie mogła złamać kości! Ale sama była tak silna, że Ramzes nie mógł jej z siebie strząsnąć. Jakimś szóstym zmysłem wyczuła, jak Elliott, lord Rutherford, ucieka, zatrzaskuje za sobą drzwi. Została sama, zmagając się ze swą Nemezis, Ramzesem, który kiedyś się od niej odwrócił, który zadał jej ból. Nic to, że nie pamiętała.

Wiedziała! Tak samo, jak znała jego imię.

Szamotali się po całym pokoju, po czym wpadli do sąsiedniego. Uwolniła na chwilę prawą rękę, dzięki czemu mogła podrapać go poranionymi rękami; zaraz jednak schwycił ją w nadgarstku. Wyteńczyła wszystkie siły, kipiała wściekłością. Nagle zobaczyła, jak unosi rękę.

Próbowała się uchylić, ale cios sięgnął celu, i runęła na łóŜko. Rozszlochała się i skryła twarz w poduszkach. Nie była w stanie go zabić! Nie umiała skrócić mu karku.

- Bądź przeklęty - krzyknęła wniebogłosy, uŜywając staroŜytnego języka. - Przeklęty Ramzesie! - Splunęła na niego, leŜąc, z rękami przyciśniętymi do brzucha, patrząc na niego.

Chciałaby zyskać przebiegłość kota, rzucić się na niego i wydrapać mu oczy.

Czemu patrzył na nią w ten sposób? Dlaczego płakał?

- Kleopatro - szepnął.

Na moment pociemniało jej w oczach; wróciły wspomnienia, tak cięŜkie i potęŜne, Őe gdyby tylko je przyjęła, z miejsca przyćmiłyby obecną chwilę. Mroczne, okropne wspomnienia, pamięć cierpienia, którego nie chciałaby juŜ nigdy przeŜywać.

Usiadła, przyglądając mu się i dziwiąc łagodnemu, bolesnemu wyrazowi jego twarzy.

Był przystojny, piękny. Młoda skóra, usta i oczy, duŜe oczy z przezroczystego błękitu.

Ujrzała go w innym miejscu i czasie, gdy sama wylaniała się z mrocznej toni. Pochylał się nad nią i odmawiał staroŜytną egipską modlitwę. Jesteś, teraz i na wieki.

- To byłeś ty - wyszeptała. Słyszała trzask tłuczonego szkła, rozbijanych desek, poczuła głazy pod stopami. Jej szerniałe, pomarszczone ręce! - Sprowadziłeś mnie tutaj, w te współczesne czasy, a gdy wyciągałam do ciebie rękę, czmychnąłeś!

Przygryzł wargi niczym mały chłopiec. DrŜał, a po policzkach ciekły mu łzy. Czy ma zlitować się nad jego cierpieniem?

- Nie, przysięgam - mówił w staroŜytniej łacinie. - Inni nas rozdzielili. Nigdy bym cię nie pozostawił.

Kłamstwo. Podłe kłamstwo. Próbowała powstać z kanapy. Jej ruchy paraliŜował jad Őmii.

Ramzesie! Wołała go wystraszona. Słyszała własny okrzyk. Ale on nie odwracał się od okna.

Otoczające go kobiety błagały, Ramzesie!

- Kłamco! - syknęła. - Mogłeś podać mi napój! Pozwoliłeś mi umrzeć!

- Nie - potrząsnął głową. - To nieprawda. Chwileczkę. Myliła dwa kluczowe zdarzenia.

Te kobiety.

Nie było ich, gdy odmawiał modły. Była sama... przez wieki wieków.

- Spałam w ciemności. Potem zjawiłeś się ty. Na nowo poczułam ból. Ból i głód.

Poznałam cię. Wiedziałam, kim jesteś! Nienawidziłam cię!

- Kleopatro! - Zbliżył się do niej.

- Nie przysuwaj się. Już wiem, co zrobiłeś. Wiedziałam od samego początku. Wskrzесиłeś mnie z martwych! Powstałam przez ciebie z grobu! A te rany są dowodem. - Gorycz dusiła słowa w gardle. Poczwała narastający wrzask. Otworła usta, niezdolna go powstrzymać.

Schwycił ją w ramiona, potrząsnął.

- Puść! - zawyła. Spokój. Krzyk przepadł.

Obejmował ją przez chwilę, a ona mu na to pozwalała. Opór byłby w sumie bezsensowny.

Na wargach powoli zagościł jej uśmiech. Trzeba było wysilić inteligencję. Zrozumieć wszystko raz na zawsze.

- Tak, jesteś bardzo przystojny - zaczęła. - Czy zawsze taki byłeś? Kiedy przedtem cię znałam, kochaliśmy się, nieprawdaż? - Dotknęła jego warg palcami. - Podobają mi się twoje usta.

Lubię męskie usta. U kobiet są zbyt miękkie. Co za jedwabistość skóry.

Powoli zaczęła go całować. Przedtem towarzyszyła temu namiętność. Taka namiętność, że inni mężczyźni nie mieli dla niej najmniejszego znaczenia. Gdyby tylko dał jej swobodę, zachował cierpliwość, prędzej czy później zawsze by do niego wracała. Dlaczego tego nie pojmował? Jako królowa Egiptu musiała żyć i oddychać. Mmm, pocałunki, gorące jak wtedy.

- Jeszcze - jęknęła.

- Czy to ty? - zapytał. Z takim bólem w głosie. - Czy to rzeczywiście ty?

Uśmiechnęła się. Właśnie na tym zasadzała się cała groza sytuacji. Sama nie znała odpowiedzi na takie pytanie! Roześmiała się. Tak, to bardzo zabawne. Śmiejąc się, uniosła głowę, i poczuła jego usta na swej szyi.

- Tak, całuj, weź mnie. - Usta przesuwaly się po jej szyi, ręka rozpinala sukienkę, usta dotknęły sutka. - Aaa! - Z trudem wytrzymywała rozdzierającą rozkosz. Raptownie stała się jego niewolnicą, przywarł do niej ustami, lizał sutek, ssał z zawziętością niemowlęcia.

Kochać cię? Zawsze cię kochałam. Ale jak mogę porzucić swój świat? Jak pozostawić wszystko to, do czego byłam przywiązana? Mówisz o nieśmiertelności. Ja nie jestem w stanie pojąć czegoś

takiego. Wiem tylko, że tutaj jestem królową, a ty się ode mnie odsuwasz, grozisz, że zostawisz mnie samą...

Oderwała się od niego.

- Proszę. - Kiedy i gdzie wypowiadała te słowa?

- Co się dzieje?

- Nie wiem... nie mogę... widzę jakieś sceny, które zaraz znikają!

- Tyle mam ci do opowiedzenia, do wytłumaczenia. Jeśli tylko postarasz się wszystko zrozumieć.

Z trudem stanęła na nogach i odeszła od łóżka. Spuściła głowę, zdarła z siebie sukienkę, oderwała spódnice od obrąbka. Odśloniła ciało i obróciła się w jego stronę.

- Tak! Niech twoje błękitne oczy spojrzą na to, czego dokonałeś! To rozumiem! -

Dotknęła rany w boku. - Byłam królową. Teraz zmieniałam się w upiora. Co osiąwiłeś za pomocą swojego tajemniczego eliksiru? Swojego lekarstwa?

Powoli opuściła wzrok, dotykając rękami skroni. Powtarzała ten ruch po wielokroć, lecz w ogóle nie umniejszało to cierpienie duszy. Zaczęła jęczeć, kołysać się w przód i tył. Jęki przypominały jakąś pieśń. Czy to ulży w cierpieniach? Nie otwierając ust, nuciła tę dziwną, delikatną melodię: *Celeste Aida*.

Poczuła jego dłoń na ramieniu. Obracała się. Spojrzenie na niego było jak przebudzenie ze snu. Piękny Ramzes.

Dopiero po chwili odnalazła wzrokiem fiołkę, która lśniła w jego ręce.

- A! - Schwyciła naczynie i wylała część na dłoń, chcąc rozsmarować płyn.

- Nie, wypij!

Zawahała się. Lecz przypomniała sobie, jak niegdyś wlewał jej eliksir do ust. Tak, do gardła, gdy leżała w ciemności. Lewą ręką schwycił ją za włosy, prawą uniósł fiołkę.

- Pij wszystko!

Usłuchała. Płyn spłynął do jej wnętrza. W pokoju pojaśniało. Od stóp do głów wstrząsnął nią cudowny dreszcz. Lekkie pieczenie w oczach było trudne do wytrzymania.

Zamknęła oczy, a gdy je otworzyła, ujrzała, że mężczyzna patrzy na nią ze zdumieniem.

Wyszeptał słowo.

- Niebieskie.

Ale czy rany się goiły?! Podniosła rękę. Nieznośne swędzenie i pieczenie. Ciało zarastało kość. Boki, tak, boki ran się zasklepiały.

- O bogowie, dzięki wam, dzięki! - szlochała. - Jestem cała, Ramzesie, cała.

Znowu gładziły ją jego dłonie, wywołując dreszcze. Pozwalała się całować, ściągnąć z siebie podarte ubrania.

- Całuj mnie, obejmij - szeptała. Przesuwał językiem po świeżym ciele, które zarosło rany, lizał ją. Gdy całował wilgotne włosy między udami, podciągnęła go wyżej.

- Nie, do środka. Napełnij mnie! - zawołała. - Jestem cała!

Poczuła jego członek. Uniosła się i rzuciła na niego. Ach, tak, śladnych wspomnień, śladnych wspomnień prócz ciała. Zwiotczała od rozkoszy, odchylając głowę, z zamkniętymi oczami.

* * *

Z poczuciem klęski, niczym inwalida wlokąc za sobą lewą nogę, szedł w stronę hotelu.

Czy uciekł przez tchórzostwo? Czy powinien zostać i starać się dopomóc w tej walce tytanów?

Ramsey nakazał mu odejść, w jego oczach widział złośliwość. Ocalił mu życie, śledził go, wymanewrował jak głupca, czyniącego ostatnią, śaloną próbę zdobycia eliksiru.

Jakie to miało teraz znaczenie? Musi jakoś wydostać Alexa z Egiptu i sam się stąd wymknąć. Raz na zawsze, na dobre zbudzić się z tego koszmarnego snu. Nie miał innego wyjścia.

Ze spuszczoną głową podchodził do frontowych drzwi Pasterskiego.

Dwóch stojących mu na drodze mężczyźn zauważył dopiero wtedy, gdy go zatrzymali.

- Lord Rutherford?

- Dajcie mi spokój.

- Przykro mi, lordzie, ale to nie leży w naszej mocy. Jesteśmy z urzędu gubernatora.

Musimy zadać panu kilka pytań.

Cóż, ostatnie upokorzenie. Nawet nie stawiał oporu.

- W takim razie pomóż mi wspiąć się na schody, młody człowieku.

* * *

Wyszła z miedzianej wanny otulona białym, szorstkim ręcznikiem, z włosami jeszcze wilgotnymi i kręcącymi się od pary. Była w łaźni godnej pałacu, wyłożonej malowanymi kafłami, z gorącą wodą, która płynęła niewielką rurą. I perfumy, które znalazła, słodki aromat, kojarzący się jej z zapachem rozgniatanych lilii.

Wróciła do łazienki i obejrzała się w lustrze. Doskonała całość. Odpowiednie kontury nóg. Minał nawet ból wewnątrz, w miejscu, gdzie wypalił go ten zły człowiek o imieniu Henry.

Niebieskie oczy! Co za zdumiewający widok.

Czy za Sycia była równie piękna? Czy on pamiętał? MęŜczyźni zawsze podziwiali jej urodę. Zrobiła kilka tanecznych kroków, rozkoszując się własną nagością, delikatnym dotykiem włosów na ramionach i łopatkach.

Ramzes spoglądał na nią ponuro z kąta pokoju. Nic nowego, prawda? Ramzes tajemny obserwator. Ramzes sędzia.

Wzięła z toaletki pustą butelkę po winie. Rozbiła ją o marmurowy blat. Odłamki rozproszyły się po podłodze.

śadnej reakcji z jego strony; tylko twarde, uporczywe spojrzenie.

Jakie to miało znaczenie? MoŜe przecieŜ tańczyć dalej. Wiedziała, Őe jest piękna, Őe zawsze znajdzie miłość u męŜczyzn. Dwaj, których dziś zabiła, byli pod jej urokiem. Nie musiała się juŜ martwić, jak ukryć dowody zbrodni.

Zakreślając piruety, od których rozwiewały się włosy, zawołała.

- Cała! Cała i Őywa.

Raptem z sąsiedniego pokoju dobiegł skrzek tego potwornego, obrzydliwego ptaka.

Nadeszła pora, Őeby go zabić, złoŜyć z niego ofiarę na ołtarzu szczęścia, jak kupuje się na targu białą gołębicę i puszcza wolno na znak wdzięczności bogom.

Podeszła do klatki, otworzyła drzwiczki i wsunęła rękę do środka, od razu łapiąc furkoczące, piskliwe stworzenie.

Zabiła papugę, po prostu zaciskając dwa palce. Potrząsnęła ręką i patrzyła, jak ptak spada na ziemię.

Odwróciła się do Ramzesa. Co za smutna twarz, pełna dezaprobaty! Biedaczek!

- Teraz nie grozi mi śmierć. Prawda?

Bez odpowiedzi. Jednak wiedziała. Zastanawiała się od... od samego początku tych wydarzeń. Gdy patrzyła na ludzi, ta świadomość czaiła się gdzieś w głębi jej duszy. Wskrzesał ją z martwych. I teraz nie moŜe umrzeć.

- Jakiś ty ponury! Nie jesteś zadowolony z efektów swych czarów? - Podeszła do niego, śmiejąc się cicho. - CzyŜbym nie była piękna? A ty płaczesz. Co z ciebie za głupiec! PrzecieŜ

wszystko sam zaplanowałeś! Zjawiłeś się w mym grobowcu; przywołałeś mnie, a teraz płaczesz, jakbym była martwa. Tak, odwróciłeś się do mnie plecami, gdy konałam. Pozwoliłeś im nakryć moją twarz całunem!

- Nieprawda - westchnął. - Po prostu tego nie pamiętasz.

- Po co mnie oŜywiłeś? Kim dla siebie byliśmy? - Jak dopasować wszystkie te drŜące okruchy wspomnień? Kiedy ułoŜą się w jedną mozaikę?

PrzybliŜyła się, przyglądając jego ciału, dotykając go. Tak elastyczna skóra.

- Czy nie znasz odpowiedzi? - zdziwił się. - Czy nie tkwi gdzieś głęboko w tobie?

- Wiem tylko tyle, Őe byłeś przy mojej śmierci. Kochałam cię. Pamiętam. Byłeś przy mnie, a ja się bałam. Jad węŜa sparaliŜował mi członki, próbowałam krzyczeć, lecz nie byłam w stanie. Miotalam się. Wykrztusiłam twe imię. Ale odwróciłeś się plecami.

- Nie! To niemoŜliwe! Obserwowałam cię.

Zawodzenie kobiet. Usłyszała je na nowo. Oddalcie się od komnaty śmierci, pokoju, w którym umarł Antoniusz, jej ukochany Marek Antoniusz. Nie pozwalała im wynieść sofy, mimo Őe od krwi z jego ran nasiąknął jedwab.

- Pozwoliłeś mi umrzeć.

Ujął ją za ramiona, brutalnie. Czy zawsze się tak zachowywał?

- Chciałem, Őebyś była przy mnie tak, jak jesteś teraz.

- Jak jestem teraz. I jak się czujesz? Co to za świat? Czy to mityczny Hades? Napotkamy tu... innych... - Jeszcze przed chwilą pamiętała. - Antoniusza?! - wyrzuciła. - Gdzie jest Antoniusz? - AleŜ... wiedziała.

Odwróciła się. Antoniusz odszedł. Został złoŜony w grobie. On zaś nie chciał dać czarodziejskiego płynu. Tak, wszystko jej się przypominało.

Podszedł do niej od tyłu, objął ją.

- Gdy mnie wołałaś, czego wtedy ode mnie chciałaś? Powiedz mi teraz.

- Chciałam zadać ci ból! - roześmiała się. Widziała go w lustrze i śmiała się z pełnego bóleści wyrazu twarzy.

- Nie wiem, po co cię wołałam! Nie wiem nawet, kim jesteś! - Znenacka dała mu po twarzy. Bez

skutku. Jak gdyby uderzyła o marmur.

Odeszła do garderoby. Szukała czegoś pięknego. Jaki najlepszy strój posiadała ta nieszczęsna kobieta? Tak, tę różową sukienkę o delikatnym obrąbku z aksamitnej koronki.

Zwinnie nasunęła ją na ramiona i zapięła rząd haczyków na przedzie. Piersi wyglądały w niej znakomicie. Spódnica była długa, choć już nie potrzebowała skrywać pod nią stóp.

Założyła znowu sandały.

- Gdzie się wybierasz?

- Do miasta. To miasto Kair. Czemu miałabym go nie obejrzeć?

- Musimy porozmawiać...

- Czyżby? - Wzięła płócienną torbę. Kątem oka widziała spory odłamek szkła na marmurowym blacie toaletki. Fragment butelki, którą potłukła.

Podeszła tam leniwym krokiem. Dotknęła leśnych pereł. Czy je też powinna zabrać?

Rzecz jasna on szedł za nią krok w krok.

- Kleopatro, spójrz na mnie.

Obróciła się niespodziewanie i go pocałowała. Czy można go zwodzić w ten prosty sposób? Tak, zdradzały to jego usta, takie smakowite. Jak cudownie cierpiał! Szukając po omacku, odnalazła odłamek szkła i przecięła mu gardło.

Odstąpiła. Patrzył na nią wytrzeszczonymi oczyma. Krew lała się po białej szacie. Ale nie czuł strachu. Nie usiłował powstrzymać krwawienia. Na twarzy malował mu się tylko smutek, ani śladu lęku.

- Ja też nie mogę umrzeć - wyszeptał.

- Czyżby? - uśmiechnęła się. - Czy ciebie także ktoś zbudził z grobu?

Jeszcze raz się na niego rzuciła, kopiąc, drapiąc paznokciami.

- Przestań, błagam cię.

Uniosła kolano i kopnęła go mocno między nogi. Ten ból odczuł, tak, tak. Zgiął się w pół, i wtedy kopnęła go w bok głowy.

Przemknęła przez dziedziniec, po drodze biorąc w lewą rękę płócienną torbę, prawą sięgając szczytu muru. W mgnieniu oka go przeskoczyła i puściła się biegiem przez wąską, nieoświetloną uliczkę.

Po chwili dotarła do samochodu. Zapaliła silnik, jednym naciśnięciem stopy puściła strumień paliwa, po czym z piskiem wyjechała na główną ulicę.

Tak, znów wiatr, znowu podmuch wolności; i potęga tego wielkiego, Œelaznego zwierza, który był jej posłuszny.

- Zawieź mnie do jasnych świateł brytyjskiego Kairu, mój słodki zwierzaku. Tak!

Hol wejściowy w Pasterskim. Dobry dŃin z mnóstwem lodu i odrobiną cytryny. Był

wdzięczny, Ńe mu na to pozwolili. Strasznie się ostatnio rozpił. Miał uroczą świadomość, Ńe po powrocie do Anglii zapije się na śmierć.

Czy oni nigdy nie dadzą mu spokoju? ZdąŃyli się juŃ chyba zorientować, Ńe nic im nie powie? Przypominali mu manekiny, które krzywią usta za poruszeniem sznurków. KaŃdy ich gest sprawiał wraŃenie wymuszonego. Nawet przystojny chłopiec, który od czasu do czasu przynosił i wynosił dŃin z lodem, zachowywał się jak aktor. Jeden wielki fałsz. Groteskowe postacie, które przemierzały hol i muzyka, dobiegająca z barów i sali balowej, tak, coŃ takiego mogłoby chyba rozbrzmiewać w piekle.

Czasami nie mógł uchwycić sensu wypowiedzianych przez nich zdań. Znał definicję kaŃdego ze słów, ale o co im chodziło? Martwi męŃczyźni ze skręconymi karkami. Czy dokonała tego w tym krótkim czasie, gdy on się oddalił?

- Jestem zmęczony, panowie - oznajmił w końcu. - Tutejszy upał widocznie mi nie słuŃy.

Dzisiaj upadłem i bardzo się potłukłem. Muszę odpocząć. Proszę pozwolić mi udać się do pokoju.

Tamci dwaj obrzucili się spojrzeniami. Udawali zdesperowanych. Wszystko było tu nierealne. A co było rzeczywiste? Zaciskające mu się na gardle palce Kleopatry. Postać w białym stroju, która stanęła za nią i pochwyciła ją w barach?

- Lordzie Rutherford, tu chodzi o kilka zabójstw! Wszystko wskazuje na to, Ńe zamordowanie męŃczyzny noŃem w Londynie było zaledwie pierwszym z wielu. Prosimy, Ńeby poszedł pan na pełną współpracę. Ci dwaj młodzi męŃczyźni, którzy zginęli dziś po południu...

- JuŃ mówiłem, Ńe nic mi o tym nie wiadomo! Czego się po mnie spodziewasz, młody człowieku, Ńe będę mydlił ci oczy czczymi wymysłami? To niedorzeczne.

- Wie pan moŃe, gdzie szukać Henry'ego Stratforda? Dwa dni temu przyszedł do Pasterskiego i spotkał się z panem.

- Henry Stratford kręci się po najbardziej podejrzanych dzielnicach Kairu. Nocami chodzi samotnie po mieście. Nie wiem, gdzie się podziewa, oby Bóg miał go w swojej opiece. Na mnie naprawdę juŃ czas.

Wstał z krzesła. Gdzie ta przekłęta laska?

- Proszę nie próbować wyjeŃdŃać z Kairu - powiedział ten młody, bezczelny, mówiący przez nos. - Mamy pański paszport.

- Co takiego? To oburzające - wyszeptał Elliott.

- Obawiam się, że to samo dotyczy pańskiego syna oraz panny Stratford. Ich paszporty zostały również skonfiskowane w recepcji. Lordzie Rutherford, my musimy przeniknąć tę tajemnicę.

- Ty idioto! Jestem obywatelem brytyjskim! Jak śmiesz tak mnie traktować?!

Zastąpił mu drogę drugi mężczyzna.

- Milordzie, będę z panem szczerzy. Wiemy o pańskich bliskich związkach z rodziną Stratfordów. Czy sądzi pan, że Henry Stratford maczał palce w tych zabójstwach? Znał tego człowieka w Londynie, którego pchnięto nożem. Amerykaninowi, którego znaleziono w piramidzie, skradziono pokaźną sumę pieniędzy. Wiemy, że Stratford miał kłopoty finansowe.

Elliott taksował go milczącym spojrzeniem. Zrzucić wszystko na Henry'ego. To nie przyszło mu do głowy. To takie oczywiste! Naturalnie, należy zwalić wszystko na Henry'ego!

Przecież znał tego typa w Londynie. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności. Nadzwyczajnie sprzyjający. Mierzył wzrokiem stojących przed nim dżentelmenów, którzy niepewnie przestępowali z nogi na nogę. Może uda się to przeprowadzić?

- Milordzie, to jeszcze nie wszystko. Do tego dochodzą dwie tajemnicze kradzieże. Jedna mumia zniknęła z kairskiego muzeum. Wszystko wskazuje jednak na to, że ktoś wykradł także mumię z domu panny Stratford na Mayfair.

- Czyżby?

- Poza tym w posiadaniu kochanki Henry'ego, niejkiej Daisy Banker, aktorki kabaretowej, znaleziono bezcenny egipski klejnot...

- Tak... - Elliott opadł na krzesło.

- Zmierzam, milordzie, do sugestii, iż być może młody Stratford był zamieszany w jakieś przemyślane machinacje... klejnoty, monety, mumie...

- Mumie... Henry i mumie... - Nie, to było zbyt piękne, a Henry, który zamordował

Lawrence'a, nieszczęsny Henry smażył się teraz w smole. Jeśli będzie się nad tym dłużej zastanawiał, zacznie chichotać, piskliwie, histerycznie.

- Bo rozumie pan, lordzie Rutherford, niewykluczone, że idziemy błędnym tropem.

- W takim razie co Ramsey robił w muzeum? - wtrącił się niecierpliwie młodszy.

- Usiłował powstrzymać Henry'ego - wymamrotał Elliott. - Poszedł za nim do muzeum.

Za wszelką cenę chciał wyperswadować Henry'emu ten zamysł, a wszystko naturalnie ze względu na Julie.

- Jak wytłumaczyć kwestię monet?! - zawołał młodszy, widocznie coraz bardziej podniecony. - W apartamencie Ramsey'a znaleźliśmy siedem złotych monet Kleopatry.

- To chyba oczywiste - podchwycił Elliott, unosząc głowę i widząc, że za oknami zaczyna świtać. - Prawdopodobnie wziął je od Henry'ego, kiedy się pokłócili. Wiedział, co knuje ten łajdak. Na pewno usiłował go powstrzymać. Ale tak!

- Ale to wszystko nie trzyma się kupy! - oświadczył młodszy.

- Szczerze mówiąc, zaczyna to nabierać coraz więcej sensu - zaproponował Elliott. - Biedny Henry, przeklęty szaleniec!

- Tak, to układa się w pewną całość - potwierdził starszy funkcjonariusz.

- Tak? Układa się? Teraz, o ile panowie pozwolą, chciałbym porozmawiać z adwokatem.

Muszę przecie odzyskać paszport! Przypuszczam, że mam jeszcze prawo do kontaktu z adwokatem? Nie zostały mi odebrane prawa obywatela brytyjskiego?

- Ale nie, lordzie Rutherford - odparł starszy mężczyzna. - Coś mogło skłonić młodego Stratforda do tak szalonego kroku?

- Hazard, mój drogi. Hazard. Granie jest jak narkotyki. Zniszczyło mu życie.

* * *

Cała, zdrowa i obłąkana! Bardziej obłąkana niż zanim dał jej eliksir. Oto czego dokonał.

Ach, co za owoce rodzi jego geniusz! Jak skończy się ten koszmar?

Przeszukiwał labirynt uliczek starego Kairu. Kleopatra przepadła bez śladu. Jakim cudem ją znajdzie, jeśli ona nie da mu żadnego znaku?

Gdyby nie zapuścił się w mroczny zakątek kairskiego muzeum, nie spojrzalby na jej leżącą na uboczu szczątki. Gdyby wybrał inną drogę, miałby przed sobą przyszłość z Julie u swego boku, miałby u stóp cały świat.

Teraz był związany nierozzerwalną pępowiną z potworem, którego stworzył. Będzie się za nim wlec cierpienie, które próbował uśmierzyć. Ta obłąkana istota będzie już zawsze pamiętać nienawiść, jaką do niego odczuwała, zapominając całkowicie o miłości. Ale czego się spodziewał? że w nowych, wspaniałych czasach ta kobieta dozna duchowej przemiany?

A jeśli Julie miała rację i szalona dusza nie należała do Kleopatry? Jeśli ta istota była upiornym sobowtórem królowej?

Po prostu tego nie wiedział. Trzymając ją w ramionach, wiedział tylko, że to jest to samo ciało, które niegdyś pieścił, ten sam głos, który przemawiał do niego w gniewie i rozkoszy.

Wiedział, że ma przed sobą kobietę, która doprowadziła go do ostatecznego upadku, odbierając sobie życie i nie przyjmując eliksiru. Teraz drażniła go okrucieństwem wspomnienia, że kiedyś wołała go w agonii, przed wieloma wiekami, że usiłowała krzyczeć, a on nie wysłuchał ostatniej prośby.

Kochał ją równie mocno co Julie Stratford. Kochał je obie!

Szedł swawym krokiem przed siebie, opuszczając osobiście cichy stary Kair i zmierzając w kierunku pełnej Syccii, nowej części miasta. Pozostawało mu szukać dalej. Jaką ona da mu w końcu wskazówkę? Kolejne bezsensowne zabójstwo, które również zostanie zapisane na konto męża Sycy znanego jako Reginald Ramsey? W ten sposób wbije kolejny sztylet w serce Julie Stratford!

W ogóle nie łudził się, że Julie zdoła mu kiedykolwiek wybaczyć. Sięgnął szczytów głupoty, gdy ukochana spodziewała się po nim mądrości i odwagi. Okazał się zwykłym mężem Sycy, który stał w tym małym domku, wpatrzony w obraz utraconej miłości.

W ten sposób poświęcił lepszą, silniejszą miłość dla namiętności, której niewolnikiem stał

się przed wieloma stuleciami. Nie zasługiwał więc już na lepsze, szlachetniejsze uczucie i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Mimo to pragnął Julie, pośadał tak, jak pośadał tej przeklętej, którą musi teraz jakoś sobie podporządkować albo zniszczyć.

Wcześniej nie zaznał pociechy.

* * *

Oto przepiękne stroje, sukienki, w których mogłaby się poczuć świetnie. Zachowała się w nich dawna miękkość i prostota, na dodatek przetkano je niezliczonymi niciami ze srebra i złota.

Podeszła do jaskrawo oświetlonego okna i dotknęła go ręką. Przeczytała angielski napis: Najpiękniejsze suknie na bal w operze

Tak, potrzebowała najpiękniejszej. W torbie leżało mnóstwo pieniędzy. Chciała takich pantofli, z obcasami jak sztylety. Do tego biżuteria.

Zapukała do drzwi. Otworzyła wysoka kobieta o srebrnych włosach.

- Za chwilę zamykamy, moja droga, przykro mi. Gdybyś zechciała wrócić...

- Proszę tę sukienkę! - zaśadała. Z torby wyjęła garść banknotów. Kilka z nich spadło z furkotem na ziemię.

- Moja droga, o tej porze nie wolno obnosić się z takimi sumami pieniędzy. - Kobieta nachyliła się i podniosła banknoty z ziemi. - Wejdz. Czy jesteś sama?

Ale tu było ładnie. Dotknęła delikatnej materii, którą obito małe, połączone krzesło. W

środku było jeszcze więcej posągów, które widziała w oknie. Te były odziane nie tylko w jedwabne

sukienki, lecz również w futra. Szczególną uwagę zwracało długie pasmo białego lisa.

- Chcę to - oświadczyła.

- Naturalnie, moja droga, już - mówiła właścicielka. Obdarzyła zdumioną kobietę najmiłym ze swoich uśmiechów.

- Czy... to... na bal w operze?

- Tak, pasowałyby idealnie. Zaraz zapakuję.

- Tak, ale potrzebuję jeszcze halkę i pantofle, i perły, rubiny, bo widzi pani, zgubiłam całą garderobę, całą bieliznę.

- Zajmiemy się pani kłopotem! Proszę usiąść! Co chciałaby pani obejrzeć?

* * *

Uda się. Historia była absurdalna: Henry włamuje się do Muzeum Starożytności, żeby ukraść mumię i spłacić długi. W gruncie rzeczy - nie wolno mu o tym zapominać - prawda była jeszcze większym nonsensem! Nikt nie uwierzyłby w rzeczywistą wersję wypadków.

Zaraz po dotarciu do apartamentu zadzwonił do swojego starego przyjaciela Pitfielda.

- Proszę przekazać, że dzwoni Elliott Rutherford. Zaczekam przy telefonie. Witam, Gerald. Przepraszam, że odrywam cię od kolacji. Mam tu pewne niejasności prawne. Myślę, że we wszystkim zamieszany jest Henry Stratford. Tak. Tak, dziś wieczorem, o ile to możliwe.

Jestem naturalnie w Pasterskim. Świetnie, Geraldzie. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Za dwadzieścia minut. W barze.

Odłożył słuchawkę i zobaczył wchodzącego Alexa.

- Ojciec, dzięki Bogu wróciłeś. Skonfiskowali nam paszporty! Julie odchodzi od zmysłów.

Miles był u niej przed chwilą, opowiadając następną niestworzoną historię. O jakimś Amerykaninie zamordowanym w piramidzie i nieszczęsnym Angliku, którego zabito obok kawiarni „Międzynarodowej”.

- Alex, pakuj kufer - nakazał. - Już o wszystkim słyszałem. Zaraz będzie tu Gerald Pitfield. Do rana odzyska wasze paszporty, mogę ci to zagwarantować, a wtedy wsiadasz z Julie do pociągu.

- Sam jej to powiedz, ojciec.

- Powiem, ale teraz czeka na mnie Pitfield. Weź mnie pod ramię i pomóż zejść do windy.

- Ojciec, kto odpowiada...

- Synu, wolałbym ci tego nie mówić. Tym bardziej nie mam ochoty wyjawiać tego Julie.

Wszystko wskazuje jednak na to, że Henry maczał w tym palce aż po łokcie.

Cisza. Tylko z oświetlonych okien na piętrze dobiegała dyskretna muzyka. Weszła po pustych schodach, miała tylko ochotę popatrzeć na gwiazdy i znaleźć się jak najdalej od pukania nieproszonych gości i nieprzyjemnego dzwonka telefonu.

A tu na krawędzi dachu stał Samir, ogarniający wzrokiem minarety, kopuły i roje maleńkich dachów Kairu. Samir, wpatrzony w niebo, jakby pogrążony w modlitwie.

Gdy podeszła, objął ją ramieniem.

- Samirze, gdzie on jest? - wyszeptała.

- Da nam znać, Julie. On nie złamie danego przyrzeczenia.

* * *

Dokonała świetnego wyboru: jasnozielona satyna z rzędem perłowych guzików i kilkoma warstwami brukselskiej koronki. Do tego luźny, futrzany szal, który leżał jak ulał. Tak przynajmniej przekonywała kobieta, która chyba się na tym zna.

- Włosy tak piękne jak twoje byłoby grzechem spinać lub związywać, ale tak chyba trzeba, moja droga. Sprawiają wrażenie dość... Może uda mi się zamówić ci jutro wizytę u fryzjera.

Miała rzecz jasna rację. Włosy innych kobiet były zaczesane i odsłaniały szyje, dość podobnie do fryzury, którą zawsze do tej pory nosiła, tyle że u nich koki miały inny kształt, przypominający wielkie serce z wymyślnymi kędziorami. Tak, chętnie pójdzie do tego fryzjera.

- Specjalnie na bal w operze! - Właśnie. Suknia na bal tak była urocza, choć teraz skryta w zawiniątku ze sztywnego, błyszczącego papieru. Tak samo wyglądały wszystkie inne rzeczy -

śliczne koronkowe majteczki i ulotne halki, niezliczone sukienki, buciki, kapelusze i mnóstwo innych drobiazgow, których nawet nie pamiętała. Koronkowe chusteczki, szaliki i biała parasolka, którą nosiło się w słońcu! Rozkoszne drobiazgi. Jakby weszła do wielkiej garderoby.

Co to za czasy, gdzie na każdym kroku czekają gotowe stroje?

Właścicielka kończyła sumowanie, jak to nazwała. Odliczyła z pieniędzy wiele banknotów. Otworzyła szufladę w dużej maszynie z brązu, kasie, a tam znajdowało się dużo pieniędzy, znacznie więcej niż miała Kleopatra.

- Muszę przyznać, że w tym kolorze wyglądasz olśniewająco - stwierdziła kobieta. - Na jego tle oczy mienią ci się od błękitu do zieleni.

Kleopatra roześmiała się. Stos pieniędzy. Wstała z krzesła i podeszła cicho do kobiety.

Przyjemność sprawiał jej stukot wysokich obcasów o marmurową posadzkę. Ledwie biedaczka zdążyła unieść głowę, gdy Kleopatra pochwyciła ją za gardło. Wzmocniła chwyt, naciskając kciukiem kość w środku szyi. Kobieta sprawiała wrażenie osłupiałej. Wydała odgłos podobny do urwanej czkawki. Kleopatra złapała ją teraz równieś prawą ręką i z całej siły przekręciła głowę.

Trzask. Martwa.

Nie ma czasu na zastanawianie się nad wielką przepaścią, która dzieliła ją od tej nieszczęśniczki, która leżała na podłodze za swoim stolikiem, wpatrzona w pozłacany pułap.

Wszystkie te istoty mogły być zabijać, gdy się tylko zechciało, przecieś nie mogły jej nic zrobić.

Włożyła pieniądze do nowej, satynowej torebki, którą sobie wyszukała. Co się nie zmieściło, powędrowało do starej, płóciennej torby. Wzięła teś wszystkie klejnoty z gabloty pod kasą. Włożyła stertę pudeł, wyniosła całą tę górę i cisnęła na tylne siedzenie samochodu.

Pora ruszać na spotkanie nowej przygody. Otulając ramiona długimi, grubymi ogonami futrzanego szala, raz jeszcze zapaliła metalową bestię.

Pomknęła w kierunku budynku, gdzie mieszkają najbogatsi, Brytyjczycy i Amerykanie.

To Pasterski, taki hotel, nie wiem, czy rozumiesz.

Roześmiała się na myśl o Amerykaninie i dziwnym języku, jakim do niej przemawiał, jakby była idiotką. Tak samo zachowywała się handlarka. Mośe w Pasterskim pozna kogoś uroczego, o nienagannych manierach, kogoś o wiele bardziej interesującego niś wszystkie te nieciekawe dusze, które poszła do mrocznej toni, skąd sama przyszła.

* * *

- Co tu się stało, na Boga? - wyszeptał starszy urzędnik. Stał na progu domu Malenki, nie chcąc wchodzić bez nakazu ani pozwolenia. Nie doczekał się odpowiedzi na stukanie do drzwi ani wtedy, gdy zawołał Henry'ego Stratforda po imieniu.

Na toalecie w oświetlonej sypialni widać było odłamki szkła. Na podłodze plamy, wyglądające jak krew.

Młodszy, jak zawsze niecierpliwy i stanowczy, zapuścił się na patio, oświetlając drogę elektryczną latarką. Przewrócone krzesła. Rozbita porcelana.

- Mój Bośe, Davis! Tutaj leży martwa kobieta!

Starszy mężczyzna zastygł na chwilę w bezruchu. Wpił wzrok w trupa papugi w klatce i we wszystkie te puste butelki, rozstawione wzdłuż barku. Spoglądał na marynarkę, wiszącą na stojaku w kącie.

Wreszcie zmusił się do ruszenia z miejsca, wszedł do ciemnego ogrodu i sam zobaczył

zwłoki.

- To ta kobieta - orzekł. - Malenka z „Babilonu”.

- Wobec takich okoliczności nie potrzeba nam chyba Śadnego nakazu.

Starszy wrócił do pokoju stołowego. Przeszedł ostroŚnie do sypialni.

Od razu zauwaŜył leŜącą na podłodze, podartą sukienkę i dziwaczne łachmany, rzucone pod ścianę. Nie zwracał większej uwagi na młodego kolegę - młodzieńca, który krąŜył po domu, jakby uradowany wyraźnymi oznakami tragedii, przeszukiwał wszystko i zapisywał coś w notesie.

Te łachmany przypominały płótna, którymi owija się mumie, chociaŜ niektóre były z dość nowej tkaniny. Uniósł wzrok na trzymany przez młodszego paszport.

- Stratforda. Wszystkie jego dokumenty są w tamtej marynarce.

* * *

Elliott wsparł się na ramieniu Alexa, gdy wychodzili ze szklanej windy.

- A jeśli Pitfield nie zdoła wszystkiego załatwić? - dopytywał się Alex.

- Przez resztę naszego tutaj pobytu będziemy zachowywać się jak cywilizowani ludzie.

Zgodnie z planem jutro wieczorem zabierzesz Julie do opery. Następnie będziesz dotrzymywał

jej towarzystwa na balu. I bądź gotów do wyjazdu natychmiast po wydaniu paszportu.

- Ona nie ma na to ochoty, ojczy. Prawdę mówiąc, wolałaby jechać z Samirem. Od samego początku tego zamieszania jej powiernikiem jest właśnie on. Nie opuszcza jej ani na chwilę.

- Niemniej jednak powinieneś się jej trzymać. Jutro wszyscy mają widzieć nas razem.

Pozory i konwenanse muszą być zachowane. Teraz przejdź się lepiej na werandę i napij się czegoś przed snem, a ja zajmę się prawną stroną przedsięwzięcia.

* * *

Tak, podobało jej się w Pasterskim, juŜ na pierwszy rzut oka. Spodobał jej się jeszcze po południu, gdy zobaczyła czekający przed nim, długi łańcuch automobili. Elegancko ubrane kobiety i męŜczyźni, którzy wysiadali z aut i wchodzili na schody.

Teraz automobili stało tu bardzo niewiele. Zdołała przystanąć przed samym wejściem.

Drzwi pojazdu otworzył przed nią uroczy, młody sługa. Wzięła satynową torebkę i torbę z płótna i weszła na wysłane chodnikiem schody, podczas gdy armia słuŜących w pośpiechu znosiła jej liczne

pakunki.

Hol natychmiast przypadł jej do gustu. Nie przypuszczała nawet, że wewnątrz tej rezydencji będzie takie obszerne. Podniecał ją widok przemierzających się tam i z powrotem tłumów -

kształtnych kobiet i gustownie odzianych mężczyzn. To był elegancki świat - współczesne czasy.

Dopiero tutaj otwierało się tyle możliwości.

- W czym mogę pani pomóc? - Tymi słowami zwrócił się do niej następny usługowy mężczyzna. Jaki dziwny ubiór, zwłaszcza kapelusz. Jedną z rzeczy, które nie podobały jej się w tych współczesnych czasach, były nakrycia głowy.

- Ale miło z pana strony! - zaczęła ostrożnie. - Chciałabym wynająć pokój. Bo to jest Pasterski? Taki hotel?

- Tak jest, proszę pani, Pani pozwoli, że przejdziemy do recepcji.

- Chwileczkę - szepnęła. Kilka kroków dalej spostrzegła lorda Rutherforda! Nie było mowy o pomyłce. To on. Towarzyszył mu przystojny młody człowiek; wysoka, smukła istota o cerze jak z porcelany, w porównaniu z którym jej poprzedni mężczyźni wyglądali na prymitywów.

Zmrużyła oczy i wytyła słuch, starając się pochwycić słowa młodzieńca. Dzielili ich jednak zbyt wielka odległość. Co gorsza, raz po raz zasłaniał ich rząd palm w donicach. Wreszcie młodzieniec uściśnął dłoń lorda Rutherforda i ruszył ku drzwiom frontowym. Earl natomiast przeszedł do dużego, pogrążonego w półmroku pomieszczenia.

- To lord Rutherford, proszę pani - podpowiedział usługowy młody człowiek obok niej.

- Tak, wiem. Ale kim jest ten piękny młodzieniec?

- A, to jego syn Alex, młody wicehrabia Summerfield. Często bywają w Pasterskim.

Towarzyszą rodzinie Stratfordów.

Obrzuciła go pytającym spojrzeniem.

- Lawrence Stratford, proszę pani - tłumaczył, biorąc ją pod rękę i delikatnie prowadząc dalej. - Wybitny archeolog, który niedawno odkrył grobowiec Ramzesa.

- Co proszę? Mów wolniej.

- Wykopał mumię Ramzesa Przeklętego, proszę pani.

- Ramzesa Przeklętego?

- Tak, proszę pani, to bardzo interesująca historia. - Wskazał jej długi, zdobny stół, który

przypominał ołtarz. - To recepcja, proszę pani. Czym jeszcze mogę służyć?

Roześmiała się zdumiona.

- W niczym, dziękuję. Spisałeś się na medal. Super!

Posłał jej słodkie, pobłażliwe spojrzenie, takie samo, jak wszyscy inni mężczyźni. Po czym ruchem ręki wskazał, że ma podejść do recepcji.

* * *

Gdy tylko Pitfield usiadł naprzeciwko, Elliott natychmiast przeszedł do sedna. Zdawał

sobie sprawę, że mówi za szybko i zdarza mu się mówić o dziwnych sprawach, ale wolał nie tracić rozpędu. Wydostać stąd Alexa. Wydobyć Julie, o ile w ogóle istnieje taka możliwość. W

tej chwili tylko to się dla niego liczyło, później przyjdzie czas na tłumaczenie się przed Randolphem.

- Ładne z nas nie ma z tym absolutnie nic wspólnego - oświadczył. - Musimy uzyskać pozwolenie wyjazdu dla nich. Ja mogę zostać, jeśli okaże się to konieczne, ale mój syn musi wyjechać.

Starszy o dziesięć lat Gerald, białowłosy i otyły, bacznie go wysłuchiwał. Nie ciągnęło go do alkoholu, wolał pracować na okrągło, tak żeby rodzina mogła zyskiwać wszystkich przyjemności kolonialnego życia.

- To oczywiste - odparł z pełną wyrozumiałości miną.

- Ale chwileczkę, w drzwiach stoi Winthrop z dwoma ludźmi.

- Nie mogę z nim rozmawiać! - poderwał się Elliott. - Przynajmniej nie teraz, na miłość boską.

- Ja się wszystkim zajmę.

* * *

Jacy byli zdumieni, gdy zapłaciła z góry tymi, jak je nazywali, funtowymi banknotami, które przecież prawie nic nie ważyły. Młodzi lokaje zanoszą jej liczne pakunki do apartamentu, powiedzieli. Tak, teraz mogła zaspokoić swój głód. Po prawej stronie znajdowała się jadalnia.

Mogła też ucztować we własnym pokoju, wedle życzenia. Fryzjerka będzie mogła związać jej włosy dopiero jutro. Świetnie! Dziękuję.

Klucz włożyła do satynowej torebki. Apartament numer 201 odnajdzie później. Podeszła do drzwi mrocznego pokoju, w którym zniknął lord Rutherford, i zobaczyła, że siedzi samotnie i pije. Nie zauważył jej.

Na obszernym tarasie od frontu widziała jego syna, Alexa, opartego o białą kolumnę - co za śliczny

młodzieniec - i pogrąŜonego w oŚywionej rozmowie z ciemnoskórym Egipcjaninem.

Egipcjanin wrócił do hotelu. Chłopiec wyglądał na zagubionego.

Natychmiast do niego podeszła. ZbliŜyła się ukradkiem i przyjrzała delikatnemu obliczu -

tak, urodziwy. Trzeba przyznać, Őe lord Rutherford był człowiekiem niezmiernie czarującym, ale jego syn był tak młody, miał skórę miękką jak płatki kwiatów. Był jednak wysoki, miał szerokie, silne barki. Gdy odwrócił się w jej stronę, spojrzał jasnymi, pewnymi siebie, brązowymi oczyma.

- Młody wicehrabia Summerfield - zagała. - Syn lorda Rutherford, o ile się nie mylę.

- Tak, Alex Savarell. - Posłał jej szeroki, promienny uśmiej. - Proszę wybaczyć, ale chyba nie miałem przyjemności...

- Jestem głodna, wicehrabio Summerfield. Czy zechciałby pan towarzyszyć mi na salę bankietową?

- Z przyjemnością! Co za radosna niespodzianka.

Podał jej ramię. Tak, bardzo przypadł jej do gustu, bo niczego nie udawał. Zaprowadził ją z powrotem na zatłoczoną główną salę, po drodze minęli ciemny pokój, w którym pił jego ojciec, i weszli do obszernej sali pod połączonym sufitem.

WzdłuŜ ścian olbrzymiego pomieszczenia ustawiono nakryte płótnem stoły. Na środku tańczyli męŜczyźni i kobiety, te ostatnie w sukniach przypominających wielkie, falujące kwiaty. I muzyka, taka śliczna, jednak bolały od niej uszy. Tony były znacznie wyŜsze niŜ w muzycznym pudełku. Bił od niej taki słodki smutek!

Alex natychmiast poprosił stojącego z władczą miną męŜczyznę o wskazanie im stolika.

Brzydki męŜczyzna, mimo Őe ubrany z taką samą elegancją jak wszyscy inni. Tak, lordzie Summerfield - powiedział z wielkim szacunkiem. Stolik był piękny, zastawiony ładną porcelaną, z bukietami pachnących kwiatów.

- Co to za muzyka? - spytała.

- Z Ameryki. Sigmunda Romberga.

Zaczęła się nieznacznie bujać.

- Miałaby pani ochotę zatańczyć?

- Byłoby super!

Ach, jaką ciepłą ręką ujął jej dłoń i poprowadził na parkiet. Dziwny zwyczaj, Őe kaŜda para tańczy jakby osobno, odtwarzając swój własny rytuał. Z miejsca porwał ją melancholijny rytm. A czarujący młody człowiek patrzył na nią z takim zachwytem. Tak, śliczny jest ten Alex, lord Summerfield.

- Jak tu uroczo - powiedziała. - To prawdziwy pałac. A muzyka przenika do głębi, taka piękna. Bola mnie od niej uszy. Bardzo nie lubię wysokich dźwięków: pisku ptaków, strzałów z pistoletu!

- To zrozumiałe - odparł zaskoczony. - Jest pani taką kruchą istotą. Pozwoli pani, Œe powiem, iŒ ma pani śliczne włosy. Rzadko widuje się kobiety z włosami rozpuszczonymi. To takie naturalne. Wygląda pani wprost jak bogini.

- Tak, są OK. Dziękuję.

Szczerze się roześmiał. Co za otwartość. Nie widać w jego oczach Œadnego lęku, Œadnej odrazy. Przypominał księcia, wychowanego w pałacu przez łagodne nianie. Był o wiele za delikatny, Œeby Œyc w tym świecie.

- Czy nie obraziłaby się pani, gdybym spytał ją o imię? Wiem, Œe nie zostaliśmy sobie odpowiednio przedstawieni, wobec czego powinniśmy chyba poznać się na własną rękę.

- Nazywam się Kleopatra, królowa Egiptu. - Co za cudowny taniec, rytm unosi, obraca, a podłoga drŒy i łśni pod stopami niczym woda.

- Jestem nawet skłonny pani uwierzyć - odparł. - Naprawdę wygląda pani jak królowa.

Czy mogę zwracać się do niej Wasza Wysokość?

- Wasza Wysokość? - wybuchnęła śmiechem - Czy tak naleŒy zwracać się do królowej?

MoŒesz mówić do mnie Wasza Wysokość. A ja będę nazywać cię lordem Summerfield. Czy wszyscy ci ludzie to... lordowie?

* * *

W ciemnym lustrze na ściennej boazerii Elliott widział, jak Winthrop i jego kohorta odchodzą. Pitfield po chwili wrócił i usiadł naprzeciwko. Dał kelnerowi znak, by przyniósł

jeszcze jednego drinka.

- Kolejne ofiary - zaczął. - Wiesz, co się stało młodemu Stratfordowi?

- Nie mam pojęcia.

- Zdumiewające! Znalaziono trupa jakiejś tancerki brzucha, jego kochanki. Miała skręcony kark, leŒała w ogrodzie domu, w którym mieszkała z Henrym Stratfordem. Zostały wszystkie jego rzeczy. Paszport, pieniądze, wszystko.

Elliott przełknął ślinę. Musiał się napić. Pomyślał, Œe powinien chyba zjeść kolację, Œeby nie upić się do nieprzytomności.

- Tak samo zginęli dziś po południu student z Oksfordu, młody Amerykanin, i sprzątaczką w muzeum.

Ciekawe, dlaczego Sharplesa wolał wykończyć nosem? Musisz powiedzieć mi wszystko, co wiesz o tej sprawie.

Kelner postawił przed nimi po szklaneczce scotcha i dŃinu. Elliott zaczął bezmyŃlnie Ńaczyć alkohol.

- Dokładnie tego się obawiałem. Gryzły go wyrzuty sumienia.

- Z powodu hazardu.

- Nie. Z powodu Lawrence'a, który zginął za sprawą Henry'ego i trucizn w grobowcu.

- O BoŃe, człowieku, mówisz powaŃnie?

- Geraldzie, od tego wszystko się zaczęło. Przywiózł Lawrence'owi do podpisania jakieŃ dokumenty. Prawdopodobnie sam je sfałszował. Ale nie o to chodzi. Przyznał się do zabójstwa.

- Przed tobą.

- Nie, przed kim innym. - Przerwał, powinien to przemyŃleć, ale nie miał czasu. - Przed Ramseyem.

- Ramseyem, którego teraz szukają?

- Tak, Ramsey usiłował z nim porozmawiać, jeszcze zanim Henry poszedł włamać się do muzeum. A tak nawiasem... wspomniałeś, Ńe oni byli w domu tancerki. Znaleźli tam jakieŃ ślady mumii, choćby strzępy całunu? To przypieczętowałyby sprawę i wtedy przestaliby Ńciagać nieszczęsnego Ramseya. Bo widzisz, on jest całkowicie niewinny. Poszedł za Henrym do muzeum, Ńeby wyperswadować mu ten idiotyczny zamiar.

- JesteŃ tego pewien?

- Wszystko przeze mnie. Nie mogę spać po nocach, za bardzo dokuczają mi bóle w stawach. O piątej rano wracałem właśnie ze spaceru. W pobliŃu muzeum widziałem pijanego w pestkę Henry'ego, jak ci juŃ mówiłem. MyŃlałem, Ńe idzie do następnego pubu. Popełniłem błąd, opowiadając o tym Ramseyowi, który schodził właśnie na poranną kawę. Ramsey juŃ przedtem próbował przekonywać Henry'ego. A teraz podąŃył za nim. Wszystko dla dobra Julie.

- Julie i ten Ramsey są...

- Tak. Zaręczyny z Alexem zostały zerwane. Wszystko odbyło się na przyjacielskiej stopie. Ramsey i Alex nie Ńywią do siebie urazy. Tak więc teraz trzeba doprowadzić wszystko do ładu.

- Oczywiście, oczywiście.

- Ramsey usiłował nie dopuŃcić do kradzieŃy, gdy został zatrzymany przez policjantów.

To dziwny człowiek. Wpadł w popłoch. Jestem przekonany, Ńe potrafisz jednak oczyŃcić go z zarzutów.

- Mogę dołożyć wszystkich starań. Ale wytłumacz, skąd młodemu Stratfordowi przyszło do głowy włamywać się do muzeum?

- Tutaj ja sam trochę się gubię. - Eufemizm roku, dodał w myślach. - Wiem tylko tyle, że w Londynie zniknęła taśmowa mumia Ramzesa Przeklętego i że ukradł trochę monet i biżuterii. Coś mówi mi, że ktoś go do tego podjudził. Ukraść worek cennych szczątków, zarobić trochę gotówki, coś w tym guście.

- I wdarł się do najszlachetniejszego muzeum świata?

- Egipski system zabezpieczeń nie należy do najlepszych, stary. Nie widziałeś chyba Henry'ego w ciągu kilku ostatnich miesięcy? Bardzo szybko się stacza, mój drogi. Być może mamy do czynienia z przypadkiem obłądu w czystej postaci. Sęk w tym, że nie mogę dopuścić, żeby Julie i Alex tkwili w Egipcie. Z kolei oni nie wyjadą, zanim Ramsey nie zostanie oczyszczony z zarzutów, a przecież on jest niewinny.

Dokończył dźwiękiem.

- Geraldzie, wyprowadź nas wszystkich z tego labiryntu. Złożę oświadczenie, jeśli tak mi poradzisz. Postaram się znaleźć Ramseya. Jeśli zagwarantują mu nietykalność, z pewnością stanie po mojej stronie. Dasz sobie radę, Gerald, przecież znasz tych idiotów w koloniach!

Znosisz ich już od tylu lat.

- To prawda. Do sprawy należy podejść delikatnie, ale natychmiast. Prawda wygląda tak, że oni są przekonani o winie Stratforda. Pozostaje tylko oczyścić Ramseya.

- Tak. Protokół, przyzwoitość, dokumenty i cała ta kolonialna paranoja! Zajmij się tym, Gerald. Postępuj zgodnie ze swoim uznaniem, byle tylko mój syn się stąd wydostał. Zrobiłem mu wielką krzywdę...

- Co?

- Nic. Dasz sobie radę?

- Tak, ale Henry... Jak sądzisz, gdzie on się podziewa? W kadzi ze smołą - zadrżał Elliott, ale na głos powiedział:

- Nie mam bladego pojęcia. On ma licznych wrogów, ludzi, którym jest winien pieniądze.

Muszę się jeszcze napić. Zawołaj tego miłego durnia, z łaski swojej.

* * *

- Młody lordzie Summerfield - zaproponowała, spoglądając na jego urodziwe usta - urządzmy dziś bankiet na mych pokojach. Chodźmy tam, gdzie będziemy sam na sam.

- Jak pani sobie Śyczy. - Jak zwykle rumieniec na policzkach. Ach, jak wygląda reszta tego młodego ciała? Oby czaił się tam Priap godzien wszystkich innych wdzięków.

- Tak jest, ale czy ty masz na to ochotę? - Musnęła wierzchem palców jego policzek. Po czym wsunęła palce pod sztywną materię jego ubrania.

- Tak - wyszeptał.

Zeszli z parkietu. Zabrała resztę swoich rzeczy i oddalili się od fal muzyki i jasnych świateł, z powrotem do zatłoczonej, wielkiej sali.

- Apartament dwieście jeden - odezwała się, wyciągając klucz. - Jak tam dotrzeć?

- Po postu wsiądziemy do windy, pojedziemy na drugie piętro - odparł z promiennym uśmiechem - i skierujemy się korytarzem ku przedniej części hotelu.

Windy? Poprowadził ją do mosięŜnej furty. Nacisnął mały guzik w ścianie.

Między dwiema bramami stał ogromny rysunek: *Aida*, opera. A na nim znane jej juŜ postaci Egipcjan.

- Ach, opera - powiedziała.

- Tak, to duŜe wydarzenie - podchwycił. MosięŜna brama otworzyła się; w środku niewielkiej komnaty stał człowiek, który jakby juŜ na nich czekał. Weszła. Poczwała się jak w klatce. Była przeraŜona. Wrota zamknęły się z łoskotem. To jakaś pułapka, która na dodatek zaczęła unosić się w górę.

- Lordzie Summerfield - zawołała.

- Wszystko w porządku, Wasza Wysokość. - Objął ją ramieniem, ona obróciła się i wsparła głowę na jego piersi. Tak, był znacznie słodszy niŜ inni, a kiedy silny męŜczyzna jest uroczy, nawet boginie na Olimpie patrzą nań łaskawszym wzrokiem.

Drzwi się w końcu otwały. Wyprowadził ją na tonący w ciszy korytarz. Ruszyli w kierunku odległego okna.

- Co panią tak przeraziło? - spytał. W jego głosie nie brzmiała Œadna drwina ani dezaprobata. Starał się ukoić jej niepokój. Wziął od niej klucz i włoŜył do zamka.

- Pokój poruszył się - westchnęła. - czy dobrze wyraŜam to po angielsku?

- Tak, dobrze. - Weszli do długiego salonu, ozdobionego storami i zastawionego krzesłami, które do złudzenia przypominały gigantyczne poduszki. - Bardzo osobliwa z pani istota. Jak nie z tego świata.

Wyciągnęła rękę i pogładziła go po twarzy, zaczynając powoli całować. W jego brązowych oczach

ujrzała nagle troskę. Zaraz jednak odwzajemnił pocałunek i to z Sarem, który zaskoczył ją i podniecił.

- Tego wieczoru, lordzie Summerfield - oznajmiła - mój pałac znajduje się tutaj.

Przejdźmy do komnaty sypialnej.

* * *

Elliott dotarł w towarzystwie Pitfielda do drzwi baru.

- Jak mogę ci się odwdzięczyć za to, że tak szybko przyjechałeś na moje wezwanie?

- Możesz mi zaufać, stary, a przede wszystkim spróbuj skontaktować się ze swym przyjacielem. Naturalnie nie mogę radzić, żebyś...

- Wiem. Wiem. Tym zajmę się już sam. - Elliott wrócił do baru, usiadł na skórzanym krześle i wziął szklaneczkę z dżinem. Tak, z całą pewnością zapije się na śmierć, gdy to wszystko się skończy.

Wyjedzie na wieś, zgromadzi zapasy najlepszej sherry, porto i scotcha, po czym będzie bez przerwy pił, aż umrze. Po prostu cudowna perspektywa. Widział się przy kominku, na którym trzaskają polana, z jedną nogą na obitej skórą otomanie. Wizja zadrżała i rozplynęła się w powietrzu. Do gardła napłynęła fala mdłości. Czuł się tak, jakby za chwilę miał rozpaść się w drobne kawałki.

- Wywieź Alexa do domu, do bezpiecznego domu, i to natychmiast. - Pochwyciły go nieopanowane drgawki. Na nowo zobaczył ją, idącą z wyciągniętymi ramionami korytarzem muzeum i w łóŜku, spoglądającą na niego. Czuł jej pieszczoty i ucisk nagiego ściana. Przypomniał

sobie obłęd w oczach Ramseya, gdy się z nią szamotał.

Drgawki nasilały się. Bardzo się nasilały. W mrocznym barze nikt nie zwracał na to uwagi. Na scenie pojawił się młody pianista, który zaczął grać wolny ragtime.

* * *

Pomógł jej zdjąć sukienkę z delikatnej, zielonej satyny. Położył ją na krześle. Gdy zgasły światła, zobaczył lunę miasta za oknem. Ujrzał rzekę.

- Nil - wyszeptała. Chciała powiedzieć, jak piękne jest to pasmo lśniącej wody, wijące się przez zabudowane miasto, lecz na jej duszę padł jakiś cień. Jeszcze jeden z serii obrazów, szybko pojawiających się i zaraz niknących; ten przemknął wyjątkowo błyskawicznie. Katakumby, idący przed nią kapłan.

- Co się stało, Wasza Wysokość?

Uniosła powoli głowę; z jej ust wydobył się przed chwilą jęk i to go przestraszyło.

- Jesteś dla mnie taki delikatny, lordzie Summerfield. - Gdzie szukać w tym chłopcu złości, która

ujawniała się we wszystkich? Potrzeby zadawania bólu, okazywanej wcześniej czy później przez wszystkich mężczyźn?

Ujrzała, że on również się rozebrał, i widok jego młodego, silnego ciała sprawił jej ogromną przyjemność. Położyła rękę na jego płaskim brzuchu, przesunęła ją na piersi. Zawsze podniecała ją twardość mężczyźn; nawet twardość ust, które napinali przy pocałunkach. Lubiła dotyk ich zębów.

Pocałowała go gwałtownie i przycisnęła się do jego torsu. Z trudem się opanowywał, miał ochotę natychmiast zanieść ją do łóżka, mimo to próbował być delikatny.

- Skąd się tu wzięłaś? Taka niezemska istota? - wyszeptał.

- Z ciemności i zimna. Całuj mnie. Odzyskuję ciepło tylko wtedy, gdy ktoś mnie całuje.

Rozpal ogień, lordzie Summerfield, w którym oboje spłonimy.

Opadła na poduszki, pociągając go za sobą. Ręka pochwyciła jego członek, masowała go, ścisnęła za czubek. Gdy zajęczał, otworzyła mu usta językiem i zaczęła lizać jego język i zęby.

- Teraz do środka - powiedziała. - Drugi raz możesz śpiewać już wolniej.

* * *

Apartament Julie. Samir położył na stole gazety. Kobieta piła drugą filiżankę słodkiej, egipskiej kawy.

- Nie odchodź, Samirze, dopóki on się nie odezwie. - Wstała. - Idę przebrać się w szlafrok. Obiecuj, że nie zostawisz mnie samej.

- Zostanę - przyrzekł - ale może byłoby lepiej, gdybyś się trochę przespała? Obudzę cię, gdy tylko usłyszę jakieś nowiny.

- Nie, nie mogę. Chcę tylko zrzucić te zmięte ubrania. Zaraz wracam.

Przeszła do sypialni. Godzinę temu odprawiła Ritę do jej pokoju, za co dziękowała teraz Bogu, bo chciała pozostać sama z Samirem. Nerwy miała napięte jak postronki. Wiedziała, że Elliott jest w hotelu, ale nie mogła się przemóc i do niego zadzwonić. Nie miała ochoty spotykać się z nim ani rozmawiać. Najpierw chciała usłyszeć, czego dopiął Ramzes, a nie mogła otrząsnąć się ze złych przeczuc.

Powoli wyjmowała spinki z włosów, patrząc z roztargnieniem w lustro. Z początku nie zauważyła niczego podejrzanego, lecz po chwili dostrzegła stojącego w kącie, wysokiego Araba w białych szatach, nieruchomego jak mrok, po prostu ją obserwującego. Ten Arab to Ramzes.

Obróciła się na pięcie, włosy opadły jej na ramiona. Serce biło tak mocno, jakby chciało wyrwać się z piersi.

Gdyby jej nie złapał, po raz drugi w Śyciu padłaby zemdlona na podłogę. Ujrzała na jego stroju ciemną plamę krwi i znowu zrobiło jej się słabo, a w oczach pociemniało.

Przytulił ją w milczeniu, przyciskając do siebie.

- Moja Julie - powiedział załamany głosem.

- Jak długo tu jesteś?

- Małą chwilkę. Nie mówmy nic. Chcę cię po prostu tulić.

- A gdzie jest ona?

Wypuścił ją, odsuwając się.

- Nie wiem - odparł bezradnie. - Wymknęła mi się.

Julie patrzyła, jak przemierza kilka kroków, staje i znowu odwraca się w jej stronę. Miała bolesną świadomość, że go kocha i będzie go kochać niezależnie od tego, co się zdarzy. Ale nie mogła mu tego wyznać, dopóki nie przekona się...

- Zawołam Samira - powiedziała. - Jest obok, w salonie.

- Chcę być przez chwilę sam na sam z tobą. - Po raz pierwszy odniosła wrażenie, że on jakby odrobinę się jej boi. Było to wrażenie ulotne, lecz je pochwyciła.

- Powiedz, co się stało.

Pozostał w bezruchu, wpatrując się w nią. W stroju szejka po prostu nie mogła oprzeć się jego urokowi. Jednak wyraz twarzy Ramzesa był niezaprzeczalnie przygnębiający.

- Dałeś Kleopatrze więcej - powiedziała drżącym głosem.

- Ty jej nie widziałaś - mówił cicho, spokojnie z nieskrywanym smutkiem. - Nie słyszałaś jej głosu! Jej płaczu. Nie osądzaj mnie. Ona żyje tak samo, jak ja. Przywróciłem ją do Śycia.

Pozwól, że sam wydam na siebie wyrok.

Złosiła ręce, samej sobie zadając ból.

- Jak mam rozumieć, że nie wiesz, gdzie ona jest?

- Wymknęła mi się. Zaatakowała mnie, próbowała zabić. Jest szalona. Lord Rutherford miał rację. Ona jest zupełnie obłąkana. Zabiłaby go, gdybym jej nie powstrzymał. Elik sir nie zmienił jej duszy. Wyleczył tylko ciało.

Postąpił krok w jej stronę, ona nie zdołała się powstrzymać i odwróciła się plecami. Zaraz się

rozplącze. Och, tylko nie to.

- Pomódl się do swych bogów - powiedziała, patrząc na jego odbicie w lustrze. - Spytaj o radę. Mój Bóg po prostu by cię potępił. Ale jedno jest pewne, niezależnie od losów tej istoty. -

Popatrzyła mu prosto w oczy. - Pod Śadnym pozorem nie wolno ci juŚ nigdy przyrządzać eliksiru. Wypij to, co pozostało. Zrób to przy mnie, a potem zapomnij o przepisie.

Bez odpowiedzi. Powoli zdjął nakrycie głowy i przeczesał włosy. To tylko dodało mu uwodzicielskiego uroku. Postać jak z Biblii, w obszernej szacie i z falą długich włosów. Złościła się, przez co do oczu napływało więcej łez.

- Wiesz, o czym mówisz?

- JeŚli wypicie go jest zbyt niebezpieczne, znajdź jakieś odludne miejsce na pustyni, wykop głęboki otwór i wlej eliksir. Pozbądź się go tak czy owak.

- Pozwól, Śe zadam ci jedno pytanie.

- Nie. - Znowu odwróciła się plecami. Zasłoniła uszy. Kiedy uniosła głowę, zobaczyła w lustrze, Śe on stoi tuŚ za nią. Znow nawiedziło ją poczucie, Śe jej własny świat uległ zniszczeniu, Śe jaskrawy promień światła pogrąŚył wszystko inne w cieniu.

Delikatnie wziął jej ręce i odsunął od uszu. Spojrzał na jej odbicie w lustrze. Poczwała ciepłą bliskość jego ciała.

- Julie, wyobraź sobie, Śe wczoraj wieczorem - zamiast iść do muzeum i polewać eliksirem szczątki Kleopatry - zaproponowałbym ci wypicie go. Przyjęłabyś?

Nie odpowiadała. Schwycił ją mocno w nadgarstku i odwrócił do siebie.

- Odpowiedz! Gdybym nie zobaczył jej w tej szklanej skrzyni...

- Ale zobaczyłeś!

Zamierzała twardo stać na swoim, ale zaskoczył ją pocałunek, szorstkość i pasja jego objęć, niemal brutalność rąk, które przesuwał po jej twarzy. Wymawiał jej imię jak modlitwę.

Wymruczał coś w staroŚytnym języku egipskim, nic z tego nie rozumiała, po czym wyszeptał po łacinie, Śe ją kocha. Kochał ją. Było to zarazem wyjaśnienie i przeprosiny, podanie powodów całego cierpienia. Kochał ją. Wypowiedział to tak, jakby dopiero teraz sobie to uświadamiał. Do oczu zaczęły jej znów napływać głupie łzy. Doprowadzał ją do furii.

Wyrwała się. Pocałowała go i poddała się jego pocałunkom. Potem oparła się o jego piersi, całkowicie bezbronna.

Wreszcie cicho spytała:

- Jak ona wygląda?

Westchnął.

- Piękna?

- Jak zawsze. To kobieta, która uwiodła Cezara, Marka Antoniusza i cały świat...

Zesztywniała, odsuwając się od niego.

- Jest tak piękna jak ty - podjął. - Ale masz rację. To nie jest Kleopatra. To jakaś obca kobieta w ciele Kleopatry. Potwór patrzący jej oczyma i próbujący wykorzystać inteligencję Kleopatry dla własnych, bezsensownych celów.

Czy można to lepiej wyrazić? Co mogła poradzić? Sprawa była w jego rękach, i to od samego początku. Julie wyrwała mu się i usiadła na krześle, kładąc łokieć na oparcie i pocierając ręką czoło.

- Znajdę ją - oznajmił. - Naprawię swój straszny błąd. Sprawię, że powróci do ciemności, z których ją wyrwałem. Cierpienie będzie chwilowe. Potem zanurzy się w sen.

- Tak, ale to po prostu okropne! Można istnieją inne sposoby... - Rozszlochała się.

- Co ja ci zrobiłem, Julie Stratford?! Co zrobiłem z twoim Synem, pięknymi snami i ambicjami?

Zasłoniła usta chusteczką. Zmusiła się do stłumienia płaczu. Wytarła nos i uniosła wzrok na tę cudowną postać jak ze snów, na mężczyznę, który stał przed nią kompletnie przybity.

Człowiek, nic więcej. Niegdyś władca, nieśmiertelny, być może nauczyciel, ale tak samo ludzki, jak my wszyscy. Tak samo omylny. I wzbudzający miłość.

- Nie mogę bez ciebie żyć, Ramzesie. Zresztą można... Ale nie chciałabym. - Ach, teraz w jego oczach lśnią łzy. Jeśli się nie odwróci, znowu sama się rozpłacze.

- Nie ma tu miejsca na rozsądek - ciągnęła. - Teraz chodzi o tę istotę, którą wskrzesiłeś i która zazna cierpienia. Mówisz o pogrzebaniu jej Synem. Ja nie mogę... nie mogę...

- Uwierz, znajdę bezbolesny sposób - szepnął.

Odebrało jej mowę. Nie mogła przemóc się, żeby na niego spojrzeć.

- Musisz dowiedzieć się o jeszcze jednej rzeczy, bo później ta wiadomość tylko wprowadziłaby zamieszanie. Twój kuzyn Henry nie żyje. Zabiła go Kleopatra.

- Co?!

- Elliott zabrał ją do kryjówki Henry'ego w starym Kairze. Śledził mnie w drodze do muzeum. Kiedy pochwycili mnie żołnierze, Elliott zaopiekował się istotą, którą wskrzesiłem.

Zaprowadził ją tam, a ona zabiła zarówno Henry'ego, jak i tę kobietę, Malenkę.

Potrząsnęła głową, a ręce raz jeszcze odruchowo zakryły uszy. Wszystko, co wiedziała o Henrym, o śmierci ojca, o próbie otrucia jej samej, jakby przestało się liczyć. To nie docierało do jej świadomości. Słyszała tylko mrośące krew w Słach słowa.

- Uwierz, Œe znajdę bezbolesny sposób. Muszę tego dokonać, Œeby nie połała się znowu niewinna krew. Nie wolno mi się odwracać plecami.

* * *

- Mój syn nie zostawił Œadnej wiadomości? - Elliott bynajmniej nie opuścił skórzanego fotela ani dŒinu i wcale nie miał takiego zamiaru. Wiedział jednak, Œe powinien skontaktować się z Alexem, zanim bardziej się upije. Z tą myślą poprosił o przyniesienie telefonu.

- Ale przecieŒ to do niego niepodobne, Œeby wychodził bez opowiedzenia się. Dobrze.

Gdzie jest Samir Ibrahim? MoŒe mnie pan połączyć z jego pokojem?

- Jest w apartamencie panny Stratford, proszę pana. Dwieście trzy. Prosił, Œeby wszystkie wiadomości przekazywać właśnie tam. Czy zadzwonić? Jest godzina jedenasta, proszę pana.

- Nie, sam tam pójdę, dziękuję.

Stała oparta o marmurową umywalkę. Opłukała twarz zimną wodą. Wołała nie patrzeć w lustro. Powoli wytarła oczy ręcznikiem. Gdy się odwróciła, ujrzała go w salonie. Słyszała niski, dodający otuchy głos Samira.

- Naturalnie pomogę ci, panie, ale od czego zaczniemy?

Ktoś zapukał mocno do drzwi wejściowych.

Ramzes wycofał się do sypialni. Samir poszedł otworzyć. Za drzwiami stał Elliott. Ich spojrzenia skrzyŒowały się na krótką chwilę, po której kobieta odwróciła się, on nie chcąc ani go osądzać, ani na niego patrzeć. Myślała tylko: ma w tym wszystkim udział. Wie więcej ode mnie.

Poczuła gwałtowną falę odrazy do całego koszmaru, który ją otaczał.

Przeszła do salonu i usiadła na krześle w najbardziej odległym kącie.

- Przejdę do sedna - zaczął Elliott, patrząc Ramzesowi w oczy. - Mam pewien plan i jest mi potrzebna twoja pomoc. Ale najpierw chciałbym ci przypomnieć, Œe to miejsce nie jest zbyt bezpieczne.

- Jeśli mnie znajdą, jeszcze raz ucieknę - stwierdził Ramzes, wzruszając ramionami. - Co to za plan?

- Plan wydobycia stąd Julie i mojego syna. Ale moŒe powiesz mi, co zdarzyło się po moim wyjściu?

- Jest dokładnie taka, jak ją opisałeś. Obłąkana, niezmiernie silna i groźna. Tyle że teraz jest zdrowa. Zniekształcenia zniknęły. Ma oczy koloru błękitnego nieba, takie jak ja.

- Aha.

Elliott zamilkł, jakby poczuł przenikliwy ból i musiał odczekać, aż minie. Nagle Julie zdała sobie sprawę, że jest pijany, naprawdę pijany. Chyba pierwszy raz w Syciu widziała go w takim stanie. Zachował godność, umiar, ale upił się. Wziął szklanekę Samira, napełnioną niemal do połowy brandy, i wypił wszystko z roztrągnionym wyrazem twarzy.

Samir spokojnie poszedł do małego rattanowego barku w kącie pokoju i przyniósł tamtemu butelkę.

- Uratowałeś mi Sycie - zwrócił się Elliott do Ramzesa.

- Dziękuję ci.

Ramzes wzruszył ramionami. Ton ich rozmowy wydał się Julie osobliwy. Odnosili się do siebie tak, jakby blisko się poznali. Nie było między nimi żadnej niechęci.

- Co to za plan? - powtórzył swoje pytanie Ramzes.

- Musisz ze mną współpracować. Kłamać. W dodatku przekonująco. Dzięki temu zostaniesz oczyszczony z ciążących na tobie podejrzeń, a Julie i Alex będą mogli stąd wyjechać.

Cień podejrzeń przestanie też padać na Samira. Potem będzie można zająć się innymi sprawami...

- Ja nigdzie nie jadę, Elliott - wtrąciła się znużona Julie.

- Za to Alexa należy jak najszybciej wyekspediować. Samir nalał Elliottowi kolejną szklaneczkę koniaku, a ten odruchowo ją wypił.

- Macie tu dżin, Samirze? Wolę upijać się dżinem.

- Proszę przejść do rzeczy, milordzie - ponaglił Ramzes.

- Na mnie już czas. Ostatnia królowa Egiptu krąży samotnie ulicami miasta, szukając ofiar. Muszę ją odnaleźć.

- Będzie trzeba wyzbyć się skrupułów - zaczął Elliott.

- Istnieje możliwość przypisania wszystkich tych występków Henry'emu. Sam przygotowałem pod to grunt. Ale, Ramsey, musiałbyś kłamać, jak już wspomniałem...

* * *

Nocna cisza. Nagi Alex Savarell leżał na śnieżnobiałej pościeli puchowego łóżka. Cienki, wełniany koc nakrywał go tylko do pasa, a szczupła twarz nabierała w poświacie księżycy woskowego połysku.

Pośród tego uroczego bezruchu ona rozwiązywała liczne paczki i oglądała eleganckie elementy stroju: sukienki, spódnice, pantofle. Na toaletce ułożyła ukradzione, niewielkie prostokąty papieru z napisem: „Opera” i „Wstęp dla jednej osoby”.

Księżyc oświetlał bogate jedwabie i iskrzył się na sznurze pereł, zwiniętym niczym wąż.

Natomiast za przezroczystymi, delikatnymi firankami jego blask padał na Nil, który wpływał w miękki splot zaokrąglonych dachów i wież, tworzących Kair.

Kleopatra stanęła przy oknie, odwrócona tyłem do miękkiego łóżka i podobnego bogom młodzieńca. Dali sobie boską rozkosz. Jego niewinność i czystą, męską siłę pieściła jak skarb.

Alexa zdumiała jej tajemniczość i doświadczenie. Jeszcze nigdy nie oddał się w ten sposób w ręce kobiety, powiedział. Nigdy do tego stopnia nie puścił wodzy fantazji w zaspokajaniu każdego swego kaprysu.

Teraz spał snem dziecięcia, podczas gdy ona stanęła przy oknie...

...gdy ją nawiedzały sny, podszywające się pod wspomnienia. Przyszło jej do głowy, że od przebudzenia nie zdążyła jeszcze poznać nocy. Jej chłodnego sekretu, dzięki któremu myśli stają się w naturalny sposób głębsze. Teraz przypominał jej się obraz innych nocy, istniejących pałaców, lśniących marmurowych posadzek i kolumn, stołów zastawionych owocami, pieczonym mięsiwem i winem w srebrnych dzbanach. Obraz Ramzesa, rozmawiającego z nią, gdy leżeli obok siebie w ciemności.

- Kocham cię, jak nie kochałem dotąd żadnej kobiety. Życie bez ciebie... nie byłoby moim.

- Mój królu, jedyny królu. Inni są jak zabawki na dziecięcym polu bitwy. Małe figury szachowe, przesuwane ręką losu z kwadratu na kwadrat.

Obraz pociemniał, oddalił się. Utraciła go tak samo, jak inne wspomnienia. Realny był

głos Alexa, który mówił przez sen.

- Wasza Wysokość, gdzie jesteś?

Rozpacz rzuciła na nią czarną zasłonę, której nie był w stanie przeniknąć. Była za ciemna, zbyt ciemna. Zanuciła tę słodką piosenkę z muzycznej skrzynki: *Celeste Aida*. Gdy odwróciła się i ujrzała w poświacie księżycy jego twarz, zamknięte oczy, leżącą na prześcieradle dłoń, zrodziła się w niej głęboka, wypływająca z samej duszy tęsknota. Mruczała pieśń, nie otwierając ust, podeszła do łóżka i popatrzyła na mężczyznę.

Delikatnie pogładziła go po włosach. Czule dotknęła powiek. Ach, śpiący bóg, mój słodki Endymion.

Dłoń powoli ześliznęła się na szyję i dotknęła kości, które łamała innym.

Kruchy i śmiertelny, mimo całej siły, pięknych muskularnych ramion, gładkiej, płaskiej piersi i silnych rąk, które sprawiają rozkosz.

Nie chciała, Źeby zaznał śmierci! Chciała uchronić go od cierpienia. Uczuła w sobie wielki przyływ opiekuńczości. Uniosła biały koc i przytuliła się do niego na ciepłym łóżku.

Nigdy nie zrobi mu krzywdy, nigdy, była tego pewna. Nagle śmierć wydała jej się czymś strasznym i niesprawiedliwym.

Dlaczego ja jestem nieśmiertelna, a on nie? O bogowie. Na mgnienie oka miała wrażenie, Źe otworzyły się jakieś wrota i ujrziała wielką, zalaną słońcem równinę, gdzie zyskała wszystkie odpowiedzi. Jej przeszłość, to, kim była, co się dotąd działo, wszystko stało się jasne. Jednak w tym pokoju panował spokój i mrok. Nie było mowy o Źadnym olśnieniu.

- Mój cudowny, młody, piękny kochanek - mówiła, znowu go całując. Natychmiast się zbudził, zareagował; rozwarł ramiona.

- Wasza Wysokość.

Znów wyczuła twardość między jego nogami. Zapragnęła, Źeby ją wypełniła, by zadawała ból. Uśmiechnęła się ukradkiem. Jeśli nie można zyskać nieśmiertelności, warto przynajmniej zachować młodość, myślała z Źalem.

* * *

Ramzes wysłuchał wszystkiego w milczeniu, wreszcie odezwał się.

- Jednym słowem, mam przedstawić tę skomplikowaną opowieść władzom: posprzeczałem się z Henrym, wszedłem za nim do muzeum, widziałem, jak wyjmuje mumię z gąbki, a potem zatrzymali mnie Źołnierze.

- Przypuszczam, Źe będąc królem, kłamałeś dla dobra Egiptu? Na przykład oszukiwałeś lud, wmawiając mu, Źe jesteś Źywym bogiem.

- AleŹ, Elliotcie - włączyła się Julie - co będzie, jeŹeli zbrodnie nie ustana?

- Co jest zupełnie możliwe - dodał zniecierpliwiony Ramzes - jeśli natychmiast stąd nie wyjdę i nie wezmę się do dzieła.

- Nie ma dowodów, Źe Henry nie Źyje - odpalił Elliott - i nigdy się nie znajdą. Nikt nie może wykluczyć, Źe on cały czas krąŹy po Kairze. Oni uwierzą w to, co możliwe do przyjęcia.

Pitfield z radością przełknął te brednie. Oni postąpią tak samo. Mogą sobie do woli poszukiwać Henry'ego, kiedy ty będziesz tropił tę kobietę. Tymczasem Julie i Alex będą już wtedy bezpieczni.

- Nie, przecieŜ juŜ mówiłam - zaprotestowała Julie. - Namówię Alexa, Œeby wyjechał...

- Julie, mogę przyjechać do ciebie później - przerwał jej Ramzes. - Lord Rutherford jest przebiegłym człowiekiem. Byłby z niego doskonały król albo chytry doradca królewski.

Elliott uśmiechnął się gorzko i przełknął trzecią szklaneczkę czystego dŒinu.

- Postaram się ułoŜyc te kłamstwa w najbardziej przekonującą całość - oznajmił Ramzes. -

Co jeszcze powinniśmy omówić?

- Wszystko ustalone. Zadzwoń do mnie o dziesiątej rano. Do tego czasu zdobęde dla ciebie u samego gubernatora rękojmię nietykalności. Następnie zjawisz się u niego w pałacu i złoŜysz stosowne oświadczenie. Nie wolno nam wyjeŒdŒać bez paszportów.

- Œwietnie - stwierdził Ramzes. - Teraz muszę juŜ iŒć. Trzymajcie za mnie kciuki.

- Ale gdzie rozpoczniesz poszukiwania? - zmartwiła się Julie. - I kiedy się przeŒpisz?

- Zapominasz, moja piękna, Œe ja nie potrzebuję snu. Będę jej szukał do rana. Jesteśmy tu umówieni na godzinę dziesiątą. Lordzie Rutherford, jeŒeli plan się nie powiedzie...

- Powiedzie się. ZaŒ jutro wieczorem, zgodnie z planem, pójdziemy na operę, a potem na bal.

- To absurd! - zawołała Julie.

- Zrób to dla mnie - przekonywał Elliott. - Będzie to ostatnia moja proŒba. Chcę, Œeby Œycie towarzyskie odzyskało swój normalny rytm. Œeby mojego syna widziano u boku ojca i w gronie przyjaciół; z Ramseyem, oczyszczonym z podejrzeń. Chcę, Œeby widziano nas wszystkich razem. Niech na przyszłość Alexa nie padnie Œaden cień. NiezaleŒnie od tego, co przyniesie los, nie palcie za sobą mostów. Warto chyba zapłacić za to cenę jednego wieczoru pompy i ceremoniału.

- Lordzie Rutherford, pan zawsze potrafi mnie rozbroić i przekonać - zawołał Ramzes. -

W innym Œwiecie i innej epoce ja sam plotłem równie niestworzone rzeczy. Stajemy się tacy przez pałace i tytuły, które nosimy. Dobrze, strawiłem tu wystarczająco duŒo czasu. Samirze, jeŒli chcesz, moŒesz mi towarzyszyć. Naturalnie mogę iŒć sam.

- Zawsze przy tobie, panie - odparł Samir. Wstał i złoŜył uroczysty pokłon Elliottowi. -

Do jutra, milordzie.

Ramzes wyszedł. Jego Œladem podąŜył Samir. Julie stała przez moment w bezruchu, a potem zerwała się z krzesła i popędziła za Ramzesem. Dogoniła go na ciemnych schodach na tyle skrzydła budynku. Jeszcze raz padli sobie w ramiona.

- Kochaj mnie, Julie Stratford - wyszeptał. - Przysięgam, Œe nie zawsze zachowuję się jak głupiec. -

Ujął jej twarz w dłonie. - Jedź do Londynu, gdzie będziesz bezpieczna. Tam spotkamy się, gdy skończy się ten koszmar.

Chciała protestować.

- Nie oszukuję. Za mocno cię kocham. Wyznałem ci wszystko.

Odprowadzała go wzrokiem, gdy schodził bezszelestnie po schodach. Nakrył głowę i na powrót stał się szejkiem. W takiej teŝ postaci zanurzył się w mrok za drzwiami, unosząc rękę w geście poŝegnania.

Nie chciała wracać do apartamentu. Nie miała ochoty widzieć Elliotta na oczy.

Wiedziała, po co tu z nią przyjechał; przeczuwała to od samego początku, ale teraz nabrała pewności. Zdumiało ją, ŝe poszedł za Ramzesem do muzeum, ŝe posunął się tak daleko.

Jednak po zastanowieniu nie widziała w tym postępkach niczego szczególnego. Przecieŝ

wierzył w nieśmiertelność Ramzesa. Był to prawdopodobnie jedyny oprócz Samira człowiek, który był o niej przekonany. Nęciły go tajemnica i perspektywy, jakie otwierała.

Wracała do siebie w nadziei, ŝe lord pojmuje zło, do którego doszło. Kiedy wyobraziła sobie istotę - choćby demoniczną, niebezpieczną lub okrutną - którą zamknięto w ciemnościach i której nie pozwolono się zbudzić, zadrŝała i znowu wybuchnęła płaczem.

Zastała go w pokoju, dopijającego resztę dŝinu z butelki, siedzącego na rozepchanym krześle. Nawet kiedy był pijany, zdumiewał opanowaniem i elegancją, złoŝywszy ręce na lasce.

Nie uniósł wzroku, gdy wchodziła. Nie zmusił się do wstania. Zamknęła drzwi i spojrzała mu w oczy.

Słowa wypłynęły z niej szybko, bez namysłu. Nie oskarŝała. Powtórzyła tylko to, co mówił Ramzes. Opowiedziała o ŝywności, której nie sposób zjeść, o bydle, którego nie moŝna za

- szlachtować, o niemoŝliwym do zaspokojenia głodzie duszy i ciała. Potem opowiedziała o samotności, o izolacji. Wyrzucała to z siebie pospiesznie, chodząc po apartamencie, nawet na niego nie patrzyła, ich spojrzenia ani razu się nie skrzyŝowały.

Wreszcie skończyła i w pokoju zapanowała cisza.

- Za młodu - odezwał się - spędziłem z twym ojcem w Egipcie wiele miesięcy.

Rozwaŝaliśmy treść ksiągŝek; oglądaliśmy staroŝytne grobowce; tłumaczyliśmy dawne teksty; dzień i noc błakaliśmy się po piaskach pustyni. Staroŝytny Egipt był dla nas natchnieniem, religią. Marzyła nam się jakaŝ tajemna wiedza, która przeniesie nas z dala od wszystkiego, co prowadzi do nudy, a w końcu do beznadziei.

- Czy piramidy naprawdę kryły jakiś nie znany dotąd sekret? Czy Egipcjanie znali magiczny język, którego wysłuchiwali sami bogowie? Jakże jeszcze nie odkryte grobowce kryły się w tych wzgórzach? Jaka filozofia czekała na ujawnienie? Jaka alchemia?

- A może ta cywilizacja stworzyła zaledwie coś na podobieństwo zaawansowanej nauki, złudzenie tajemnicy? Od czasu do czasu przychodziło nam do głowy, że Egipcjanie nie byli wcale mądrzy i wtajemniczeni, tylko dosłowni i prymitywni.

- Nie dowiedzieliśmy się tego. Teraz też nie mam pojęcia. Rozumiem tylko, że naszą namiętnością było samo poszukiwanie! Poszukiwanie, rozumiesz to?

Nie reagowała. Gdy uniosła wzrok, Elliott wyglądał bardzo staro. Jego oczy zakrywały ciężkie jak ołów powieki. Podniósł się z krzesła, zbliżył i pocałował ją w policzek. Zachowywał

się przy tym z właściwym sobie wdziękiem. Przez głowę znów przemknęła jej ta osobliwa myśl, która częstokroć nawiedzała ją w przeszłości. Mogłaby go pokochać i wyjść za niego, gdyby nie istnieli Alex i Edith.

I Ramzes.

- Boję się o ciebie, moja droga - oznajmił. Po czym wyszedł.

Miała przed sobą noc, cichą, pustą noc, którą zakłócało najbledsze echo granej na parterze muzyki. Niezliczone noce przeszłości, wypełnione snami bez marzeń i koszmarów, zdawały się utraconą pociechą i złudzeniem dzieciństwa.

Świt. Nieskończony przestwór różowego nieba rozciągał się poza cieniem piramid i kruszącego się, zniekształconego sfinksa, który wyciągał łapy na słońcu na piasku.

Niewyraźny kształt Domu Mena tonął w spokojnym bezruchu, światło paliło się tylko w kilku oknach na zapleczu.

Na widnokręgu widać było sylwetkę samotnego człowieka, odzianego w czarny strój i jadącego na starym wielbłądzie. Gdzieś w oddali rozległ się cichy gwizd pociągu.

Ramzes zmierzał przez piasek w kierunku sfinksa, wiatr rozwiewał mu szaty. Stał w końcu między gigantycznymi nogami posągu i spojrzał na zniszczone przez czas oblicze, które jeszcze za jego czasów wyglądało pięknie, pokryte warstwą lśniącego wapienia.

- Ciągle tu stoisz - wyszeptał w starożytnym języku, omiatając spojrzeniem uszkodzoną konstrukcję.

W chłodzie poranka pozwolił sobie na przypomnienie czasów, kiedy wszystkie pytania znajdowały takie proste odpowiedzi; gdy on, król, mógł odbierać Sycie szybkim ciosem miecza lub pałki. Kiedyś zabił kapłankę w jaskini, tak, by nikt inny nie wszedł w posiadanie wielkiego sekretu.

Tysiące razy dręczyła go wątpliwość, czy nie był to właśnie jego pierwszy i najcięższy grzech - zabicie niewinnej wiedźmy, której śmiech ciągle rozbrzmiewał w jego uszach.

Nie jestem taka głupia, żeby się tego napić.

Czy za to spadła na niego klątwa? Czy został skazany na tułanie się po ziemi niczym biblijny Kain, naznaczony nie gasnącą wolą Sycia, która oddzielała go od reszty ludzi?

Nie wiedział. Rozumiał tylko tyle, że nie potrafił już znieść samotności. Popełnił błąd, który powtórzy. Tego jednego był pewien.

A jeśli izolacja była mu przeznaczona? I każda próba wyrwania się z niej będzie kończyć się katastrofą?

Położył rękę na szorstkiej powierzchni łapy sfinksa. Piasek był w tym miejscu miękki i głęboki, przesiewał go ten sam wiatr, który marszczył ubranie i nieubłaganie siekł w oczy.

Ramzes raz jeszcze uniósł wzrok na zniekształcone oblicze posągu. Przypominał sobie chwilę, gdy odbywał tu pielgrzymkę i przewodził procesji. Usłyszał echo bębnow, fletów. Uczuł

zapach kadzidła, dobiegł go pogłos rytmicznych zaśpiewów.

Teraz też zaczął odmawiać modlitwę, robił to w języku tamtych czasów, co przynosiło dziecianną pociechę.

- BoŜe mych ojców, boŜe tej ziemi. Spójrz na mnie litościwym wzrokiem. Odkryj przede mną sposób na oddanie naturze tego, co jej zabrałem. Czy mam odejść upokorzony, wołając na cztery strony świata, Ŝe znów pobłądziłem? Nie jestem bogiem. Nie umiem tworzyć. Niewiele wiem teŜ o sprawiedliwości. - Jedno jest jednak pewne. Ci, co nas stworzyli, takŜe nie znają sprawiedliwości. Chyba, Ŝe ich wiedza jest taka jak twoja, wielki sfinksie. Nadal pozostaje nieprzeniknioną tajemnicą.

Rozległy, szary cień Hotelu Pasterskiego ciemniał i nabierał bardziej określonych kształtów w miarę, jak robiło się coraz jaśniej. ZbliŜali się doń Ramzes i Samir - dwie postacie, poruszające się szybko i bezszelestnie.

Przed wejście zajechała tymczasem niezgrabna, czarna furgonetka, cięŜko kołysząca się na czterech kołach. Na chodnik spadły gazety w ciasno związanych pakunkach.

Samir szybko wyjął z pierwszej paczki jeden egzemplarz, uprzedzając odzwiernych, którzy wyszli, Ŝeby wnieść dostawę do środka. Wcisnął jednemu z chłopców monetę, na którą tamten nie zwrócił większej uwagi.

WŁAMANIE I MORDERSTWO W SALONIE MÓD

Stojący za nim Ramzes odczytał nagłówek.

MęŜczyźni obrzucili się spojrzeniami.

Potem zaczęli oddalać się od śpiącego hotelu w poszukiwaniu jakiejś otwieranej wcześniej rano kawiarni, gdzie mogliby przeczytać artykuł i zastanowić się, co począć w takiej sytuacji.

* * *

Oczy miała otwarte, gdy pierwsze promienie słońca przeniknęły cienkie zasłony w oknach. Jakie piękne wydały jej się ramiona tego boga, wyciągnięte w jej stronę.

Ci głupi Grecy wyobraŜali sobie, iŜ potęŜny krąg jest rydwanem bóstwa, jeŜdŜącym jak oszalały po horyzoncie.

Jej przodkowie wiedzieli: słońce jest bogiem Ra. Dawcą Ŝycia. Pierwszy pośród bogów, bez którego wszyscy inni byliby niczym.

Promienie padły na lustro i pokój wypełnił wielki, złoty blask, który na moment ją oślepił.

Usiadła, delikatnie wspierając się na ramieniu kochanka. Świat zaczął krąŜyć. Czowała się tak, jakby nagle coś przepełniło jej głowę.

- Ramzes! - wyszeptała.

Ciepłe słońce padło jej na twarz, na Ŝciągnięte brwi i przymknięte powieki. Poczwała je na piersiach i wyciągniętych ramionach.

Swędzenie, ciepło, wielka fala zadowolenia z Śycia.

Wstała z łóŜka i pobiegła po ciemnozielonym dywanie. Skuteczniej niŜ miękka trawa tłumiał odgłos kroków.

Stała w oknie, patrząc na plac, na srebrną, roziskrzoną rzekę. Grzbietem dłoni dotknęła swego ciepłego policzka.

Przebiegł ją głęboki, zmysłowy dreszcz. Jak gdyby wiatr delikatnie zwiął jej włosy z karku: gorący, pustynny wiatr, przemykający nad piaskiem, wślizgujący się na pałace, przemykający po jej ciele, wnikaający w nią, przenikliwy.

Włosy cicho zaszeleściły, jakby ktoś rozczesywał je szczotką.

Wszystko zaczęło się w katakumbach! Stary kapłan opowiedział tę historię przy wieczerzy i wszyscy się śmiali. Nieśmiertelny, drzemiący w grobowcu gdzieś głęboko w skale Ramzes Przeklęty, doradca dawnych dynastów, który zasnął w ciemnościach za czasów jej prapradziadów.

Gdy się zbudziła, zawołała Ramzesa!

- To stare podanie. Opowiadał je ojciec mojego ojca, choć sam w nie nie wierzył. Ja zaś widziałem śpiącego króla na własne oczy. Musicie jednak być świadomi niebezpieczeństwa.

Miała trzynaście lat i nie wierzyła w Śadne zagroŜenia - przynajmniej nie w ich zwyczajnym rozumieniu. Niebezpieczeństwo towarzyszyło jej od zawsze.

Szli wykutym w kamieniu korytarzem. Z sufitu opadał pył. Kapłan niósł przed nimi pochodnię.

- Niebezpieczeństwo? Same te katakumby są groźne. Mogą zawalić nam się na głowy.

U stóp spadło jej parę kamieni.

- Bardzo mi się tu nie podoba, starcze.

Kapłan parł dalej. Chudy, łysy męŜczyzna z opadającymi ramionami.

- Legenda mówi, Œe po przebudzeniu trudno się go pozbyć. Nie jest bezwolnym przedmiotem, lecz nieśmiertelnym królem, obdarzonym swoją wolą. Tak jak dawniej, będzie udzielał rad królowi Egiptu, lecz poza tym nie będzie słuchał niczyich rozkazów.

- Czy mój ojciec o tym wiedział?

- Mówiono mu. Nie wierzył. Tak samo, jak wcześniej ojciec twego ojca i jego ojciec przed nim. Ale król Ptolemeusz za czasów Aleksandra Wielkiego wiedział o wszystkim i zbudził

faraona takimi słowy: „Wstań Ramzesie Wielki, król Egiptu potrzebuje twej rady”.

- I Ramzes powrócił do swej mrocznej komnaty, powierzając sekret jedynie kapłanom?

- Tak słyszałem, tak mówiono memu ojcu, a ja winienem zdradzić tajemnicę monarsze moich czasów.

Było gorąco, wręcz duszno. śadnego chłodu, jaki odczuwa się w głębi ziemi. Wołała nie zapuszczać się dalej. Nie podobało jej się pełganie pochodni, złowrogi odbłask na zaokrąglonym suficie. Gdzieniedzie dostrzegła na ścianie jakieś napisy, słowa w staroŒytnym piŒmie obrazkowym. Nie potrafiła ich odczytać. Zresztą kto potrafił? Bała się, a nie znosiła tego uczucia.

Przebyli tyle zakrętów, Œe nigdy w Œyciu nie odnalazłaby sama drogi powrotnej.

- Tak, opowiedz o wszystkim królowej - mówiła - dopóki jest jeszcze młoda i głupia na tyle, Œeby cię wysłuchać.

- Wystarczająco młoda, by zachować wiarę. Tobie, pani, jest to dane: wiara i marzenia.

Mądrość nie zawsze jest darem starości, Wasza Wysokość. Często bywa przekleństwem.

- Dlatego szukamy staroŒytnego monarchy? - roześmiała się.

- Odwagi, Wasza Wysokość. On leŒy juŒ za tymi drzwiami.

Przebiła wzrokiem półmrok. Tak, były tam drzwi - ogromne wrota! Pokryte warstwą kurzu, pod którą widniały napisy. Serce zabiło jej szybko.

- Wprowadź mnie do tej komnaty.

- Tak jest, Wasza Wysokość. Proszę jednak pamiętać o przestrodze. Zbudzonego nie moŒna się pozbyć. To potęŒny nieśmiertelny!

- NiewaŒne! Chcę go zobaczyć!

Wyprzedziła starego kapłana. W ruchliwym świetle pochodni odczytała na głos greckie słowa.

- Tutaj leŒy Ramzes Wielki. Samozwańczy Ramzes Przekłęty, nie moŒe bowiem umrzeć.

Œpi wiecznym snem, czekając wezwania królów i królowych Egiptu.

Odstąpiła o krok.

- Otwieraj! Szybko!

Dotknął jakiegoś tajemnego miejsca w ścianie. Drzwi rozwarły się powoli i z donośnym zgrzytem, odsłaniając wielką, surową komnatę.

Kapłan uniósł wysoko pochodnię i wszedł do środka. Kurz, czysty, bladoŒóły pył jaskini nieznanego dzikim zwierzętom, nieszczęsnym tułaczom i ludziom chodzącym po wzgórzach, jaskiniach i grobach.

I oto na ołtarzu jakaś koścista, pomarszczona istota, ze skrzyśowanymi na piersiach, zwiędłymi rękami. Brązowe pasma włosów były przyklejone do czaszki.

- Nieszczęsny głupcze. On nie Őyje. Po prostu dobrze zachował się w suchym powietrzu.

- Nie, Wasza Wysokość. Spójrz na wieko w górze i zwisające z niego łańcuchy. Trzeba je unieść.

Oddał jej pochodnię i obiema rękami pociągnął za łańcuchy. Ponownie rozległ się zgrzyt, skrzypienie. Powietrze wypełnił pył, który kłuł w oczy. Wysoko nad głową otworzyła się wielka, okuta Őelazem pokrywa. Niby okno na błękit nieba.

Na śpiącego męŐczyznę spadł Őar letniego słońca. Wytrzeszczyła oczy. Jakimi słowy opisać to, co zobaczyła, wypełnianie się, odŐywanie ciała? Fale brązowych włosów, drŐenie powiek, kręcące się rzęsy.

- On Őyje. To prawda.

Cisnęła na bok pochodnię i podbiegła do ołtarza. Nachyliła się nad nim, uwaŐając, by nie zasłonić słońca. Lśniące, niebieskie oczy otworzyły się!

- Ramzesie Wielki, powstań! Królowa Egiptu potrzebuje twej rady.

Wpatrywał się w nią bez ruchu.

- Taka piękna - szepnął.

Patrzyła na plac przed Hotelem Pasterskim. Widziała oŐywiające się miasto Kair. Wozy i automobile mknęły z hukiem przez czyste, brukowane ulice. W koronach równo przyciętych drzew śpiewały ptaki. Po gładkiej rzece sunęły barki.

W pamięci zabrzmiały słowa Elliotta Rutherforda: „Upłynęło wiele stuleci... czasy współczesne... juŐ wielu podbijało Egipt... niewyobraŐalne cuda”.

Stał przed nią Ramzes w stroju Beduina, błagając o wysłuchanie.

W ciemnym miejscu, pełnym lśniącego szkła, posągów i trumien, wstała, cierpiąca, wyciągnęła ramiona, zawołała go po imieniu!

Krew lała się na koszulę z rany, którą mu zadali. Mimo to szedł chwiejnie w jej stronę.

Potem drugi strzał trafił go w rękę. Ten sam wściekły ból, który zadał jej ten zły człowiek zwany Henrym, ta sama krew. W świetle rannej szarówki zobaczyła, jak go wloką.

Nie mogę umrzeć. Czy to prawda?

Ramzes stanął w progu jej sypialni. Płakała, młodą królową dręczyła niepewność.

- Ale na jak długo?

- Nie wiem. Wiem tylko, że nie możesz teraz rezygnować. Nie rozumiesz znaczenia tego, co ci proponuję. Dlatego pozwól mi odejść. Korzystaj z wiedzy, którą ci przekazałem. Ja powrócę. Możesz być tego pewna. Wrócę, gdy będziesz mnie najbardziej potrzebować, po wielu kochankach, wojnach i morzu smutku, wtedy powitasz mnie z radością.

- Ale ja cię kocham.

Hotelową sypialnię zalewało oślepiające światło. Sprzęty zatoneły w pulsującym blasku.

Wiatr poruszał miękkimi zasłonami, które muskały jej twarz. Półsenna, pochyliła się nad parapetem. Kręciło jej się w głowie.

- Ramzesie, ja pamiętam!

Wyraz twarzy kobiety w sklepie z ubraniami! Krzyk słuchającej i młodzieniec, nieszczęsny młodzieniec, który spuścił wzrok i ujrzał kości!

O bogowie, coście ze mną uczynili?

Odwróciła się, chcąc schronić przed światłem, lecz otaczało ją zewsząd. Lustro płonęło.

Padła na kolana, kładąc ręce na zielonym chodniku. Położyła się, zaczęła się miotać, kręcić, próbowała odepchnąć wielką siłę, która przenikała jej mózg i serce. Całym ciałem wstrząsał

dreszcz. Unosiła się w pustce. Leżała nieruchomo, dając się unosić pulsowaniu, gorące światło okrywało ją niczym kocem, pod powiekami palił się pomarańczowy płomień.

* * *

Elliott siedział sam na ocienionej werandzie. Pusta butelka skrzyła się w porannym słońcu. Drzemał na miękkim krześle, od ocknięcia do ocknięcia. Głód, alkohol, długa, bezsenna noc, wszystko wyostriło spojrzenie i wprowadziło w stan niemal obłądu. Miał wrazenie, że smugi światła na niebie są cudem, a wielki, srebrny automobil, który zajeżdżał przed hotel, zakrawał na jakiś dowcip. Tak samo patrzył na dziwnego, siwowłosego mężczyznę, który zszedł

z wysoko umieszczonego siedzenia i ruszył w jego kierunku.

- Rozmawiałem całą noc z Winthropem.

- Moje kondolencje.

- Stary, umówiłem się z nim na wpół do jedenastej, wtedy wszystko wyjaśnimy. Zdołasz doprowadzić się do jakiego takiego stanu?

- Zdołam. Możesz na mnie liczyć. Ramsey też może się zjawić, o ile... o ile... uzyskałeś dla niego

gwarancję nietykalności.

- Zpełnej nietykalności, pod warunkiem, Œe pod przysięgą podpisze oświadczenie, które obciąŜy Stratforda. Wiesz zapewne, Œe wczoraj wieczorem morderca znów dał znać o sobie, napadł na sklep - sprzedawała w nim kobieta, kasa była pełna gotówki. Zabił ją. Zabrał wszystko.

- Hmmm. A to łotr - mruknął Elliott.

- Stary, musisz natychmiast zejść z tego krzesła, wziąć solidną kąpiel, porządnie się ogolić i zjawić...

- Gerald, masz moje słowo. Wpół do jedenastej w Pałacu Gubernatorskim.

Błogosławiona cisza. Paskudny automobil odjechał. Na ganku znów pojawił się chłopak.

- Śniadanie, milordzie?

- Jakieś małe, a do tego szklanka soku z pomarańczy. Zadzwoń jeszcze raz do pokoju mojego syna. I sprawdź w recepcji, czy nie zostawił jakiejś wiadomości.

* * *

Jej młody lord zbudził się dopiero późnym rankiem.

Rzym upadł. Minęło dwa tysiące lat.

Siedziała całymi godzinami przy oknie, ubrana w śliczną, niebieską sukienkę i przyglądała się współczesnemu miastu. Wszystkie okruchy tego, co widziała i słyszała, układały się w wielką mozaikę. Jednak tyle jeszcze zostało do nauczenia się, do zrozumienia.

Uraczyła się śniadaniem i kazała słuŜbie usunąć ślady. Woląa, Œeby nikt nie był

świadkiem wilczego apetytu, z jakim pochłonęła ogromne ilości jedzenia.

Na niego czekał teraz mały bankiet. Gdy szedł ku niej z sypialni, szepnęła do siebie: „Jaki piękny”.

- O co chodzi, Wasza Wysokość? - Nachylił się i pocałował ją. Objęła go w pasie i ucałowała naga pierś.

- Proszę się do śniadania, młody lordzie - zachęciła. - Jest tyle do odkrycia, tyle do obejrzenia.

Zasiadł przy nakrytym obrusem stoliku. Zapalił świece zapalkami.

- Nie zjesz ze mną?

- Ja juŜ ucztowałam, kochany. Czy moŜesz pokazać mi współczesne miasto? Pałace Brytyjczyków, którzy władają tą krainą?

- PokaŜę ci wszystko, Wasza Wysokość - odparł z tą samą, bezgraniczną ufnością.

Usiadła naprzeciwko.

- Jesteś zaiste najdziwniejszą osobą, jaką znam - oświadczył, i nie było w tym ani śladu drwiny czy złośliwości. - Przypominasz mi pewną znajomą mi osobę, bardzo enigmatycznego męŜczyznę... ale to nieistotne. Czemu się tak uśmiechasz? O czym myślisz?

- Takie piękne - szepnęła. - Ty i całe Ŝycie, młody lordzie. Wszystko i nic. Takie piękne.

Zaczerwienił się, niczym młoda dziewczyna, po czym odłóŜył srebrne sztućce, pochylił się nad stołem i jeszcze raz ją pocałował.

- Płaczesz - zauwaŜył.

- Tak, ale jestem szczęśliwa. Zostań przy mnie, młody lordzie. Nie opuszczaj mnie jeszcze.

Sprawiał wraŜenie wystraszonego, potem zafascynowanego. Szukała we wspomnieniach, czy kiedykolwiek знаła kogoś tak delikatnego. Być moŜe w dzieciństwie, kiedy w swej głupocie nie miała jeszcze pojęcia, co to znaczy.

- Za nic w świecie nie chciałbym cię opuścić, Wasza Wysokość - oznajmił. Wydawał się smutny, jakby nie wierzył własnym uszom. Zbity z tropu.

- Czy pójdziemy dziś wieczorem razem do opery, mój lordzie? Zatańczymy na balu?

Co za cudowne światło zabłysło w jego oczach.

- Boska perspektywa - wyszeptał.

- Jedzenie, lordzie. - Ruchem ręki wskazała zastawiony stół.

Dziobał w talerzu jak zwykły śmiertelnik. Po chwili wziął leŜące obok zawiniątko, na które nie zwróciła przedtem uwagi. Zerwał opakowanie i rozłóŜył coś, co przypominało gruby rękopis, pokryty drobnymi literkami.

- Co to takiego?

- Zwykła gazeta - odparł, śmiejąc się cicho. Rzucił okiem na pismo. - A w niej okropne wieści.

- Przeczytaj na głos.

- To nic przyjemnego, słuchać czegoś takiego. Jakaś nieszczęsna kobieta w salonie mód, skręcono jej kark jak kilku innym osobom. I zdjęcie Ramseya w towarzystwie Julie. Katastrofa!

Ramzes?

- Mówi o tym cały Kair, Wasza Wysokość. W sumie mogę ci już o wszystkim opowiedzieć. Moi znajomi zostali zamieszani w pewne kłopotliwe sprawy, nic więcej. Oni nie mają z tym nic wspólnego. Zostali jednak skojarzeni z innymi uczestnikami zdarzenia. Tutaj...

widzisz tego człowieka?

Ramzes. To znajomi Lawrence'a Stratforda, archeologa, który wykopał mumię Ramzesa Przeklętego.

- Ramsey jest bliskim znajomym, moim i mego ojca. Szukają go. Chodzi o jakiś niemądry skandal z kradzieżą mumii z kairskiego muzeum. Straszne bzdury. Sensacja ostatniej chwili. -

Urwał. - Wasza Wysokość? Proszę się nie bać. Ta historia to naprawdę nic ważnego.

Nie odrywała wzroku od zdjęcia, nie rysunku jak inne, lecz gęstego obrazu, przypominającego namalowany, lecz wykonanego bez wątpienia w atramencie. Atramentowe plamy odcisnęły się nawet na palcach. Oto Ramzes, stojący przy wielbłądzie z poganiaczem, odziany w ciężki, dziwaczny strój współczesnej epoki. I podpis: „Dolina Królów”.

Ledwie stłumiła śmiech. Nie poruszyła się jednak i nie odezwała ani słowem. Chwila rozciągała się jakby w nieskończoność. Młody lord coś mówił, ale w ogóle go nie słuchała. Coś o tym, że musi zadzwonić do ojca, który z pewnością go potrzebuje?

Niczym w transie patrzyła, jak odchodzi. Odłożył gazetę. Zdjęcie. Popatrzyła na niego.

Brał ze stołu jakiś dziwaczny przyrząd. Przemawiał do niego. Prosił lorda Rutherforda.

Natychmiast się poderwała. Delikatnie odebrała mu ten przedmiot i odłożyła go.

- Nie odchódź ode mnie, młody lordzie. Ojciec może poczekać. Ja potrzebuję cię natychmiast.

Spojrzał na nią zakłopotany. Nie bronił się, gdy go obejmowała.

- Nie sprowadzaj tu jeszcze świata - szeptała mu do ucha, całując go. - Zostawmy trochę czasu dla siebie.

Tak całkowicie się poddał. Tak szybko zapłonął ogień.

- Nie obawiaj się - przekonywała. - Pieść mnie, pofolguj dłoniom, tak jak wczorajszej nocy.

Raz jeszcze należał do niej, niewoląc ją pocałunkami, gładząc skryte pod niebieską sukienką piersi.

- Czy zjawiałaś się tu za pomocą czarów? - pytał. - I to wtedy, gdy myślałem...

myślałem... - Zaczął ją całować, a ona poprowadziła go do łóżka.

Po drodze do sypialni zabrała gazetę. Gdy opadli na prześcieradła i zaczął się rozbierać, pokazała mu ją.

- Powiedz mi - poprosiła, wskazując grupę ludzi przy wielbłądach. - Co to za kobieta obok niego?

- Julie, Julie Stratford.

Później słowa umilkły, zastąpiły je gorączkowe, pospieszne, rozkoszne uściski; jego biodra i członek, znowu wdzierający się do środka.

Gdy skończyli i leżał nieruchomo na łożu, zaczęła przeczesać mu włosy palcami.

- Czy jemu zależy na tej kobiecie?

- Tak - odparł sennym głosem. - Ona go kocha. Ale to nie ma w tej chwili znaczenia.

- Dlaczego?

- Bo mam ciebie.

* * *

Ramsey był w świetnej formie. Roztaczał urok, który podbijał serca wszystkich podczas podróży do Egiptu. Siedział swobodny, ubrany w nienaganny, biały, płócienny garnitur, z rozczochranymi włosami i niemal chłopięcym błyskiem w niebieskich oczach.

- Usiłowałem go przekonywać. Gdy potłukł gablotę i zaczął wyjmować mumię, zdałem sobie sprawę, że to na nic. Próbowałem czmychnąć, ale strażnicy, zresztą sami panowie wiecie, co się potem działo.

- Oni mówią, że pana postrzelili, że...

- Proszę pana, to nie są starożytni wojownicy egipscy. To zwykli najemnicy, którzy mniej więcej wiedzą, jak pociągnąć za cyngiel. Z całą pewnością nie pokonaliby Hetytów.

Winthrop mimo woli roześmiał się. Nawet Gerald wyglądał na oczarowanego. Elliott rzucił okiem na Samira, na którego twarzy nie zagościł nawet cień uśmiechu.

- Gdyby tylko udało się odnaleźć Henry'ego - westchnął Miles.

- Dłużnicy z pewnością także mają taką nadzieję - dorzucił skwapliwie Ramsey.

- Ale wróćmy jeszcze do sprawy więzienia. Zdaje się, że badał tam pana jakiś lekarz...

Nareszcie interweniował Gerald.

- Winthrop, wiesz przecie, że ten człowiek jest niewinny. Wszystko, od samego początku, było sprawką Henry'ego. Wskazują na to wszelkie poszlaki. Włamał się do muzeum, wykradł mumię, sprzedał ją z zyskiem i poszedł w pijacki ciąg. Znaleźliście całuny w domu tancerki. Nazwisko Henry'ego widniało w notesie londyńskiego lichwiarza.

- Ale to wszystko jest takie...

Elliott dał znak, żeby zamilkli.

- Ramsey został poddany ciężkiej próbie, podobnie jak my wszyscy. Złożył już kluczowe oświadczenie, i Henry przyznał się do zabójstwa wuja.

- Jednoznacznie mi o tym powiedział - potwierdził Ramsey.

- Poproszę o natychmiastowy zwrot paszportów - zażądał Elliott.

- Ale British Museum...

- Młody człowieku... - zaczął Gerald.

- Lawrence Stratford zostawił British Museum cały majątek - oświadczył Elliott. Miał dosyć. Należało położyć kres tej farsie.

- Słuchaj, Miles. - Pochylił się. - Zamykasz tę sprawę, i to już, chyba jeśli chcesz, żeby spotkał cię towarzyski ostracyzm. Zapewniam cię, jeśli moi przyjaciele, włączając w to pana Reginalda Ramsey, nie wsiądą jutro w południowy pociąg do Port Said, nigdy nie zostaniesz zaproszony do świątecznego domu w Kairze ani w Londynie, gdzie mają nadzieję kiedykolwiek ujrzeć siedemnastego earla Rutherford. Czy wyrażam się jasno?

W gabinecie zapadła kłopotliwa cisza. Młody mężczyzna pobałdził. Nieznośna sytuacja.

- Tak, milordzie - odparł szeptem. Natychmiast otworzył szufladę biurka i kolejno wyjmował z niej paszporty, kładąc je na bibule.

Elliott zdołał uprzedzić Geralda i zgrabił je zgrabnym, szybkim ruchem ręki.

- Cała sprawa napęła mnie takim samym obrzydzeniem, jak was - oznajmił. - Jeszcze nigdy w życiu nie powiedziałem nikomu czegoś takiego, ale przede wszystkim chcę, żeby mój syn wrócił cały i zdrowy do Anglii. Potem mogę zostać w tej dziurze tak długo, jak uzna pan za stosowne. Odpowiem na wszystkie pytania.

- Tak jest, milordzie, jeśli będę mógł zapewnić gubernatora, jeśli pan zostanie...

- Chyba pan nie dosłyszał! Czy muszę napisać to własną ręką?

Wystarczy. Poczuli na ramieniu dłoń Geralda. Przeprowadził swoje zamiary.

Samir pomógł mu wstać. Przemierzeli przedpokój, hol i wyszli na werandę przed wejściem.

- Dobra robota, Geraldzie - powiedział. - W razie potrzeby będę jeszcze dzwonił. Byłbym wdzięczny, gdybyś zawiadomił o wszystkim Randolpha. W tej chwili nie czuję się na siłach. Ale za

parę dni napiszę długą epistolę...

- Złagodzę co okrutniejsze szczegóły, których nie musi przecieŜ znać. Samo aresztowanie Henry'ego będzie dla niego cięŜkim przeŜyciem.

- Tym będziemy się martwić potem.

Ramsey okazywał wyraźne zniecierpliwienie. Zaczął schodzić do czekającego przy schodach samochodu. Elliott uściśnął dłoń Geralda i poszedł za męŜczyzną.

- Czy to juŜ koniec naszego małego przedstawienia? - spytał Ramsey. - Tracę bezcenny czas!

- Masz go przecieŜ mnóstwo, nieprawdaŜ? - zdziwił się z uprzejmym uśmiechem Elliott.

Poczuł lekki zawrót głowy. Wygrali. Dzieci mogły wyjeŜdŜać.

- Koniecznie powinienes zjawić się w hotelu, Őeby pokazać się ludziom.

- Co za niedorzeczność! A pomysł póŹjścia wieczorem do opery jest wprost idiotyczny!

- Taki jest nakaz chwili - oświadczył Elliott, zajmując miejsce w pojeździe. - Wsiadaj!

Ramsey stał na zewnątrz, zły, zdesperowany.

- Panie, musimy znaleźć jakieś ślady jej obecności - włączył się Samir. - Nie znajdziemy jej na własną rękę.

* * *

Tym razem nie przestraszyła się niewielkiego pokoju, który się przesuwał. Wiedziała, co to jest, i zdawała sobie sprawę, Őe słuŜy ludziom tej epoki tak samo, jak pociągi, automobile i róŜne dziwaczne urządzenia, które jeszcze niedawno wydawały jej się okropnymi narzędziami do zadawania bólu i śmierci.

Nie torturowano ludzi, pakując ich do małego pomieszczenia i woŜąc w górę i w dół.

Wielkie lokomotywy nie nacierały na armie. Nie wiedzieć czemu interpretowała wszystko w moŜliwie najgorszym Őwietle.

Ponadto on wszystko jej tłumaczył, spokojnie i obszernie - mówił bez przerwy od długiego czasu. Tylko od czasu do czasu zadawała konkretne pytania. Z przyjemnością opowiadał o mumii Ramzesa Przekłętego, o Julie Stratford - nowoczesnej kobiecie, o wielkim imperium Anglii i tak dalej. Na pierwszy rzut oka widać było, Őe niegdyś kochał Julie Stratford.

Ramzes mu ją ukradł, lecz nie miało to zbyt duŜego znaczenia. Właściwie najmniejszego. To, co on brał za miłość, było uczuciem wãtlejszym, dogodniejszym i o wiele zbyt łatwym. Ale czy naprawdę miała ochotę dowiadywać się wszystkiego o jego rodzinie? Nie, wiêc mówił o historii, Egipcie,

Kairze, o świecie...

Wiele wysiłku kosztowało ją odwołanie go od myśli dzwonienia do ojca. Miał wyrzuty sumienia, lecz ona uśmiała całą siłę perswazji i wszystkich forteli. Nie potrzebował świeżych ubrań. Koszula i marynarka były pod każdym względem równie eleganckie co wczoraj wieczorem.

Tak więc szli zatłoczonym holem Pasterskiego, żeby wsiąść do jego Rolls - Royce'a, tak, żeby mógł pokazać jej grobowce Mameluków i całą historię, o którą się dopominała. Mozaika wzbogacała się coraz bardziej.

Jednak wielokrotnie czynił uwagi, że ona bardzo zmieniła się w porównaniu z wieczorem, kiedy oddawała się igraszkom. Napełniało ją to niejasną obawą. Siła uczucia do niego...

- Podobam ci się taka? - zapytała, gdy zmierzali do wyjścia.

Stał. Zachowywał się tak, jakby zobaczył ją po raz pierwszy. Uśmiech przychodził mu bez najmniejszego wysiłku, zasługiwał na każdą czułość.

- Jesteś najpiękniejszą, najcudowniejszą istotą, jaka pojawiła się w moim życiu - oświadczył. - Chciałbym jakoś ująć w słowa wrażenie, jakie na mnie robisz. Jesteś...

Mijały ich kłębiące się w holu tłumy, a oni tylko patrzyli sobie w oczy.

- Jak duch? - podsunęła. - Gość z innego wymiaru?

- Nie, jesteś zbyt... rzeczywista! - Roześmiał się cicho. - Jesteś żywa, emanujesz takim ciepłem!

Przeszli werandę. Jego automobil czekał, zgodnie z zapowiedzią. Nazwał go limuzyną, długą i czarną, z głębokimi, obitymi aksamitem siedzeniami i dachem. Powiew wiatru będą czuli przez okna.

- Zaczekaj, zostawię w recepcji wiadomość dla ojca, że zobaczymy się dziś wieczorem.

- Ja się tym zajmę, lordzie - pospieszył z pomocą młody sługa, który otworzył przed nimi drzwi.

- Dziękuję bardzo, to miłe z pana strony - dziękował Alex zawsze z tą samą dobrocią, którą okazywał nawet najmniej ważnej istocie. Dając tamtemu niewielki napiwek, patrzył mu prosto w oczy.

- Spotkamy się z nim dziś wieczorem w operze - będzie pan łaskaw powtórzyć...

Podziwiała subtelny wdzięk, z jakim załatwiał najdrobniejsze sprawy. Ujęła go pod ramię, gdy schodzili z werandy.

- Opowiedz mi - poprosiła, gdy pomagał jej zasiąść na przednim siedzeniu - o tej Julie Stratford. Co to znaczy kobieta nowoczesna?

Ramsey jeszcze oponował, gdy samochód zajeżdżał przed Pasterski.

- Będziemy spełniać wszystkie oczekiwania towarzystwa - tłumaczył Elliott. - Potem zostanie ci cała wieczność na poszukiwanie utraconej królowej.

- Nie rozumiem jednego - mówił Ramsey, otwierając drzwi tak nieostrożnie, że omal nie wyrwał ich z zawiasów.

- Skoro jej kuzyna poszukuje się w związku z poważnymi przestępstwami, jak Julie może tańczyć na balu i udawać, że nic się nie stało?

- W świetle angielskiego prawa, mój drogi, człowiek jest niewinny, dopóki wina nie zostanie mu dowiedziona - wyjaśniał Elliott, korzystając z pomocnej dłoni Ramsey'a. - W

związku z czym publicznie zakładamy, że Henry jest czysty, a my nie wiemy nic o jego postępkach. Natomiast prywatnie spełniliśmy obowiązek obywateli Angielskiej Korony.

- Tak, rzeczywiście powinieneś zostać doradcą króla.

- O Boże, popatrz!

- Co?

- To mój syn, jadący gdzieś w towarzystwie kobiety. I to w takiej chwili!

- Być może robi dokładnie to, czego spodziewa się po nim towarzystwo - oświadczył pogardliwie Ramsey, prowadząc lorda po schodach.

- Dziękuję - powiedział Elliott, śmiejąc się ironicznie.

* * *

Elliott, który miał ochotę położyć się spać, wkroczył do salonu w swym apartamencie.

Będzie z niego niezły pijak. Doszczętnie znudził mu się już stan podchmielenia. Chciał zachować jasność myśli, choć zdawał sobie sprawę z wynikających stąd zagrożeń.

Ramsey pomógł mu usiąść na krześle.

Znienacka uświadomił sobie, że zostali sami. Samir poszedł do siebie, a Waltera akurat nie było w pobliżu.

Elliott siedział i próbował zebrać siły.

- I co teraz, milordzie? - spytał Ramsey. Stał na środku salonu i lustrował Elliotta wzrokiem. - Wracaj pan po niezmiernie ważnym balu do Anglii i udaj, że nic się nie stało?

- Twojej tajemnicy nic nie zagraża. Tak jak zawsze. Nikt by mi nie uwierzył. Ja sam wolałbym zapomnieć o wszystkim, co widziałem, chociaż nie będzie mi to nigdy dane.

- A Śądza nieśmiertelności sama się wypaliła?

Elliott przez chwilę się zastanawiał. Odpowiadał niespiesznie, z ulgą słysząc we własnym głosie rezygnację.

- MoŜe po śmierci znajdę to, czego szukam, a nie to, na co zaślubiłem. Nie moŜna wykluczyć takiej moŜliwości. - Uśmiechnął się do Ramseya, który sprawiał wrażenie niezwykle zaskoczonego. - Od czasu do czasu - ciągnął Elliott - wyobraŝam sobie niebo jako olbrzymią bibliotekę z nieskończoną liczbą ksiąg do przeczytania oraz mnóstwem obrazów i posągów do obejrzenia. Jawi mi się ono jako wielkie wrota do wiedzy. Czy sądzisz, Ŝe tamten świat moŜe tak wyglądać? Ŝe nie jest jedną, nudną odpowiedzią na wszystkie pytania?

Ramsey obdarzył go smutnym, zaintrygowanym uśmiechem.

- Niebo pełne wytworów człowieka. Bardzo podobne do egipskich wyobraŝeń.

- Chyba masz rację. Ogromne muzeum. ObnaŜające klęskę wyobraźni.

- Nie sądzę.

- Tak, o tylu sprawach chciałem z tobą porozmawiać, tak wiele rzeczy się dowiedzieć.

Ramsey nie odpowiadał. Po prostu stał i patrzył na earla. Elliott natomiast miał osobliwe poczucie, Ŝe ktoś go słuca, obserwuje. Uświadamiało mu to ogólny brak zainteresowania bliźnimi, jaki z reguły przejawiają ludzie.

- Na to jest juŜ za późno - westchnął Elliott. - Mój syn Alex to teraz jedyna nieśmiertelność, która ma dla mnie znaczenie.

- Jesteś mądrym człowiekiem. Domyśliłem się tego, gdy pierwszy raz popatrzyłem ci w oczy. Tak nawiasem mówiąc, zdrada nie wychodzi ci najlepiej. Powiedziałaś, Ŝe trzymasz gdzieś Kleopatrze, gdy wyznałaś juŜ, Ŝe zabiła Henry'ego i jego kochankę. Łatwo było się domyśleć, Ŝe chodzi o tancerkę. Przystałem na twoje reguły gry. Chciałem przekonać się, jak daleko jesteś w stanie się posunąć. Ale zdradziłaś się. Nie masz doświadczenia w takich sprawach.

- Tak czy inaczej, moja krótka kariera oszusta dobiegła końca. Chyba Ŝe chcesz, Ŝeby tu zostałem, kiedy dzieci wrócą do domu. Nie widzę jednak moŜliwości, Ŝeby mógł ci pomóc zniedołęŜniały, stary człowiek.

Ramsey jakby czegoś nie do końca rozumiał.

- Dlaczego nie przestraszyłeś się jej widoku w muzeum?

- AleŜ bałem się. Byłem przeraŜony.

- Ale zaopiekowałaś się nią. Nie wierzę, że zrobiłaś to wyłącznie dla swych egoistycznych celów.

- Celów? Nie, to nie miało z tym nic wspólnego. Nie mogłem się jej oprzeć, tak samo, jak nie mogę oprzeć się twojemu urokowi. Chodziło o tajemnicę. Chciałem ją ogarnąć. Stać się jej częścią. Poza tym...

- Tak?

- Była żywą istotą. Cierpiącą.

Ramsey zadumał się na moment.

- Namówisz Julie, żeby wyjechała do Londynu... dopóki wszystko tutaj nie ucichnie? -

spytał Elliott.

- Tak.

Ramsey wyszedł cicho, zamykając za sobą drzwi.

* * *

Szli Miastem Umarłych albo Miejscem Wyniesionych w Górę, jak nazywano je po arabsku. Gdzie sułtanowie mameluccy wznosili swoje mauzolea. Widzieli fortecę Babilon, chodzili po bazarach. Popołudniowy upał dał się Alexowi we znaki, ona zaś była pod wrażeniem tego, co oglądała. Odkryła długą nić, łączącą ten pogodny dzień z dawnym okresem jej życia.

Miała dosyć starożytnych ruin. Chciała po prostu być przy nim.

- Lubię cię, młody lordzie - oświadczyła. - Niesiesz mi pociechę. Dzięki tobie zapominam o cierpieniu i rachunkach, które muszę wyrównać.

- Co masz na myśli, moja droga?

Znowu uderzyło ją wrażenie kruchości tego śmiertelnika. Dotknęła palcami jego szyi.

Napływała niebezpieczna fala wspomnień; tak podobna do toni, z której się wynurzyła, jakby śmierć była wodą.

Czy każdy odbierał to inaczej? Czy Antoniusz zatonął w czarnej wodzie? Gdyby tylko chciała, mogłaby na nowo ujrzeć tę chwilę, gdy Ramzes odwraca się plecami, odmawia eliksiru dla Antoniusza, a ona błaga na kolanach: „Nie pozwól mu umrzeć”.

- Wszyscy tacy słabi... - wyszeptała.

- Nie rozumiem, najdroższa.

Czyli pozostaje mi samotność? Na pustyni tych, których czeka śmierć? O Ramzesie, przeklinam cię! Ale gdy znów zobaczyła starożytną komnatę, mężczyznę konającego na sofie i drugiego, odwróconego do niej plecami, dostrzegła coś, czego nie widziała w owych tragicznych chwilach. Uświadomiła sobie, że obaj byli ludźmi. Zobaczyła smutek w oczach Ramzesa.

Później, gdy sama leżała jak martwa, nie poruszając się i nie mówiąc ani słowa, gdy pogrzebali już Antoniusza, przyszedł Ramzes, mówiąc: „Byłaś z nich wszystkich najlepsza.

Wybrana. Miałaś odwagę mężczyzny i serce kobiety. Rozum króla i przebiegłość królowej.

Najdoskonalsza. Wydawało się, że kochankowie staną się dla ciebie nauczka, a nie zgubą”.

Co odpowiedziałaby mu teraz, gdyby była w stanie przenieść się do tamtej komnaty?

Wiem. Rozumiem. Mimo to wezbrała w niej fala goryczy, nieopanowanej nienawiści na widok młodego lorda Summerfielda, idącego obok niej, pięknego i kruchego chłopca - mężczyzny.

- Najdroższa, czy możesz mi zaufać? Znam cię od tak niedawna, ale...

- Co chcesz powiedzieć, Aleksie?

- Ale to takie niemądre!

- Powiedz.

- że cię kocham.

Uniosła rękę i łagodnie dotknęła jego policzków.

- Kim ty jesteś? Skąd się wzięłaś? - wyszeptał. Ujął jej rękę i pocałował, kciuki ocierały jej dłoń. Rozbroiła ją delikatna fala rozkoszy. W piersiach gorąco pulsowało serce.

- Nigdy nie zrobię ci krzywdy, lordzie Aleksie.

- Wasza Wysokość, zdradź mi swe imię.

- Sam wymyśl mi imię, lordzie. Nazywaj mnie, jak zechcesz, skoro nie chcesz uwierzyć w imię, które podałam.

Niepewność w jego ciemnobrązowych oczach. Gdyby pochylił się i pocałował ją, przewróciłaby go na te kamienie. Kochaliby się aż do wyczerpania jego sił.

- *Regina* - szepnął. - Moja królowa.

To znaczy, że Julie Stratford go porzuciła? Nowoczesna kobieta, która chodziła własnymi ścieżkami i robiła to, na co miała ochotę. W końcu uwiódł ją wielki król. Teraz Alex znalazł

królową.

Znów ujrzała Antoniusza, leżącego na sofie, martwego. Wasza Wysokość, powinniśmy go już zabrać.

- Chodź! - wyszeptał Ramzes.

Lord Summerfield rozpałał w niej ogień, przywierając ustami do jej warg, nie zwracając uwagi na przechodzących turystów. Lord Summerfield, który umrze tak samo, jak Antoniusz.

Czy Julie Stratford dane będzie umrzeć?

- Zawieź mnie z powrotem do sypialni - wyszeptała. - Jestem ciebie spragniona, lordzie Aleksie. W przeciwnym razie zdejmę ci ubranie tutaj i teraz.

- Na wieki twój niewolnik - odparł.

Już w samochodzie przywarła do niego.

- Co takiego, Wasza Wysokość?

Spoglądała przez okno na hordy śmiertelników; niezliczone tysiące mieszkańców starożytnego miasta, odzianych w wiecznie takie same, chłopskie stroje.

Czemu przywrócił ją do Śycia? Jaki miał w tym cel? Raz jeszcze zobaczyła jego zapłakaną twarz. Zdjęcie, na którym stał, uśmiechając się do cudu Fotografii, obejmując Julie Stratford o ciemnych oczach.

- Przytul mnie, lordzie Aleksie. Ogrzej.

* * *

Ramzes przemierzał samotnie uliczki starego Kairu.

Jak przekona Julie, żeby wsiadła do tego pociągu? Czy pogodzi się z jej nieobecnością?

Chociaż z drugiej strony - może to wyjdzie jej na dobre? Czy nie wyrządził już dostatecznego zła?

To jego dług wobec earla Rutherforda. Przynajmniej tyle mógł zrobić dla człowieka, który zaopiekował się Kleopatrami, którego lubił i bardzo chciał mieć przy sobie, człowieka, którego rad powinien słuchać od samego początku, do którego czuł głęboką, choć niepewną sympatię, bliską zapewne miłości.

Wsadzić Julie do pociągu. Ale jak? Wszystkie myśli poszły w rozsypkę. Raz po raz widział jej twarz. Zniszcz eliksir. Już nigdy go nie przyrządzaj.

Przypomniały mu się nagłówki w gazetach. Kobieta na podłodze sklepu odzieżowego.

Lubię zabijać. To uśmierza moje cierpienie.

Elliott spał na staroświeckim, wiktoriańskim łożu w swym apartamencie. Śnił mu się Lawrence. Rozmawiali w „Babilonie”. Malenka tańczyła i Lawrence powiedział: „Powinieneś już niedługo do mnie przyjść”.

„Ale muszę wracać do Edith. Muszę zająć się Alexem”, tłumaczył. „I mam ochotę zapić się na śmierć gdzieś na wsi. Wszystko sobie zaplanowałem”.

„Wiem”, odparł Lawrence, „właśnie o to mi chodzi. To nie potrwa długo”.

* * *

Miles Winthrop sam nie wiedział, co o tym myśleć. Wydano nakaz zatrzymania Henry’ego, lecz wszystko w gruncie rzeczy wskazywało na to, że ten nikczemnik nie żyje.

Ubrania, pieniądze, dokumenty, wszystko pozostało na miejscu zabójstwa Malenki. Trudno przecieŜ rozstrzygnąć, kiedy zginęła sprzedawczyni.

Dręczyło go przecucie, że cała ta paskudna sprawa nie zostanie nigdy rozwiązana.

Z drugiej strony naleŜało dziękować Bogu, że lord Rutherford nie był jego zaprzysięgłym wrogiem. Takiego piętna nie moŜna byłoby już zmyć.

Tak, jak do tej pory dzień był spokojny. śadnych nowych trupów ze skrzyconym karkiem, leŜących z wytrzeszczonymi oczyma, jakby po cichu szeptały: „Czy znajdziesz człowieka, który mi to zrobił?”

Strachem napełniała go perspektywa pobytu w operze, nie kończących się pytań, którymi zasypią go wszyscy Brytyjczycy. Wiedział, że nie będzie mógł schronić się w cieniu lorda Rutherforda. Raczej obawiał się kolejnego starcia. Będzie starał trzymać się na uboczu.

* * *

Godzina siódma.

Julie stała przed lustrem w salonie. Założyła suknię z głębokim dekoltem, która niezmiernie niepokoiła Ramzesa, lecz był to jedyny strój nadający się na tę bezsensowną uroczystość. Elliott zapiął jej od tyłu sznur pereł.

MęŜczyzna niemal zawsze wyglądał lepiej niż ludzie dookoła niego. Schludny i ciągle przystojny, mimo swoich pięćdziesięciu pięciu lat, nosił biały krawat i frak, jakby się w nich urodził.

Wydawało jej się niesmaczne, że potrafili tak łatwo wpaść w koleiny Śycia towarzyskiego, jak gdyby nic się nie stało. Zachowywali się jak w Londynie. Egipt był niczym koszmar, z którego Julie nie mogła się jeszcze zbudzić.

- Więc nałożyliśmy już pióropusze - stwierdziła - i jesteśmy gotowi do rytualnego tańca.

- Pamiętaj, że do czasu zatrzymania Henry'ego - które nigdy nie nastąpi - mamy wszelkie prawo domniemywać, że jest niewinny i zachowywać się stosownie do tego przekonania.

- To potworne i ty doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

- Tak być musi.

- Może w oczach Alexa, ale on jakoś nie pofatygował się z nami skontaktować przez cały dzień. Dla mnie nie ma to znaczenia.

- Musisz wracać do Londynu. Chcę tego.

- Będę cię zawsze kochać. Jesteś krwią z mej krwi, zawsze tak czułam. Ale twoja wola przestała mieć znaczenie. - Odwróciła się.

Z bliska znać było w nim ślady trudnych przejść. Postarzał się, tak samo jak Randolph po usłyszeniu o śmierci Lawrence'a. Był jak zawsze przystojny, lecz teraz tkwiła w nim jakaś tragiczna rysa; niejaki filozoficzny smutek ugasił błysk w oku.

- Nie mogę jechać do Anglii - oznajmiła - ale mogę wsadzić do tego pociągu Alexa.

* * *

Zniszcz eliksir. Stał przed lustrem. Założył już większą część z wymaganej garderoby, którą wziął z kufra Lawrence'a Stratforda - błyszczące, czarne spodnie, buty, pas. Nagi od pasa w górę, stał wpatrzony we własne odbicie. Pas z pieniędzmi obwiązywał go wciąż tak samo od momentu wyruszenia z Londynu. Fiolki lśniły w płóciennych kieszonkach.

Zniszcz eliksir. Nie używaj go już nigdy więcej.

Ostrożnie nałożył sztywną białą koszulę, zapinając uciążliwe guziki. Zobaczył pełną napięcia i zmęczoną twarz Elliotta Savarella. Namówisz Julie, żeby wyjechała do Londynu...

dopóki wszystko tutaj nie ucichnie.

Za oknami Kair kipiał zgiełkiem współczesnego miasta, odgłosem, którego nie słyszało się w epoce starożytnej.

Gdzie była ona, ciemnoskóra królowa o niespokojnych, niebieskich oczach? Ujrzał ją na powrót, jak wzdychała pod nim, z głową odrzuconą na poduszkach, z tym samym ciałem. „Liś

mie!” - krzyknęła jak przed wiekami, wypręśając grzbiet na podobieństwo kota. A potem ten jej uśmiech, uśmiech nieznamomej.

* * *

- Tak, panie Aleksie - mówił do telefonu Walter. - Do apartamentu dwieście jeden, natychmiast

przenieść tam pańskie ubrania, Proszę jednak zadzwonić do ojca. Jest w apartamencie panny Stratford. Bardzo zależy mi na rozmowie z panem. Martwi się, nie widział

pana cały dzień. Tyle się wydarzyło, panie Aleksie... - Lecz połączenie zostało już przerwane.

Pospiesznie zadzwonił do panny Stratford. Nikt nie odbierał. Nie miał czasu. Musiał natychmiast zająć się ubraniami.

* * *

Kleopatra stała przy oknie. Ubrała się w przepyszną, srebrną suknię, którą zabrała ze sklepu tej nieszczęsnej kobiety. Na piersi spadały jej sznury pereł. Nigdy nie umiała przyzwyciężyć sobie włosów, teraz opadały jej na plecy niczym zasłona, jeszcze wilgotne po kąpieli, przesycone perfumami - właśnie takie jej się podobały. Z goryczą uśmiechnęła się na myśl, że znowu stała się dziewczynką. Biegającą po pałacowych ogrodach w pelerynie włosów.

- Podoba mi się twój świat, lordzie Aleksie - oświadczyła, patrząc na mrugające światła Kairu pod błędnym firmamentem wieczornego nieba. Gwiazdy zagubiły się gdzieś ponad tą oślepiającą feerią. Nawet przesuwające się po ulicach reflektory aut miały swój urok, który dodawał jej otuchy.

- Tak, podoba mi się. Cały. Chcę zdobyć w nim władzę i pieniądze; i mieć cię u swego boku.

Odwróciła się. Wpatrywał się w nią, jakby zrobiła mu krzywdę. Nie zwracała uwagi na stukanie do drzwi.

- Najdroższa, w moim świecie te rzeczy nie zawsze idą w parze. Ziemię, wykształcenie i tytuł mam, lecz pieniędzy nie.

- Nie przejmuj się - odparła z ulgą, że chodzi za ledwie o to. - Ja zdobędę bogactwo, to drobiazg, mój lordzie. Zwłaszcza gdy jest się niezniszczalnym. Najpierw jednak muszę załatwić pewne porachunki. Muszę skrzywdzić kogoś, kto wcześniej skrzywdził mnie. Muszę mu odebrać to... czego on pozbawił mnie.

Jeszcze raz rozległo się pukanie. Jakby zbudził się ze snu, oderwał od niej oczy i poszedł otworzyć. Za drzwiami stał sługa, który przyniósł wieczorowy strój.

- Pański ojciec już wyszedł, proszę pana. Bilety będą czekały w kasie na jego nazwisko.

- Dziękuję, Walterze.

Pozostało niewiele czasu na ubranie. Zamknął drzwi i znowu na nią popatrzył, z ciekawością i tą delikatną nutką melancholii.

- Nie teraz - powiedziała, przelotnie go całując. - Chyba możemy wykorzystać te bilety? -

Wzięła z toaletki dwa, które zabrała nieszczęsnemu, martwemu chłopcu w uliczce, kartki, na których

było napisane: „Wstęp dla 1 osoby”.

- Ale chcę przedstawić cię ojcu, przedstawić im wszystkim. Chcę, żeby oni poznali ciebie.

- To oczywiste, i wkrótce do tego dojdzie. Ale skryjmy się razem w tłumie, żebyśmy mogli być sami. Zobaczmy ich, gdy będzie nam to odpowiadać. Dobrze?

Chciał zaprotestować, lecz ona znów go całowała, głaskała po włosach.

- Daj mi szansę ujżenia twej utraconej ukochanej, Julie Stratford, z daleka.

- Ale to nie ma już żadnego znaczenia.

Jeszcze jeden współczesny pałac - opera, w której roi się od obsypanych klejnotami kobiet w sukniach wszystkich kolorów tęczy i towarzyszących im mężczyźni w szykownej czerni i bieli. Kolory, których używały kobiety, były niezwykle. Mężczyźni nosili coś w rodzaju mundurów. Zmrużyła oczy, chcąc zobaczyć rozedrgany taniec czerwieni i błękitów.

Obserwowała ludzką falę, która płynęła po wielkich schodach. Czowała, że padają na nią spojrzenia pełne podziwu, powlekające jej skórę jakby łagodnym światłem.

Lord Summerfield promieniał dumą.

- Jesteś tu królową - wyszeptał, na chwilę się rumieniąc. Zwrócił się do człowieka sprzedającego jakieś małe przedmioty, których celu nie była w stanie przeniknąć.

- Lorgnon - oznajmił, podając jej jedną z tych rzeczy - i program, proszę.

- Ale co to takiego?

- Ty naprawdę spadłaś chyba z nieba - roześmiał się. Dotknął ustami jej karku, potem policzka.

- Przyłóż je do oczu i reguluj, a zobaczysz wszystko wyraźnie. Właśnie tak. Rozumiesz?

Ostępiała. Odskokczyła, gdy ludzie z górnej galerii zdawali się wisieć tu nad jej głową.

- Niesamowite. Jak to się dzieje?

- To powiększenie. Wywołują je płytki szkła. - Ile radości sprawiało mu, że ona nigdy o czymś takim nie słyszała. Była ciekawa, jak Ramzes poznał wszystkie te sekrety. Ramzes, którego tajemniczy grobowiec został odkryty zaledwie przed miesiącem przez nieszczęsnego, niesyjącego Lawrence'a. Ramzes, który na zwojach opowiedział o swej miłości do Kleopatry.

Czy Alex naprawdę nie wiedział, iż Ramzes i jego Nemezis, Ramsey, to jedna i ta sama osoba?

Z drugiej strony, jak mógłby to pojąć, skoro ich dwóch łączyła tylko absurdalna opowieść o podejrzanym kuzynie? Czy ona sama wierzyła, gdy stary kapłan prowadził ją do jaskini?

Rozległy się dzwonki.

- Opera zaraz się rozpocznie.

Wstąpili na schody. Odnosiła wrażenie, że ich dwoje otacza jaskrawa aura, oddzielająca od reszty, że ludzie widzą to światło i rzucają w ich stronę ostre spojrzenia, wiedząc, że to miłość. Miłość. Tak, kochała go. Nie była to ta sama pełnokrwista namiętność, jaką odczuwała dla Marka Antoniusza. To był pęd przez mrok i zniszczenie, gdy nie można oprzeć się drugiemu, nie można być z nim ani bez niego i pędzi się dalej, doskonale wiedząc, że ulega się zniszczeniu.

Nie, była to miłość nowa, świeża i łagodna jak sam Alex; niemniej jednak miłość. Julie Stratford zachowała się jak idiotka, porzucając go. Chociaż z drugiej strony Ramzes potrafił

uwieść boginię Izydę. Gdyby nie Antoniusz, kochałaby zawsze tylko Ramzesa. On zdawał sobie z tego sprawę.

Ramzes - ojciec, sędzia, nauczyciel; Antoniusz - niesforny chłopiec, z którym uciekła.

Dziecinne zabawy w królewskiej sypialni. Byli pijani, obłąkani, nieodpowiedzialni, dopóki po wielu latach nie pojawił się Ramzes.

I tak postąpiłaś ze swą wolnością? Swoim Syciem?

Powstawało pytanie, co pocnie z nimi teraz? Dlaczego cierpienie nie uczyniło z niej kaleki? Bo ten nowy świat był zbyt wspaniały. Bo miała to, o czym marzyła w ciągu kilku ostatnich miesięcy, gdy rzymskie legiony zalewały Egipt, gdy Antoniusz szalał i karmił się złudzeniami: otrzymać jeszcze jedną szansę. Szansę nie obciążoną brzemieniem miłości, które wciągałoby ją w tę mroczną toń; jeszcze jedną szansę bez nienawiści do Ramzesa, który nie chciał uratować jej skazanego na zagładę kochanka, który nie chciał wybaczyć jej, że sama się zniszczyła.

- Wasza Wysokość znów mi się wymyka - wyszeptał czule.

- Nie, nie. - Szli w powodzi świateł. - Jestem przy tobie, lordzie Aleksie. - Umieszczony wysoko nad głową przedmiot z kryształu skrzył się okruchami tęczy. Słyszała delikatne brzęczenie szkła, poruszanego podmuchem powietrza od otwartego wejścia do Opery.

- Popatrz, tam są! - zawołał Alex, wskazując miejsce, w którym poręcz zakrzywiła się i oddalała od szczytu schodów.

Wrzawa ucichła. Światła, tłumy, łagodne podniecenie towarzystwa, wszystko zniknęło.

Tam stał Ramzes!

Ramzes w nowoczesnym stroju, a obok niego kobieta wyjątkowej piękności, młoda i krucha jak Alex, z zaczesanymi do tyłu, pięknymi włosami barwy bursztynu. Przebłysk w ciemnym oku, gdy patrzyła na nich niewidzącym spojrzeniem. I lord Rutherford, kochany lord Rutherford, wsparty o srebrną laskę. Czy Ramzes naprawdę oszukał otaczających go śmiertelników? Olbrzym o twarzy błyszczącej nieśmiertelną energią i rozczochranej grzywie włosów. A kobieta... nie było jej to dane. Pozostawała śmiertelna. Trzymała ramię Ramzesa rozpaczliwie, z lękiem.

- Kochanie, nie teraz - błagała. Poszli dalej, pochłonęła ich ciemność.

- Aleś najdroższa, chcę im tylko powiedzieć, że tu jesteśmy. Doskonale, bo to oznacza, że Ramseya oczyszczono z zarzutów. Wszystko wróciło do normy. To cud, który dokonał się za sprawą Pitfielda.

- Daj mi jeszcze trochę czasu, Aleksie, błagam cię! - Czy ton jej głosu stawał się władczy?

- Dobrze, Wasza Wysokość - odparł z pobłażliwym uśmiechem.

Z dala od nich! Czowała panikę, jak gdyby się dusiła. Doszła na szczyt schodów i obejrzała się za siebie. Zniknęli za drzwiami, udrapowanymi aksamitną tkaniną. Alex natomiast poprowadził ją w innym kierunku. Bogom niech będą dzięki!

- Wszystko wskazuje na to, że znajdujemy się na przeciwległych końcach galerii -

oznajmił z uśmiechem. - Ale skąd w tobie tyle nieśmiałości, skoro jesteś taka śliczna?

Piękniejsza niż kobiety, które dane mi było kiedykolwiek oglądać.

- Zazdrośnie strzegę ciebie i wspólnie spędzonych godzin. Uwierz mi, lordzie Aleksie, świat stanie nam na przeszkodzie.

- Nie, to niemożliwe - odparł niewinnie.

* * *

Elliott stał w drzwiach ze storą.

- Gdzie może być Alex? Co go opętało, że w takiej chwili gdzieś się błąka? To po prostu nie do wytrzymania.

- Elliott, Alex to nasze najmniejsze zmartwienie - uspokajała go Julie. -

Najprawdopodobniej znalazł następną dziedziczkę amerykańskiej fortuny. Trzecia miłość jego syna w ciągu jednego tygodnia.

Elliott uśmiechnął się z niejaką goryczą, gdy zasiadali w łóżku. Kobieta, którą dostrzegł w samochodzie, tonęła w powodzi włosów i wstępek. Może takiego właśnie szczęścia potrzebował

syn.

* * *

Łuk galerii; ogromny amfiteatr, tyle że nakryty i tworzący tylko połówkę okręgu. Z

drugiej strony umieszczono zapewne scenę, zasłoniętą drszącą kurtyną; przed nią, nieco w dole, siedziała grupa kobiet i mężczyzn z instrumentami smyczkowymi i rogami, z których wydobywali okropne odgłosy. Zakryła uszy rękami.

Alex poprowadził ją przez mały schodek do pierwszego rzędu tej niewielkiej części dla widzów w strojach wieczorowych. Miękkie, obite czerwoną tkaniną krzesła przy balustradzie należały do nich. Spojrzała w lewo. Po drugiej stronie tonącego w mroku półkola zobaczyła Ramzesa z kobietą o bladej cerze i dużych, smutnych oczach. Lord Rutherford usadowił się tuż

za nimi; u jego boku znalazł się ciemnoskóry Egipcjanin, odziany w równie piękne stroje, co pozostali męŜczyźni.

Próbowała oderwać od nich wzrok. Nie do końca pojmowała kłębiące się w jej duszy wzburzenie. Po chwili Ramzes objął tę kobietę ramieniem. Przytulił ją, jakby dla dodania otuchy, zaś tamta spuściła wzrok, a na policzku niespodziewanie rozbłysły jej łzy. Ramzes ją pocałował, a kobieta, pochylając się ku niemu, odwzajemniła pocałunek!

Jaki ból przeszył ją na ten widok! Jakby ktoś rozciął jej twarz noŜem. Odwróciła się wstrząśnięta i zapatrzyła w ciemność przed sobą.

Gdyby mogła, na pewno by się rozplakała. Ale co czuła, dlaczego? Wezbrała w niej nienawiść do rywalki, piekąca niechęć.

Daj Antoniuszowi eliksir.

Raptem w wielkim teatrze pociemniało. Przed widownią pojawił się męŜczyzna; wokoło wybuchł aplauz, ogłuszający tumult. Jak tyle innych zjawisk we współczesnym świecie, było to coś burzliwego, a zarazem wywaŜonego.

MęŜczyzna skłonił się, uniósł ręce i zwrócił w stronę muzyków, którzy znieruchomieli i ucichli. Na jego znak zagrali. Dźwięk narastał, potężny, rozdzierający i piękny.

Zdawał się dotykać jakiejś czulej struny w jej duszy. Czuła, jak dłoń Alexa nakrywa jej rękę. Dźwięk otoczył ją, gwałtownie oderwał od cierpienia.

- Czasy współczesne - wyszeptała. Czy plakała? Nie chciała nienawidzić! Nie pragnęła tego cierpienia! We wspomnieniu ujrzała znów stojącego nad nią w ciemności Ramzesa. Czy to grobowiec? Poczwała, jak usta wypełnia jej eliksir. Potem odsunął się od niej przeraŜony.

Ramzesie! Ale czy Őałowała, Őe to zrobił? Czy zdolna była go przekląć?

PrzecieŜ Őyła!

* * *

Elliott wychylił głowę na oświetlone foyer za loŜą, chcąc przeczytać kartkę w elektrycznym świetle.

- LeŜała w recepcji Pasterskiego, proszę pana - oznajmił chłopak, czekając na monetę, którą Elliott wyciągnął z kieszeni i podał mu.

Ojczy, zobaczymy się w operze albo potem na balu. Przepraszam za tajemniczość, lecz poznałem najbardziej intrygującą kobietę na świecie. Alex Nieznośny. Ale niech i tak będzie! Wrócił na ciemną salę.

* * *

Ramzes nie spodziewał się, że będzie w stanie czerpać przyjemność z widowiska. Jeszcze gniewał się na Elliotta, że ten ściągnął go tutaj wbrew woli. To prawda, opera byłaby absurdem, gdyby nie jej piękno - tłuste postaci Egipcjan, śpiewające po włosku na tle namalowanych świątyń i posągów, które sprawiały iście groteskowe wrażenie. Jednak dał się ponieść melodiom, mimo że pogłębiały cierpienie Julie. Kobieta oparła się w mroku na jego ramieniu. Piękne głosy, unoszące się w ponurej ciemności, przenikały wprost do jego serca. Godziny spędzone tutaj nie będą męką, której się spodziewał. W swym tchórzostwie wyobraził sobie wręcz, iż Kleopatra uciekła z Kairu, że zaginęła w labiryncie współczesnego świata i nie ma szans na jej odnalezienie. Co jednocześnie sprawiało mu ulgę i napełniało grozą. W jakiej samotności będą jej mijać kolejne tygodnie i miesiące, jakich ofiar będzie domagać się jej furia?

* * *

Podniosła magiczne szkła operowe. Spojrzała na Ramzesa i Julie, zdumiona bliskością ich obrazu. Tamta płakała, to nie ulegało wątpliwości. Ciemnymi oczyma wpatrywała się w scenę, gdzie brzydki męszczyzna śpiewał piękną pieśń, *Celeste Aida*, potężnym głosem. Na dźwięk tej melodii pękało serce.

Miała już odłożyć lornetkę, gdy Julie Stratford powiedziała coś do swego towarzysza.

Wstali, Julie Stratford wyszła z loży, za nią pospieszył Ramzes.

Kleopatra dotknęła ręki Alexa.

- Zostań tutaj - szepnęła mu do ucha.

Nie wzbudziło to w nim chyba żadnych podejrzeń. Nie próbował jej powstrzymać.

Przebyła szybko niewielkie pomieszczenie za ich częścią widowni, po czym wyszła wolnym i ostrożnym krokiem na wielką salę na drugim piętrze.

Świeciła pustką. Słuchający za marmurowym barkiem nalewali drinki kilku starym męszczyznom, którzy wyglądali, jakby bardzo cierpieli w swych czarno - białych uniformach.

Jeden z nich, widocznie rozdrażniony, szarpał sztywny kołnierzyk.

Przy stole pod odległym, łukowym oknem, w którym wisiały udrapowane story, siedzieli Julie Stratford i Ramzes, rozmawiając szeptem, którego nie była w stanie dosłyszeć. Przysunęła się, ukrywając za kilkoma drzewkami w doniczkach i uniosła operową lornetkę, dzięki czemu wyraźnie widziała twarze, lecz nie słyszała słów.

Julie Stratford potrząsnęła głową, wzdrygnęła się. Ramzes trzymał ją za rękę, nie chciał

wypuścić. O czym mówiła z takim śresem? Jak on ją przekonywał. Znała ten upór, tę władczość.

Julie Stratford była silna tak samo, jak kiedyś ona sama.

Nagle wstała, ściskając w rękę torebkę i zaczęła się szybko oddalać, nie unosząc przy tym głowy. Ramzes był zrozpaczony. Wsparł czoło na dłoni.

Szybko podążyła za nią, przywierając do ściany i modląc się, by Ramzes nie uniósł wzroku.

Julie Stratford weszła za drewniane drzwi z napisem:

MAKIJAŚ

Zmieszała się, ogarnęła ją niepewność. Znienacka odezwał się do niej jakiś młody sługa.

- Szuka pani toalety? Proszę tędy.

- Dziękuję - odparła i skierowała się we wskazaną stronę.

* * *

Dzięki Bogu w pokoju było pusto. Julie usiadła na ostatnim, obitym aksamitem stołeczku przy długiej toalecie. Chciała po prostu odetchnąć, zasłaniając oczy rękami.

Kleopatra gdzieś tam była, to stworzenie, potwór, istota, jakkolwiek by ją nazwać, a oni siedzieli zamknięci na tej idiotycznej widowni i słuchali muzyki jak gdyby nigdy nic, jak gdyby nie zdarzały się i nie miały już się zdarzyć śadne okropności.

Najgorsze było jednak to, że Ramzes chciał w ten sposób przypieczętować ich związek, że trzymał ją za rękę i powtarzał, że nie zniesie jej utraty.

Na co ona wybuchnęła.

- śaluję, że w ogóle pojawiłeś się w moim życiu. śaluję, iż Henry nie dokończył dzieła.

Mówiła serio? Bolał ją nadgarstek, który trzymał. Bolał ją nadal, teraz, gdy siedziała samotna w tym pomieszczeniu i cicho płakała, a każdy dźwięk odbijał się echem od lustrzanych ścian.

- Julie - mówił - wiem, że zrobiłem coś okropnego. Ale teraz chodzi mi o ciebie i mnie.

Jesteś żywa, cała i zdrowa, związek ciała i duszy...

- Nie mów tak - błagała.

- Zażyj eliksir i bądź ze mną na wieki.

Nie mogła przy nim zostać. Wyrwała się i wybiegła. A teraz płakała w samotności.

Próbowała się uspokoić, zebrać myśli, ale wszystko na próżno. Przekonywała się, że powinna wyobrazić sobie swe życie za wiele lat, gdy teraźniejsze chwile będą się już wydawać za ledwie

mroczną przygodą, z której będzie się zwierzać tylko najbliższym sobie ludziom. Będzie opowiadać o tajemniczym mężczyźnie, który zjawił się w jej Syciu... Nie mogła znieść tej myśli.

Gdy otwierały się drzwi do pomieszczenia, Julie zasłoniła twarz chusteczką i spuściła głowę, starając się uspokoić, oddychając głęboko.

Co za fatalny zbieg okoliczności, że została zauważona, gdy miała ochotę wymknąć się do hotelu. A ta kobieta, która weszła, czemu usiadła tak blisko, na stołeczku obok? Odwróciła głowę w prawo. Musiała wziąć się w garść. Przetrwać tę noc dla Elliotta, choć traciła wiarę w jakikolwiek sens Sycia. Złosiła chusteczkę, która zmieniła się w szaloną szmatkę z koronek i płótna, przesiąkniętą łzami, i otarła oczy.

Niemal przypadkowo zerknęła w lustro. Czy odchodzi od zmysłów?! Kobieta obok uporczywie wpatrywała się w nią niebieskimi oczami. Dzieliło je zaledwie kilka cali, a kobieta była niezwykła, z kaskadami czarnych włosów, które opadały na nagie ramiona i na plecy.

Odwróciła się do tamtej, możliwie najdalej odsuwając się na stołku. Ręką oparła się o lustro.

- O Boże! - Wstrząsnął ją dreszcz. Tak gwałtownie drżała, że nie mogła utrzymać ręki w bezruchu.

- Tak, jesteś śliczna - stwierdziła kobieta cichym głosem z idealnym brytyjskim akcentem

- Ale nie podał ci cennego eliksiru. Jesteś śmiertelniczką. Bez wątpienia.

- Kim jesteś? - sapnęła. Ale wiedziała!

- Nie mówicie na to eliksir? - zdziwiła się kobieta, napierając na nią. Silna, pięknie ukształtowana twarz znalazła się tuż obok niej, czarne kędziory zdawały się wchłaniać światło. -

Dlaczego zbudził mnie ze snu i nie podał tobie czarodziejskiego napoju?

- Zostaw mnie w spokoju! - wyszeptała Julie. Chwyciły ją gwałtowne drgawki. Próbowwała wstać, lecz kobieta przyparła ją do ściany. Miała ochotę krzyczeć.

- Jesteś Sywa. Młoda, delikatna, jak kwiat, który łatwo zerwać.

Julie oparła się o lustrzaną ścianę. Czy gdyby pchnęła tę kobietę, czy tamta straciłaby równowagę? Wydawało jej się to niemożliwie. Czują, że - podobnie jak w chwili, gdy Ramzes powstawał z trumny - zaraz zemdleje.

- Sądzisz zapewne, że to okropne, prawda? - ciągnęła kobieta tym samym, zdawkowym tonem. - że zrywam ten kwiat, ponieważ to, co kochałam, zamarło? Co masz wspólnego z tragedią, która wydarzyła się tak dawno temu? Julie Stratford za Antoniusza. To chyba niesprawiedliwe.

- O Boże! - wykrztusiła Julie. - Niech nam Bóg dopomóż, i tobie, i mnie. Proszę, wypuść mnie.

Ręka kobiety zacisnęła się na gardle Julie. Ta nie mogła dopuścić, żeby dłoń odcięła dopływ Sycia.

Głowa uderzyła w lustro z tyłu, raz, drugi. Julie czuła, że traci przytomność.

- Czemu mam cię nie zabijać? Powiedz! - usłyszała syk. Raptem kobieta zwolniła ucisk.

Julie osunęła się na toaletkę.

- Ramzes! - wrzasnęła, wypuszczając powietrze. - Ramzes!

Otworzyły się drzwi do pokoju. Dwie inne kobiety znalazły się w środku całego zamieszania. Kleopatra zerwała się od stołu i wybiegła, po drodze potrącając jedną z nich. Widać było tylko huragan czarnych włosów i błysk srebrnej tkaniny.

Julie upadła ze szlochom na podłogę.

Krzyki, pospieszne kroki. Jakaś staruszka o miękkich, pomarszczonych dłoniach pomagała jej się podnieść.

- Muszę znaleźć Ramzesa. - Próbowała przedrzeć się do drzwi. Kobiety usiłowały ją zatrzymać. Powinna usiąść.

- Niech ktoś przyniesie szklankę wody!

- Nie, puśćcie mnie!

Nareszcie dopadła drzwi i przepchnęła się przez grupkę słuchających, którzy zdążyli się tam zebrać. Ramzes podbiegł do niej i schwycił ją w ramiona.

- Była ze mną - wy sapła mu do ucha. - Rozmawiała ze mną. Dotykała mnie. - Dotknęła bolącej szyi.
- Uciekła, gdy zjawili się ludzie.

- Co się stało, proszę pani?

- Panno Stratford, co pani jest?

- Już nic, wszystko w porządku. - Niemal uniósł ją nad ziemię i wyprowadził z ciemności.

- Widziałam tylko, że jest przy niej jakaś inna kobieta, wysoka, o czarnych włosach -
mówiła jedna z kobiet.

Poszli do foyer obok loży, gdzie było zacisznie. Usiłowała ogarnąć wszystko wzrokiem.

Nagle stanęli nad nią Elliott i Samir, a muzyka zmieniła się w upiorny jazgot, który wydobywał się zza kurtyny. Samir nalał jej kieliszek szampana. Co za bzdura! Szampan.

- Gdzieś tu na widowni! O Boże, była jak anioł zemsty! Jak bogini! Ramzesie, ona mnie znała, wiedziała, jak się nazywam. Mówiła o zemście za Antoniusza. Ramzesie, ona wiedziała, kim jestem!

Na jego twarzy malowała się furia. Zrobił krok w stronę drzwi. Złapała go, przewracając kieliszek z szampanem.

- Nie, nie odchodź! Nie zostawiaj mnie samej - szeptała. - Mogła mnie zabić. Miała taki zamiar, ale odebrało jej siłę woli. Ramzesie, to Śywe, czujące stworzenie! O BoŚe, coś ty narobił, co ja zrobiłam?!

* * *

Na widowni rozległ się dzwonek. Ludzie zaczęli wychodzić na zewnątrz. Alex zacznie jej szukać. Wtedy moŚe natrafić na nich.

Nie potrafiła zebrać myśli ani ruszyć się z miejsca.

Stała na wysokim, Őelaznym balkonie, nad metalowymi schodkami, którymi schodziło się na opuszczoną uliczkę. Z prawej strony stały otworem drzwi, przez które wlewały się światła i harmider. Miasto okryte było mgiełką poświaty ulicznych latarni i dachów, kopuł i wieŚ, które przebijały ciemnoniebieskie niebo. Z tego punktu nie było widać Nilu, ale to nie miało znaczenia.

Powietrze było chłodne, przesycone słodką wonią zielonych drzew.

Raptem usłyszała jego głos.

- Wasza Wysokość, wszędzie cię szukałem.

- Przytul mnie, Aleksie - szepnęła. - Weź mnie w ramiona. - Głęboko zaczerpnęła tchu, czując, jak się do niej zbliŚa, jak dotyka jej ciepłymi dłońmi. Cofnęli się kilka kroków i usiedli na Őelaznych stopniach, które prowadziły na jeszcze jeden balkon nad nimi.

- Jesteś chora - orzekł. - Przyniosę ci coś do picia.

- Nie, zostań przy mnie. - Wiedziała, Śe jej głos jest ledwie dosłyszalny. Niemal rozpaczliwie wpatrywała się w miejskie światła. Chciałaby przylgnąć do takiego obrazu współczesnego miasta, zbliŚyć się do niego, by tym sposobem wyzbyć się własnego smutku.

Była to jedyna droga ucieczki. I jeszcze ten chłopiec obok niej, czysta, niewinna istota, która obejmowała ją i całowała.

- Co mi jest? - szepnęła w starej łacinie. - Czy czuję Śal, czy wściekłość? Wiem tylko, Śe to cierpienie.

Zadawała mu ból, choć nie miała takiego zamiaru. Czy pojął jej słowa?

- Otwórz przede mną serce - zachęcał z namaszczaniem. - Kocham cię, Wasza Wysokość.

Powiedz, co cię niepokoi. Nie dopuszczę, by cokolwiek sprawiało ci ból. O ile będzie to w mojej mocy, połoŚę temu kres.

- Wierzę ci, młody lordzie - odparła. - Ja teŜ ciebie kocham.

Czego chciała? Czy zemsta ukoï furię, która ją roznosiła? MoŜe powinna się wycofać, zabrać lorda Alexa i znaleźć się jak najdalej od swego mentora i stwórcy? Przez chwilę miała wraŜenie, Ŝe ból pochłonie wszystko inne - myśli, nadzieję, wolę. Potem jednak zdała sobie sprawę z czegoś, co przywróciło na jej niebie słońce, ciepłe słońce.

Taka namiętna miłość i nienawiść były esencją jej Ŝycia, a które odzyskała ze wszystkimi błogosławieństwami i całym cierpieniem.

* * *

Ostatni akt dobiegał końca. Elliott patrzył tępym wzrokiem na piękną scenę, przedstawiającą nieszczęsnych kochanków, którzy dusili się w grobie, na modlącego się nad nimi księcia Amnerisa.

Dzięki Bogu to juŜ prawie koniec! W tych okolicznościach najlepsze partie Verdiego wydawały się zupełnie absurdalne. Na balu pokaŜą się przez chwilę, by potem zabrać Julie do pokoju.

Była bliska załamania. Siedziała nieruchomo w foyer za loŜą, drŜąc i tuląc się do Ramzesa.

Nie chciała go od siebie puszczać ani na krok. Earl i Samir przeszukiwali tłumy w antraktach. Chodzili po schodach w poszukiwaniu kobiety, którą tylko Elliott byłby w stanie na pewno rozpoznać. Natomiast Samir po prostu wypatrywał długich, czarnych włosów i srebrnej sukni.

Nigdzie jej nie było. Co bynajmniej ich nie zaskoczyło. Zupełnie moŜliwe, Ŝe po krótkim starciu opuściła operę. Niewyjaśnioną zagadką pozostawało, skąd znała Julie. Jak ją tu odnalazła?

Co gorsza, nie znaleźli równieŜ Alexa! Z drugiej strony mogło to być błogosławieństwem.

Alex jakimś cudem pozostał poza wirem wypadków. MoŜe nawet uda się go wyprawić do domu bez dodatkowych wyjaśnień, chociaŜ trudno było na to liczyć.

Elliott postanowił juŜ sobie, Ŝe Julie musi się wraz z Alexem znaleźć w jutrzejszym pociągu. On sam zostanie w Kairze, dopóki sprawa nie dobiegnie końca. Ustalili juŜ, Ŝe Samir będzie towarzyszył Julie do Londynu. Alex z pewnością nie będzie w stanie jej chronić ani dodawać otuchy, zwłaszcza, Ŝe jak dotąd nie miał pojęcia, co się dzieje.

Samir będzie towarzyszył Julie na Mayfair aŜ do powrotu Ramzesa. Trudno powiedzieć, na co mógłby przydać się sam Elliott, ale zostanie na miejscu. Tak być musi. Natomiast Julie naleŜało wywieźć daleko, bardzo daleko stąd.

Ostatni, rozdierający serce duet opery osiągał szczyty dramatyzmu. DłuŜej by tego nie wytrzymał. Uniósł lornetkę i zaczął omiatać spojrzeniem widownię. Alex, gdzie ty się do diabła podziewasz?! Powoli lustrował lewą część galerii, stopniowo przesuając się w prawo.

Szare głowy, lśniące diamenty; wpół śpiący męŜczyźni, ozdobione wąsami, rozwarte usta i prześliczna kobieta z falą czarnych włosów, szybkim krokiem schodząca ku pierwszemu rzędowni

odległej galerii, z ręką w dłoni Alexa.

Zastygł w bezruchu.

Przekręcił niewielką tarczę na lornetce, jeszcze bardziej zbliżając obraz. Kobieta usadowiła się na lewo od Alexa, lecz układ galerii uniemożliwiał dokładną obserwację. Był nie dostał teraz ataku serca, Elliott, zwłaszcza po wszystkim, co przeszedł. Alex ucałował kobietę w policzek, podczas gdy ona nie odrywała wzroku od sceny - obserwując grobowiec i dążących ku zgubie kochanków - po chwili, w przypiływie rozpaczy, odwróciła się w stronę Alexa i przytuliła do ramienia młodzieńca.

- Ramsey - wyszeptał. Zwrócił uwagę ludzi naokoło, nawet obudził kogoś w sąsiedniej loży. Ramsey usłyszał go, odsunął kotarę i przykląkł przy jego fotelu.

- Patrz, tam! Przy Alexie, to ona. - Szept bardziej przypominał dyszenie. Wcisnął

Ramseyowi lornion i zapatrzył się na dwie niewyraźne postacie w oddali. Bez szkielec

powiększających widział, że Kleopatra wzięła swoją lornetkę i bacznie im się przyglądała!

Usłyszał cichy jęk Ramseya.

Alex odwrócił się i dyskretnie machał im ręką w radosnym geście.

Ostatnie dźwięki duetu zamarły. Naokoło nich wybuchał aplauz. Zewsząd rozlegały się jak zwykle okrzyki: Brawo! Zapalały się światła. Publiczność wstawała.

Julie i Samir stali w otwartych drzwiach.

- Co się dzieje? - zapytała Julie.

- Wychodzą. Idę za nimi - oznajmił Ramzes.

- Nie! - zawołała Julie.

- Julie, ona jest z Alexem Savarellem - tłumaczył. - Usidliła syna earla! Zostańcie obaj przy Julie. Zabierzcie ją do hotelu.

* * *

Jeszcze przed dotarciem do loży wiedział, że wszystko na nic. Wyszli. Co najmniej trzy ciągi żelaznych schodów wiodły z tej strony w dół bocznej ściany opery. Ludzie szli wszystkimi trzema. Podążał spieszenie mezaninem, przypatrując się ludziom na schodach. Nie ma szans na odnalezienie ich w takim tłoku.

Stał przy wyjściu, gdy na schodach zjawili się Elliott, Samir i Julie. Kobieta była cieniem samej siebie, kurczowo trzymała się Samira. Elliott był wyraźnie u kresu sił, twarz miał bladą jak upiór.

- Nic z tego - oznajmił Ramzes. - Straciłem ich z oczu.

- Czyli naszą ostatnią szansą pozostaje bal - stwierdził Elliott. - To taka gra, rozumiecie?

Alex nie ma pojęcia, co się dzieje. Napisał, że spotkamy się w operze albo na balu.

Szli za wielkim tłumem widzów, którzy opuszczali gmach opery i kierowali się do hotelu.

Nie miała wątpliwości, że Ramzes ich śledzi. Lord Rutherford zjawi się również, w nadziei na uratowanie syna.

Jeszcze nic nie postanowiła. Spotkanie było nieuniknione. Wymiana zdań, a co potem?

Jedyną szansą była wolność, lecz nie miała pojęcia, jak i gdzie jej szukać.

Zabicie rywalki niczego by nie rozwiązało. Czowała tylko wielką odrazę do siebie na myśl o ludziach, których tak bezsensownie zgładziła - nawet tego mężczyzny, który do niej strzelił, kimkolwiek by był.

Odkrycie względów, dla których Ramzes ją wskrzesił, dokładnego sposobu, w jaki tego dokonał - to z pewnością należało do jej celów. Chociaż może powinna uciec, uciec jak najdalej od niego.

Patrzyła na automobile, zajęte przed wejście do Pasterskiego. Przecież mogliby wyjechać choćby teraz, razem z Alexem. Jeszcze będzie czas na odszukanie tego człowieka, jej nauczyciela, pod którego znakiem upłynęło całe jej śmiertelne życie, który zbudził ją z nieznanых powodów.

Na mgnienie oka wstrząsnęło ją niedobre przeczucie. Jeszcze bardziej kurczowo chwyciła dłoń Alexa. Znowu posłał jej ten swój dodający otuchy uśmiech. Nie powiedziała ani słowa. Była tylko zdezorientowana, gdy wchodzili do jaskrawo oświetlonego hotelu i, śladem innych, znaleźli się na kolejnych imponujących schodach.

Sala balowa otwierała podwoje na drugim piętrze. Była o wiele większa niż

pomieszczenie, które Kleopatra widziała wczoraj wieczorem. Przy ścianach ustawiono stoły, nakryte udrapowanymi, płóciennymi obrusami, sama sala zdawała się ciągnąć w nieskończoność, muzyka dobywała się z instrumentów orkiestry, której nie było widać zza kłębiących się tłumów.

Pod pułapem podwieszono złociste draperie. Ale ci ludzie lubili ozdoby z gipsu, pokrywano nim drzwi i okna niczym warstwą starannie modelowanej białej śmietany. Kilka par zaczęło już tańczyć przy akompaniamencie muzyki. Światło zdawało się skapywać z wielkich, szklanych przedmiotów z brzęczącego szkła. Wszędzie kręcili się młodzi słudzy, proponując białe wino w wykwinnych kieliszkach, które stały na srebrnych tacach.

- Jak my ich znajdziemy? - martwił się Alex. - Tak bardzo bym chciał, żebyś ich poznała.

- Naprawdę? - szepnęła. - A co zrobisz, lordzie Aleksie, gdy nie pochwalą twego wyboru?

- Jakie dziwactwa wygadujesz - odparł z typową dla siebie niewinnością. - To niemożliwe. Zresztą w ostatecznym rozrachunku nie ma to większego znaczenia.

- Kocham cię, lordzie Aleksie. Nie stało się to od pierwszego wejrzenia. Myślałam, że jesteś młody,

śliczny i Śe miło byłoby cię objąć. Ale teraz cię kocham.

- Wiem aŚ nadto dobrze, co masz na myśli - oświadczył, dziwnie na nią spoglądając. -

Czy to cię dziwi? - Miała wraŚenie, Śe rozpaczliwie pragnie coś jej przekazać, lecz nie znajduje słów. Pojawił się smutek, ów cień melancholii, który dostrzegła u niego od samego początku. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, Śe wywoływała go jakaś część jej osoby, Śe była to reakcja na coś, co w niej dostrzegł.

Ktoś zawołał go po imieniu. Ojciec. Poznała jego głos, zanim jeszcze się odwróciła.

- Pamiętaj, kocham cię, Aleksie - powiedziała jeszcze. Ogarnęło ją osobliwe poczucie, Śe są to słowa poŚegnienia. Nic innego nie przychodziło jej na myśl.

Odwróciła się i ujrzała, Śe wszyscy nadchodzą od strony otwartych drzwi.

- Ojciec i Ramsey! Ramsey, stary - mówił Alex - tak się cieszę, Śe cię widzę.

Niby we śnie patrzyła, jak Alex ściska dłoń Ramzesa, który wpatruje się w nią.

- Moja droga - głos Alexa usiłował przebić się do jej świadomości - pozwól, Śe przedstawię ci ojca i moich serdecznych przyjaciół. Ale, Wasza Wysokość... - Nagle urwał, dorzucając poufnym szeptem. - Nawet nie wiem, jak się pani nazywa.

- AleŚ wiesz, ukochany. Zdradziłam ci to przy pierwszym spotkaniu. Mam na imię Kleopatra. Zna mnie twój ojciec oraz twój dobry znajomy, którego nazywasz Ramseyem.

Poznałam nawet twą drogą Julie Stratford.

Wpiła wzrok w lorda Rutherford, w uszach grzmiała jej muzyka i gwar głosów.

- Pozwoli pan, lordzie Rutherford, Śe podziękuję za okazaną mi niedawno dobroć. Co ja bym bez pana zrobiła? A taką okazałam się niewdzięcznicą...

Niedobre przeczucie przybierało na sile. Na tej sali była z góry skazana na klęskę. Mimo wszystko stała, trzymając drŚącą ręką dłoń Alexa, który kompletnie zbity z topu patrzył raz na nią, raz na ojca.

- Nic z tego nie rozumiem. Wy się znacie?

Ramzes zrobił raptowny krok do przodu i odciągnął ją od Alexa.

- Musimy porozmawiać - zmroził ją wzrokiem - w tej chwili, sam na sam.

- Ramsey, co ty wyprawiasz?

Wokół zbierali się juŚ gapie.

- Alex, ty zostajesz! - upomniał go ojciec.

Ramzes ciągnął ją coraz dalej. Poczula, że w butach na wysokich obcasach skręciła sobie kostkę.

- Puszczaj - wyszeptała.

Jak przez mgłę ujrzała, że blada Julie Stratford zwraca się ku ciemnoskóremu Egipcjaninowi, a lord Ruherford musi siłą powstrzymać syna.

W przyływie furii wyrwała się zaskoczonemu Ramzesowi. Słyszała westchnienia wszystkich tych współczesnych ludzi, którzy przyglądali się, udając, że nie patrzą. W najbliższym sąsiedztwie zapadła cisza, mimo że w oddali bez przerwy grzmiała muzyka.

- Porozmawiamy, kiedy zechcę, stary nauczycielu! Wtrącasz się do moich rozrywek tak, jak czyniłeś to w przeszłości.

Alex stanął u jej boku. Ujęła go pod rękę, gdy Ramzes ponownie na nią natarł.

- Co się z tobą, u diabła, dzieje, Ramsey? - oponował Alex.

- Powtarzam, że musimy porozmawiać, i to natychmiast - upierał się Ramzes, nie zwracając uwagi na jej kochanka. Gniew poprzedził jej słowa, słowa ubiegły myśli.

- Zdaje ci się, że zdołasz nagiąć mnie do swej woli! Odpłacę ci za wszystko, co mi zrobiłeś pięknym za nadobne!

Złapał ją i oderwał od Alexa, którego znowu pochwycił ojciec. Obejrzała się i zobaczyła, jak młodzieniec znika w tłumie. Ramzes ciągnął ją w ciśbę tańczących, nie chciał puścić, mimo że się szamotała. Prawą ręką chwycił ją za lewy nadgarstek, a lewym ramieniem ujął w talię.

Wszędzie dookoła przy akompaniamencie ogłuszającej muzyki i pulsującego rytmu wirowały pary. Zmusił ją do rozpoczęcia tańca, znacznie przewyższając ją wzrostem i niemal obracając nad ziemią.

- Puszczaj! - syczała. - Masz mnie za tą samą obłąkaną, którą porzuciłeś w tej norze w starym Kairze! Uważasz mnie za swą niewolnicę!

- Nie, widzę, że się zmieniłaś - przeszedł na starą łacinę.

- Ale kim tak naprawdę jesteś?

- Twoje czary przywróciły mi duszę, pamięć o wszystkim, co przecierpiałam i teraz nienawidzę cię mocniej niż kiedykolwiek przedtem.

Oślupiał. Sprawiała mu ból! Czy spodziewał się po niej litości?

- Zawsze doskonale wychodziło ci cierpienie! - wyrzucała z siebie potoki słów. - I osądzanie innych! Ale nie jestem twoją niewolnicą ani własnością. Istota, którą przywróciłeś do życia, ma prawo do

wolności.

- Czy to ty? - szeptał. - Królowa zarazem mądra i impulsywna, która kochała bez pamięci, ale zawsze potrafiła podbijać i rządzić?

- Zgadza się. Ta, która błagała cię o dar z eliksiru dla jednego śmiertelnika, lecz odmówiłeś. W końcu okazałeś się samolubny, złośliwy i małosłowny.

- Nie, nie, wiesz przecieŜ, Œe to nieprawda. - Ten sam stary urok, ta sama siła perswazji. I nieugięta siła woli. - To byłby potworny błąd!

- A ja? Czy ja nie jestem błędem?

Usiłowała się wyszarpać. Nic z tego. Raz jeszcze obrócił ją w wielkim kole w rytm muzyki, muskały ją stroje innych, którzy najwyraźniej nie zwracali uwagi na jej zmagania.

- Wczoraj wieczorem mówiłaś, Œe wołałaś mnie, a przecieŜ sparaliŜował cię jad Œmii. Czy mówiłaś prawdę? - Próbowwała się wyrwać.

- Nie mów mi takich rzeczy! - wyszarpnęła lewą rękę, lecz natychmiast pochwycił ją na nowo. Ludzie zorientowali się nareszcie, Œe coś się dzieje. W ich kierunku zwracały się głowy.

Para przestraszonych tancerzy stanęła.

- Odpowiadaj - Œądał. - Czy próbowałaś mnie zawołać w ostatnich chwilach? Czy to prawda?

- Zdaje ci się, Œe to usprawiedliwia twoje postęпки! - Zmusiła go do przystąpienia. Nie pozwoli sobie pomiać.

- Bałam się. Pukałam do wrót śmierci! - przyznała. - Robiłam to ze strachu, nie z miłości.

Jak mogłabym ci wybaczyć, Œe pozwoliłeś umrzeć Antoniuszowi?

- Tak, to ty - stwierdził cicho. Stali bez ruchu. - To rzeczywiście ty, ma Kleopatra, z całą obłudą i namiętnością. To ty.

- Tak, i mówię prawdę, Œe cię nienawidzę - zawołała, a w oczach zakreśliły jej się łzy. -

Ramzes Przeklęty! Niech tak samo przeklęty będzie dzień, w którym wpuściłam do twego grobowca światło słoneczne. Kiedy ta słodka Julie Stratford będzie leŜeć, konając u twych stóp, tak jak Antoniusz leŜał przede mną, poznasz całe znaczenie prawdy, miłości, potęgę tej, która zawsze zwycięŜa i tryumfuje. Twoja Julie Stratford jest śmiertelna. Jej kark moŜna przełamać niczym nadrzeczną trzcinę.

Czy mówiła serio? Sama nie wiedziała. Rozumiała, Œe moŜe wypowiedzieć te słowa dzięki nienawiści i podsycającej ją miłości. Wyszarpnęła mu się wściekła i rzuciła do ucieczki.

- Nie, nie zrobisz jej krzywdy - wołał za nią po łacinie. - Ani Alexowi. I nikomu innemu.

Odpychała stojących jej na drodze tancerzy. Jakaś kobieta krzyknęła, męŜczyzna wpadł

na partnerkę. Inni w popłochu ustępowali jej z drogi. Obejrzała się - pędził za nią, coś wołając.

- Prędeŝ zamknę cię z powrotem w grobie, niŜ dopuszczę do czegoś takiego. Zaśniesz w ciemnościach.

Zdjęta trwogą pędziła przez ciŜbę gości. Raz po raz wybuchały gdzieś okrzyki. Ale przed nią stały drzwi, drzwi do wolności, ku którym biegła ze wszystkich sił.

- Stój, zaczekaj, posłuchaj - wołał Ramzes.

JuŜ na progu zerknęła za siebie i ujrzała, Ŝe dopadł go Alex.

- Ramsey, przestań, pozwól jej odejść! - Wokół Ramzesa gromadzili się inni męŜczyźni.

Wbiegła na szczyt schodów. Teraz Alex ją wołał, błagał, by nie odchodziła, Ŝeby się nie bała. Ale Ramzes za chwilę wymknie się pogoni, a jego groźby ciągle rozbrzmiewały jej w uszach.

Zbiegała po stopniach, trzymając się balustrady. Strasznie przeszkadzały jej wysokie obcasy.

- Wasza Wysokość! - krzyknął Alex.

Wybiegła przez hol i do wyjścia. U stóp schodów stanęło akurat jakieś auto. MęŜczyzna i kobieta juŜ z niego wysiedli. Drzwi otwierał im młody słuŜący.

Odwróciła się. Alex zbiegał po schodach, tuŜ za nim pędził Ramzes.

- Wasza Wysokość! Zaczekaj!

Obiegła samochód, odtrącając z tropu słuŜącego. Usiadła za kierownicą i nacisnęła pedał. JuŜ w biegu Alex przeskoczył przez boczne drzwi i wylądował na tylnym siedzeniu. Zmagala się z kierownicą, mało nie wjechała w ogród i wycofała na ulicę, która wiodła na bulwar.

- Wielki BoŜe - wrzasnął Alex, przekrzykując wiatr. - On wziął drugie auto. Goni nas.

Przycisnęła pedał do samej podłogi, w ostatniej chwili skręciła, wymijając jadący z naprzeciwka pojazd i znalazła się na pustej alei.

- Wasza Wysokość, zginiemy!

Zimne powietrze owiało jej twarz, gdy pochylała się, kręcąc kierownicą w tę i z powrotem, Ŝeby wyprzedzić opieszale automobile, które nie chciały zjechać z drogi. Alex nie przestawał prosić. Lecz ona słyszała tylko głos Ramzesa: „Zamknę cię z powrotem w grobie... w ciemnościach”. Musiała uciec.

- Nie pozwolę, żeby cię skrzywdził.

Bulwar przeszedł nareszcie w drogę za miastem. Na horyzoncie ani jednego pojazdu.

Mimo to nie zwalniała naciśniętego pedału.

Gdzieś przed nimi stały piramidy, a dalej pustynia, wielka pustynia. Gdzie mogła się ukryć? Gdzie się podzięje?

- Czy on ciągle za nami jedzie? - ryknęła.

- Tak, ale ja nie pozwolę cię skrzywdzić, przyrzekam. Słuchaj!

- Nie - wrzasnęła. - Nie próbuj mnie zatrzymać!

Odepchnęła go, kiedy próbował ją objąć. Auto skręciło, zjechało z twardej nawierzchni.

Parło przez ubity piasek, zanurzając się w mrok, reflektory oświetlały szarą pustynię. Zabłądziła!

Gdzieś z prawej strony dostrzegła mrugające światełko, które sprawiało wrażenie, jak gdyby się przybliżało. Potem ten dźwięk, okropny dźwięk, gwizdek lokomotywy! O bogowie, gdzie ona jest?!

Wpadła w popłoch. Dobiegał ją cichy łoskot żelaznych kół.

- Gdzie jest pociąg? - krzyknęła.

- Stań, nie próbuj jechać na wyścigi z pociągiem!

Ostre światło padło na niewielkie lustro przed jej oczyma, oślepiając ją. Na chwilę podniosła rękę, po czym natychmiast złapała za kierownicę. Wtedy ujrzała rzecz najstraszniejszą, wielkiego, ryczącego potwora, którego bała się najbardziej ze wszystkiego. Z prawej strony wynurzyła się z ciemności ogromna, czarna lokomotywa.

- Hamulce! - krzyknął Alex.

Automobil podskoczył, przód uniósł się w górę, po chwili pojazd gwałtownie znieruchomiał. Lokomotywa przejechała tuż przed zderzakiem. Przed oczyma zobaczyła wielkie, zgrzytające koła.

- Utknęliśmy na szynach, niech to szlag, wycofaj - krzyczał Alex.

Znów rozległ się gwizdek, głośniejszy od grzmotu. Nadjechał następny pociąg, tym razem z lewej! Zobaczyła błękitne, okrągłe oko, omiotła ją smuga światła, szerokie zderzaki sunęły po żelaznym szlaku.

Dopadły ją, te maszyny ją osaczyły. Jak mogłaby się wymknąć? Za plecami miała Ramzesa, który wołał ją po imieniu. Poczowała, jak Alex łapie ją za rękę i usiłuje wyciągnąć z kierownicy. Upiorna lokomotywa nadjechała. Gdy uderzyła w auto, Kleopatra zawyła.

Jej ciało zostało wyrzucone w górę. Przez jedną jaskrawą chwilę czuła, że unosi się w powietrzu ponad pustynią, niby ciśnięta na wiatr lalka. U dołu pustynię przecinały okropne, metalowe potwory. Potem rozbłysnął oślepiający, pomarańczowy płomień. Ogarnęło ją nieznośne ciepło, dobiegł ją ogłuszający łoskot, jakiego jeszcze nigdy nie miała okazji słyszeć.

* * *

Wybuch odrzucił Ramzesa w tył. Wylądował jak długi na piasku. Przez mgnienie oka widział, jak ciało Kleopatry zostaje wyrzucone z samochodu. Po chwili pojazd wybuchnął i pochłonął ją pomarańczowy płomień. Eksplozja wstrząsnęła gruntem, ogień wystrzelił jeszcze wyżej. Przez moment nie widział nic.

Gdy gramolił się na nogi, wielka lokomotywa, jadąca na północ, próbowała zahamować.

Z piskiem i zgrzytem najechała na wrak samochodu i zepchnęła go z torów. Pociąg na południe pomknął przed siebie, nawet nie zwalniając, a łoskot metalowych wagonów tylko powiększył ogólny zgiełk.

Podbiegł do płonącego pojazdu. Zgruchotany szkielet wyglądał jak stos drewnianych polan w rozbuchanym, brudnym ogniu.

Nie widział ani znaku Sycia, ani śladu jej obecności! Miał zamiar rzucić się w ogień, lecz w tej chwili powstrzymał go Samir. Dobiegł go krzyk Julie.

Odwrócił się w ich stronę, oszołomiony. Alex Savarell usiłował wstać, jego szerniałe ubranie dymiło. Obok niego stał ojciec, trzymający w ręku kawałek spalonej tkaniny. Młody człowiek prześyjał. To było jasne.

Ale ona! Gdzie była?! Stał jak ogłuszony i wpatrywał się w obydwa pociągi, jeden stojący, drugi znikający szybko w oddali. Czy świat znał kiedykolwiek przedtem taką moc?

Wybuch przypominał erupcję wulkanu.

- Kleopatro! - zawołał. Po chwili poczuł, że mimo całej nieśmiertelnej mocy, uginają się pod nim nogi. Julie Stratford podtrzymała go.

* * *

Świtaniu towarzyszyła ognista luna na widnokręgu. Spowite mgłą słońce wyglądało nie jak okrąg, lecz wielka warstwa drżącego ciepła. Gwiazdy powoli bladły.

Znowu przemierzał ten sam odcinek torów kolejowych. Samir cierpliwie go obserwował.

Julie zasnęła na tylnym siedzeniu auta.

Elliott z synem wrócili do hotelu.

Jedynie wiemy Samir towarzyszył mu, gdy któryś raz z rzędu badał zmasakrowane szczątki auta. Upiorny szkielet maszyny. Makabryczne strzępy skóry, przyklejone do poczerniałych spręŜyn.

- Panie - przekonywał cierpliwie Samir - nic nie mogłoby wyjść cało z takiego wybuchu.

Dawne czasy nie znały takiego Ŝaru.

Znały, dorzucił w myślach. W oku wybuchającej góry, której obraz przypomniał mu się właśnie zeszłej nocy.

- Musi być jednak jakiś ślad, Samirze. Coś powinno pozostać.

Po co jednak męczyć tego biednego śmiertelnika, który zawsze dodawał mu otuchy? I Julie, nieszczęsną Julie. Musi odwiedzić ją do zacisznego hotelu. Od momentu wybuchu nie odezwała się ani słowem.

- Panie, podziękujmy za to, co się stało - powiedział niepewnie Samir. - Śmierć się o nią upomniała. Bez wątpienia odzyskała spokój.

- Tak myślisz? - wyszeptał. - Po co ja ją wystraszyłem? Dlaczego zmusiłem do wjechania w pustynię? Samirze, pokłóciliśmy się tak samo, jak wcześniej bywało. Staraliśmy się zadać sobie ból! Czas jakby przestał istnieć. Stanęliśmy obok i wiedliśmy ze sobą wojnę. - Urwał.

- Chodźmy odpocząć, panie. Nawet nieśmiertelni muszą wypoczywać.

Wszyscy stali na dworcu kolejowym. Dla Ramzesa była to chwila czystego, niczym nie złagodzonego bólu. Brakowało mu już jednak słów, żeby przekonać Julie. W jej oczach widział

nie chłód, lecz głęboką i nie gojącą się ranę.

Młody Savarell stał się innym człowiekiem, choć nosił twarz i postać Alexa. Z niechęcią wysłuchiwał półprawd, które mu wmawiali. Jakaś znajoma Ramseya; szalona i groźna. Po pewnym czasie zamknął się w sobie. Miał dosyć wysłuchiwania takich tłumaczeń.

Ten młody mężczyzna i młoda kobieta postarzelili się. Twarz Julie nabrała tonu jakiejś szarości. Alex stał naburmuszony, choć spokojny u jej boku.

- Zatrzymaj mnie tutaj co najwyżej kilka dni - tłumaczył Elliott synowi. - Wrócę do domu około tygodnia po twoim przyjeździe. Zaopiekuj się Julie. Jeśli się nią zajmiesz...

- Wiem, ojczy, tak będzie dla mnie najlepiej.

Lodowaty uśmiech, niegdyś bijący takim ciepłem.

Konduktor ogłaszał odejście pociągu. Pociąg był gotów do wyjazdu ze stacji. Ramzes chciałby nie patrzeć, jak się porusza, nie słyszeć tego hałasu. Wolałby się wymknąć, ale wiedział, że zostanie do samego końca.

- Nie zmienisz zdania? - wyszeptał.

W ogóle na niego nie patrzyła.

- Zawsze będę cię kochać - szepnęła. Musiał pochylić się, żeby ją usłyszeć, jej usta mało nie musnęły jego ucha. - Będę kochać cię do śmierci, ale zdania nie zmienię.

Alex ujął go niespodziewanie za rękę.

- Do widzenia, Ramsey. Mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze w Anglii.

Ceremoniał zbliżał się do końca. Ramzes odwrócił się, chcąc pocałować Julie, ale kobieta zdążyła mu się wyrwać. Stała na metalowym stopniu, który prowadził do wagonu pasażerskiego, gdy ich oczy na moment się spotkały.

W jej wzroku nie było wyrzutów, tylko potępienie. Nie stać jej było na nic więcej.

Tłumaczyła to setki razy tymi samymi kilkoma słowami.

W końcu rozległ się zgrzyt, ten wszechogarniający zgiełk. Sznur przedziałów z oknami zaczął przesuwać się w nierównym rytmie. Ujrzał ją w jednym z okien. Przycisnęła dłoń do szyby i jeszcze

raz na niego spojrziała, a on znowu starał się zinterpretować wyraz jej twarzy. Czy dostrzegł jakiś ślad?

W głowie tępo obijał mu się głos Kleopatry: „Wołałam cię w tych kilku ostatnich chwilach życia”.

Pociąg przesuwał się obok. Jego okna rozbłyskiwały srebrem, gdy padało na nie światło słoneczne. Nie widział jej.

Miał wrażenie, że to earl Rutherford wyprowadził go z dworca do czekających automobili, przy których stali szoferzy w uniformach.

- Dokąd chcesz pojechać? - zapytał earl.

Ramzes oglądał się za odjeżdżającym pociągiem. Ostatni wagon z małymi, żelaznymi drzwiczkami był coraz mniejszy, łoskot stawał się zupełnie znośny.

- Jakie to ma znaczenie? - odparł. Wtem popatrzył na Elliotta, jakby zbudził się ze snu.

Wyraz jego twarzy niezmiernie go zaskoczył - śladnych wyrzutów, tylko pełen zadumy smutek. -

Czego cię to wszystko nauczyło, lordzie? - spytał zniechęcony.

- Na wnioski potrzeba czasu, Ramzesie. Czasu, którego już chyba nie mam. - Ramzes potrząsnął głową.

- Czy po wszystkim, co widziałeś - ciągnął, zniżając głos tak, by słyszał go tylko Elliott - poprosiłbyś jeszcze o eliksir? Czy odmówiłbyś tak samo, jak Julie?

Pociąg odjechał. Na pustym dworcu zapanowała cisza, jeśli nie liczyć rozlegających się gdzieś szmerów rozmów.

- Jakie to ma teraz znaczenie, Ramzesie? - spytał Elliott, a Ramzes przez chwilę wyczuł w jego głosie gorycz i rozczarowanie. Wziął rękę Elliotta.

- Jeszcze się spotkamy. Na mnie pora, nie mogę się spóźnić.

- Na co? - zainteresował się Elliott.

Nie odpowiedział. Odwrócił się i pomachał, przemierzając teren dworca. Elliott odwzajemnił się uprzejmym skinieniem i oszczędnym ruchem ręki, po czym wszedł do auta.

* * *

Późna, popołudniowa pora. Elliott otworzył oczy. Słońce wpadało przez szpary w drewnianych żaluzjach, nad głową powoli obracał się wentylator.

Wziął leśący na stoliku przy łóŝku złoty, kieszonkowy zegarek. Ich statek odbił od brzegu. Rozkoszował się poczuciem ulgi, by dopiero po dłuŝszej chwili pomyśleć, co jeszcze zostało do zrobienia.

Wtedy usłyszał, jak Walter otwiera drzwi.

- Czy dzwoniли juŝ ci przekłęci urzędnicy od gubernatora?! - zawołał.

- Tak, milordzie. Dwa razy. Powiedziałem, ŝe pan śpi, a ja nie mam bynajmniej zamiaru zakłócać pańskiego spokoju.

- Dobry z ciebie człowiek, Walterze. A oni niech smaŝą się w piekle.

- Tak, milordzie?

- Nic, nic, Walterze.

- Wasza lordowska mość, zaglądał teŝ ten Egipcjanin.

- Samir?

- Przyniósł lekarstwo od Ramseya. Stoi tam. Mówił, ŝe pan będzie wiedział, co to takiego.

- Co? - Elliott uniósł się wsparty na łokciach. Powoli odwracał wzrok od Waltera i przesuwał go na stół po prawej stronie.

Była to płaska flaszka, jakich uŝywa się do wódki lub whisky, lecz z bezbarwnego szkła.

Wypełniono ją mlecznobiałym płynem, który osobliwie lśnił, niemal fosforyzował na słońcu.

- Ja bym uwaŝał, milordzie - odezwał się Walter, otwierając drzwi - Skoro to jakiś egipski wywar, lepiej dmuchać na zimne.

Elliott mało nie roześmiał się na głos. Przy buteleczce leŝała koperta z jego nazwiskiem.

Usiadł na łóŝku, nie wykonując ŝadnych ruchów, dopóki Walter sobie nie poszedł. Wtedy sięgnął po kopertę i rozdarł ją.

Wiadomość wypisano drukowanymi literami, przypominającymi pismo rzymskie, schludne i kanciaste:

Lordzie Rutherford, decyzja naleŝy do Pana. Niech wspomogą Pana mądrość i filozofia.

Oby wybrał Pan właściwą drogę.

Nie mieściło mu się to w głowie. Nie, po prostu nie wierzył własnym oczom. Dłuŝszą chwilę wpatrywał się w kartkę, potem zerknął na flaszeczkę.

Leżała, pół śpiąc na poduszce. Gdy otworzyła oczy, zdała sobie sprawę, że zbudził ją własny głos. Wołała Ramzesa. Powoli wstała i założyła szlafrok. Czy to możliwe, że ktoś może ją zobaczyć na pokładzie w samym szlafroku? Nadeszła już chyba pora kolacji. Tak, musiała się ubrać. Była potrzebna Alexowi. Ach, gdyby tylko potrafiła zebrać myśli. Zaczęła wyjmować rzeczy z szafy. Gdzie się znajdowali? Od ilu godzin byli na morzu?

Zastała go przy stole, zapatrzonego przed siebie. Nie wstał na jej powitanie, nie odsunął

jej krzesła. Czy to miało teraz jakieś znaczenie? Przemówił.

- Ciągle nic z tego nie rozumiem. Naprawdę. Przecież ona w ogóle nie sprawiała wrażenia obłąkanej.

Siedziała jak na mękach, lecz musiała tego wysłuchać.

- Tak, bił od niej jakiś smutek, jakieś przygnębienie - ciągnął. - Wiem tylko jedno, że ją kochałem. Z wzajemnością. - Zwrócił się do Julie. - Czy ty mi wierzysz?

- Tak.

- Bo widzisz, ona wygadywała bardzo dziwaczne rzeczy. że nie planowała mnie pokochać! Ale stało się, a ja powiedziałem jej, że doskonale wiem, co ma na myśli. Nigdy nie przypuszczałem, że... że, wiesz, to było coś zupełnie innego. Jak gdybyś przez całe życie myślała, że różowe kwiaty są czerwone!

- Tak, wiem.

- A letnia woda wydawała się gorąca.

- Tak.

- Czy ty się jej przyjrzałaś? Zauważyłaś, jaka jest piękna?

- Lepiej nie rozpamiętuj. W ten sposób na pewno jej nie odzyskasz.

- Wiedziałem, że ją utracę. Od samego początku. Nie mam pojęcia, dlaczego. Wiedziałem i już. Ona była nie z tego świata, rozumiesz mnie? A jednocześnie była dla mnie całym światem o wiele bardziej niż...

- Wiem.

Zapatrzył się przed siebie. Można było odnieść wrażenie, że patrzy na innych ludzi w jadalni; na uwijających się między stołami kelnerów w czarnych marynarkach; być może słucha ściszonych, kulturalnych rozmów. Pokład zdominowany był przez Brytyjczyków. Było w tym coś niezwykle odraśającego.

- MoŜna zapomnieć! - rzuciła nagle. - Wiem, Œe moŜna.

- Tak, zapomnieć - uŒmiechnął siê chłodno, choć raczej nie do niej. - WłaŒnie to nas czeka. Zapomnimy - powtórzył. - Ty zapomnisz o Ramseyu, bo najwyraźniej zdarzyło siê coŒ, co was rozdzieliło. Ja zapomnę o niej. Będziemy zachowywać pozory Œycia, jakby Œadne z nas nigdy naprawdê nie kochało.

Julie spojrzała na niego zdumiona. ZmruŜyła oczy.

- Zachowywać pozory Œycia! - zawtórowała. - Co za okropna myŒl.

Nawet jej nie słyŒzał. Wziął widelec i zaczął jeŒć, czy raczej dziobać w talerzu.

Zachowywał pozory jedzenia. Siedziała drŜąca, wpatrzona w talerz.

* * *

Zapadł zmrok. Niebieski poblask wpadał do Œrodka pomiêdzy listewkami Œaluzji. Walter pytał go przed chwilą, czy Œyczy sobie kolację. Nie Œyczył sobie. Chciał tylko zostać sam.

Siedział w szlafroku i pantoflach i przypatrywał siê stojącej na stole buteleczce. Z płynu emanował drŜący blask. Koperta leŜała obok, tam, gdzie ją odłoŜył.

W koŒcu wstał i zaczął siê ubierać. Zabrało mu to dobrych parê minut, gdyŜ załoŜenie kaŜdej czêŒci garderoby wymagało cierpliwoŒci. Miał na sobie szary, wełniany garnitur, nieco za ciepły na dzieŒ, lecz idealny podczas zimnych nocy.

Podszedł do stołu, lewą ręką wspierając siê na lasce, prawą ujął flaszkê. WłoŜył ją do wewnętrznej kieszeni marynarki, gdzie z trudem zmieŒciła siê, uciskając pierŒ.

Wyszedł. Ból w nodze narastał, w miarê jak oddalał siê od Pasterskiego. Niemniej jednak nie poddawał siê, od czasu do czasu przekładając laskê z ręki do ręki w nadziei, Œe choć trochê złagodzi ból. Przystawał tylko wtedy, kiedy musiał. Zaczerpywał tchu i szedł dalej.

W ciągu mniej wiêcej godziny dotarł do starej czêŒci Kairu. Błąkał siê bez celu zaułkami.

Nie szukał domu Malenki. Po prostu szedł i szedł. O pólnocy na powrót zdrętwiała lewa noga.

Nie miało to jednak wiêszego znaczenia.

Po drodze wszystkiemu siê przyglądał. Patrzył na mury, drzwi i ludzkie twarze.

Przystawał przed kabaretami i słychał dysonansowych melodii. Od czasu do czasu dostrzegał

kobiety wykonujące zmysłowe taŒce brzucha. Raz zatrzymał siê, by wysłychać, jak męŒczyzna gra na flecie.

Nigdzie nie zatrzymywał się dłużej, chyba że był zmęczony, a wtedy siadał, czasami zapadał nawet w drzemkę. Noc była cicha; panował spokój. Miało się wrażenie, że nie czają się w niej żadne niebezpieczeństwa znane mu z Londynu.

O drugiej jeszcze spacerował. Przemierzył średniowieczną dzielnicę i stopniowo zawracał do nowszych partii miasta.

* * *

Julie stała przy relingu, przytrzymując końce szala. Patrzyła na ciemną wodę, prawie nie docierało do niej, że okropnie zmarzła, że skostniały jej ręce. Nie przejmowała się tym.

Wydawało jej się cudem, że takie rzeczy nie sprawiają jej już bólu. że jest jej wszystko jedno.

Myślami była zupełnie gdzie indziej. W londyńskim domu. Stała w oranżerii, pełnej wybujałych kwiatów. Przed nią pojawił się Ramzes, okutany płóciennymi całunami. Na jej oczach uniósł rękę i zaczął zdierać je sobie z twarzy. Niebieskie oczy spoglądały wprost na nią, od razu napełniając się miłością.

- Nie, nie tak - szepnęła. Z kim rozmawiała? Nikt nie usłyszy jej słów. Okręt pogrążony był we śnie, spali wszyscy cywilizowani Brytyjczycy, powracający do domu po krótkiej wycieczce do Egiptu, zadowoleni, że zobaczyli piramidy, świątynie. Zniszcz eliksir. Do ostatniej kropli.

Wpatrywała się we wzburzone morze. Powiew wiatru rozwiął jej włosy, pociągnął za szal. Schwyciła reling, tymczasem szal został zerwany jej z ramion i odleciał, zwijając się w kulę i rozplywając w ciemnościach.

Pochłonęła go mgła. Nawet nie widziała, jak wpada do wody. Nagle świst wiatru i szum okrętowych silników zlały się w jedną substancję, pokrewną materii mgły.

Jej świat zniknął. Świat wyblakłych kolorów i przytłumionych dźwięków, których już nie ma. Usłyszała, jak Ramzes mówi do niej: „Kocham cię, Julie Stratford”. Słyszała swą odpowiedź: „śaluję, że kiedykolwiek cię poznałam. że Henry nie dopełnił swych zamiarów”.

Niespodziewanie się uśmiechnęła. Czy kiedykolwiek w Śyciu było jej aż tak zimno?

Popatrzyła na siebie. Była ubrana jedynie w cienką nocną koszulę. Nic dziwnego. Właściwie powinna być już martwa. Jak ojciec. Henry wsypał do jej filiżanki truciznę. Zamknęła oczy, odwracając twarz, obmywaną podmuchami wiatru.

- Kocham cię, Julie Stratford - odezwał się ponownie we wspomnieniu jego głos. Tym razem odpowiedziała starym, wytartym, pięknym banałem. - Będę cię kochać aż do śmierci.

Nie było sensu jechać do domu. Nic nie miało sensu. Pozory Śycia. Przygoda dobiegła końca. Koszmar przestał się śnić. Za to teraz koszmarem będzie normalny świat, chyba że znajdzie się przy ojcu, albo zamknie się w samotni, odgradzona od rzeczywistości, myśląca tylko o wszystkich

cudownych chwilach, które przeminęły.

Miłość z nim w namiocie, kiedy nareszcie należała do niego. W świątyni pod dachem z gwiazd.

Na starość nie będzie mówić nikomu, dlaczego nie wyszła za męża. Ładnemu młodzieńcowi nie opowie o podróży do Egiptu. Nie zostanie kobietą, która Syc będzie ze straszliwą wiedzą, strasznym Sajem.

Traktuje się zbyt surowo. Nie warto snuć takich błahych myśli. Ciemna toń czekała. W

ciągu kilku chwil poniesie ją daleko, daleko stąd, bez szans ocalenia. Taki obraz wydał jej się nagle niewypowiedzianie piękny. Starczyło wspiąć się na reling i spaść w zimną wodę.

Nawet wiatr doda jej skrzydeł. Wpadł pod koszulę i wydymał ją. Wyciągnęła ręce i rzuciła się w przód. Wiatr powiał jakby głośniejsz, leciała ku ciemnej wodzie. Gotowe!

Przez ułamek sekundy wiedziała, że nic nie zdoła ją uratować, że nic nie stanie na drodze.

Spadała, chciała wypowiedzieć imię ojca. Zamiast niego na myśl przyszło jej imię Ramzesa.

Och, co za słodycz, nieskończona słodycz.

Wtem pochwyciło ją dwoje silnych rąk. Zawisła nad morzem, ogłuszona, rozglądająca się po omacku we mgle.

- Nie, Julie. - To przekonywał ją Ramzes. Który przeniósł ją przez reling i mocno przytulił do siebie. Stał na pokładzie z nią w ramionach.

- Śmierć nie zatryumfuje nad Syciem, Julie, nie.

Zaczęła spazmatycznie szlochać. Rozpłynęła się jak sople lodu, ciepłe łzy płynęły jej po twarzy, gdy przywarła do jego piersi.

Po wielekroć powtarzała jego imię. Czowała, jak jego objęcia chronią ją przed przenikliwym wiatrem.

* * *

Kair budził się wraz ze słońcem. Ciepło zdawało się unosić z brudu na ulicach, w miarę jak ożywiało się bazar, na progach rozkwitały markizy, nastał stukot kopyt wielbłądów i osłów.

Elliott był kompletnie wyczerpany. Na pewno poddałby się senności, mimo to szedł.

Ociepiałym krokiem mijał sprzedawców przedmiotów z mosiądzu i dywanów, handlarzy gelabijami i podrabianymi antykami - egipskimi skarbami za grosze. Mijał sprzedawców mumii, proponujących zwłoki królów za symboliczne pieniądze.

Mumie. Stały wzdłuż obielonej wapnem ściany w jasnym blasku słońca; brudne mumie w strzępach

zaplamionych całunów, chociaż pod warstwami płótna i brudu można było dostrzec rysy ich twarzy.

Zatrzymał się. Wszystkie myśli, z którymi zmagał się przez całą noc, jakby zostawiły go w spokoju. Obrazy najbliższych, które szły za nim krok w krok, zaczęły blednąć. Stał na bazarze w potokach słonecznego słońca i spoglądał na rząd trupów pod ścianą.

Przypomniały mu się słowa Malenki.

- Zrobią z mojego Anglika wielkiego faraona. Z mojego pięknego Anglika. Wsadzą go do smoły, zrobią z niego mumię dla turystów... Mój piękny Anglik, zawiną go w płótno, zrobią z niego króla.

Przysunął się; nie mógł oprzeć się temu widokowi, który jednocześnie budził w nim odrazę. Poczul pierwszą falę mdłości, gdy jego wzrok spoczął na mumii, wysokiej i szczupłej, opartej o bliższy kraniec muru. Druga fala napłynęła, gdy wyszedł do niego kupiec z wydatnym brzuchem skrytym pod ubraniem w paski, ze splecionymi na plecach rękami.

- Pozwoli pan, że zaproponuję niezwykłą okazję! - zagaił handlarz. - Ta tutaj jest zupełnie inna od pozostałych. Widzi pan? Gdy się lepiej przypatrzyć, widać delikatne kości, bo był to niegdyś wielki król. Proszę! Proszę bliżej. Proszę się przyjrzeć.

Elliott powoli szedł za wskazaniem mężczyzny. Całun był gruby,gnił, wyglądał na starożytny! I ten odór, smród ziemi i smoły. Jednak pod grubą powierzchnią dało się ujrzeć twarz. Widział twarz i szeroko sklepione czoło, wyraźnie widział zapadnięte oczy i cienkie usta!

Spoglądał na twarz Henry'ego Stratforda, to nie ulegało wątpliwości.

* * *

Poranne słońce słało przez okrągły iluminator cudowne promienie, które przenikały przezroczyste, białe draperie nad mosiężnym łóżkiem.

Siedzieli wsparci o kraty zagłówka; rozgrzani miłością; rozgrzani wypitym winem.

Patrzyła, jak nalewa płyn z fiolki do kielicha. Płasały w nim małe iskierki. Podał jej naczynie.

Wzięła, popatrzyła mu w oczy. Na krótką chwilę znowu odczuła strach. Miała nieodparte wrażenie, że znajduje się gdzie indziej. Stała we mgle na pokładzie, było zimno. Morze czekało.

Zadrżała, a ciepłe promienie słońca rozplynęły się na jej skórze. W jego oczach również ujrzała strach.

To tylko człowiek, pomyślała. Nie wie, co przyniesie przyszłość, tak samo, jak ja!

Uśmiechnęła się.

Wypiła zawartość pucharu.

- To ciało króla, mówię ci. - Kupiec pochylał się w jego stronę w farsowym geście poufnego zwierzenia. - Oddam je prawie za darmo! Bo mi się podobasz. Widzę, że jesteś dŹentelmenem. Masz dobry gust. Tę mumię da się wywieźć z Egiptu, nie ma z tym problemów.

Przekupię, kogo trzeba... - I tak dalej ciągnęła się litania kłamstw; pieśń handlu, imitacja prawdy w ustach idioty.

Okryty tą materią Henry! Na wieki okutany śmierzzącymi bandaŹami! Henry, którego pieścił w tamtym niewielkim pokoju w paryskim hotelu przed laty.

- Proszę bardzo, panie, nie odwracaj się plecami do tajemnic Egiptu, głębokiego, mrocznego Egiptu. Czarodziejskiej ziemi...

Głos ucichł, choć rozlegał się echem jeszcze przez kilka chwil, gdy Elliott wychodził chwiejnym krokiem na słońce.

Wielki, płonący krąg wisiał nad dachami. Raził w oczy, gdy je unosił.

Nie spuszczać wzroku z nieba, uchwycił zdecydowanym ruchem laskę i wyjął z kieszeni marynarki flaszkę. Wypuścił laskę z ręki i wielkimi łykami wypił zawartość butelki, do ostatniej kropli.

SparaliŹowały go potęŹne dreszcze, a butelka wypadła z ręki. Czuł gwałtowne przyływy ciepła. Czuł, jak zdrętwiała noga wraca do Źycia. Wielkie brzemie w piersi stopniowo traciło wagę. Przeciągnął się z nieskończoną rozkoszą, jaka dana jest zwierzętom i spojrzał na rozŹarzone niebo, na złoty krąg.

Źwiat na jego oczach pulsował, drŹał, by wreszcie zbić się w zwartą masę, której nie widział od wielu lat, kiedy w późnym wieku Źrednim zaczął psuć mu się wzrok. Dostrzegał pod nogami ziarna piasku.

Przestąpił przez leŹącą na ziemi, srebrną laskę i ruszył przed siebie, nie zwaŹając na okrzyki przekupnia, Źe zgubił laskę i Źe musi poczekać. Swobodnym krokiem opuścił bazar.

Słońce stało w zenicie, gdy wychodził z Kairu i szedł przed siebie długą, wąską drogą na wschód. Sam nie wiedział, dokąd zmierza, zresztą nie miało to znaczenia. Czekano na niego wystarczająco duŹo staroŹytnych budowli, cudów i miast. Stawiał długie kroki, a pustynia wydawała mu się piękna jak nigdy dotąd. Monotonny ocean piasku.

Miał to za sobą! Co się stało, juŹ się nie odstanie. Wpatrując się w wielką, lazurową pustkę nad głową, wydał okrzyk nie przeznaczony dla nikogo. Był jedynie skromnym, odruchowym wyrazem radości.

Stali na pokładzie objęci i otuleni ciepłym blaskiem słońca. Czuł, jak przez jej skórę i włosy wędruje czarodziejski płyn. Czuła na ustach jego wargi i nagle pocałowali się tak, jak nigdy dotąd. Powrócił tamten ogień, ale jego siła i namiętność znalazły teraz godnego partnera.

Zaniósł ją z powrotem do małej sypialni, położył na łóżku. Zastony opadły bezszelestnie, usidlając blask słońca i zalewając ich jasnymi strumieniami.

- Jesteś moja, Julie Stratford - wyszeptał. - Moja na wieki królowa. A ja jestem twój. Na zawsze twój.

- Piękne słowa - odparła, uśmiechając się, jakby melancholijnie. Chciała na zawsze zapamiętać tę chwilę, wyraz jego niebieskich oczu.

Powoli, choć gorączkowo, oddali się miłości.

Młody doktor schwycił torbę i pobiegł w kierunku lazaretu. Krok za nim pędził Śołnierz.

- To coś okropnego, proszę pana. Jest spalona na wiór, utkwiała w kracie pod wagonem towarowym. Nie wiem, jakim cudem jeszcze żyje.

Jakim sposobem, na litość boską, miałby jej pomóc, w tej zapomnianej przez Boga i ludzi placówce w sudańskiej dŹungli? Stał na progu sali i oparł się o framugę. Pielęgniarka podeszła, potrząsając głową.

- Nic z tego nie rozumiem - oznajmiła scenicznym szeptem, rzucając znaczące spojrzenie w stronę łóŜka.

- Niech rzucę na nią okiem. - Odsunął moskitierę. - Przecież ta kobieta w ogóle nie jest poparzona.

Spała na białej poduszce, fale jej czarnych włosów drŹały w słońcu, jak gdyby gdzieś na piekielnie gorącej sali rzeczywiście wiał jakiś nieśmiały wietrzyk.

Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek widział tak piękną kobietę, zresztą niezbyt chciało mu się nad tym zastanawiać. Jej uroda była niemal bolesna. Nie były to rysy porcelanowej lalki, twarz miała stanowczą, acz idealnie ukształtowaną. Lśniące włosy z przedziałkiem na środku tworzyły nad jej głową wspaniałą piramidę.

Gdy przeszedł na bok łóŜka, otwarła niebieskie oczy. Zadziwiający, niezwykły błękit!

Cud nad cudami, uśmiechnęła się. Ugięły się pod nim nogi. Po głowie uparcie tłukły się słowa w rodzaju „los” czy „przeznaczenie”. Kim ona mogła być, na Boga?

- Przystojny z ciebie mężczyzna - szepnęła. Nienaganny brytyjski akcent. Jest z naszej sfery, pomyślał, natychmiast ganiąc się za snobizm. Jednak miała głos prawdziwej arystokratki.

Siostra coś tam wybąkała. Za plecami usłyszał czyjeś szepty. Przysunął polowe krzesło i usiadł przy niej. Starając się zachować obojętność, podniósł białe prześcieradło, które okrywało jej półnagie piersi.

- Przynieście jej coś do ubrania - rzucił pielęgniarce, nawet na nią nie spoglądając. -

Rozumie pani, bardzo się wszyscy wystraszyliśmy. Zdawało im się, że jest pani poważnie poparzona.

- Naprawdę? - szepnęła. - Bardzo miło z ich strony, że mi pomogli. Znalazłam się w jakimś dusznym miejscu, gdzie nie mogłam oddychać. W ciemności.

Zamrugnęła od wpadającego przez okno blasku słońca.

- Musi mi pan pomóc wyjść na słońce.

- AleŜ na to jest jeszcze o wiele za wcześnie.

Mimo wszystko usiadła, wyraźnie nie stropiona jego sprzeciwem, zaczęła owijać się prześcieradłem niczym koszulą. Delikatne, ciemne brwi dodawały jej twarzy wyrazu siły i determinacji, co nie wiedzieć czemu bardzo go podniecało, w fizycznym tego słowa znaczeniu.

Wyglądała jak prawdziwa bogini, gdy wstała, z prześcieradłem okrywającym jedno z ramion. Znowu błysk uśmiechu, który całkowicie go rozbroił.

- Musi mi pani opowiedzieć o sobie. O rodzinie, znajomych. Musimy ich zawiadomić.

- Proszę ze mną wyjść - zakomenderowała.

Poszedł za nią jak głupiec, biorąc ją za rękę. Niech szepczą sobie do woli! Opowiadali mu niestworzone rzeczy o tym, Őe pacjentka leŜy upieczona jak przypalony befsztyk! Jej w ogóle nic nie dolegało! Czy cały Őwiat oszalał?

Przemierzyła zakurzony dziedziniec, prowadząc go przez bramę do niewielkiego ogrodu.

Nie był przeznaczony dla pacjentów, naleŜał do niego, przylegając bezpośrednio do sypialni i gabinetu lekarskiego.

Usiadła na drewnianej ławce, a on poszedł w jej Őlady. Odrzuciła włosa do tyłu i uniosła wzrok na rozpalone niebo.

- Nie ma sensu, Őeby siedziała pani w tym okropnym upale - przekonywał. - Zwłaszcza Őe doznała pani poparzeń. - Plóŧł bzdury. Jej skóra była nieskazitelna, cała lśniła. Miała przepięknie zaróŜowione policzki. Nigdy w Őyciu nie widział kogoŐ zdrowszego od niej.

- Czy powinienem się z kimŐ skontaktować? - ponowił próby. - Zainstalowaliśmy tu niedawno telefon i telegraf.

- Proszę się o to nie troszczyć - powiedziała, podnosząc jego lewą dłoń i leniwie muskając palce. Niespodziewanie zrobiło mu się wstyd uczuć, które w nim wzbudzała. Nie mógł oderwać od niej wzroku, od jej oczu, potem ust. Pod prześcieradłem widział jej sutki.

- Tak, mam znajomych - odezwała się rozmarzonym głosem - i muszę odbyć kilka spotkań. Wyrównać pewne porachunki. Proszę mi jednak opowiedzieć o sobie, doktorze i o miejscu, w którym się znajdujemy.

Czy chciała, Őeby ją pocałował? Nie bardzo w to wierzył, mimo to nie miał zamiaru przepuszczać takiej okazji. Pochylił się i musnął jej wargi, mmm. Nie zaleŜało mu, Őe ktoŐ ich obserwować. Objął ją i przysunął do siebie, zdumiony jej całkowitą uległością, dotykiem rozgrzanych piersi.

Za chwilę siłą zaciągnie ją do swojego łóŜka, jeśli kobieta nie zrobi tego z własnej woli.

Wiedział jednak, że mu się podda.

- Z zawiadaniem ich nie ma się co spieszyć - szepnęła, wkładając mu dłoń za koszulę.

Oboje stanęli i zaczęli iść po kamiennej posadzce w stronę drzwi sypialni. Przystanąła, jak gdyby nie mogła odczekać nawet tej chwili. Wziął ją na rękę.

Grzech, ciężki grzech, ale nie mógł się powstrzymać. Przywarła do niego ustami, tak że mało nie padł trupem. Ułożył ją na materacu i zasunął drewniane żaluzje. Do diabła z całym światem.

- Czy na pewno... - wyjąkał, zdzierając z siebie w pośpiechu koszulę.

- Lubię mężczyzn, którzy się rumienia - oznajmiła, spoglądając na niego. - A, tak, na pewno chcę się przygotować na spotkanie przyjaciół. - Odwinęła prześcieradło. - Starannie przygotować.

- Co? - Położył się przy niej, zaczął całować po szyi, ręka powędrowała do piersi. Uniosła biodra, gdy znalazł się na niej. Falowała niczym wąż, chociaż nie była groźna. Ciepła, pachnąca i gotowa na jego przyjęcie!

- Przyjaciele - szepnęła wpatrzona w sufit, jakby nieco oszołomiona, z przebłyskiem smutku w niebieskich oczach. Zaraz jednak spojrzała na niego - zapalała głodem, głos zmienił jej się w monotonny pomruk, gdy go pieściła, a paznokcie rozkosznie orały barki.

- Przyjaciele mogą poczekać. Mamy bardzo dużo czasu. Nieskończenie dużo czasu!

Nie mógł pojąć, co ona chce przez to powiedzieć. I nieszczęśliwie mu na tym zależało.